R G B WH GR BL
Grey Scale #13
C M Y K
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue
Cyan
Green
Yellow
Red
Magenta
White
3/Color
Black
Inches
Centimetres
DANES-PICTA.COM

60,-

O DZIAŁANIACH i DZIEŁACH BISMARCKA.

STANISŁAW KOŹMIAN.

O DZIAŁANIACH i DZIEŁACH

BISMARCKA.

W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI „CZASU"
1902.

9/43)

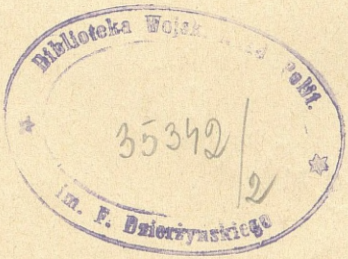

NAKŁADEM AUTORA.

Prace i pisma publicysty i dziennikarza rozproszone są i zagubione. Jeżeli zespoliły się lub wpłynęły na wyobrażenia i kierunek społeczeństwa, mają znaczenie zdarzeń; ale wtedy także pamięć o nich zaciera się.

Zapobiedz temu pragnę, gromadząc w czterech tomach to, co znaczniejszego, w długoletnim zawodzie skreśliłem, w różnych pismach publicznych, o współczesnych wypadkach politycznych oraz o innych zdarzeniach i zadaniach. Czynię to przeważnie dlatego, że prace te odnoszą się do ważnych zmian nietylko stosunków ale wyobrażeń i kierunków narodu polskiego, że pozostają z niemi w ścisłym związku, a tem samem mogą mieć także znaczenie dla ogólnej wiedzy politycznej i rozwoju społecznego.

Tych czterech tomów nazwy są następujące: *O Działaniach i Dziełach Bismarcka. — Pisma Polityczne. — Podróże i Polityka. — Teatr.*

Działania i Dzieła Bismarcka.

Wielkie sprawy i wielkie zdarzenia drugiej połowy dziewiętnastego stulecia zespolone są z człowiekiem, który ostatni uprawiał w wielkich rozmiarach sztukę polityczną. Tym człowiekiem był Bismarck, potężny i niezwykły, nietylko pomysłami i zamiarami, ale zwłaszcza tem, co zdziałał. To, co w różnych czasach o nim pisałem, zespalam w jedną całość. Naoczne spostrzeżenia o człowieku, którego czyny wytworzyły obecny stan Europy oraz o wypadkach, które nadały jej dotąd istniejący kształt, mogą być nauczającemi, a powinnyby być cenniejszemi od równej wartości, późniejszych rozpamiętywań.

Rozmyślania te nad tym mężem stanu, rozpoczynają się z chwilą, gdy pierwsze powstaje jego dzieło: *Północny Związek Niemiecki.*

O przygotowawczych do tego dzieła działaniach pisałem na innem miejscu w książce: *Rzecz o roku 1863*, zwłaszcza o ich związku ze sprawą polską i powstaniem 1863 r.

Bezpośrednio po tem powstaniu, Bismarck zapewniwszy w wielkim ze sejmem pruskim sporze, utworzenie bitnej i silnej armii, rozpoczął swoje czyny wojną z Danią w imieniu myśli niemieckiej. Stanowczością w owym sporze ugruntował on potęgę i przyszłość Prus taksamo, jak inni słabością sprawiają obniżenie i upadek państw. Wciągnąwszy w tę wojnę Austryę,

zużytkował ją nietylko do zwiększenia Prus oderwanemi od Danii księstwami, ale do wywołania ze sprzymierzeńcem sporu w celu wykluczenia go z Niemiec, sporu, który zakończył się wojną 1866 r., pogromem Austryi pod Sadową i traktatem pragskim.

Wtedy pisać zacząłem o działaniach i dziełach Bismarcka.

Po pokoju pragskim 1866 r.

Nie można było przewidywać dla monarchii austryackiej pomyślnego skutku z wojny rozpoczętej w niekorzystnych warunkach duchowych i materyalnych. Nieszczęśliwa kampania dyplomatyczna i wojskowa była następstwem błędów popełnionych przez Austryę. Zrzucić należy odpowiedzialność za nią, na austryackich mężów stanu, którzy w 1854, w 1863 r. i 1864 r. zaślepieniem przygotowywali złowrogie wypadki. Nigdy zapewne Nemezis historyczna spieszniej nie działała.

Austrya padła ofiarą własnych błędów dawno popełnionych, świeżo zręcznie uknutego spisku, wreszcie śmiało w życie wprowadzonej zasady – siła przed prawem.

Austrya poniosła wielką pod Sadową klęskę.

Skutki jej i spisku byłyby dalej sięgły niż się to stało, gdyby zażegnanemi nie zostały po części, i tak spóźnionem odstąpieniem Napoleonowi III. Wenecyi, które skłoniło go do wdania się i wysłania swojego w Berlinie ambasadora Benedettiego, do głównej kwatery pruskiej. — Wobec tego i obawy wojny z Francyą; wzmogło się przekonanie Bismarcka, iż nie należy naruszać na rzecz Prus całości austryjackich posiadłości i że trzeba zawrzeć pokój. Nie przyszło łatwo przeprowadzić mu to zdanie wobec króla i wojskowości; poparty jednak przez następcę tronu, wkońcu, zwyciężył. Jednym z powodów postanowienia Bismarcka był jego wstręt do dzielenia się korzyściami zwycięstwa; wtedy z Francyą lub Rosyą. W *Myślach i Wspomnieniach* pisze on: „Należało także zadać sobie pytanie jakie Rosyja odniesie wrażenie, gdy zda sobie sprawę ze wzrostu naszej potęgi w skutku narodowego rozwoju Niemiec“. Bismarck wolał zawrzeć pokój na warunkach,

przedłożonych przez Austryę, niż dopuścić do zwiększenia się Francyi nad Renem, lub do zajęcia przez Rosyę Galicyi czy też wschodniej jej części. Skoro bowiem Austrya nie zrozumiała, lub spełnić nie zdolną była swojego zadania w sprawach polskich, narażoną zawsze będzie na utratę Galicyi na rzecz Rosyi. —

Wreszcie już wtedy Bismarck przewidział potrzebę zachowania Austryi, jako sprzymierzeńca.

Wisiało niebezpieczeństwo nad Krakowem. Izba handlowa wrocławska, zaniosła do sejmu petycyę o wcielenie do monarchii pruskiej Krakowa, a to z powodów ekonomicznych i handlowych. Dalej sięgającym skutkom Sadowy stanęło na przeszkodzie podpisanie za sprawą Bismarcka preliminarzy pokoju w Nikolsburgu.

I.

Pokój ostateczny między Prusami i Austryą, zawarty został w Pradze w sierpniu 1866 r. Pokój między Austryą i Włochami podpisany został w październiku tego roku.

Pierwszy wykluczył Austryę z *Rzeszy Niemieckiej*; drugi pozbawił ją Wenecyi, którą odstąpiła była cesarzowi Napoleonowi III.

Pierwszy narzucał jej konieczność szukania gdzieindziej niż w Niemczech, oparcia i przyszłości, jeżeli miała pozostać żywotnem mocarstwem; drugi pozwalał jej pogodzić się z systematem politycznym narodowości. Szło odtąd aby te dwie prawdy należycie zrozumiała i przejęła się niemi, ażeby nie zamykała oczów przed tem rażącem, lecz jasnem światłem. Stwierdzić to mogła i powinna była najpierw wewnętrznem przekształceniem. Co się tyczy Galicyi, zadość czyniąc nie przesadnym, ale uprawnionym życzeniom i prawom narodowym, i widząc w niej odtąd nie więźnia, którego strzedz trzeba, lecz oparcie tak w wewnętrznej jak zewnętrznej polityce. — W przekształceniu się monarchii,

należało się pięciomilionowej Galicyi przeważne miejsce, a byłoby nieprzebaczonym błędem, gdyby nie potrafiła była sobie tego miejsca zapewnić, lub gdyby go jej nie chciano przyznać.

Ci, co przypuszczali, że Bismarck z przekonania hołduje zasadzie narodowości, wywieszonej na sztandarze Napoleona III, że jest ona jego celem, choćby tylko w sprawach niemieckich, a że nie używa jej jedynie, jako chwilowego środka, mogli znaleźć potwierdzenie swojego zapatrywania: w przymierzu prusko-włoskiem, w dobrych i tajemniczych stosunkach między Berlinem a Paryżem, w proklamacyach pruskich do Czechów i Morawian podczas wojny 1866 r., w legii węgierskiej, którą Klapka w tym samym czasie na terytoryum pruskiem powoływał do życia. Niebawem jednak Bismarck z błędu ich wyprowadził i wielkie zgotował im rozczarowanie. Posłużywszy się bowiem zasadą narodowości, jak murzynem, spiesznie, bez wstydu, zrzucił maskę; szczerze, odważnie, śmiało okazał się Prusakiem, następcą Fryderyka Wielkiego.

Jednemu z posłów polskich w Sejmie pruskim przyznał, że proklamacye do Czechów i Morawian były podstępem wojennym. I niepodobna było wątpić, że Bismarck będzie tylko, wielkim pruskim ministrem.

Nic też nie było w tem dziwnego, że wywiesiwszy przed dwoma miesiącami sztandar narodowości w Niemczech, postanowił, aby Polacy wysłali posłów do parlamentu północno-niemieckiego. Nic łatwiejszego nie było dla niego, jak sofizmatem lub zdumiewającemi szczerością słowy, usprawiedliwić to postanowienie, które zwiększało zbiór sprzeczności politycznych czasu nad które Bismarck, lekceważąc je sobie, zawsze wznosić się umiał.

Gdyby chciał być zupełnie szczerym, mógł powiedzieć: Polacy W. Księstwa Poznańskiego nie są wprawdzie Niemcami, ale są Prusakami, a więc do północno-

niemieckiego parlamentu powinni wysłać posłów, bo ten niemiecki parlament będzie tylko pruskim.

Jakiekolwiek mogły w przyszłości nastać między zwiększonemi Prusami a Rosyą stosunki; najlepsze między niemi zapanować musiały po wojnie 1866 roku w sprawie polskiej, a wspólnym celem była zagłada polskiej narodowości. Dwie doniosłe rzeczy górowały nad innemi; niesłychany i szybki wzrost Prus po dokonanem przyłączeniu licznych w Niemczech krajów i zawarciu przymierzy z południowemi państwami niemieckiemi; oraz rozpościeranie się narodu rosyjskiego przez tępienie w następstwie powstania 1863 r. narodowości polskiej. Naród polski, znalazł się między dwoma olbrzymami, którzy go coraz bardziej, coraz dotkliwiej przygniatali. Nie nad nim samym zawisło groźne niebezpieczeństwo; wystawione były na nie narodowości i kraje składające monarchię austryacką, i powinny były myśleć o obronie. W tem powstawała nowa przyczyna bytu Austryi.

Nie tylko Austryę zbliska obchodziły stwierdzone powyżej dwie doniosłe rzeczy.

To też niebawem pojawiły się wieści, że Francya zamyśla upomnieć się o granice 1814 r. Od skutku układów dotyczących rozszerzenia, czy też sprostowania granic Francyi, zależeć miały losy Europy. I można było się zapytać: czy cesarz Napoleon doprowadzi je do pomyślnego końca, a tem samem okaże, że jego rachuby podczas wojny 1866 r. były dobre; czy też powiększą one tylko zbiór bezskutecznych usiłowań i żądań napoleońskich, których szereg rozpoczęła mowa cesarza z 5-go listopada 1863 r., a tem samem doprowadzą wcześniej czy później do katastrofy?

Po wojnie 1866 r. nie można już było Niemców porównywać do Hamleta; znalazł się był między niemi człowiek, który wzniósł się do wysokości czynu pruskiego. Czyż to porównanie zwrócić teraz należało do

polityki napoleońskiej; czyżby było jej przeznaczeniem przemienić się w teoryę, w abstrakcyę niezdolną już nigdy objawić się czynem?

Pod pewnym względem pragnienie Francyi sprostowania granic było uzasadnionem i zgodnem z tradycyą i rzeczywistem położeniem. Zasada równowagi europejskiej, posunięta do ostateczności, drobiazgowo przestrzegana była śmieszną; w ogóle jest słuszną, prawdziwą i cywilizacyjną, odkąd nikt nie umie zapewnić sobie wszechświatowego jak Rzym panowania. Nie zważając w dzisiejszych czasach na równowagę, dochodzi się do polityki z dnia na dzień, która w końcu obraca się na korzyść śmielszego i zuchwałego, a nie uprawnionego.

Wojna 1866 r. i jej następstwa naruszyły równowagę na korzyść Prus. Historya Francyi, polityka jej wielkich mężów stanu, Richeliego i Ludwika XIV polegała na tem, aby nie dać zbyt wzrosnąć w potęgę sąsiadom, zwłaszcza jednemu; polityka ta streszczała się wówczas w walce z domem austryackim, który był najmożniejszym sąsiadem Francyi. Otóż, czy równowaga naruszona jest na korzyść Habsburgów czy Hohenzollernów, na korzyść Austryi czy Prus, to jedno i to samo ze stanowiska politycznego Francyi. Słusznem było zatem pragnienie, aby Francya wzmocniła się także w skutku niesłychanego wzmożenia się i znacznego powiększenia terytoryalnego Prus.

Napoleon III zezwalając, a nawet życząc sobie starcia Prus z Austryą, liczył na to, iż z niego wyniknie w każdym razie sprostowanie granic Francyi. W razie pogromu Prus wkraczał do ich nadreńskich prowincyj; w razie pogromu Austryi, zdawało mu się, że otrzyma je lub ich część w nagrodę za neutralność. Teraz znalazł się w tem najgorszem w polityce położeniu, iż podczas gdy jedna strona, Prusy, weszły w posiadanie zdobyczy, on Napoleon nic w garści nie miał,

przyczyniwszy się wielce zachowaniem swojem, do pogromu Austryi, do zwycięstwa jej przeciwnika. Nie pozostawało mu, jak zażądać wywdzięczenia się Prus. Oznaką zaś chylenia się do upadku było, iż wbrew tradycyom i rzeczywistym interesom polityki francuskiej, cesarz Napoleon poprzestał na nieudanych dyplomatycznych usiłowaniach i przysporzył Francyi jedną porażkę więcej. Szło tu o potęgę i wpływ Francyi na sprawy świata, który nie powinien był być zmniejszonym ani ograniczonym.

Cesarz Napoleon zawsze marzył o granicy Renu; ona była celem jego polityki. Gdy postawił zasadę narodowości, a zauważono, że ona może doprowadzić do zjednoczenia Niemiec, tem samem do stworzenia potężnego i niebezpiecznego sąsiada dla Francyi, odpowiedział — że w takim razie Francya uzyska u swych granic terytoryalne wynagrodzenie i rękojmię. Napoleon III nie upatrywał dostatecznego wynagrodzenia dla Francyi, za zupełne zjednoczenie Niemiec, w granicy Renu, lecz twierdził, że wtedy przyjdzie chwila podniesienia sprawy, o której niewątpliwie przez długi czas myślał, sprawy polskiej. Po tem co zaszło, w obec niesłychanego wzrostu Prus, skoro cesarz Napoleon nie zapewniał Francyi obydwóch lub też jednego z tych wynagrodzeń, zostawiał ją w stokroć gorszem położeniu, jak kiedy wstąpił na tron i gotował sobie lub synowi groźne położenie i wielkie wojny do prowadzenia. Założył on był sobie zniesienie traktatów 1815 r. Wprawdzie w 1866 r. już niemal nigdzie śladu ich nie było, a stosownie do jego życzenia, ostatnia wojna i pokój pragski, zadały im stanowczy cios.

Każda jednak w nich zmiana obracała się na niekorzyść Francyi. Traktaty te zgwałcone zostały ze szkodą Danii, odwiecznego sprzymierzeńca Francyi; usunięcie ich z Niemiec posłużyło do wzrostu Prus, wzmocnionych już przez Kongres wiedeński tylko w celu

trzymania na wodzy Francyi; potarganie ich we Włoszech, stworzyło u granic Francyi niepodległe państwo, które niezadługo zupełnie wyzwolić się mogło z pod opieki wyswobodziciela; nareszcie zdeptanie tych traktatów w Polsce, nie mogło się obrócić na korzyść Francyi. Tak zatem w drugiej połowie swojego panowania, Napoleon III dopiął zamierzonego celu zwalenia traktatów 1815 r., ale z uszczerbkiem zamiast ze zyskiem Francyi i napoleońskiej dynastyi. W zamian za tyle przeistoczeń przeciwnych interesom Francyi, Napoleon III otrzymał Niceę i Sabaudyę, a z wszystkich orzeczeń owych traktatów, pozostało tylko to, która odsądza Bonapartów od tronu francuskiego.

Bo też polityka nie polega na formułach ale na faktach!

Żądanie cesarza Napoleona sprostowania granic Francyi, mieściło w sobie zarody nowych zawikłań w chwili, w której pokój podpisanym został. Zdawało się, że nadeszła — ostatnia chwila, w której Austrya i Francya winny oprzeć swoją zewnętrzną politykę na przymierzu. Odkąd podpisanym został pokój między Austryą i Włochami, i te otrzymały Wenecyę, wskazanem było także między niemi przymierze.

Stanąć mu mogło na przeszkodzie żywienie w Wiedniu zgubnych nadziei i żalu; we Florencyi, namiętność lub niczem nieusprawiedliwione żądze. Nie doprowadzenie do skutku dla obu stron korzystnego, szczególniej ze względu na sprawę wschodnią, przymierza, byłoby ze strony Austryi małostką, ze strony Włoch nieroztropnością. Choćby oświadczenia ówczesne księcia Bismarcka w Izbie pruskiej, iż żadne mocarstwo nie jest przychylne utworzeniu *Północnego Związku Niemieckiego*, to znowu, iż stosunki z Austryą nie są jeszcze uspakajające, wyrachowanem tylko były, na uzyskanie od Izby kredytów, to przecież samo położenie

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.

stworzone ostatniemi wypadkami, dozwalało powątpiewać o długotrwałym pokoju.

II.

Wobec tej przyszłości bar. Beust powołany został z Drezna na następcę hr. Mensdorfa i objął austryackie ministerstwo spraw zagranicznych. To powołanie jako program w sprawach niemieckich, było upieraniem się w grze, bez widoków. Baron Beust nie mógł w tej mierze być szczęśliwszym w Austryi niż w Saksonii, której lennictwo do Prus właśnie podpisanem zostało. I pokazało się, że cesarz Franciszek Józef powołał na ministra spraw zewnętrznych nie współzawodnika Prus, nie przedstawiciela małych państw niemieckich, lecz dyplomatę, który uchodził za zdolnego a był giętkim. Beust pałał przedewszystkiem żądzą odznaczenia się i uskarżał się, że Drezno było zbyt małą dla niego widownią. W Wiedniu znajdował szerokie pole dla rozwinięcia swej działalności, gdyż niezawodnie jedno z najtrudniejszych położeń w historyi. Losy zawistne chciały, iż wywarł większy wpływ na wewnętrzne, niż na zewnętrzne stosunki. W pierwszych było jeszcze wiele do zdziałania, w drugich już nic.

Chwilę myślano o powołaniu zamiast bar. Beusta, księcia Ryszarda Metternicha, syna kanclerza; lecz cofnął się on przed ciężarem odpowiedzialności nie czując się na siłach sprostania mu. Mniej niedowierzającym we własne siły był baron Beust.

Tymczasem pojawiać się poczęły wieści, jakoby w Bismarcku upatrywać należało przyszłego wskrzesiciela Polski. Puszczone one mogły być jedynie z umysłu, aby odwrócić Polaków od zbawiennej i rozumnej drogi. Prawdą zaś było, że stosunki między Berlinem a Petersburgiem, były coraz lepsze, coraz ściślejsze, na podsta-

wie wzajemnej pobłażliwości, która pozwoliła Prusom, oszczędzając W. Księstwo Oldenburgskie, przeistoczyć Saksonię, bez najmniejszego zkądkolwiek oporu, w prowincyę pruską, rządzoną przez króla saskiego Jana. Zresztą dobrowolne w tej mierze wątpliwości, rozwiał Bismarck, oświadczając w Izbie pruskiej: „Iż wszelkie inne względy, pominięte być muszą wobec przeważnego, ścisłego trzymania się Rosyi i porozumienia Prus z Rosyą; a że co się tyczy Polski i Polaków, niema różnicy w zapatrywaniu się rządu pruskiego i rosyjskiego; chyba pod względem ekonomicznym".

Otwarcie parlamentu północno-niemieckiego w 1867 roku, było uświęceniem zdobyczy i wzrostu potęgi pruskiej. Prusy okazały wielką stanowczość, rozwinęły wielkie siły, śmiało objawiły zamiar pozyskania nowych. Mowa króla pruskiego, przy zagajeniu parlamentu świadczyła, że w widokach Prus był to dopiero początek, że nowy parlament nie miał tylko za zadanie utworzenie *Północnego Związku niemieckiego*, ale, że miał być Syreną wabiącą wszystkie do Alp ludy germańskie. Prusy szły po drodze na którą tak odważnie weszły, na której tak mało znalazły przeszkód.

Z drugiej strony Rosya wstępowała w sprawie wschodniej na podobną drogę, z której Austrya i Francya zdawały się jej usuwać przeszkody. Rosya rozpoczynała od życzenia rewizyi traktatu paryskiego. Stwarzało to w Europie położenie tak złe i groźne, iż pytać się można było, ażali było jeszcze na nie lekarstwo! Był to skutek błędów polityki francuskiej i austryackiej, błędów, zwłaszcza nie zbyt dawnych, bo zaślepienia i nieudolności, które w 1863 r. nie dozwoliły tym dwom mocarstwom uchwycić ostatniej chwili, w której można było ukształtować Europę tak, aby zasłonić się przed wzrostem Rosyi i przewagą Prus. Jeżeli kto przypuszczał i łudził się, że Prusy ograniczą się na granicy Menu, i że po Sadowie możliwą będzie walka z niemi

o panowanie i wpływ w Niemczech, ten musiał uznać bardzo spiesznie, iż był w błędzie.

Rozprawy w parlamencie północno-niemieckim i mowy Bismarcka przekonały, iż nie idzie o utworzenie Niemiec północnych, ale Niemiec, i że te Niemcy mają być pruskiemi. Ogłoszenie zaś traktatów zawartych między Prusami a południowemi państwami niemieckiemi, było już stanowczym czynem, uderzeniem maczugą, które żadnej nie pozostawiało wątpliwości, iż bliską jest chwila ostatecznego, zupełnego zespolenia wszystkich sił niemieckich w ręku Prus. Dążyły one śmiało, otwarcie nawet, z pewnem urąganiem się z innych mocarstw, do niesłychanej potęgi. Bismarck rozpoczynał epokę, w której wszelkie względy prawa i słuszności traciły wartość i okazywały się przestarzałemi. Najgorsze rozumowania poparte siłą nabierały cudownej mocy; najlepsze, którym zbywało na tej pomocy stawały się jałowemi i zwiędłemi. Prusy, dążąc do powiększenia się nowemi nabytkami, stanowczo nic uronić nie chciały z dawnych. Bismarck potrafił uczynić wygodną dla siebie zasadę narodowości. Po mistrzowsku grał na instrumencie nastrojonym przez Napoleona III i wygrywał na nim takie arye, takie koncerta o jakich nie marzył Napoleon, który musiał przysłuchiwać się im i do tego chwalić je, przyklaskiwać im i przyznawać, że on do nich nastroił instrument. Zasada narodowości postawiona przez Napoleona III, obracała się sama przeciw sobie i w ręku Bismarcka przeistaczała się w coś zupełnie przeciwnego temu, co rozumiał i zamyślał Napoleon i Francya, oraz ci wszyscy, którzy w tej zasadzie upatrywali jutrzenkę lepszej przyszłości. Zasada narodowości stawała się zabójczą dla wszystkich prawie narodowości i dla wpływu oraz potęgi Francyi, a podstawą, na której powstawać miały potworne, wielkie państwa, czyli aglomeraty. Taki musiał być skutek,

skoro zasada przeprowadzoną nie została w pierwotnem jej znaczeniu i zrozumieniu, wszędzie i dla wszystkich. Przełomem była sprawa polska. Jej rozwiązanie mogło zapewnić zwycięstwo zasady narodowości, jej upadek musiał zamienić ją w system aglomeratów.

Czem innem jest ten system i do innych musiał doprowadzić skutków, niż polityka narodowości, w myśl której cesarz Napoleon rozpoczął wojnę włoską, a którą radośnie i dobrodusznie powitały wszystkie uciśnione narody. Zastosowanie przez Bismarcka zasady narodowości, niweczyło zamiary zapewnienia za jej pomocą potęgi i wpływu Francyi, oraz dynastyi napoleońskiej. Polityka narodowości Napoleona III, przerachowała się a w stanowczej chwili zawachała się. Ztąd wszystkie smutne, przykre, upokarzające dla niej następstwa. Zbyt śmiała polityka doprowadza nieraz do katastrofy; lecz jej błędy nawet, są olśniewające i jej cele acz nie dopięte, pozostają własnością narodu, znaczą w historyi; błędy umiarkowania nie dadzą się usprawiedliwić ani przed narodem, ani przed historyą, w której są czarnemi punktami. Kto zmarnuje świetne stanowisko zbytnią śmiałością, temu pozostanie chwała wielkich zamiarów; kto je zmarnuje zbytecznem umiarkowaniem, ten ściągnie na siebie zarzut nieudolności. Największym zaś błędem w polityce jest połączenie śmiałości zamiarów z niedołęstwem w wykonaniu.

Błąd popełniony przez Napoleona III, musiał doprowadzić do upadku Francyi i jej wpływu i pozostawić dwie tylko na stałym lądzie europejskim potęgi: Prusy i Rosyę.

Sprawa luksemburgska stała się jeneralną próbą położenia politycznego. Uwydatniła ona potrzebę wynagrodzenia Francyi za zmiany zaszłe w skutku wojny 1866 r., zarazem postanowienie Bismarcka, nie opłacania ustępstwami, zdobytych korzyści. Streszczała zatem

w sobie stan Europy; który zapowiadał już nie równowagę, ale przewagę.

Odosobnienie Francyi, jej niemoc w sprawach europejskich, zawody liczne, wszystko to skutki błędów polityki napoleońskiej i fałszywych jej rachób, w niebezpiecznem postawiły Francyę położeniu. Stał naprzeciw niej potężny już aglomerat państwowy, Prusy wzrosłe niesłychanie, jednoczące w swoich rękach niemal już wszystkie siły Niemiec. Było to nietylko niezgodnem z przynależnem Francyi stanowiskiem, ale z jej bezpieczeństwem i dlatego musiały się wywiązać z tego położenia zawikłania, które wcześniej czy później doprowadzić musiały do starcia. Jednem z nich stała się sprawa Księstwa Luksemburgskiego, które Francya rada była jako odszkodowanie nabyć. Zawikłanie zażegnanem zostało konferencyą londyńską, ale ta próba jeneralna położenia wykazała znowu, że polityka Napoleona III w 1866 r. najzupełniej przerachowała się i dowiodła wyższości nie tylko nad nim, ale nad wszystkimi mężami stanu, Bismarcka. Ujawniła się niemoc Francyi. Pytanie co do przymierzy, dało ujemną dla niej odpowiedź. Pokazało się, że Prusy w każdym wypadku liczyć mogły jeżeli nie na pomoc, to na przychylną neutralność Rosyi. Francya zaś innego sprzymierzeńca znaleźćby nie mogła, jak Austryę; ta znowu do wojny przysposobioną nie była; sprawy jej wewnętrzne nie były uporządkowane i armii odpowiedniej do wielkości przedsięwzięcia nie miała. Jeneralna próba europejskiego położenia z powodu sprawy luksemburgskiej, dawała niewątpliwe wskazówki, czem będzie przedstawienie; to jest starcie między Prusami i Francyą, które konferencya londyńska mogła odwlec, nie zażegnać.

Zjazd w Salcburgu w 1867 roku między cesarzem austryackim i francuskim, posłużył tylko do przekonania, że już za późno było na przymierze austryacko-

francuskie, że nieuchwycona ostatnia po temu chwila w 1863 r. była niepowrotną.

Północny Związek Niemiecki, pierwsze po działaniach dzieło Bismarcka, w tem położeniu europejskiem pociągnąć musiało za sobą dalsze jego działania i dzieła.

Należy przypatrzeć mu się, jakim on był w 1869 r.

Północny Związek Niemiecki,

dzieło hrabiego Bismarcka.

Wśród rozprężenia politycznego i omdlenia, wśród błędów, nieradności i niemocy; wobec braku przekonań, myśli kierującej, przyszłości, zwłaszcza wiary w nią; godnem podziwu zjawiskiem było państwo, któremu jedynie i wyłącznie szczęście sprzyjało, które z niego korzystać umiało; naród, który poczuciem swojej jedności, gotowością do jej zdobycia i obrony, rozumem, wytrwałą pracą, szczególniej zdrowiem moralnem, z którego wyzuły się były inne społeczeństwa, wielkich już dosięgnął był celów, przeważające zajął był w świecie stanowisko, który świetną miał przed sobą przyszłość, a co ważniejsza, który w nią wierzył; i nareszcie męża obdarzonego wyższym umysłem a większą jeszcze siłą woli, który górował nad wszystkiemi współczesnemi ludźmi stanu, a który rozumem i czynami zużytkował nagromadzone zasoby, zrozumiał swój naród, opanował swojego króla, pojął swoje czasy, ocenił wybornie swoich przeciwników i który jeden zdolny był dokończyć rozpoczęte dzieło, to dzieło, na początek którego, świat zdumiony z podziwieniem i zazdrością spoglądał. Wymieniłem Prusy, naród niemiecki i hrabiego Bismarcka.

Rzut oka na nowo utworzone państwo ze wszech miar może być nauczającym, gdyż stało się najważniejszym czynnikiem we wszystkich sprawach, od których zawisła teraźniejszość i przyszłość.

Nie jest moim zamiarem dać tu zupełny i niejako statystyczny obraz Północnego Związku niemieckiego; brak mi do tego i materyałów i bliższej znajomości jego stosunków administracyjnych, ekonomicznych, wojskowych i finansowych. Nie obiecuję więc w niniejszej rozprawie zgłębić dokładnie stosunki jego, ani też zbogacić wiedzy czytelników nieznanemi szczegółami; chcę tylko w ważnej chwili przełomu, w której pierwsza część dzieła hr. Bismarcka była na ukończeniu, a druga niebawem rozpocząć się miała, rzucić okiem na to państwo, któremu owa niestała bogini Fortuna niezmiennie się uśmiechała; przedstawić jego stan materyalny i moralny i ztąd wyprowadzić wnioski na przyszłość, na tę niedaleką przyszłość, w której Europy losy rozstrzygniętemi być miały.

Znane są wypadki, które poprzedziły i doprowadziły do końca pierwszą część dzieła hr. Bismarcka, wiadoma styczność tych wypadków z polskiemi sprawami i klęskami, wiadomem jest jak nieszczęsne powstanie 1863 r. było zarodem wielkich zdarzeń w Niemczech, jak Bismarck umiał je na korzyść swoich zużytkować widoków. Pozostaje mi stwierdzić i zastanowić się nad osiągniętemi celami, słowem rozpoznać stan Północnego Związku Niemieckiego w roku pańskim 1869.

I.

Przedewszystkiem przypatrzmy się położeniu geograficznemu nowo utworzonego państwa. Na północy począwszy od brzegów Holandyi, Morze północne, zwane także Morzem niemieckiem, stanowi jego północno-zachodnią granicę; dalej granica ta przechodzi przez środek Schleswigu przez kontrowersowe powiaty i tu jest suchą i nieobronną; wpada ona następnie w morze bal-

tyckie i morze to stanowi północną granicę Północnego Związku Niemieckiego. Wyżej Memlu granica skręca się i znowu staje się suchą, biegnie wzdłuż polskich posiadłości cesarstwa rosyjskiego i wcale tu nie jest obronną, czemu po części chciano zaradzić bardzo silnemi i pięknemi fortecami Poznaniem i Głogowem. Dalej granica wciąż otwarta, sucha i nieobronna idzie środkiem owej dawnej piastowskiej dzielnicy Szląskiem, którego połowę dom Hohenzolernów zawdzięcza dzielnemu ramieniowi, dzielniejszemu jeszcze zmysłowi politycznemu Wielkiego Fryderyka. Tu dopiero zaczynają się góry *Riesen Gebierge*, które raczej pięknemi jak olbrzymiemi nazywaćby się winny. Góry te mogłyby stanowić prawdziwą, naturalną geograficzną granicę, lecz są one po większej części w posiadaniu Austryi. Góry oddzielające Saksonię od Czech tworzą dalszą granicę, lecz także częściowo są w posiadaniu Austryi. Docieramy nareszcie do owej słynnej granicy Menu, którą przy wpadnięciu jej do Renu pod Moguncyą opuścić musimy, chcąc iść dalej granicami Północnego Związku i posunąć się aż do Saarbrück, a więc za Ren. Ztąd granica, przechodząc w bliskości Trewiru biegnie równolegle do granicy francuskiej, okola Luksemburg, przechodzi niedaleko Akwisgranu, styka się z granicą belgijską, następnie z holenderską aż do punktu, w którym, jak to na początku powiedziałem, Morze północne zaczyna być granicą Północnego Związku.

Z tego pobieżnego przeglądu granic Północnego Związku poznać już można, że państwo to naturalnych, geograficznych granic jeszcze nie miało, a zarazem przekonać się, ile spraw pozostawało mu do rozwiązania i jak daleko sięgać mogły jego zamiary pod naciskiem konieczności politycznej. Przegląd bowiem granic tego państwa jest zarazem przeglądem niemal wszystkich spraw, które Prusy już podniosły były i z któremi przyszłoby się im wcześniej czy później spotkać oko w oko.

I tak północno-wschodnia granica mogła obudzić zachcianki Prus względem Holandyi i Danii; morze Bałtyckie, prowincye nadbałtyckie i sąsiedztwo z Rosyą — mogły wytworzyć z czasem spór z państwem carów; polska granica tłómaczy postępowanie Prus w sprawie polskiej; granica ze strony Austryi mogła dalszym dać powód zamiarom; Men — to ów Rubikon za którym było panowanie nad całemi Niemcami i korona cesarska, a nareszcie prowincye nadreńskie — to główny powód owego zbrojnego między Francyą a Prusami pokoju, który wcześniej czy później zamienić się musiał w otwartą wojnę. Geograficzna konieczność — to igła magnesowa polityki pruskiej, nią się tylko kierowała dotąd i nią kierować się będzie nadal!

Północny Związek Niemiecki był w sobie zamkniętem i ściśle zespolonem państwem. To co administracya pruska wszędzie względem własności prywatnej przeprowadziła za pomocą kommasacyi, to samo uczyniła polityka pruska na wielką skalę, tworząc nowe państwo, tylko że wstrzymała się od kompensat, które nierównie wygodniej dały się zastąpić przywłaszczeniami; a tak państwo, które w stosunkach prywatnych szczyci się słusznie najsumienniejszem poszanowaniem zasady własności, najświetniejszy kłam zadało jej w stosunkach politycznych, jakby dla stwierdzenia, że co jest prawdą w wiosce, przestaje nią być w państwie. Przywodzi to na pamięć ów sławny młyn w Sans-Souci oszczędzony przez W. Fryderyka, a o którym Voltaire napisał:

Voila chér Arnaud la morale des princes
Ils èpargnent un moulin et volent une province.

Niewątpliwie najważniejszym skutkiem ostatnich wypadków i polityki hr. Bismarcka dla Prus, była właśnie owa kommasacya bez kompensat dokonana na ich korzyść. Przed wojną bowiem 1866 roku Prusom, zale-

dwie zaliczonym do rzędu mocarstw, głównie zbywało na spójni; prowincye westfalskie i nadreńskie oddzielone od reszty monarchii, wystawione były na rozliczne niebezpieczeństwa, a znajdowały niejaką rękojmię bezpieczeństwa nie w należności do Prus, ale do Rzeszy Niemieckiej. Podobny stan rzeczy łatwo pojąć, że był nieznośnym i musiał głównie zwrócić na siebie uwagę każdego myślącego męża stanu pruskiego. Z tego błędu organicznego zupełnie wyleczone zostały Prusy. Przyłączeniem Hanoweru, Nassau, Hessyi, Homburga, Frankfurtu zespoliły się one i zetknęły z swojemi najbardziej oddalonemi prowincyami; utworzeniem zaś Związku Północnego i wciągnięciem do niego Saksonii, Oldenburga, Meklemburga, miast hanzeatyckich, zaokrągliły się znacznie, nareszcie zdobyczą Księstw Nadelbiańskich wysunęły się naprzód i dotarły do morza. A przecież pomimo tylu namacalnych i już odniesionych korzyści, dzieło polityki Prus i hr. Bismarcka widocznie i pod każdym względem nosiło na sobie cechę niedokończonego dzieła, a jego konieczne dokończenie, ta jego druga część, groziła pokojowi europejskiemu. W samej rzeczy Północny Związek Niemiecki nie był ani na mapie ani w rzeczywistości, ani jako państwo, ani jako moralna indywidualność skończonym. Był on w zupełnej sprzeczności i z jeografią i z zasadą granic naturalnych. Od strony Rosyi i Polski państwo to nie dotarło jeszcze było ani do swojej narodowej ani do jeograficznej granicy, od strony drugiego potężnego sąsiada Francyi o wiele przekraczało naturalną granicę posiadłościami swojemi za Renem; nareszcie od strony południowo-wschodniej nie ograniczała go ani zapora geograficzna ani narodowa, bo kto posiada pół Szląska, ten może się pokusić o drugą jego połowę; a trudno zaiste dopatrzeć się stanowczej różnicy między prawem panowania nad Niemcami po tej a po tamtej stronie Menu. Nic w samej rzeczy bardziej sztucznego, dowol-

nego i wrzekomego, jak owa granica Menu, szczególniej dla państwa, któremu nawet majestatyczny Ren nie był granicą. Nie dziwmy się więc wcale, że zgodził się na nią chwilowo hr. Bismarck! Z wszystkich jednak granic tego państwa najmniej korzystną i najmniej bezpieczną była północna, a że ten niedostatek mógł mieć niemałe w przyszłości następstwa, że właśnie ta ujemna strona obfitą się stać jeszcze może w ważne wypadki, nieco obszerniej nad nią zastanowić się wypada.

Łatwo pojąć, że doniosłość tej granicy polegała na tem właśnie, iż stanowiło ją morze, jedyne które oblewało to wielkie a już potężne państwo. W samej rzeczy granicę północną Północnego Związku stanowiła mała część morza północnego i znaczna część Baltyku.

Przedewszystkiem pod względem strategicznym, pod względem obrony i bezpieczeństwa obydwa te morza, tak jak dziś są w posiadaniu Niemiec, nie są dla nich dostateczne. Posiadanie części morza północnego nie przedstawia żadnej korzyści, nie mają na niem Niemcy portu wojennego, nawet nieco silniejszego punktu obronnego; zbyt mała przestrzeń posiadana nie pozwala myśleć o utworzeniu tu prawdziwych sił wojennych morskich, a jeżeli się nie mylę, wszelkie próby założenia silnej, potężnej na tem morzu fortecy lub portu wojennego, pozostaną bezowocne. Aby utworzyć siłę wojenną morską, nie dość mieć punkt dogodny, trzeba jeszcze mieć odpowiednią ludność nadbrzeżną zdolną do służby w marynarce, a tego niewątpliwie braknie tu zawsze.

Inaczej ma się rzecz z Baltykiem. Tu znajdują się już i zakłady i porty wojenne, tu już liczniejsza nieco ludność nadbrzeżna dostarczyć może marynarzy. Lecz i tu są wielkie przeszkody i niedogodności, które opór stawiają najlepszym w tym kierunku chęciom, najpatryotyczniejszym usiłowaniom, a które są przyczyną;

że i Bałtyk nie był dla północnych Niemiec bezpieczną granicą.

Bałtyk, najskromniejsze z mórz, nie jest wedle zdania marynarzy przyzwyczajonych do Oceanu i Śródziemnego morza, prawdziwem morzem tak położeniem swojem jak i istotą; Bałtyk jest raczej wielkiem jeziorem; pomijając więc wypływające ztąd niedogodności techniczne, dojść musimy do przekonania, że to jezioro o tyle tylko może być korzystnem stanowiskiem strategicznem i handlowem, o ile się jest jego wyłącznym panem. Tymczasem Niemcy nietylko że nie panują wyłącznie na tem jeziorze, lecz co gorsza, nie mówiąc już o Danii i Szwecyi, których współzawodnictwo nie może być groźnem, mają niedogodnego bo nierównie na tem morzu potężniejszego współwłaściciela Rosyę, a przedewszystkiem nie są w posiadaniu ani bram ani klucza tego morza; tą bramą bowiem są Sund i Belty, a ten klucz znajduje się w Kopenhadze, co gorsza, leży on tam, nie jako własność Danii, lecz jako depozyt Europy. Oto trzy ważne i wielkiej doniosłości niedogodności, które mogą być zarodem zawikłań. Niemcy ograniczone na części morza północnego i na połowicznem posiadaniu Bałtyku, nie są wstanie wytworzyć nietylko potężnej ale nawet obronnej siły morskiej. A przecież jest to arcyważnem tak dla ich bezpieczeństwa jak i dla ich przyszłości; nie mogąc się skutecznie zasłonić z tej strony przed nieprzyjacielem, narażone są na najdotkliwsze i najboleśniejsze razy. Wojna nad Renem może być zawsze uważaną w swoich skutkach za wątpliwą, bo te zależneby były prawdopodobnie od jednej wielkiej bitwy, której obrót jest niepewny; lecz co nie ulega wątpliwości, oto że siły nieprzyjacielskie morskie przepłynąwszy Belty lub Sund, nie znalazłyby godnego siebie oporu, że blokowaćby mogły wojenne i niewojenne porty potężnych Niemiec, że mogłyby w jednej chwili zniszczyć najcenniejszą część ich bogactw, a na-

reszcie rzucić na jego nie obronne brzegi znaczne siły wojenne. Ażeby Niemcy mogły być bezpiecznemi z tej strony, musiałyby mieć w swojem posiadaniu Sund i Bełty; aby mogły rozwinąć znaczne siły morskie, musiałyby być w posiadaniu znaczniejszej przestrzeni wybrzeży, czy to na Północnem morzu czy też w stronie zachodniej lub wschodniej Baltyku.

Pokuszenie się o jedno lub drugie wywołaćby musiało niebezpieczną sprawę europejską, lub nierównie niebezpieczniejsze współzawodnictwo z Rosyą.

Stan marynarki Północnego Związku w 1869 r., nad którą z tak młodocianem uniesieniem rozwodziło się dziennikarstwo niemieckie, stwierdzał najdobitniej powyżej wskazane niebezpieczeństwa. Przypatrzywszy się bowiem z blizka idealizowanej marynarce niemieckiej, nabieralo się przekonania, że pomimo usiłowań nie zdołano jeszcze z niej zetrzyć wybitnego piętna marynarki przyszłości. Wobec znakomitych sił lądowych nowo utworzonego państwa, marynarka jego wydawała się tem, czem kraj Liliputów wydawał się Guliwerowi w powrocie z kraju Olbrzymów. Gdańsk wprawdzie był nietylko wielkim portem handlowym, ale także nader dogodną stacyą i przystanią dla fregat. Kiel zaś był już prawdziwym wojennym portem, lecz jedynym a więc niedostatecznym.

Kiel, od tak dawna przedmiot pożądliwości pruskiej, stał się nareszcie ich rzeczywistą, niepodzielną własnością. Jest on jedynym i najważniejszym punktem zbornym i obronnym sił morskich; z natury przystań ta jest pięknym, obszernym i dogodnym portem; namacalne były już tu przytem usiłowania ręki ludzkiej rozwinięcia i zużytkowania przyrodzonych darów położenia, lecz widocznie skutek nie odpowiadał tym usiłowaniom, a szczególniej czuło się, że tym rozpoczętym pracom nie przewodniczy wiara w ich przyszłość. Pracowano głównie około Friederichsort, cieśniny znaj-

dującej się o dwie mile od portu, która umocniona i uzbrojona po obu brzegach, zamknąć miała i uczynić nieprzystępną dla nieprzyjaciela przystań w Kiel. Cóż z tego, kiedy pierwsza lepsza eskadra francuska blokować mogła Kiel przed Friederichsort i zamknąć w porcie na cały czas wojny całą flotę całego Północnego Związku Niemieckiego, lub jej tam nie wpuścić, a zaprawdę owej flocie ani przez myśl nie przyszłoby stanąć do walki lub znieść blokadę. Nie znam dokładnie statystyki sił morskich Północnego Związku, lecz wiem, że do 1869 r. nic takiego nie budowano, coby w krótkim czasie mogło znacznie powiększyć lub wzmocnić flotę zostającą pod dowództwem wielkiego admirała ks. Adalberta pruskiego. Znajdowałem się w Kiel, kiedy król po raz pierwszy zwiedzał zdobyte na Danii księstwa, była to więc chwila, w której Kiel i marynarka ukazywały się niezawodnie w całej swej świetności; otóż tej świetności nie mogłem się dopatrzyć; kilka fregat, z których jedna Guifel wzięta Duńczykom, dalej parę bryków, jeden stary i nie do użytku okręt, na którym odbywały się ćwiczenia, nareszcie dwa duże pancerne okręty ks. Fryderyk Karol i ks. Pruski, lecz z których jeden stracił swoje maszty w podróży z Francyi do Kiel, drugi jeszcze nieskończony był, oto cały skład owej głośnej floty niemieckiej! Zauważyć tu wypada, że pomimo bytności króla nie usiłowano wcale na sposób rosyjski ubarwiać prawdziwego stanu rzeczy nawet dla upojenia Wilhelma I, i że przygotowania czynione na jego przyjęcie ograniczyły się do koniecznych względów przyzwoitości. Kładę już w tem miejscu nacisk na to, gdyż było to jednym ze znamiennych objawów w tem państwie, iż nie zadawalniano się pozorami, iż wcale nawet o nie nie dbano, i że tak przed samym sobą jak przed innymi państwami nie chciano aby pozory służyły za rzeczywistość, aby ukrywały słabość lub sztu-

cznie zastępowały siłę; rys ten był oznaką rzeczywistej mocy, wytrawności i rozumu, a zadatkiem prawdziwej potęgi. Król więc nie mógł się łudzić w Kiel siłą morską swojego nowo utworzonego państwa, a jeżeli w głośnej mowie do rektora, która na giełdach sprawiła popłoch, mógł słusznie powołać się na milionową armię lądową, to niezawodnie tylko przez grzeczność i dla tego że przemawiał w Kiel, odwołał się także i do swojej marynarki.

Na objawione zdanie o szczupłości sił morskich znajdujących się w Kiel, oficerowie marynarki wyliczali wprawdzie parę fregat znajdujących się wówczas w Gdańsku i mówili o eskadrze wyprawionej w misyi naukowej; jednak policzywszy wszystkie te rozproszone siły morskie, nie możnaby jeszcze utworzyć wojennej eskadry, z którąby podczas wielkiej wojny nieprzyjaciel musiał się liczyć.

Marynarka, jak wszystko w tem państwie, celowała ładem, porządkiem, wzorową i staranną administracyą, oficerowie i prości marynarze mieli cywilizowaną postawę i odznaczali się inteligencyą; lecz brak był w nich samych wiary w przyszłość i rozwój tego zawiązku, jeżeliby okoliczności nie miały rozszerzyć zakresu w którym był zamknięty. Zdaniem ich brak ludzi zdolnych do marynarki unicestwiał wszelkie usiłowania i stał na przeszkodzie dalszemu rozwojowi zakładów wojennych.

Widząc te nieodpowiadające usiłowaniom skutki, nie mogąc się tu dopatrzeć tego postępu i rozkwitu, którym nowo utworzone państwo odznaczało się we wszystkich innych kierunkach, dochodziło się do przekonania, że istota rzeczy stoi tu na przeszkodzie, i że owa flota przyszłości, jeżeli i nadal pozostanie w dotychczasowych warunkach, nie przestanie być flotą przyszłości, mającą dla Niemiec nierównie większe znaczenie na stałym lądzie jak na morzu. W samej rzeczy,

jeżeli na morzu flota nietylko nie była zdolna wejść w szranki podczas wielkiej wojny, ale nawet niezdolną była zabezpieczyć i zasłonić handlu niemieckiego; to przeciwnie na lądzie była ona dla Niemiec i dzieła hr. Bismarka wielkiego znaczenia, bo jednoczyła już umysły w myśli narodowej, niemieckiej marynarki, rozogniała wyobraźnię germańską i była w ręku Prus symbolem jedności niemieckiej; a tak jak potrzeba utworzenia jej zawiązku popchnęła całe Niemcy do zdobycia Księstw nadelbiańskich, tak samo konieczność rozwinięcia i spotęgowania jej, stać się mogła przyczyną wielkich wypadków. Tę ważność idei floty niemieckiej — gdyż rzeczywiście ta flota była dotąd tylko ideą — pojął wybornie hr. Bismarck, kiedy zawiózł członków parlamentu cłowego, a więc przedstawicieli całych Niemiec do Kiel, gdzie chociaż może niewiele zobaczyli, wiele nauczyć się, więcej jeszcze przeczuć mogli!

Te niekorzystne warunki, w których marynarka niemiecka znajdowała się, tłómaczą nam pojawiające się zamiary polityki pruskiej względem Holandyi, odsłonięte po części, podczas sprawy luksemburgskiej i postępowanie gabinetu berlińskiego z Danią, a mianowicie co do północnych powiatów Szlezwigu. Widocznie od strony morza duszno i niewygodnie było nowo utworzonemu państwu; swobodniej oddychaćby ono mogło na Północnem morzu, gdyby wciągnęło Holandyę w Północny Związek; a stałoby się dopiero wtedy panem Bałtyku, gdyby Bełty i Sund były w jego posiadaniu. To też czasem w tę stronę zwracał swe zaborcze myśli twórca nowego państwa, i dlatego to przedłużał on i wcale nie chciał załatwić sprawy w kontrowersyi znajdujących się powiatów szlezwickich, która posłużyć mogła za wygodny powód do zaczepki.

Jeżeli teraz zauważymy, że to państwo, że ten naród dziś w pełni swej siły, potęgi i szczęścia, jest zarazem jednym z najpracowitszych, najzabiegliwszych

i najobrotniejszych w świecie narodów, że jest i rolniczym i handlowym, że exportuje i importuje, wtedy pojmiemy ważność dla niego sprawy morskiej i zrozumiemy, że potrzeba spotęgowania w tym kierunku jego sił do nowych popchnąć go może przedsięwzięć. Nareszcie przypuszczać wolno, że państwo to zamarzyćby mogło o dotarciu do innego już nie północnego morza, tem więcej że odpowiadałoby to nietylko jego interesom materyalnym, ale także i idei jedności narodowej. Dotarcie do tego morza zapewniłoby stanowczo byt i siłę marynarki niemieckiej, podniosłoby jej znaczenie, zarazem pomyślność handlu wielkiej ojczyzny tak na północy jak na południu, tak z Ameryką jak z całym wschodem.

Z tego więc com zauważył równie o niedostateczności granic jak i o niedostateczności morza posiadanego przez nowo utworzone państwo, i o pozornej granicy Menu, wyprowadzić da się wniosek, że to państwo nie było wcale Północnym Związkiem Niemieckim, lecz niedokończonym Związkiem Niemieckim. Zbadanie stanu moralnego, umysłowego i politycznego tego państwa poprze to zdanie i przekona, że albo Północny Związek Niemiecki byłby poronionym płodem, albo też był początkiem jedności niemieckiej.

A teraz przypatrzmy się z bliska temu państwu, rozpoznajmy jego wewnętrzne stosunki i położenie, a to dla osądzenia jego sił moralnych i materyalnych, a tem samem dla przekonania się, jak dalece usposobionem i zdolnem było prowadzić dalej rozpoczęte dzieło, dokończyć to co zaczęło.

Tu działać muszę niejako anatomicznie, bo przedstawia się podział tego państwa na: 1) dawne Prusy, 2) nowo nabyte oraz wcielone do Związku kraje. Dawne znów Prusy podzielić należy wedle narodowości na dwie części: 1) kraje polskie, 2) kraje niemieckie.

Nad krajami polskimi wypada zastanowić się nieco obszerniej.

II.

Pisząc te uwagi usiłuję utrzymać się na stanowisku przedmiotowem, tem samem poniekąd wszechświatowem; czynię to w przekonaniu, że jedynie wznosząc się po nad chwilowe namiętności, niechęci a nawet i boleści, możemy dokładnie zdać sobie sprawę z nowo utworzonego państwa, które stało się było najważniejszym czynnikiem w sprawach europejskich, a którego przyszłe losy niewątpliwie wielki wywrzeć miały wpływ na losy narodu polskiego. Nie dla tego więc zastanowię się nieco obszerniej nad W. Księstwem Poznańskiem, iż ono z bliska nas obchodzi, lecz dla tego głównie, iż było ono tak w wewnętrznych jak zewnętrznych stosunkach Prus i Północnego Związku punktem nader ważnym, i odbijającym od innych. W samej rzeczy, w owem państwie arcyniemieckiem, ten kawałek ziemi polskiej jest niezaprzeczenie anomalią; w tej polityce, która chciała przedstawiać ideę narodowości niemieckiej, a która przedstawiała przyszłość jedności niemieckiej, to społeczeństwo polskie było nietylko cieniem ale plamą na obrazie. W chwili, w której Prusy i hr. Bismarck wyraźniej niż kiedykolwiek podnieśli myśl jedności niemieckiej i przemówili w imieniu zasady narodowości, zdawać się mogło, że W. Księstwo Poznańskie będzie dla nich przynajmniej kłopotem, psującym harmonię głoszonych zasad, i że zechcą z tego kłopotu wyjść w ten lub ów sposób; pamiętnemi pozostały owe kilka dni, zaraz po siedmiodniowej wojnie, kiedy ukazały się głośne proklamacye do Czechów; wtedy to ludzie najtrzeźwiej widzący, mogli słusznie żywić przez chwilę nadzieję, że w skutku zaszłych wielkich wypadków, poli-

tyka pruska dla zgodności z samą sobą, dla loiki i konsekwencyi zmieni się względem W. Księstwa Poznańskiego. Te nadzieje były przecie tylko złudzeniami, niedługo też trwały i zamieniły się w nader przykrą rzeczywistość wcieleniem W. Księstwa Poznańskiego do Północnego Związku Niemieckiego. Ale bo też do takiej zmiany polityki było zapóźno i zawcześnie, zapóźno zważywszy stan W. Księstwa, zawcześnie gdyż Prusy, pomimo zaszłych wypadków nie przestały być Prusami, nie zamieniły się w Niemcy.

Znamieniem zresztą polityki hr. Bismarcka, dowodem jak doskonale zrozumiał swoją epokę, było właśnie to, że nigdy ta polityka nie troszczyła się o konsekwencyę. Jednej tylko loiki i konsekwencyi trzymał się wiernie hr. Bismarck, loiki geograficznej. Znanem jest, że ten ulubieniec fortuny lubił osobiście — nie Polskę — ale obcować z Polakami, że miał upodobanie w rozmowie z nimi nawet o polityce, i że ten typ praktycznego polityka upodobał sobie jakby dla kontrastu wdawać się w rozumowania z największymi ideologami politycznymi. Otóż — było to przed wojną 1866 r. — jeden z światłych obywateli W. Księstwa, który znał hr. Bismarcka, odwiedził go w sprawie pewnego naukowego zakładu; po uprzejmem i zadawalniającem jej załatwieniu przez ministra, zwrócił on rozmowę na politykę, a była z obydwóch stron żwawą i zajmującą. „Czegóż wy Polacy chcecie odemnie? rzekł w końcu minister. Czy żebym wam W. Księstwo oddał? Nie, tego nie zrobię, bo W. Księstwo jest anklawą Prus“. „Wybacz Excelencyo, odrzekł dowcipnie zagadnięty, ale to jeszcze nic nie dowodzi, wszakże i Hanower jest także anklawą Prus“. „A kto panu mówi, odparł z znaną szczerością przyszły kanclerz Północnego Związku, że nie pragnę wcielić do Prus Hanoweru? Tylko ta tu zachodzi różnica, że W. Księstwo już posiadam, a więc je trzymam i nie oddam, a Hanower

życzę sobie dopiero posiadać". Przytoczyłem tę piorunującą odpowiedź, gdyż określa wybornie to co nazwałem konsekwencyą polityczną hr. Bismarcka, który w tym wypadku był tylko wcieleniem odwiecznej polityki Prus a nawet czegoś więcej jeszcze, bo powodu ich bytu. Każde państwo ma swój powód bytu, który jest pierwiastkiem jego rozwoju; tym powodem bytu Prus było zawsze — zaokrąglanie się. Główną, pierwszą przyczyną, dla której one tak wielce dbają o posiadanie W. Księstwa, jest właśnie przyczyna geograficzna. W samej rzeczy — aczkolwiek z tej strony granica Prus, jakem to już zauważył, nie jest jeszcze zaokrągloną — to przecież oderwanie od nich W. Księstwa przerwałoby ich łączność terytoryalną, przedzielając z jednej strony Szląsk, z drugiej Prusy królewskie od Brandeburgii. Oderwanie więc W. Księstwa byłoby zaprzeczeniem powodu bytu i jedynej zasady na której Prusy opierały i opierają się, zasady, którejby polityka pruska nie poświęciła nawet dla najświetniejszych wynagrodzeń.

Drugą przyczyną zaciętości jaką Prusy okazują w posiadaniu W. Księstwa, jest kwitnące i coraz więcej rozkwitujące ich gospodarstwo w tym kraju. Skutki tego gospodarstwa są tak widoczne i namacalne, iż nie potrzeba nad nimi długo się rozwodzić, stwierdza je, że już w 1869 r. ludność niemiecka w W. Księstwie przewyższać zaczynała ludność polską. Ztąd tak dla rządu jak dla narodu aksiomat ogólny, że W. Księstwo bądź co bądź nieodwołalnie i na zawsze jest częścią Prus, i miało pozostać częścią Niemiec Północnych i innych. Im więcej dzieło rozpoczęte tu przez rząd pruski postępowało, im większe gospodarstwo niemieckie robiło w W. Księstwie postępy, tem większej siły przekonania nabierał dla wszystkich stronnictw ten aksiomat, tem bardziej wzrastała chęć dokończenia dzieła i obawa, aby przy samem jego zakończeniu coś, przypadek, nie przerwał go i nie udaremnił. Tym przypad-

kiem, sądząc po ludzku mogłyby być tylko wielkie zawikłania europejskie, z którychby Polska powstała. Obawa tego przypadku, obawa utraty W. Księstwa, a więc obawa dla Prus utraty stanowiska geograficznego, dla Niemiec kraju, w którem gospodarstwo niemieckie tak dalece już posunięte, oto niezawodnie główne, jeżeli już nie jedyne przyczyny, niechęci i wstrętu tak Prus jak Niemiec i przedstawicieli ich polityki do sprawy polskiej i do myśli odbudowania Polski. A chociażby odbudowanie mogło przyjść do skutku bez terytoryalnego uszczerbku dla Prus, to niewątpliwie gabinet petersburski nie opuszczał żadnej sposobności, aby postrachem oderwania W. Księstwa, solidaryzować politykę gabinetu berlińskiego z swoją własną, zagrożoną przez sprawę polską nie w jednym szczególe, ale w swej całości.

Owa mara gwałtownego oderwania W. Księstwa przykuwała politykę Prus do polityki rosyjskiej. W. Księstwo było niewątpliwie dla Rosyi rękojmią szczerości przymierza pruskiego; było nią głównie dla tego, że aczkolwiek skutki gospodarstwa pruskiego w W. Księstwie aż nadto były widoczne, to przecież żywotność żywiołu polskiego walczącego i broniącego się zbyt jeszcze była silna, aby posiadanie było już nieodwołalnie zapewnionem, wszelka obawa płonną, aby nareszcie wyżej wzmiankowany aksiomat nie był dotąd tylko aksiomatem *in petto*.

W Prusach królewskich, gdzie pomimo tylu dzielnych usiłowań ze strony jednostek polskich, żywotność i ilość żywiołu polskiego ma się do niemieckiego w stosunku odwrotnym jak w W. Księstwie, rzeczy inną przybierały postać. Tam usposobienie przynajmniej mieszkańców niemieckich było inne jak w W. Księstwie, tam zaczynała się wyradzać niechęć, ba nawet nienawiść do Rosyi i Rosyan, nienawiść, która jest uczuciem przyszłości całych Niemiec. Tam Niemcy, wolni od obaw

teraźniejszości, wyrażali już myśl dalszą. Że w W. Księstwie inaczej się rzeczy miały, było to skutkiem względnej jeszcze żywotności żywiołu polskiego; aby ją poznać, zastanówmy się nad ówczesnym stanem tego kraju.

Trzy żywioły znajdowały się w Księstwie: polski, niemiecki i żydowski; z tych dwa ostatnie, niemiecki i żydowski, o których poniżej wspomnę, stanowiły szczególniej w stosunkach do polskiego, jeden obóz, jeden ścieśniony szereg. Nic bardziej pouczającego, jak zapasy, które polski żywioł stacza szczególniej od 1830 roku, jak trudności, z któremi się łamie, aby zachować swoją narodowość i ochronić tę kolebkę Polski od zupełnego zniemczenia. Znane są te pełne poświęcenia a nieraz tak świetne walki; nie będę ich tu przypominać, ani też nie mam zamiaru pisać historyi W. Księstwa od 1815 r., to tylko stwierdzić muszę, że aczkolwiek już od chwili pierwszego rozbioru rząd pruski usiłował wynaradawiać i zniemczać część Polski, która mu przypadła w podziale, to jednak dzisiejsza polityka Prus względem W. Księstwa zaczyna się rzeczywiście od upadku powstania 1831 r. i odwołania z namiestnictwa księcia Radziwiłła. Wtedy to przestano zachowywać nawet pozory, do których zmuszały chwilowo wzięte na kongresie wiedeńskim zobowiązania; od owej też chwili coraz więcej ścieśnia się koło, które oddzielając tę cząstkę dawnej Rzeczypospolitej od bratnich ziem, przykuwa ją jakby ogniwem do innej ojczyzny, a w którem to kole wcześniej czy później żywioł polski odosobniony i moralnie odcięty od reszty narodu, zduszonym być może pod ciśnieniem kapitału, pracy i zabiegliwości niemieckiej, kierowanych potężną ręką władzy. Niezaprzeczenie z wszystkich Polaków, mieszkańcom W. Księstwa przypadło najtrudniejsze zadanie! Nic też bardziej podziwu godnego, jak wytrwałość, energia i poświęcenie, których ciągłe składają dowody, w tem zaklętem kole, u któ-

rego wejścia nieraz już zdają się być nakreślone Dantejskie: Tu nie ma nadziei!

Żywioł polski w W. Księstwie na trzy oddziały podzielić można było: chłopi, dawna szlachta a dzisiejsi więksi posiadacze, nareszcie mieszczaństwo. W ogóle polskość i Polska głównie jeszcze czuć się dawały w 1869 r. na wsi, stanowiły wprawdzie wyjątek niektóre kolonie niemieckie i liczni już więksi właściciele niemieccy. Jednak to pewne, że jeżeli miasta gdzie ludność niemiecka prawie wszędzie była przeważającą, a cywilizacya niemiecka górującą, robiły, szczególniej na pierwszy rzut oka, wrażenie miast niemieckich, to przeciwnie wsie zachowały niezaprzeczenie znamiona polskich wsi i słowiańskiej sielskości. Przyczyniał się do tego głównie lud wiejski, który wszędzie i bez wyjątku — pomimo służby wojskowej i ciągłego zetknięcia się z germanizmem — pozostał tak obyczajem jak mową a nawet uczuciem, polskim a był przeważnie zamożnym. Nie powiem, żeby w ogóle chłopi byli i tu patryotami, lecz byli niezaprzeczenie polskimi, jest to odcień a raczej ważna różnica, na którą nigdy i nigdzie u nas dość nie zwracano uwagi, zkąd powstały wielkie złudzenia, wielkie błędy i straszne klęski. Chłop nie politykował, ale nie dawał się wynaradawiać, służył w wojsku, płacił podatek, ale nie przestawał i nigdy nie przestanie być polskim chłopem, aczkolwiek jest pruskim poddanym. Przyznaję, że tu więcej jak gdzieindziej łudzić się można patryotyzmem chłopa, ale ten jego patryotyzm w W. Księstwie, to tylko brak kwestyi socyalnej po wsiach. Rząd nigdy jej tu nie podniósł, ani też nie chwycił się tej broni, mając w ręku i umiejąc wybornie władać inną skuteczniejszą a bezpieczniejszą. Przeciwnie rząd załatwiając spiesznie, uczciwie i porządnie sprawę włościańską, usunął wszelki powód do sporów społecznych, które tu nigdy też nie ukazały się. Lud więc wiejski nie mając żadnego powodu nienawi-

ści do warstwy stanowiącej inteligencyę wiejską, a pozostawszy polskim, nietylko nie mógł stracić zaufania do tej warstwy, która jest także polską, ale przeciwnie musiał do niej największe zachować zaufanie, czego nieustające daje dowody przy wyborach. Tu więc dawny stosunek poddańczy zamienił się w stosunek społecznego zaufania i to jest niezaprzeczenie jedną z głównych przyczyn trwania od tak dawna nierównej walki polonizmu z germanizmem. Chłop we wszystkiem co się odnosi do życia codziennego, do pojęć i potrzeb tego życia, jest na wskróś polskim, lecz umysł jego nie wznosi się do wyższych pojęć i tworów politycznych; w swoim zakresie, w swojej biernej a często nieświadomej celów walce z niemczyzną, nie stawia on oporu państwu pruskiemu lecz germanizmowi. „Sprzedałeś nas Wielmożny Pan Niemcowi“, mówią z żałością chłopi żegnając się z właścicielem polskim, zmuszonym oddać majątek w ręce niemieckie, a w tych słowach tkwi określenie chłopskiego polskiego uczucia i chłopskiej polskiej polityki. To uczucie, ta polityka niezdolne zapewne stworzyć państwa polskiego, lecz nadzwyczajnie silne i wystarczające, aby wieś polską ochronić od zniemczenia. I w samej rzeczy, chłop jest to żywioł, który nigdy wynarodowić się nie da, o wynarodowieniu którego rząd w chwili powstania Północnego Związku nie myślał, zbyt przezorny, aby miał wtedy targać swe siły w tej walce z naturą i jej żywiołami. Przypatrując się gospodarstwu rządu pruskiego i narodu niemieckiego w W. Księstwie łatwo odgadnąć, że jeżeli nadzwyczajne wypadki nie pokrzyżują ich planów, to przecież w końcu pozostanie tam chłop polski, jak pozostał na Szląsku. Ta polskość chłopa jest, jakby siłą przyrody, podobną do żywiołów w niej, do brzegów, które stanowią granicę morza, lub do wody, która gasi ogień. Lecz dla tego właśnie stanowisko chłopa jest tu biernem. Jest to

rzecz, którą stwierdzić wypada, lecz nad którą nie ma się co długo rozwodzić.

Dwa inne polskie żywioły, szlachecki i miejski, odznaczały się przeciwnie czynną walką, poczuciem tego co robiły i celów, do których zmierzały, a razem wzięte stanowiły prawdziwy zastęp patryotyczny polski w W. Księstwie. Jak wszędzie tak i tu smutnie odbiły się wypadki 1863 roku. Upadek sprawy polskiej, odsunięcie jej z zakresu polityki dnia, musiało nader niekorzystnie i przytłumiająco wpłynąć na stosunki. W. Księstwo walczące z germanizmem jak owa przednia straż przedłużająca opór w nadziei odsieczy, widząc naraz nadzieję tej odsieczy oddaloną, nie mogło jak tylko upaść nieco na duchu. Rola jego polityczna, rola europejska, w której występowało tak świetnie na sejmie pruskim, naraz ustała, pozostała tylko walka codzienna, przykra i arcytrudna, bez odgłosu. Taka walka — to zadanie jednostek. Owa więc falanga patryotów poznańskich, mająca jak wiadomo zawsze na czele przewódcę, prawie się rozbiła, bo brakło sprężyny, która ją do ciągłego popychała czynu. Wprawdzie wybory pozostały jeszcze polem zapasów a koło polskie tak na sejmie pruskim jak północno-niemieckim było uosobieniem życia i kierunku politycznego tej prowincyi; lecz to życie już nie tak silnie pulsowało, kierunek ten stracił wiele z swej dawnej doniosłości. Przy zmienionych okolicznościach, szlachta nie zmieniwszy się w swoich uczuciach, coraz jednak mniej trudniła się polityką, mieszczaństwo coraz więcej; chęć dobrobytu opanowała pierwszą, ambicya drugie. Tak szlachta jak i mieszczanie pozostali przedewszystkiem Polakami, a jeżeli w sprawach politycznych te dwie warstwy różniły się w zdaniach, to w narodowej na jednem stawały stanowisku, i tak jak szlachta po wsiach tak mieszczanie po miastach coraz więcej parci byli przez żywioł niemiecki i na wyścigi iść musieli z potężnem współzawodnictwem

niemieckiem; lecz jeżeli szlachcic mógł się jeszcze w tej walce opierać na chłopie, to kupiec, mieszczanin, z wyjątkiem Chwaliszewa w Poznaniu, nie opierał się na nikim i był coraz więcej odosobniony i sam.

Jeżeli zastęp patryotyczny w W. Księstwie w swoich dalekich celach a raczej nadziejach był zgodny, jeżeli w codziennej walce przeciw nieprzyjacielowi stał w ścieśnionym szeregu, to jednak były odcienia, prawie stronnictwa w jego łonie. Przed innemi byli jak wszędzie u nas ludzie, rozsądni, umiarkowani, trzeźwo widzący, którzy rachując się z trudnościami i położeniem, nie łudząc się, nie tracili przecież nadziei, a w postępowaniu swojem kierowali się umiarkowaniem. Mówię tu o stronnictwie rozsądnem, które składało się po większej części z większych właścicieli ziemskich; lecz i w niem były dwa odcienia, pierwszy najwybitniejszy — nazwany przez przeciwników klerykalno-wstecznym — był rzeczywiście stronnictwem katolickiem. Jest to niezwykłem zjawiskiem, że w tej prowincyi polskiej powstało prawdziwe — jak we Francyi lub Belgii — stronnictwo katolickie. Stworzyła je zabiegliwość kilku znakomitych ludzi; pierwszym jego zawiązkiem była redakcya i kółko niewychodzącego dziś już *Przeglądu Poznańskiego* powstałe pod przewództwem braci Koźmianów, Stanisława i księdza Jana, męża obszernej wiedzy, wielkiego umysłu i rzadkiej w Polsce energii. Ożywiła to stronnictwo myśl narodowa potrzeby walki, z szyzmą i protestantyzmem, utrzymywał przy życiu pewne współzawodnictwo z drugim odcieniem stronnictwa umiarkowanego, obojętniejszym w rzeczach religii i pociski stronnictwa skrajnego. Widomym przewódcą tego stronnictwa, przewódcą *natus*, był ks. arcybiskup Halka Leduchowski. Mieściło ono w sobie wiele prawdziwych znakomitości, odznaczało się zacnością, pewną, żeby się tak wyrazić, wytwornością i wysokiem wykształceniem; główny jego zastęp stanowiły jednak

kobiety. Stronnictwo to szczelnie w sobie zamknięte, ożywione było siłą przekonania pierwszych chrześcijan i odznaczało się ich wiarą i dobrodusznością a miało niektóre słabostki legitymistów francuskich. Na wskróś zacne i polskie, w sprawach politycznych widziało najczęściej jasno i zdrowo, jednak nie tyle po europejsku jak po rzymsku; na wszystko zapatrywało się przez pryzmat rzymskiej kuryi i politykę sądziło odnośnie do władzy świeckiej papieża; ubolewało nad upadkiem bogobojnej Izabelli hiszpańskiej, a od chwili sankcyonowania ustaw konfesyjnych odwracało się ze zgrozą od cesarza austryackiego. Pod względem narodowym znalazło się i uczuło się w trudnem położeniu, z powodu wybitnie rządowego stanowiska zajętego przez widomego swego naczelnika księdza arcybiskupa Halkę Leduchowskiego, którego postępowania nie pochwalało, lecz potępiać nie mogło. Stronnictwo to doszło do przekonania, że łatwiej będzie w W. Księstwie ocalić katolicyzm jak polskość a dopiero przez katolicyzm polskość, aczkolwiek gotowe było zawsze do największych poświęceń patryotycznych, równie jak najzapaleńsi dla Polski w granicach 1772 r. Praktycznie, stronnictwo to bardzo wiele robiło dla miłosierdzia, dla oświaty, dla wpływu na lud wiejski, dla utrzymania zacności i godności charakteru polskiego; było ono z wielu względów użytecznym w Polsce wyjątkiem.

Drugi odcień stronnictwa umiarkowanego tem głównie się odznaczał, iż podzielając z pierwszym wstręt do polityki krewkiej, nie był zagorzałym ani w sprawach religijnych, ani w politycznych; nic w ogóle go nie odznaczało, nie miało w sobie nic wybitnego, było bez nienawiści i namiętności, czuło tylko instynktowy wstręt do wszelkiego rodzaju skrajności; odcień ten polski z istoty i zacności, z krwi i kości, coraz więcej poczynał chorować na obojętność, a obojętność i bezbarwność były jego przyszłością. Nie wywoła on ża-

dnej katastrofy, nie sprowadzi żadnej klęski, lecz nie zapobieże, nie przeszkodzi żadnej, gotów w razie danym poświęcić się jak zawsze zupełnie, dla sprawy narodowej.

Jak wszędzie u nas tak i tu było stronnictwo zapalno-patryotyczne, stanowisko jego nader teraz skromne i ograniczone, było głównie deklamacyjnem. Stronnictwo zapalne składało się przeważnie z mieszczaństwa, z ludzi piszących, z literatów, z niezadowolnionych; krótkowidzące a daleko nadziejami sięgające, ze wstrętem stosowało się z konieczności do położenia obecnego, wzdychając wciąż do lepszej przyszłości, którą wyobrażało sobie łatwiejszą i bliższą niż była w istocie. Znajdowało przyjemność w podjazdowej, nieraz zbyt cierpkiej i nie zawsze na czasie namiętnej walce tak z rządem, jak z żywiołem niemieckim, to znów w zjadliwych wystąpieniach przeciw umiarkowanym i ultramontanom. Tak we własnych jak i innych polskich prowincyi sprawach, najskrajniejsze środki były dla niego najlepszymi; kompromisów nie pojmowało, po części dla tego, że bało się zatracić lub naruszyć zasady, a po części dla tego, że zdaniem wielu ten częstokroć najlepszym jest Polakiem, kto w każdej chwili i na chwilę nie zważając, gotów iść najdalej. Stronnictwo to najczynniejsze, z natury demonstracyjne, najliczniejsze i najgłośniej dawało znaki życia w publicystyce; działało ono nieco w próżni, nie było licznem, lecz z istoty swej ruchliwem. Zapominało zbyt często o rzeczywistym stanie rzeczy tak w W. Księstwie jak w innych krajach polskich i było straconą placówką zasady, Polski w granicach 1772 r. Ze składu swego usposobione do współzawodnictwa kastowego, nie poruszało przez patryotyzm spraw społecznych, jednak kryło i żywiło je w swem łonie, a zdradzało się od czasu do czasu żółciowymi wybuchami.

Te trzy odcienia zgodne w sprawie narodowej, różniące się w innych, łączyły się razem w oporze przeciw germanizmowi, walczyły jednak nieraz z sobą tak w szczegółach miejscowych, jak w kole polskiem w Berlinie.

Żywioł niemiecki kierowany i popierany przez rząd, stanowił wraz z żydowskim jednolity względem polskości obóz. Tak nazwanych polskich żydów, których napotykamy we wszystkich innych krajach polskich, tu prawie całkiem nie było, byli tylko żydzi niemieccy lub zniemczeni. I w obozie niemieckim były odcienia, czego świadectwem aż trzy dzienniki niemieckie wychodzące w Poznaniu, lecz w stosunkach do żywiołu polskiego panowała w nim najzupełniejsza zgoda, wyjątków nie było, były tylko zjawiska, jak Dr. Metzig. W ogóle było w tym obozie silne przekonanie, że W. Księstwo stało się już ziemią niemiecką, a co gorsza poczucie własnej siły i wyższości nad żywiołem polskim, pewność, że ten nie zdoła się już obronić ani potrafi wyprzeć niemieckiego.

Było jednak coś, co tę pewność niepokoiło, oto jak już nadmieniłem, obawa gwałtownych zmian, a ztąd wielka cierpkość, nawet nienawiść do wszystkiego, co Polskę przypominało lub obudzało w Polakach nadzieję. W codziennem jednak życiu Niemcy nie zapatrywali się już na W. Księstwo jak na ziemię polską, lecz jak na prowincyę niemiecką, w której zamieszkuje ludność polska. W stosunkach z tą ludnością byli oni zimni i ostrożni; skarżyli się niby, że Polacy zdala się od nich trzymają, lecz sami nie umieli zrobić pierwszego kroku, aby jakiekolwiek, choćby towarzyskie, sprowadzić zbliżenie; trzymanie się na uboczu Polaków korciło ich, a przecież niezawodnie nie umieliby z nimi żyć; sprawa polityczna stała jak upiór między dwoma społeczeństwami. Trudno bardzo, aby kiedykolwiek połączyły się one mechanicznie.

Były już liczne kolonie niemieckie w różnych częściach W. Księstwa, mianowicie w okolicy Leszna; rząd pruski o ile mógł używał tego środka tak wielce przez Machiavela zalecanego. Byli już liczni właściciele ziemscy niemieccy, wielkich majątków w rękach niemieckich mało, lecz bardzo dużo średnich. Zwykle Niemiec przybyły do W. Księstwa zaczynał od małego, stopniowo pracą i oszczędnością zbogacał się i dokupywał ziemi, lub ją z korzyścią innemu sprzedawał Niemcowi. W miastach nareszcie żywioł niemiecki przeważał i znaleść go już można było we wszystkich gałęziach przemysłu, handlu i rękodzielnictwa. Przyniósł on do W. Księstwa wszystkie swoje zalety, które jeszcze stają się wybitniejszemi i potężniejszemi wobec naszych wad narodowych, rozwijał je zaś z tą energią, którą każda walka nadaje. Oszczędność, ład, akuratność, wytrwała praca, oto są główne zalety Niemca, któremi on tu zwyciężał wszelkie stawiane mu przeszkody i początkową nieznajomość stosunków miejcowych. Dodać do tego wypada, niezaprzeczoną, rzeczywistą opiekę i ciągłą pomoc rządu a dziwić się nie można, nietylko, że żywioł niemiecki wkorzeniał się tu coraz silniej, ale nawet, że wypierał polski.

Jeden na pozór drobny szczegół, uderzał oko ile razy spotykało ono w Poznaniu razem Niemców i Polaków w chwilach wypoczynku i rozrywek, w publicznych miejscach; oto z pewnością, kiedy Niemiec wydawał pięć sylberów, jednocześnie Polak wydawał talara, a podczas gdy Niemiec pił piwo, Polak pił szampana. Można z tego wziąć miarę porównawczą całego niemal życia dwóch ludności, i zaiste dziwić się nie należy, że w tych warunkach Polacy nie mogli wytrzymać współzawodnictwa z Niemcami; przyczyny zaś szukać wypada w charakterze gospodarczym dwóch narodów. W ogóle złe w tem leży, że Polacy mają w W. Księstwie do czynienia nie tylko z potężnym prze-

ciwnikiem, ale, że walka toczy się między dwoma charakterami narodowymi, z których jeden ma wszystkie zalety potrzebne do zapewnienia i zabezpieczenia zdobyczy, drugi tylko te szlachetne popędy i uczucia, które służą do przedłużania choćby rozpaczliwej walki.

Najgłówniejszym jednak, najważniejszym czynnikiem był tu rząd. Od dawna powzięty cel wynarodowienia i zniemczenia W. Księstwa Poznańskiego przeprowadzał z ważnością, spokojem i wytrwałością. Pewny swojego, nie działał porywczo i konwulsyjnie, nie szamotał się, lecz systematycznie wykonywał z góry obmyślane dzieło. Miał on za sobą przewagę organizacyi i politycznego rozumu. Sposoby, których używał są bardzo proste i dobrze obmyślane, opiekował się Niemcami, zachęcał ich do osiedlania się w W. Księstwie, a wszelkimi prawnemi choć nieprawemi środkami wypierał ztamtąd żywioł polski. Działał prawnie jak światły rząd, lecz był bezwzględnym i nieubłaganym. Pomijam tu walkę z duchem powstańczym, walkę z wszelkimi prawdziwymi i wymyślonymi zamiarami oderwania od monarchii W. Księstwa, i mówię teraz tylko o systematycznem działaniu rządu przeciw żywiołowi polskiemu.

Pierwszym i głównym jego środkiem było odosobnienie Wielkiego Księstwa od innych polskich dzielnic. Stosunki z Galicyą nie były i nie są ani tak bliskie ani tak częste, mało więc na nie rząd zwracał uwagi; lecz głównie mu szło o odosobnienie W. Księstwa od Królestwa Polskiego i przerwanie z tym krajem tak duchowych jak fizycznych komunikacyi. Ztąd długie sprzeciwianie się kolei żelaznej, któraby bezpośrednio szła z Poznania do Warszawy, ograniczenie się na linii idącej środkiem prowincyi i łączącej ją tylko z Szląskiem i Berlinem, tak, żeby ta kolej jaknajmniej przewoziła podróżnych z innych krajów polskich; ztąd także utrudnianie wszelkich ekonomicznych,

umysłowych, towarzyskich nawet małżeńskich związków z ludnością Królestwa. Rząd do tego stopnia był pod tym względem uważnym, że przy utworzeniu nowego towarzystwa kredytowego, wykluczył niejako majątki, które były w posiadaniu właścicieli ożenionych z obywatelkami Królestwa i w tych przyspieszał egzekucyę, przeciw czemu posłowie polscy w swoim czasie gwałtownie wystąpili. Rząd wiedząc, że w dziele wynaradawiania głównie będzie miał do czynienia z dawną szlachtą, bardzo głęboko obmyślał pod tym względem swoje działanie. Utrudnienie stosunków z innymi krajami polskimi, zmuszało rodziny polskie zamieszkałe w W. Księstwie do ciągłych małżeństw w coraz bliższem pokrewieństwie, to łączenie się zaś musi koniecznie w następstwie wpłynąć szkodliwie tak pod względem fizycznym jak umysłowym na ludność polską w W. Księstwie i osłabić tem samem główną zaporę, główną siłę odporną przeciw germanizmowi. Dziś już w W. Księstwie, wszyscy są najopłakaniej z sobą pokrewnieni, a jak słusznie zauważył, przytaczając przykłady, jeden z najrozumniejszych ludzi w W. Księstwie, wszystko — z małymi wyjątkami — co się odznacza umysłowo i hartem politycznym, albo nie pochodzi z W. Księstwa, albo pochodzi z rodzin, które przypadkiem i wyjątkowo połączyły się z rodami osiadłemi w innych częściach Polski. Rodziny zaś, a tych jest znaczna liczba, które już od dwóch lub trzech pokoleń wciąż łączą się między sobą, przeznaczone są jak tyle innych arystokracyi, mianowicie jak hiszpańska, do wyrodzenia się i do upadku. Tak to rząd, przygotował zręcznie, nieznacznie, powolne i łagodne uduszenie najcelniejszej części ludności polskiej w W. Księstwie. Pytanie czy już nie za późno, choćby się upamiętano na tej drodze ciągłego łączenia się w bliskiem pokrewieństwie, a następnie czy stosunki majątkowe, ro-

dzinne i miejscowe, nie są już tak poplątane, iż niepodobna zaniechać tego zgubnego zwyczaju?

Drugim potężnym środkiem rządu, było zawsze wydziedziczanie z ziemi żywiołu polsko-szlacheckiego. Działał on tu nadzwyczaj zręcznie; nie używał ani gwałtów, ani nieprawnych środków, ani konfiskat, ani kontrybucyi, lecz grał na wadach narodowych jak mistrz na klawiszach. Pozornie, był on bezstronny tak dla Niemców jak dla Polaków; lecz jeżeli użyczał W. Księstwu wielkiego kredytu, to z tą świadomością, że Niemiec potrafi go użyć Polak nadużyć. Urządzenia wszystkie kredytowe ustanowione były w tem przekonaniu i w tej myśli, że Niemiec jest akuratnym, Polak najnieakuratniejszym dłużnikiem; i tu znów zręcznie, bardzo zręcznie i podstępnie stawiał rząd ludności polskiej jako głównego przeciwnika i wroga własne wady i w swym niezachwianym celu wydziedziczenia z ziemi rodzin polskich, używał dwóch głównych wad gospodarczych polskich: nadużywania kredytu i nieakuratności, które streścić możemy w jednej, w lekkomyślności. Lecz przytem niezaprzeczenie, rząd o ile się dało tylko bez zgorszenia i zbytecznego rozgłosu, wyraźnie przywilejował żywioł niemiecki, choć pozornie utrzymywał niby równowagę między dwoma ważkami. W wykonaniu Niemiec miał zawsze pierwszeństwo przed Polakiem, a wszystkie drzwi i drzwiczki stały mu otworem, wtedy, gdy dla Polaka nawet wyjścia nie było. Tak postępując, rząd widział się coraz bliższym swojego celu i dla tego nie przypuszczał nawet najmiejszej zmiany w swoim systemie; zasłaniał się w swojem bezwzględnem postępowaniu, odśrodkowemi i powstańczemi zachciankami W. Księstwa i w ogóle Polaków; on zaś sam najczęściej stwarzał je, udawał, że wierzy w ich rzeczywistość i niebezpieczeństwo i podniecał przeciw Polakom inne rządy. Mistrzem w stwarzaniu urojonych spisków i powstań polskich był dyrektor policyi w Po-

znaniu Bärensprung, któremu interpelacya Niegolewskiego i znana rozprawa pana About nadały rozgłos europejski. Człowiek ten niepospolitych policyanckich zdolności, i obdarzony nie małym sprytem, był niejako uosobieniem polityki pruskiej w W. Księstwie od 1831 roku. Znaczył on więcej jak wszyscy naczelnicy prowincyi i przetrwał ich kilku. Znał ją na wylot i charakter polski i używał tej znajomości z całą możliwą bezwzględnością w celach polityki pruskiej. Potworna jego powierzchowność była niejako uosobieniem ohydy wynaradawiania jednego narodu przez drugi; ostrożny, zimny, lecz nadzwyczaj grzeczny, nawet gładki w obejściu był niezachwiany w swoich germanizacyjnych celach, a ciągłem straszeniem powstaniem i wynajdywaniem nieistniejących spisków nużył ludność polską, podniecał nienawiść i tak już dość silną rządu pruskiego, ludności niemieckiej w W. Księstwie, a szczególniej rządu rosyjskiego. Był to człowiek, który w swoim zakresie, nieco ograniczonym, wiele złego zrobił w tych czasach Polsce; ozdobiony też był licznymi orderami rosyjskimi. Nikt go zastąpić nie zdołał, lecz też dziś już nawet i Bärensprung mniej jest potrzebnym i sam w ostatnich czasach wyznawał, że o wiele mniej jak dawniej miał do czynienia.

Niezaprzeczenie więc rządowi pruskiemu wiodło się niesłychanie w W. Księstwie i dla tego niepodobna było przypuścić żadnej dobrowolnej z jego strony zmiany postępowania. Prusy mogą stracić W. Księstwo, nie mogą zmienić w niem swojego systemu. Do tego stopnia jest to prawdą, że nigdy i nigdzie za rządów Bismarcka dopatrzeć się nie można było ze strony rządu najmniejszej chęci do jakiegokolwiek porozumienia z ludnością polską, lecz przeciwnie zawsze najbezwzględniejsze względem niej postępowanie było prawidłem jego działania; postępowanie to duchowo było nawet okrutnem, czego mieliśmy dowód w owem wyrażeniu się prezesa parla-

mentu Północnego Związku, że historya przejdzie do porządku dziennego nad protestem Polaków i w przemówieniu kanclerza, który uzasadniał bezwstydnie przyłączenie W. Księstwa do Północnego Związku, walecznością okazaną przez korpus poznański podczas ostatniej wojny. Nie było nawet ze strony rządu usiłowania, aby utworzyć polskie stronnictwo rządowe, które zdawało mu się być niepotrzebnem, a wszystko pod tym względem, ograniczało się na zadawalnianiu osobistych próżności jednostek, do czego jednak nie łatwa znajdowała się w W. Księstwie sposobność. I dlatego właśnie nie przywięzuję wagi do słów, które hr. Bismarck miał wyrzec do pewnej pani z W. Księstwa: „Niech Polacy w W. Księstwie wyrzekną się odśrodkowych dążności, a będzie im dobrze“. Przypuściwszy, że Polacy wyrzekliby się byli tego, co hr. Bismarck odśrodkowemi dążeniami nazwał, nie widzę coby mógł był dla nich zrobić; żadna zmiana systemu nie była tu możliwą, bo każda oddalałaby rząd od zamierzonego celu wynarodowienia W. Księstwa, a nikt jeszcze w polityce nie zatrzymał się w większej połowie szczęśliwie odbytej drogi. Humbold, który głębiej tę sprawę pojmował, mówił do księdza Koźmiana: „Im prędzej Polacy w Księstwie przestaną być Polakami, tem prędzej będą szczęśliwymi“. Mogły nastać chwile wytchnienia, z których Polacy skorzystać powinni byli, lecz system mógłby być zaniechanym lub zmienionym wtedy tylko, gdyby się okazał bezskutecznym.

Nic bardziej pouczającego, jak porównanie środków i sposobów działania dwóch rządów, rosyjskiego i pruskiego przeciw tej samej narodowości. Niema bezprawi, okrucieństw, gwałcenia praw boskich i ludzkich, społecznych i politycznych, któregoby się Rosya nie dopuszczała w owej epoce względem narodu polskiego, w celu zgnębienia, wyniszczenia i wytępienia żywiołu polskiego i jak mniemała zapewnienia sobie temi środ-

kami na zawsze panowania nad polskiemi ziemiami: tego systemu wyrazem, punktem kulminacyjnym było postępowanie jej od ostatniego powstania. Rząd pruski miał ten sam cel, lecz zupełnie innych do dopięcia go używał sposobów. Wykluczył gwałty i okrucieństwa i działał środkami na pozór godziwymi, działał bez wściekłości, lecz z nienawiścią, którą wpaja sprzeczność interesów; jego polityka da się określić dwoma słowami: bezwzględność w legalności. Nie chwycił się on w W. Księstwie tych środków, które wywołują oburzenie wykształconych narodów, ale działał wytrwale, ze znajomością rzeczy, ze świadomością swojej siły i słabych stron przeciwnika; szukał zawsze przedewszystkiem pięty Achillesa i ranił ją zatrutą strzałą.

Z tych dwóch sposobów działania skuteczniejszym okazał się pruski; pomimo ostatniej wielkiej klęski zadanej Polsce, Rosya nierównie więcej oddaloną się ujrzała od wrzekomego celu jak Prusy; pomimo katowania duchowego i fizycznego całego narodu, żywioł polski, myśl polska, życie polskie, ludność polska nierównie silniejszą pozostała w krajach pod panowaniem rosyjskiem, jak w krajach pod panowaniem pruskiem; nareszcie niepodobna zaręczyć czy W. Ks. Poznańskie nie stanie się w mniej lub więcej oddalonym czasie, rzeczywiście krajem wynarodowionym jak Szląsk, kiedy przeciwnie zapewnić można, że taki los nie spotka Polski pod panowaniem rosyjskiem. Tak to zniszczenie i wściekłość nic stworzyć nie zdolne, nic spoić nie mogą, nic przetworzyć nie potrafią, kiedy przeciwnie wytrwała i rozumna praca zdolna nawet z siłą żywiołów skutecznie walczyć i największe sprowadzić przeobrażenia! Rosya niszczyła Polskę, Prusy przemieniają Polskę w Niemcy. Cel był ten sam, lecz różność użytych środków różne sprowadziła skutki.

Niezaprzeczenie są jednak rozmaite tego powody. Statysta przytoczyć może i ten, że kiedy Prusy dzia-

łają na nierównie mniejszym obszarze, Rosya miała do czynienia z ogromem ziem polskich; lecz z drugiej strony Prusy nie miały zgoła na czem się oprzeć w swem dziele, całą siłę do tej pracy czerpać musiały w samych sobie, kiedy przeciwnie Rosya miała i zbliżoną do siebie ruską narodowość i niejakie pokrewieństwo z całym polskim narodem a jednak tego wszystkiego nie wyzyskiwała inaczej jak gwałtami.

Prusy nie drażniły ani pobudzały nigdy szlachetnych i dodatnich stron charakteru polskiego, umiały zawsze uderzać i wyzyskiwać jego słabe i ujemne; przeciwnie Rosya wywoływała do walki z sobą to, co stanowi rdzeń szlachetna naszego narodowego charakteru i wszystkie nasze zalety, a nie umiała chwycić nas za nasze słabości. Tym sposobem Prusy miały za sprzymierzeńców wszystkie nasze wady, Rosya za przeciwników, wszystkie nasze zalety. Polacy umieją zachowywać się w nieszczęściu i nędzy; powodzenie chwilowe upaja ich zbytecznie; dobrobyt zawraca im głowę; gotowi wśród niego zniedołężnieć, lub szaleństwa popełniać. Naród polski przywiązany do swej narodowości oburza się na gwałty i gwałty te wywołują w nim cuda poświęcenia i wytrwałości; ale mało polityczny, nie przeczuwa do czego doprowadzić może łagodne a podstępne z nim postępowanie; umiał zrywać się do walki, nie umiał się ochraniać.

Postępowanie rządu rosyjskiego obudzało co chwila przywiązanie do wiary i narodowości; pruski rząd zaś pozostawiał te sprawy na boku, w cieniu, a rozbudzał chęć dobrobytu. W owych czasach rząd pruski nie prześladował religii ani też zabraniał używania ojczystego języka, w sprawach religijnych był jeszcze oględny w językowej obojętny. Wielka wolność osobista i polityczna, równość praw dla wszystkich, wyborna, sprawiedliwa, nieskazitelna administracya, doskonałe urządzenie stosunków kredytowych, uporządkowanie wła-

sności i wielkie jej poszanowanie, czyniły życie pod panowaniem pruskiem nietylko znośnem ale wygodnem; tak, że łatwo można było zapomnieć o idei, o narodowości i tradycyach historycznych. Tem większa zasługa polskich mieszkańców W. Księstwa, że o tem wszystkiem tak wiernie pamiętali.

Pod panowaniem rosyjskiem trzebaby było przestać być nietylko Polakiem ale człowiekiem, aby módz znieść już nie ogólne, ale nawet codzienne prześladowania ciążące od góry do dołu przez cały szczebel czynowników na każdym polskim mieszkańcu, na każdej piędzi polskiej ziemi.

Lecz właśnie ta swoboda, ten ład, ta sprawiedliwość, któremi odznaczało się państwo pruskie, dobrze przez ludność polską użyte, mogły być rękojmiami przedłużenia istnienia polonizmu w W. Księstwie. Tu pod stosunkowo dość wielką wolnością pisania zakwitnąć mogła literatura, tu dziennikarstwo mogłoby się wznieść do niemałej wysokości. Rola polityczna W. Księstwa sama dla siebie nader była ograniczona, lecz znajdowało się ono w takich warunkach, że mogło było wiele zdziałać dla dobra myśli polskiej w dziedzinie umiejętności, sztuk pięknych, literatury. Rozbudzenie życia umysłowego a zaniechanie niepotrzebnych politycznych deklamacyi, przedłużyłoby najskuteczniej istnienie żywiołu polskiego, oddałoby usługę wspólnej sprawie i może najmniej byłoby obudziło niechęci u rządu i u ludności niemieckiej.

Tymczasem kierunek umysłów w tej prowincyi był zupełnie inny; jedne najruchliwsze, głównie trudniły się polityką, bez doniosłości, inne uderzyły w stronę materyalną i tylko rozwój materyalnych interesów uważały za środek zbawczy, co wielce odpowiadało ich wewnętrznemu usposobieniu. Niezaprzeczenie w tym kierunku zrobiono w W. Księstwie postępy, i pod względem materyalnym szczególniej rolniczym Poznańskie było

najdalej posuniętym polskim krajem. Rolne gospodarstwa na wysokiej stały tu już stopie, a Polacy wiele się pod tym względem od Niemców nauczyli. Ale jak już wyżej zauważyłem, w ogóle ludność polska nie wytrzymywała współzawodnictwa; fale germanizmu coraz więcej kraju zalewały, a w ostatnich latach postęp ten był widoczniejszy. Na drodze materyalnych interesów Polacy nie mogli prześcignąć Niemców. Instytucya Tellusa okazała się bezwładną w obronie własności polskiej. Z każdym rokiem majątki polskie przechodziły w ręce niemieckie, a dawni właściciele po największej części wynosili się z W. Księstwa, jeżeli w dobrych warunkach — to dla zakupienia majątków w innych krajach polskich, jeżeli w smutnych — to dla przyjęcia służby prywatnej najczęściej w Królestwie. Jeden z ludzi najlepiej znający W. Księstwo, ten, który tak słusznie zwracał moją uwagę na złe skutki ciągłego łączenia się w bliskiem pokrewieństwie, doskonale określił pod tym względem tamtejsze stosunki. Na wyrażone zdanie, że jednak ze wszystkich krajów polskich, w W. Księstwie stosunkowo najwięcej jest właścicieli ziemskich zamożnych a nawet majętnych, odparł: „Nie można się temu dziwić, tu co rok wszystkie majątki puszczone są jakby na przetak; wszystko co mniejsze i pośledne odpada, większe tylko i znaczniejsze majątki pozostają“. Można było zatem przewidzieć co się w W. Księstwie zostanie z polskiego żywiołu, jeżeli nie zajdzie jakiś wielki a niespodziewany wypadek, że pozostanie chłop polski jak pozostał na Szląsku i kilkadziesiąt wielkich majątków, które się utrzymają na przetaku.

W. Księstwo nietylko dla tego było dla Prus drogocennem, że z każdym dniem posiadanie jego stawało się pewniejszem, ale dla tego także, że postępy jakie tu robił germanizm stanowiły zasługę Prus wobec Niemiec i odpowiadały ich dążeniom wyrażonym w *Drang*

nach Osten. Z drugiej strony W. Księstwo było punktem zetknięcia raczej zespolenia się z Rosyą, rękojmią dla niej szczerości i pewności przymierza pruskiego. Niemcy nie czuły wyrzutu sumienia z powodu posiadania W. Księstwa, Rosya nie miała chęci pochłonięcia tej prowincyi w wielkiej ojczyźnie rosyjsko-słowiańskiej, leżało ono po za sumieniem polityki narodowo-aglomeracyjnej i pod tym względem posiadanie Prus było zapewnionem. Rosya zbyt była uszczęśliwiona, że Prusy tak skutecznie działały przeciw żywiołowi polskiemu, aby miała przerywać to dzieło. W. Księstwo nie było więc jabłkiem niezgody ani między Rosyą i Prusami, ani nawet między wszech rosyjską Słowiańszczyzną a wszech Germanią.

Przeciwnie Prusy to były, które żywiły przed niedawna myśl rozszerzenia swoich granic krajami polskiemi. Pozostały w pamięci ogółu zwierzenia się hr. Bismarcka przed vice-prezesem izby pruskiej, w chwili kiedy jeszcze nie przeczuwał, że Prusy w tak krótkim czasie rozszerzą się w innej stronie; wtedy to wskazywał przyszły apostoł idei niemieckiej Wisłę, jako granicę Prus i objawiał nadzieję, że to sprostowanie granic w bliskim nastąpi czasie. Położenie wielce się następnie zmieniło, widoki Prus w inną zwróciły się stronę, Rosya zaś już nie przypuszczała, ani myślała o odstąpieniu Królestwa, szczególniej Warszawy.

Gdy jednak mówi się o Prusach, nie trzeba nigdy zapominać, że się ma do czynienia z istnym Gargantuą politycznym, że wszystko mu dobre co tylko pochłonąć się da i że nie było granic dla jego pożądliwości. Państwo Północno-niemieckie, jak je stworzył hr. Bismarck za pomocą Prus, obdarzonem było owym gargantuowskim apetytem, którego podług zwykłej skali ludzkiej, zmierzyć nie można; ten apetyt, był główną sprężyną jego działania, to było coś więcej jeszcze, bo niejako potrzebą wyjątkowej istoty, która

wciąż groziła pokojowi i równowadze europejskiej. Jeżeli Prusy zaniechały na razie myśli rozszerzenia granic aż po Wisłę, to jednak przy danej sposobności pokusiłyby się o to. Powiększenie pod swojem panowaniem żywiołu polskiego nie zastraszałoby ich, bo umieją one wybornie się z nim obchodzić. Myśl ta tkwiła zawsze w głowach dygnitarzy pruskich. Ten sam Baerensprung, o którym wyżej wspomniałem, nie taił, że z przyjemnością widziałby takie powiększenie, przeczuwał w niem nowe pole dla swej działalności, aczkolwiek wyznawał — szczerze czy nie — że w razie rozszerzenia swoich posiadłości polskich, Prusy musiałyby inaczej niemi rządzić jak W. Księstwem, a odejmując wszelką najmniejszą nawet nadzieję Polakom niepodległości, dać im niejaką autonomię i zapewnić im używanie języka narodowego.

Jest jeszcze punkt na ziemi polskiej, który nieraz był celem pożądliwości pruskiej, tym punktem jest Kraków. Tego przyłączenia życzyła sobie głównie szlachta i więksi właściciele szląscy, którzy niemałe ponieśli szkody pod względem handlowym i ekonomicznym przez przyłączenie Krakowa do Austryi i przez zniesienie wolnego miasta. Kilka dni przed wybuchem siedmiodniowej wojny, jeden z wielkich właścicieli szląskich jeździł umyślnie do Berlina do hr. Bismarcka, z naleganiem, żeby nie zapomniał po wojnie przyłączyć Krakowa do Prus. Hr. Bismarck dał mu wymijającą odpowiedź, lecz uśmiechał się w sposób znaczący i świadczący, że jeżeli się to tylko da zrobić, on nie będzie wcale od tego. Zasada przyjęta w Nikolsburgu, że oprócz Wenecyi Austrya nie straci nic z swoich posiadłości, nie pozwoliła zadośćuczynić życzeniu objawionemu przez szlachtę szląską, które niewątpliwie odpowiadało przekonaniom wewnętrznym pierwszego ministra.

Najgodniejszem uwagi jest, że wielkie w Niemczech wypadki, że częściowe przeobrażenie się Niemiec w Państwo Pruskie w niczem nie zmieniło jego poli-

tyki ani w W. Księstwie ani w ogóle w sprawie polskiej. Hr. Bismarck, ten wzór człowieka z pomysłami, ten racyonalista, ten mąż stanu działający ciągłemi niespodziankami, a obdarzony tak samorodnym rozumem, nic tu nie zmienił, nic nie stworzył, nic nowego nie wynalazł, nie wytłoczył tu swojego piętna, lecz przeciwnie trzymał się dawnych tradycyi polityki pruskiej i działał jakby jaki Manteufel lub inny tuzinkowy minister; tem właśnie okazując samorodność i brak wszelkich przesądów, że niejako przyznawał, że nie ma tu nic do zmienienia. Tak więc wszystko pozostało jak dawniej w W. Księstwie i w polityce pruskiej w sprawach polskich. Czy w razie danym i w potrzebie hr. Bismarck nie byłby chciał i nie umiałby był użyć dla swoich celów sprawy polskiej, jak to na początku zawodu uczynił? To inne pytanie! A ktokolwiek zastanowił się dobrze nad tym mężem stanu, ktokolwiek śledził w jego polityce rzutkość, śmiałość, genialną niekonsekwencyę, pohopność do używania wszelkich środków, ten łatwo na to pytanie znajdzie odpowiedź. Czy jednak kiedykolwiek konstelacye polityczne zbiegnąć się mogły tak, iżby spowodowały go do użycia sprawy polskiej inaczej jak na większą szkodę narodu polskiego, pozostanie to na zawsze tajemnicą!

Hr. Bismarck znał wybornie sprawy polskie i nieraz się niemi zajmował; miał o nich jasne i bardzo stanowcze zdanie, które streścił w rozmowie z jednym z moich przyjaciół; gdy ten zwracał po siedmiodniowej wojnie uwagę kanclerza na ważność dla Niemiec sprawy polskiej, hr. Bismarck odparł: „Ale kiedy wy sami jesteście główną przeszkodą w niej, wasze nieokreślone i nieograniczone żądania i życzenia czynią waszą sprawę niemożliwą. Sprawa ta w granicach rozsądnych możeby mogła kiedyś znaleźć swoje rozwiązanie, ale wy na takie nigdy się nie zgodzicie! Bo mój panie! Cóż rzeczywiście i prawdziwie jest polskiem?

Oto część większa Królestwa, zachodnia Galicya, i wąskie, bardzo wąskie pasmo W. Księstwa; otóż w tym rodzaju załatwienie sprawy polskiej nigdy was nie zadowolni; inne jest niepodobne, a więc niema o czem z wami mówić".

Pozostaje mi zastanowić się nad niemieckiemi prowincyami Północnego Związku, oraz nad duchem i przyszłością tego państwa, nad stosunkiem jego do spraw europejskich, mianowicie do sprawy niemieckiej.

III.

Chcąc poznać siłę rzeczywistą i istotę nowo utworzonego państwa, chcąc ocenić jego europejską doniosłość i obliczyć środki, któremi hr. Bismarck rozporządzał dla dokończenia rozpoczętego dzieła, trzeba przedewszystkiem zaznajomić się z jego, podstawą działania, a więc z dawnemi Prusami. Z Prus stworzonych przez Kurfürstów i W. Fryderyka a odbudowanych przez kongres wiedeński, wydobył hr. Bismarck tę siłę, która idąc przed prawem, dokonała pierwszej części jego dzieła, i za pomocą tych Prus zamierzył dokończyć je, to jest zjednoczyć Niemcy pod przewodnictwem Prus.

Skoro opuszczało się tę część monarchii pruskiej, w której proces wynaradawiania jednego narodu przez drugi oburzał sumienie i zmysł moralny, to jest dzielnice polskie, a wkraczało się na ziemię prusko-niemiecką, zmieniała się natychmiast postać rzeczy: niknęły przed oczami ohydne i oburzające strony rządów pruskich i zaborczości niemieckiej, a zamiast oburzać się, zmuszonym się było podziwiać społeczeństwo w wysokim stopniu wykształcone a wcale niezepsute, państwo silnie zbudowane, w którem rząd był bezpiecznym, bo naród był szczęśliwym i zadowolnionym.

Przedewszystkiem, co to za błogi stan państwa, w którem niema sprawy narodowości, a w którem wszystko się zlewa i kojarzy w narodowej! Jak wszędzie, tak i w dawnych Prusach były niezawodnie stronnictwa, żyły one, działały i walczyły, miały swoje zasady i cele, ale te stronnictwa nie groziły ani istnieniu rządu ani organizmowi państwowemu; dostateczne aby utrzymywać życie i nadzorować, tak się równoważyły, że nie mogły sprowadzić zderzenia i że ostatniem ich słowem nie był przewrót. Prusy były może jedynem w Europie państwem, w którem w najdalszej przyszłości nie można było przewidywać rewolucyi!

Wielki cel narodowo-niemiecki, z którym tak ściśle złączona była przewaga pruska, postawiony przez hr. Bismarcka jako zadanie, osłabiał siłę stronnictw i stawał się dla rządu pruskiego puklerzem, o który odbijały się najostrzejsze pociski wszystkich opozycyi, począwszy od odcieni Twestena i Virchowa, skończywszy na najskrajniejszym Schultze-Delitsch.

Rząd pruski kierowany przez hr. Bismarcka w swej pamiętnej walce parlamentarnej, miał to wielkie szczęście, że wyszedł z niej zwycięzki, nie wymownemi rozumowaniami, nie głosowaniem, nie zabiegami wyborczemi, lecz niesłychanej doniosłości czynami, które do zupełnej niemocy doprowadziły opór. Tak jest, hr. Bismarck w swojej walce parlamentarnej odniósł stanowcze zwycięztwo nie w izbie ale na polach Sadowy, gdzie naraz Fortuna przyniosła mu dwie wygrane. Od tej chwili wolnomyślność pruska zamilkła przed patryotyzmem prusko-niemieckim, a to nowe w dziejach parlamentarnych zwycięztwo uniemożebniło na długo wszelką groźną opozycyę, na tak długo, aż druga część dzieła hr. Bismarcka miała być ukończoną. Rząd więc w Prusiech, pomimo widocznego i krzyczącego pogwałcenia zasad konstytucyjnych, stał się wszechwładnym panem położenia, górując nad każdym oporem z wyso-

kości wielkich rzeczy dokonanych wbrew opozycyi na korzyść potęgi Prus i jedności niemieckiej, i z nierównie jeszcze silniejszego stanowiska zamierzonych w tym samym kierunku czynów.

Jeżeli udało się tak szczęśliwie, tak świetnie wybrnąć Prusom wygraną na zewnątrz z wewnętrznych parlamentarnych kłopotów i jeżeli nie zgnieść to przynajmniej okiełznać na długo opozycyę, to zaiste innych wewnętrznych groźnych spraw Prusy nigdy w swem łonie nie miały. Aczkolwiek geograficznie niezespolone, państwowo były one zawsze jednolite, a oddawna we wszystkich warstwach społeczeństwa panowało tu zadowolenie. Najwięcej oddalone prowincye jak nadreńskie, były przedewszystkiem pruskiemi i do domu Hohenzolernów przywiązanemi. Nawet katolicy, liczni tam i stanowiący niemal odrębne stronnictwo, byli pruskimi i wiernymi koronie, a wcale nie marzyli o zmianie panowania, chociażby ona miała nastąpić na korzyść dynastyi i rządu katolickiego. Bronili swoich przekonań religijnych i połączonych z niemi interesów, lecz nie działali przeciw rządowi, nie byli dla niego nawet kłopotem. Co więcej, mądre i oględne postępowanie hr. Bismarcka w sprawie katolickiej, zwrot polityki pruskiej w niej, nad którym niżej zastanowić się mi wypadnie, rozbroił już był po części opozycyę parlamentarną katolików.

Cóż dopiero powiedzieć o mniemanych dążeniach francuskich prowincyi nadreńskich?! Były to czcze urojenia i złudzenia, jeżeli gdziekolwiek istniały! Przedewszystkiem było w całej ludności tych prowincyi silne uczucie łączności z wielką ojczyzną niemiecką, które nietylko stanowiło zaporę dla wszelkiego rozkrzewienia napoleońsko-francuskiego, ale które zapowiadało w razie danym, zacięty ze strony tej ludności opór przeciw zaborowi francuskiemu. Następnie było wielkie, zupełne zadowolenie z administracyi i rządów pruskich, które

umiały zawsze obchodzić się z temi prowincyami jak z pieszczonem dzieckiem. Ktokolwiek przebywał dłużej w prowincyach nadreńskich, ten przekonał się niezawodnie o tych dwóch prawdach: że były one uczuciem, sercem, usposobieniem zupełnie niemieckie, i całkiem zadowolnione z rządów pruskich. Jakie korzyści mogłoby im przynieść panowanie francuskie? Żadnych — ani materyalnych, ani duchowych, ani politycznych, ani cywilizacyjnych. „Co Francya dać może Niemcom?“ — mówił słusznie jeden z najznakomitszych publicystów tegoczesnych — „chyba prefektów, lecz i tym dorównywają, jeżeli ich nie przewyższają landraci“. Nawet ten zawsze świeży urok wolnomyślności, postępu, nowych idei, nie otaczałby chorągwi francuskiej zatkniętej na ziemi niemieckiej. Pod każdym tym względem Niemcy dorównywały, jeżeli nie przewyższały Francyę, a nawet pod rządem pruskim, wolność polityczna i osobista była większą jak pod napoleońskim. Mogły więc mieć miejsce zabiegi francuskie, mogły znajdować odgłos w rodzinach francuskich zamieszkałych w Kolonii, lecz prawdziwego, żyznego gruntu dla rozkrzewienia francuskiego nie było tam, a pomimo szerokiego sposobu w jaki rząd napoleoński pojmował zasadę narodowości i pomimo powszechnego głosowania, wątpię, aby odważył się był tutaj, nawet w razie wojskowego zajęcia, odwołać się do tego przez siebie stworzonego najwyższego sądu. Ta niemieckość i pruskość prowincyi nadreńskich, o ile była dowodem wewnętrznej siły Prus, o tyle stać się mogła niemałym kłopotem dla zewnętrznej polityki hr. Bismarcka. Stała ona na przeszkodzie wszelkim układom mogącym jedynie pojednać Francyę tak z pierwszą już skończoną częścią dzieła hr. Bismarcka, jak też z drugą, którą dokończyć musiał. Wierność i niemieckość prowincyi nadreńskich, krępowały rząd pruski i hrabiego Bismarcka, nierównie zapewne więcej jak jego własne sumienie lub

patryotyzm niemiecki, i niepozwalały myśleć o żadnej politycznej tranzakcyi, którąby ofiarą tamtej strony Renu pojednać mogła Francyę z jednością niemiecką po tej stronie, pod przewodnictwem Prus, i nakazywała trzymać się pod groźbą wyklęcia przez całe Niemcy, owej polityki zawartej w znanej piosnce o Renie:

Nein Sie werden Ihn nicht haben!

Prusy nieprzystępne obcym zabiegom, zapewnione na długo przed wszelkim wewnętrznym przewrotem, Prusy nie mające ani groźnej sprawy politycznej ani narodowościowej, ani społecznej, ani religijnej, stanowiły tem samem silne, zjednoczone państwo, potężne państwo, doskonale przysposobione i przygotowane do dalszych walk i podbojów. Najwyraźniejszym objawem tej siły, tego wewnętrznego zdrowia był przy ogólnej państwowej harmonii, brak wszelkich drażliwych miejscowych sporów, o czem świadczyło panujące w całych Prusiech zadowolenie większości ludności. Czemu głównie przypisać ten tak wyjątkowy wówczas w Europie szczęśliwy stan monarchii pruskiej? Oto nie waham się powiedzieć, mądrości rządu i jego wewnętrznej polityki. Rząd pruski starał się zawsze oprzeć własną potęgę na dobrobycie i zadowolnieniu większości ludności; nie odłączał nigdy własnego dobra od pomyślności całego kraju, przedewszystkiem od pomyślności jego materyalnej, prowadził zawsze, że tak powiem, gospodarstwo nakładowe, a nie wyzyskujące, tem mniej wycieńczające; miał swoje żądne widoki, czego dostatecznie dowiódł, lecz chciał ich zawsze dopiąć i wiedział, że ich dopiąć może, tylko za pomocą dobrobytu, postępu i zadowolnienia całego organizmu państwowego i społecznego. Słowem, był to rząd dla kraju, rząd, który jak ten przezorny wódz, nim użyje i wyprowadzi w pole swoje wojsko, myśli o tem, aby było dobrze żywione, ubrane, uzbrojone, i zaopatrzone we wszystko, co mu potrzebne.

Rząd ten pilnie, skwapliwie i mądrze przyswajał sobie i krajowi wszystko, co stanowi postęp moralny i materyalny świata. Reformy ekonomiczne, społeczne, a nawet polityczne, wielkie wynalazki, szczególniej mające zastosowanie w wojnie, znajdowały w nim przezornego, a nie chełpiącego się poplecznika; na wszystko gotów się zgodzić, na wszystko przystać, wszystko przyjąć, z każdym się połączyć i sprzymierzyć; niezachwianym był on jedynie w tem, com w pierwszej części tej rozprawy nazwał jego powodem bytu, to jest w tych sprawach, które łączyły się z jego zaborczemi zamiarami i z jego polityką zaokrąglania się, i dlatego ukazał się tak niezachwianym w sprawie przeistoczenia wojska, które było pierwszym krokiem do wojny i podbojów 1866; dla tego także postępował bezwzględnie w W. Księstwie Poznańskiem. We wszystkiem rząd ten układny, skłonny do kompromisów, przyswajał sobie prędko, w jemu właściwy sposób i w właściwych mu celach, wszystko co wiatr postępu przynosił. Chronił się w wewnętrznej polityce wszelkich niebezpiecznych środków, wszelkich tych środków, które gdzieindziej okazały się może chwilowo skuteczne, lecz w końcu doprowadziły do roztroju i rozkładu. Zamiast szerzyć waśń i kłótnię, łączył i kojarzył umysły i warstwy społeczne, wczoraj w idei patryotyzmu-pruskiego, dziś znów w idei jedności niemieckiej pod przewodnictwem Borusyi; i że użyję zużytych nieco, lecz pod wielu względami prawdziwych wyrażeń, zamiast godła *Divide et impera* miał godło *Suum cuique*. Słowem, ażeby wyrazić całą myśl, rząd ten chronił się używania tych wszystkich politycznych środków, których tak nadużywali i może nieraz jeszcze nadużywają wszyscy politycy i ministrowie austryaccy, a które doprowadziły tę monarchię do opłakanego stanu tak dogodnego dla widoków polityki pruskiej. Dla tego też dopatrzyć się nie mogłeś w Prusiech ani walki klas, ani nawet

walki interesów. Zapewne jak wszędzie, tak i tu były zarzewia spraw społecznych, raczej były i tu złe namiętności, lecz nie były podniecane przez rząd i tonęły w wybornem i zdrowem usposobieniu ogółu. Nie było też państwa w Europie prawdziwiej i więcej demokratycznego, a w niem jednak dawna szlachta i nowo zdobyte stanowiska zajmowały właściwe miejsca. Przywilejów tu nie było, była przeciwnie zupełna równość cywilna i polityczna, a przecież szlachta zachowała swoje majątki i swoje tradycye, i nawet pewną przewagę, nie będąc przez to dla nikogo ani ciężarem, ani zaporą, ani solą w oku. Tym sposobem państwo to przyswajając sobie wszystko, co nowożytne nie wyzuło się całkiem z tego, co dawne czasy miały dobrego i dla tego zapanowały w niem czynność i życie nowoczesnych demokracyi połączone z hartem i siłą krzyżacką.

Aniołem opiekuńczym, patronem tego państwa, ideałem każdego Prusaka i prawdziwie historyczną postacią w Prusiech pozostał W. Fryderyk, *der alte Fritz*, jak go zowią wdzięczni Prusacy, którzy przechodząc koło jego pomnika w Berlinie, niemal że się przed nią ze czcią nie kłaniają. Nic bardziej znamiennego, jak ta cześć całego narodu dla tego króla filozofa i podbójcy, który nie wybierając środków, dążył tylko do zaokrąglenia Prus, do zapewnienia ich przewagi wojskowej, a którego potomkiem politycznym w prostej linii jest hrabia Bismarck.

Prusy zbudowane do podbojów, wprowadzone na drogę podbojów przez W. Fryderyka, postawione w ciągłej konieczności zaokrąglania się, a pchane przez hr. Bismarcka do coraz większych zaborów pod chorągwią i płaszczykiem myśli niemieckiej i jedności niemieckiej, rozporządzały w tym celu dwoma środkami, które do wysokiego stopnia zostały wydoskonalone: biurokracyą i wojskiem, a raczej wyborną administracyą i potężną

armią. — A jednak i to godnem jest uwagi, pomimo tej biurokracyi, tej armii, Prusy nie stały się przecież ani państwem wyłącznie biurokratycznem, ani militarno-despotycznem, umiały się ochronić od zwykłych a szkodliwych następstw silnie urządzonej biurokracyi i licznej armii.

Biurokracya pruska stanowiła zastęp urzędniczy, zostający na rozkazach rządu centralnego, była ona podporą jego i potężnym środkiem w jego rękach; lecz nie ciężyła ani na kraju, ani ludności, wypełniała ściśle i sumiennie swoje obowiązki, lecz nie mięszała się, nie wtrącała się w stosunki społeczne, tem mniej w waśnie, słowem nie prowadziła nawet w celach rządowych polityki na własną rękę, umiała być usłużną rządowi, nie prześladując ludności, przeciwnie, tworzyła wyborną, niezrównaną administracyę, której dobrodziejstwa spływały na całą ludność i na wszystkie warstwy społeczne bez wyjątku. Ograniczona do liczby niezbędnej, nie była zbytecznie liczną, lecz była sprężystą; zawsze na usługach rządu i ludności, tak doskonale i sumiennie wypełniała swoje obowiązki, że łatwo ludność uwierzyć mogła, że służy nie rządowi, lecz narodowi. I nie było wyjątków, od kopisty do ministra, szczególniej kanclerza, każdy urzędnik pruski zawsze i wszędzie był przystępny dla publiczności i czynny dla niej; pozornie jej tylko służył, jakby swemu chlebodawcy, w samej rzeczy zawsze i wszędzie służył państwu i jego bliższym i dalszym celom. Biurokracyi nie czuć było, bo ona nie utrudniała, lecz wszystko ułatwiała; chroniła się biuralizmu, nie odwlekała, spiesznie załatwiała sprawy. Zależną od władzy, ludność nie była od niej zawisłą. Nie powstała też w Prusiech sprawa biurorokratyczna jak w Austryi, a jeżeli stan urzędniczy stanowił silny zastęp na rozkazach rządu, to przecież nie był kastą ani państwem w państwie. Wchodzili w jego skład ludzie z wszystkich warstw społeczeństwa. Dwoma jego

głównemi zaletami są sumienność w pełnieniu obowiązków i nieskazitelność. Uczciwość i nieprzedajność tak były wkrzewione w administracyi pruskiej, że nie można ich już było nazwać cnotami, stały się zwyczajem, obyczajem, do którego nawykły równie ludność, jak zastęp urzędniczy. Uczciwość ta była matematycznie dokładną i niemiecko-pedancką. Ażeby ci oddać dwa silbery, które przez pomyłkę wzięto więcej za depeszę, biuro telegraficzne dobijało się w nocy do twojego mieszkania i budzić kazało wśród najlepszego snu. Lecz ta do najmniejszych drobnostek posunięta uczciwość, była rękojmią ładu, zarazem otaczała administracyę pruską aureolą, nadawała jej powagę i jednała dla niej poszanowenie i zaufanie ludności. Tak więc w Prusiech zdołano ochronić się przed wszystkiemi zgubnemi następstwami biurokracyi, a wyzyskać wszystko, co ona może przynieść państwu. Biurokracya nie była tam złem, bo nie była jak w Rosyi przekupną i sprzedajną, bo nie była jak w Austryi kastą wyzyskującą narody, kraje, warstwy społeczne i samo państwo, bo nareszcie nie pochłania wszystkiego, jak we Francyi. Była potężną bronią w ręku rządu, lecz w życiu codziennem nie gniotła ludności, ale jej służyła.

Dodać wypada, że rząd pruski unikał zbytniej, niepotrzebnej centralizacyi, skupił w swoich rękach wszystko, co mu do jego celów było niezbędnem, lecz nie centralizował dla centralizowania, dla symetryi. Obok silnie zbudowanej biurokracyi i wybornych administracyjnych urządzeń, były w Prusiech samorządne instytucye, w których ludność brała udział w sprawach miejscowych, były sejmiki powiatowe, sejmy prowincyonalne, rady miejskie i tam wszystko się działo pod okiem i za początkowaniem władzy a prawie nic i nigdy wbrew jej woli, lecz ta inicyatywa była mądrą, ta wola rozumną, baczną na interesa lokalne, których

nie lekceważyła ani poświęcała dla doktryny. Słowem nie było gorączki centralizacyjnej.

Drugim najważniejszym w tem państwie czynnikiem, była wielka, potężna armia. Środek to najpierwszy, najdzielniejszy do dopięcia zaborczych celów, głównym on też był przedmiotem pieczołowitości i starań tak rządu jak panującego domu. Lecz urządzenia wojskowe w Prusiech, nietylko, że były wyrachowane w zaborczych zamiarach na zewnątrz, ale oddziaływały także znacznie na wewnętrzne stosunki i na cały ustrój społeczny. Prusy, państwo przeważnie militarne, a mające jedną z najpotężniejszych armii na swoje rozkazy, nie stały się przecież wyłącznie militarnemi. W stosunkach cywilnych i politycznych nie dał się czuć wpływ wojskowości lub nawet wojskowych, rozdział między władzą cywilną a wojskową pozostał zupełny; armia nie stanowiła narodu w narodzie, lecz niemal cały naród stanowił armię. Nie wchodzi w ramy tej rozprawy oceniać szczegółowo siły wojskowe nowo utworzonego państwa, lecz wypada właśnie zastanowić się nad składem i duchem wojska. Prusy pierwsze między mocarstwami europejskiemi przyjęły system wojskowy najwięcej zbliżony do systemu rzeczypospolitej rzymskiej, w której każdy obywatel był żołnierzem, a żołnierz nie przestawał być obywatelem. Tak, jak w administracyi umiały Prusy przy biurokracyi ominąć biurokratyzm i zbytnią centralizacyę, tak też, stwarzając jednę z najpotężniejszych armii umiały się ochronić od żołdactwa i wojskowych rządów.

Dwie główne zasady armii pruskiej względnie armii Północnego Związku, ogólny obowiązek służby wojskowej i trzechletnia służba wojskowa z landwerą, były podstawami jej siły, liczby i wartości tak wewnętrznej jak zewnętrznej. System pruski przemieniał naród w armię, tak, iż niemal cała ludność jeżeli nie była ciągle, to zawsze mogła stanąć pod bronią; tem samem

armia Północnego Związku nie była czem innem jak tylko wyrazem całego narodu, ożywioną więc była jego myślą, nadziejami, obawami, jednem słowem armia ta to prawdziwy był naród niemiecki z poczuciem swej, jedności i dążący do niej pod przewodnictwem Prus.

Trzechletnia służba wojskowa nie przemieniała żołnierza w żołdaka, nie przeszkadzała mu do innych czynności i obowiązków życia tak publicznego jak prywatnego. Żołnierz też w Prusiech nie przestawał być obywatelem, aczkolwiek obywatel był na każde zawołanie żołnierzem. Żołnierz wracający do ogniska domowego przynosił z sobą naukę ładu, porządku i poczucie wspólności z całym państwowym organizmem i z główną myślą ożywiającą państwo, z myślą patryotyzmu prusko-niemieckiego.

Ogólny obowiązek służby wojskowej, wywierał wielki a zbawienny wpływ na całe społeczeństwo, a zarazem zbogacał armię, chwilowo wprawdzie, wykształconą warstwą krajową, która inaczej trzymałaby się zdala od wojska. Obowiązek ogólny służby wojskowej przyczyniał się niezmiernie do utrzymania zdrowia w społeczeństwie pruskiem, względnie północno-niemieckiem i do nadania obywatelom hartu, tęgości, wytrwałości, któremi oni odznaczyli się. Obowiązek ten zbliżał do siebie wszystkie warstwy społeczne, równał je z sobą nie w zasadzie tylko, ale w życiu codziennem, w najrzeczywistszem życiu i to w imieniu i pod godłem wielkiej myśli państwowej. Był on niezaprzeczenie najdzielniejszym środkiem demokratyzowania najzupełniej, bo najpraktyczniej całego społeczeństwa. Obowiązek ten nietylko, że demokratyzował społeczeństwo, ale pochlebiał niezmiernie demokracyi tegoczesnej; łechtał ją najprzyjemniej w jej bezwzględnej nienawiści do wszelkiego nietylko cienia przywileju ale nawet odróżnienia. Obowiązek ogólny służby wojskowej, powołując pod ten sam sztandar w imieniu myśli państwowej a i narodowej,

książąt krwi, synów dygnitarzy i ministrów, szlachtę, mieszczan i chłopów, nie zniżał nikogo, podnosił wielu, przemawiając do najszlachetniejszych uczuć, zadawalniał zarazem najniższe i najpospolitsze uczucia zazdrości i zawiści; niedogodny dla mniejszości podchlebiał ogółowi, już tem samem, że nie znał wyjątków, a służąc podwójnie celom państwowym stwarzał silną, liczną, wykształconą armię, zarazem odpowiadał wszechwładnym przekonaniom a nawet przesądom dzisiejszych czasów, demokratyzował społeczeństwo, co może ważniejsze, podobał się tegoczesnej demokracyi. Jednym z rysów charakterystycznych polityki pruskiej szczególniej hr. Bismarcka, na który wypadnie mi nieraz zwrócić uwagę, jest właśnie schlebianie dobrym i złym skłonnościom i namiętnościom czasu, mianowicie tegoczesnej demokracyi.

Niepotrzebnie siliłbym się, chcąc dowodzić doskonałości urządzeń wojskowych pruskich, rzeczywistość tu wymowniejsza od wyrazów, a najgłówniejszym dowodem jest ten, że niemal wszystkie państwa zamieniły dawne urządzenia wojskowe na system zbliżony mniej więcej do pruskiego, który może jest systemem przyszłości, jeżeli doprowadzi do millicyi,. Lecz jak w wielu kierunkach, tak i w urządzeniach wojskowych Prusy ubiegły Europę o kilka lat i w tem upatrywać trzeba jedną z głównych przyczyn ich powodzeń.

Armia Północnego Związku, zachowawszy za pomocą kadrów swoją budowę i ducha krzyżacko-fryderykowskiego, w skutku nowych urządzeń, stała się przeciętnym wyrazem usposobienia i myśli całego narodu, narodu dzielnego, wytrwałego, twardego. Armia ta nietylko wykształconą była pod względem wojskowym, ale mieściła w sobie niezwykłą ilość rozumu i nauki. W chwilach rozrywek, podczas wojskowych uroczystości, zamiast zwykłych i czczych zabaw wojskowych, widzieć można było przedstawiane w kosza-

rach przez podoficerów, wobec prostych żołnierzy i oficerów dramata Schillera!

Przemiana armii pruskiej w północno-niemiecką dokonała w niej znacznych zasadniczych zmian i przeistoczyła ją tak pod względem materyalnym jak i moralnym. Ta armia, która przed wojną 1866 r. była pozornie podobną do rosyjskiej, naraz zajaśniała niezwykłym blaskiem. Wiem dobrze, że taki blask daje zawsze ostatnia wielka wygrana, że powodzenie i szczęście otaczają urokiem, olśniewają; lecz głębsza była tego przyczyna. Oto ta armia, która wczoraj jeszcze była tylko armią Hohenzolerna, przeznaczona do spełnienia ambitnych jego zamiarów, uczuła się naraz być armią wielkiego narodu, już nie na usługach wyłącznie jakiegoś księcia, ale wielkiej myśli narodowej, jedności niemieckiej — pod przewodnictwem Prus; słowem nie była to już armia pruska, to były legiony germańskie pod dowództwem Hohenzolerna! Miejsce też dawnej, śmiesznej zarozumiałości, zajęła słuszna pewność siebie, miejsce drobnostkowej służbistości, prawdziwe poczucie obowiązku i przekonanie wielkiego posłannictwa do spełnienia. Dziwne to a godne uznania zjawisko, dowód siły i zdrowia, że nadzwyczajne zwycięstwa, nie upoiły, nie zawróciły głowy armii pruskiej! Skromniejszą była jak przedtem. „Nie podziwiałem ich kiedy szli na wojnę, nie podziwiałem kiedy wygrywali bitwy, lecz podziwiałem ich kiedy po zwycięztwie tak skromnie wracali“ mówił do mnie jeden z najznakomitszych polskich weteranów, a w tych słowach starego i doświadczonego wojownika tkwi przyczyna prawdziwej siły i wyższości armii pruskiej, która po Sadowie przedstawiała zupełną sprzeczność tem, czem była przed Jeną; to też jak łatwo było wtedy przepowiedzieć jej klęskę, tak teraz wróżyć jej można było dalsze powodzenia. Jakiżby to gdzieindziej inny miało skutek podobne jak pod Sadową zwycięztwo! Jakby

to w Austryi, gdyby zamiast klęski odniesiono zwycięztwo pod murami Królowegogrodu, odbiło się ono we wszystkich wewnętrznych stosunkach, przewagą żywiołu wojskowego, tak w najważniejszych sprawach jak w codziennem życiu, tak w radzie korony, jak na plecach żydów galicyjskich!

Dodajmy siłę rzeczywistą, którą zawsze daje każdemu wojsku ostatnie zwycięztwo, a dojdziemy do przekonania, że armia Północnego Związku była w stanie zmierzyć się z każdą inną w równych warunkach powodzenia, i że w walce z najpotężniejszą nawet, jedynie Bóg bitew przechylić mógł na przeciwną stronę wygraną.

Urządzenia wojskowe pruskie były tak doskonałe, tak z góry obrachowane na to, aby przyłączeniem innych wojsk do armii pruskiej nie popsuć jej jedności i jednolitości, że przemiana wojsk podbitych i związkowych państw w wojsko północno-niemieckie, dokonaną została zupełnie i całkowicie, a tak jedna z najlepiej urządzonych armii, stała się zarazem jedną z najliczniejszych i nie była jak flota emblematem, ale wcieleniem i uosobieniem myśli jedności niemieckiej pod przewodnictwem Prus. Była prawdziwą armią niemiecką, chociaż jak w całym nowym porządku rzeczy, i w niej Prusy miały dowództwo i przewagę, tę przewagę, którą daje zawsze, silny ustrój i odwaga początkowania.

Armia Północnego Związku nie powstała z rekrutacyi wyrosła z ziemi ojczystej na skinienie dane z Berlina. Nie dzieliłem też zdania tych, którzy twierdzili, że możnaby ją zgnieść w jednej wielkiej bitwie; nie była to jedna armia, ale było ich trzy, a podczas gdy jednaby była pobitą, drugaby za nią powstała. Przedewszystkiem nie trzeba, nie można pomijać w żadnym kierunku, szczególniej w wojskowym, prawdziwej, wielkiej siły dzieła hr. Bismarcka. Otóż kończąc te uwagi śmiało twierdzę, że potęga militarna

Północnego Związku, stanowiła już jedną z największych jakie były w świecie, i że pierwszorzędne zajmowała miejsce w składzie sił europejskich. Była to ogromna sama przez się potęga, która z każdym dniem groźniejszą się stawała dla pokoju, równowagi i bezpieczeństwa Europy.

Trzecim może najważniejszym czynnikiem przewagi Prus w Niemczech a potęgi utworzonego przez nich państwa, była wyborna skarbowość i niesłychanie na ówczesne czasy pomyślny jej stan.

Prusy, mając zawsze na oku zabory, nie zapomniały nigdy, że najważniejszym czynnikiem wojny jest pieniądz. Wiadomem jest, że już za czasów kurfirstów korona starała się mieć zapas skarbowy w swoich rękach i pod swoim wyłącznie kluczem, że oprócz i po za zwykłym budżetem był pieniądz zapasowy i dowolny, który czekał sposobnej chwili, aby był użytym w właściwych mu celach. Oprócz tego wzorowa skarbowość, sumienny zarząd grosza publicznego, mądra i przezorna oszczędność, nareszcie ten szczęśliwy zbieg okoliczności, który dozwolił Prusom od wojen napoleońskich pozostać obcemi większym europejskim zawikłaniom, sprawiły, iż kiedy z każdym rokiem dług publiczny stały i niestały wszystkich państw europejskich wzrastał w sposób potworny, budżety pruskie równoważyły się, bez zbytecznego obciążania ludności podatkami i bez wycieńczania bogactwa i zasobów krajowych; a tak Prusy dokonawszy w drugiej połowie dziewiętnastego stulecia największych czynów politycznych, zaokrągliwszy się geograficznie i wzmocniwszy politycznie więcej jak każde inne państwo, zająwszy w Europie przeważne stanowisko, były jednak najmniej zadłużonem, najmniej obciążonem państwem, mającem najlepszą, najpotężniejszą skarbowość. Jaką to siłę daje rządowi i państwu, w naszych szczególniej czasach, nie potrzebuję długo się rozwodzić. Użyję tu poró-

wnania: przypuśćmy, że pomiędzy dwoma właścicielami ziemskimi, odłużonymi i odłużającymi się coraz więcej, dla których zaciąganie coraz to nowych długów stało się gospdarczą koniecznością, znajduje się trzeci, którego hipoteka czysta, dochody pewne, aczkolwiek może bezpośrednie nie tak znaczne jak dwóch pierwszych, i zastanówmy się nad tem, jaki biegiem rzeczy musi być koniec podobnego położenia? Oto sztuczne istnienie dwóch pierwszych musi niebawem dojść do kresu, ich majątki pójdą wcześniej czy później na sprzedaż, a tych majątków nabywcą, raczej gospodarczym spadkobiercą odłużonych sąsiadów, będzie ów trzeci zamożny właściciel, w którego zarządzie panuje oszczędność, ład i porządek. Prusy zajmowały gospodarczo w środkowej Europie stanowisko tego trzeciego właściciela; miały nad wszystkiemi innemi państwami wyższość, którą obliczyć można było za pomocą długów, które na tych państwach ciążyły, a od których Prusy były wolne: gospodarczo więc prześcignęły i pobiły Europę, nim ją prześcignęły i pobiły politycznie. Widocznem to było szczególniej w stosunku do Austryi, którą Prusy gospodarczo i skarbowo pobiły, nim ją zwyciężyły na polach Sadowy; drobnym na pozór lecz przekonywującym tego dowodem jest, że srebro austryackie było zdawkową monetą w Prusiech i że to srebro, które w Austryi było wyjątkiem, niemal numizmatycznym zabytkiem, wszędzie i co chwila tam się znajdowało. Czy w tej wyższości pieniężnej nie znajdowała się więcej jak w karabinach iglicowych jedna z głównych przyczyn zwycięztwa Prus nad Austryą? Niepodobna o tem wątpić. Wielkie, niesłychane powodzenie Prusaków w siedmiodniowej wojnie przypisać należy głównie temu, że tak politycznie jak wojskowo Prusy miały zupełną wolność i swobodę ruchów, kiedy przeciwnie Austryi na tej wolności i swobodzie głównie zbywało. Sadowa — to iloczyn szybkości ruchów i swobody dzia-

łania, a te, dały Prusom przedewszystkiem potężne środki pieniężne, któremi Austrya nie rozporządzała; i dla tego także, kiedy cała armia pruska była rzeczywistością, armia austryacka była w znacznej części tylko liczbą na papierze.

Ten ład w skarbowości, ta mądra a nie skąpa w najmniejszych szczegółach oszczędność, pozwalały Prusom w wielkich sposobnościach być wspaniałemi i obracać na szachownicy politycznej milionami, równie jak na polach bitew zastępami. A chociażby głos publiczny przesadzał pod tym względem działalność i zabiegliwość hr. Bismarcka, już to samo mniemanie o nim, było dla niego i Prus siłą. Hr. Bismarck rzeczywiście takie miał w Niemczech stanowisko, iż nieraz słyszało się tam zdanie: „jego ręka sięga nierównie dalej jak jego władza“. Kiedy inni od wszystkich i na wszystkie strony pożyczali, hr. Bismarck i Prusy nie jednemu dawali. Nie można się więc dziwić urokowi, który ich otaczał; był to bowiem urok milionów!

Po dokonaniu jednak pierwszej części dzieła hr. Bismarcka, ten błogi, ten arcypomyślny stan skarbowości zmienił się nieco i z każdym dniem się pogorszał. Wielkie dokonane rzeczy dużo kosztowały, naprężenie stosunków jakie sprowadziły w Europie jeszcze więcej, nareszcie to co zostało do dokończenia, druga część dzieła, wymagała i pociągała za sobą przygotowania narażające na niemałe wysilenia skarbu. To też dawna równowaga budżetów lub nawet nadwyżki budżetowe przemieniły się w niedobór, mikroskopiczny wprawdzie w porównaniu z niedoborami innych budżetów, lecz świadczący o wyjątkowem położeniu rzeczy. Nareszcie opodatkowanie także nieco się wzmogło. Był to powód jedynego, widocznego w całym Północnym Związku niezadowolenia, które szczególniej czuć się dawało w krajach do Prus przyłączonych i związkowych, gdzie dawniej opodatkowanie było nierównie

niższe. Dawał się w całych północnych Niemczech słyszeć głos: „to dużo kosztuje“, a nawet „to za dużo kosztuje“. Ten głos najwięcej przyczyniał się do przyspieszania zawikłań europejskich i znaglał hr. Bismarcka do rozpoczęcia drugiej części dzieła, które raz skończone, pozwolić mogło wrócić do dawnych korzystnych warunków skarbowych. Tak więc, jeżeli pomyślny stan pieniężny był jedną z wielkich dźwigni działania i potęgi Prus, to obawa stracenia i wypuszczenia z ręki tej dźwigni, stawała się znów bezpośrednią groźbą dla pokoju europejskiego, bo ważnym dla Prus i Północnego Związku powodem, dalszego naprzód pochodu.

Niepodobna tu wstrzymać się od uwagi, że kiedy w Północnym Związku narzekano na wysokość podatków, że kiedy tam skarżono się, że wielkie dokonane rzeczy i potęga państwa już zbyt wiele kosztowały, w Austryi nierównie jeszcze drożej opłacano poniesione klęski, niepewność położenia, ciągłe obawy, jednem słowem najopłakańszy stan polityczny!

Trzy więc te czynniki państwowe, wyborna administracya i sprężysta biurokracya, potężna armia, wzorowa skarbowość, były to trzy wielkie a dostateczne powody potęgi Prus i ich przewagi w Niemczech, lecz były to zarazem trzy czynniki widocznie przeznaczone do dalszego zaborczego działania, a których istota i doskonałość stawały się zapowiedzią dalszych podbojów i zawikłań, groźbą dla równowagi europejskiej i rękojmią dokonania jedności niemieckiej, pod przewodnictwem Prus za pomocą siły, krwi i żelaza.

Lecz te korzystne warunki, w których znajdowały się Prusy, to dopiero narzędzia działania. Nie wystarcza to do spełnienia wielkiego posłannictwa, niedostatecznem to do zbudowania wiekopomnego i trwałego dzieła. Do tego niezbędne są jeszcze duchowe czynniki, konieczną myśl orzeźwiająca ciało i kierująca działaniem.

To też ten pomyślny stan Prus, który nie ukrywał w swem łonie żadnego zarodu rozkładu lub zepsucia, grzeszył jednak przez długie czasy brakiem owej orzeźwiającej i żywotnej myśli, ten brak był zarazem i stawał się z każdym dniem widocznem niebezpieczeństwem, a to niebezpieczeństwo okazywało się i piętrzyło się przed Prusami w postaci wielkiej, potężnej sprawy niemieckiej, jedności niemieckiej.

Sprawa ta była przed ostatnią wojną, najpotężniejszą w Prusiech bronią opozycyi tak przeciw koronie, jak przeciw rządowi, w Niemczech przeciw Prusom: w jej imieniu mogły pewnego dnia połączyć się wszystkie opozycye i stać się groźnemi. Hr. Bismarck polityką swoją zrobiwszy więcej w jednym roku dla tej sprawy jak cała opozycya i *Narodowy Związek* przez pół wieku, wyrwał jej żądło z ust i wcisnął w rękę Hohenzolerna chorągiew idei niemieckiej. I wtedy to, w to ciało doskonale zbudowane wstąpił naraz duch, który spotęgował jego siłę, wlał w nie prawdziwe życie zarazem otoczył niesłychanie świetnym blaskiem. A jednak pomimo tego, a raczej właśnie dla tego sprawa niemiecka i jedności niemieckiej była jeszcze największem dla Prus i dla pierwszej części dzieła hr. Bismarcka, niebezpieczeństwem, a to dla tego, że Prusy pod groźbą rozbicia tej pierwszej części, nie mogły się już na pół drogi zatrzymać i jeżeli nie chciały zejść z zajętego stanowiska, musiały dokończyć drugiej części dzieła, nie mogły wypuścić z ręki chorągwi jedności niemieckiej i zatknąć ją musiały na ostatnim bastionie! A przecież to dokonanie drugiej części dzieła, ani tak łatwe, ani tak pozbawione, szczególniej dla Prus, niebezpieczeństw nie było, abym nie miał słuszności twierdząc, że myśl i sprawa niemiecka, będąc największą siłą Prus i Północnego Związku, były zarazem dla nich jedynem groźnem niebezpieczeństwem. Pod tym względem ani Prusacy ani hr. Bismarck nie byli już

panami położenia i iść musieli naprzód pchani koniecznością historyczną, iść musieli za prądem wszechwładnego głosu publicznego, parci duchem niemieckim, chciwym jedności i patryotyzmem germańskim, którego ostatnim wyrazem była jedność. Jak przed wojną sprawa niemiecka była jedynie groźną w Prusiech dla rządu, a w Niemczech dla Prus, tak i w 1869 r. stałaby się była groźną natychmiast, już nietylko, gdyby Prusy i hr. Bismarck przeniewierzyli się jej, ale nawet, gdyby na chwilę okazali chęć pozostania w *status quo* tak dla Prus świetnym.

Pamiętam czasy przed ostatnią wojną, kiedy *Związek Narodowy*, był panem umysłów; pamiętam owe zebrania ludowe, tak nad brzegami Renu, jak w środkowych Niemczech, w których tłumy rozgrzewane apoteozą jedności niemieckiej, rzucały w hucznych okrzykach klątwę na Prusy i hr. Bismarcka. Był to ruch, który coraz groźniejsze przybierał rozmiary. Cóż jednak się z nim stało? Oto prawie zupełnie ustał, bo okazał się być czczą gadaniną wobec czynów Bismarcka, bo naraz zmalał, jak każda zachcianka maleje wobec dokonanych czynów; bo jak już to powiedziałem, hr. Bismarck podbojem na Danii księstw i zrzuceniem z tronów kilku książąt i książątek, więcej zrobił dla jedności niemieckiej, jak cały *Związek Narodowy*, a tem samem uniemożebnił, uczynił zbytecznem, jego działanie, zużytkowawszy je pierwej. I pewnego dnia *Związek Narodowy* odbywał spokojnie swoje podobno ostatnie zebranie w Berlinie, nazajutrz wszystkie jego świetne dążenia i patryotyczne zasady błyszczały jako najpiękniejsze klejnoty wprawione w koronę Hohenzolerna; prezes jego Beningsen podawał rękę hr. Bismarckowi i odstępował mu głosu, a tak, to co było groźbą i zdawało się być przeszkodą największą dla Prus i polityki hr. Bismarcka, łączyło się z nią i stawało się w jego ręku potężną bronią. Tak działają wielcy politycy.

I doczekał się jeszcze hr. Bismarck tego, że silny ruch dawnego *Związku Narodowego* przemienił się w bezwładny prawie śmieszny, podniecany jedynie przez marzycieli przewagi Austryi w Niemczech, i że ten ruch znalazł swój wyraz w zjeździe strzeleckim w Wiedniu, którego widok wzbudzać tylko musiał politowanie, tak dla gości, jak dla goszczących, a który przecież był jednem stwierdzeniem więcej i to w stolicy Habsburgów tej jedności niemieckiej, która tylko na korzyść Hohenzolernów i polityki hr. Bismarcka obrócić się miała.

Lecz wszystkie te korzyści, cała ta siła, którą nadawała Prusom, sprawa niemiecka, przeminiłyby się w groźne niebezpieczeństwo, w wielką niemoc, w chwili, w którejby hr. Bismarck i jego polityka zboczyły z obranej drogi i w czemkolwiek sprzeniewierzyły się myśli niemieckiej. Pod tym względem hr. Bismarck był związany, był przyjemnie zmuszony iść dalej, był z wielkiem niezawodnie jego zadowoleniem już pozbawiony polityki wolnej ręki.

Nim się zastanowię nad koniecznościami, nieuniknionemi następstwami tego położenia rzeczy, rozważyć muszę, czy, jak, i o ile Prusy zdolne były do tego przymusowego posłannictwa, przedewszystkiem jak już łączyły się i połączyły się były w myśli niemieckiej z innemi krajami wchodzącemi w skład Północnego Związku.

IV.

Różnica między Prusakiem a Niemcem nie jest inna ani większa jak ta, która istnieje między różnemi szczepami niemieckimi, między Saksończykiem a Bawarczykiem, między północnym a południowym Niemcem; wybitniejszą jest ona tylko z powodu przewagi Prus i ich państwowej wyższości. Lecz odnośnie do wielkich spraw, o których mówię, różnica ta niknie

i tonie niejako w tej prawdzie, że kiedy Niemiec nie chce i nie stanie się nigdy Prusakiem, Prusak jest, czuje się być i chce pozostać i pozostanie zawsze Niemcem. Społeczeństwo pruskie jest zupełnie niemieckie, a patryotyzm jego jest prusko-niemieckim. Prusy nie poświęciły Niemiec, nie poświęciły kawałka ziemi niemieckiej, lecz poświęciły wszystko w Niemczech dla zapewnienia swojej tam przewagi, lecz dążyły zawsze do zagarnięcia niemieckich dzielnic pod pruskie panowanie. Nigdy nie trzeba posądzać szczerości zasad, kiedy te zasady odpowiadają interesowi. Otóż niemieckie zasady Prus i hr. Bismarcka tak wielce odpowiadały ich interesowi, tak niezbędnie potrzebne im były do zapewnienia ich przewagi i dokończenia ich dzieła, że można im było pod tym względem zawierzyć. Niewątpliwie, niezaprzeczenie, kiedy dla całych Niemiec myśl niemiecka i jedność niemiecka były celem, dla Prus i polityki hr. Bismarcka były one środkiem. Lecz powoli, nieznacznie, ten środek przemieniał się, raczej zlewał się z celem. Naprzód, przedewszystkiem, w pierwszym rzędzie był cel zwiększenia, zaokrąglenia, dopełnienia Prus i do tego użyto jako środka myśli niemieckiej. Z wszystkiego com wyżej powiedział, widocznem jest, że na tej drodze Prusy ani chciały ani myślały się zatrzymać, co więcej, że aby zabezpieczyć już nabyte kraje i korzyści musiały iść dalej, a idąc dalej i coraz dalej, dokądże zmierzać i dojść musiały? oczywiście do zespolenia pod swojem przewództwem całych Niemiec, a więc do jedności niemieckiej, która będąc z początku jako myśl środkiem w ręku hr. Bismarcka, stała się jego celem, a urzeczywistnienie jej jedynie możliwem ukoronowaniem dzieła. Było to koniecznem, nieuniknionem następstwem, wypływem loiki historycznej, która w końcu sprowadza wypadki, ludzi i narody na swoje tory. Prusy, chcąc pierwotnie tylko się wzmódz i zaokrąglić, wzmagając się i zaokrągla-

jąc w Niemczech, weszły na drogę prowadzącą do jedności niemieckiej, albo do strasznej dla siebie katastrofy. Mógł tej prawdy nie pojąć Hohenzolern, nie mógł jej nie uznać taki mąż stanu jak hr. Bismarck! A tak niemieckość stała się była dla Prus już nie środkiem ale koniecznością.

Jeden z publicystów polskich zwykł był porównywać Prusy, hr. Bismarcka i ówczesne ich stanowisko w Niemczech do stanowiska Macedonii, Filipa i Aleksandra Wielkiego względem Grecyi. Prusacy, mówił on, mogą podbić Niemcy, jak Macedończycy podbili Grecyę, lecz będzie to tylko podbój, nie przejmą się oni nigdy ani duchem ani ideami niemieckiemi, będzie to wojskowem i biurokratycznem zajęciem krajów, nie będzie to nigdy zlaniem się. Niezaprzeczenie w tem porównaniu było wiele prawdy, podobieństwo i tożsamość historyczna były uderzające. Jak tam Aleksander jednoczył w imieniu wspólnej przeciw Persom walki, tak tu hr. Bismarck użył za środek jedność niemiecką, do której dążąc, Niemcy miały głównie na widoku bezpieczeństwo przed obcemi, mianowicie przed Francyą. Zauważyć jednak przedewszystkiem wypada, że to porównanie dotyczy raczej filozofii historyi jak polityki, że tem samem wynikające z niego pytania i zadania nie wchodzą w zakres tej rozprawy, ani też w zakres praktycznej polityki. Już obojętnem było, czy Prusy, pochłoną całe Niemcy z przyprawą pruskoniemiecką, lub niemiecko-pruską, lub nareszcie pruską, czy zagrożą światu i sprowadzą wielkie w Europie przemiany w sposób mniej lub więcej niemiecki albo pruski; lecz o to głównie szło, czy Prusy czy Północny Związek był już dość silnym i silnie a mądrze rządzonem państwem, aby pokusić się i dokonać zjednoczenia Niemiec i utworzenia wielkiej w środkowej Europie potęgi, która się stanie panią położenia i rozstrzygać będzie o losach Europy. Otóż wszystko

mówiło, że utworzenie się takiego państwa groziło światu, innym narodom i krajom, które zdawały się nie rozumieć tego niebezpieczeństwa. Porównanie Prus do Macedonii i polityki hr. Bismarcka do polityki Filipa i Aleksandra, przychodzi na poparcie mojego zdania. Jak wówczas Grecya była już przysposobioną do panowania i przewagi Macedończyków, jak wtedy Macedończyk był przeznaczonym stać się jej panem, tak Niemcy wybornie przygotowane były do zjednoczenia pod przewodnictwem Prus, i tak samo też Prusy były jedynem państwem, które zajęło tak przeważne w Niemczech stanowisko, że jedynie za pomocą i pod jego opieką, jedność niemiecka przyjść mogła do skutku, tak dalece, że albo zostałaby marzeniem i ideałem, albo uosobić się musiała w naczelnictwie pruskiem. Tę potęgę, tę przewagę zapewniały Prusom siła militarna, niesłychane ich w Niemczech zwiększenie się terytoryalne, i niezaprzeczona wyższość polityczna nad innymi Niemcami, która się objawiła i stwierdziła śmiałością początkowania i czynami, a nie słowami.

W czem jednak porównanie Prus do Macedonii godnem jest uwagi, oto w wypływającej z niego tożsamości następstw. W samej rzeczy, jeżeli Prusacy jak Macedończycy oparliby swoje dzieło, jedynie na zajęciu wojskowem, gdyby przewaga była wyłącznym ich celem, to prawdopodobnie los jaki spotkał dzieło Filipa i Aleksandra Wielkiego, zgotowanymby był także dziełu hr. Bismarcka: rozpadłoby się. Lecz właśnie to niebezpieczeństwo było poniekąd przestrogą, której hr. Bismarck usłuchał. Aby się o tem przekonać, rozpoznajmy działanie i stanowisko Prus w Północnym Związku i przekonajmy się o ile już nie Prusy ale Północny Związek był silnem, jednolitem państwem, o ile w nim społeczeństwo zadowolnione, a myśl niemiecka przeważającą i silną była. Przedewszystkiem zastanowić mi się wypada nad krajami wcielonemi do Prus.

Trzy lata po siedmiodniowej wojnie, przypatrując się i badając bezstronnie te kraje, dochodziło się do przekonania, że one nie zostały wcale podbite, lecz, że się wojną zlały z Prusami, co ważniejsza, że się zlały w myśli jedności niemieckiej. Nad wszystkiemi drobnemi, miejscowemi niezadowolnieniami wznosiła się, górowała i przygłuszała je myśl niemiecka, a podrzędne interesa zespoliły się były z interesem potęgi niemieckiej. Niepodobna było dopatrzeć się w krajach świeżo wcielonych żadnego dla Prus większego kłopotu, tem mniej żadnej niebezpiecznej sprawy, grożącej oderwaniem się tych krajów; nie widać było w większości ludności głębszego żalu z powodu przyłączenia do Prus, lub niezadowolnienia z nowego położenia; żadnej przedewszystkiem tęsknoty za dawnym porządkiem rzeczy. Słabe nader słabe, były tu czynniki niezadowolnienia. Składały się na nie partykularyzm i dla ocalenia honoru, wierność raczej osobom jak zasadom; bardzo przez samego hrabiego Bismarcka z umysłu przeceniona w swej ważności opozycya w Hanowerze, nie miała innych podstaw. Ta najgłośniejsza z wszystkich opozycyj, hanowerska, głośna, bo znajdująca niejakie poparcie u obcych, składała się prawie wyłącznie z jednej warstwy, to jest ze szlachty, nie miała korzeni w kraju, nie miała większości za sobą. Cóż dopiero powiedzieć o Hessyi, dla której przyłączenie do Prus, było wybawieniem z pod dziwacznego i zachciankowego jarzma średniowiecznego despoty. Frankfurt najwięcej stracił i jako wolne miasto i jako siedziba rady związkowej, z wszystkich też przyłączonych do Prus miejscowości Frankfurt był miastem, które najwięcej tęskniło za dawnym porządkiem rzeczy. Niezawodnie bogatym mieszczanom frankfurckim, nie dogadzał ogólny obowiązek służby wojskowej, a ludność ubolewała nad przyćmieniem dawnej świetności miasta, w którem tyle poselstw miało swoją siedzibę i tyle ważnych spraw się rozstrzygało. Jednak

i tu niezadowolnienie milkło nieraz w obec patryotyzmu niemieckiego, lub nader słabo się objawiało, przyjmowaniem oklaskami marszu Radeckiego, lub małemi psotami wyprawianemi dyrektorowi policyi Madejowi, który powołany został tutaj z wybornej administracyi pruskiej w W. Księstwie Poznańskiem, a który doskonale umiał sobie radzić z małoznaczącą opozycyą Frankfurczyków. Łaski królewskie i szkatuła królewska dokonywały dzieła pojednania. Nareszcie Księstwa Nadelbiańskie, aczkolwiek przekonały się, że przyłączenie do wielkiej ojczyzny, nie było tem niebiańskiem szczęściem, o którem marzyły, i że nawet ojczyzna lepiej się wydaje z daleka jak z bliska, przykute były jednak do Prus wdzięcznością, patryotyzmem i tem przeświadczeniem, że jak jedynie one zdołały je wyrwać z pod obcego panowania, tak jedne mogą je przed tem panowaniem zasłonić. Jeżeli więc w przyłączonych świeżo krajach, były zarody opozycyi, to jednak ta, opierając się jedynie na partykularyzmie, nie znajdowała nigdzie dla siebie silnej podstawy, ani też nie ożywiała ją żadna żywotna myśl. Materyalnie bezwładna, pozbawiona pomocy i współudziału szerokich warstw, moralnie ożywioną była tylko uczuciami, z których żadne nie było zdolne stać się dźwignią polityczną; nie miała warunków wzięcia nie miała przyszłości, a więc z każdym dniem słabnąć musiała; obracała się tylko na korzyść rządu i panowania pruskiego.

Polityka hr. Bismarcka, bezwzględna, nie wybierająca w środkach, miała to szczęście, że zaokrąglając Prusy, zapewniając im przeważne podbojami stanowisko, odpowiadała zarazem wielce namiętnościom ludowym, schlebiała wyobrażeniom wieku i wszystkim dążeniom tegoczesnej demokracyi. Zdeptanie przez hr. Bismarcka wszelkich zasad nietylko prawowitości, ale także wszelkich zasad prawa dla własnego interesu a w imieniu myśli, odpowiadało najzupełniej najgłębszym, a za-

razem najgorszym uczuciom czasu; pomiatanie i igraszka z zasadami zrobiły z hr. Bismarcka człowieka wieku, który żadnych niema zasad; jego racyonalizm przemawiał wymownie i zrozumiale do ogólnego niedowiarstwa. Te rewolucyjne rysy jego charakteru i polityki, zjednały jemu i jego dziełu, może jeszcze więcej jak wywieszenie sztandaru niemieckiego, lud, umysły i demokracyę, która może nie bez powodu przeczuwała, że ta bismarckowska polityka toruje drogę rzeczypospolitej. Bądź co bądź, postępując w ten sposób hr. Bismarck miał za sobą myśl, wyobrażenia wieku, a przeciw sobie tylko coraz rzadsze i słabsze niepokoje sumienia i jeszcze rzadszą wierność zasadom. Postępowaniem swojem, zaszkodził jednostkom, lecz zadowolnił ogólne uczucie. Równał on i jednoczył, a tem samem wznosił ołtarz dwom ideałom epoki, równości społecznej i jedności politycznej. Nie pomylę się twierdząc, że hr. Bismarck, zrzuceniem z tronów królów i książąt większym otoczył się urokiem, jak wszelkiemi innemi czynami, i że znając wybornie słabą stronę naszych czasów, przygrywał jej z wielkiem mistrzowstwem na ulubioną nutę; jak drugi Orfeusz czarował demokracyę, przyciągał tłumy, a zarazem powiększał Prusy! Czyż sekwestr położony na majątki króla hanowerskiego i W. Ks. Heskiego, czyż mowy hr. Bismarcka powiedziane z tego powodu nie były także graniem na tę nutę i schlebianiem chciwej upokorzeń przeciwnika demokracyi? A tak, trudno powiedzieć, czy kraje nowo przyłączone zespoliły się z Prusami więcej za pomocą myśli niemieckiej, czy też rewolucyjnej. Panowanie bowiem pruskie przedstawiało obydwie te myśli i jako ich przedstawiciela wprowadził hr. Bismarck z zawiązanemi oczami Wilhelma I. do świeżo przyłączonych krajów. Niema dla demokracyi i ludu przyjemniejszego widoku, nad widok króla z łaski bożej przybranego w czapkę frygijską!

Kraje świeżo do Prus przyłączone, twierdzić można śmiało, nie dawały im najmniejszego kłopotu, a niezaprzeczenie spotęgowały ich siły. Mądrem, politycznem umiarkowaniem było też względem nich postępowanie rządu i posłużyć może za naukę wszystkim doktrynerom politycznym. Rząd pruski obchodził się tu nader uważnie i pieczołowicie z miejscowemi sprawami, nie centralizował zbytecznie, nie wyzyskiwał nabytych krajów na rzecz Prus, dawnych stolic na korzyść Berlina; przeciwnie pozostawiono tym krajom niejaką autonomię; zostawiono dawnym stolicom to, co robiło z nich punkta środkowe życia umysłowego, artystycznego, towarzyskiego. Tym sposobem przejście z bytu samoistnego, do nowego porządku rzeczy, odbywało się łagodnie, nieznacznie; kraje te nie czuły ciężenia na sobie ani Prus, ani Prusaków, ani Berlina, które byłoby im wstrętnem i uciążliwem. Nic godniejszego uwagi pod tym względem jak Berlin po ostatniej wojnie i zdobyczach. Pomimo tak wielkich zmian, pomimo tak niezmiernego zwiększania się Prus, ich stolica pozostała tem, czem była pierwej, nie było tu ani większych bogactw, ani nawet większego jak pierwej ruchu. Berlin na razie nic na swoją korzyść nie pochłonął, Berlin nie centralizował, a zrobienie z niego światowego miasta, było wtedy marzeniem. Berlin był co najwięcej główną kwaterą nowo utworzonego państwa, lecz nie zakrawał nawet jeszcze na stolicę Niemiec. Pytanie, gdzie będzie ta stolica, pozostawało otwartem. Tak więc życie całego państwa nie zbiegło się w jeden tylko punkt, lecz czuć się dawało we wszystkich jego członkach, we wszystkich, a tak licznych większych miastach Północnego Związku. Ileż to chwalebne wstrzymywanie się od pochłonięcia i zbytniej centralizacyi uszanowało interesów, zadowoliło żądz miejscowych, a tem samem zjednało zwolenników nowemu porządkowi rzeczy.

Jeszcze oględniejszem było postępowanie hr. Bismarcka w stosunkach z krajami zespolonemi w Związku Północnym. Utworzenie Północnego Związku jest najlepszem świadectwem, że hr. Bismarck przekonany był, iż aby jego dzieło było trwałem, silnem i nie pozbawionem przyszłości; nie mogło mieć cechy wyłącznie pruskiej, że musiało mieć znamię niemieckie, że trzeba było, aby ramy tego dzieła były dość obszerne dla pomieszczenia w sobie całych Niemiec i najrozmaitszych znajdujących się w nich żywiołów. Prawdopodobnie względy dyplomatyczne i zewnętrzne nie pozwoliły hr. Bismarckowi zrzucić z tronu króla saskiego, tak jak hanowerskiego, lecz niezawodnie w pozostawieniu niejakiej niepodległości, a szerokiej autonomii kilku krajom zespolonym przez ostatnią wojnę, tkwiła także myśl polityczna, myśl wyrachowana na pokazanie, że wszystko, co się stało, nie obróciło się wyłącznie na korzyść Prus, ale także i na korzyść myśli niemieckiej. Króla saskiego zasłoniła Austrya i dyplomacya, Oldenburg Rosya, lecz miasta hanzeatyckie, ochronił tylko wyższy rozum polityczny hr. Bismarcka, który pojął, że dla dobra jego dzieła, niezbędnym warunkiem było ochranianie miejscowych interesów, a zupełnie zbyteczną, symetryczna, systematyczna centralizacya. I tu znowu rząd pruski zachował dla siebie to tylko, co niezbędnem mu było do jego dalszych zaborczych zamiarów, armię, środki komunikacyjne, telegrafy, dyplomacyę w rzeczach ważnych oraz przedstawicielstwo i wojskowe naczelnictwo Związku. Mając te rzeczywiste warunki i środki władzy w ręku, mógł zezwolić i bardzo roztropnie zezwolił na zostawienie w Związku jednego króla, kilku książąt niby panujących i rzeczypospolitych handlowych, które w warunkach, w jakich się znajdowały nie mogły się nigdy dla Prus stać groźnemi, a które odejmowały dziełu hr. Bismarcka znamie wyłącznie pruskie i nadawały mu niemieckie. Do czasu może tylko potrzebnym

był podobny stan rzeczy dla polityki hr. Bismarcka, lecz na razie umiał on go szanować, i z nim się obchodzić, a każdą zmianę dążącą do większego zespolenia, musiał mu narzucać głos publiczny i parlament, czego mieliśmy dowód w rozprawach nad utworzeniem odpowiedzialnego ministeryum związkowego.

Czy w krajach związkowych panowało niezadowolenie z nowo utworzonego porządku rzeczy? Śmiało odpowiedzieć można przecząco. Niezaprzeczenie, że królowi saskiemu i książętom na pół znicestwionym nie bardzo było wygodnie w tym nowym porządku rzeczy, prawdopodobnie wzdychali oni na osobności, i bardzo, bardzo cicho, tak, żeby tych westchnień nie usłyszał hr. Bismarck, za przeszłością i do lepszej przyszłości, lecz niewątpliwie nie mogli już rachować na swoje ludy. Większość, lud, nie zostały dotknięte zaszłemi zmianami, a niezawodnie więcej to przemawiało do ich wyobraźni, że należały do wielkiego niemieckiego państwa, jak to, że należały ongi do śmiesznych państewek. Polityka pruska umiała i tu oszczędzać miejscowe stosunki i swobody; zmiana położenia, rzeczywista i zupełna, dotknęła przecież tylko miłość własną panujących, a objawiła się ludom i większościom, jedynie przetworzeniem wojska, które przedstawiało myśl narodową i demokratyczną, oraz wyborami do parlamentu Północnego Związku, który był zawiązkiem ogólnego parlamentu niemieckiego, a może czegoś w dalekiej przyszłości więcej, bo jednej, niepodzielnej niemieckiej rzeczypospolitej. Jak w wojsku utonęły wszystkie drobne wojska, tak w parlamencie znikły wszystkie odrębne przedstawicielstwa; a w obec tego ogólnego sejmu, inne, nie wyjmując pruskiego, z każdym dniem przemieniały się coraz więcej w podrzędne ciała. Jeżeli więc była rzeczywista, niezaprzeczona przewaga Prus, wypływająca z istoty rzeczy i loiki wypadków, to jednak polityka hr. Bismarcka umiała ją tak zręcznie — bez żadnej rze-

czywistej ofiary — ubarwić, zakryć, iż nie dawała się czuć, przynajmniej dotkliwie w Północnym Związku. Wszelki większy tu nieco pod tym względem nacisk, wszelkie działanie rządu pruskiego, głęboko niepolityczne na sposób ministrów wiedeńskich, wywołałoby było opór i odkryłoby słabe i ujemne strony dzieła. Rzecz bowiem godna uwagi, każdy Niemiec ma wrodzony wstręt do przewagi pruskiej; w teoryi, ale tylko w teoryi, odpycha ją z oburzeniem, w rzeczywistości przyjmuje ją potulnie, byle ubarwioną była myślą niemiecką. Niemiec ma szczególny wstręt do Berlińczyka, ale, bo też Berlińczyk jest najbunczuczniejszym Prusakiem, nie w czynach, ale w słowach. Berlińczykowi zdaje się, że wszystko, co się wielkiego zrobiło, on zrobił, i kołysany temi marzeniami, zasypia codziennie z przekonaniem o swojej wyższości. W życiu codziennem jest on najniewinniejszem w świecie stworzeniem, i nikt jeszcze w Niemczech nie uczuł jego przewagi.

W całym Północnym Związku wielka większość przyjmowała z zadowoleniem i zgadzała się na nowy porządek rzeczy, lecz tylko w najlepszem i najdobroduszniejszem przekonaniu, że ten nowy porządek, jest nie panowaniem pruskiem, ale początkiem jedności niemieckiej. Przyjmowała ona za pana naczelnika Niemieckiego Związku Północnego, nie króla Pruskiego, broń Boże! „Wszystko, co chcą dla Niemiec i ojczyzny, byle nie panowanie pruskie, byle nie przewaga Berlina“, mówił jeden bankokrata hamburgski, i dodawał jakby jaki kazuista: „Naczelnik Niemieckiego Związku Północnego jest moim panem, ale nie król Pruski“. Szczęśliwy to dar, dar tak subtelnego rozróżniania, którym obdarzony jest naród niemiecki! Dar to wielce podobny do złudzeń. Hr. Bismarck wszystko uczynił, aby to złudzenie jak najdłużej trwało, aby rzeczywista wszędzie przewaga Prus, nigdzie na razie zbytecznie nie dała się czuć; a tak kołysane marzeniami niemieckiemi

Niemcy, przyzwyczajały się powoli do przewodnictwa i przewagi pruskiej; a króla Pruskiego, chciałem powiedzieć, naczelnika Związku, coraz większy urok otaczał. Można się było o tem snadnie przekonać, przypatrując się podróży króla Wilhelma po zabranych i związkowych krajach. Przyjęcie ze strony ludności było szczere, serdeczne, nacechowane patryotyzmem niemieckim. Upatrywano same tylko zalety i cnoty w Naczelniku Północnego Związku, rozczulano się prawie nad jego czerstwą starością. Miasta hanzeatyckie szły na wyścigi w świetnem przyjmowaniu swojego nowego naczelnika. Trzeba było widzieć, jak ci republikanie, ci dumni senatorowie hamburgscy i lubeccy ubiegali się o zaszczyt goszczenia, bawienia a nawet rozmawiania z królem pruskim, nie, z naczelnikiem Północnego Związku. Widząc to, znajdujący się tam wówczas pewien Berlińczyk, złośliwie się uśmiechał i wielce się cieszył tą „czołobitnością i dworactwem tych hardych republikanów“. Dodajmy do tego wszystkiego com powiedział, że w całych Północnych Niemczech panowało przekonanie, że uległość nowemu porządkowi rzeczy nietylko jest obowiązkiem patryotycznym, ale także najlepszym interesem, a zrozumiemy i pojmiemy jeszcze lepiej to uwielbienie i tę czołobitność względem naczelnika Północnego Związku.

Jeżeli jednak w oczach Niemców nie było króla pruskiego, a był tylko naczelnik Północnego Związku i przyszły naczelnik Niemiec, to z drugiej strony sam król pruski z każdym dniem zapewne nieświadomie przeistaczał się w naczelnika Północnego Związku. Świetniejsze to stanowisko, a więc łatwo było przyzwyczaić się do niego. Gdyby po dokonanych przyłączeniach król pruski uważał się był jedynie za króla pruskiego, i więcej cenił swoją koronę królewską, jak swoją buławę naczelnika Związku, stanąłby był względem siebie samego w tem położeniu, w jakiem względem niego znaj-

dował się król saski! Stanowisko nie do pozazdroszczenia, a tem mniej do zamienienia z stanowiskiem naczelnika Północnego Związku i wypowiedzmy to urocze słowo „cesarza Niemiec!“ Nie było więc obawy, aby król pruski pozostał tylko królem pruskim, był już bowiem czemś nierównie więcej, bo prawdziwym naczelnikiem Niemiec; tym naczelnikiem zrobił go hr. Bismarck, i tak on jak konieczność polityczna nie pozwalały mu już złożyć tej godności.

Więc przeciwnicy nowo utworzonego porządku rzeczy, ci wszyscy, którzy słuszne mieli powody życzyć sobie, aby jak najprędzej runął, nie powinni byli się łudzić ani opierać swoich nadziei na jakiemś współzawodnictwie prusko-niemieckim, ani też na wewnętrznych kłopotach Północnego Związku. Politycznego współzazawodnictwa tam nie było; rzeczywistych kłopotów ani groźnych spraw także nie było. Było tylko niezadowolenie z powodu zbyt wysokich podatków, lecz ono było właśnie jednym powodem więcej dokończenia dzieła. Przewaga Prus była już dokonana, lecz nie dawała się czuć dotkliwie Niemcom, a w ich przekonaniu i sumieniu obracał się tylko na korzyść jedności, potęgi i bezpieczeństwa wspólnej ojczyzny. Jedynem następstwem tego stanu rzeczy była konieczność dla Prus dokończenia dzieła, spełnienia posłannictwa niemieckiego i jedności niemieckiej na ich własną korzyść i pod ich przewodnictwem. A to następstwo było właśnie groźbą dla świata, tem większą im więcej siły a mniej ujemnych stron, dopatrzyliśmy się w nowo utworzonem państwie! Jeżeli stosunki polityczne tego państwa przedstawiły nam obraz ładu siły i potęgi, to stan duchowy jego społeczeństwa okaże nam jeszcze nierównie większą wyższość, i w nim właśnie szukać należy głównej przyczyny powodzeń i potęgi.

Zastanowić mi się zatem jeszcze wypada nad składem i usposobieniem moralnem społeczeństwa północno-

niemieckiego, a następnie nad stosunkami zewnętrznemi utworzonego państwa i jego stanowiskiem, oraz nad polityką hr. Bismarcka względem południowych Niemiec.

Namiętnością, raczej ułomnością wieku, było hołdowanie sile materyalnej; ztąd też uznanie bezwzględne, a nawet uwielbianie czynu dokonanego, który jest zwykle bezpośrednim skutkiem siły materyalnej; ztąd także bałwochwalstwo pieniędzy, które są najidealniejszym dla ludzkości objawem siły materyalnej; ztąd nareszcie wynoszenie pod niebiosa tych, którym szczęście sprzyjało, to szczęście, które zwykle towarzyszy sile, a którego ulubieńcem był hr. Bismarck. W zapale swoim i w uwielbieniach dla siły materyalnej, ludzkość zapominała o potędze siły moralnej.

A jednak, to zawsze jest grubym błędem, pomyłką, obłąkaniem, braniem skutków za przyczynę. Jak pieniądz nie stworzy pieniądza, tak siła materyalna nie zdolna wytworzyć siły materyalnej, a jak dopiero pracą dojść można do pieniędzy i bogactw, tak znów w świecie społecznym i politycznym dochodzi się do prawdziwej siły materyalnej, tylko za pomocą zdrowia moralnego, które jest właśnie siłą moralną. Tak jest, jeżeli chcesz dociec przyczyn wielkości lub upadku państwa, to przedewszystkiem zajrzyj w głąb jego społeczeństwa, a tam znajdziesz pierwiastki potęgi lub słabości, tam odgadniesz, czy ta potęga jest chwilowa lub długotrwała, tam nareszcie odszukasz prawdziwą przyczynę wyniesienia się nad sąsiadami, do którego siła materyalna była tylko narzędziem, a skuteczność tego narzędzia w celach państwowych, skutkiem tylko zdrowia moralnego społeczeństwa.

Główną przyczyną potęgi i siły rzeczywistej Północnego Związku, a wyższości jego nad innemi państwami, był stan moralny jego społeczeństwa, oraz istota północnych Niemców.

Stan moralny tego społeczeństwa przedstawiał niezaprzeczenie wyższość nad innemi europejskiemi społeczeństwami, już tem samem, że zepsucie było tu stosunkowo nierównie mniejsze, jak w innych częściach Europy. Istota zaś, i usposobienie północnych Niemców, zapewniały im szczególniej pod względem politycznym, wyższość nad południowymi Niemcami, wyższość, która była zadatkiem przewagi i panowania północnych Niemców w Niemczech.

Kiedy się odczytuje dzieło Tacyta o Germanach, odnajduje się główne ich rysy w społeczeństwie północnych Niemiec: to podobieństwo było szczególniej uderzającem, porównywując społeczeństwo północno-niemieckie z społeczeństwem francuskiem; tak, iż przeciwstawienie, które Tacyt chciał zrobić świata germańskiego z światem rzymskim, zastosować można było do Francyi napoleońskiej i cezaryzmu. A rzecz godna zastanowienia, jak wtedy Germani stali groźnie i nieprzyjaźnie naprzeciw cesarstwa rzymskiego, tak samo Północne Niemcy stały naprzeciw Francyi napoleońskiej.

Przypatrując się życiu społeczeństwa w całym niemal Północnym Związku, uderzonym się było widokiem odbijającym niezmiernie od tego, co się widziało w innych krajach, mianowicie w południowych Niemczech, szczególniej zaś w Wiedniu. Przy nader wygórowanej cywilizacyi, przy rozwinięciu zupełnem tego wszystkiego, co służy do zaspokojenia potrzeb materyalnych życia, zastanawiał tam zupełny brak zbytku i przepychu, pod ciężarem których inne społeczeństwa zgarbiły się już były, a którym one tak bezwzględnie hołdowały, iż wyzuwały się dla nich z wszelkich szlachetnych uczuć, wszelkich wyższych dążeń.

Społeczeństwo północno-niemieckie miało pod ręką wszystko, co potrzeba do przyjemnego, do wygodnego, nawet do zbytkowego życia, lecz tego wszystkiego

nie nadużywało, nie nadużyło było jeszcze i dlatego zachowało ten hart, którego brak czuć się dawał niemal wszędzie, a który to brak był niezaprzeczenie główną przyczyną ogólnego omdlenia politycznego. Zbytek nietylko nie był tu jeszcze bożkiem, przed którymby palono kadzidła, ale przeciwnie, był on złem, którego się wystrzegano. Zepsucie zachodnie nie znane prawie tutaj, a jeżeli ukazywało się od czasu do czasu, pod tym lub owym kształtem, to miało cechy zamiejscowe, było przejeżdżającem, ale ustalić się nie zdołało i nie wpuściło korzeni w grunt nader dla niego niewdzięczny.

Strona lekka obyczajów miała pewną cechę prostoty nawet dobroduszności, których ostatnim wyrazem była niesłychana taniość wszelkich zabaw i uciech życia. Najlepszą wskazówką stanu obyczajów jest kobieta i miejsce, jakie zajmuje w życiu, szczególniej w życiu zbytkowem. Otóż, jeżeli w innych krajach kobieta stawała się coraz więcej podobną do rzymskiej z czasów cesarstwa, i znajdowała się na pochyłości, prowadzącej do upadku, po której pociąga za sobą całe społeczeństwa; to w północnych Niemczech, kobieta zachowała była znamię czysto mieszczańskie, prostotę, skromność i ciche w towarzystwie miejsce. Kobieta nie stała się tam przedmiotem ani zbytku ani próżności, a tem samem nie była jak gdzieindziej powodem zguby materyalnej i moralnej. Mniej wykwintna i mniej zepsuta jak na zachodzie, nie zajęła ona tam ani przeważnego, ani szkodliwego stanowiska. Zygmut Krasiński gdzieś powiedział, że wpływ kobiety na mężczyznę osłabia jego wrodzony hart. Otóż niewątpliwie wpływ kobiety na społeczeństwo szczególniej zachodnie, osłabiało jego siłę męską. W północnych zaś Niemczech kobieta *mutatis mutandis* zajmowała to samo stanowisko, które wedle Tacyta miała w społeczeństwie germańskiem, i dlatego też tam obyczaje odznaczały się męzkością i zdrowiem. Oszczędność wielka,

mądra oszczędność we wszystkich stosunkach życia była także objawem czerstwości tego społeczeństwa, zarazem w jego rękach dźwignią i siłą gospodarczą, bo po pracy jest ona najpotężniejszą.

Jeżeli cudzoziemiec znajdujący się w Wiedniu słusznie zadawać mógł sobie pytanie — kiedy tu ludzie pracują? To przeciwnie w północnych Niemczech spytaćby się był powinien — kiedy tu ludzie się bawią? W samej rzeczy, uderzającem tam było, jak ludzie mało czasu poświęcali rozrywkom, jak wciąż i zawsze byli zajęci, jak nareszcie rozrywki ich były tanie i skromne.

Było to społeczeństwo pełne prostoty, powagi i cnót domowych i publicznych, lecz zarazem najnudniejsze w świecie. Muzyka po ogródkach i to najczęściej ciężka, chciałem powiedzieć, głęboka i nie zrozumiała, jak Wagnera, przy tej muzyce kufel piwa, *Kladeradatsch* w rękach mężczyzn, pończocha w rękach kobiet, oto zbytki niedzielne, których sobie dozwalali mieszkańcy Północnego Związku. I jakżeż nie mieli mieć wyższości nad temi narodami, szczególniej Niemcami, którzy z każdego dnia robili niedzielę, i których jedynym celem były: zabawa i używanie!? Ten sposób życia, te obyczaje tak odmienne od obyczajów wieku, wprowadzały w osłupienie cudzoziemca, czuł się on tam więcej jak gdzieindziej obcym i odosobnionym, a znudziwszy się potężnie w krótkim bardzo czasie, opuszczał czemprędzej te siedziby cnót i nudów.

Widok, jaki przedstawiał Berlin i cały Północny Związek, podobny był do Rzymu, kiedy zabory jego ograniczały się do Italii, i kiedy nie przeniosły się jeszcze do niego ani bogactwa Kartaginy, ani wykwintność grecka, ani przepych azyatycki. Ta sama tu, co i wówczas tam, panowała prostota obyczajów, uczciwość i sumienność, niemal śmieszne w obec ogólnego zepsucia; pracowitość nie znużona i dokładna, i ta nad wszystkie największa, najdzielniejsza cnota, której brak był już

coraz widoczniejszy w innych społeczeństwach, a która zowie się, a raczej zwała się dawniej — patryotyzmem. Nie było tam wyzyskiwania sprawy publicznej dla prywatnych korzyści, nie było ministrów i dygnitarzy wzbogacających się na urzędach, nie było szafowania groszem publicznym; zepsucie i sprzedajność nie były tam środkami rządzenia.

Tyle wstrzemięźliwości w wieku tak rozuzdanym, tyle oszczędności w wieku tak rozrzutnym, tyle miary i uczciwości w wieku tak chciwym, godne są podziwienia i doprowadzić muszą do przekonania, że to społeczeństwo pod względem obyczajowym wyższem było od innych europejskich społeczeństw dlatego, że mniej od nich było zepsutem, i że ta wyższość była pierwszą przyczyną jego przewagi politycznej.

Jeżeli w obyczajach, w zabawach dostrzegliśmy wielkiej prostoty i skromności, to znów w interesach panowała sumienność a brak lekkomyślności. W ogóle robiły się tam tylko interesa tak nazwane pewne, oparte na rzeczywistej podstawie. Znaczne były przedsiębiorstwa, lecz nie było jak gdzieindziej, szczególniej w Wiedniu, chorobliwej gorączki interesów; tam więcej ceniono pracę, w Wiedniu więcej pieniądze, to też tam były poważne przedsiębiorstwa, w Wiedniu szalone spekulacye. W północnych Niemczech — było to odznaczającem je znamieniem — gra giełdowa, gra na różnicę, a więc najstraszniejsza z gier, najbardziej szerząca zepsucie, nie przybrała była tych rozmiarów, które widzieliśmy gdzieindziej, szczególniej w stolicy Austryi. W piśmie wyszłem w Wiedniu u Mechitarystów pod tytułem *L'Austriche et les Chemins de fer turcs*, czytać można było następujące ze wszech miar słuszne uwagi, znamionujące wybornie ówczesną w Wiedniu i całej Austryi gorączkę fałszywych obrotów pieniężnych. „Słuszniej byłoby przyznać, że brak wielki w Austryi przedsiębiorczości, i że Wiedeń szczególniej przyczynił się

wielce pod względem obrotów pieniężnych do ustalenia centralizacyi, która stała się pierwszym zarodem pochłaniającego i monopolizującego wszystko samolubstwa, a która przyzwyczaiła zarazem nasz świat pieniężny obracać się wyłącznie w zbyt ciasnem kole. W samej rzeczy nasz świat pieniężny wielce zręczny w robieniu miejscowych wyzysków i giełdowych obrotów, zadawalnia się niemi i nie pyta o nic więcej". Te wyrazy znamionujące doskonale fałszywy kierunek jaki wzięły były sprawy pieniężne w Austryi, kierunek prowadzący prosto do klęski Lawa, wzięte odwrotnie, odmalują nam stan rzeczy i przedsiębiorstw w Berlinie i w północnych Niemczech, stan kwitnący i oparty na pewnej podstawie, która była zadatkiem przyszłej pomyślności. Zajmującemi pod tym względem byłyby statystyczne porównania, a niezawodnie wykazałyby, że w Północnym Związku stosunkowo mniej nierównie było rocznie bankructw, jak w południowych Niemczech, szczególniej w Austryi. Były to skutki charakteru narodowego, lecz właśnie w nim szukać wypada przyczyn upadku lub pomyślności i przewagi północnych Germanów w wielkiej ojczyźnie germańskiej.

Umysły były tu poważne, usposobienia stałe i zimne jak klimat, nie było tu wielkiego dla wyobraźni pokarmu, nic tu nie pobudzało do marzeń, wszystko do głębszego i poważnego zastanawiania się. Praca była tłem życia; nie była ona jedynie środkiem do dopięcia uciech życia, ale była sama dla siebie celem. Ciężkie to było społeczeństwo jak skała; ale jak skała silnie w swej podstawie osadzone. Jak już to zauważyłem, ogólna służba wojskowa niemały wywarła wpływ, nadając hart oraz zdrowie. Jeżeli gdzieindziej tysiące rozrywek, zabaw, wykwintnych i sztucznych wymysłów, niezdolne już były zaspokoić żądzy uciech, to tu społeczeństwo niezawodnie nie bawiło się, ale co

ważniejsza — umiało się nudzić; ten zaś tylko dopina celu, który dla osiągnięcia go — nudzić się umie! Nie było to społeczeństwo już przeżytem! Praca nie nużyła ale zajmowała; umysły zaś były głównie zajęte sprawami publicznemi, polityką, wojskowością, poważnemi rzeczami. Te obyczaje, te rysy uwydatniały się nietylko w zabawach, ale także w sztukach pięknych; było dla nich tylko konwencyonalne uszanowanie, nie było zapału, nie było tego uwielbienia, którem odznaczają się społeczeństwa wykwintne a zwykle już na pół zepsute. Sztuki piękne tu nie kwitły, ale miały zapewnione dla siebie miejsce. Społeczeństwo to, w którem kobieta nie stała się bynajmniej przedmiotem zbytku, a w którem piwo było główną potrzebą życia, musiało być i było w samej rzeczy ciężkie, poważne, cnotliwe, ale przedewszystkiem okropnie nudne.

Rzecz godna uwagi, te rysy charakteru narodowego słabły, ta cnota germańska psuła się, te obyczaje rozwiązlejszemi się stawały im więcej szło się od północy na południe. Widocznem to już było w samem łonie Północnego Związku, w Frankfurcie i krajach nadreńskich, widoczniejszem się stawało w W. Ks. Badeńskiem i w Bawaryi, różnica zaś była krzyczącą w Wiedniu — a dopiero porównywując obyczaje i sposób życia w Berlinie i w Wiedniu — spostrzegało się tysiące przyczyn przewagi pruskiej. Porównanie to razem doprowadzić musiało do przekonania, że z istoty rzeczy, że z powodu wyższości charakteru społecznego i politycznego, przeznaczeniem północnych Niemców było panować nad innymi; południowych bawić się.

Dodajmy do tego, że społeczeństwo północnoniemieckie nie ukrywało w swem łonie żadnych zbyt groźnych zagadnień ani państwo zbyt naglących wewnętrznych spraw politycznych. Niezadowolonych z urzędu nie było, nie było ludzi, którzyby bawili się w opór lub wywrót. Społeczeństwo to było na wskróś demo-

kratycznem; republikanizm jednak leżący na dnie myśli demokratycznej i będący tym ideałem, z którym najczęściej demokracya się rozmija, nie dojrzał tu jeszcze wcale. Byli i tu oczywiście jak wszędzie niechętni, zawistni, zazdrosni, zepsuci, krewcy i ludzie bez czci i wiary, słowem były i tu nieodłączne od istoty ludzkiej złe namiętności; lecz północne Niemcy miały klapę bezpieczeństwa w corocznem wychodźtwie do Ameryki, za pomocą którego wyrzucały z siebie rok w rok zarzewia choroby, najniebezpieczniejsze żywioły, bo te, które nie mogły znaleźć wygodnego umieszczenia w ojczyźnie. Ameryka dla Północnego Związku była Kajenną lub Sybirem uprzedzającym bez ohydy wygnania, przeciwnie z całym urokiem nadziei lepszej tam przyszłości!

Uczucie religijne nie było zbyt silne w tem społeczeństwie, i mogłoby to się stać kiedyś pierwszą przyczyną upadku; racyonalizm w rzeczach wiary i obojętność religijna mogły być szkopułami; jednak ten brak głębszego uczucia religijnego nie psuł jeszcze zgodo-dźwięku i równowagi w północnych Niemczech; przecież cnotom zbywało już na silnej religijnej podstawie, cnoty nie były wynikiem wyższych duchowych pobudek, ale czysto ziemskich, były, że tak powiem — cielesne. Społeczeństwo to odznaczało się obojętnością religijną, widocznie przejęte było tą prawdą, że panowanie jego jest tego świata. Nie było ani zapału, ani zagorzalstwa religijnego, ale nie było też jak w Wiedniu bezrozumu niedowiarstwa; nie było, jak tam, nienawiści do cudzych przekonań i do innych wyznań, nie było także zbytniego przywiązania do własnego; nie było nabożności, ale nie było także bezbożności. Widzieć można było nieraz po wsiach pracujących w polu w niedzielę, jakby w Paryżu, ale — za opłaceniem się policyi. Jednak nie było zaparcia się lub wyzucia zupełnego z religii, przeciwnie była na-

wet praktyka religijna; ale religia jak zegarek, służyła tylko do uporządkowania życia.

Skończę uwagą, że to społeczeństwo, które doszło do tak wysokiego stopnia pomyślności, nie dostało zawrotu głowy, że skromność i trzeźwość były jego znamionami, że tak jak wojsko skromniejszem ono było po, jak przed zwycięstwem, a dojdziemy do przekonania, że miało się do czynienia nietylko z siłą materyalną, ale także z siłą moralną, nietylko z potężnem państwem, ale z zahartowanym, zdrowym, pełnym siły i soków żywotnych narodem, i że jego moc materyalna była tylko wynikiem warunków moralnych, w których się znajdowało; zarazem zwiększy się w naszych oczach niebezpieczeństwo, które ztąd groziło światu i równowadze europejskiej, oraz pewność, że przeznaczeniem północnych Niemców było — zapanować nad Niemcami.

Ogromne to ciało, tak czerstwe i silne, które się zwało Północnym Związkiem Niemieckim, ożywione było od głowy do stóp wielką myślą narodową, myślą jedności narodowej i zespolenia całych Niemiec w potężną całość, która nietylko nie potrzebowałaby obawiać się niczego od obcych i sąsiadów, ale która przeciwnie pisałaby prawa innym narodom i państwom. Myśl ta, myśl wielkiej ojczyzny, coraz więcej rozkrzewiała się i wkorzeniała w umysłach, a polityka hr. Bismarcka i osiągnięte już skutki wpoiły w większość przekonanie o możliwości ziszczenia się jej i dosiągnięcia świetnej przyszłości, zespoliły wszystkich, stronnictwa i kraje w idei niemieckiej i przewagi niemieckiej. To poczucie posłannictwa do spełnienia, to dążenie Północnego Związku do przewagi w jedności, było niezaprzeczenie szczególniej w chwili, kiedy inne narody i państwa żyły z dnia na dzień, bez wytkniętego celu bez polityki daleko sięgającej, siłą, która już sama przez się zapewniała mu wyższość w Europie.

Obok tych wszystkich świetnych stron dzieła hr. Bismarcka, była strona odwrotna, a tę określę w dwóch słowach: konieczność dokończenia dzieła. Niech nikt się nie dziwi, że nazywam to odwrotną stroną, że powiedziawszy wyżej, iż myśl jedności niemieckiej była siłą ożywiającą Północny Związek, twierdzę teraz, że konieczność dopełnienia tej jedności była ujemną i niebezpieczną stroną położenia. Przedewszystkiem, co tylko jest, tak dla człowieka jak dla narodu, koniecznością krępuje jego wolną wolę, nie pozwala mu zbyt często wybierać ani środków ani godziny, pcha go naprzód, a nie daje mu czasu do używania nabytego już dobra; ileż razy działając pod naciskiem konieczności idzie się ku klęsce. Dla tego też ujemną stroną dzieła hr. Bismarcka była właśnie ta konieczność dla niego, dokończenia go, konieczność dopełnienia jedności niemieckiej, utworzenia potężnego w środkowej Europie państwa i potwornego swoją wielkością aglomeratu — a to pod niebezpieczeństwem runięcia tego, co już zbudował był. Niewolno mu było na tej drodze wytchnąć, a więc mogło mu na niej zabraknąć tchu. Cztery były główne powody tej konieczności, a wynikały one z tego, com dotąd powiedział.

Pierwszym powodem była potrzeba nabycia morza i spotęgowania sił morskich, tak potężnego na lądzie państwa. Drugim, kosztowność wytworzonego stanu rzeczy, objawiająca się coraz większemi podatkami i niedoborami. Coraz większa wysokość podatków musiała być usprawiedliwioną w oczach ludów, inaczej stałaby się była niewątpliwie zarzewiem ogólnego a groźnego niezadowolenia; nie mogła zaś ona być inaczej usprawiedliwioną, jak tylko wielkim celem narodowym, a tym celem nie mogło być nic innego, jak tylko zjednoczenie Niemiec dla zapewnienia ich bezpieczeństwa i niepodległości zupełnej w obec obcych i sąsiadów, tak w obec możliwych zaborów francuskich, jak

w obec zależności od polityki rosyjskiej. Istotne zaś ulżenie ciężarów i zmniejszenie podatków nastąpić mogło wtedy tylko, kiedy Północny Związek opuściwszy wyczekujące stanowisko, dokonaniem drugiej części dzieła hr. Bismarcka dopełniłby pierwszą, a świat uznałby całość. Wtedy bowiem Północny Związek zamieniał się w potężne w środkowej Europie państwo, które będąc uznanem, bo narzucającem uznanie, nie potrzebowałoby ani tak wielkich uzbrojeń, ani tak wielkich wydatków, aby strzedz swojej niepodległości, bezpieczeństwa i bytu. Wtedy bowiem jedność niemiecka uwolniona od wszystkich nieprzyjaciół wewnętrznych stawała się tak potężnym czynnikiem, a zjednoczone Niemcy tak potężnem państwem, że nikt ich zaczepić, ani im grozić nie śmiałby. Wtedy możnaby postawić wojsko tego ogromnego państwa na stopie pokojowej, a następnie przejść może do urządzeń mniej kosztownych. Obecny zaś stan niepewny, bo mający jeszcze w Niemczech nierozbrojonych, w Europie uzbrojonych przeciwników, wymagał zbytecznych wysileń, które prawdopodobnie ustałyby wtedy, kiedy wyczekujące stanowisko skończyłoby się, dokończeniem dzieła.

Trzecim powodem konieczności dokończenia dzieła była myśl niemiecka, myśl jedności niemieckiej i wielkiej ojczyzny germańskiej. Była ona, potężnem narzędziem w rękach hr. Bismarcka, lecz właśnie dla tego nie mógł się on jej przeniewierzyć. Gdyby więc nawet celem hr. Bismarcka było tylko utworzenie potężnego państwa, to jednak zmuszonym on był dążąc do niego, zmierzać do zjednoczenia całych Niemiec, bo dawało mu to jedynie siłę duchową, poparcie w Niemczech, a w ostatecznych swoich skutkach uwalniało go od najzaciętszych, jeżeli nie najniebezpieczniejszych nieprzyjaciół i tworzyło właśnie owo potężne państwo. Wiele mówiono o patryotyzmie niemieckim, i nieraz, szczególniej u nas, zbyt lekki o nim wydawano sąd.

Jest on rzeczywisty, silny, a nawet dla innych groźny, jeżeli nie więcej przywiązany do ziem zagarniętych i niemczonych, jak do ziemi rodzinnej. Nie jest to może ów idealny patryotyzm do jakiego my nawykli, jest on więcej szczepowy jak ojczysty, lecz jest potężny a zaborczy. Poczucie jedności i dążenie do niej nie było spowodowane u Niemców dodatniem patryotycznem uczuciem, ale uczuciem obawy przed obcymi i chęcią zapewnienia się i wzmocnienia w obec nich, zarazem zapewnienia swojego panowania nad ludami i krajami zagarniętemi. Obawa przewagi i zaborów francuskich była głównym bodźcem pchającym Niemców do jedności. Wojny pierwszego cesarstwa napoleońskiego i panowanie francuskie w Niemczech tak smutne, tak przykre, tak upokarzające zostawiły wspomnienia, że ta obawa była ogólną, była, że tak powiem, popularną i weszła w krew całego społeczeństwa niemieckiego. Tak więc pierwszą i główną przyczyną dążenia do jedności była bojaźń, a wiadomo, że pod naciskiem tego uczucia najwięcej małoduszni, cudów nieraz dokazują. Tem mniej dziwić się można, jeżeli to uczucie pchało całe Niemcy w objęcia Prus i czyniło z nich powolne narzędzie hr. Bismarcka!

A jednak i temu uczuciu oddać wypada sprawiedliwość; obawa bowiem obcego panowania jest zawsze szlachetną, chęć zabezpieczenia się przed niem, uprawnioną.

Teraz rozważę, czy to, co już zrobionem było w tym celu, czy utworzenie Północnego Związku, było dostatecznem; czy nareszcie stan rzeczy w Niemczech dawał Niemcom większą jak dawny związek rękojmię bezpieczeństwa i zapewnienia przed obcem panowaniem i obcemi wpływami?

Otóż niewątpliwie przed wojną 1866 r. i rozbiciem dawnego związku a utworzeniem północnego, Niemcy przedstawiały nierównie większą siłę odporną jak teraz,

bo były całe w tym celu zjednoczone, bo cała potężna wówczas armia austryacka stawała w razie danym w obronie nietykalności ziem niemieckich. Teraz przeciwnie, nietylko że Niemcy były przepołowione, a raczej na trzy odłamy rozbite, ale co ważniejsza, Austrya postawioną została w tem położeniu, że musiała występować, a przynajmniej działać przeciw nowemu porządkowi rzeczy. Dla tego też ministrowie francuscy broniący w izbach polityki rządowej, mieli pod pewnym względem słuszność, twierdząc, że wypadki zaszłe w Niemczech rozdzieliły na dwoje, a temsamem osłabiły zbiorowe siły Niemiec wobec Europy, wobec Francyi. Lecz to rozumowanie o tyle tylko było prawdziwe, o ile przypuszczało się w dobrej wierze, że to, co się już stało, było końcem dzieła a nie początkiem końca. Rozumowanie zaś to, dla tego było błędne i w błąd wprowadzające, iż opierając się na niem, ministrowie cesarza Napoleona zapominali, z umysłu czy nie, o tem, że kiedy przedtem nie było w Niemczech państwa zdolnego doprowadzić je do zupełnej jedności, po wojnie 1866 r. i traktacie pragskim powstało państwo, które nietylko mogło, ale musiało się o to pokusić, a tem państwem był Północny Związek Niemiecki dzieło hr. Bismarcka. Tak więc właśnie dla tego, że rozumowanie ministrów francuskich słuszne było w połowie, Niemcy i hr. Bismarck dążyć musieli do wyjścia z chwilowego położenia rzeczy i dokończenia dzieła. Hr. Bismarck wybornie czuł tę słabą i ujemną stronę swojego dotychczasowego dzieła, czuł on, że rozdzieliło ono na dwie części Niemcy, i że takie położenie rzeczy uderzyć i źle usposobić musi umysły, korzyścią jaką przynosiło Prusom, ze szkodą wielkiej ojczyzny, skoro natychmiast po położeniu przez ministrów francuskich nacisku na ten stan rzeczy, ogłosił tajne traktaty wojskowe z południowemi Niemcami, które acz niedostateczne, były jednak piorunującą i zuchwałą od-

powiedzią na mowy ministrów napoleońskich, zarazem zapowiedzią drugiej części dzieła.

Z tego, com dopiero powiedział, wynika, że czwartym powodem konieczności dokonania dzieła, była potrzeba zapewnienia tak w obec swoich, jak w obec obcych, tak w obec Niemców, jak w obec Francyi, pierwszej części; potrzeba zapewnienia, przez zjednoczenie Niemiec, korzyści odniesionych przez Prusy i zabezpieczenia ich, tak przed wewnętrznymi nieprzyjaciółmi ich przewagi, jak przed zaborami francuskiemi w Niemczech i ciążeniem na nie Rosyi. Nie szło tu może w gruncie rzeczy o zjednoczenie Niemiec ani o dobro Niemiec ani o patryotyzm niemiecki, ale szło niewątpliwie o stworzenie tak silnego państwa, aby wewnątrz nikt nietylko nie był dla niego groźnym, ale żeby nikt nawet nie mógł mu grozić, szczególniej w imieniu myśli i interesów niemieckich, i ażeby na zewnątrz Francya nie mogła się pokusić o rozbicie go lub zwiększenie się jego kosztem, a zarazem, żeby nie potrzebowało ono nietylko opieki, ale nawet przymierza rosyjskiego. Takiego zaś państwa nie mógł hr. Bismarck utworzyć inaczej, jak tylko — jednocząc pod przewodnictwem Prus całe Niemcy.

Rozpoznałem więc już stan pierwszej części dzieła hr. Bismarcka, w 1869 r. oraz środki materyalne i duchowe, któremi państwo przez niego stworzone rozporządzało do rozpoczęcia i dokończenia drugiej części dzieła; nareszcie wskazałem konieczność dla tego dzieła dopełnienia się drugą częścią.

Obraz ten jednak nie byłby zupełnym, gdybym nie zastanowił się nad człowiekiem niepospolitym, który przewodniczył całemu dziełu, który jeden mógł zapewnić jego trwałość, zakończając je, nad twórcą Północnego Związku i przewagi pruskiej w Niemczech, nad — hr. Bismarckiem.

Przedewszystkiem dla Prus i Północnego Związku sam przez się hr. Bismarck stanowił siłę i wyższość; taki mąż stanu był jeszcze jedną rękojmią więcej powodzenia i przewagi nietylko w Niemczech, ale w Europie, szczególniej w czasach, w których wielki był brak prawdziwych mężów stanu; nareszcie jego osobistość była zadatkiem i zapowiedzią dalszych wypadków. Hr. Bismarck więc stanowił nie małą wartość polityczną, a nowo utworzone przez niego państwo przy tylu wyżej wymienionych korzyściach, miało jeszcze to szczęście, że przewodniczył mu prawdziwie wyższy mąż stanu, który potężnym swoim politycznym rozumem górował nad położeniem, i który sam jeden w Europie wiedział, czego chce. Tak jest, hr. Bismarck był duszą tego silnego tworu i sternikiem tego Lewiatana.

Hr. Bismarck miał to nie małe szczęście dla politycznego człowieka, że go przez długi czas lekceważono; tem samem nie przeceniono go przedwcześnie, nie otoczono go, ani uraczono jałowemi hołdami; nie zużył się on więc przed czasem, a nim dokonał wielkich rzeczy, nikt się go nie obawiał, ani nikogo nie rozczarował. Pokazuje się, że dla dokonania czegoś wielkiego najlepszym zawsze środkiem jest ten, którym się przysługiwał Brutus, że aby coś zrobić dla ojczyzny i współobywateli, trzeba uchodzić w ich oczach za waryata. Hr. Bismarck nie udawał, ani też nie uchodził za waryata, ale poczytywany był za lekkomyślnego śmialka politycznego. Ten zapalony junker w swoich zajadłych walkach z demokracyą więcej bawił dowcipem, jak przekonywał rozumowaniem, ten wąsaty, a wielomowny i prawdomowny ambasador wzbudzał politowanie we wszystkich starych, gładko ogolonych a milczących dyplomatach. Słowem, mówiąc o nim, miało się uśmiech na ustach, tak jak w Rzymie ruszano z politowaniem ramionami, mówiąc o towarzyszu Tarkwiniuszów. Tysiące mamy dowodów lekceważenia, z ja-

kiem mówiono i sądzono późniejszego kanclerza Północnego Związku; tak, że ledwie wielki jego i złośliwy dowcip ratował go od śmieszności. Przytoczę może najlepszy przykład.

Pewnego dnia pan Bismarck, wówczas dopiero poseł przy tej rzeszy niemieckiej, którą w kilka lat później miał rozbić, znajdował się w Paryżu; znajdował się tam także późniejszy jego, a tak nieszczęśliwy współzawodnik baron Beust. Była to błoga dla późniejszego austryackiego kanclerza chwila, w której ani światu ani jemu nie znanym był jeszcze Bismarck. Poseł saski w Paryżu baron Sebach, zaprosił obydwóch na obiad do jednej z głównych wówczas, a nieco oddalonych gospod, dla zapoznania swojego przełożonego z dowcipnym junkrem pruskim. Obiad był wesoły i ożywiony, germańscy ministrowie przebrali nawet podobno miarę, zasmakowawszy w francuskich winach; szczególniej pan Bismarck był przy końcu obiadu pełen wesołego usposobienia. Puszczono się z powrotem piechotą, baron Sebach zostawał się z umysłu w tyle, a na przodzie szli Beust i Bismarck, prowadząc żwawą rozmowę polityczną, w której ostatni żartobliwie, przepowiadał najdokładniej ministrowi saskiemu — wszystkie zmiany w Niemczech, które wojna 1866 r. sprowadziła i te, które w przyszłości pociągnąć miała za sobą, a które nazwałem dokończeniem dzieła hrabiego Bismarcka. Bismarck twierdził wtedy w obec osłupiałego, lecz wielce niedowierzającego ministra saskiego, że te małe państewka i królestwa w Niemczech — nie wyjmując Saksonii — są tylko śmiesznemi, że muszą być zniesione na korzyść większej spójni i jedności niemieckiej, że uczynić to mogą tylko Prusy, gdyż one jedne dość silne i śmiałe, aby przyjąć na siebie to posłannictwo, nareszcie, że to stać się musi, wcześniej czy później dla dobra Niemiec i zapewnienia ich jedności. Po rozejściu się Beusta z Bismarckiem, baron

Sebach przybliżył się do pierwszego i z ciekawością pytał o jego zdanie o Bismarcku. „Ależ to waryat ten wasz Bismarck, odparł Beust, on dziś tak rozumuje, jak ja kiedy byłem studentem“. Należało to do szczęścia Bismarcka, żeby być niezrozumianym przez głównego przeciwnika jego polityki i przewagi pruskiej w Niemczech!

Pomyłka co do Bismarcka była w początkach niemal ogólna, tak w Niemczech, jak w podwojach paryskich, gdzie bawiono się dowcipami Bismarcka, lecz nie posądzano go wcale o rozległe i niebezpieczne zamiary, nie przeczuwano w nim pana położenia europejskiego; słowem, przez długi czas nie zapatrywano się na niego nigdzie zbyt poważnie. Już był ministrem, a nie dopatrzono się w nim nic innego, jak tylko błędnego rycerza junkierstwa i bezbudżetowego z łaski bożej panowania. Czyż nie wiadomem jest, jak u nas lekko sądzono tego męża stanu; jak — nieszczęśni — radowaliśmy się w początkach powstania ową sławną konwencyą zawartą z Rosyą, która w naszych oczach była tak wielkim błędem, tak studenckim krokiem Bismarcka, i która miała zrobić z naszej sprawy, sprawę europejską, która zaś rzeczywiście stała się główną przyczyną bezmiernej naszej klęski i tryumfu naszych wrogów!?

Tak więc Bismarck osłonięty zaślepieniem ogółu, doszedł niewidzialny dla przeciwników i nieprzyjaciół aż tam, zkąd mógł już nie grozić, ale uderzyć i zadać nieprzyjacielowi najdotkliwsze, ba, mordercze ciosy. Wtedy świat się ocucił i zaczął poznawać w nim wielkiego, niebezpiecznego męża stanu, niestety zapóźno, bo wtedy dopiero, kiedy już czynami dowiódł, że nim był.

Niepodobna tu nie przypomnieć, że w piśmiennictwie polskiem, pod tym względem, uderzający stanowi wyjątek, szereg rozpraw o sprawach niemieckich i pru-

skich Maurycego Manna w Czasie. Od pierwszej chwili pisarz ten, przeczuwa w Bismarcku męża stanu, który przyłączył księstwa Nadelbiańskie do Prus, który przygotował Sadowę i stworzył Północny Związek Niemiecki. Już w walkach sejmowych Bismarcka o przekształcenie wojska upatrywał on wszystkie jego dalsze widoki i niepospolitego męża stanu. Odczytując dziś te rozumowania o Prusiech i Niemczech, zdziwionym i uderzonym się jest tem natchnieniem i tak trafnym poglądem. Rozumowania te w treści swej podobne do przezemnie przytoczonej rozmowy Bismarcka z Beustem, czynią zaszczyt i dziennikowi, w którym się ukazały, i temu który je pisał. Trudno dziś pojąć, jak ogół mógł się tak grubo pomylić i nie dostrzedz w tym człowieku niezwykłego tworu politycznego! Jak motyl z gąsienicy, tak hr. Bismarck mąż stanu, wykluł się z pana Bismarcka junkra, błyszczący wszystkiemi zaletami prawdziwego statysty i polityka. Ale jakże też *post festum* zmieniło się zdanie ludzkie o Bismarcku! Jak pierwej go lekceważono, tak znów później może go zbytecznie wynoszono, zważywszy, iż chociaż był największym wśród współczesnych, ci mali byli. Najlepszym dowodem wielkiego w Niemczech znaczenia hr. Bismarcka po dokonanych dziełach było spostrzeżenie, które zrobiłem, że wtedy nie było już Niemca, któryby nie twierdził, że się poznał na Bismarcku, i że zawsze w nim upatrywał wielkiego człowieka; byli i tacy, którzy głosili się św. Janami chrzcicielami tego Mesyasza germanizmu i wielkiej ojczyzny!

My Polacy mamy mniej powodów do uwielbiania, a nierównie więcej do zimnego sądu, a jednak przyznać musimy, że w epoce tak już ubogiej w znakomitych ludzi, niepospolitem był zjawiskiem ten człowiek, który łączył w sobie hart i dzielność krzyżacką z dowcipem francuskim i politycznym zmysłem włoskim. Śmiały i twardy jak krzyżak, bez zasad jak Fryderyk Wielki,

dowcipny jak Voltaire, głęboki w znajomości ludzi i rzeczy tego świata jak Machiawel, pracowity jak Niemiec, bystry i przenikliwy jak Talleyrand, choć tak dużo mówił, jak tamten milczał; pierwszy on zadał kłam zdaniu, iż Niemcy podobne do Hamleta, bo pierwszy to Niemiec, który odważył się i wzniósł się do wysokości czynu, i który zmusił do niego Niemców. W samej rzeczy główną w omdlałej i bezsilnej epoce siłą Bismarcka była odwaga początkowania, którą on w wysokim posiadał stopniu; ta odwaga dała mu nad wahającymi się i nad rozumnym flegmatykiem Napoleonem III. niezaprzeczoną wyższość. W czasach, w których nikt nie wiedział, czego chciał i dokąd szedł, Bismarck wiedział doskonale i czego chciał i dokąd idzie, dla tego prędzej od innych doszedł.

Wspomniałem już, jak osobistość Bismarcka odpowiadała namiętnościom dzisiejszej demokracyi; jak pomiatanie przez niego wszelkich zasad prawa odpowiadało najskrytszym a najgłębszym uczuciom czasu; lecz czem najwięcej czarował on i popularnym się stawał, oto wielką łatwością i trafnością, z jakiemi umiał określać swoje wywrotne, przeciwne wszelkim zasadom, a tak jednak skuteczne nauki i bezprawia. Te dowcipne określenia obiegały świat cały, przechodziły z ust do ust i jednały wzięcie ich twórcy; a gdy mu już samemu zabrakło nie słów, ale może odwagi do wskazania swoich ostatecznych dążności, wtedy znajdowali się usłużni, którzy zgadywali jego myśl i określali ją dla niego, jak to uczynił francuski minister spraw zagranicznych La Valette w wiekopomnym swoim okólniku, w którym stworzył dla Bismarcka naukę aglomeratów!

Jedną z głównych zalet Bismarcka, na którą zwrócić jeszcze chcę uwagę, była wielka przenikliwość, w skutku tego niezmierna trafność w ocenieniu przeciwników, i słabych ich stron. Na początku drugiej po-

lowy dziewiętnastego stulecia, ukazał się na widowni świata sfinks polityczny, który nużył swoją zagadkowością i zarazem wzbudzał nie małą obawę, tym sfinksem był Napoleon III. Otóż Bismarck stał się Edypem tego sfinksa, a odkąd odgadł jego zagadkę, sfinks przestał być strasznym. Jak znakomicie umiał Bismarck udawać przez długi czas ucznia Napoleona III! Jak wybornie pojął, że największego czasu frazeologa frazesami najlepiej ukołysać i uspokoić! Jak ślicznie, jak misternie umiał Bismarck stroić się przed Napoleonem i zarzucać na jedno ramię napoleońską zasadę narodowości, na drugie napoleońską zasadę powszechnego głosowania! Bismarck tak wiernie naśladował w tem wszystkiem mistrza, tak doskonale trafiał w jego myśl, tak zniżał się nawet do kradzieży, że cesarz musiał uwierzyć, iż Bismarck to jego twór, że to jego i jego zasad prawe w Europie ramię. I dla tego też tak wielce Napoleon III. cieszył się i radował postępami i pomyślnością Bismarcka i dla tego tak go zachęcał i przyklaskiwał mu; aż w końcu cesarz doszedł za Bismarckiem do postawienia zasady aglomeratów, a Bismarck przed cesarzem do utworzenia potężnego aglomeratu.

Drugiego przeciwnika, którego słabość wybornie ocenił Bismarck była Austrya. Głęboką znajomością jej wewnętrznej niemocy, pobił ją, bo ta znajomość dała mu niezbędną śmiałość do rozpoczęcia dzieła.

Nareszcie trzeciego przeciwnika, którego wybornie ocenił i zupełnie pobił, a raczej podbił Bismarck, był król Wilhelm I. Wystawmy sobie położenie tego niepospolitego człowieka, myślącego o dokonaniu wielkich rzeczy, na dworze zasklepionym w nawyknieniach, w przestarzałych receptach i przeżytych tradycyach, między królem nie złym w gruncie, lecz nie błyszczącym rozumem, a upartym, i królową mającą się za rozumną kobietę, a niezawodnie przyznamy, że mi-

strzowskim czynem Bismarcka było przełamanie tych wszystkich domowych trudności, owładnięcie króla i zarzucenie na niego kawecana, na którym tak wybornie poprowadził go do swoich celów. Znamieniem wyższego człowieka jest, iż nie pogardza drobnemi na pozór środkami, opierając się na tem przekonaniu, że istota ludzka ma małe, słabe strony, w które uderzając, najłatwiej się zwycięża. Wiadomo, że namiętnością, a raczej słabością króla Wilhelma była wojskowość, otoż rzecz godna uwagi, Bismarck głównie pobił króla łechtaniem tej namiętności i potakiwaniem tej słabości. Ani myśl powiększenia Prus, ani myśl podjęcia wielkiego w Niemczech posłannictwa nie zdołały rozczulić dla Bismarcka króla, ani też zachwiać go w jego znanej uczciwości; rozczulił się i zachwiał wtedy dopiero, gdy Bismarck okazał mu możność pokazania siły wojska pruskiego i skutków jego przekształcenia, które było dziełem Wilhelma I. Do wielkiego zaś zaufania królewskiego doszedł Bismarck, naginając własną osobę do zwyczajów i obejścia wojskowego; przywdziewając mundur kirasyerski i przyjmując z wdzięcznością stopień jenerała. Zbyt rozumny, aby nie czuć marności munduru bez zasług i służby wojskowej, sam przed dobrymi znajomymi śmiał się i żartował z munduru, w którym mu niewygodnie było i z jeneralstwa, które mu nie było do twarzy, a tym pełnym dowcipu i złośliwości uśmiechem, który go odznaczał dawał im do zrozumienia, że czyni to z musu, dla uciechy króla; tak całą z siebie na niego zrzucał śmieszność.

Doszedł najzupełniej do celu, król zasmakował w roli, którą mu dał do odegrania Bismarck, król z łaski bożej, który z taką skruchą brał koronę ze stolu Pańskiego, a który potem tak śmiało na skinienie Bismarcka zrzucił ją z głów innych panujących, nie cofnął się przed żadnym najbardziej wywrotowym krokiem, aby dojść do celów Bismarcka. Jak w zbro-

dni tak i w bezprawiach można zasmakować, nie wiedząc nawet o tem. Na widok tak krzyczącego zaparcia się przez Bismarcka i króla zasad, które sami przed chwilą głosili za święte, na widok pomiatania wszystkiem, co dotąd uchodziło za nietykalne: prawami panujących, traktatami, dobrą wiarą; na widok niesłychanych zaborów, pewien znakomity mąż stanu angielski nie mógł wstrzymać się od powiedzenia hr. Bismarckowi: „Ależ przyznaj pan, że wszystko, co zrobiliście i co robicie jest szkaradnem, bezprzykładnem...“ na co Bismarck odparł bez wahania: „Ależ milordzie, ja wiem doskonale o tem, wszyscy o tem wiedzą, tylko jeden król nic o tem nie wie“. Nic lepiej jak ta dowcipna odpowiedź nie znamionuje i hr. Bismarcka i jego stosunku do króla. Hr. Bismarck hipnotyzował króla i w śnie magnetycznym zaprowadził go, gdzie chciał i zaprowadził go śpiącego, czy też już tylko udającego że śpi, tam dokąd od dawna zmierzał.

Dokąd on zmierzał i dokąd szedł? nie trudno było odgadnąć. Wykazałem, jak jego cele zlały się z myślą jedności niemieckiej. Pierwotnie jednak widocznie nie o jedność niemiecką mu szło, lecz o wzmocnienie, o powiększenie Prus, i inaczej być nie mogło, skoro Bismarck był prawdziwym, praktycznym mężem stanu. O co mu szło? Ah niezawodnie nie o myśl niemiecką! Zbyt to był bowiem głęboki mąż stanu, aby mógł wierzyć w zupełne i ostateczne zwycięztwo myśli w polityce; zbyt zaś był zręcznym i przezornym, aby się nie miał w polityce posługiwać nią. Lecz niewątpliwie szło mu o zapewnienie zdobytych korzyści utworzeniem w środkowej Europie tak potężnego państwa, iżby byt jego był zapewniony, i ażeby to państwo nie potrzebowało ani obawiać się ani rachować na nikogo. Państwo takie utworzone pod płaszczem i godłem myśli niemieckiej, mogło niezawodnie w najtajniejszej myśli Bismarcka, zawierać w sobie i ziemie polskie i wyspy

duńskie i wybrzeża holenderskie i mogło mieć jako granice Wisłę, Adryatyk, Alpy, północne i baltyckie morze. Takie państwo byłoby panem położenia w Europie i to było rzeczywistym celem polityki hr. Bismarcka, nie zaś ziszczenie myśli jedności niemieckiej. Jeżeli Fryderyk Wielki mawiał, że gdyby był królem francuskim nie padłby wystrzał w Europie bez jego woli, to Bismarck dążył do utworzenia takiego państwa Hohenzolernów, wbrew woli którego nie padłby wystrzał w Europie.

Prawdziwej myśli hr. Bismarcka szukać trzeba w mowie zwycięzcy z pod Sadowy hr. Moltke, która tak wielkie zrobiła w świecie wrażenie. Rzeczą było znakomitego strategika wypowiedzieć prawdziwą myśl polityki zaokrąglania się. „Dopóty, rzekł hr. Moltke, pokój europejski nie będzie zapewniony, dopóki nie utworzy się w środkowej Europie dość potężne i silne państwo, ażeby wbrew jego woli pokój nie mógł być zakłóconym“. Oto prawdziwy cel Bismarcka, dość szeroki, aby zawierał w sobie jedność niemiecką, dość straszny dla świata, aby nad nim ludzie stanu głęboko się zawsze zastanawiali. Cel, którego godłem: brać co się da, a nigdy nic nie oddać!! którego na razie ostatniem słowem była — druga część dzieła hr. Bismarcka.

Czyż podobna posądzić hr. Bismarcka, iż mógł był zapomnieć o tej drugiej części? Czyż można przypuścić, iż nie dążył do jej spełnienia i nie czekał tylko na sposobną chwilę? Czyż można wątpić, że widomym, namacalnym objawem tego spełnienia było w myśli jego, ukoronowanie króla pruskiego i naczelnika Związku Północnego cesarzem Niemiec, raczej imperatorem potężnego w środkowej Europie państwa!?

Zaiste niepodobna o tem wątpić!

Skończę uwagą, że nieraz dawały się słyszeć głosy o Bismarcku: „Szczęście mu sprzyja, a więc cóż

dziwnego, że mu się wszystko udaje“. Wiem doskonale, że bez szczęścia, bez tej niewidomej, nieznanej nam pomocniczej siły, nic zdziałać nie można; lecz wiem także, że jak w grze tak w polityce wszystko na tem zależy, ażeby umieć ze szczęścia korzystać! Otóż sztukę korzystania ze szczęścia posiadał w wysokim stopniu Bismarck!

A teraz wypada mi jeszcze zastanowić się nad drugą częścią dzieła, a w tych uwagach obejmę stosunek Północnego Związku i polityki hr. Bismarcka tak do Niemiec południowych jak do innych mocarstw i państw europejskich.

V.

Dwa główne i prawdziwe niebezpieczeństwa groziły jedynie dziełu hr. Bismarcka, a te były: niedokończenie i dokończenie dzieła.

Wskazałem konieczność dopełnienia dzieła, tem samem wytknąłem niebezpieczeństwa jakie groziły Północnemu Związkowi i polityce hr. Bismarcka, gdyby nie poszedł dalej, naprzód, gdyby nie dopełnił jedności niemieckiej i nie stworzył potężnego w środkowej Europie państwa.

Jest wielka w świecie moralnym prawda, którą Shakespear uwydatnił w najgenialniejszym swoim utworze: Makbecie, oto, że jedna zbrodnia pociąga za sobą drugą, że korzyści odniesionych za pomocą zbrodni nie można prawie nigdy inaczej zapewnić jak tylko nowemi i coraz nowemi zbrodniami. Nie dość zabić starego Dunkana, trzeba jeszcze zamordować Banka i jego syna, a rozpocząwszy krwawemi czynami panowanie, trzeba je krwawemi ustalać, a więc i Magdufa dzieci padają ofiarą. A tymczasem synowie Dunkana uciekli do Anglii i tam przygotowują odwet. Polity-

cznym światem rządzi podobne prawo, jeden gwałtowny krok pociąga za sobą inne gwałtowniejsze, jedno bezprawie zmusza do dalszych, a pogwałcenie wszelkich zasad prawa i słuszności, nadużycie dobrej wiary, stawia ostatecznie w konieczności wystąpienia do walki z licznymi nieprzyjaciołmi, niemal ze światem całym. W takiem położeniu znalazł się w końcu największy geniusz dziewiętnastego wieku Napoleon I.

Nie twierdzę bynajmniej, ażeby hr. Bismarck znajdował się w położeniu Makbeta lub Napoleona I. Niewątpliwie jednak i jego pchała już konieczność rzeczy dokonanych, popełnionych bezprawi, zapowiedzianych celów, obudzonych dążności i niespełnionych jeszcze nadziei. Gdyby nie odważył się był śmiałem działaniem powalić wrogów i odjąć wszelką nadzieję tym, których pokrzywdził lub oszukał, to wcześniej czy później skorzystaliby oni byli z pierwszej sposobności, aby przygotować straszny odwet i wywrócić budowę, którą wystawił. Nadużywszy dobrej wiary patryotyzmu niemieckiego w własnych celach, musiał mu dać zadośćuczynienie, jeżeli nie chciał, żeby ten patryotyzm przeciw niemu się obrócił. Dla tego musiał dążyć do tego, aby Austrya o żadnym w Niemczech odwecie nawet już marzyć nie mogła; następnie, chcąc dać zadośćuczynienie uczuciu niemieckiemu, musiał stanąć jako jedyny obrońca niepodległości, a twórca jedności niemieckiej. Tego wszystkiego zaś dokonać nie mógł inaczej, jak, idąc dalej na drodze raz obranej, jak, kończąc co zaczął. Gdyby nie już tylko się cofnął ale zawahał, wszystko w Niemczech obróciłoby się przeciw niemu i ukamienowanoby tego Mesyasza germanizmu, skoroby się stał apostatą. Z takiej chwili skorzystałby i oszukany cesarz Francuzów i Austrya i zdetronizowany król hanowerski i wydziedziczeni książęta i może wierni związkowi zmediatyzowani sprzymierzeńcy. Jedyną tarczą przeciw tym niebezpieczeń-

stwom było dopełnienie dzieła i dla tego zaniechanie dopełnienia byłoby nader niebezpiecznem i początkiem klęski.

Równie wielkie, może większe niebezpieczeństwa groziły pierwszej części dzieła przy jego dokończeniu. Dokończenie to bowiem potrącało o najważniejsze sprawy europejskie i o najdrażliwsze i najzawilsze stosunki zewnętrzne. Utworzenie tak ogromnego i potężnego mocarstwa powinno było mieć za przeciwników wszystkie państwa lub mieć niektóre za wspólników. Ztąd wypływały tysiące trudności, które pomimo siły jaką rozporządzał hr. Bismarck, niepodobna mu było łatwo ani usunąć ani przezwyciężyć. Nie można się więc dziwić, że wyczekiwał.

Czuł on jednak doskonale konieczność dokończenia dzieła i dla tego pozostawał wiernym celom przyszłości, a wyczekując nie zapierał się myśli, która stanowiła jego siłę. Nigdy i nigdzie nie wyrzekł się hr. Bismarck myśli zjednoczenia Niemiec, przeciwnie w niejednym wypadku król Wilhelm położył nacisk na tę jedność. Nie było żadnej mowy tronowéj, żadnego publicznego odezwania się królewskiego, w któremby nie była podniesiona myśl jedności niemieckiej; raz nawet król wskazał Alpy jako granicę wielkiej ojczyzny.

Zauważyłem już, że hr. Bismarck w celu ocalenia zasady jedności niemieckiej, ogłosił wojskowe traktaty z południowemi Niemcami zawarte w chwili, w któréj przystawał na granicę Menu. Traktaty te jednak nie były dostateczne, a rzeczywiście w ówczesnem położeniu rzeczy nic albo mało znaczyły; ogłoszenie więc ich było tylko twierdzeniem na korzyść jedności niemieckiéj. W jaki sposób dokona się zjednoczenie Niemiec i spełni się przewaga pruska? czy okaże się ona światu w kształcie zupełnego czy ograniczonego zespolenia? czy też uszanuje szczególniej w południowych Niemczech miejscowe samorządy, może nawet panują-

cych? Tego nikt przewidzieć nie mógł. To tylko pewna, że najpierwszym, najgłówniejszym wyrazem jedności i przewagi musiała być jedność armii, właśnie dla tego, że ona odpowiadała najwyraźniej uczuciu, które pchało Niemcy do jedności, uczuciu obawy przed obcemi. Pewien znakomity pisarz, wielce obeznany ze sprawami politycznemi, wywiózł był z odbytej po Włoszech podróży to przekonanie, że jeżeli jedność włoska stać się ma prawdą, to tylko za pomocą armii, że w armii zacierają się wszystkie tak wielkie prowincyonalne różnice, że w armii tonie Piemontczyk, Toskańczyk, Neapolitańczyk, i że wszyscy przeistaczają się w wojsku na Włochów i już jako Włosi wracają do domów. To samo zastosować można było do Niemiec; jedynie za pomocą jedności armii dokonać się mogła jedność niemiecka. Dla tego też głównem dążeniem hr. Bismarcka musiało być zlanie południowych armij z północną i podporządkowanie ich pod dowództwo naczelnika Północnego Związku, nietylko w razie wojny, ale przedewszystkiém w czasie pokoju. Pierwszym do tego krokiem były traktaty wojskowe zawarte z południowemi Niemcami. Za zlaniem się armii miało pójść dalsze pochłonięcie i przekroczenie granicy Menu chociażby z pozostawieniem książąt i królów południowych Niemiec na tronach. I dla tego Północny Związek w ówczesnym swoim układzie, były to ramy do obsadzenia w nich całych Niemiec; bo skoro całe Niemcy weszłyby w te ramy, król pruski miałby już w swoim ręku całą w Niemczech władzę wojskową, drogi, dyplomacyę, naczelne przedstawicielstwo, a więc wszystko, co stanowi treść potęgi. Mogło jednak się stać, że idąc za duchem czasu, równającym namiętnie wszystko, a pochłaniającym wszystko zapamiętale, jedność niemiecka objawi się światu w kształcie jeszcze więcej zespolonym, że, pozostając pod przewodnictwem Prus, nic nie uszanuje!

Jedynem wtedy uosobieniem jedności niemieckiej był parlament cłowy, lecz i to uosobienie nie było zupełném, bo brakowało w tym parlamencie Niemców austryackich, aczkolwiek już podnoszono myśl zwabienia ich tam. Parlament cłowy miał wielką doniosłość właśnie dla tego, że jednoczył i łączył Niemców w Berlinie na polu interesów materyalnych, a więc najwyraźniejszych. Po pierwszem zebraniu tego parlamentu przedstawiciele południowych Niemiec, którzy do Berlina przybyli, odjechali olśnieni potęgą pruską.

Gdyby szło tylko o stosunek Północnego Związku i polityki hr. Bismarcka do południowych Niemiec, położenie było łatwe i wygrana pewną. Niewątpliwie bowiem Niemcy południowe odcięte od głównego środka życia politycznego niemieckiego, odosobnione, rozdzielone, nie uporządkowane, bez spójni między sobą, wystawione na obce zabiegi i zabory, ciężyć musiały do urządzonych silnych Niemiec i raczej one pragnęły przekroczyć Men niż hr. Bismarck. Najlepszym tego dowodem było, iż nie utworzył się, nie powstał Związek południowy. Tę dążność przeczuć już można było podczas wojny 1866 r. i widoczną ona była dla tych, którzy przypatrywali się działaniom korpusu związkowego pod dowództwem ks. Heskiego. Korpus ten unikał wyraźnie bratobójczej walki. A czyż potem nie widziano ciągłych objawów tego dążenia i ciążenia ku Północnym Niemcom, tak w ludach jak nawet rządach panujących, że przytoczę tylko pruską politykę W. ks. Badeńskiego i pruskie dążności znacznego w Bawaryi stronnictwa. Zabiegi francuskie, działania austryackie, knowania domu Hanowerskiego, mogły osłabiać i wstrzymywać ten popęd, te dążenia, lecz nie zdolne były przemienić istoty rzeczy, a nic innego wytworzyć nie potrafiły, jak tylko ultra-demokratyczne stronnictwo niemieckie, które pocieszne przedstawiło się podczas zjazdu strzeleckiego w Wiedniu

i na zebraniu u Sperla. Była to burza w szklance wody. Dodatniemu, rzeczywistemu działaniu i rzeczywistym Niemcom hr. Bismarcka, nie potrafiono przeciwstawić nic innego jak tylko jakieś wywrotowe, socyalistyczne Niemcy! I te Niemcy miały powstać pod opieką Habsburgów!?

A widząc w Austryi postępowanie Niemców, widząc jak mało oni dbali o potęgę i istnienie téj Austryi, czyż wątpić można było, że i tu było ciążenie do Prus, do północnych Niemiec i wielkiej ojczyzny? Czyż, zastanawiając się nad postępowaniem rządzących nie można było przypuścić, że i tu byli bezwiedni lub nie, apostołowie polityki hr. Bismarcka? Zdawać się mogło czasem, że ci co w Austryi byli u steru mówili sobie: „póki się da bez ofiar utrzymać tę Austryę przy życiu, to dobrze; ale gdyby przyszło cokolwiek w tym celu poświęcić, to nie! bo my mamy gdzieindziej naszą wielką ojczyznę“. Jedynie przeważne stanowisko zajęte w monarchii przez Węgrów hamowało to dążenie.

Ale o tém wszystkiém wiedział hr. Bismarck, wybornie czuł swoję i swojego położenia w Niemczech wyższość i dla tego niedołężne i chorobliwe objawy przeciw jego polityce raczéj go cieszyły niż zatrważały. Dla tego téż postawił on bardzo stanowczo względem południowych Niemców rzecz w ten sposób, że nie on ich pragnie, ale, że oni powinni jego zapragnąć, że nie on, ale oni powinni przekroczyć Men, słowem, że nie Mahomet do góry, ale góra do Mahometa się zbliży, oczywiście z postanowieniem wewnętrznem, że w razie danym Mahomet nietylko pospieszy do stóp góry, ale że wejdzie na górę. Tę politykę określił pewien mąż stanu pruski, mówiąc z naciskiem: „*My* się bez nich możemy obejść“.

Tymczasem hr. Bismarck nie zaniedbywał niczego, co tylko zjednać mu mogło południowych Niemców.

Ztąd to pochodziło, że tak oględnie postępował i obchodził się z katolicyzmem i katolikami, że bystrym swoim rozumem poznawszy całą potęgę moralną papieztwa i Rzymu, starał się o najlepsze z nim stosunki. W tym kierunku gabinetu berlińskiego w sprawie katolickiej, nie mały brał udział arcybiskup poznański ks. Ledóchowski. Prawdziwy prałat rzymski, dyplomata, przyjaciel Ojca św., podobno współzawodnik kardynała Antomellego, posłużyć miał on za spójnię między Berlinem i Rzymem. Spełniając zręcznie i rozumnie to zadanie, mógł sobie pochlebiać, że nie małe oddaje usługi katolicyzmowi i dobrze zasługuje się Rzymowi. I te były prawdziwe powody jego w księstwie Poznańskiem postępowania, nie zaś te niskie i poziome, przypisywane mu przez krótkowidzących przeciwników, nieobeznanych z prawdziwem położeniem rzeczy.

Gdyby świat mógł był spokojnie, obojętnie i neutralnie przypatrywać się dalszemu przeobrażeniu się Niemiec, jedność niemiecka pod przewodnictwem Prus, byłaby już wtedy rzeczą dokonaną. Ale stały jeszcze na przeszkodzie Europa, sprzeczne interesa i zobopólne do siebie stanowiska mocarstw.

Ztąd niepodobieństwo dokończenia dzieła bez obcej pomocy, a raczej współudziału, lub co najmniej zezwolenia.

Znakomitą stroną polityki hr. Bismarcka było, iż to, co dokonał był dotąd, dokonał sam, że się z nikim odniesionemi korzyściami nie potrzebował dzielić, że podwoił Prusy, nie oddawszy piędzi ziemi europejskiej ani Francyi ani Rosyi, że tylko Włochy nabyły Wenecyę. Utajoną myślą hr. Bismarcka, było dokończyć dzieła w ten sam sposób, a tem samem uchwycić znów chwilę, w której będzie mógł przekroczyć granicę Menu, nie dając nic za to Francyi i nie pozwalając Rosyi posunąć się w Europę. Rozliczne a ważne miał do tego powody.

Czy jednak zdoła to uczynić? pytać można było i wątpić się godziło. W tej niemożności obejścia się bez obcego współudziału tkwiło niebezpieczeństwo towarzyszące dokończeniu dzieła. W każdym razie ta chęć dokonania dzieła bez współudziału obcych, była główną przyczyną wyczekiwania ze strony hr. Bismarcka.

Utworzenie owego potężnego państwa, o którem nadmienił hr. Moltke, utworzenie tego potwornego aglomeratu, stawało się tak niebezpiecznem dla Francyi, zagrażało nietylko jej wpływowi i stanowisku w świecie, ale także jej krajom pochodzenia niemieckiego, że rada nie rada, musiałaby największe zrobić wysilenia, aby temu przeszkodzić. Hr. Bismarck, chcąc dokończyć dzieła, miałby więc niewątpliwie do czynienia natychmiast z potężnym, zdawało się, od stóp do głowy uzbrojonym nieprzyjacielem, grożącym pierwszej części dzieła i musiałby się wystawić na wielką, niepewną, niebezpieczną wojnę. Gdyby przeciwnie hr. Bismarck chciał podzielić się korzyściami z Francyą, to jest podzielić się z nią panowaniem w środkowéj Europie, wymagałoby to wielkich, a co gorsza, może niemożliwych do spełnienia ofiar. Trzebaby bowiem odstąpić jéj tamtę stronę Renu, a więc zadać kłam myśli niemieckiej i ranić najdotkliwiej patryotyzm niemiecki. Niebezpieczeństwo to i trudności te, doskonale pojął hr. Bismarck, kiedy wolał zatrzymać się w Nikolsburgu pod bramami Wiednia, jak ponieść tę ofiarę, kiedy szczególniej odważył się raczej oszukać i nie dotrzymać obietnicy potężnemu cesarzowi Francuzów, jak odstąpić kawałek ziemi niemieckiéj.

Ministerstwo spraw zagranicznych w Wiedniu, a raczéj król Hanowerski cieszył się wielce z posiadania dowodów o układach hr. Bismarcka z Francyą o odstąpienie krajów nadreńskich, i że groził ich ogłoszeniem. O! niesłychane zaślepienie! Przecież te dowody ogłoszone, świadczyłyby na korzyść wroga, bo

byłyby właśnie świadectwem, że on potrafił oszukać cesarza Francuzów, i że mógł użyć jako środka obietnicy odstąpienia ziemi niemieckiej, ale że nigdy ani myślał, ani chciał jej poświęcić.

Aby zjednać Francyę drugiéj części dzieła, nie dośćby było krajów nadreńskich, trzebaby może pozwolić na zabór części Szwajcaryi, w każdym razie całéj Belgii, słowem, trzebaby pozwolić na utworzenie aglomeratu, któryby znów obudził, pozornie obojętną na sprawy stałego lądu Anglię, która niewątpliwie przeciwną byłaby podobnemu tworowi, sprzeciwiłaby mu się z całą dawną stanowczością.

Trzeba było więc iść wbrew Francyi i odważyć się na wojnę z tém mocarstwem, mając z tyłu Austryę jeszcze dość silną, aby z tyłu uderzyć. Dla tego téż samemu iść naprzód nie możnaby i trzebaby w takim razie iść ręka w rękę z Rosyą. Lecz znów z Rosyą iść nie możnaby, nie zapewniwszy jej korzyści, i to wielkich korzyści, a idąc naprzód w imieniu myśli niemieckiej, trzebaby pozwolić Rosyi iść naprzód także w imieniu myśli panslawistycznej.

Mówiłem o stosunku Prus i polityki hr. Bismarcka do Rosyi z powodu sprawy polskiej, nie będę się tu powtarzać. Niewątpliwie sprawa ta była jeszcze spójnią między temi dwoma mocarstwami. Jednak dawny zobopólny stosunek znacznie się już był zmienił. Jeżeli przedtem Prusy zależne były od Rosyi, jeżeli one potrzebowały nietylko jej przymierza ale także jej opieki, to w chwili, o której mowa, już położenie rzeczy było inne; Rosya równie jeżeli nie więcej potrzebowała pomocy i przymierza z Prusami; Prusy nie dałyby już sobie narzucić i nie dałyby się zmusić do podobnego odwrotu, na jakie skazał je cesarz Mikołaj w Ołomuńcu; jednym z skutków polityki hr. Bismarcka i dokonanych zmian, następstwem wzmocnie-

nia się Prus było wyswobodzenie się ich z pod opieki Rosyi, chociaż jeszcze nie mogły i nie chciały pozbyć się przymierza rosyjskiego, do którego przykuwała je nietylko chwilowa konieczność, ale także tradycye, nawyknienie, związki rodzinne. Im więcej zaś Prusy przemieniać się miały w Niemcy, tem więcej ustawać musiała konieczność przymierza z Rosyą, chociaż do dokończenia dzieła Rosya niezbędną im była jako narzędzie. A pomimo, że hr. Bismarck był w niemożności zerwania z Rosyą, bodaj czy ukrytą jego myślą nie było, postawienie się kiedyś w takiém położeniu, iżby mógł się obejść i bez jej przymierza! Myśl taka godnąby była prawdziwego męża stanu. Jeżeli bowiem nietylko Prusy ale i Niemcy tak jeszcze były małoduszne, że upiór sprawy polskiéj łączył je z Rosyą, to jednak coraz wyraźniej objawiały się zarzewia nieprzyjaźni między Niemcami a Rosianami. Jak my naszemi przesadami w 1863 r. obudziliśmy i pobudzili przeciw sobie naród rosyjski, tak samo Katków i jego szkoła fanatyzmem moskiewskim i bezrozumnem postępowaniem z Niemcami, zaczynali obudzać przeciw Rosyi uczucie narodowe niemieckie.

Od kilku lat powstała była w Niemczech a nawet w Prusiech nienawiść, oburzenie, wstręt do Rosyi i jej srogiego, bezwzględnego postępowania. Apostołami tych uczuć stawali się Niemcy, którzy pokusili się skorzystać z naszej ostatniej klęski i zakupili ziemię pod panowaniem rosyjskiem. Wracali oni ztamtąd, poniósłszy wielkie straty i pełni oburzenia, żalu i przerażenia! Niechęć najlepiej czuć się dawała na całem pograniczu prusko-rosyjskiem, gdzie wbrew wszelkim umowom ciągłe były sprzeczki i spory, co dawało powód do interpelacyi w izbach pruskich. Rosianie tak byli rozuzdani, tak sobie hulali, tak na nic niezważali, że nawet na pasie granicznym, w oczach cywilizowa-

nego świata popełniali gwałty i bezprawia, które dotykały nieraz boleśnie—w całem tego słowa znaczeniu—poddanych pruskich. Prusy były państwem cywilizowanem, Niemcy narodem światłym i europejskim, a to przeciwne wszelkim ludzkim pojęciom postępowanie, oburzało ich, nawet przejmowało zgrozą i obawą. Dla tego też hr. Bismarck niebardzo śmiało stawił czoło interpelacyi tyczącej się wznowienia konwencyi kartelowej z Rosyą i ograniczył się na wymijającej odpowiedzi.

Przymierze z Rosyą, przyjęte jako konieczność polityczna, nie było już bynajmniej mile widzianem w Niemczech, a myśl wydobycia się zupełnego z pod jej wpływu miała zwolenników. „Wierzaj mi pan, mówiła do mnie osoba blizko stojąca świata rządowego berlińskiego, że nie pozwolimy tym barbarzyńcom zabrać w Europie ani jednej piędzi ziemi więcej“. Jeden krok naprzód Rosyi w Europie stać się mógł niebezpiecznym, przedewszystkiem dla Niemiec. Krok ten bowiem zrobionymby być musiał w imieniu myśli panslawistycznej, a panslawizm nietylko że grozi światu i Niemcom utworzeniem się strasznego państwa, nietylko że grozi już nie Prusom, ale Niemcom bezpośredniem zetknięciem z tem państwem, ale grozi im jeszcze czemś więcej. Jest pasmo ziem słowiańskich, na pół wówczas zniemczonych, które wchodzi klinem w środek Niemiec; pasmo to składają Szląsk, Morawy i Czechy. Kraje te gdyby zabrane zostały w imieniu panslawizmu, rozdarłyby Niemcy jeograficznie, a wyrwane z pod ich panowania zadałyby im cios bolesny, bo Niemcy do niczego nie są bardziej przywiązani jak do zniemczonych lub na pół zniemczonych krajów!

Zapanowanie Rosyi w ten lub ów sposób nad temi krajami byłoby ostateczną dla Niemiec klęską. Wtedy nie Niemcy ale Rosyanie staliby się panami świata. A jednak tem grozi może w swojem ostate-

cznem następstwie myśl moskiewskiego panslawizmu. Wiem dobrze, że dyplomatycznie między hr. Bismarckiem a ks. Gorczakowem wszystko mogło się zgodnie chwilowo urządzić. Ale nie miało się już do czynienia jedynie z rządem rosyjskim i z kancelaryą petersburską, trzeba się już było rachować z katkowskim zastępem, z potęgą myśli, z fanatyzmem moskiewskim, z wrzącym a powstrzymywanym wywrotem, gotowym rzucić się na Europę dla rabunku i grabieży, a głoszącym, że jego zadaniem jest zadać ostatni cios zgniłej cywilizacyi zachodu i zapewnić panowanie pełnego żywotności panslawizmu! Falę tę powstrzymać jeszcze można było, ale skoro raz otworzyłoby się jej szluzę, niepodobna przewidzieć gdzieby się zatrzymała. I niewątpliwie jęk boleści, który podniósłby się był z ziem słowiańskich, szczególniej z Czech, znalazłby był odgłos w wzburzonej namiętnościami Moskwie!

Rozbicie więc Austryi i dopełnienie dzieła za pomocą Rosyi, przedstawiało niemałe niebezpieczeństwa, które nie uszły bystremu rozumowi hr. Bismarcka. Tymczasem jednak niepodobna było Prusom zagrożonym od strony Francyi i Austryi, myśleć o innem jak o rosyjskiem przymierzu, było ono dla nich koniecznością polityczną; lecz zupełnie czem innem było posługiwać się niem w chwili wyczekiwania, a czem innem użyć go w chwili czynu. Być jednak może, że ostatecznie hr. Bismarck zmuszony chwycić się tego gwałtownego środka, przypuściłby był Rosyę do rozbioru Austryi, oddając jej część lub całą Galicyę, i że otworzyłby był szluzę!

Nie ulega bowiem wątpliwości, że dzieło dokończonem być musiało. Bismarck zaś nie miał wyboru, musiał je dokończyć albo zwracając się do Francyi, albo zwracając się do Rosyi, innego środka nie miał. Trudność użycia pierwszego wykazałem, niebezpieczeństwo posłużenia się drugim było widoczne.

Następujący był dylemat: albo to, co powstało runąć miało, albo Północny Związek rozbitym, a Prusy poskromionemi być miały — albo też utworzyć się musiało pod ich przewodnictwem wielkie, potężne w środkowej Europie państwo, i jedność niemiecka dokonaną być miała. Ażeby pierwsze przypuszczenie ziściło się, potrzebną była wojna, potrzebną była walka na śmierć i życie z tem państwem, którego ogromną siłę poznaliśmy i z tym człowiekiem, który walczyć umiał. Tę walkę podjąć mogła tylko Francya. Ale w takim wypadku każda godzina drogą dla niej była i już wielki był czas, jeżeli nie zapóźno, brać się do czynu. Skutki tej walki, ostatecznie były w rękach Boga bitew. Jednak przedstawiała się ona już co najmniej jako równa, a najlepsza do niej dla Francyi sposobność minęła. Położenie Francyi było arcytrudne; w chwili bowiem, w którejby przekroczyła Ren lub nawet dotarła do niego, obudzić się mogła nigdy niewygasła zazdrość i podejrzliwość Anglii. To pewnem także było, że w dniu, w którymby pierwszy żołnierz francuski ukazał się na ziemi niemieckiej, całe Niemcy stanęłyby jak jeden człowiek pod dowództwem Prus. O tem wiedziano doskonale w Paryżu.

Wobec tej śmiertelnej walki, jakie miało być położenie Austryi? Czyż jej zaślepieni mężowie stanu, marzący o odwecie, nie przewidywali, że wtedy nie będą jego panami? Czyż nie przeczuwali, że gdy wybije godzina przez nich niecierpliwie wyczekiwana, zmuszeni zostaną do zajęcia innego stanowiska, jak to, o którem marzyli i że zamiast wystąpić przeciw Prusom, ujrzą się zniewoleni przypatrywać się zapasom z założonemi rękami, szczęśliwi, jeżeli ten duch niemiecki, który pielęgnowali i potęgowali obudziwszy się w niemieckich krajach Austryi i w Wiedniu, na widok nieprzyjaciela wkraczającego na ziemię niemiecką, nie zmusi ich do wystąpienia w jej obronie istotnie

w obronie sprawy pruskiej, oraz pierwszej i drugiej części dzieła hr. Bismarcka?

W drugiem przypuszczeniu, zwycięstwa ostatecznego polityki hr. Bismarcka i dokończenia jego dzieła, stać się to tylko mogło przez zezwolenie Rosyi lub Francyi.

Dzieło hr. Bismarcka, Północny Związek Niemiecki, było wielkiem, potężnem państwem, które nie ukrywało wewnątrz żadnego żywiołu rozkładu, które koniecznością dopełnienia się, było największą i ciągłą groźbą dla pokoju i równowagi europejskiej. Albo trzeba było rozbić je siłą i wojną, albo przyjąć następstwa jego powstania.

O wojnie niemiecko-francuskiej

1870 roku i 1871 roku.

Odkładana z dnia na dzień wojna wybuchła w lipcu 1870 r. i położyła koniec zbrojnemu pokojowi Europy.

Aczkolwiek wybuch wojny był niespodzianką, aczkolwiek nikt go w owej chwili nie przewidywał, wojna jednak zadziwić nie mogła, była bowiem następstwem politycznego położenia Europy.

Widocznem było, że wypadki 1866 r. stworzyły tymczasowy tylko stan rzeczy; widocznem było, że pierwsza część dzieła hr. Bismarcka, Północny Związek Niemiecki, sterczała wśród Europy jako uzbrojona groźba dla pokoju i była już nadwerężeniem równowagi europejskiej; niewątpliwem było, że tak dokończenie jak i niedokończenie dzieła, musiało wcześniej czy później wywołać groźne zawikłania. Wojna 1866 roku zmieniła, nie ustaliła warunków politycznego bytu stałego lądu i tem samem jej skutki były tylko zapowiedzią nowych wojen i klęsk. Północny Związek z swoją cechą tymczasowości a zapowiedzią wielkiego groźnego dla całej Europy państwa, nosił w swem łonie zarzewie zawikłań, które objawiły się starciem nad Renem.

„Dzieło hr. Bismarcka, Północny Związek Niemiecki, było wielkiem, potężnem państwem, które nie ukrywało wewnątrz żadnego żywiołu rozkładu, które koniecznością dopełnienia się, było największą i ciągłą

groźbą dla pokoju i równowagi europejskiej, a które albo trzeba było — powiedziałem — rozbić siłą i wojną, albo przyjąć następstwa jego powstania".

Z dwóch wskazanych w tych słowach zwrotów, pierwszy rozpoczął się był; z dwóch tych wyników, pierwszy przemógł. Jednak nie ulega wątpliwości, że nim wojna stała się nieuniknioną, próbowano porozumienia. Mamy na to dowód w ogłoszonym przez Bismarcka zdradliwie, szkicu traktatu francusko-pruskiego, mocą którego za zjednoczenie Niemców z wyjątkiem austryackich, Francya miała uzyskać Belgię i Luksemburg.

Najprostsze rozumowanie wskazywało, że jedność niemiecka pod przewodnictwem Prus nie mogła przyjść do skutku bez należytych dla Francyi ustępstw i wynagrodzeń, jeżeli miała ona pozostać wielkiem, potężnem i wpływowem w Europie mocarstwem; już nadzwyczajne wzmocnienie się Prus po wojnie 1866 r. dokonane bez najmniejszego dla Francyi wynagrodzenia, było przemyceniem i skutkiem oszukania cesarza Napoleona przez hr. Bismarcka, było zaś rzeczywistym uszczerbkiem potęgi, nawet bezpieczeństwa Francyi, a temu zaprzeczać tylko mogła zła wiara, lub urzędowe głosy francuskie, zakrywające udanym spokojem i zadowolnieniem brak gotowości do wojny.

Porozumienie mające kompromis na celu, zupełnie zaniechane zostało; grzeszyło tem, że załatwiając sprawę między Prusami i Francyą, nie nadawało temu rozwiązaniu cechy ogólno-europejskiej, bo pomijało Austryę, a zapominając ustalić jej nowy byt, nie ugruntowywało stosunków i warunków istnienia środkowej Europy. Tu, tylko Austrya służyć mogła za spójnię, a wzgląd na jej europejskie posłannictwo, mógł jedynie, szczerze i silnie połączyć wszystkie siły zachowawcze, a to połączenie nadać Europie stałe podstawy i zabezpieczyć ją przed grożącemi jej od północy

niebezpieczeństwami. Czy Austrya sama pod tym względem zrobiła wszystko co mogła i powinna była uczynić? Wątpię. Zbyt często myśl zemsty góruje nad myślą bytu, a żądza odwetu zaślepia pod względem interesu! Na razie jednak odpowiedzialność za uniemożebnienie kompromisu, spadała cała na Prusy i hr. Bismarcka.

Znane były Bismarckowi wewnętrzne kłopoty Francyi, upadek duchowy i cielesny cesarza; zrozumiał on, że cierpliwość Napoleona III. była już początkiem niemocy i bezsilności. Cesarz przecież przemówił w imieniu obrażonych interesów Francyi i świata, a Francya stanęła przy nim jak jeden człowiek, i wybuchła wojna w samej matni cywilizacyi, wojna, w której Prusy stracić mogły swoją potęgę, a hr. Bismarck swoją sławę.

Skoro kompromis okazał się niemożliwym, nie pozostawało Francyi, jak siłą i wojną zastrzedz swoje interesa, zapewnić swoją potęgę i rozbić złowrogie dzieło hr. Bismarcka. Od chwili stworzenia tego dzieła, stał przed światem dylemat: iż musi się ono dopełnić, lub być rozbitem. O nic też innego nie mogło iść teraz, i wojna francusko-niemiecka, nie mogła mieć innego skutku, jak tylko rozbicie Północnego Związku, albo zjednoczenie Niemiec, o którem król Wilhelm z wielką już szczerością mówił w wojennej proklamacyi.

Skoro stworzenie Północnego Związku musiało wywołać dalsze zawikłania i wojny, korzystniej było dla Francyi rozpocząć to, co było nieuniknionem, jak czekać na ściślejsze jeszcze połączenie się Prus z Rosyą. A przecież wojna wypowiedziana przez Francyę, była rzeczywiście tylko odporną.

W obec wielkich i wyższego rzędu powodów współzawodnictwa i walki, nie będę się zastanawiał nad bezpośrednim powodem zerwania, nad kandydaturą księcia Hohenzolerna na tron hiszpański, tak mało znaczącą w treści, aczkolwiek przypominającą złowrogie dla Francyi czasy Karola V. W takiem położeniu rze-

czy, każdy powód dobry, bo cel wojny był uprawniony, szło tu już tylko o uchwycenie sposobnej chwili do pomszczenia Francyi, i oszukanego cesarza Francuzów. Wojna jednak zaskoczyła Europę. Widocznem było, że chcąc rozbić Północny Związek, trzeba było podjąć ciężką i trudną walkę, „tę walkę podjąć mogła tylko Francya, każda godzina była tu drogą i wielki był czas brać się do czynu“. Niewątpliwie, każdy dzień, każda godzina, służyły Prusom do wzmocnienia się i do dokończenia dzieła bez pomocy Francyi, i bez wynadgrodzenia dla Francyi, pośpiech więc był koniecznym, był to jednak najzgubniejszy pośpiech, bo już spóźniony. Wypadki zastały Prusy bez rzeczywistych sprzymierzeńców, i zdawały się im odejmować korzyści początkowania. Między dwoma wojskowo potężnemi przeciwnikami, Bóg wojny miał ostatecznie rozstrzygnąć!

Cesarz Napoleon zbadawszy usposobienie Francyi *plebiscytem*, znalazł w nim wzmocnienie i poparcie przeciw skrajnym stronnictwom, lecz zarazem wskazówkę, iż dla zapewnienia, jeżeli nie dynastyi — bo któż w naszych czasach mówić może o zapewnieniu dynastyi — to przynajmniej tronu dla swojego syna, należało mu podnieść chwałę, urok i potęgę Francyi na zewnątrz, tak wielce upadłe, o czem nawet wspomniał w manifeście ogłoszonym po plebiscycie, i zapewnić jej stanowisko pierwszorzędnego w Europie mocarstwa, naprawiając błędy własnej polityki i szukając odwetu za chybione, pomylone rachuby z 1866 r. Wojna nie była jedynie zamierzonym odwetem nad Prusami, ale także nad własnemi błędami, była dążeniem do zatarcia tych czarnych plam w polityce napoleońskiej, o których sam cesarz raz wspomniał był.

Te są sprężyny wyższego rzędu, które spowodowały wypadki.

Co się tyczy materyalnych i wojskowych warunków walki, Francya miała jednolitą armię znającą swo-

ich dowódzców i znaną od nich: armia zaś Północnego Związku, świeżo dopiero była powstała; wprawdzie już całe niemal Niemcy były pod dowództwem Prus, lecz ono nie przeszło było jeszcze w krew armii, zwłaszcza południowych Niemczech; a wrogie sobie przed czterema latami wojska, dziś pod jednym stały wodzem. Północne granice Północnego Związku od morza, nie przestały być najsłabszą jego stroną, były zupełnie odsłonięte i przedstawiały dla Francyi przy ogromnej wyższości jej sił morskich, łatwe pole do zaczepnego a groźnego dla Prus działania. Nareszcie wedle świadectwa znawców, niezaprzeczoną miała być wyższość broni francuskiej; przy równych niemal liczebnie siłach, a przy dotychczasowej wyższości plemienia, pod względem wojskowym mogły to być zadatki powodzenia i zwycięztwa Francyi.

Politycznie Francya była w tem położeniu, że oczekiwać mogła i rachować na sprzymierzeńców, nowych zaś przeciwników na stałym lądzie nie powinna była się obawiać. Rosya, jedyny możliwy sprzymierzyniec Prus, zaskoczoną została pospiesznem i niespodziewanem postanowieniem cesarza Napoleona: koleje jej nieukończone, uzbrojenie w opłakanym stanie, a przekształcenie armii przedsięwzięte przez ministra wojny Milutyna, w połowie nawet nie przeprowadzone, brak pieniędzy i kredytu, i krwawe widmo Polski stało jeszcze przed jej oczyma; jednem słowem, niesposobna to była dla niej chwila do wmięszania się czynnie i wojskowo w sprawy europejskie, aczkolwiek prawdopodobnie okoliczności zniewolić ją mogły do takiego wmięszania się; lecz ono nie Francyi bezpośrednio groziło, a w każdym razie musiało natychmiast przysporzyć jej sprzymierzeńca. Anglia wierna w ostatnich czasach przyjętej zasadzie nieutralności, nie mogła wprawdzie pozostać całkiem obojętnym widzem, ale nieprzyjazny jej wpływ dla Francyi dopiero przy zawarciu pokoju mógł dać się

uczuć. Inne mocarstwa i państwa, albo musiały pozostać nieutralnemi, albo też ze względu na własne interesa powinny były się stać sprzymierzeńcami Francyi.

Wzamian Francya zastała całe Niemcy uzbrojone od stóp do głowy, pod dowództwem Prus. Jeżeli łudzono się we Francyi nadzieją wzniecenia nienawiści do Prus i rozdzielenia sił Niemiec, to nadzieje te rozwiały się w chwili wydania wojny Prusom i posunięcia się wojsk francuskich ku granicy niemieckiej. Wspólność interesów niemieckich i wielkiej ojczyzny miały tylko jeden wyraz: Prusy i Północny Związek, około niego skupiły się też Niemcy; był to także skutek błędów polityki napoleońskiej i dozwolenia na nadzwyczajny wzrost Prus. Patryotyzm niemiecki w owej chwili nie mógł inaczej się objawić, jak skupiając się około Prus, około naczelnika Północnego Związku a przyszłego naczelnika zjednoczonych Niemiec. Pomimo napoleońskich oświadczeń, wojna rozpoczęta nie zagrażała jedynie Prusom, bo chociażby nie zagrażała ziemi niemieckiej, to zagrażała przecież stanowisku europejskiemu Niemiec i ich rzeczywistemu zjednoczeniu. Po rozbiciu lub ukróceniu potęgi pruskiej nikt inny nie zdołałby ani militarnie ani państwowo zjednoczyć Niemcy; i można było przewidzieć, iż możliwą byłaby odtąd jedynie urojona, ale nigdy rzeczywista jedność Niemiec. Więc szło tu o potęgę i o jedność niemiecką, szło o przewagę Francyi, a te względy dostateczne były, aby Niemcy około Prus zjednoczyć, aby wszystkie cząstki wielkiej ojczyzny zapomniały pod wpływem przerażenia i obawy, o świeżych krzywdach i niecałkiem może wygasłych zachciankach, i chociażby tylko przez wstyd poddały się dowództwu Prus dla obrony wielkości i terytoryum Niemiec. Mogły się pojawić wyjątki, mianowicie pretendenci, lecz podczas wojny wyjątki te byłyby bez znaczenia. Francya więc miała do czynienia wojskowo z wszystkimi Niemcami,

z wyjątkiem austryackich, oraz z duchem całego narodu niemieckiego.

Co się tyczy celu wojny, wyższość była po stronie Prus; celem ich walki i następstwem ich zwycięztwa było zjednoczenie Niemiec. Prusy przystępowały do zapasów z napoleońską zasadą narodowości, wypisaną na ich sztandarze. Cel Francyi nie mógł być inny, jak rozbicie Północnego Związku niemieckiego, a tak wydając wojnę, Francya występowała przeciw napoleońskiej zasadzie, rozdzierała sławną notę La Valetta o plemiennych aglomeratach, i cesarz rozpoczynał pracę Penelopy.

Dotąd z małemi i rzadkiemi wyjątkami, rzeczywistemi korzyściami politycznemi, są powiększenia terytoryalne; one tylko zwykle, wynagrodzić mogą państwu wielkie ofiary, które ponosić musi w tak olbrzymiej, jak ówczesna, walce; posunięcie zatem granic Francyi, co najmniej do Renu, stawało się drugim jej celem; lecz takowe musiałoby być zabezpieczonem, odpowiedniem ukształtowaniem Europy.

Przecież odpowiadało to usposobieniu Napoleona III, iż marzyć mógł o połowicznem załatwieniu i oczekiwać go po pierwszych walkach. W tem był także powód niższości Francyi przy rozpoczęciu wojny.

Istotnie, przyszłość zależała od tego, czy wojna, mając na celu wyłącznie załatwienie sporu między Francyą a Prusami, wytworzy nieznośny stan rzeczy w Europie; czy też sięgając dalej, zapewni jej na czas dłuższy pokój, stworzy dla niej nowe i stałe podstawy bytu i doprowadzi do owego tak pożądanego rozbrojenia, które nie położy końca wojnom, ale pozwoli przemienić system olbrzymich, a wycieńczających uzbrojeń na system obrony krajowej, a tem samem położy koniec zbrojnemu pokojowi europejskiemu.

Sprawdziły się słowa mowy cesarza Napoleona, która zamknęła nieszczęsną i smutnej pamięci działal-

ność dyplomatyczną w sprawie polskiej. „Dwie drogi stoją otworem: jedna prowadzi do postępu przez pojednanie i pokój, druga prowadzi na nieszczęście do wojny.....“ I teraz od ostatecznego wyniku przedsięwziętej wojny zależało: czy świat wejdzie na tę pierwszą nową drogę, czy też brnąć będzie dalej po drugiej dawnej.

Niedość było załatwić a raczej załatać lub rozciąć sprawę nad Renem!

W każdym razie, tak w pierwszem jak i w drugiem przypuszczeniu, dopiero co wybuchła wojna zmienić musiała postać Europy, zmienić jej warunki bytu i stosunek sił; szło tylko o to, czy zmieni je tymczasowo i chwiejnie, czy też w sposób nieco stalszy i na dłuższy czas. Dlatego też arcyważną dla wszystkich była ta chwila, pełna grozy i brzemienna.

Ważną szczególniej była dla tych, których istnienie wśród Europy zagrożone, byt zachwiany, a którzy licznemi otoczeni byli wrogami; dla wszystkich skupionych w Austryi spraw, dla Austryi, a w Austryi dla Polaków i Węgrów.

Dosyć rzucić okiem na ówczesną kartę europejską, dosyć przypomnieć sobie, jak trudne i przykre położenie stworzyły Austryi wypadki 1866 r., aby wpaść na myśl i podejrzenie, że ona to, że kierujący jej losami polityczni ludzie, wywołali zawikłania, o których mowa, i zręcznem działaniem przygotowali i umożebnili tę wojnę, która zmienić mogła na dobre nieznośne i tylu niebezpieczeństwami otoczone położenie Austryi. Nieprzyjazne Austryi dzienniki, zrobiły ten zaszczyt hrabiemu Beustowi, iż posądziły go, że on był główną sprężyną przesilenia. Nic chwalebniejszego dla męża stanu kierującego losami Austryi, jak to podejrzenie; lecz zarazem nic mniej zgodnego z prawdą i rzeczywistością! Dziwną doprawdy, zdumiewającą odegrała rolę austryacka dyplomacya. Nietylko, że nic nie wywołała

i nic nie przygotowała, ale nawet o niczem nie wiedziała, niczego się nie domyślała; do ostatniej chwili w wojnę nie wierzyła, a gdy wybuchła jednemu tylko uczuciu oddała się nieograniczenie, uczuciu przerażenia, jednej tylko nadziei, nadziei prędkiego zakończenia wojny, pomimo przestrogi cesarza Napoleona w proklamacyi do armii, „że wojna będzie długa“. A przecie w ówczesnem położeniu Austryi, gdyby wojna ta była niemożliwą, Austrya umożebnić ją powinna była; a gdyby prędko zakończyć się miała, przedłużyć ją powinna była.

Tymczasem, cóż widzieliśmy? Niedołężne usiłowania dyplomacyi austryackiej, ubrane w czcze słowa miłości pokoju, zażegnania burzy, zażegnania tej wyczekiwanej przecież przez Austryę wojny i chęć zatrzymania lub przerwania jej czemprędzej. Czy w samej rzeczy i na prawdę, taki był rzeczywisty interes Austryi!? Jakto, więc wojna 1866 r. stworzyła dla Austryi tak bezpieczne, tak pozyjazne warunki bytu, że nie pozostawało jej nic innego, jak tylko starać się wszelkiemi siłami o utrzymanie *status quo!* Więc te cztery lata od Sadowy, przebyte wśród ciągłej trwogi i obawy o byt, pod naciskiem dwóch potężnych wrogów, których ciążenie na Austryę, dawało się czuć nietylko w zewnętrznych, ale i w wewnętrznych stosunkach, niczego innego nie nauczyły jej mężów stanu, prócz nieograniczonej chęci, utrzymania nieograniczenie tak błogiego *status quo?!* Więc Austrya nie czuła potrzeby odwetu za te wielkie klęski 1859 i 1866 lat, które ją niemal z rzędu mocarstw strąciły; więc jej mężowie stanu nie znali tej prawdy, że wielkiem mocarstwem pozostać można jedynie pod warunkiem, że się szuka i znajduje odwet i wynagrodzenie za poniesione klęski, że inaczej klęski te, ciążąc nieustannie na państwie, stopniowo osłabiają jego znaczenie i sprowadzają je do rzędu państewka! W obec tego można już było zwątpić o przyszłości Austryi, niezdolnej wskrzesić tradycyi Eugeniuszów, Kaunitzów,

i Metternichów, a uwierzyć, że owocześni jej mężowie stanu, wzięli sobie nie za środek, ale za cel, politykę z dnia na dzień.

Okazało się, że dyplomacya austryacka nic nie przygotowała i nic nie przewidziała, że nie myślała ani o porozumieniu z Prusami, ani o wywołaniu przeciw nim wojny, dwie konieczne ostateczności, że nakreśliła sobie jedynie ciasny widnokrąg, po za który wzrok jej nie sięgał, ograniczający jej działanie do utrzymania zabójczego, niemożliwego *status quo*, że w skutku tej zgubnej i niedołężnej polityki, wielkie wypadki zaskoczyły Austryę nieprzygotowaną, a jej mężów stanu rozmiłowanych w wewnętrznych sporach, i że zamiast powitać owe wypadki z radością, powitała je z nieukrytem przed całym światem uczuciem obawy i trwogi. Nie wszystkim ludziom politycznym danem jest, stwarzać wypadki lub przygotowywać je; lecz na nazwę ludzi politycznych nie zasługują ci, którzy z danych okoliczności korzystać nie umieją. Państwo zaś, które nie umie uchwycić sposobności, aby podnieść swą potęgę, dobrowolnie obniża się. Kiedyż zaś sposobniejsza mogła być do odwetu chwila, jak ta, w której jeden z nieprzyjaciół zajęty straszną wojną, drugi do wojny nie gotów? Austrya nie podniósłszy się z upadku i nie polepszywszy swojego bytu, złożyła dowód martwoty i niedołęstwa, a że wtedy jej ludzie polityczni nie potrafili skorzystać z okoliczności, aby wzmocnić potęgę państwa, ciężką wzięli na siebie odpowiedzialność. Gdyby mi na to odpowiedziano stanowczem twierdzeniem, iż Austrya nie była gotowa i niezdolną była do działania, to odpowiedziałbym, że powinna była natychmiast zbroić się.

Jakikolwiek miał być skutek wojny wpłynąć on musiał na losy i położenie Austryi, tém samém nie mógł jéj być obojętnym, a bezpośrednio czy pośrednio, winna była się do niego Austrya przyczynić; ztąd wynikała dla niej konieczność trzymania się w pogoto-

wiu na wszelki wypadek i w obec wszelkiego niebezpieczeństwa.

W chwili, w któréj wszystkie sprawy europejskie były poruszone, porządek rzeczy zagrożony, marzyć dla Austryi otoczonéj tylu niebezpieczeństwami, a mającej tyle do stracenia i tyle do zyskania o niezbrojnej neutralności, było snem niezdrowym. Niemożność neutralności nie zbrojnéj, uznał był hr. Beust w swoim okólniku, odwołując się na przykład mniejszych państw Holandyi, Szwajcaryi i Belgii, które acz zasłonięte neutralnością, przecież pospieszyły uzbroić się. Austrya powinnaby była natychmiast uzbroić się od stóp do głowy w tak ważnej i groźnej chwili. Smutny jej stan wewnętrzny stał wprawdzie temu na przeszkodzie, dzięki bowiem jej opłakanym rządom, pochłaniającym wszystko wewnętrznym zatargom, i czteroletniemu zaślepieniu wszystkich bez wyjątku; nim mogła dojść do stopy wojennéj, musiałaby pierwéj dojść do stopy pokojowéj, na której nawet nie znajdowała się armia.

Cóż stanowiło grozę i niebezpieczeństwo położenia Austryi od wojny 1866 r.? Oto ciśnienie na nią dwóch potężnych, a nieprzyjaznych mocarstw, ciśnienie Prus i Rosyi, przedstawiających dwie złowrogie dla Austryi zasady, pangiermańską i panslawistyczną. Ciśnienie tych dwóch mocarstw i tych zasad na Austryę, nietylko zagrażało jej zewnątrz wcześniej czy później klęską, istnem rozbiciem, które mogło przy osłabieniu Francyi, lada chwila nastąpić za porozumieniem Prus i Rosyi, ale także wpływem panslawizmu z jednej strony, pangermanizmu z drugiéj, przeszkadzało jej wewnętrznemu ukształtowaniu się i rzeczywistemu wzmocnieniu. Któż nie czuł i nie uznawał, że te dwa zgubne wpływy uniemożebniały wewnętrzną zgodę do tego stopnia, iż wielu dopiero od zewnętrznych wypadków oczekiwało ostatecznego uporządkowania się Austryi. Główne niebezpieczeństwo polegało na jednoczesnem z dwóch stron dzia-

łaniu dwóch potężnych przeciwników i dwóch groźnych zasad, a szczególniej na prawdopodobnem ich w danej chwili połączeniu się w wspólnym celu rozbicia Austryi.

Polityka więc monarchii austryacko-węgierskiéj zmierzać winna była przedewszystkiem do zmienienia tego opłakanego stanu rzeczy, czy to zapomocą kompromisu z jednem z tych mocarstw, czy też za pomocą europejskich zawikłań i wojny; polityka zaś austryacko-węgierska powinna była z danych okoliczności i zawikłań skorzystać i zużytkować je na to, aby zmienić ten groźny stan rzeczy; wybuchła wojna dać mogła do tego sposobność, wojna Francyi z jedném z ciążących na Austryi mocarstw.

Jeżeli, jak powiedziałem, celem polityki austryacko-węgierskiéj powinno było być wyzwolenie się i zabezpieczenie od jednej z dwóch grożących jej stron; to jednak od strony Niemiec nie potrzebowała ani podbojów ani anneksyi, ażeby się zabezpieczyć i wolniéj a swobodniej oddychać; dość aby przewaga pruska została przełamaną, aby północny Związek został rozbity i stracił własność i siłę przyciągającą względem jej niemieckich prowincyi; taki a nie inny byłby skutek wojny w razie zwycięstwa Francyi, takiego przynajmniéj skutku życzyć sobie powinna była Austrya i dla dopięcia go współdziałać, ale do tego nie wystarczała niezbrojna neutralność, jedynie zbrojna i zupełna gotowość do wojny, zaważyć mogła na szali.

Inne zupełnie było położenie monarchii austryacko-węgierskiéj ze względu na drugiego potężnego i nieprzyjaznego sąsiada, na Rosyą i panslawistyczną zasadę.

Tu przedewszystkiem winna była monarchia zasłonić się przed niebezpieczeństwami od dawna jej grożącemi, a które wzmagały się wobec zawikłań europejskich. Niebezpieczeństwa te mogły być dwojakie: pochodzić mogły od bezpośrednich, zaborczych od da-

wna żywionych zamiarów Rosyi, lub też polegać na pomocy, którą by Rosya Prusom przynieść chciała.

W pierwszym wypadku posiadłości Austryi od strony Rosyi, będąc otwarte i strategicznie nie do obronienia, Austrya w razie złowrogich zamiarów Rosyi, natychmiast i na pierwszą o nich wiadomość, chcąc się zasłonić, musiałaby zacząć zaczepne działanie, tak dla zasłonięcia swoich posiadłości, jak zabezpieczenia sobie środków do walki i przeniesienia jéj na korzystny pod każdym względem dla niej grunt. Na ten więc wypadek neutralność zbrojna nie wystarczała, przezorność nakazywała, jak najśpieszniejsze uzbrojenie.

Gdyby zaś w drugim wypadku, Rosya podążyła na pomoc Prus, byłoby to takiem złamaniem równowagi sił na korzyść dwóch głównych wrogów Austryi, iż ta ani chwili namyślaćby się nie mogła, i musiałaby natychmiast wejść w szranki, a tu znów ze względu geograficznego położenia, musiałby także jak najspieszniejsze rozpocząć działanie wojenne, do którego sposobną być nie mogła, ograniczając się na neutralności niezbrojnej.

Od strony Rosyi wojna w Niemczech, jakiekolwiek byłyby jej losy, nie mogła zasłonić Austryi, aczkolwiek złamanie potęgi pruskiéj i rozbicie Północnego Związku, pozwalając Austryi oddychać swobodniéj z tamtéj strony, umożebniłyby tém samém zwrócenie całej jej uwagi i wszystkich jej sił w stronę Rosyi w celu zasłonienia Europy, Niemiec i Wschodu. Rzeczywiste jednak niebezpieczeństwo dla monarchii austryacko-węgierskiej, a bezpośrednie dla jej polskich i węgierskich krajów, usuniętem być mogło ostatecznie, jedynie posunięciem granic Austryi od strony Rosyi.

Nie będę się rozwodzić nad niebezpieczeństwami grożącemi Austryi ze strony Rosyi, znane są one dokładnie i uznane tak w Rosyi jak i w Austryi, a najżywiej czuć je musiała Galicya i Węgry. Rozprawa

jenerała Fadiewa, objawy dziennikarstwa rosyjskiego, tysiące ajentów pracujących w Austryi dla Rosyi świadczyły o nich, co więcej świadczyły o ich jawności. Pierwszym krokiem do rozbicia Austryi przez Rosyę byłby zabór Galicyi; dalsze akta dramatu nastąpiłyby spiesznie; posiadanie więc Galicyi jest *conditio sine qua non* bytu monarchii austryacko-węgierskiej w stosunku do Rosyi. Posiadanie to ani politycznie ani strategicznie nie jest ani pewnem ani zapewnionem; przeciwnie z istoty rzeczy i położenia jeograficznego wciąż chwiejne zamiast być szańcem zabezpieczającym i źródłem spokoju, staje się przyczyną niebezpieczeństw i obaw. Austrya zabezpieczyć sobie mogła to posiadanie, a tém samem odsunąć od siebie grożące jej militarne i polityczne niebezpieczeństwo od strony Rosyi, jedynie posunięciem swoich granic na północ aż do punktu w którymby znalazła strategiczną linię obronną i rękojmię tak pod względem wojskowym jak politycznym i — etnograficznym.

Jeżeli *Moskiewskie Wiadomości* pisać mogły: „Stokroć lepiej byłoby, znalazłszy jakieś powody, dziś ostatecznie porachować się z Austryą i zadać jéj cios stanowczy, pod tę porę, kiedy walka trwać będzie nad Renie“ — to wzamian twierdzić będę, że Austrya, jeżeli mogła, powinna była skorzystać z ówczesnych okoliczności, aby zdobyciem linii strategicznéj i etnograficznéj zebezpieczyć się raz na zawsze od strony Rosyi. Austrya powinna była mieć także swoją etnograficzną politykę, a tylko odsunięcie Rosyi od granic Austryi w tym kierunku, załatwić mogło stanowczo wewnętrzną sprawę słowiańską, jak poskromienie Prus, mogło jedynie zapewnić spójnię prowincyi niemieckich Austryi z innemi.

Skoro stał przed Austryą dylemat, iż wcześniéj czy późniéj straci na rzecz Rosyi Galicyę, lub też wzmocni się żywiołem polskim; skoro tem samém starcie i walka

lub poddanie się groziły, niedość było zasłaniać się przed chwilowemi niebezpieczeństwami od strony Rosyi, trzeba było umieć z okoliczności skorzystać, aby raz położyć koniec nieznośnemu stanowi niepewności i tymczasowości, i rozstrzygnąć sprawę przyszłości. Jasnem jest, iż w podobnem działaniu korzyści rozpoczęcia były niezrównane dla Austryi. Nie twierdzę, iż nadeszła była po temu chwila; ale to pewna, że wypadki mogły ją sprowadzić; a gdyby wtedy, niezbrojna neutralność Austryi stanęła jej była na przeszkodzie, neutralność taka stałaby się była ciężkim grzechem i grubym błędem, i dla tego też uważać ją należy za historyczną pomyłkę. Dodam, że po rozbiciu Prus i jedności niemieckiej wzmocnienie, a raczej zabezpieczenie Austryi mogło się okazać koniecznością dla Niemiec i Europy. Dość wspomnąć na niedawny jeszcze wpływ Rosyi na Niemcy i sprawy niemieckie, aby dojść do przekonania, że balast stawał się wtedy koniecznym.

Zbrojna więc jedynie neutralność Austryi odpowiadała jej godności, bezpieczeństwu i interesom; skoro i tej niebyła już zdolną, przyszłość była przesądzoną. Jeżeli w danym razie i na pewne wypadki życzyć sobie trzeba było śmialego kroku Austryi, jeżeli w nim tylko mogło być zbawienie, to niewątpliwie jednak nakazaną była przezorność. Skoro jej dyplomacya ani nic nie przysposobiła, ani nic nie przewidziała, skoro dzięki sporom wewnętrznym olbrzymie wypadki zastały Austryę nieprzygotowaną i zaskoczyły ją, nie mogła ona w pierwszej chwili innej przyjąć postawy jak neutralną, aczkolwiek natychmiast okazała się konieczność neutralności uzbrajającej się. Główne niebezpieczeństwo dla Austryi polegało na tem, iżby wojna nad Renem nie skończyła się po jednem zwycięstwie, połowicznem załatwieniem sprawy, nabytkami Francyi, a pozostawieniem po tej stronie Renu, wolnego pola Prusom. W tym przypuszczeniu Francya zobojętniałaby na dalsze ukształ-

towanie Niemiec, jej żądza chwały i odwetu byłaby zaspokojoną, a Austrya pozostałaby tem samem na łasce dwóch wrogich mocarstw, Prus i Rosyi, z których pierwsze szukałyby na niej łatwego odwetu, druga koniecznych do dalszego działania zdobyczy. W Wiedniu przewidywali taki obrót rzeczy, opierając się na przeszłości i znanej polityce napoleońskiej. Wzgląd to był ważny, i który wielką nakazywał baczność; lecz ani neutralność ani nawet zbrojna neutralność niezdołałaby to niebezpieczeństwo zażegnać; zażegnać je właśnie mógłby śmiały krok Austryi; jednak niezbędnemi były pewne warunki i rękojmie.

My Polacy z usposobienia skłonni jesteśmy przypisywać zawsze ludziom działającym na widowni europejskiej, wielkie zamiary i wielkie myśli, zwykle przeceniamy ich, i dla tego tak często fałszywy, pełen złudzeń wydajemy o nich sąd. Rząd państwa nie może ani dzielić ani poddawać się tym złudzeniom; musiałby on był przedewszystkiem mieć rękojmię, że Francya nie przerwie raptem rozpoczętej nad Renem wojny połowicznym pokojem. Godnem zastanowienia było, że rząd francuski, rozpoczynając ją ani szukał, ani zapewnił sobie sprzymierzeńców; mogło to wprowadzić na domysł, że wojna będąc następstwem położenia, przypadkowo jednak tylko wybuchła, i że żadna wyższa nie kierowała nią myśl, że ją wywołała konieczność. Ze względu na Austryę, czyż ks. Gramont, minister spraw zewnętrznych Napoleona, który dopiero co z ambasady w Wiedniu był przybył, tak wielce był pewnym i zapewnionym jej współudziału natychmiastowego, iż nie czuł potrzeby zabezpieczenia się umową? Czyż może zapomniał, że monarchia nie była już austryacką, ale austryacko-węgierską? Czyż w każdym razie tak mało był obeznany z jej stosunkami, iżby mógł przypuścić, że zaraz po wypowiedzeniu przez Francyę wojny Prusom, Austrya postawi w Czechach zbrojne siły, i czyż nie wiedział, że przy

najlepszych chęciach i przy największym pośpiechu, nie mogła być gotową przed sześciu tygodniami. Były to albo dowody płytkości sądu albo wskazówki, że Francya nie myślała o wojnie.

Austrya nietylko nie mogła wmięszać się bezwzględnie i ślepo w wojnę, brać bezwarunkowo udziału w walce, ale przeciwnie, mogła to uczynić, tylko pod warunkiem wszechstronnych dla jéj bytu i potęgi rękojmi. Wmieszanie się Austryi, mające jedynie na celu przywrócenie jéj dawnego stanowiska w Niemczech, z pominięciem innych jej spraw i bezpieczeństwa krajów koronnych, byłoby tak zgubnem powrotem do dawnych błędów, byłoby tak wielkim grzechem przeciw interesom ludów Austryi, że taka polityka potępioną by była w łonie monarchii. Ani Polacy, ani Węgrzy, ani dynastya, ani Austrya nie mieli powodów żywić przyjaznych dla Prus uczuć, ale Polacy i Węgrzy i dynastya tem mniej mieli powodów, narażania sobie wielkiego narodu niemieckiego i drażnienia jego uczucia. Polityki odgrywania się w Niemczech dwa te narody w monarchii popierać nie mogły.

W tym też duchu zaraz na wstępie złożył hr. Andrassy w imieniu rządu węgierskiego oświadczenie w sejmie peszteńskim. Jednak dla Austryi mającej w swem łonie kilka milionów Niemców, dynastyę niemiecką, i graniczącej z Niemcami, było niepodobieństwem, aby ją Niemcy nie obchodziły. Złamanie potęgi pruskiéj było dostatecznym celem. Tego zadania podejmować się zdawała Francya. Austrya czuwać powinna była nad tem, aby je w zupełności spełniła i spełnić mogła. Rzucenie się zaś do walki w Niemczech z poświęceniem innych spraw i innych krajów koronnych, byłoby niebezpieczną grą a tu interes tak Galicyi jak Węgier zbyt był wyraźny. Zupełnie zmieniłaby się postać rzeczy, gdyby wszechstronnie omówione warunki między Austryą i Francyą, wszechstronnie zapewniały były inte-

resa monarchii austryacko-węgierskiej tak od strony Niemiec, jak od strony Rosyi; wtedy wybiłaby była godzina działania dla Austryi i to w kierunku o którym wyżej nadmieniłem; ten zaś kierunek połączyłby był wszystkie wewnątrz monarchii zdania, boby odpowiadał zarówno potrzebie Austro-Węgier, Niemiec i Europy. Do obrania go trzeba było być przysposobionym, a do gotowości Austrya zdolną nie była. Pozostało więc jej patrzeć z troską na ruchy Rosyi, z obawą odgadywać jej zamiary. Uznał tę prawdę rząd węgierski.

Łatwo rozszerzyć się mogły szranki wypadków. Wpływ na nie mogło wywrzeć przymierze włosko-francuskie. Opuszczenie Rzymu przez Francuzów było koniecznym jego warunkiem; przymierze to jednak zaczepno-odporne wieleby straciło na swéj wadze, tak pod względem strategicznym jak i politycznym, gdyby Austrya do niego nie przystąpiła; jedynie przystąpienie do niego Austryi, mogło mu nadać doniosłość. W tym kierunku prowadzone były układy, a podpisanie tego potrójnego traktatu, byłoby zaważyło w wypadkach.

O traktacie neutralnosci między Austryą, Włochami i Anglią mówiono także. Ten byłby był bez znaczenia.

Nareszcie przypuszczano, że Francya trzyma w księstwach Naddunajskich nici politycznego przewrotu, którego ofiarą miał paść książe Karol Hohencolern, co przyspieszyć mogło ogólne zawikłania.

Każda chwila, każdy szczegół i całość wypadków niezmiernej dla Austryi były wagi. Okazała się wtedy w zewnętrznej polityce tożsamość zapatrywań Polaków galicyjskich i Węgrów, bo tożsamość niebezpieczeństw. Ważną okolicznością było, iż sieć kolei żelaznych łączących Węgry z Galicyą, nie była jeszcze skończoną. Pewien mąż stanu węgierski powiedział wtedy, że, gdyby te koleje były wybudowane, przemawiałby za natychmiastowem zajęciem przez monarchię śmiałego stanowiska.

Ale nietylko koleje, nic zgoła nie było gotowem do wielkiego, światowego wystąpienia; ani ludzie, ani stosunki, ani narzędzia. W zamian wrzały spory wewnętrzne; Austrya płynęła z rozwiniętemi żaglami, pod sternictwem ministeryum Alfreda Potockiego, po szerokiem, wzburzonem morzu parlamentarnem. — Zamiast myśleć o zaważeniu w dziejowych wypadkach, trapiono się niepewnością przybycia Czechów do Rady Państwa. Nietylko brakowało zatem środków do wielkiego na zewnątrz działania, ale sposób rządzenia państwem, był najniewłaściwszy do podjęcia go.

Tymczasem rozpoczęły się już były pierwsze sceny krwawego nad Renem dramatu. Jednocześnie wśród burzy grzmiącej nad Europą i innej grzmiącej nad Rzymem Papieży, powszechny sobór zakończył był swoje prace uznaniem nieomylności Ojca świętego. Wobec ogłoszonego postanowienia soboru, społeczność katolicka, chcąc pozostać katolicką, musiała uchylić czoło; z ogłoszeniem. rozprawy w świecie katolickim, zamknięte były.

I.

Czy rzeczywiście już było za późno? Czy istotnie Francya była już moralnie i materyalnie za słabą, aby się zmierzyć z tem nowo powstałem państwem, którego nadzwyczajny wzrost pielęgnowała tak niebacznie w ostatnich latach polityka napoleońska? Czy Francya nie mogła już położyć tamy polityce hr. Bismarcka, a czyż położenie Europy było już takie, że nie można było znaleźć środków, któreby wstrzymały lub uniemożliwiły powstanie owego niebezpiecznego dla wszystkich tworu, ochrzczonego nazwą jedności niemieckiej pod przewodnictwem Hohenzolernów?

Pytania te nasuwają się w obec wypadków; klęsk Francyi, tryumfów nadspodziewanych polityki hr. Bismarcka.

Nie lekceważyłem sobie, potęgi i siły Północnego Związku, wskazałem niebezpieczeństwa grożące ztąd równowadze europejskiej, potędze, wpływowi i bezpieczeństwu Francyi. Dla tego też niepodobna się było łudzić także co do warunków walki między temi dwoma państwami, a znając siły duchowe, polityczne i militarne Północnego Związku, widząc jak użytkowano tam cztery lata od Sadowy, w celach wojskowych i widokach dalszych zaborów, przeczuwać należało, że warunki walki nawet z tak potężnym przeciwnikiem jak Francya będą równe. Wiadomem było, że zapasy dla obydwóch stron będą trudne, że zwycięstwo będzie okupione wielkiemi ofiarami, większemi jeszcze wysileniami, ale świat żywił przekonanie, że Francya, rozpoczynając działanie chociaż już spóźnione, mogła jeszcze stawić czoło sąsiadowi, że miała jeszcze w rękach dostateczne środki wojskowe i polityczne, aby zniweczyć dzieło hr. Bismarcka, świat wystawiał sobie starcie między Francyą a Północnym Związkiem, jak walkę między dwoma równymi przeciwnikami, w której siła dobrej sprawy szalę zwycięstwa przeważy. Bóg wojny miał tu rozstrzygnąć!

Czy, rozumując w ten sposób, mylono się? Skutek zdaje się odpowiadać tak. Wewnętrzne poczucie, znajomość pięknej a nawiedzonej Francyi i jej nieprzebranych duchowych i materyalnych zasobów, wołają silnym głosem — nie; nie mylono się, sądząc, że Francya była dość potężną, aby się zmierzyć z tym nowo powstałym przeciwnikiem, aby stawić czoło siłom Północnego Związku i szczęściu Prus; ale, bo też przypuszczano, że do tak olbrzymiej walki Francya wystawi i skupi wszystkie swe zasoby, a wtedy niewątpliwie wojna byłaby była kosztowną, trudną, krwawą, ale

wtedy byłby rozstrzygnął Bóg bitew, a tak rozstrzygnęły: zaślepienie i nieudolność rządców Francyi, upojenie się przedwczesne narodu pewnością zwycięstwa, jego nieprzebaczona lekkomyślność, przypominająca niemal tym razem tę, którą niestety odznaczały się wszystkie nasze rozpaczliwe przedsiewzięcia i rozstrzygnęły: rozum i stateczność pruskie, geniusz Bismarcka i Moltkiego, zmysł zarządu Roona.

Wojna nie była błędem ze strony cesarza i rządu francuskiego, była przeciwnie ocknieniem się, zrozumieniem konieczności naprawienia tych pomyłek, w skutku których, wbrew odwiecznym tradycyom polityki francuskiej, Francya ujrzała się wobec groźnego nader dla siebie stanu rzeczy w Niemczech. Wojna ta była potrzebą polityczną i walką o mocarstwowe stanowisko i bezpieczeństwo Francyi. Nie, wojna nie była błędem, ale koniecznością, tego najwymowniej dowiodły wypadki; klęski wojsk francuskich, upadek jej uroku, dynastya zwalona, dwie prowincye oderwane, Strasburg, Metz, Paryż zdobyte! Z sąsiadem dość silnym, aby to zdziałać w kilku miesiącach, wojna nie była błędem, była obowiązkiem. Ale pomyłką było przedsięwzięcie jej bez należytych środków, z lekceważeniem czy nieznajomością sił przeciwnika, bez sprzymierzeńców, bez planu i dowódcy. Dziś wszystkie te niesłychane błędy są widoczne i jasne; któż mógł przypuścić, iż popełnione zostaną przez rząd, którego główną cnotą była ostrożność i pośród najrozumniejszego, najwykształceńszego narodu w świecie! Któż mógł przypuścić, że przekształcenie armii marszałka Niel pozostało martwą literą, że siły wojenne Francyi nie odpowiedzą wykazom osiemnastoletnich budżetów? Któż mógł jednem słowem przypuścić, że cesarz, że Francya rozpoczną wojnę z potężnym przeciwnikiem, nie będąc wcale do niej przygotowanemi? O tem nikt, prócz może hr. Bismarcka, nie wiedział.

Wszystko składało się na to, aby w błąd wprowadzić publiczność. Prawdziwe, głębokie przyczyny wojny tkwiły niewątpliwie w zbytecznym wzroście potęgi pruskiej, w zamiarach i widokach hr. Bismarcka; chwilę przecież i powód do wojny wybrała dowolnie Francya. Śledząc od początku do końca przebieg sprawy kandydatury ks. Hohenzollerna, od butnego przemówienia ks. Gramont aż do niezwykłego w dziejach dyplomacyi zaczepienia króla pruskiego przez Benedettiego w Ems, dojść się musiało do przekonania, że rząd francuski chciał jak najspieszniej wojny, że każda chwila była mu drogą, że tem samem od stóp do głowy uzbrojony, widział wielkie dla siebie korzyści w prędkiem rozpoczęciu kroków wojennych. Jeżeli kandydatura księcia Hohenzollerna miała już koniecznie posłużyć za powód do nieuniknionej, od dawna postanowionej wojny, jeżeli nie chciano stracić tej sposobności do przywrócenia należnego Francyi stanowiska, to przecież nie trzeba było nadzwyczajnej biegłości dyplomatycznej, aby rokowania nad nią przedłużyć przez dwa miesiące, to jest przez czas potrzebny do uzupełnienia uzbrojeń i wystąpienia odpowiedniego siłom przeciwnika; skoro zaś Francya nietylko, że nie przeciągała rokowań, ale niejako parą i elektrycznością pędziła do wojny, wnosić należało, że tak zupełnie do niej była gotową, że nigdy bardziej gotową być nie mogła. Tak też mniemał świat cały, tak mniemała upojona szałem wojennym i odgłosem marsylianki Francya, tak sądziły lekkomyślnie izby francuskie, które bez użycia prawa nadzorowania, niemal jednogłośnie poparły pośpiech rządu. Odezwał się wtedy jeden tylko głos, głos znakomitego statysty i osiwiałego męża stanu, odważnie, śmiało, bez troski o wzięcie, bez obawy, że jest osamotniony; głos ten zagłuszyła wrzawa izby, śpiewy uliczne, patryotyczne okrzyki narodu. Nie pozwolono mówić Thiersowi. Wyrzutami niepatryotyzmu i małoduszności obrzucono go. „Nie

mogłem wam wtedy tego powiedzieć, ale wiedziałem, że nie jesteście gotowi do wojny“ rzekł później twórca fortyfikacyj paryzkich. Nowa to nauka dla zgromadzeń, że właśnie w chwilach wielkich postanowień i jednomyślnego uniesienia patryotycznego, nie należy zagłuszać pojedynczego głosu, bo zwykle jest to głos rozwagi, rozsądku, i prawdziwej miłości ojczyzny. Słusznie powiedzieć mógł sędziwy historyk pierwszego cesarstwa: „Był to najpatryotyczniejszy czyn mojego życia“.

Zastanówmy się nad powodami i przyczynami wielkich błędów, których następstwem wielkie klęski, rzucić to bowiem może światło na tę pełną grozy przeszłość, w którą wszyscy z trwogą długo wpatrwać się będą.

Niezawodnie, że należyte poczucie własnej potęgi jest siłą, lecz gdy pewną przekracza granicę, przemienia się zbyt prędko w zarozumiałość. Rządy osobiste, chcąc pokryć własne błędy i zakryć poniesione na zewnątrz klęski, przyczyniły się znacznie do wytworzenia w kraju zgubnego, bo przesadnego, nieodpowiedniego niemal rzeczom ludzkiem mniemania, o sile i niezwyciężonej, niczem nie zagrożonej potędze — wielkiego narodu! Szumne słowa, wspaniałe zwroty krasomowcze zaczęły zastępować rzeczywistość. Błąd i klęski w Meksyku zagłuszono urzędowemi mowami o potędze Francyi, zaprzeczono porażce poniesionej w sprawie polskiej i w sprawie kongresu, a chociaż „głos Francyi nie został wysłuchanym“, twierdzono, że zbyt jest wielką, aby ją to dotknąć mogło w jej czci lub interesach; fałszywe rachuby i zawody w polityce niemieckiej, nadzwyczajny wzrost Prus po Sadowie tłomaczono na korzyść Francyi i dla tem większej chwały polityki rządowej i znów twierdzono, że Francya zbyt jest silną, aby miała się kogokolwiek obawiać; słowem wbrew rzeczywistości utrzymywano, że wszystko jak-

najlepiej idzie. I w końcu Francya uwierzyła w to; opuściła ją troska o jej stanowisko w Europie, a używając teraźniejszości, przestała myśleć o przyszłości, będąc jej pewną, nie wątpiąc ani na chwilę, że jak zawsze tak i teraz jest panią położenia. Rzeczywista potęga słabła, polityczne warunki stawały się z każdym dniem groźniejszemi, a zarozumiałość wzmagała się. Cóż zaś jest najzgubniejszem następstwem zarozumiałości? — oto lekceważenie przeciwnika! Francya lekceważyła sobie przeciwnika, a marzenie, co mówię, pewność przechadzki do Berlina, zgubiła ją.

Przy tylu wielkich, świetnych zaletach narodu francuskiego, znaną jest jego zgubna acz tak urocza lekkomyślność, która i nam właściwa, jest może jedną z przyczyn wzajemnego pociągu. U Francuzów wada ta przybiera zastraszające, niegodne tak wielkiego narodu rozmiary, w sądzie o obcych stosunkach. Francuz lekceważył wszystko, co było za Renem, i dla tego nie miał o tem ani dokładnego ani jasnego wyobrażenia. Słusznie mógł hr. Bismack z właściwem mu szyderstwem mówić w swoich notach o zupełnej nieznajomości dyplomacyi francuskiej, stosunków niemieckich.

Nie potrzeba było być potężnym rządem, rozporządzającym licznymi agentami, nie potrzeba było być ani znakomitym dyplomatą, ani znakomitym wojskowym, aby mieć jasne pojęcie o potędze i zasobach wojennych Północnego Związku; dość bowiem było przejechać się z Koblencyi do Frankfurtu, z Frankfurtu do Hamburga, z Hamburga do Berlina i Poznania, dość było przypatrzeć się ciągłym ćwiczeniom licznych wojsk, codziennemu nastrajaniu i wytężaniu wszystkich wielkich zasobów państwowych w wyłącznym militarnym celu, aby przekonać się, że państwo powstałe w skutku Sadowy, było potężnym przeciwnikiem, i że te sąsiednie kraje były jednym rozległym obozem. Zdaje się jednak, że tych prawd rząd francuski nie znał, skoro bez nale-

żytego przygotowania z lekkiem sercem, jak rzekł minister Ollivier, rozpoczął wojnę.

Nie mniejszą lekkomyślnością i nieznajomością stosunków zareńskich, było łudzenie się dyplomacyi francuskiej, że Niemcy w obec wojny z Francyą nie zjednoczą się pod dowództwem Prus, i że traktaty z 1866 roku z południowemi państwami pozostaną martwą literą. Nie wiedziała więc dyplomacya francuska, że głównym cementem jedności niemieckiej, była właśnie obawa Francyi i wspomnienia wojen pierwszego cesarstwa.

Jeżeli teraz zwrócimy myśl naszą na Francyę, na stan jej i położenie, na ilość sił wojskowych, szczególniej na zasoby, któremi rozporządzała w chwili rozpoczęcia wojny, to dostrzeżemy tu takie wielkie braki, tak nieodpowiednie bogactwu przygotowania, tak sprzeczne nawet z budżetem wojny militarne środki działania, że tu, musi bardzo surowy sąd wypaść i napiętnować, jeżeli nie społeczeństwo francuskie, to ówczesny porządek rzeczy. Rządy osobiste przez długie lata krępowały samoistność narodu, być może, że wywierały rozkładowy wpływ, że zbytnią nie odznaczały się cnotą, że dobrobytem i zyskami, wynagradzając wierność, podniecały zgubne, poziome żądze; wiem, że w ostatnich czasach zbyt często nie zasługa, ale osobiste względy przeważały w wyborze ludzi i obsadzeniu ważnych posad, że tem samem mogła tak w najwyższych wojskowych jak i urzędniczych warstwach zapanować nieudolność; wszystko to jednak nie jest dostatecznem do wytłomaczenia zadziwiających braków i niedostatków w uzbrojeniach sił lądowych i morskich; do zrozumienia tej krzyczącej sprzeczności między tak świetnym na papierze, a tak w rzeczywistości nieodpowiednim, ani zasobom Francyi, ani poniesionym przez ośmnaście lat kosztom, stanem wojskowym, w chwili rozpoczęcia wojny. Bardziej jeszcze zastraszającą oznaką,

był zły zarząd wojenny. Zły zarząd wojenny jest nieomylnym dowodem zepsucia, jeżeli nie społeczeństwa, to w rządzie. Nieład i nieuczciwość, wkradając się w sprawę, od której bezpośrednio zawisłe są potęga, cześć i bezpieczeństwo ojczyzny, są oznakami zgnilizny.

A trudno zaprzeczyć, że i pod tym względem okazały się ujemne strony, czarne punkta, które przeszkodziły działaniom wojennym. W Chalons, gwardya ruchoma nie miała dostatecznej żywności, korpus marszałka Mac-Mahona bił się o dwudziesto-czterogodzinnym głodzie. Jakżeż nareszcie wytłomaczyć sobie miesięczną bezczynność wspaniałej floty? Jak wytłomaczyć sobie zapomnienie i zaniedbanie Morza Północnego i Baltyku, nieblokowanie przez tak długi czas portów niemieckich; jednem słowem, jak wytłomaczyć sobie wstrzymanie się z rozpoczęciem wszelkich w tym kierunku działań?! Torpile rozrzucone na brzegach północnego i baltyckiego morza nie są dostateczną odpowiedzią. Ale w Cherbourgu zamiast 120 statków przewozowych, znalazło się tylko dwadzieścia!

Były zatem wielkie braki, dowódzcy francuscy w zupełnej byli niewiadomości o ruchach nieprzyjaciela, a tysiące pruskich szpiegów swobodnie donosiło o wszystkiem, głównej kwaterze niemieckiej. Rzuca to cień na zarząd francuski, i zaprawdę, zbytecznem już było, szukać powodów klęsk w jakiejś wietrzonej przez lud wiejski zdradzie. Niesumienność i rozprzężenie w zarządzie wojskowym, to dostateczne przyczyny upadku najpotężniejszych państw. Sprężystość i sumienność w nim, to główne sprężyny powodzeń pruskich.

W skutku więc po części błędnego ocenienia sił nieprzyjacielskich, w skutku szczególniej niewytłomaczonej nieudolności w ministeryum wojny, Francya, która mogła wystawić pięćkroć sto tysięcy wyćwiczonego żołnierza, nie licząc gwardyi ruchomej i narodo-

wej, rozpoczęła wojnę zaledwie w dwa kroć pięćdziesiąt tysięcy wojska, to jest z mniejszą połową sił, które niebawem Niemcy miały rzucić na ziemię francuską. Okazało się dalej, że gwardya ruchoma nie była ani uporządkowaną, ani wyćwiczoną, i że nawet nie zdoła się zmierzyć z landwerą pruską. Nareszcie flota francuska zamiast zadać dotkliwe nieprzyjacielowi ciosy, pozostała miesiąc bezczynną. Przesłanki te musiały zgubnie wpłynąć na dalsze działania wojenne.

W tych warunkach pierwszym politycznym błędem był niezawodnie — pośpiech w wypowiedzeniu wojny. Jak ten pośpiech wytłomaczyć sobie? Co mogło spowodować cesarza do tak natarczywego prowadzenia sprawy kandydatury ks. Hohenzollerna, do wystąpienia nagłego bez należytych przygotowań, bo nawet bez powołania pod broń czwartych batalionów? Co nareszcie nakłonić go mogło do rozpoczęcia tej olbrzymiej walki, przed zapewnieniem sobie sprzymierzeńców? Trudno odpowiedzieć stanowczo na te ważne pytania, a niepodobna znowu szukać rozwiązania tych zagadek jedynie w duchowym i fizycznym upadku władcy Francyi lub w nieudolności ministeryum Olliviera.

Przedsięwzięta wojna odpowiadała niezawodnie potrzebom Francyi, lecz była także koniecznością dla dynastyi; szczęśliwie prowadzona, opromieniała błyszczącem światłem pod koniec panowania Napoleona III blednącą gwiazdę napoleońską. Wzgląd ten musiał przeważne zajmować miejsce w myśli cesarza. Prędka, piorunująca wojna, niezbyt kosztowna, nie wymagająca wielkich wysileń, tem samem nie dająca powodu do szemrań, wojna, w którejby cesarz naczelnie dowodził, a cesarzewicz okrył się chwałą, zakończona przyłączeniem krajów nadreńskich i świetnym pokojem, zawartym w przyrodą nakreślonych granicach, uznającym prawa Niemiec do jedności i jeżeli nie zasadę narodowości w całej jej czystości, to zasadę aglomeratów;

wojna taka odpowiadała najlepiej i najzupełniej widokom dynastycznym i uczuciom ojcowskim.

Względy te w połączeniu ze złudzeniami o łatwości przedsięwzięcia, mogły spowodować cesarza do spiesznego rozpoczęcia wojny, do zaniechania zbyt wielkich, niepotrzebnych wysileń i uzbrojeń, szczególniej do prowadzenia jej samemu bez niedogodnych sprzymierzeńców, względem których trzeba było wziąć zobowiązania pociągające za sobą dalszą walkę, uniemożebniające zakończenie jej nad Renem po jednem zwycięztwie, nakazujące prowadzić ją aż do przeobrażenia nie tylko stosunków niemieckich, ale może także i europejskich. Sprzymierzeńcy mogli nawet stawić przeszkody ulubionej, od dawna głaskanej myśli, a urojenie pozyskania granic Renu bez przeobrażenia karty europejskiej, było acz złudne, pełne wdzięku. Uporczywe marzenie o upragnionej zdobyczy tych pięknych, a tak drogich całym Niemcom krajów, mogło zaślepić! Przyczyniła się do tego nadzieja neutralności południowych Niemiec, nareszcie ta rachuba, że bez przymierza, bez żadnych rękojmi i zobowiązań, siłą wypadków jedynie, Austrya zmuszoną będzie zająć groźne względem Prus stanowisko, odrywające przynajmniej część ich sił. Do tych złudzeń przyczyniły się zapewnienia ks. Gramont, który przybywając z Wiednia, zaręczał, że Austrya w dniu wypowiedzenia wojny Prusom przez Francyę, postawi na granicy czeskiej trzykroć sto tysięcy wojska, trzykroć sto tysięcy, których nigdy nie miała od Sadowy, które w najlepszym razie zaledwie za sześć tygodni mieć mogła i że rzuci się w wojnę pomimo uczuć niemieckich znacznej części jej ludności i pomimo obaw przed powrotem do dawnej niemieckiej polityki, drugiej części monarchii. Bez znajomości położenia rzeczy, rachowano zbytecznie na siłę zemsty i żądzę odwetu. Nie uznano więc za stosowne zapewnić sobie za pomocą traktatu i wszechstronnych rękojmi

współudziału Austryi, a uznano za nierównie wygodniejsze nie brać żadnych przedwczesnych zobowiązań i nie przestrzedz jej nawet.

Zdaje się, że z Włochami warunki przymierza były już nieco dokładniej omówione; lecz i tu przyjazna neutralność zdawała się wystarczać i odpowiadać życzeniom rządu francuskiego. Dalsze warunki przymierza odnosić się miały jedynie do pewnych wypadków, bo i tu znowu ściślejsze zobowiązania mogłyby nadać wojnie zbyt wielkie rozmiary. Czy pomoc Włoch była obiecaną na wypadek chwilowego niepowodzenia oręża francuskiego? Dokładnie nie wiem. Gdyby jednak tak było, toby Włochy złożyły były nowy świetny dowód niewdzięczności, w wysokim stopniu politycznej i roztropnej. Przyjście w pomoc Francyi w razie jej ostatecznej przegranej, mogło Włochom stać się niebezpiecznem, w razie wygranej żadnych nie przyniosłoby im było korzyści. Rzym zaś opuszczony przez Francuzów, wobec klęsk Francyi, stał już otworem.

Nawet pomocy najnaturalniejszego w tej wojnie sprzymierzeńca — Danii, nie chciała czy nie umiała sobie zapewnić Francya; dopiero po pierwszych klęskach nieudane posłannictwo margr. Cador dowiodło, że i na tę nawet drobną pomoc rachować nie może; że ją tam także ubiegła polityka hr. Bismarcka. Wreszcie pomimo przewidywań i w księstwach Naddunajskich, nie dały się czuć ani wpływ, ani ręka Francyi; były one już omdlałe.

Tak więc bez należytego przygotowania, bez zbytecznych, niepotrzebnych zdaniem rządców Francyi, wysileń, bez niewygodnych, chociaż wskazanych sprzymierzeńców, rozpoczął w środku lipca 1870 r. cesarz Napoleon wojnę, która go miała doprowadzić do krwawych lecz łatwych tryumfów, do upragnionych zdobyczy i do ustalenia dynastyi. W tych warunkach i myślach przedsiewzięta wojna z najpotężniejszem militar-

nem państwem Europy, nosiła w sobie zarody klęsk, nie były one jednak dowodem upadku, ani niższości Francyi, ani zupełnej niemożności postawienia tamy polityce pruskiej. Ale nasunąć muszą myśl, że nie Francya, nie Napoleon III., ale Bismarck wybrał chwilę walki.

Do tych zgubnych rachub, do tych początkowych niesłychanych błędów, doliczyć wypada wyłącznie militarne, które po części były następstwem tamtych, po części zaś skutkiem nieudolności dowództwa i kierownictwa.

Wojna na tak rozległym teatrze jak Ren i Niemcy, wymagała nietylko doświadczonego, ale i z wyższemi wojskowemi pojęciami wodza. Do takiej wojny potrzeba i głęboko obmyślonego planu i szerokiego, wszechstronnego poglądu. Cesarz Napoleon objął na wezwanie senatu dowództwo. Cesarz nie był nigdy wodzem, zbywało mu na praktyce, zbywało na doświadczeniu zaczerpniętem w wielkich wojnach, które jedyną są szkołą wielkich wodzów. Rzecz godna uwagi, cesarz czuł sam, że mu zbywa na zdolnościach wojskowych; po wojnie włoskiej wyznawał z skromnością godną jego niepospolitego rozumu, przed ówczesnym ministrem spraw zewnętrznych hr. Walewskim, „że się przekonał, iż, aczkolwiek posiada dostateczne wiadomości wojskowe, jednak nie jest w stanie dowodzić wielkiemi armiami“. A jednak schorzały objął dowództwo armii, która powinna była być ogromną, w wojnie najtrudniejszej, jaką Francya za jego panowania prowadziła. Przebija i w tem postanowieniu troska o podniesienie blasku gwiazdy napoleońskiej, która wielkie, zbyt może wielkie w tych wypadkach zajmowała miejsce. Ileż dowództwo cesarza i nieuniknione bohaterskie czyny cesarzewicza w szczęśliwej wojnie, nie byłyby dodały uroku ostatnim latom panowania Napoleona III, pierwszym Napoleona IV-go

Armia, naród olśnione, porwane, Francya dumna z wielkich czynów swoich władców!

Dowództwo cesarza nie było bynajmniej pozorne; wprawdzie w takich wypadkach, naczelny szef sztabu, nie szkodząc sławie naczelnego wodza, zwykle go zastępuje; lecz tu szefem sztabu był nieznany dotąd z samodzielnych działań wojennych marszałek Le Boeuf, którego brak zdolności zarządczych i wojskowych, teraz dopiero niestety, widocznym się stawał, a którego powołanie z pominięciem tylu innych, pozostało jedną z nieodgadnionych zagadek tych tak w zagadki obfitych czasów. Wojska więc francuskie rozpoczęły kampanię bez rzeczywistego naczelnego dowództwa.

Stanął cesarz na czele armii nad granicą i zaraz okazały się skutki nieprzezorności i błędnych rachub. Obliczywszy swe siły, ujrzał pod swojem dowództwem zaledwie dwa kroć pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, wobec dwa razy tak silnego nieprzyjaciela; armii zbywało nieraz na potrzebnych do wojny zapasach, a poczuła ona, że nie ma dowódzcy.

Złudzenia o neutralności południowych Niemiec już były rozwiane, Książę następca tronu pruski stał na czele licznych wojsk bawarskich, wirtembergskich, badeńskich, a tem samem prawe skrzydło francuskie wielce było zagrożone. Nadzieja, raczej pewność wystąpienia Austryi, przemieniła się już była w smutną rzeczywistość; państwo to nie poruszyło ani jednego żołnierza, i nie oderwało ani jednego pruskiego landwerzysty; w najlepszym razie przed sześciu tygodniami nie mogło postawić nawet wyczekującego korpusu w Czechach, a jedyną radę jaką mógł hr. Beust przesłać Francyi, była ta, ażeby, skoro sama rozpoczęła wojnę, sama starała się zwyciężyć. Od chwili więc przybycia do Metz, znalazł się cesarz pod każdym względem w fałszywem położeniu, a bardzo prędko ujrzał się w zbyt trudnem. Ztąd nastało niepojęte dla ogółu

opóźnianie wszelkich kroków zaczepnych, które tak złowrogo przypominało postępowanie Feldceigmeistra Benedeka w 1866 roku, które w samej rzeczy pozbawiło Francyę korzyści początkowania, a Prusom dozwoliło swobodnie skupić wszystkie siły; opóźnienie, które było skutkiem wahania się wobec zawiedzionych rachub, i nowego zgoła dla cesarza położenia.

Czy główny sztab francuski miał jaki plan? Jeżeli istniał, to tak po rozłożeniu wojsk, jak po całem prowadzeniu wojny, ani się go domyśleć, ani dopatrzyć nie można. Istniał, prześlicznie, dokładnie obmyślany, odziedziczony po marszałku Nielu; ale ten był jedynie obrachowany na zaczepne ze strony Francyi działanie, bynajmniej na wypadek przeciwny, co zdradzało znów wielką pewność siebie; nic więc dziwnego, że w chwili, w której Niemcy uderzyli, w obozie francuskim zapanowały popłoch i bezradność. Czyż należy nareszcie dać wiarę przypuszczeniom, że cesarz z umysłu zwlekał rozpoczęcie kroków zaczepnych, rachując na zadanie klęski Prusom siłą czasu, która z powodu składu ich wojsk i landwery, pochłaniających wszystkie żywotne i pracujące czynniki kraju, miała być dla nich zabójczą; wedle tego przypuszczenia, Prusy nie miały być w stanie wytrzymać długiej, nawet czteromiesięcznej wojny. Pomijając, że przypuszczenie takie, ażeby było słuszne, musiałoby się opierać na nieprawdopodobieństwie, że skład armii pruskiej był najniegodziwszy i najzgubniejszy, jaki kiedykolwiek mógł prawodawca wymyśleć, to przecież nasuwał się prosty wniosek, że Prusy, wiedząc o tej swojej pięcie achillesowej, same pospieszą z rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich. Rzeczywiście zaś sztab francuski był źle obsłużony, nie wiedział ani o sile, ani o ruchach przeciwnika, i widocznie znów w skutku pewności siebie, nie przypuszczał nawet, aby Niemcy śmieli uderzyć pierwsi na armię francuską.

Po długiej nareszcie stracie kosztownego czasu, wojska francuskie rozpoczęły działanie uderzeniem dnia 4-go sierpnia na Saarbrück, którego ani powodu, ani celu strategicznego dociec nie można. Bitwa ta metodycznie stoczoną została przez nauczyciela cesarzewicza jen. Frossard, tak, że na oznaczoną godzinę mogli przybyć i cesarz i cesarzewicz. Urządzenie całej rozprawy, miało być doskonałe, a cesarz wróciwszy tego samego dnia do Metz, mógł telegrafować do cesarzowej rejentki, że cesarzewicz okazał wielką przytomność i zimną krew. Cel był dopięty, cesarzewicz pozyskał ostrogi.

Lecz niebawem ważniejsze, donioślejsze, krwawsze, rozpoczęły się wypadki.

Dnia 6-go książę pruski na czele przeszło stu dwudziestu tysięcy ludzi uderzył na Weissenburg, zajęty przez dywizyę (12,000) jenerała Douay, z korpusu marszałka Mac-Mahon. Dywizya ta zaskoczona przez tak liczne siły, przy kociołkach i z bronią w kozłach, po całodziennej bohaterskiej walce, zniszczoną, zniesioną zupełnie została, a marszałek Mac-Mahon zapóźno już nadszedł, aby przyjść jej w pomoc. Świat cały, który oczekiwał prędkiego, stanowczego działania armii francuskiej, zdumiał się na wiadomość o tej porażce; w pierwszej chwili przypuszczono, że to była jedynie zasadzka zastawiona na armię ks. pruskiego; oczekiwano na drugi dzień prędkiego, piorunującego odwetu. Strata dywizyi Douaya sama przez się mało znacząca, była jednak dla wszystkich poważniejszych umysłów, złą i przerażającą wskazówką zupełnego braku dowództwa w obozie francuskim i braku sił. Nasuwało się tu bardzo proste pytanie: jakim sposobem Weissenburg wysunięty klinem, można było jedną tylko obsadzić dywizyą? Punkt ten strategicznie dość był ważnym, bo zbiegały się w nim poboczne koleje, łączące północne stanowiska francuskie z południowemi. Zaskoczenie znów z nienacka dwunastu tysięcy przez sto dwadzie-

ścia, jakby jakiego powstańczego oddziału polskiego z 1863 roku zdradzało niebaczność, lekkomyślność ze strony dowódzców francuskich, brak nawet przednich straży, a rzeczywiście to wszystko zdradzało może tylko tę zgubną pewność, że Prusacy nie będą śmieli rozpocząć zaczepnego działania. Błędy te uczuł niezawodnie głęboko jenerał Douay, skoro umyślnie z samowiedzą i postanowieniem szukał tej bohaterskiej śmierci, która go nie ominęła, a która maże winy. Dla czego zaś dywizya ta, tak wysuniętą i narażoną została, że nawet książę Magenty nie mógł przyjść jej w pomoc — pozostało dotąd jedną z tych zagadek, w które obfitował sierpień 1870 r.

We dwa dni potem miała wybić godzina, oczekiwanego, pewnego odwetu. Pod Wörth korpus marszałka Mac-Machona spotyka się z całą armią ks. pruskiego. Tu znowu trzydzieści trzy tysiące Francuzów walczy o głodzie, przeciw sto czterdziestu tysiącom Niemców, z niesłychanem męztwem, z nadludzkiem wysileniem; „to lwy nie ludzie“ mówią naoczni świadkowie. Trzydzieści trzy tysiące bohaterów walczy cały dzień z cztery razy liczniejszym nieprzyjacielem i dokonywa cudów waleczności. Wspaniałym jest pośród nich ten marszałek Francyi, który nie traci ani chwili przytomności, który dowodzi jak znakomity wódz, a naraża się jak prosty żołnierz; przy jego boku pada szef sztabu Colson! Wspaniałym jest ten trzeci pułk żuawów, zwycięzca z pod Palestro, który cały niemal pada na placu boju, broniąc sztandaru, a którego bohaterski pułkownik cudem ocalał, aby złożyć przed Francyą świadectwo o niczem nieugiętej waleczności swoich podwładnych. Wspaniałym jest ten kwiat młodzieży francuskiej, która pospieszyła pod rozkazy zwycięzcy pod Magenty, a która ginie, otaczając go. Wspaniałą jest ta szarża czterech pułków kawaleryi, których dowódcy uściskawszy marszałka, spieszą na pewną śmierć i znisz-

czenie, aby zakryć odwrót szczątków armii! Cofa się pod tą zasłoną, ta armia licząca już tylko ośmnaście tysięcy ludzi, cofa się w porządku pod dowództwem tego wodza, który acz zwyciężony, ani jednego listka dawnych laurów nie uronił w tym dniu.

Czy marszałek Mac-Mahon mógł uniknąć bitwy pod Wörth? Zdaje się, że błędne, bezmyślne rozstawienie korpusów francuskich, przeznaczało je z góry na zgubę. Marszałek, widząc zbliżające się przeważne siły nieprzyjaciela, po dwakroć telegrafował do głównej kwatery o pomoc i rozkazy, przewidując klęskę: po dwakroć odebrał jako jedyną odpowiedź wyraz „Uderzaj".

Jednocześnie jenerał Steinmetz na czele spełna stu tysięcy ludzi, uderzył koło Saarbrück, na odosobniony, nierównie mniej liczny korpus francuski pod dowództwem jenerała Frossard. I tu korpus Frossarda narażony, odosobniony, postawiony tak, że nie mógł skutecznych otrzymać posiłków, ustępuje z dziesiątkowany, pod przeważnemi siłami szczęśliwego przeciwnika.

Niemcy, przełamawszy w ten sposób słabo obsadzone linie francuskie w dwóch punktach, zalewają Alzacyę pięćkroć stotysięczną armią. Francuzi, zmuszeni opuścić granicę, cofają się zrozpaczeni ku Mozelli. Oto pierwszy, zbyt ponury akt tego dramatu.

Cóż pokazuje się z tych początkowych, a tak zgubnych dla Francyi, działań wojennych? Oto widzimy, że odosobnione, nieliczne korpusy francuskie, oddalone jedne od drugich, tak, że nie mogły podać sobie ręki, wystawione były, jakby z umysłu na ciosy nierównie liczniejszego nieprzyjaciela. Widzimy, że wojna prowadzoną była wbrew odwiecznej zasadzie, że licznemi siłami należy walczyć przeciw mniej licznym. Czy w tem wszystkiem można się dopatrzeć jakiejkolwiek myśli; jakiegokolwiek kierunku lub planu? Nie, nie było tu ani myśli, ani planu, a klęski były tylko odpowiednie bezmyślności naczelnego dowództwa. Widzimy dalej

rzeczywisty brak sił francuskich, w obec armii niemieckiej, widzimy, że wielkiej armii wcale nie było, bo niezawodnie byłaby się pokusiła natychmiast o odwet za Wörth i Saarbrück, bo skoro marszałek Bazaine objął dowództwo, a w obozie francuskim, jakakolwiek myśl czuć się dała, osądzono słusznie, że z dwomakrocstotysiącami, zaledwie pozostałemi po bitwach 4 i 6 sierpnia, nie można przyjmować bitwy z armią pięćkrocstotysięczną i postanowiono odwrót za Mozellę, którym rozpoczął się drugi akt działań wojennych.

Klęska była wielką, tem straszniejszą, że do ostatniej chwili niespodziewaną, powody jej są teraz widoczne i aż zanadto dostateczne. Klęska militarna była wielką, lecz duchowe ciosy jeszcze boleśniejsze, jeszcze donioślejsze. Po tych przegranych, popłoch ogarnął główną kwaterę francuską; nie tyle w skutku porażek, jak na widok zbyt nielicznych w obec wypadków sił. Upadek na duchu i umyśle cesarza stał się widocznym; i wtedy to czytano w Paryżu owe niepojęte, niesłychane depesze cesarza, zwiastujące wypadki w sposób zdradzający tak zgubnie, pomięszanie, niemoc i bezradność. Biuletyny te stały się niemal równą klęską jak przegrana na polach bitew. Przerażeni, osłupieni ministrowie, ogłaszali je rozgorączkowanej publiczności, a *Dziennik Urzędowy*, wtórował im, niegodnymi Francyi słowy, w których na wzór polskich dzienników w 1863 roku wznosił w imieniu sprawy i równowagi europejskiej, błagalne prośby o pomoc i zapewniał, że Austrya zaraz, natychmiast pospieszy z odsieczą.

Naraz Francya ujrzała się zagrożoną przez wojska nieprzyjacielskie z poczuciem, że jest pozbawioną myśli kierującej, myśli, którąby mogła ją zbawić; ujrzała się bez władzy, bez opieki, bez wodza. Nieudolność rządu i dowództwa były widoczne, zbawienia ztamtąd nie można już było oczekiwać. Miejsce przedwczesnego szału zwycięstwa, zajął przedwczesny szał popłochu.

Człowiek, który przez ośmnaście lat myślał i działał za Francyę, duchowo znikł z widowni; dynastya mająca powód bytu w bezpieczeństwie, w potędze na zewnątrz i w chwale wojskowej Francyi, straciła go była w tych kilku dniach: powstała ztąd wielka próżnia i niebezpieczeństwo zamętu.

Niewątpliwie odpowiedzialność za te wypadki spada głównie na odpowiedzialnego monarchę, ale dzielić ją musi w części i naród. Odpowiedzialność dzielić muszą: otoczenie, ministrowie, izby, które nie wszedłszy w szczegóły, nie obeznawszy się z stanem armii i rozporządzalnych zasobów, dozwoliły lekkomyślnie, na tak szalone w tych warunkach przedsięwzięcie. Wina spada niezawodnie na cesarza, ale przedewszystkiem na system, a odpowiedzialność za system spada także w części na naród. Przy wielkich zaletach niema on potrzebnych w nieszczęściu cnót, bo do nich nie przywykł był. Chwilowo też po klęskach stan Francyi zdawał się rozpaczliwym. Nie dziwmy się temu, jest przepaść między pewnością zwycięstwa a okropnością klęski, między marzeniem tryumfu, a rzeczywistością najazdu, między przechadzką do Berlina a widokiem Prusaków pod Paryżem. Aby tę przepaść zapełnić, trzeba zdrowia i wielkiej siły ducha. Francya zaś znalazła się w dziwnem, bezprzykładnem położeniu, w obec najazdu nie miała odwagi skupić się w nieszczęściu około rządu i monarchy, ani zastąpić go innem.

Rozruchy na ulicach Paryża dodawały grozy położeniu, zabiegi obudzonych stronnictw trudności. Zwołano Izby, w obec nich ministeryum Oliviera, ministeryum bez powodu bytu, bo przedstawiające liberalizm napoleoński i upokorzenie zewnętrzne upadło, upadło zasłużenie, pod ciężarem tej zbrodniczej lekkomyślności z jaką dozwoliło cesarzowi i Francyi rozpocząć wojnę.

Lecz wtedy wszystkie serca ożywiły się jednem wielkiem uczuciem, które zawsze zdolne jest Francyę

rozegrzać i jej siły spotęgować, pragnieniem zasłonięcia przed nieprzyjacielem ojczyzny i wyparcia obcych z ziemi francuskiej. Wyrazem tego ogólnego uczucia, stało się ministeryum hr. Palikao, przyjęte przez wszystkie stronnictwa, nie dlatego, że było dynastycznem, ale pomimo tego. Stanęło więc ministeryum obrony narodowej, pod przewodnictwem, jednego z najdzielniejszych żołnierzy a najlepszych zarządców francuskich. Pierwszym krokiem w celu obrony narodowej, musiało być nadanie armii dowództwa. Cesarz złożył je, marszałek Bazaine je objął. Był to najdotkliwszy a nieunikniony cios, zadany władcy Francyi; wyśliznęła mu się z rąk władza wojskowa, politycznej nie śmiał na nowo silną dłonią uchwycić, pozostał więc cesarzem bez władzy, z strasznem brzemieniem odpowiedzialności za dotychczasowe klęski, bez nadziei i możności odwetowania ich osobiście. Był to więc cios i dla dynastyi. I wtedy to ten człowiek niedawno jeszcze z tak wielkim znaczeniem, jakby przeżył siebie samego i swoją wielkość, błąkał się między armią Bazaina, przy której pozostać nie mógł a obozem w Chalons, gdzie złowrogie usłyszał okrzyki, nie wiedząc czy ma pozostać przy armii, której klęski na nim ciężyły, czy też powrócić do Paryża, który może niezechciałby go przyjąć w swoich murach. Władca Francyi na którego jeszcze przed chwilą z trwogą spoglądała Europa, nie mógł znaleźć dla siebie miejsca i ani Francya ani Europa nie wiedziały dokładnie gdzie się znajduje. A Francya? Francya jakby z umysłu niedopytywała się o niego i milczała o nim; przechodziła nad nim do porządku dziennego; najwierniejsi słudzy, najzaufańsi przyjaciele, nie śmieli wymówić nazwiska, które przed chwilą było ich godłem. Straszny, wielki upadek ale upadek człowieka, nie narodu.

W obec duchowego i politycznego upadku człowieka, w obec klęski, która zatarła ośmnaście lat po-

myślności i niepospolitych czynów, nie będzie od rzeczy zastanowić się nad tą dziejową postacią, której upadek bez wielkości.

Wiem dobrze, że w obec niepowodzenia i nieszczęścia, ogół zbyt jest skłonnym potępiać bezwzględnie i odmawiać wszystkiego temu, któremu przed chwilą wszystko przyznawał! Poziomy to zwykle lub namiętny sąd.

Jakżeż ubliżającem byłoby to dla naszych czasów, gdyby człowiek, który tak wielką w nich odegrał rolę, którego tak długo, każde słowo, trwogę lub nadzieję w najdalszych stronach świata obudzało, był pospolitym szermierzem politycznym; dzieckiem ślepego szczęścia! Taki sąd, do którego zbyt jest dziś pochopną ludzkość, bardziej jest ubliżającym dla niej, jak dla Napoleona III.

Nie, człowiek, który tak wielce zaważył w losach najszlachetniejszego w świecie narodu i świata, nie był pospolitym człowiekiem; monarcha, który tak wielkie w świecie sprowadził przeobrażenia, nawet pomimo klęsk i upadku, nie przestanie być dla mnie niezwykłym człowiekiem. Nie był on skończonym, zupełnym mężem stanu, zalety i wady ścierały się w nim. Zdziałał niepospolite rzeczy, popełnił równie wielkie błędy.

Błędy, które wyżej wymieniłem, stały się bezpośrednim powodem klęski. Przyczyn jednak upadku należy szukać i dalej i głębiej; w ośmnastoletniej polityce drugiego cesarstwa i w charakterze monarchy, który wytłoczył na niej piętno, który z niej zrobił politykę osobistą. Panowanie Napoleona III. podzielić można na dwie części, z których pierwsza świetna, obiecująca, pełna czynów i doniosłości dla Francyi i świata, w której zalety człowieka błyszczą silnem światłem, a nawet niemal i wady jego, dopomagają mu do powodzenia; druga zaś pełną jest namacalnych błędów, porażek i niepowodzeń, odstępstw od zdrowych wielkich zasad odwiecznej polityki francuskiej, zakończona klę-

ską, a w której wady usposobienia, coraz widoczniejszemi się stawały i ubezwładniały zalety.

Niepospolitym był niewątpliwie człowiek, który wśród gry stronnictw i namiętności wywrotowych, zdołał zatkać sztandar napoleonizmu, jako godło porządku i ładu społecznego; niepospolitym był człowiek, który przed chwilą lekceważony i wyśmiany, zyskał osiem milionów głosów na prezydenta rzeczy pospolitej, który po mistrzowsku przeprowadziwszy zamach stanu, stał się wszechwładnym panem Francyi i włożył na głowę koronę stryjowską. Niepospolitym był monarcha, który doszedłszy do najwyższej władzy, uczuł potrzebę podniesienia potęgi i wpływu Francyi na zewnątrz, pogodzenia wewnątrz wyobrażeń nowoczesnych ze statecznością społeczną; który, odpychając wszelką myśl przestarzałej zemsty i współzawodnictwa, usiłował połączyć Francyę z Anglią, który zdołał zespolić je w celu stawienia czoła groźnym zamiarom cesarza Mikołaja I. na Wschodzie. Nie zwykłym był monarcha, który jako podstawę polityki francuskiej na zewnątrz, przyjął zasadę narodowości a wziął za godło „Interes Francyi, jest wszędzie, gdzie jest słuszna i cywilizacyjna sprawa“. Zasada i godło jedynie zdolne zabezpieczyć potęgę Francyi, bo stwarzające dla niej sprzymierzeńców i jak wyżej przytoczony Maurycy Mann słusznie powiedział, zamieniające większą część Europy w duchowe departamenta francuskie. Niezwykłym był monarcha, który w wykonaniu tych zasad oswobodził szczęśliwą wojną Włochy od obcego panowania, oddalił potęgę austryacką od granic Francyi i powiększył Francyę, Sabaudią i Nizą; który zrozumiawszy całą siłę papiestwa, do ostatniej chwili opierał się skutecznie, wydziedziczeniu z Rzymu Papieża. Niepospolitym był nareszcie ten, który, uznając konieczność swobód w państwie, chciał umiarkowane stopniowo wprowadzić i niemi uwieńczyć bu-

dowę a, który, uznając popełnione błędy, chciał je właśnie teraz wielkim czynem naprawić.

Lecz w działaniach tego człowieka, była zgubna połowiczność, skutek oględności i umiarkowania zbyt często podobnych do słabości i niemocy. Każdą myśl, każdy zamiar widzimy tylko do połowy doprowadzone a ich twórcę w pół drogi, zatrzymującego się; połowiczność w przeprowadzeniu i w wykonaniu, połowiczność nieodpowiadająca ani stanowisku ani powołaniu wielkiego narodu. Ztąd też, ten opłakany podział na dwie części panowania Napoleona III., w pierwszej wszystko rozpoczęte, w drugiej nic nie dokończone, w pierwszej wszystko się udaje, w drugiej nic. Sposób działania cesarza był spiskowy. Spisek, środek wymyślony dla słabszych przeciw mocniejszym, zgubnym się stać musi w zastosowaniu do wielkich potężnych sił; spiskami można wiele przewrócić, mało zbudować. Sposób spiskowy nie jest stosowny ani do rozwinięcia, ani do użycia zasobów wielkiego, potężnego tworu; marnuje je raczej; zdolnym jest oszukać, ale nie pokonać przeciwników, raz odkryty, wzbudza niczem niewykorzenioną nieufność, w końcu odosabnia tego, który go użył; odpowiedni zupełnie połowiczności w działaniu, był jej dopełnieniem w całem politycznem postępowaniu cesarza.

Połowiczność i spiskowość, oto dwie wady, które zgubny wywarły wpływ na osiemnasto-letnie panowanie Napoleona III. Połowiczność przeszkodziła wyzyskać należycie wojnę wschodnią, połowiczność i spiskowość zwichnęły sprawę włoską, spiskowość w sprawie przyłączenia Sabaudyi, obudziła powszechną nieufność, niedowierzanie. Od tej chwili przestano wierzyć i dowierzać cesarzowi, wystrzegano się go. Wady te jednak, mniej widoczne w pierwszej części panowania, stały się zgubnemi w drugiej.

Drugą tę część rozpoczyna niczem nieusprawiedliwiona, sprzeczna z interesem Francyi, szkodliwa w następstwach wyprawa meksykańska. Przedsięwzięcie jej było zapomnieniem tej prawdy, że pole działania Francyi jest w Europie, że tu winna ona była zapewnić stale swój wpływ, swoją potęgę, dla własnego bezpieczeństwa, a że do tego potrzebna była ciągła rozporządzalność wszystkich jej sił. Wojna meksykańska rozpoczęta lekkomyślnie, zakończoną została ohydnem opuszczeniem sprzymierzonego monarchy i wojskową porażką Francyi.

Połowiczność polityki napoleońskiej najzgubniejszą okazała się w wypadkach polskich. Niewątpliwie cesarz czuł ważność dla siebie sprawy polskiej, „tej sprawy drogiej Francyi“, lecz nie zrozumiał, że postawiwszy w obec starego świata, w obec istniejącego porządku rzeczy w Europie, zasadę narodowości, należało zapewnić zupełne jej zwycięstwo w duchu i interesie Francyi, bez czego musiała się przeciw jej apostołowi obrócić i wywołać burzę i odwet. Rozwiązanie sprawy polskiej było koniecznem następstwem zasady narodowości, zapewniało ono stanowczo wpływ Francyi w Europie, bo urządzało stosunki europejskie w ten sposób, że Francyi nieprzyjaciół rozdzielało, wiernego zaś sprzymierzeńca dla niej stwarzało. Cesarz zdawał się być przeciwnie głównie zajęty myślą granic Renu i utopią pozyskania ich jednostronnego. Ztąd ta, tak srodze dla Polski zgubna połowiczność w poruszeniu jej sprawy w 1863 r., której albo nie należało podnosić, lub podniósłszy, trzeba było rozwiązać. A jeżeli szło o Ren, czyż łącząc z sobą te dwie sprawy w śmiałem działaniu, nie miało się więcej jak w 1870 r. widoków powodzenia i zwycięstwa? Prusy słabe i nieuzbrojone, Niemcy jeszcze niezjednoczone, Rosya niegotowa do wielkiej wojny, Polska nie zniszczona, Austrya zmuszona współdziałać. Prawda, że poprzednio popełniony

błąd, wyprawa meksykańska, więziła znaczną część sił, prawda, że polskie powstanie pokrzyżowało zamiary cesarza i niemałą zadało mu klęskę; lecz on sam ją powiększył połowicznem, dwuznacznem działaniem, które stało się powodem tylu krwawo opłaconych złudzeń. Polska i Francya poniosły w skutku tej polityki wspólną klęskę: pierwsza stanowczą, druga wpływu i polityczną, która zgubnie oddziałała na panowanie Napolena III. Nie było przesady w twierdzeniu, że ówczesna chwila była rozstrzygającą dla Francyi napoleońskiej. Historya zapisać może, że połowiczność w sprawie polskiej, stała się jedną z przyczyn niepowodzeń, tak Napoleona I. jak i III.

Odpowiedź rosyjska na wdanie się mocarstw w polską sprawę, pełna lekceważenia dla Francyi, pogardliwe następnie odrzucenie przez niemal wszystkie rządy kongresu, były niemałemi porażkami które nie tylko na politykę francuską ale na ducha i usposobienie narodu zgubnie wpłynęły. Klęski duchowe w polityce tak są ściśle związane z potęgą i bytem państw, że odróżnienie od innych jest tu niepodobne. Usiłowano zaś wpoić we Francyę przeciwne przekonanie i Francya stała się nieczułą na podobne niepowodzenia, w przekonaniu, że jest dość potężną, aby módz je znieść bez szkody. Od tej chwili zaczynają się same błędy, złudzenia, porażki. Władca Francyi straciwszy urok na zewnątrz, widzi się zmuszonym czynić ustępstwa stronnictwom, nad któremi górował, dzieli się władzą niechętnie, nieszczerze, bo przed dokończeniem dzieła; krępuje to jego działanie i siłę. Zewnątrz zaś zasady i myśli, które miały stanowić jego moc, przeciw niemu zwracają się złowrogo, już jego nieprzyjaciele przyswoiwszy je sobie, wymierzają je przeciw niemu. Cesarz, czując potrzebę podniesienia uroku i wpływu tak Francyi jak własnego, wdaje się w zgubną, pełną złudzeń grę spiskową, goniąc wciąż za marą granicy Renu, mniema, że będzie

mógł do niej dotrzeć, zezwalając na powiększenie się Prus; daje się oszukać przez Bismarcka, tak, że ten przyznał, „że Prusy najwięcej zawdzięczają cesarzowi Napoleonowi“. Jedno słowo Francyi mogło przeszkodzić Sadowie, z umysłu wypowiedzianem nie zostało. Francya wbrew odwiecznym tradycyom swej polityki zezwala na zjednoczenie niemal całych Niemiec i patrzy obojętnie na upadek Austryi, która w nowo stworzonem położeniu była jej sprzymierzeńcem. Naraz też Francya znalazła się wobec strasznej rzeczywistości, wobec napoleońskiej zasady narodowości, wcielonej w potężne, groźne dla niej państwo niemieckie. Starcie stało się nieuniknionem, a w chwili, w której przyszło do niego, władca Francyi ujrzał się bez sprzymierzeńców i w tem położeniu, że ani on nikomu ani jemu nikt w Europie ani ufał ani wierzył. Inne chwilowe błędy przepełniły miarę, upadek stał się nieuniknionym; a Francya srodze go opłaca. I oto owo przypuszczenie z dziedziny nieprawdopodobieństw, zabór przez Niemcy Alzacyi i Lotaryngii, staje się prawdopodobieństwem Francyi; grozi zepchnięcie z jej dziejowego stanowiska. W razie zaś odwetu zasługa nie byłaby już cesarza.

Rzućmy teraz okiem na postępowanie przeciwnika Francyi, któremu błędy jej rządców tak niespodziewanie a skutecznie przyszły w pomoc.

Nie słyszeliśmy tam w początkach owych okrzyków zapału i zwycięztwa, które brzmiały we Francyi. Widzieliśmy, że jest poczucie własnych sił, lecz, że zarazem jest i poczucie sił przeciwnika; zrozumienie trudności i niebezpieczeństw tej wojny. Ujrzeliśmy zjednoczenie całego, wielkiego, potężnego narodu pod jednym sztandarem, który w owej chwili był sztandarem bezpieczeństwa, potęgi, jedności Niemiec. Książęta krwi, synowie ministrów, szlachta, mieszczanie, bakałarze, włościanie, wszyscy stanęli na pierwsze zawołanie pod dowództwem sędziwego króla, w szeregach armii, w po-

czuciu obowiązku; to poczucie głęboko zakorzenione w tem społeczeństwie i myśl jedności niemieckiej stały się głównemi sprężynami całego działania. Znakomita, w celach wojennych i podbójczych urządzona administracya, uczciwa, przezorna, sprężysta, przerzuciła w dwóch tygodniach pięćkroć stotysięczną armię na granicę. Doświadczeni, zdolni dowódzcy kierowani wyższym talentem hr. Moltke, który odgadł tajemnice nowoczesnej wojny, poprowadzili bez wystawy, bez przechwałek te niezliczone szeregi do boju, do zwycięztwa. Każdy z nich, czy zasłużony jenerał, czy książe krwi, uległy rozkazom głównego sztabu, przybywał zawsze w oznaczonej godzinie na plac boju. Umieli oni skorzystać z błędów przeciwnika i zużytkować własne, wielkie zasoby. Wojska ich nie przelękłszy się ani turkosów ani kartaczownic francuskich, któremi nieco na sposób chiński straszono, odniosły znaczne korzyści w pierwszych spotkaniach, które dodały im ducha i były zadatkami dalszych zwycięztw. Jednem słowem Niemcy pod przewodnictwem Prus, rozwinęły te wszystkie zalety charakteru narodowego: patryotyzm, sprężystość, karność, rozum, które nawet ze strony przeciwników na uznanie zasłużyły.

Czyż Prusy, czy hr. Bismarck, o którym powiedziano w pierwszych chwilach zaślepienia, że w tym wypadku zawiódł go rzut oka, przeczuł i wiedział o braku uzbrojeń, o nielicznych siłach, o wszystkich niedostatkach przeciwnika? Tak jest, wiedział, bo on miał przeszywający do głębi wzrok polityczny. Mówiono, że ambasador bar. Werther, wracając z Paryża, zapewniał, że Francya nie jest gotową do wojny. Z drugiej strony z tą sprężystością właściwą kanclerzowi Północnego Związku, umiał on zarzucić na Francyę sieć szpiegów, którzy nawet z wewnętrznych niesnasek korzystali. Zresztą naród niemiecki ma potężnego sprzymierzeńca w tych licznych, w całym świecie znajdują-

cych się osadach niemieckich, które czuciem i czynem łączą się z ojczyzną. Wreszcie wykazy plebiscytu oświeciły hr. Bismarcka co do sił wojskowych Francyi. Nie przypuszczam jednak, aby rachował on był na tak ogromne, na tak niepojęte błędy, na taki stopień nieprzygotowania wojennego, tem samem na tak wielkie a prędkie tryumfy. Widząc nieuniknioną konieczność wojny, przyjął ją raczej dziś niż jutro z świadomością własnych sił i zasobów, w tem przekonaniu, że w niej przegrana dla Francyi stokroć niebezpieczniejszą będzie jak dla Niemiec; z myślą i nadzieją zużytkowania jej w każdym razie dla swojego dzieła, dla jedności niemieckiej, z tą śmiałością, może i namiętnością właściwą wielkim a szczęśliwym graczom.

W drugim akcie wojennym nad Mozellą, działania Prusaków już nie były tak łatwe, a jakżeż były krwawe! Armia francuska miała widocznie już wodza i plan.

Brak dostatecznych, odpowiednich sił, skrzyżował od początku działania francuskie. Wobec trzechkroć stu tysięcy ks. Fryderyka Karola i jenerała Steinmetza, nie mógł marszałek Bazaine zaledwie ze sto pięćdziesięcioma tysiącami, narażać się na stoczenie przed Mozellą bitwy, od której los Francyi zawisł był. Bitwa z rzeką na tyłach jest zawsze pełną niebezpieczeństw. Przejść więc Mozellę, połączyć się z Mac-Mahonem, odpoczywającym i skupiającym się w Chalons, zyskać na czasie, aby pozwolić posiłkom z Paryża nadejść, a Francyi przysposabiać się do obrony, rzucić się potem na ks. pruskiego, następnie na ks. Fryderyka Karola, taki zapewne był plan marszałka Bazaina. Równie też ważnem było dla dowódzców związkowych, nie dopuścić połączenia się Bazaina z Mac-Mahonem i pobić ich pojedyńczo. Marszałek Bazaine rozpoczął 14-go sierpnia wykonanie swojego planu, przeprawieniem armii pod Metz, za Mozellę, w tem uderza na jego kolumny Stein-

metz i krwawa wszczyna się walka, w której obydwie strony przypisują sobie zwycięztwo. Prusacy ponoszą tu wielkie straty, nierównie większe jak Francuzi, lecz zamiar ich strategiczny udaje się, bo Bazaine zajęty Steinmetzem przez ośm godzin, nie może postępować po drodze do Verdun, a tymczasem książę Fryderyk Karol przeprawia się powyżej przez Mozellę, i zdąża przed Bazainem na drogę z Metz do Verdun, którą mu zagradza, nie pozwalając połączyć się z Mac-Mahonem. Na tej drodze stoczone zostały 16-go i 18-go te krwawe bitwy, a raczej miały miejsce te straszne rzezie, które przeraziły starego króla pruskiego, a których odblask znajduje się w liście do królowej. „Nie śmiem się pytać o zabitych“. W bitwach tych bez nazwy z początku, Francuzi je bowiem od innych, Niemcy od innych nazywały miejscowości, znowu zwycięztwo obydwie przypisywały sobie strony. Ze strony niemieckiej walczyły korpusy ks. Fryderyka Karola, Steinmetza i rezerwa pod dowództwem króla, razem więc przeszło trzykroć sto tysięcy wojska; marszałek Bazaine zaś mógł mieć zaledwie sto pięćdziesiąt tysięcy. Walki więc te zapisane w historyi jako końcowa podwójna bitwa pod Saint-Privat i Gravelotte są pełne chwały dla oręża francuskiego i marszałka Bazaina; stawił on czoło nierównie liczniejszemu nieprzyjacielowi, dwa razy zadał mu dotkliwe, niezaprzeczone klęski, sam nie dał się ani rozbić ani napocząć. Strategicznie zaś dowódzcy niemieccy, kosztem wielkich, zbyt wielkich ofiar, dopięli zamierzonego pierwotnie celu, bo przeszkodzili połączeniu się Bazaina z Mac-Mahonem w Chalons. Jakie dalsze mogły być skutki tych krwawych walk, przesądzać nie można było i król Wilhelm wyznawał to w liście do królowej.

W ogóle od tej chwili trudno było sobie zdać na razie sprawę dokładną z działań wojennych, bo doniesienia były coraz rzadsze, a tak francuskie jak

i niemieckie, oraz oświadczenia hr. Palikao w Izbach skąpe, niejasne, dwuznaczne. Nie podobna było się dorozumieć o jakich korzyściach odniesionych 16-go i 18-go wspominali hr. Palikao i marszałek Bazaine; chyba tłomaczyć je sobie należało tem, iż dzielnym oporem stawionym niemieckim wojskom, marszałek Bazaine wstrzymał ich pochód i pozwolił Paryżowi, Mac-Mahonowi, Francyi uzbroić się, uporządkować i zyskać na czasie. Niepodobna dalej było z pewnością wiedzieć, czy część sił Bazaina nie połączyła się przez północ z Mac-Mahonem, ani odgadnąć zamiaru pierwszego, który osaczony w Metz z armią stotysięczną zdawał się twierdzić, że z umysłu się tam cofnął. Straty z obydwóch stron wielkie, z pruskiej zastraszające, spowodowały chwilę odpoczynku i wstrzymały działania wojenne. Jedno nasuwało się jeszcze pytanie, dla czego przez czas walki pod Metz, królewicz pruski nie uderzył na Mac-Mahona? Zdawało się, że ten wycofał się zręcznie.

Z walk pod Metz okazało się znowu wielkie, niczem niespożyte męztwo i bohaterstwo armii francuskiej, które jak meteor błyszczy wśród tych tak smutnych dla Francyi wypadków. Liczebna przewaga była znowu po stronie niemieckiej, ale ze strony francuskiej widać już było dzielność, sprężystość w dowództwie. Niemieccy wodzowie prowadzili wojnę wielkiemi zastępami, prowadzili ją w sposób przypominający olbrzymie walki, między południowemi i północnemi stanami Ameryki; ich sposób polegał na rozpoczęciu boju armią, która rozłożeniem wydawała się być całkowitą, z centrum i dwoma skrzydłami, rzeczywiście zaś wysuwali z początku tylko centrum, a dopiero wśród walki nadchodziły ukośnie skrzydła. Ztąd też w raportach francuskich częsta wzmianka o ukazywaniu się nowych, świeżych sił nieprzyjacielskich. Walka zastępów niezliczonych zastępowała, zaćmiewała, pochłaniała bohaterstwo

jednostek, waleczność oddziałów i pułków. Były to umiejętnie obmyślone rzezie. Pod względem szczegółów, uzbrojenie niemieckie wyrównywało zupełnie francuskiemu, a kartaczownice nie odpowiedziały wygórowanym nadziejom, które w nich pokładano. Chassepoty francuskie dalej niosły jak iglicówki niemieckie, ale sprawdziło się to, co słyszałem z ust oficerów pruskich. „Chociażby, mówili oni, chassepoty były lepsze od iglicówek, to przecież odtylcowy rodzaj broni w ogóle, wybornie zastosowany do usposobienia niemieckiego, mniej jest właściwym dla francuskiego żołnierza; Niemiec nie zapala się, Francuz prędkiem strzelaniem tak się rozgrzeje, że w bardzo krótkim czasie wystrzela po największej części bezowocnie ładunki". Jakby Kanta psychologiczne to rozumowanie, potwierdziło pełne ognia przemówienie marszałka Bazaina do żołnierzy, w którem czynił im wyrzuty, że za wiele i za prędko strzelają.

Armia niemiecka poniósłszy znaczne straty w zabitych rannych i chorych, wzmocniona jednak wciąż nadchodzącemi posiłkami, nie liczyła mniej, jak pięćkroć sto tysięcy. Część jej, sto pięćdziesiąt tysięcy, stała pod Metz, strzegąc tej silnej twierdzy i znajdujące się tam wojsko Bazaina. Jednocześnie wielka armia, korpusy królewicza, gwardya i rezerwa z królewiczem saskim w przedniej straży, razem 350.000, posuwała się kilkoma drogami ku Paryżowi, przeszedłszy przez Chalons, opuszczony przez Mac-Mahona.

Mac-Mahon, który już w Chalons miał sto dwadzieścia tysięcy, znajdując się w okolicy Reims liczyć mógł dwakroć sto tysięcy, wzmocniony nadchodzącemi z różnych stron posiłkami. Paryż ufortyfikowany przedstawiał dla nieprzyjaciela większą siłę oporu, jak cała armia; uzbrajała się też stolica pod kierownictwem jenerała Trochu i komitetu obrony; siły wojskowe wynosiły tam około sto tysięcy. Dwadzieścia tysięcy wyborowego wojska spieszyło z Afryki; nareszcie Francya cała

powstawała, uzbrajała się i szeregowała się, to w gwardyę narodową, to w wolnych strzelców.

Linia operacyjna Niemców, przedłużając się, czyniła ich położenie nieco trudniejszem; twierdze znaczniejsze i mniejsze, broniąc się, unieruchomiały część ich sił, głównie jednak landwerę. Walka więc nie była skończona, nowych krwawych zapasów oczekiwać należało. Przesądzać ich skutku nie można było. To, co armia niemiecka miała jeszcze do zdziałania, trudniejszem było, jak to, co dotąd przedsięwzięła, a niebezpieczeństwa w razie porażki wśród kraju nieprzyjacielskiego, z każdym dniem wzmagały się. „Jest kilka dróg do Paryża, ale niema żadnej z Paryża“, rzekł Fryderyk Wielki, a słowa te wyryte były niezawodnie głęboko w pamięci dowódców niemieckich.

Z drugiej strony jednak fałszywe założenie, błędne przesłanki kampanii, zbyt często nie są do naprawienia i one stwarzały dla Francyi nader trudne położenie, one miały ubezwładnić wszystkie jej wysilenia. Główna, najpiękniejsza armia, już była przełamana i unieruchomiona. Brak dostatecznych przygotowań, brak szczególniej broni, stawiał tamę najwznioślejszemu zapałowi. Nie mam pod tym względem dokładnych danych, uderzającem było jednak, że hr. Palikao, jako ważną wiadomość, doniósł Izbie o zakupnie w Anglii czterdziestu tysięcy karabinów. Czyż ich nie było we Francyi? Musiała to już być w każdym razie walka nierówna, bo niestety zapał, patryotyzm, niezdolne były stawić czoła pięćkroć sto tysięcznej uporządkowanej sile, opatrzonej w artyleryę, skoro im zbywało i na organizacyi i na odpowiedniej broni. Niezaprzeczenie, że tu siła duchowa narodu wielkie, przeważne mogła mieć znaczenie, że w niej spoczywało zbawienie Francyi. „Ażeby nas odrodzić, potrzeba nam nieszczęśliwej wojny“, powiedział był przed rokiem pewien myśliciel francuski. Jeżeli tak, to chwila odrodzenia nadeszła była, nadeszła była spo-

sobność okazania, jak rzekł w swej odezwie jenerał Trochu, „że długie lata pomyślności i używania nie zmiękczyły, nie osłabiły narodu“. O czynnikach, o siłach duchowych trudno zawsze rozumować, trudno obrachować je. Zasoby tej pięknej, bogatej Francyi były ogromne; Świetnym tego dowodem owe 750 milionów pożyczki, pokrytych w kilku dniach. — Francya widocznie się ocknęła była, wysilenia były wielkie, kierunek nadany im rozumniejszy, duch coraz lepszy. Stronnictwa jednak nie całkiem umilkły, z jednej strony przy trosce o zbawienie kraju przebijała obawa o losy dynastyi, z drugiej nie obcą była patryotycznym uniesieniom, myśl pozbycia się znienawidzonych rządów. A jeżeli Gambetta z pełną siły wymową, zapytał się, „czy ministeryum wyżej stawia zbawienie dynastyi, czy kraju“, toć jego stronnictwo zapytać było można, „czy wyżej stawia zbawienie kraju, czy też upadek dynastyi? „Gdyby Francya miała co kilkanaście lat, czy to z zewnętrznych czy wewnętrznych przyczyn zmieniać dynastyę i kształt rządu, złowrogo przypominałaby kraje południowej Ameryki. Pomimo klęsk i upadku, dynastya zdawała się posiadać przywiązanie ludu wiejskiego, chłopów, a cesarz uzbrojony w tę cierpliwość, która tyle razy nie zawiodła, zdawał się chcieć w milczeniu i na uboczu przeczekać burzę.

Francya także jedynie w wytrwałości i cierpliwości znaleźć mogła zbawienie. Wytrwałość i zaciętość w walce stworzyć mogły położenie bez wyjścia, którego końca, równie jak i wojny, trudno było przewidzieć.

Jednak w najlepszym nawet razie skutki i korzyści, których oczekiwać można było po tej wojnie dla Francyi i równowagi europejskiej, były już niepowrotnie stracone. Przed wojną hasłem było Francyi, powstrzymanie potęgi pruskiej, dziś wyparcie z Francyi obcych! Jeżeli bohaterstwem i patryotyzmem Francuzi dopięliby byli tego wielkiego świętego celu, to jednak

kosztem tak wielkich wysileń, że zapewne granicy nie mogliby byli przekroczyć, a zaszczytny, bo bez utraty piędzi ziemi pokój, zakończyłby był wojnę. Takie przypuszczenie tem prawdopodobniejszem było, że już widocznie wojna miała pozostać miejscową, i że żadne inne państwo ani się wmięszać w nią, ani przyjść w pomoc Francyi nie zamierzało. Ale w takim wypadku jedność niemiecka pod przewodnictwem Prus przychodziła do skutku. W razie zaś zupełnej klęski Francyi i ostatecznego nad nią zwycięztwa pruskiego, rozpocząć się miała w świecie długo może trwająca epoka germańska, epoka nie już jedności, ale przewagi szczepu niemieckiego nad Europą.

Wobec tak groźnej przyszłości wypada jeszcze zastanowić się nad położeniem Austryi.

Jakikolwiek obrót miały wziąć wypadki, polityczne warunki bytu Austryi, znacznej uledz musiały zmianie. Jeżeli rzeczywiście Austrya marzyła jeszcze o powrocie do Niemiec, to zdarzenia ostatniego miesiąca, srogą, ale stanowczą stały się dla niej nauką. Przyszła nareszcie ta chwila od czterech lat upragniona, chwila zemsty i odwetu i z niej Austrya, ani umiała, ani mogła skorzystać. Czy kiedykolwiek po temu mogła się zdarzyć lepsza sposobność, jak wojna Francyi z Prusami? Śmiałe wystąpienie Austryi unieruchomiając część sił pruskich, byłoby nawet, pomimo błędów francuskich, mogło przeważyć szalę. Prawda, że Francya, nie uprzedziwszy Austryi, ta nie mogła być i nie była gotową, od miesiąca jednak już mogła się była uzbroić, a wtedy pochód na Berlin przez Szląsk, przedsięwzięty nawet po walkach pod Metz, czyż nie byłby zaważył w wypadkach? Wiem, że do takich czynów potrzeba dzielnych ludzi, że, aby przedsięwziąć coś podobnego, trzeba być panem położenia u siebie, i nie zwołując siedemnaście sejmów i dwóch parlamentów, mieć odwagę, wziąć na swoją odpowiedzialność podobne zbawcze działanie i wy-

konać je w danej godzinie. Wiem, że ludzi tej miary nie miała Austrya. Są oni zresztą zawsze wyjątkowemi zjawiskami. Bezczynność jednak Austryi, jej wyczekiwanie i nieruchomość w obec wypadków, które o jej niemieckiej przyszłości rozstrzygały, głębsze miały powody i przyczyny, tkwiły one w jej wewnętrznym stanie, w jej częściach składowych. Cóż bowiem pokazało się w obec wojny Francyi z Prusami? Oto, z jednej strony Niemcy austryaccy, przynajmniej znaczniejszą ich część, ulegając uczuciu niemieckiemu, przeciwną była przymierzu z Francyą; z drugiej strony polityka węgiersko - polska, obawiając się powrotu przewagi niemieckiej w Austryi, Austryę raczej powstrzymywała, jak pchała do wojny, wyłącznie niemieckiej. O połączeniu się południowych państw niemieckich z Austryą, nie zamarzył nawet hr. Beust; słowem, okazało się w chwili stanowczej, że Austrya rada nie rada, niemieckiej polityki wyrzec się musiała. Między jednak powrotem do przewagi w Niemczech, a współdziałaniem dla rozbicia ciążącego na Austryi Związku Północnego była różnica. Tu interes Austryi i wszystkich składowych jej części zbyt był widocznym, aby bezczynność i nieruchomość w stanowczej chwili nie były zrzeczeniem się stanowiska, ale już nie tylko w polityce niemieckiej, ale także europejskiej. Austrya zamiast działać, szukała bezpieczeństwa pod skrzydłami swojej niemocy i zachowała niezbrojną neutralność! Jaką myślą kierowali się jej mężowie stanu? Czy przypadkiem Austrya nie padła w tym wypadku ofiarą tych samych zawodnych rachub, które oszukały Napoleona III. przed Sadową. Czy nie liczono w Wiedniu zbytecznie na niewątpliwe zwycięztwo francuskie, które pozwalając się przypatrywać zapasom, bez wydania reńskiego i stracenia jednego żołnierza, byłoby uwolniło Austryę od groźnego sąsiada, a dozwoliło jej dopiero wystąpić przy nowych nikolsburgskich wstępnych układach.

W takim razie zawód musiał być wielki; niebezpieczeństwo zaś stawało się widocznem. W obec ostatecznego zwycięztwa Prus, Austrya stracić musiała, istotne, rzeczywiste warunki mocarstwowego bytu, mogły pozostać już tylko jego pozory. Niemożność działania w takich wypadkach jest tylko dowodem niemożności zachowania swojego stanowiska. Czy znajdzie się miejsce w świecie dla innej Austryi, jedynie już pytać należało! W każdym razie więcej jak kiedykolwiek, trzeba było skupić wszystkie siły, aby nieuniknionym wypadkom stawić czoło, lub z nich jak największe wyciągnąć korzyści, chciałem powiedzieć, jak najmniej dotkliwy ponieść w ich skutku uszczerbek. Austrya bezbronna nie mogła rachować ani na litość, ani na pomoc. Austrya uzbrojona zamiast do litości, mogła odezwać się do interesu nawet wrogów. Nad bezbronną przejść mogli do porządku dziennego, z uzbrojoną bądź co bądź rachować się musieli. Dla tego też „skarb i wojsko“ musiały pozostać hasłami.

Wypadki spiesznie szły, a w obec nich rachuby na papierze, były zamkami na lodzie. Polityka Austryi głównie jednak zwróconą być musiała w stronę Rosyi, zkąd śmiertelne groziło jej niebezpieczeństwo, a zkąd jedynie zaświtać dla niej mogła lepsza przyszłość!

Przymierze z Rosyą było wtedy niemożliwe. Rosya od początku groziła, że uderzy na Austryę, jeżeli ta przyjdzie w pomoc Francyi. Rosya nie obawiała się następstw pruskich zwycięztw. Darować zaś nie mogła Napoleonowi III. jego zachowania się w wypadkach polskich. Austrya chciała utworzyć związek mocarstw neutralnych, który pozostał bez znaczenia i celu, albowiem ks. Gorczakow odsunął wniosek hr. Beusta, aby neutralność nie wykluczała, w razie danym, medyacyi.

Skutek wojny mógł być zgubnym dla Austryi, ale nie długie jej trwanie. Coraz wyraźniej przecież występowała konieczność neutralności zbrojnej.

Jednak pod względem uzbrojeń nic zadawalniającego zapisać nie można było; dopełnianie pułków konnicy i artyleryi, które przedsięwzięto, doprowadzało zaledwie do stopy pokojowej; to mało, bardzo mało w stosunku do olbrzymich wypadków.

W obec tych dziejowych zawikłań nie milkły wewnętrzne spory. Swawola polityczna pod kształtem, czy to opuszczania sejmu, czy warunkowego składania przyrzeczenia, czy nieobsyłania lub warunkowego obsyłania państwowego parlamentu, coraz bardziej się rozwielmożniała; rząd pozostawał bezsilnym.

Sprawa czeska, najtrudniejsza ze wszystkich austryackich, przez rozmaite przechodziła koleje i znów Rada Państwa przemienić się miała w kadłub parlamentu. Ta kazuistyka bizantyjska w obec przeistaczających świat wypadków, ci mali ludzie zajęci małemi rzeczami w obec doniosłych zdarzeń, były to oznaki przyszłości bez wielkości.

Wtedy w sejmie galicyjskim, dał się słyszeć głos wyjątkowo nastrojony do znaczenia i grozy chwili, wtedy usłyszeliśmy pamiętną, świetną, żałosną o dziejowym zwrocie, mowę, niezrównanego pisarza i publicysty Juliana Klaczko, która rozszerzyła i oświetliła widnokrąg polityczny.

II.

Miesiąc wrzesień 1870 roku to nie miesiąc, ale raczej doniosły okres długich lat; zbyt trudne zadanie kreślić zaszłe w nim wypadki. Muszę bowiem teraz zapisać upadek Francyi; jedność niemiecką, zespoloną na polach bitew; klęskę sedańską; zajęcie Rzymu przez wojsko włoskie; przeobrażenie Europy; szereg wielkich dziejowych zdarzeń, które nas przerażały, bo nas przerastały.

W samej rzeczy znamieniem tych wypadków jest, że przerastały i przewyższały wszystko i wszystkich w około siebie; zwycięstwa pruskie przerosły nawet ich rzeczywistą potęgę, jedność niemiecka przerastać zaczęła Prusy, sprawa rzymska przerastała Włochy, klęska sedańska przewyższyła upadek rzeczywisty Francyi; postawa państw neutralnych niepewna, bezwiedna, przewyższała nawet ich rzeczywistą niemoc i zamęt w Wiedniu przewyższał zwykły w Austryi rozstrój, a może przegrana Francyi przerosła politykę hr. Bismarcka. Odwaga ludzka malała na polach bitew w obec żywiołowej siły, wola ludzka stawała się bezwładną w obec gwałtowności zastępów. Wypadki te, nie miały jedynie chwilowej doniosłości, ich następstwem nieuniknionem, musiał być zwrot świata; był to wywrót, wstrząsający całym ustrojem europejskim; zapowiadający przeobrażenie wszystkich stosunków. Groźna teraźniejszość zwiastowała przyszłość zupełnie odmienną od tej przeszłości, wśród której jeszcze dwa miesiące temu żyliśmy, i do której nasze pokolenie należy i należeć nie przestało. To też nie było nie tylko państwa lub narodu, ale człowieka, którego przyszłość i byt nie byłyby zależnemi od obrotu rzeczy. Wypadki te ważny, stanowczy miały wpływ wywrzeć i na stosunki polskie, niepodobna więc spuszczać ich z oczu, a spokojne zgłębienie ich przyczyn, badawcze rozpoznanie ich przebiegu i różnych ich stron, jak dla wszystkich, tak szczególniej dla Polaków, stają się koniecznością i środkiem rozpatrzenia się w smutnej teraźniejszości, w ciemnej przyszłości. Bacznem śledzeniem szeregu tych zdarzeń, wejdziemy na nowe drogi, po których wraz z wielu innemi, stąpać nam teraz przyszło.

W przejmującej, przerażającej tragedyi, która odegraną została w tym miesiącu na wielkiej widowni świata, dostrzegamy wciąż dwie sprawy, zrazu złączone,

to znów stanowczo rozdzielone, sprawę Francyi i sprawę napoleonizmu, a pomiędzy nimi widzimy postać historyczną, której upadek nie był najmniej doniosłym zdarzeniem tragedyi. Rozróżnienie tu jest koniecznem, równie dla ocenienia jej ducha, jak gry aktorów.

Pomiędzy niezliczonemi nieszczęściami Francyi w tej wojnie, największem może, wciąż nad nią ciążącem, był ciągły brak naczelnego dowództwa.

Po pierwszych klęskach naczelnym wodzem armii francuskiej został marszałek Bazaine. Po trzech krwawych, a bohaterskich walkach pod Metz, wepchniętym on był do tej twierdzy i otoczonym armią ks. Fryderyka Karola; wszelkie przypuszczenia o przerżnięciu się naczelnego wodza, lub części jego armii, okazały się mylnemi. Tak więc, nie tylko zamiar strategiczny Francuzów nie powiódł się, ale znowu Francya ujrzała się bez naczelnego dowództwa, bo od naczelnego wodza odciętą; w tak stanowczej chwili zbywało jej na zawsze niezbędnej, często zbawczej myśli kierującej, zdolnej objąć całość położenia i sprostać mu. *De facto*, dowództwo przypadło ministrowi wojny, prezesowi gabinetu hr. Polikao, który w tak groźnych okolicznościach dowodził z Paryża, jak niegdyś pamiętna rada wojenna, kierowała armiami w Wiedniu. W tym stanie rzeczy, był już zaród nowych klęsk; nieodłącznemi od niego były: wahanie, niepewność, rozliczność kierunków, ciężenie wpływów politycznych na wojenne działania. Cesarz, towarzyszący armii Mac-Mahona, stawał się tu także niemałym kłopotem, odsądzony od dowództwa przez głos publiczny, nie śmiał go napowrót pochwycić, ani zdobył się na wyrzeczenie się wszelkiego wpływu; w upadku i niedoli, uciekał się znów do spisku, spiskował między obozami, między dowódzcami, spiskował jedynie, aby gdziekolwiek znaleźć miejsce dla siebie i przyczepić się do nieuniknionej klęski; ciężył na położeniu wojskowem, całą swoją obecną nico-

ścią i całą wagą stanowiska, które jeszcze z nazwy w państwie zajmował.

Po zamknięciu marszałka Bazaina w Metz, nadzieja Francyi spoczywała na Paryżu i armii marszałka Mac-Mahona. Paryż ufortyfikowany, uzbrojony, mogący i chcący stawić opór, podnosił znaczenie armii Mac-Mahona, jak znowu Mac-Mahon na czele bitnej armii, podnosił doniosłość Paryża. Paryż, Francya, Europa, miały oczy zwrócone na armię Mac-Mahona. Wiemy już, że w drugiej połowie sierpnia Mac-Mahon, za którym postępował ks. pruski, widząc, że Bazaine nie zdołał się z nim połączyć, opuścił był Chalons, udając się na północ ku Reims. Tu dwie drogi stały otworem przed nim: cofnąć się na Paryż i albo zająć w jego okolicy obronne stanowisko zagrażające dążącemu pod stolicę nieprzyjacielowi, albo też wejść do Paryża, wzmocnić dobrze wyćwiczoną armią stolicę, podwoić jej warunki obrony, może nawet zapewnić powodzenie; był to pomysł prosty, nie narażający sił, na których obecnie spoczywały nadzieje Francyi, łatwy do wykonania; liczne względy przemawiały za nim. Druga droga stojąca otworem, prowadziła do połączenia się z Bazainem. Obierając ją, pomysł kampanii polegał na uprzedzeniu nieprzyjaciela. Podczas, gdy najznaczniejsze siły niemieckie dążyły ku Paryżowi, rzucić się drogą na północ przez Montmedi i Thionville, uderzyć na obsaczającego Metz ks. Fryderyka Karola, gdy jednocześnie Bazaine rzuci się na niego z Metz, tym sposobem wziąć ks. Fryderyka Karola we dwa ognie, zgnieść go przeważającemi siłami, nim książę pruski zdoła przybyć mu na pomoc, następnie połączonemi armiami Mac-Mahona i Bazaina stawić czoło armii niemieckiej, zająć jej tyły i może stanowczo zapewnić Francyi zwycięstwo; takie mogły być ponętne nadzieje, łączące się z tym drugim pomysłem.

Czy jednak w warunkach, w których znajdowała się armia francuska, był on wykonalnym? Aby się powiódł, trzeba było albo starannie go zakryć przed nieprzyjacielem, albo ubiedz go pospiechem; tak iżby Mac-Mahon zdołał przyjść pod Metz, nimby go ks. pruski dogonił. Tajemnica trudną, nie podobną była do zachowania w wojnie, w której Prusacy, czy to za pomocą szpiegów, czy licznej konnicy, czy nareszcie w skutku lekkomyślności i nieostrożności przeciwników, przez cały czas na ziemi francuskiej, o wszystkiem byli zawiadomieni lepiej, jak sami Francuzi. Pozostawał więc tylko pospiech w ruchach, a do pospiechu potrzebnemi znowu były: wyćwiczone wojsko, karność, jedność w dowództwie, sprężystość zarządu, dostatek żywności; na tych wszystkich warunkach zbywało armii Mac-Mahona; złożona po części z gwardyi ruchomej, niesfornej, niewyćwiczonej, zwalniać musiała swoje ruchy i podobno o trzy dni spóźniła z tego powodu pochód; karności zupełnej nie było już także; obecność cesarza zamiast łagodzić, podniecała i zaostrzała, współzawodnictwo między dowódzcami, zarząd był rozprężony, niedostateczny, a brak żywności wciąż czuć się dawał. W tych więc warunkach myśl połączenia się z Bazainem pod Metz i tak już nadzwyczaj śmiała, musiała się stać zgubną, bo nie była wykonalną. Jak w polityce tak na wojnie, są chwile, w których wybór między dwoma drogami rozstrzyga o losie państw; w takich chwilach wyższość tak statysty, jak i dowódzcy, nie polega na obraniu najponętniejszej, ale najbezpieczniejszej, najpewniejszej drogi, na zmierzaniu nie do tego, co najświetniejsze i najpowabniejsze, ale do tego, co jest możliwem. Pochód na Metz mógł bardzo spiesznie, w jednej chwili przechylić szalę na stronę Francyi, mógł świetnem zwycięztwem, zatrzeć haniebne klęski. Cofnięcie się na Paryż przedłużało wojnę, czyniło ostateczne zwycięstwo zależnem nie od szczęśliwej

bitwy, lecz od wytrwałości, od czasu, od stanowczości. Pierwszy plan odpowiedniejszym był narodowemu usposobieniu francuskiemu, drugi, rzeczywistemu położeniu rzeczy, w pierwszym było jeszcze dużo złudzeń, w drugim było poddanie się srogiemu losowi.

Rejencya a raczej jej prawa ręka hr. Palikao przechylił się za pierwszym i nakazał ruchy zmierzające do połączenia się z Bazainem. Marszałek Mac-Mahon, przeciwny był temu planowi, lecz otrzymawszy rozkaz, natychmiast rozpoczął jego wykonanie. Czy jedynie względy militarne wpłynęły na to tak w następstwach zgubne postanowienie? Nie należy tu zapomnieć o obecności cesarza w obozie. Jeżeli pod względem wojskowym cofnięcie się na Paryż nie przedstawiało żadnych trudności, to przedstawiało niezliczone pod względem osoby cesarza. Ani armia, ani naród nie śmieli, nie umieli skupić się w takiej chwili około winnego i nieszczęśliwego władzcy, a znów nie chcieli lub też czuli całe niebezpieczeństwo, wyparcia go się stanowczo. Powrót cesarza do Paryża, byłby musiał rozstrzygnąć, tę zawieszoną od dwóch tygodni żywotną sprawę, a nikt, nawet cesarz nie miał odwagi jej rozciąć. Armia mogła się cofnąć na Paryż, ale nie cesarz. Pytanie co począć z cesarzem, mogło w znacznej części wpłynąć na postanowienie hr. Palikao. Świetne a prędkie zwycięstwo, jedynie zdolnem było korzystną przynieść odpowiedź, tak przynajmniej mogli mniemać słudzy ubezwładnionego imperatora, który jeszcze dość silnym był, aby szkodzić Francyi, nie dość aby ją zbawić. Nareszcie pochód Mac-Mahona na Metz, opóźniał pochód Niemców na Paryż, który pomimo przechwałek i zapewnień nie był dostatecznie ani uzbrojony, ani gotów.

Skoro przyjęto pochód na Metz, zadanie było to samo co po Wörth i przejściu Mozeli, tylko przedstawiało się odwrotnie. Bazaine nie zdołał był połą-

czyć się z Mac-Mahonem, teraz więc Mac-Mahon miał się połączyć z Bazainem. Jak zaś celem Niemców po Wörth było przeszkodzić połączeniu się Bazaina z Mac-Mahonem, tak znów teraz zadaniem ich było przeszkodzić połączeniu się Mac-Mahona z Bazainem. Niemcy zawiadomieni dokładnie o ruchach ks. Magenty, widząc, że zamiast iść do Paryża, zwraca się na północ, zrozumieli natychmiast, że chce dotrzeć do Metz i spostrzegli grożące im niebezpieczeństwo. Zamiast więc posuwać się dalej na Paryż, postanowili pospieszyć za Mac-Mahonem. W tym celu konieczną była zmiana czoła; rozpoczął ją pierwszy ks. Saski i już 28-go sierpnia przednie jego straże starły się z oddziałami francuskiemi. Spotkanie jednak głównych sił nastąpiło dopiero 30. sierpnia w okolicach Sedanu, gdzie znów korpus jenerała Failly, na wieczny wstyd jego dowódcy, dał się niespodziewanie zaskoczyć. Mac-Mahon dognany przez przeważne siły nieprzyjacielskie, musiał przyjąć bitwę, a w dniu tym strategiczny plan jego był zniweczony; o jednoczesnem rzuceniu się jego i Bazaina na ks. Fryderyka Karola nie można było już myśleć, trzeba było jedynie bronić się i starać uratować ostatnią armię Francyi. O jej losie rozstrzygnęły te trzy krwawe, zacięte bitwy stoczone w dniach 30. i 31. sierpnia, oraz 1. września. W tych walkach znowu ciężył na Francyi początkowy, pierwotny, a niestety rozstrzygający błąd — brak wszelkiego przygotowania, brak dostatecznych sił do takich zapasów; znowu sto trzydzieści tysięcy Francuzów walczyło z dwakroć pięćdziesiąt tysiącami Niemców, którzy stopniowo przybywali na plac boju: ani chwili nawet Francuzi nie walczą z równemi siłami, o tem bowiem pomyślał hr. Moltke, a jednak dopóki przeciwnik nie rozporządza zbyt przeważnemi zastępami, zwycięstwo się chwieje, Francuzi zachowują 30-go plac boju, nawet odnoszą niejakie korzyści. Najlepszy to dowód jaki obrót mogła była

wziąć ta wojna, gdyby nie zbrodnicza lekkomyślność i bezprzykładna nieporadność z jaką rozpoczętą i prowadzoną została. Już 31-go nadeszły znaczniejsze oddziały księcia pruskiego, a 1-go wszystkie wojska niemieckie, które dążyły do Paryża, znalazły się pod Sedanem i otoczyły armię francuską, zmęczoną, zdziesiątkowaną, głodną, bez dowództwa, rozstrojoną. I zważmy znów to nieubłagane Fatum, ciążące wciąż od początku na losach Francyi; w stanowczym dniu tych trzech morderczych walk 1-go września, w tym dniu, w którym jeżeli nie o co innego, to szło jeszcze o uratowanie czci Francyi, naczelny wódz o siódmej z rana zostaje rannym odłamem granatu, który znów w ostatecznej chwili pozbawia wojska francuskie naczelnego dowództwa, zasłaniając zarazem dobrą sławę i ocalając od sromotnego może końca jednę przynajmniej postać w tych nieszczęsnych wypadkach. Następuje ta pełna grozy chwila w której dowództwo przechodzi z rąk Mac-Mahona w ręce jenerała Ducrot, to znów z rozkazu cesarza w ręce pożałowania godnego jenerała Wimpfena. Zbyt wiele dostrzedz tu można przyczyn klęski, była ona nieuniknioną, nastąpiła taż straszna, niesłychana, niepamiętna w dziejach Francyi. Upokarzające, opłakane jej szczegóły, znane. Klęska była nieuniknioną, przyznaję to, niewątpliwie jednak mogła być mniej dla Francyi upokarzającą; słowem jeżeli niepodobna było uniknąć klęski wojskowej, uniknąć można było stokroć większej czci narodu. Niema przykładu w historyi Francyi, aby ośmdziesiąt tysięcy wojska poddało się. Wojskowi i wojskowi pisarze twierdzą, że taka armia zawsze, choćby kosztem największych ofiar przerżnąć się może. Pamiętnem jest oburzenie wywołane kapitulacyą jenerała Dupont, pamiętny surowy sąd o niej wydany przez Napoleona I. a przecież jenerał Dupont znajdował się w nierównie gorszem położeniu jak armia Mac-Mahona. Wiem, że w opłakanym stanie znajdowała się

ta armia 1-go września, wiem z świadectwa jenerała Wimpfena, że nie miała ani żywności ani amunicyi, wiem, że ustawione naokoło Sedanu armaty pruskie groziły i miastu i rozbitym wojskom zniszczeniem i śmiercią; wiem jednak także, że jenerał Wimpfen chciał jeszcze spróbować rozpaczliwego wysilenia dla przerżnięcia się ku Carignan, że wzywał cesarza, ażeby otoczony pułkami, których zapał obecnością swoją byłby rozgrzał, usiłował przedostać się w kierunku Thionville. Podobny więc obrót rzeczy był możliwym; w każdym razie, próba była konieczną, a jednak myśl ta odrzuconą została i przeniesiono nad nią bezprzykładną, zabójczą kapitulacyę. Ogromne zasoby wojenne, ośmdziesiąt tysięcy ludzi, odpowiednią ilość oficerów i jenerałów, dobrą sławę Francyi, jej urok wojenny i gwiazdę napoleońską złożono u nóg króla pruskiego dnia 2. września 1870 r. A tak nie Francya ale napoleonizm znikł okryty tym wstydem, tą ohydą sedańską, która zaćmiewa nie tylko wszystkie dawne klęski Francyi, ale może nawet wszystkie w historyi upadki.

Dodam, że jednocześnie marszałek Bazaine, chcąc współdziałać w ogólnym planie, 31-go i 1-go staczał krwawe, bezowocne walki, po których znowu zamkniętym został w Metz, a będziemy mieli zupełny obraz klęsk Francyi, jej upadku, tryumfu Niemców.

W tym miejscu kończy się drugi okres tego dwumiesięcznego przełomu dziejowego. Zastanowić się nad nim wypada.

Wskazałem główne przyczyny niepowodzeń francuskich, powiedziałem, że fałszywe przesłanki, że początkowe błędy, zgubny a stanowczy wywrzeć musiały wpływ na cały przebieg wojny; one oddziałały przeważnie i w drugim okresie na obrót rzeczy; im więcej wypadki się przedłużały, tem widoczniejszemi, tem bardziej krzyczącemi stawały się owe błędy; brak przygotowań, nieład w zarządzie, zmarnotrawie-

nie budżetu wojennego, brak sił wojennych. Dołączyły się do nich i dalsze ujemne czynniki: nieostrożność, odwieczny grzech Francuzów, zaczęła w tej wojnie przerażające przybierać rozmiary: artylerya pruska okazała się nierównie wyższą od francuskiej, nareszcie przez cały czas wojny Francuzi zawsze zaczepiani, nigdy nie zaczepiający sami, tracili wszelkie korzyści początkowania, ogromne dla nich przez wzgląd na usposobienie narodowe, stworzone do zaczepnego działania, tak mało odpowiednie obronnej wojnie. Powody te i przyczyny nie tłomaczą jednak jeszcze tego, co nazwałem duchową stroną katastrofy sedańskiej, hańbą sedańską. Nie wiem dokładnie, jakie było zachowanie się cesarza w tem upadlającem dla niego, dla dynastyi, dla Francyi rozwiązaniu, lecz wiem, że jego obecność nie przeszkodziła tej ohydzie, a dostatecznem to jest, aby wydać sąd o duchowej stronie kapitulacyi sedańskiej, sąd, który musi wypaść surowo, bo jeżeli nieszczęście nakazuje uszanowanie, to znów polityka nie dozwala pobłażania dla tych, którzy, upadając, nic prócz życia nie ratują. Nic łatwiejszego zapewne jak przy stoliku nakazywać bohaterstwo, przesądzać o zdolności do niego, pomiatać życiem; nie puszczę się też tą drogą; to jednak pewna, że tak dla dynastyi jak dla człowieka, każde inne zakończenie lepszem, chwalebniejszem było jak to, którego byliśmy świadkami. W takich wypadkach zdanie przeciwnika nader jest pouczającem; hrabia Bismarck powiedział: „Zdziwienie moje w tym dniu było wielkie, lecz osłupiałem, gdy mi doniesiono, że cesarz chce się poddać; byłem przekonany, że na czele pułku szuka śmierci“. Jałowem byłoby zadaniem poszukiwać czy rzeczywiście cesarz narażał się na śmierć, czy rzeczywiście nie mógł jej znaleźć; historya zapisać jedynie może, że śmierć jego była w owej chwili ostatnim ratunkiem dla dynastyi, dla myśli, którą przedstawiał. Inaczej się stało, a upadek Napoleona III-go pod

Sedanem był zaparciem się tego wszystkiego co dla Francyi i świata przedstawiał napoleonizm; był wielkim w dziejach, bez wielkości upadkiem; zabił on też napoleonizm, który od tej chwili stracił nie tylko polityczny, ale i duchowy powód bytu, od tej chwili, w której chorągiew chwały, potęgi, dumy narodowej, przemieniła się w ręku Napoleona III. w białą chorągiew kapitulacyi Sedanu. Jeżeli wielkie, nadludzkie czyny Napoleona I., blask ich chwały mógł opromienić nawet upadek bohatera, to niezdolny on już opromienić sromotnego upadku synowca. Czy była w tem poddaniu się, w tem złożeniu u nóg króla pruskiego szpady, jaka myśl polityczna? Czy może wedle wyrażenia Machiavela, skoro lwia skóra nie wystarczała, trzeba ją było lisią nadsztukować? Wątpię; byłoby to oznaką już zupełnego osłabienia umysłowego i fizycznego, któremu w części także przypisać należy ten czyn spełniony bez troski, tak o sąd współczesnych jak i historyi. Nie było już ani lwiej ani lisiej skóry, był człowiek obnażony, z wszystkiemi ułomnościami i małostkami istoty ludzkiej, może nawet z jej nikczemnościami. Gwiazda, w którą tak silnie wierzył zgasła, a z nią wszelka wola, wszelka siła, wszelkie uczucie: i czyż nareszcie przyjdzie mi przypuścić, iż ten człowiek niedbały już ani o sąd potomności, ani o to wszystko co najwznioślejsze, największe, najdrogocenniejsze, dbał tylko o życie!? Nie wiem, ale wskazówek do rozwiązania tej zagadki szukać muszę już nie w rozumie niepospolitym polityka, nie w dumie naczelnika dynastyi, nie w sercu władcy wielkiego narodu, ale jedynie w charakterze człowieka, jak się nam ten charakter przedstawia w jego dziełach i czynach.

Do wielkich czynów, do wielkiej roli, do przewództwa i posłannictwa nie wystarcza rozum polityczny, trzeba jeszcze, żeby ten rozum spoczywał w mężu, w onym mężu określonym łacińskim wyrazem *vir*. Cóż

zaś stanowi na wielkiej widowni świata rzymskiego męża, oto wcielenie się w niego wyższego uczucia, wyższej myśli, wzniosłego pojęcia, wcielenie się w niego Rzymu, ojczyzny; tem dopiero wcieleniem człowiek staje się silnym, a stać się może wielkim. Ludwik XI, Richelieu, Ludwik XIV, Napoleon I, mają ujemne, straszne, oburzające strony; lecz historya im je przebacza, lecz te postacie mają w sobie pociągającą siłę i pozostaną na wieki wielkiemi, pomimo błędów i upadków, bo ci ludzie umieli wcielić w siebie Francyę, jej byt i wielkość. Na tem spotęgowanem uczuciu, zbywało Napoleonowi III, nie wcielił on w siebie Francyi, wcielił tylko napoleonizm. Francya była dla niego instrumentem, na którym przez długi czas, wybornie grał; nie była dla niego ideałem, ideałem był napoleonizm. Miał więc ten człowiek rozum, nie miał niezbędnej do wielkich rzeczy siły, był politykiem, dyplomatą, imperatorem nawet, nie był mężem, tym mężem, któryby umiał zarówno w szczęściu jak w nieszczęściu utrzymać w ręku chorągiew wielkiego narodu i oprzeć się na uczuciu dumy narodowej, które jedyne, jeżeli nie od upadku, to od sromotnego ochrania końca. Rzecz godna uwagi, w obec współczesnych, upadek Napoleona III, nie był upadkiem władcy Francyi, ale ks. Ludwika Napoleona, który chwilowo tak wysoko się był wzniósł. Takie postacie mogą wznowić, nie zdolne ustalić dynastyi, ani zapewnić zwycięztwa połączonej z nią zasadzie; ich upadek jest zwykle stanowczym ciosem dla ich wielkości, i w samej rzeczy upadek tego człowieka nie ma w sobie ani wspaniałości upadku bohatera, ani tragiczności końca imperatora rzymskiego, ani dzikiej obrazowości upadku azyatyckiego monarchy, ani wymówki końca zwykłego człowieka, jest to raczej koniec podobny do rozwiązania tegoczesnego dramatu, które ani widzów zadawalnia, ani czyni zadość moralnemu zmysłowi. Zapomniał Napoleon III. o słowach matki

Napoleona I: Upadek jest niczem, kiedy koniec jest szlachetny; upadek jest wszystkiem, kiedy koniec jest nikczemny.

Nie upadł on pod statuą Pompejusza; nie zginął z ręki niewolnika, nie spłonął na stosie wśród nałożnic i klejnotów; lecz z zgasłą już w sercu wszelką wiarą, depcąc ostatnim czynem, wszystko i własną godność, oddał się w ręce nieprzyjaciela, nie będąc już nawet zdolnym ocenić całego nadmiaru hańby, którą się w tej chwili okrywał. — Dla świata, dla Francyi, dla historyi upadek był też ostatecznym, stanowczym. Przyszła więc chwila, w której zabrakło Europie tego człowieka, który tak długo, tak wielkie w niej zajmował miejsce; chwila niegdyś z trwogą przez wszystkich oczekiwana; i rzeczywiście po klęsce sedańskiej ujrzeliśmy wielki znak zapytania, wznoszący się nie tylko przed pytaniem co się stanie z Francyą, ale co się stanie ze światem. Próżnia była wielką, bo bądź co bądź nie małe miejsce zajmował ten człowiek w świecie, przeważne stanowisko, które mu Europa sama przyznawała i które poniekąd zdobył był sobie, tem głównie, że stanął na czele wielkiego, z wielką przeszłością narodu. Francya, szczególniej Francya napoleońska, wzniecila tyle obaw i tyle nadziei, że jej upadek musiał wprawić w osłupienie świat i sprowadzić przewrót, większy może jeszcze we wszystkich pojęciach, jak we wszystkich stosunkach. Brak tej Francyi długo jeszcze da się czuć.

We Francyi, w Paryżu, wiadomość o klęsce sedańskiej ten miała skutek, że wywróciła natychmiast cesarstwo, a raczej, że się cesarstwo samo wywróciło; napoleonizm upokarzający siebie i Francyę, w jednej chwili stracił powód bytu, wywrót okazał się niemal zbytecznym, w powietrzu rozlane już było poczucie niepodobieństwa imperyalizmu; upadł też w Paryżu nawet bez łoskotu, bez oporu, bez wysilenia ze strony narodu, nie upadł ale skonał; nikt go nie zabił, żyła

sercowa napoleonizmu pękła pod Sedanem. Przewrót na ulicach Paryża, w gmachu ciała prawodawczego, w gmachu miejskim, odbył się bez rozlewu krwi, bez najmniejszych oznak siły z jednej i z drugiej strony; nowy rząd powstał jedynie w skutku tego prawa, że przyroda nie znosi próżni. W takiej chwili tylko republikanie mogli być dość zarozumiałymi i dość bezsumiennemi, aby uchwycić władzę, aczkolwiek niewątpliwie, położeniu rzeczy odpowiadała jedynie dyktatura: lecz dyktatury nie ogłasza się na ulicy, do dyktatury trzeba dyktatora, a ten się nie znalazł. Ogłoszono więc rzeczpospolitą, a raczej obwołano ją, nie jako symbol jakiej nowej zasady lub siły, lecz przypadkowo, bo stronnictwo republikańskie najgłośniej krzyczeć umiało. Reczpospolita była na ustach, nie zaś w sercu lub duszy narodu; nie był to okrzyk z piersi Francyi wyrywający się, było to przypadkowe hasło. Rzeczpospolita miała też znamiona rządu tymczasowego.

Trudno zaiste dopatrzeć się tak we Francyi, jak w całem europejskiem społeczeństwie warunków potrzebnych, niezbędnych, do ustalenia się rzeczypospolitej, i mówię to nie dla tego, abym się kierował mniejszym lub większym pociągiem do tego lub owego kształtu rządu, ale dla tego, że przekonany jestem, iż Europa nie jest przygotowaną do zniesienia republikańskiego, i że on nie zdolny jest jeszcze wzmocnić podwalin naszych społeczeństw, zapewnić ład i prawidłowy rozwój cywilizacyi i swobód. Małą też mam wiarę w przyszłość tego kształtu rządu w Europie, w jego zbawienność dla Francyi. Montesquieu już zauważył, że pierwszym warunkiem ustalenia się rzeczypospolitej, jest cnota, tylko cnotliwe społeczeństwa zdolne są znieść ten rząd: nasze społeczeństwa zepsute do szpiku kości, mogą go zaprowadzać, nie ustalą go jednak. Lecz pod zasłoną rzeczypospolitej, tego pięknego ideału, zapanowaćby mogły chwilowo wszystkie od dawna wrzące

w naszym starym świecie namiętności, nienawiści, żądze i zalać Europę. Ten potop dużoby zniszczył, niceby nie rozwiązał. Demagogia nad Sekwaną, republikanizm we Włoszech, anarchiści i socyalna demokracya wszędzie, mogłyby sobie łatwo podać ręce, a wtedy na prawdę przyszłoby zapłakać nad tegoczesną cywilizacyą. A niema co się łudzić, w Europie jedynie demagogia i socyalna demokracya mogłyby wlać w formę republikańską nowe życie, nowe namiętności, nową siłę; dawna bowiem moc, dawne myśli i namiętności republikańskie, już się przeżyły i przepaliły, są to czcze słowa bez duszy! Dawny republikanizm, to mumia, tak jak legitymizm. Czyż dzisiejsza rzeczpospolita francuska nie jest jakby bladym tylko odblaskiem przeszłości, jakby odegrzaną strawą, jakby źle odświeżonym portretem z ostatnich lat osmnastego stulecia? Nic w niej doprawdy nowego, ani samorodnego, nic, coby przyszłość rokowało, żadnej oznaki siły, nawet tej wrzącej srogiej siły, która niszczy lecz i zapładza. Bez siły, bez woli, bez chęci do apostolstwa, nie stała się nawet zaraźliwą, nie znalazła odgłosu i w tych sąsiednich krajach, w których wyjątkowe okoliczności zdawały się temu najlepiej sprzyjać. W tej bierności, w tem wyzuciu się z wszelkiej myśli wpływu, tkwi zaparcie się ducha francuskiego. Powodem bytu Francyi jako potęgi, drugą jej istotą, tajemnicą jej siły, było właśnie apostolstwo, działanie na zewnątrz i rozpościeranie wpływu myśli francuskich. Zasadą i treścią ówczesnego republikanizmu francuskiego, wyznaniem wiary tego stronnictwa, które przyszło do władzy, była — demokracya pokojowa; godłem — każdy u siebie, każdy dla siebie. Był to więc początek innej zupełnie Francyi, Francyi, zmieniającej swoją istotę, Francyi upadłej.

Na razie najlepszym rządem był ten, któryby zdołał zmniejszyć rozmiary klęski, który stawiłby czoło nieprzyjacielowi, lub zaszczytny zawarł pokój. Jedyny

to był powód bytu rzeczypospolitej w 1870 r., jedyna ożywiająca ją myśl; słusznie też rząd tymczasowy przyjął nazwę rządu obrony narodowej. Ten jedyny cel, ten wyłączny powód bytu, nakreślić był winien krótką metę rzeczypospolitej. Po za tym wielkiem lecz chwilowem zadaniem, rzeczpospolita nic nie przedstawiała, nic wzmacniającego nie mogła dać Francyi. Nie ogłoszono jej jako godło nowych myśli, nowych zasad, nowego porządku rzeczy w świecie, nowego posłannictwa Francyi, ogłoszono ją wyłącznie dla obrony narodowej, nie dla tego, aby dawała pod tym względem większe rękojmie powodzenia i przedstawiała warunki siły i zwycięstwa, ale dla tego, że w poprzedniem stuleciu pierwsza rzeczpospolita zasłoniła Francyę przed obcym najazdem; chwycono się więc niejako rzeczypospolitej przez porównanie. A przecież różnica wielka, niesłychana, między pierwszą a trzecią rzeczpospolitą, tak pod względem duchowym, jak i materyalnym. Pierwsza rzeczpospolita czuła się brzemienną nowemi wielkiemi myślami, silną postanowieniem zwalenia starego porządku, była ona słońcem rozżarzonem, które paliło, lecz którego promienie dosięgały całego obwodu koła, a tem kołem był świat cały; była zagorzałą i okrutną jak apostoł żołnierz; wojskom nieprzyjacielskim, które zagrażały Francyi, mężnie stawiła czoło, a zajęła im tyły hufcami nowych zasad, i w tem tkwiła jej siła duchowa; siła ta i postrach wywrotowy poruszyły zastępy, poruszyły nowe wówczas tłumy ludowe i rzucały je na nieliczne regularne, najemne wojska zespolonej starej Europy; powstał nowy sposób prowadzenia wojny, który obrócił się na korzyść Francyi, a popłoch wzniecił w szeregach nieprzyjacielskich. Trzecia rzeczpospolita nie przedstawiała żadnej ogólnej myśli, przedstawiała wyłącznie sprawę Francyi, do posłannictwa nie zdolna, nietylko nie marzyła, ale nie chciała przekraczać granicy, i w samej rzeczy, z czemżeby ją przekroczyła, z jakąż nową za-

sadą, którąby już nie była znaną za Renem? Zaraz na wstępie, dla wyparcia Niemców z Francyi, nie odwołała się do zapału narodu, lecz próbowała użyć rozumowania filozoficznego, zasad demokracyi pokojowej, wymowy swoich wieszczów i swoich filantropów. Jej celem był pokój, któryby jej nie obalił, a po tem? a po tem każdy u siebie, każdy dla siebie! Nie ona to, ale hr. Bismarck poruszył zastępy za pomocą myśli niemieckiej i wyćwiczone rzucił na Francyę niezliczone, rozgorzałe, które stanęły pod Paryżem.

Rzeczpospolita nie stała się dźwignią dla Francyi, nie stała się też zbawieniem dla niej, odrodzeniem dla Europy, nic nie mówiła, była to kamienna statua, która nie zawierała w sobie zagadki przyszłości. Tę przyszłość zakrywał tymczasem dym bitew staczanych pomiędzy Renem i Sekwaną. Dla Francyi w owej chwili znaczenie miał tylko rząd obrony narodowej.

Zwykle klęski, nieszczęścia, szczególniej wielkie, z zewnątrz grożące niebezpieczeństwa, skupiają naród około istniejącego rządu, wiedzie go do tego zbawczy zmysł zachowawczy; wielkie narody wśród wielkich klęsk nie opuszczały władzy lub dowódzców, nie zmieniały rządu, przeciwnie w ściśniętym koło niego stawały szeregu. Inaczej niestety! stało się we Francyi, czy to w skutku zmienności i lekkości usposobienia narodowego, czy w skutku politycznego upadku, czy też ohydy, którą się władca okrył; Francya wśród największych zewnętrznych niebezpieczeństw, przejść musiała przez przewrót polityczny i zmianę rządu. Taka konieczność bez względu na jej przyczyny, nie jest oznaką zdrowia; a jest zawsze klęską. Taka zmiana pociągnąć musi za sobą zamięszanie w zarządzie, w społeczeństwie, w całym ustroju, nawet w kraju tak przyzwyczajonym do wywrotów, jak Francya. Taka zmiana rozognia wewnętrzne waśnie i otwiera wrota zabiegom nieprzyjaciela;

daje mu sposobność mięszania się do wewnętrznych spraw państwa.

Skoro rzeczpospolita ogłoszoną została, Bismarck począł się zwracać w stronę napoleonizmu. Przypuściwszy jednak konieczność zmiany rządu, nie można zaprzeczyć, że smutnym objawem było ujęcie w takiej chwili władzy przez tych właśnie ludzi, którzy weszli w skład rządu. Nie było więc wyboru, jak tylko między więźniem z pod Sedanu, a Gambettą i Rochefortem!? Rochefort jakby dla pozostania wiernym zadaniu paszkwilisty, skoro dostał się do władzy, stał się umiarkowanym; lecz podobne zwroty o niczem nie świadczą, tylko o małej wartości tych, którzy ich dokonują. Dość było przypuścić *mutatis mutandis*, iżby ludzie tej miary, tej szkoły, tej wiary, co Gambetta i Rochefort, a nawet Juliusz Favre, w stanowczej chwili przyszli u nas do znaczenia i władzy, aby mieć jasne wyobrażenie o smutnem ówczesnem położeniu Francyi. Nieszczęśliwy kraj, który na nic lepszego zdobyć się nie mógł!

Chętniebym odwołał ten sąd, gdyby zdołali byli wyrwać Francyę z przepaści, lub nawet ograniczyć rozmiary jej klęski. Czynów było mało, za to wielka obfitość słów, i to słów, bez siły, bez wiary, nie było w nich nic orzeźwiającego; to nie był ryk budzącego się lwa. Nie mieli ci ludzie dzikiej, samorodnej, porywającej wymowy trybunów pierwszej rzeczypospolitej. Puste, mało znaczące, acz wiele obiecujące były ich okólniki i odezwy! Krasomowstwa i marzycielstwa było tam zbyt wiele na takie czasy i to w zapasach z najpraktyczniejszym i nieczułym przeciwnikiem i z żelaznym Bismarckiem, którego niezawodnie nie mógł powstrzymać „obraz zniszczonej stolicy świata“, ani rozczulić widok „wśród gruzów, wnuka Wiktora Hugo u piersi mamki“.

Co się nas Polaków tyczy, winniśmy przecież oddać słuszność ludziom, stojącym wtedy u steru we Fran-

cyi; pierwszy to bowiem rząd, który miał odwagę, nie łudzić nas, który, nie chcąc i nie mogąc nic dla Polski zrobić, nie chciał przyjmować usług i krwi Polaków. Wielka to zasługa, dowód uczciwości. Względy dyplomatyczne nakazywały niezawodnie podobne postępowanie, był w niem przedewszystkiem objaw zwrotu w usposobieniu Francyi, wskazówka, że Francya zrzeka się tego posłannictwa na zewnątrz, które nie zawsze spełniała, które jednak zawsze dotąd przedstawiała. U siebie i dla siebie, oto było godło przyszłej Francyi, tej, która miała obstać się po wojnie, która już wychylała czoło przy końcu drugiego cesarstwa, Francyi jeszcze bogatej, przemysłowej, handlowej, ale już bez wpływu i potęgi na zewnątrz, zrzekającej się swego dziejowego stanowiska politycznego w Europie.

Szło już teraz przedewszystkiem o całość Francyi, a jedynym powodem bytu rzeczypospolitej i rządu obrony narodowej, była obrona ziemi francuskiej. Czuł tę prawdę Juliusz Favre, kiedy w pierwszym swoim okólniku oświadczał, że ani piędzi ziemi, ani jednego kamienia z twierdz rząd nie ustąpi. Ileż razy niestety! najszlachetniejsze, najwznioślejsze życzenia patryotyzmu stoją w sprzeczności ze srogą rzeczywistością! My Polacy o tem najlepiej wiemy; i wolno się zapytać, czy pierwszy okólnik Favra zgodnym był ze stanem rzeczy, z wielkością zwycięztw pruskich a klęsk francuskich, z siłami obronnemi, jakiemi Francya jeszcze rozporządzać mogła. Rząd obrony narodowej uczuł, jeżeli nie niemożność dalszej walki, to przecież potrzebę pokojowych usiłowań. Już drugi okólnik Favra mniej był stanowczym, mniej wojowniczym, widocznie z większą rozwagą był pisany w komnacie, nie wśród wrzawy ulicznej. Był on wraz z posłannictwem Thiersa do gabinetów europejskich jakby wstępem do rokowań pokojowych, które się odbyły między Favrem a hr. Bis-

marckiem w zamku Férières. Jaki mogło mieć cel posłannictwo Thiersa, który, nie chcąc wejść w skład przejściowego rządu, pragnął przecież w tak ciężkiej chwili służyć Francyi, nie trudno odgadnąć, oto szukał on zagranicą środków do zawarcia mniej upokarzającego pokoju, nie widząc ich wewnątrz. Posłannictwo to było jedynie patryotyczną podróżą sędziwego męża stanu; nie szło oczywiście o uzyskanie czynnej pomocy, bo o tej nikt już we Francyi nie marzył, ani też nikt nie mógł jej dać, szło o pomoc dyplomatyczną; posłannictwo przyspieszyć mogło zawarcie pokoju, wywołać dyplomatyczne wdanie się na rzecz takowego, istotnie zaś stanowczo nauczyło Francyę, że na nic i na nikogo rachować nie mogła. Przekonał się Thiers, że Francyi głównie zbywało na sprzymierzeńcach, że ich nigdy między mocarstwami nie miała, i że to właśnie stanowiło niebezpieczeństwo jej położenia, nawet pomimo największej jej potęgi, a dziś wśród nieszczęścia stać się miało przyczyną jej zguby, i że dla tego właśnie polityka jej zmierzać winna była do stworzenia, do wskrzeszenia sprzymierzeńca, któryby ją z konieczności i własnego interesu nigdy nie był opuścił w niebezpieczeństwie.

Tymczasem rokowania Favra z Bismarckiem spełzły na niczem, a odezwa rządu francuskiego w Tours, zapowiedziała dalsze prowadzenie walki. Jednak dla umożebnienia układów, nie stawiano jako warunek opuszczenia ziemi francuskiej przez Niemców. O co rozbiły się te początkowe rokowania? Niewątpliwie nie o prawowitość rządu tymczasowego, łatwa to była do usunięcia przeszkoda w ten lub ów sposób, a hr. Bismarck zbyt był giętkim, aby dał się nią wstrzymać. W okólniku z Meaux oświadczał bardzo wyraźnie pomimo poprzedniego zwrotu do napoleonizmu, że nie myśli mięszać się w sprawy wewnętrzne Francyi, i że zadowolni się każdym rządem, który mu da rękojmię dotrzymania warunków pokoju. Rokowania roz-

biły się jedynie o twarde, bardzo twarde warunki pruskie, zarówno groźne dla Francyi, jak dla rzeczypospolitej, były to warunki zwycięzcy, znane są one powszechnie; najtwardszy z nich był odstąpienie terytoryów, odstąpienie Alzacyi i części Lotaryngii z dwoma wielkiemi twierdzami. Dotąd nie wynaleziono jeszcze innej rzeczywistej korzyści zwycięztwa, jak tylko nabytki terytoryalne. Twierdzić, że po tak wielkich zwycięztwach Prusy nie miały prawa stawiać podobnego warunku, byłoby to samo, co chcieć przewrócić wszelkie pojęcia o wojnie, o prawach zwycięzcy i następstwach przegranej; z usunięciem tego prawa i tych następstw, krwawe walki stałyby się jeszcze bardziej czczą igraszką i rozpoczynanoby je z większą jeszcze jak dotąd płochością. Czy zabór Alzacyi i Lotaryngii był w interesie Prus? Na to pytanie doprawdy nikt nie mógł lepiej odpowiedzieć, jak same Prusy, a wciąż odpowiadały twierdząco i hr. Bismarck wyłuszczał z wielką stanowczością w dwóch okólnikach z Reims i z Meaux powody, dla których Niemcy obstawały przy tym warunku; dopóki zaś przy nim obstawały, a Francya nie godziła się z swym opłakanym losem, walka trwać musiała. Trwała też dalej.

Po klęsce sedańskiej korpus jenerała Vinoy, który spóźnił się z pomocą Mac-Mahonowi, zdołał przecież powrócić do Paryża; przybycie tego korpusu liczącego zaledwie dwadzieścia tysięcy ludzi przyjęto z wielką radością, co może dać miarę opłakanego położenia. Stanowił on wraz z pozostałem w Paryżu regularnem wojskiem, razem niespełna sto tysięcy, oraz Metzem główną siłę Francyi, której posiłkować miały liczne zastępy niewyćwiczonej gwardyi ruchomej i mieszczańskiej gwardyi narodowej. W mgle powstawały dwie armie przyszłości, nad Loirą i w Lugdunie; nie wiedziano nawet kto zajmuje się ich tworzeniem, a ogromne

straty oficerów i dowódzców poległych lub wziętych w niewolę, nie pozwalały wróżyć prędkiego ich uporządkowania. Wolni strzelcy, ochotnicy, słowem cała ruchawka nie stwierdziła się była jeszcze żadnym ważnym czynem; nie czuć jej było nawet. Twierdze trzymały się dzielnie, lecz wszystko ma swoje granice, nawet bohaterstwo i oto Toul już się poddał, a Strasburg, w którym od początku wojny jenerał Uhrich dawał przykład z siebie całej Francyi, po bohaterskiej, a bezowocnej obronie poddać się musiał. Metz broniła jeszcze dzielna armia marszałka Bazaina, o zdobycie go siłą, zdawało się, że się nawet nie pokusi nieprzyjaciel. Jednak poddanie się Strasburga wpłynąć mogło na los Metzu, raczej na postanowienie Bazaina; już krążyły pogłoski, że wpływy i względy polityczne pokrzyżują tu znowu działania wojenne i zadać mogą Francyi nową klęskę. Tymczasem Metz, Verdun i inne mniejsze fortece, stawiając opór, unieruchomiały znaczne siły nieprzyjacielskie, zgubnemi jednak stać się dla Niemców mogły dopiero na przypadek odwrotu; obecnie postępom ich ani zdołałyby ani przeszkadzały. Główne siły nieprzyjacielskie po trzechtygodniowym pochodzie stanęły w okolicach Paryża i obsaczyły go, o tyle, o ile Paryż obsaczonym być mógł; a tak ujrzał się świat odcięty od swej stolicy i przyszła chwila, w której dla niego nie było Paryża, smutna też to, ponura była godzina. Co teraz się stanie? Oblężenie ogromnego a umocowanego miasta było rzeczą tak niesłychaną, tak nową, tak nieznaną w historyi, że niepodobna było o niem przesądzać. Wśród huku dział i kartaczownic, wśród świstu chassepotów i iglicówek, było w tem coś homerycznego. To pewna, że mury i fortyfikacye Paryża przedstawiały znaczny opór; niema jednak murów, którychby rozwalić nie można, ani fortyfikacyj, którychby zdobyć nie podobna; wymaga to jedynie czasu, a mury, fortyfikacye nie są nieprzełamaną zaporą, je-

żeli za niemi nie stoją ludzie z postanowieniem i zdolni bronić ich do upadłego, jeżeli nie kieruje niemi wyższa myśl i silna wola. Utarczki w okolicach Paryża nie wypadały na korzyść Francuzów, zachowanie się 1. pułku żuawów stało się nowem bolesnem rozczarowaniem. Zdawało się, że postanowiono nadal unikać wycieczek i ograniczyć się na obronie za fortami i murami.

Zakończenia jednak dramatu należało raczej oczekiwać z obustronnej potrzeby pokoju, jak w skutku dalszych walk. Z każdym dniem mnożyć się mogły niebezpieczeństwa dla Prusaków, klęski dla Francuzów, a chociażby niebezpieczeństwom do końca zwycięzko Niemcy stawiali czoło, chociażby im przyświecało słońce, to przecież koszta tego stanu rzeczy mogły takie przybrać rozmiary, że nie byłyby w stanie ich pokryć ani zwycięzkie Niemcy, ani zwyciężona Francya; a jeżeli znów, po Sedanie jedynym możliwym rządem we Francyi, był rząd obrony narodowej, to przyjść mogła chwila, w której jedynym możliwym w Paryżu rządem stałby się ten, któryby podpisał pokój. Mógł nareszcie hr. Bismarck zrozumieć, że nie należy mu narażać tyle już zdobytych korzyści, i że lepiej wziąć się czemprędzej do zbioru nagromadzonych już plonów, których znaczniejsza część nie znajdowała się we Francyi, ale w Niemczech. Już w tę stronę zwracała się skwapliwie polityka pruska. Delbrück przygotowywał nie grunt, ale określenie jedności niemieckiej. Dotąd jednak hr. Bismarck zdawał się mniemać, że pomimo oporu Paryża i przedłużenia walki nic nie uroni z rozlicznych już gotowych korzyści, że zdoła jednocześnie jedną ręką zdusić opór Francyi, drugą zjednoczyć Niemcy. Widocznie w dalszej walce z Francyą nie liczył on wyłącznie na siły wojenne Niemiec i na talenta hr. Moltke, wyznał on z znaną szczerością w rozmowie, przytoczonej w jednym z dzienników angielskich, że liczył także na wewnętrznych we Francyi sprzymie-

rzeńców, na grę stronnictw, zamieszki, upadek ducha. Oby Francya była w tem przynajmniej zawiodła hr. Bismarcka! Oby oszczędziła była sobie tej przynajmniej ohydy i wstydu, które okropnie odbiły się nietylko na jej ówczesnem położeniu, ale także na jej przyszłości. Wieści o rozruchach w Paryżu, których odgłos dolatywał do głównej kwatery pruskiej były zapowiedzią końca. Już przed otoczeniem Paryża były zatrważające oznaki, nowy rząd podkopywać zaczęli demagogi i czerwoni republikanie; w Lugdunie powiewały wciąż dwie chorągwie: trójkolorowa i czerwona; w tem mieście, we wielu innych miejscowościach, w samym Paryżu zaczął wychylać czoło drugi rząd. Dwa rządy w takiej chwili, to przerażająca potworność.

Rząd *de facto*, jak mówił hr. Bismarck, rząd powstały na ulicy 4. września, w skutku oblężenia Paryża, rozdzielił się na dwie części, stanowiące przecież jedną całość; część pozostała jak należało dla kierowania obroną Paryża, druga przeniosła się do Tours dla rządzenia krajem, zachowania stosunków z zagranicą i urządzenia dalszej obrony. Ten konieczny rozdział rządu mógł przedłużyć walkę, nawet po zdobyciu Paryża i wtedy Prusacy mogli się ujrzeć w położeniu Tantala, upragnionego pokoju nie mieliby z kim zawrzeć. Tej to głównie obawie przypisuję trzymanie przez hr. Bismarcka w odwodzie Napoleona III. Bardzo to był zręczny obrót, znamionujący wybornie kanclerza Północnego Związku; uznawać rząd cesarski jako prawny, a nazywać rząd tymczasowy rządem *de facto*, to najlepszy był środek wywołania licytacyi o najkorzystniejszy dla Niemiec pokój. Wątpię zaś, aby hr. Bismarck dbał był o osadzenie na tronie, szczególniej o ustalenie tronu Napoleona III; jako o warunku pokoju nie wspominał o nim hr. Bismarck. Napoleon wprowadzony do Francyi przez Prusaków byłby najchwiejniejszym z wszystkich rządów, najmniej dającym rękojmi trwałości; pod opieką jednak

bagnetów pruskich mógł taki rząd podpisać pokój, a potem cóżby szkodziło Prusom, żeby znowu Francya przeszła przez przewrót. A gdyby cudem utrzymało się cesarstwo, to takie cesarstwo nie byłoby już strasznem ani dla Niemiec, ani dla Europy. Czy dla odzyskania haniebnie straconego tronu Napoleon wypełnić zamierzał miarę spodlenia, wracając pod opieką pruską, czy pod Sedanem wspomniano o tem? Po Sedanie wszystko było możliwem. Aczkolwiek napoleonizm zabił się, widocznie bonapartyzm nie dał za przegraną; powstawało wychodźtwo bonapartystowskie, cesarzowa zakładała w Londynie dziennik *La Situation*, a cesarz przygotowywał w Wilhelmshöhe manifest do Francyi; bonapartyzm nie miał nawet wstydu swojego upadku.

Napoleonizm w swej rdzeni zabity upadł. Czy chwilowo Bonaparci nie mogli powrócić do władzy; w takich czasach, trudno było nawet i o tem nieprawdopodobieństwie zupełnie wątpić; wielkiemi jednak musiałyby być nieszczęścia wewnętrzne Francyi, wielkiemi zatargi i bezrząd, brak ludzi i sił żywotnych lub może żądza pokoju, aby szukała dobrowolnie w cesarzu albo rejencyi deski zbawienia.

Trudno się jednak już było łudzić, jakikolwiek wzięłyby wypadki obrót, jakakolwiek czekała po nich nieszczęśliwą Francyę przyszłość, klęska jej była wielką, jej stan wewnętrzny już był upadkiem. Wypada się nad nim zatrzymać, tem więcej, że upadek polityczny Francyi wywrzeć musiał wpływ na polskie stosunki, przedewszystkiem na polskie pojęcia i wyobrażenia.

Rzecz godna uwagi oto, że Francuzi w nieszczęściu, w chwilowem nieszczęściu, wśród którego my już od przeszło stu lat żyjemy, okazali się tak wielce podobni do nas. Uderzającą jest tu tożsamość, począwszy od lekkomyślności i nieograniczonej wiary, a raczej zarozumiałości w własne siły, zarazem rachowania na obcą pomoc, a skończywszy na nieradności, na prze-

chwałkach, na wśród największej niedoli upajaniu się mylnemi wieściami o zwycięztwach lub podnoszeniu drobnych korzyści do wielkiego znaczenia i łudzeniu siebie w nadziei oszukania innych!

Wiele słyszeć można było o upadku, o zepsuciu obyczajów we Francyi; zaprzeczyć zepsucia obyczajów, niepodobna; było ono wprawdzie tam bardziej krzyczącem, widoczniejszym, a mniej obłudnem jak w innych krajach, ale nie wiem doprawdy czy było większem; z wyjątkiem północnych Niemiec wszystkie kraje i narody szły pod tym względem na wyścigi z Francyą, chociaż i w tem nie zdołały jej prześcignąć. Kto znał jednak Francyę, ten wie dobrze, że obok wielkiego zepsucia, było tam jeszcze wiele dobrego, wiele zdrowia, że obok rozpustnego i lekkiego społeczeństwa, było inne, poważne, pełne cnót. Nie można też przypisywać klęsk i upadku jedynie i wyłącznie zepsuciu. Jest inna uderzająca przyczyna upadku, przyczyna polityczna. Jak Polskę zabiła anarchia, tak Francyę podkopała rewolucya; anarchia w Polsce była ciągłą, nieustającą, rewolucya stała się stanem chronicznym Francyi. Nie w czem innem, jak w chwiejności stosunków politycznych, w niestałości rządów, od pierwszej rewolucyi, szukać należy przyczyn, osłabienia Francyi. Podczas, gdy cała Europa, gdy wszystkie wokoło Polski istniejące państwa szukały siły w wzmocnieniu władzy i rozwinięciu zasobów państwowych, Polska podkopywała u siebie władzę, powstrzymywała wszelki rozwój państwowy; podczas, gdy inne państwa szukały w ładzie politycznym bezpieczeństwa, ona pogrążała się w swawoli. Od pierwszej zaś rewolucyi, podczas, gdy inne państwa postępowały drogą reform, nie zmieniając jednak kształtu rządu, nie podkopując w korzeniu zasady władzy; Francya przeciwnie, pozostała na raz obranej drodze rewolucyjnej i rzadko miała rząd stały, częściej stronnictwa, które były chwilowo u steru. Tliła się w niej ciągła walka

o władzę, a wśród tego tlenia, zgorzało pojęcie o niej. Nie było we Francyi opozycyi rządowej, była opozycya przeciw rządowi, nie było opozycyi nadzorującej i czuwającej, była dążąca do obalenia istniejącego porządku rzeczy, pchająca rząd do błędów, szczęśliwa z nich bez uwagi na krzywdę i szkodę Francyi; nie naprawę, nie polepszenie istniejących urządzeń miały na oku każdorazowe opozycye, ale zmianę rządu z pominięciem interesów Francyi. W skutku tego widzieliśmy w przeciągu osiemdziesięciu lat, jedenastą rewolucyę, jedenastą zmianę rządu; przeszła więc była Francya w tak krótkim przeciągu czasu przez jedenaście rewolucyj mniej lub więcej krwawych i stanowczych, nie licząc zaburzeń i podrzędnych zmian. Trzeba było zaślepienia, wielkiej wiary w żywotność tego pełnego zalet narodu, żeby nie spostrzedz, że ustalenie rewolucyi, że ciągła niestałość stosunków politycznych musi stopniowo doprowadzić do upadku, jeżeli już nawet upadku nie była oznaką. W całej historyi nie napotykamy na podobny przykład chwiejności stosunków politycznych, a tam gdzie taką napotykamy, choć nie w takim stopniu, była ona zawsze oznaką nachylenia się do upadku państw i narodów. Rzym zmieniał co chwila nie kształt rządu, ale rządców, lecz wtedy dopiero, gdy upadał. Niema w świecie politycznym tworu dość silnego, aby mógł wytrzymać tak liczny szereg wstrząśnień. Nie dziwić się, że one osłabiły Francyę, raczej podziwiać wypada żywotność i siłę narodu francuskiego, który mógł przetrwać i przeżyć tak zabójczą chorobę. Nieustające zmiany polityczne rozpoczęte pierwszą rewolucyą, wyrobiły w narodzie skłonność do tych zmian; nie zepsucie obyczajów, ale owa skłonność rozstroiła społeczeństwo francuskie, zabiła w niem wiarę w rząd, we władzę. Ideałem Francuzów stał się jakiś urojony rząd, raczej rząd ich urojeń, ideałem, którego nigdy osiągnąć nie mogli. Ustało zaufanie rządzących do rządzonych, rządzonych do rządzą-

cych; najgorszym był zawsze rząd, który był; najlepszym ten, który miał istniejącego miejsce zająć. W skutku tego, każdy rząd we Francyi musiał pierwej myśleć o sobie jak o Francyi, pierwej o ustaleniu i utrzymaniu się, jak o bycie, potędze i interesach Francyi; wewnątrz używać musiał nieraz sztucznych środków, zgubnych leków, oddziaływujących szkodliwie; na zewnątrz zaś, chcąc dogodzić wrodzonej Francuzom skłonności, szukał i ubiegał się raczej za olśniewającemi wypadkami, jak za rzeczywistemi dla Francyi korzyściami; dochodziły rzeczy nieraz do tego, że zewnętrzną polityką, rządzono wewnątrz. Stronnictwo rządowe, słudzy istniejącego porządku rzeczy, wciąż niepewni jutra, nieczuli się u siebie, czuli się raczej w komornem i przychodziła chwila, w której więcej o siebie jak o Francyę dbali, bo człowiek jest słabym. Zwolna patryotyzm stronnictw zaczął zastępować patryotyzm francuski. Wpływ takiego stanu rzeczy, musiał zgubnie, rozkładająco działać; z każdym rokiem, z każdym dniem, pogarszał się on i stawał się coraz widoczniejszym, szczególniej przy końcu drugiego cesarstwa; on to popchnął po części cesarza pod Sedan, nie pozwalając mu wrócić do Paryża, on go wtrącił wraz z Francyą w przepaść.

Francya politycznie wpływowa, Francya na zewnątrz potężna, opiekująca się słabemi, chciwa chwały i przewagi, ta Francya, jeżeli nie na zawsze to na długie lata upadła we wrześniu 1870 r.; tę Francyę przedstawiał napoleonizm, a pod Sedanem popełnił napoleonizm samobójstwo. Po tylu klęskach i stratach w obec zjednoczonych Niemiec, w obec Rzymu w rękach zjednoczonych Włoch, Francya musiała zrzec się bezpośredniego na Europę wpływu; z upadkiem owej Francyi, która pod Sedanem poddała się, skończył się wpływ polityczny Francyi, zaczęły się jej nowe z Europą stosunki; polityczne stanowisko jej zmalało. Nie przypuszczam jednak, aby miał się skończyć wpływ jej wykształ-

cenia i jej wyobrażeń; na to za wielką jest jej przeszłość, zanadto dziś jeszcze jest ona bogatą. Grecya choć upadła politycznie, opanowała swojem wykształceniem nawet zwycięzki Rzym; Rzym upadł, a duch jego stał się podstawą nowego świata, i dziś jeszcze ileż jest rzymskiego w naszem wykształceniu, w tem, któremu Francya przewodniczyła. Powierzchowne tylko cywilizacye giną z osłabieniem państw, które je przedstawiały; żywotne, pełne treści, są nieśmiertelnemi. Narodom i państwom można zadawać srogie ciosy, nie można zabić ich duszy. W skutku błędów Francya mogła upaść politycznie, ale jej duch, jej wykształcenie, jej wyobrażenia, długo jeszcze pozostaną w świecie jeżeli nie wszechwładnemi, to przeważnemi. Polityczna zaś przewaga przechodziła wtedy w ręce Niemiec. Taka przewaga narodu lub państwa nie jest nowością w historyi; lecz nowym byłoby zjawiskiem, żeby ten sam naród po dwa razy do niej dochodził, bo zjednoczone Niemcy mogłyby się stać równie potężnemi jak cesarstwo niemieckie za Karola V.

Ta zmiana punktu ciężkości potęgi politycznej wywrzeć musiała wpływ nie tylko na stosunki europejskie, ale na przebieg dziejowy; nastąpić musiało inne ukształtowanie się interesów, a zmiana odbiła się także na nas, na naszych pojęciach, wyobrażeniach i polskich warunkach życia.

Z boleścią, z uczuciem zawiedzionej nadziei, widzieliśmy upadek Francyi, która była wpływową w Europie, która dążyła do coraz większej nad nią politycznej przewagi, Francyi chciwej chwały, sprzymierzonej z wszystkiemi słusznemi sprawami. U nas poczucie łączności z istoty położenia było zawsze silniejszem jak we Francyi. We Francyi pomimo współczucia i dobrych chęci, poczucie to nie było dość silnem, potrzeba rozwiązania sprawy polskiej nie dość zrozumianą, aby wywołać czyn. A jednak w 1870 r. okazało się, że polityka

francusko-polska, na której od rozbioru opierała się u nas zdrowa część narodu, i budowała jedynie nadzieje wskrzeszenia Polski, nie była pozbawioną prawdy, nie dla tego, że naszym marzeniom dogadzała, ale dla tego, że odpowiadała interesowi Francyi, ustaleniu jej wpływu i potęgi w Europie.

Od ostatniego rozbioru Polski i rewolucyi francuskiej, napoleonizm głównie, nawet wyłącznie przedstawiał wielkość, działalność, wpływ i potęgę Francyi na zewnątrz. Dla Polaków też z wszystkich we Francyi rządów przedstawiał najwięcej rękojmi rozwiązania sprawy polskiej, i w samej rzeczy on jeden coś dla niej zrobił, on jeden szczerze chciał dużo zrobić. Pierwsze cesarstwo powołało nas do życia i stworzyło Księstwo Warszawskie; szczęśliwe zakończenie wojny rosyjskiej byłoby niewątpliwie wzmocniło i rozszerzyło wrzekomą tę budowę. Napoleon III. był monarchą, który najwięcej myślał i najszczerzej pragnął rozwiązać sprawę polską, choć nic nie umiał i nic nie zdołał dla niej zrobić, nawet przyczynił się do jej klęski. Napoleonizm i sprawa polska ściśle z sobą złączone, równą stało się dla nich klęską, nierozwiązanie tej ostatniej. Sromotny upadek napoleonizmu był ciosem dla polityki francusko-polskiej. Dla mnie Sedan był epilogiem 1863 r. Wtedy to już napoleonizm zrzekł się swojego stanowiska wtedy poniósł klęskę i wtedy też już wyrwały się mi z piersi złowrogie dla cesarstwa przepowiednie, które prędzej ziściły się jak mniemałem. Wtedy to polityka francusko-polska stanowczy poniosła cios, od owej chwli odwet był trudnym, z każdym dniem stawał się mniej prawdopodobnym; od tej chwili poplątały się sprawy świata, tak, iż wszystkie ich nici stopniowo zaczęły wypadać z rąk Francyi; można jeszcze było przypuszczać, że Francya pochwyci je i zawiąże na nowo łącząc się z Austryą, i łącząc sprawę austryacką z sprawą polską; lecz Francya już nawet o tem nie myślała,

marzyła co najwięcej o przywróceniu wpływu Austryi w Niemczech, a polityka francusko-austryacko-polska rozwiała się ostatecznie w dniu, w którym Austrya nie wystąpiła jednocześnie z Francyą przeciw Prusom.

Jeżeli dalsze łudzenie się pod tym względem, stawało się z każdym dniem mniej podobnem, to znów zwątpienie i zrozpaczenie, nie tylko niegodnemiby były narodu i społeczeństwa, mającego w samem sobie warunki życia, ale nawet były niemożliwemi, bo rozpacz i zwątpienie ani zabijają, ani mogą być czynnikami życia dla narodów. Przykro, trudno, a nawet niebezpiecznie jest dla narodu, wyjść z koła wyobrażeń, w którem obracał się przez całe stulecie; boleśnie jest rozstawać się z świetnemi i pełnemi uroku nadziejami i przeistoczyć niejako swoje pojęcia. Było to jednak niestety w 1870 roku już tylko przejściem z urojonego świata do srogiej rzeczywistości. Nie mówię tego, abym nie wiedział, ile było prawdy w polityce francusko-polskiej, którą tylu u nas, ja pierwszy wyznawałem, ale dla tego, że skoro nie mogła, nie zdołała się wcielić w czyn, przemieniała się w czczą, nieraz zgubną nadzieję, jakby w ślepą wiarę. Wywarła ona niemały wpływ na przebieg wypadków w Polsce, szczególniej na nasze pojęcia i wyobrażenia, przedewszystkiem na postępowanie naszych wrogów. Podtrzymywała u nas prawdziwego ducha i podniecała zgubne nadzieje, wstrzymywała czasem wrogów naszych i zasłaniała nas przed ciosami, lecz podniecała także ich do nas nienawiść, a w stanowczych chwilach nie ochroniła nas. Była hasłem dla zdrowej i patryotycznej części narodu, tak w kraju jak w emigracyi, lecz była także przyczyną rozlicznych złudzeń, zawodów, po części i tych krwawych, a zabójczych powstań, które bez rękojmi ze strony Francyi, lecz pod godłem nadziei w jej pomoc, porywały najrozsądniejsze w kraju żywioły, a w coraz większą popychały nas

przepaść. Była ona polem popisu wzajemnego współczucia, które i w 1870 r. znalazło u nas wyraz, współczucia wzajemnie bezowocnego. A pomimo tego, wola ludzka nie była dość silną, aby położyć koniec, tej polityce, zdziałać to mogła jedynie siła wypadków. Z upadkiem jej, sprawa polska straciła na znaczeniu. Nie tyle żywioł polski był niebezpiecznym i groźnym dla sąsiednich mocarstw, jak użycie go przez Francyę; nie Polska była straszną, ale Polska za którą Francya stała. Z upadkiem więc Francyi wpływowej, zmieniło się znaczenie sprawy polskiej; lecz nie upadł naród polski. Pozostał między dwoma światami, między rosyjskim i niemieckim. Sprowadziło go to na niebezpieczny, ślizgi, groźny, ale więcej rzeczywistości odpowiedni grunt. Pierwszym tego skutkiem musiało być dla nas, zdrowsze pojęcie naszego położenia. Czekać nas mogą twarde chwile, wielkie klęski, ale nie śmierć; znajdzie się dla nas miejsce jako dla narodu, byleśmy sprostali zadaniu, przedewszystkiem trzeźwością poglądu na nas samych i nasze powołanie.

Z Francyą oprócz interesu politycznego i pociągu wypływającego z usposobienia narodowego, łączyła nas tożsamość cywilizacyi. Jak ona świetnie, tak my nierównie skromniej, przedstawialiśmy pomiędzy germańskim a słowiańskim światem cywilizacyę romańską, religią, literaturą, usposobieniem, wyobrażeniami. Naprzód w tradycyach starego Rzymu, następnie z Włoch, w końcu przeważnie z Francyi czerpaliśmy wiedzę, wykształcenie, ogładę, natchnienia. Nie słowiańskie pojęcia, ale romańska cywilizacya stała się naszem duchowem jestestwem, może naszym powodem bytu w tej części świata. Wszystko, co dobrego mamy w sobie jest romańskiem. Zaparcie się tego, byłoby dopiero samobójstwem, wyparcie się wyobrażeń, zasad, cywilizacyi romańskiej dla innej niższej i dzikszej, byłoby upadkiem upadków. Nie przesądzając też zawikłań politycz-

nych, w pielęgnowaniu w pozostaniu wiernemi cywilizacyi romańskiej, widzę nasz powód bytu i upatruję samoistność narodową. Z tym objawem, stwierdzającym się pomiędzy światem rosyjskim a niemieckim, przyjdzie się zawsze porachować, jeżeli sami nie zabijemy w sobie tego, co stanowi rzeczywistą samodzielność i odrębność.

Aczkolwiek zaszłe wypadki, wielki, stanowczy może wywarły wpływ na nasze stosunki, to jednak w niczem nie zmieniły, ani osłabiły naszej łączności z Austryą. Wśród burzy na morzu, podziurawiony nawet okręt lepszy jak nic, jak bezdenne morze. Przez Austryę interesa nasze, spajały się jeszcze ze światem; tem większą musiała być nasza o jej losy troskliwość.

Położenie jej niewątpliwe stało się było arcytrudne, byt jej był wypadkami zachwiany i zagrożony. Już chwila czynu minęła była dla niej niepowrotnie, a jak podczas wojny śmiały krok mógł się stać zbawczym, tak po klęskach Francyi tylko stanowczy wybór przymierza mógł ochronić i zasłonić. Położenie pod tym względem było przykre, w ostatecznych jednak następstwach, ze strony Prus groziła zależność, ze strony Rosyi cios śmiertelny; w przymierzu z Niemcami mogła jeszcze Austrya istnieć, bez tego przymierza zniknąć mogła między Prusami i Rosyą. Postanowienia powziąć tymczasem nie umiano. Kanclerz Beust cieszył się z początku nadzieją zwycięstw francuskich, ale nic nie zrobił, aby im dopomódz; teraz pocieszał się nadzieją, że Bismarck nadużyje zwycięstwa w Niemczech i zwróci umysły przeciwko sobie; ale znowu nic w tym kierunku nie robił; jałowa miłość dla Francyi i jałowa nienawiść do Prus, to było jego stanowisko, a z tem, głęboka wiara we własną wielkość i postanowienie wystrzegania się wszystkiego, coby go posady kanclerskiej pozbawić mogło. Węgrzy przeciwnie, od pierwszych zwycięstw niemieckich, stanowczo byli za przymierzem pruskiem.

Przekonanemi byli, że nie długo po zawarciu pokoju, Bismarck będzie się oglądał czy w przymierzu z Rosyą przedsięwziąć rozbicie Austryi, czy w przymierzu z Austryą, zapobiedz rozwielmożnieniu się w Europie jedynego sąsiada, który mógłby powstrzymać rozwój potęgi pruskiej. Prezes ministrów węgierskich hr. Andrassy wpływał z naciskiem na zmierzanie do przymierza z Niemcami i posiadał dość wpływu, aby nie dopuścić żadnego nieprzyjaznego dla Prus objawu; Beust i Andrassy równoważyli się tak, aby żaden nic zdziałać nie mógł. W obec tego zamięszania, a w obec widocznej prawdy, że losy Austryi zależały w owej chwili nie od wewnętrznej ale od zewnętrznej polityki, sojusz Polaków z Węgrami, i wspólne ich zaważenie na politykę zewnętrzną, stawało się coraz większą koniecznością. Chwila postanowienia i wyboru drogi, była niedaleką. Niebawem hr. Bismarck miał wyrwać kratę, przez którą i tak woda przepływała i połączyć dwa brzegi Menu. Natychmiast o zbliżeniu się do Austryi pomyślał Bismarck.

Polaków, jako należących do rodziny europejskiej, jako naród katolicki, żywo musiały obchodzić wypadki jednocześnie zaszłe w Rzymie. Następstwem klęsk Francyi i upadku cesarstwa, było zajęcie Rzymu, Papieży przez wojsko włoskie. Ze zwykłą im zręcznością i wierni tradycyi Cavoura, Włosi usprawiedliwili, wkroczenie do Rzymu, obawą przed wywrotem, tak, iż weszli niemal dla zasłonięcia Papieża, oraz dla ocalenia tronu Wiktora Emanuela. W obec tego postępowania w chwili tylu upadków, wspaniałą była postać Piusa IX.; z prawdziwą wielkością duszy, zmierzył on nadchodzące, nieuniknione wypadki; z powagą, bez goryczy, poddał się zrządzeniu wyższemu, na list króla włoskiego rzekł: „piękne słowa, brzydkie czyny“ i okryty majestatem swojego kapłaństwa, zastrzegł się lecz walkę kazał po paru godzinach zaniechać i pozostał w Rzymie, czując

jak w nim jest potężnym i wielkim, pomimo i wbrew dokonanego zajęcia, jak wspaniałym, kiedy w duchu swego posłannictwa odwiedzał ramnych obydwóch wojsk. Za to postanowienie cały świat katolicki, przedewszystkiem Włosi winni Ojcu świętemu głęboką wdzięczność. Rzym bowiem zajęto, ale Rzymu nie oddał Ojciec święty, i Rzym nie przestał być własnością świata katolickiego, Włochy nie są pozbawione wielkiej, duchowej potęgi papiestwa.

Bezwzględnym czynem zajęcia Rzymu sprawa rzymska nie była rozwiązaną. Jako narodowi katolickiemu, w obec zaszłych w świecie przemian, więcej jak kiedykolwiek, zależeć musiało Polakom na duchownej niepodległości i niezależności głowy kościoła; rękojmią tej niezależności, mogła być jedynie niezależność państwowa.

Im więcej przedłużał się dramat historyczny, na którego przebieg ludzkość patrzyła z natężoną uwagą, jakby przeczuwała, że od jego rozwiązania jej własne losy były zależne, tem ogólne wrażenie stawało się przykrzejszem, interes dramatyczny stopniowo słabł, może głównie dla tego, że coraz był większy brak nie tyle bohaterów, jak charakterów; wzrastał niesmak na widok bezwzględności pruskiej, niemocy i nieradności francuskiej. I godziło się zapytać, co się stało z cywilizacyą, co się stało z postępem, skoro dwa wykształcone w Europie narody, dochodziły do upokarzających ostateczności; skoro żaden z nich nie umiał stanąć na wysokości położenia, jeden klęski, drugi powodzeń. Rabunki, okrucieństwa, pogarda wszelkiego prawa, znamionowały postępowanie Prusaków we Francyi, obchodzili się oni z nią jakby ze zbuntowaną prowincyą, gorzej jak Rosyanie z ostatniem powstaniem polskiem. Prawo zwycięztwa nie uprawnia takiego postępowania, a nie tylko jest ono pomiataniem i zaparciem się zasad słuszności, cywilizacyi i postępu, ale jest nieztropnem

w obec przyszłości i jej niebezpieczeństw, bo jest zarodem zemsty; kto w ten sposób obchodzi się z wielkim, szlachetnym narodem, kto w ten sposób nadużywa zwycięztwa, ten albo uważa ów naród za ostatecznie upadły, albo sam dostał zawrotu głowy. Są bowiem krzywdy, które naród chcąc pozostać narodem, zemścić kiedyś musi; takiemi są niezawodnie te, które Niemcy nieszczęśliwej wyrządzali Francyi. Mniemali więc, że już nigdy nie będzie zdolną je pomścić.

Z drugiej strony stan Francyi, doprowadzenie jej do tego, iż musiała znosić butę, zuchwalstwo, srogość, niższego pod tylu względami od niej wroga, boleścią przejmowały serce, wprowadzały w zwątpienie o wszystkiem, co dotąd wiarą było. Widok był odpychającym, było w nim coś przeciwnego przyrodzie mógłbym powiedzieć prawom bożym; przykrym on być musiał dla obojętnego widza, cóż dopiero dla nie obojętnego!

Polacy zaś do końca obojętnymi widzami być nie mogli, choćby nie mieli już żadnej wątpliwości o ostatecznym skutku. Każdy człowiek, każdy naród, złączony z zachodnią cywilizacyą, do końca musiał być sercem z Francyą, cóż dopiero Polacy, których religia, tradycye, wspomnienia, wykształcenie, wyobrażenia łączyły z nią tak ściśle. Rozum, wyrozumowanie, były tu bezsilnemi, musiały ustąpić w obec wyższych uczuć, bo jeżeli w zwykłych wypadkach rozum stanu wystarcza, to wśród dziejowych przeobrażeń jest on i tyle razy okazał się nie dostatecznym i zawsze wtedy góruje nad nim sumienie, bo w niem jest jeszcze prawda, gdy już jej brak w rozumie. Tak jest, jeżeli już nie rozum polityczny, to sumienie mówiło wszystkim z zachodnią cywilizacyą zespolonym narodom, katolikom i nam Polakom, że do ostatniej chwili sprawa Francyi, jest ich sprawą, że jej towarzyszyć winny ich życzenia, chociaż już nie łączyły się z nią nasze nadzieje, a jednak nie-

podobna zaprzeczyć, że te głębokie, tak na wskróś prawdziwe uczucia, z każdym dniem oziębiał stan Francyi, niemoc niegodna wielkiego narodu, rozprężenie niegodne tak wysoko stojącego społeczeństwa, zawsze złowrogie działania wywrotowe, coraz groźniejsze zachcianki socyalistyczne i nareszcie owi ze wszystkich stron świata przybiegli pośrednicy i kondotierzy rewolucyi, których pomoc więcej przyniosła Francyi wstydu i upokorzenia, jak rzeczywistych korzyści. I zaprawdę nie szło o drobne zawiści, poziome niechęci, nawet o zasady, o republikę lub monarchię, demokracyę lub arystokracyę, zachowawczość i rewolucyę; któżby nie umiał się w takiej chwili wznieść po nad te codzienne współzawodnictwa i walki; nawet de Maistre, który tak namiętnie nienawidził rewolucyi wśród największego, najstraszniejszego terroryzmu pierwszej rzeczypospolitej, życzył sobie i pragnął zwycięztwa ostatecznego Francyi, bo jego potężny rozum wiedział, czem była Francya dla świata: ale właśnie szło o to i o to jedynie, że zamięszanie we Francyi zmniejszało, uniemożebniało odwet, że ludzie, którzy w jej imieniu przemawiali, nie dawali rękojmi zwycięztwa, że stan jej wewnętrzny dla niej był nową klęską, dla wrogów nowem zwycięztwem!

Naraz ujrzał się świat odcięty od swej stolicy, od Paryża, podług którego nawykł był od dawna sądzić o ogólnem położeniu Europy; był to niejako południk, który służył do mierzenia i obrachowywania ciał politycznych i ich biegu. Trudno więc było rozpoznać się, a wiadomości nadchodzące to za pomocą balonów, to za pomocą gołębi z dawnej stolicy świata, zamiast rozjaśniać, gmatwały pojęcia o położeniu rzeczy. Nie tylko odciętą była Europa od Paryża, ale Paryż przestał być Paryżem, przemienił się w największą w świecie twierdzę. Brak tej stolicy świata, ustanie bicia tego serca, mięszały i zaciemniały pojęcia. Nazywano Paryż Babilonem, lecz był on przedewszystkiem Atenami, nieraz

Rzymem. Ten Paryż chwilowo przynajmniej zniknął, cóż mogło go zastąpić? Nie główna kwatera niemiecka w Wersalu lub Berlin. Nie zapełniało także powstałej ztąd próżni, tymczasowe siedlisko połowy tymczasowego rządu francuskiego. Przeciwnie, wszystkie nadchodzące z Tours wiadomości, tak były nie zręcznie przesadne, tak drobnostkowo przechwalne, że jedynie litość wzbudzały, lecz do rozjaśnienia położenia bynajmniej posłużyć nie mogły. Jedno z nich przebijało, smutna potrzeba podnoszenia ducha we Francyi, chociażby łudzeniem jej nie stoczonemi bitwami zwycięzkiemi, lub podnoszeniem mało znaczących korzyści do wielkiego znaczenia. Jeżeli kto, to my, Polacy, znaliśmy się na wiadomościach, mających na celu podnoszenie ducha, a z doświadczenia wiedzieliśmy, jak się je ostatecznie srodze opłaca; kłamstwo jest jałowem. Z drugiej strony wiadomości z obozu pruskiego, były chwilowo nader skąpe, nie wiem, czy to było pogardliwe milczenie, czy też po tylu odniesionych zwycięztwach uważano za korzystniejsze przemilczeć o okresie, w którym żadnem ważniejszem powodzeniem nie można się było poszczycić. Telegramy i wiadomości pruskie, nierównie mniej były jasne, dobitne i dokładne, jak przedtem, nawet telegramy wielkiego telegrafisty zwycięzkiej germańskiej armii, jenerała von Podbielski, były zagmatwane i ciemne.

Zdziwienie także jedynie wywołać mogły urzędowe dokumenta pruskie, które się ukazały. Zdumiewającą zaiste wydać się musiała troskliwość czuła żelaznego Bismarcka o los ogłodniałej ludności paryskiej, z którą odezwał się do gabinetów europejskich w osobnej nocie. A że w czułość i litość swoją oduczył się już był wierzyć, więc przypisywano tę jego, tak szumnie głoszoną troskę, obawie o własną sławę i przeszkodom nie małym, które niezwyciężona armia króla Wilhelma napotkała pod fortami Paryża. Przekonanie to wzmocniło oświadczenie

Staatsanzeigera, wykazujące trudności zdobycia Paryża, a utwierdziło ciągłe odwlekanie bombardowania.

Dwa były główne punkta obronne nieszczęśliwej, tylu klęskami nawiedzonej Francyi, Paryż i Metz; Paryż z sześćdziesiąt tysięcy wojska regularnego i liczną uzbrojoną ludnością, pod dowództwem jenerała Trochu; Metz z sto pięćdziesiąt tysięcy wyborowego wojska pod dowództwem marszałka Bazaine. Były to jedyne siły obronne Francyi, które można było brać w rachubę; one też stawiały prawdziwy, rzeczywisty opór najazdowi i z niemi rachować się musiał pyszny zwycięzca. Tak więc nie sztucznie rozbudzony zapał, nie niedołężne porywy republikańskie lub zapamiętałość rewolucyjna, zasłoniły chwilowo Francyę, ale patryotyczna głęboka myśl stanu, powzięta pod roztropnym, rozważnym i oględnym rządem, który w swej trosce o Francyę nie cofnął się był ani przed ofiarami, ani przed walką z zawistnemi stronnictwami i przeprowadził ufortyfikowanie stolicy. Przezornej myśli Thiersa i Vaubana zawdzięczała Francya ten opór, który pozostanie jej zaszczytem w tym smutnym okresie jej dziejów; to przedłużenie walki, które, jeżeli nie co innego, cześć jej ocaliło. Gdyby nie fortyfikacye Paryża i Metzu, w obec zupełnego braku sił wojskowych i wewnętrznego rozstroju, wszelki opór byłby się stał niemożliwym. Godną uwagi jest rzeczą, że, czytając rozprawy w Izbie za panowania Ludwika Filipa o fortyfikacyach Paryża, widzi się, iż myśl tę natchnęła obawa, oczywiście nie przed Prusami, nie przed Niemcami nawet, nie przed jednym nieprzyjacielem, ale przewidywanie zawsze grożącej Francyi koalicyi. Przypuszczano wtedy jedynie, że połączone siły Europy mogą kiedyś znowu zagrozić stolicy potężnego państwa; a nie przyszło na myśl obrońcy, wniosku użyć, grożącego ze strony Prus lub Niemiec niebezpieczeństwa; wówczas ten argument byłby był zbyt słabym; jakżeż się wszystko zmieniło! ta potężna Francya, która

tylko koalicyi obawiała się, zgniecioną, zdeptaną została przez te Prusy, które zaledwie zaliczano do rzędu mocarstw, a które pod okiem Francyi nie tylko zjednoczyły, ale spotęgowały Niemcy. I ta potworna zmiana położenia i zobopólnych sił pod naszemi odbyła się oczami, pod oczami jednego pokolenia, i Thiers doczekał się smutnego powodzenia, smutnego, bo nawet przezorna myśl jego nie zdołała oszczędzić ojczyźnie wielkiej klęski. Jednak fortyfikacye Paryża były niemałą a nawet groźną dla Prusaków zaporą; zwolniły one, wstrzymały ich niesłychane powodzenia. Oblężenie Paryża niemałe przedstawiało trudności, których może nie przewidział nawet Moltke. Prusacy otoczyli Paryż. Zdarzenia wojenne, które zaszły pod nim, obustronnie nie wielkie miały znaczenie. Wycieczki gwardyi ruchomej i armii paryskiej w dniach 12, 13 i 14 października, były dla Francuzów zaszczytne; w dniach tych odnieśli oni korzyści i dzielnie się bili; nie cofnęli się nawet przed zniszczeniem wspaniałego zamku St. Cloud, który zakrywał bateryę pruską, wymierzoną na Paryż; w końcu cofnąć się musieli, bo załoga po każdej wycieczce cofać się zawsze musi do twierdzy, idzie tylko o to, czy cel wycieczki jest dopięty; otóż tu osiągniętym został, bo zniszczono roboty pruskie, przedsięwzięte w celu bombardowania Paryża, a tym sposobem oddalono stanowczą chwilę. Powodzenia te, przesadnie przedstawione przez telegramy z Tours, były zaszczytne i użyteczne dla sprawy, jednak oczywiście nie rozstrzygające. Prusacy dwa mieli sposoby zdobycia Paryża: bombardowanie lub głód; jeżeli zwycięzkie wycieczki oddalić mogły chwilę bombardowania, to ani o godzinę niezdolne były oddalić ogłodzenia.

Podczas, gdy forty Paryża zasłaniały serce Francyi, a wycieczki dawały uczuć nieprzyjacielowi, że za murami jest ludność zdolna do walki, marszałek Bazaine na czele bitnego żołnierza wytrzymywał w Metz

i w oszańcowanym obszernym obozie oblężenie, kierowane przez ks. Fryderyka Karola. Do ostatniej chwili ta waleczna, ta niegdyś tak piękna armia, w której skład wchodziła gwardya cesarska, dzielnie się trzymała. Marszałek Bazaine nie ograniczał się na obronie twierdzy, lecz niepokoił i nużył nieprzyjaciela to ciągłemi popłochami, to morderczemi wycieczkami. Najznaczniejsza z nich miała miejsce 7-go października, a w niej z wyznań dowódców wiemy, iż sprzymierzone wojska niemałe poniosły straty. Znowu w dniu tym lała się krew polska w szeregach armii niemieckiej. Być może, że marszałek Bazaine jedynie dla ocalenia honoru wojskowego stoczył tę krwawą walkę, lub dla pozoru ocalenia takowego. Żelaznej obręczy otaczającej Metz, nie przełamał.

Najdzielniejsza, najwytrwalsza obrona twierdz i Paryża na nic przydać się nie mogła, jeżeli nadejść nie miała odsiecz. Nadzieja zamiast z każdym dniem wzrastać, malała. Złudzenia o szumnie zapowiadanej armii Loiry, przemieniły się w smutną, upokarzającą rzeczywistość. Bitwa pod Orleanem stoczona 11. października z tą armią, nie była dla Francyi zaszczytną, z wyjątkiem legii zagranicznej i oddziału papieskich żuawów, poszła ona w rozsypkę, jak te oddziały, które z Galicyi przy końcu powstania 1863 roku wkraczały do Królestwa na to, aby na drugi dzień wracać do Krakowa.

Prusacy wkroczyli do Orleanu i stali się panami znacznej części kraju i nie małych zasobów, które umieli wybornie zużytkować. Znikła więc znów nadzieja odsieczy dla twierdz. W kilka dni później poddało się Soissons i parę mniejszych twierdz. Paryż i Metz ujrzały tem samem położenie swoje pogorszone. Bez nadziei odsieczy, opór ich stawał się tylko rzeczą czasu, i czekał ich los Strasburga, Toul i Soissons. Niebawem już tylko Paryż miał pozostać punktem obronnym, lecz

i jemu w końcu groził głód, straszny głód, bo dotykający dwumilionową ludność, złożoną z najrozmaitszych żywiołów i nie usposobioną do znoszenia tak okropnej plagi.

Położenie wojsk niemieckich pod Paryżem nie było przecież ani wygodne, ani zupełnie bezpieczne; wielka była trudność w dowozie żywności, zły czas i choroby mogły zadać nie małe ciosy; cóż dopiero, gdyby jakakolwiek armia uderzyła była na tyły oblegających Paryż wojsk, lub gdyby ich linia operacyjna bardzo długa nieraz odsłonięta, zagrożoną została i przeciętą w jednem przynajmniej miejscu. Gdyby wreszcie unieruchomione około Metzu wojska niemieckie nie były mogły połączyć się lub przyjść z pomocą tym, które pod Paryżem stały.

Tu zapisać przychodzi znowu zarówno upokarzarzający jak złowrogi dla Francyi wypadek, jeden z tych licznych, w które owe czasy obfitowały. Marszałek Bazaine nie uznał był rzeczypospolitej i jej rządu; zakazał wszelkich ogłoszeń w tej mierze w swoim obozie. Działał niezawiśle i porozumiewał się z kim mu się podobało. Poczytywał się za marszałka dynastyi napoleońskiej, nie Francyi. Skutek opłakany niestałości wewnętrznych stosunków i przewrotu politycznego, w obec obcego najazdu! Skoro jednak rządy napoleońskie wywrócone już były, skoro ich przedstawiciele ustąpili i opuścili Francyę, obowiązkiem w obec najazdu obcego było, słuchać i służyć istniejącej władzy, bo tylko tym sposobem służyło się ojczyźnie, w tem, co najnaglejszem i najgroźniejszem było. Spory wewnętrzne odłożyć należało. Marszałek Bazaine inaczej postąpił ku większemu wstydowi owych czasów. Chciał może ratować Francyę od anarchii, ocalając napoleońską dynastyę; przyspieszył, spotęgował jej klęskę przez zewnętrznych wrogów. O sobie także myślał, chciał zostać rejentem. Zawiązał układy z ks. Fryderykiem Karolem pod Metz, z królem pruskim w Wersalu, z cesa-

rzem Napoleonem uwięzionym w Wilhelmshoe. Przedłużał je nieprzyjaciel, łudził marszałka. Czy ten przekonany był o bezowocności dalszego oporu, czy też, coby mniej było obciążającem, o jego niemożności; czy też postąpił sobie w politycznym zamiarze, zawsze splamił się, poddając 29-go października wielką twierdzę i wielką armię. Niespodziewane, jeszcze w tej chwili nieprzewidywane, w dziejach jedyne, oddanie Metzu, i poddanie się sto pięćdziesięcio-tysięcznej armii, nowym stało się dla najeźdźców Francyi tryumfem i wielkiem ułatwieniem; dla niej srogą boleścią i zawodem; dla sprawcy hańbą i występkiem w obec historyi. Z dwóch nóg, na których opierała się obrona, jedna odciętą została. — Niemcom dostała się w ręce wielka ilość dział, przeszło trzy kroć sto tysięcy karabinów, około pięć tysięcy koni, dwieście wagonów kolei żelaznej, trzydzieści tysięcy chorych i rannych, około sto pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy różnej broni, przeszło sześć tysięcy oficerów, pięćdziesiąt jenerałów dywizyi i brygady, trzech marszałków Bazaine, Canrobert Leboeuf i jenerał Changarnier.

Siły niemieckie. stojące pod Metz, uwolnione, uruchomione, mogły podążyć czy to pod Paryż, czy dla stawienia czoła, powstającym zastępom francuskim; dla dokończenia wielkiego dzieła, drugiego dzieła Bismarcka.

III.

Wszystkie więc przepowiednie spełniały się kolejno, każde słowo Kasandry stawało się rzeczywistością i czynem było stwierdzone, wszystkie czynniki od dawna przewidywanej strasznej burzy, były już w grze, a widnokrąg polityczny, wielce zachmurzony, naraz przemienił się w najciemniejszą, niewidzianą może dotąd

noc, wśród której już nikt nic dojrzyć nie mógł. Nawet wznosząca się nad innemi, postać Bismarcka pozostała na chwilę w cieniu groźnych wypadków.

Rosya wystąpiła nareszcie jawnie z swojemi zamiarami i widokami, z swoją myślą i z swoją dla Europy pogardą. Rosya uznała za stosowne teraz właśnie zużytkować wdzięczność Prus za jej neutralność przychylną, szukać choćby częściowego zadośćuczynienia za budzące już w niej zazdrość, nadspodziewane niemieckie powodzenia, i skorzystać z ogólnego rozstroju, aby podnieść sprawę wschodnią, która w przyszłości jest sprawą słowiańską, czyli aglomeratu, coby pochłonął Turcyę i słowiańską część Austryi.

W nocie, poruszającej rzecz o Morzu Czarnem, ks. Gorczakow nie pominął sprawy słowiańskiej. Dwa olbrzymy stanęły na równoległych drogach, wiodących do celu, oznaczonego jednym wyrazem — panowanie. Niemcy czynami na drodze prowadzącej do ich jedności, Rosya postanowieniem powrócenia na drogę, wiodącą do zespolenia pod jej wpływem i przewództwem Słowian.

Wśród ogólnego zajęcia, nie wolnego przecież już od znużenia, wojną niemiecko-francuską, nota kanclerza rosyjskiego z 31 października, podnosząca śmiało sprawę wschodnią, swoją ważnością, oderwała myśl od niesłychanych zwycięstw pruskich, haniebnych klęsk Francyi i zwróciła naraz w inną stronę uwagę osłupiałej, ogłupiałej Europy. Nota ta nie tylko była podobną do uderzenia piorunu wśród grzmotów, ale była nowym ciosem zadanym skarłowaciałej i upadłej Europie. Przesłana w ówczesnych okolicznościach, była czynem, była niemal wygraną bitwą. Publiczność europejska nie pomyliła się; od razu spostrzegła ważność kroku gabinetu petersburskiego i zwróciła w tę stronę swoją troskę, odwracając się nawet od dramatu kończącego się pod murami Paryża i nad brzegami Loiry; a to dlatego, że

w owym kroku Rosyi był zaród podziału panowania nad światem, między Prusami i Rosyą, chociaż może kiedyś współzawodnictwa, od którego przyszłość Europy zależną była, bo sama nie była zdolną jej zabezpieczyć sobie.

Czyż możliwą, szczególniej czyż wątpliwą być mogła w skutkach wojna Olbrzymów z Liliputami, a nie inaczej przedstawiałoby się położenie, gdybyśmy przypuścili, że po jednej stronie stanęłyby Prusy z Rosyą, po drugiej reszta Europy. Wszystko po tamtej stronie niezwykłych było rozmiarów, żądze, zamiary, czyny postanowienia, siły, środki wojenne, mężowie stanu i nastrój ducha narodowego; wszystko to zaś po tej stronie, skarłowaciałe było tak, że już nawet świat ten nie umiał mieć swej woli, że żadne z państw do niej należących, nie zdolne było wystawić stutysięcznej armii. I zkąd, godzi się zapytać, to tak raptowne obniżenie państw i narodów niedawno jeszcze potężnych i silnych, a wyższych od Olbrzymów? Oto skarłowaciały one wśród dobrobytu i samolubstwa, które jak owe czarodziejskie napoje w miarę używane, odmładniają i dodają siły, lecz które, gdy się ich nadużyje, przywodzą człowieka do stanu dzieciństwa. Były więc dwa obozy Liliputów i Olbrzymów.

Podczas, gdy mocarstwa, należące do pierwszego, zrzekały się stopniowo wpływu na sprawy świata, podczas, gdy bałwochwalczo czciły bożka pokoju i paliły kadzidła przed bożkiem dobrobytu, podczas, gdy przybierały za godło: każdy u siebie, każdy dla siebie i podczas, gdy wypierały się w polityce wszelkiej myśli, wszelkiego wznioślejszego dążenia i zadawalniały się polityką z dnia na dzień; Prusy i Rosya nie przestały żywić wielkich, daleko sięgających zamiarów, i pielęgnować w swem łonie myśli politycznej, jedne niemieckiej, druga słowiańskiej. Kiedy tamte zaniedbywały rozwijać niezbędne warunki zewnętrznego bezpie-

czeństwa i potęgi, Prusy i Rosya wciąż niemi były głównie zajęte i wydoskonalały je. Kiedy w Anglii szkoła manchesterska wpływem swoim zapewniała zwycięstwo polityki nieinterwencyi; kiedy we Francyi władcy jej chcieli spoczywać na zdobytych już laurach i twierdzili, że wszystkiego za jednego panowania zrobić nie można, i kiedy w Austryi zapanowała polityka, polegająca na zamykaniu oczu przed niebezpieczeństwami; w tym samym czasie, Prusy śmiało wykonywały myśl Fryderyka Wielkiego, a Rosya Piotra Wielkiego. I jedne i druga do tego się przyspasabiały. Ztąd ta nierówność sił i środków, ztąd obozy Olbrzymów i Liliputów, ztąd tak korzystne pierwszych, tak nędzne dla drugich położenie. Wobec tego trudno już niemal było sobie życzyć walki Liliputów z Olbrzymami, trudno w nią wierzyć, można było być pewnym, że Liliputy nie zdobędą się na czyn, że groźba Olbrzymów wystarczy, aby ich powstrzymać. Nie więc w sile oporu Liliputów, ani w walce ich z Olbrzymami szukać należało oznak czasu i wskazówek przyszłości. Gdyby Olbrzymy poszli ręka w rękę, to zgnietliby, zdruzgotali wszystko, coby na drodze napotkali i dopiero może kiedyś, dokonawszy dzieła zaboru i zniszczenia, poróżniliby się i wzięli za barki o ostateczne nad światem panowanie. Należało dołożyć zatem usiłowań, aby rozerwać spojone ich ręce i rozdzielić ich. Do tego jedynie zdolni byli Liliputy, a gdzie brak siły, tam trzeba ją chytrością zastąpić. Ważność podniesionej przez Rosyę sprawy polegała na tem, czy i jak dalece Prusy iść będą w niej łącznie i wspólnie z Rosyą; czy i jak dalece zabiegi Liliputów zdołają rozdzielić dwóch Olbrzymów? Dla tego też obrót sprawy wschodniej, względnie słowiańskiej, zależał głównie od wypadków we Francyi, od przebiegu wojny niemiecko-francuskiej i od uporządkowania się ostatecznego Niemiec.

W chwili, w której sprawa pangermanizmu dobiegała do kresu, a rozpoczynała się panmoskwicyzmu, położenie narodowe polskie i polityczne, stawało się coraz groźniejszem. Musieli Polacy być przygotowani na wszystko, i na to, że po ich ciele raz jeszcze stąpać będą olbrzymy, a stąpając, usiłować będą zgnieść ich ostatecznie. Nie byłoby to jednak dla nich nowością, a nieraz dowiedli, że umieją znieść ten ciężar, że zgnieść ich może, ale nie udusić, że ciało skrwawić i zranić zdolny, ale, że ducha pod nim nie oddają; i to miało się stać jedynem ich w najbliższej, twardej przyszłości zadaniem. Wszystko, co zaszło, wszystko, co się przygotowywało, było bolesnym dla nas tryumfem; Europa przekonać się mogła, czy nasze przestrogi były płonne, czy nasze wołanie o pomoc było jedynie głosem samolubstwa, i czy nie miało także na celu dobrze zrozumianego jej interesu. Ale głos nasz był głosem wołającego na puszczy, i oto, spełniały się przewidywane następstwa — zaniedbania, lekceważenia i opuszczenia. Nic zaiste sroższego nie mogło być dla nas jak dożyć chwili, w której świat się przekonał o braku Polski, o jej potrzebie, a w której zmuszonym był przyznać, że się o tem przekonał — za późno! Przywodzi to mi na pamięć rozmowę z politycznym mężem angielskim, który w 1863 roku przybył do Krakowa, dla bliższego przypatrzenia się wypadkom. Osobiście sprzyjał wielce naszej sprawie; w rozmowie jednak rzekł: „Wróciwszy do Anglii, chciałbym podnieść głos w parlamencie za sprawą polską; wiesz pan jednak, że u nas polityka uczuć nie popłaca, że, aby skutecznie poprzeć was, trzeba dowieść, że to zgodne jest z interesem Anglii. Otóż szukam rozumowania, ale przyznaję, że bezowocnie. Gdybyś pan był w parlamencie angielskim, cóżbyś w tej mierze powiedział?“ Pytanie było zręczne a odpowiedź nie łatwa, jeżeli bowiem interes Francyi był w tej sprawie jasny i widoczny, to tem samem, Anglii

był nierównie mniej wybitny, może wątpliwy; rzekłem więc: „Nie przeczę, że interes Anglii nie jest tak wielki i naglący jak Francyi i dynastyi napoleońskiej. Przyznasz mi jednak pan, że Anglia wielkie ma na wschodzie zadania, że się zawsze okazywała wielce na nie czułą; otóż możecie być pewni, że jeżeli dziś dacie upaść Polsce, będzie to tak wielki, tak stanowczy dla Rosyi tryumf, a dla zachodu klęska, że nie zdołacie następnie powstrzymać kolosu północnego; w kilka lat po naszym upadku, ujrzycie się wobec wielkiego zadania wschodniego, a już nie wy, ale Rosya go rozwiąże". „Tego nikt nie zrozumie w Anglii" odrzekł wielce uczony Anglik. „Tem gorzej dla nas i dla Anglii", odparłem.

Chwila nie tylko zręcznie, ale przezornie uchwyconą została przez Rosyę dla podniesienia sprawy poruszonej przez notę kanclerza ks. Gorczakowa z 31. października 1870 r., w której zażądał rewizyi traktatu paryskiego, co do narzuconych przez niego Rosyi ograniczeń na Morzu-Czarnem. Głębiej zastanawiając się nad tym krokiem, możnaby w nim dopatrzeć się raczej nieufności do przyszłych Niemiec zjednoczonych pod przewodnictwem Prus, jak zupełnego porozumienia gabinetów petersburgskiego i berlińskiego. Być może, że w zamian za neutralność i za straż nad neutralnością Austryi, hr. Bismarck wystawił był weksel płatny Rosyi po wojnie; ale Rosya nauczona przykładem Francyi po Sadowie, nie czekała terminu, i chciała go spieniężyć doraźnie. Przezorność to wcale nie zbyteczna, z takiemi dłużnikami jak Prusy i hr. Bismarck. Co się tyczy innych mocarstw, to nota ks. Gorczakowa z wielką dla nich napisana była pogardą, a kanclerz wcale nie silił się w niej na oględność. Zapewnienie, że Rosya nie myśli zmieniać swej polityki na wschodzie, zakrawało na szyderstwo. W samej rzeczy, Rosya chcąc się uwolnić z zobowiązań traktatu paryskiego, postępowała uporczywie na obranej od trzech wieków drodze. Pod innym

jeszcze względem, sposób w jaki podniosła sprawę morza Czarnego, był oznaką czasu; podniosła ją bowiem z największą pogardą dla zasady prawa. Zrywanie jednostronne traktatów, musi w ostatniem następstwie doprowadzić do zupełnej zatraty prawa międzynarodowego; bo też gdyby panowanie nad Europą miało być udziałem dwóch tylko mocarstw, to prawo międzynarodowe stałoby się zbytecznem. Ale wystawmy sobie dzisiejszy świat, w którym wszelka wiara osłabiona, podkopana, wszelkie wznioślejsze uczucie wyszydzone, pozbawiony prawnej podstawy w wzajemnych stosunkach, którą stworzył rozum ludzki i którą ludzie przyjęli w własnem bezpieczeństwie; a niezawodnie dojdziemy do przekonania, że taki stan rzeczy doprowadziłby musiał do dzikości, do zamięszania. W czasach przed Grotiusem i Puffendorfem, wiara i kościół, potężnemi byli czynnikami w stosunkach między narodami; dziś jeżeli spalimy lub wyrzucimy za okno prawo międzynarodowe, stworzone przez Grotiusów, Puffendorfów, Vatelów, cóż je zdoła zastąpić, cóż zasłoni świat od zdziczenia i zbydlęcenia? Trudno bez przerażenia spojrzeć w przyszłość, w której siła bezwzględna stałaby się jedynem prawem, w której Europa podzielonąby była na dwa potworne aglomeraty, których jedyną słabością byłaby potworność.

Pod względem politycznym krok Rosyi był stanowczy; mogła ona przystać na uzyskanie przyznania prawnego, swojemu postanowieniu, lecz postanowienia nie mogła i widocznie nie chciała zmienić; wynikało to i z treści depesz ks. Gorczakowa, i z sposobu, w jaki przyjęła je w Rosyi publiczność; zmianę więc §. 14 traktatu paryskiego na korzyść Rosyi uważać należało za rzecz dokonaną, aczkolwiek mogły być wątpliwości co do sposobu, w jaki usuniętym zostanie. Flota rosyjska na Morzu Czarnem, to nieustająca groźba dla Turcyi, dla panowania Sułtana, dla Stambułu, a ciągła opieka dla Słowian, więc było to podniesieniem nietylko sprawy

wschodniej, ale i słowiańskiej. Od chwili rozesłania noty ks. Gorczakowa, Rosya przygotowywała się jawnie, i cesarz Aleksander odzywał się do wierności i patryotyzmu pułku litewskiego gwardyi, którą miał zużytkować wcześniej czy później. Ważnem tu jedynie było pytanie w jakich warunkach znajdować się będzie Europa w chwili, w której Rosya przystąpi do stanowczego czynu; szczególniej Niemcy i Austrya.

Na teraz zaś, jeżeli Rosya sama nie chciała przyspieszyć działania, głównie z powodu braku przygotowań do wojny, to wnosić już można było, że wojny nie wywołają inne mocarstwa. Naprzód z usposobienia, z przyjętego już zwyczaju, gotowe one były do wszelkich słabości i upokorzeń, byle nie wywołać groźnego, przykrego starcia. Jedyną ich obawą było, żeby Turek nie chciał być zbyt dzielnym i śmiałym. Obawa ta, to najlepsza wskazówka, że już wzięły były niezachwiane postanowienie, ustąpienia Rosyi. Cóż z tego? Czyż nie wiemy z historyi, że najczęściej ustępstwa i zbytnia obawa wojny, stają się właśnie powodem zbrojnych starć!

Ale obok tej małodusznej, bezsilnej polityki dotkniętych niemocą mocarstw, był inny ważniejszy czynnik, który zaważyć musiał na szali; polityka Prus i hr. Bismarcka.

Dopóki wojna francuska nie była skończoną, interesem było Prus, przeciągać sprawę wschodnią i niedopuszczać ani do starcia, ani do zupełnego jej załatwienia. W samej rzeczy Prusy, stając zbyt wyraźnie po stronie Rosyi, wywołać mogły niebezpieczne dla siebie samych zakwikłania; stanąć zaś przeciw Rosyi, w chwili, w której nieskończyły olbrzymiej walki, nie mogły. Jednem słowem, dążeniem ich musiało być, oddalić termin wypłaty wekslu, naznaczyć go dopiero po skończeniu wojny. Dla tego też z głównej kwatery pruskiej w Wersalu, wyszła myśl kongresu, czy też konferencyi. Konferencya, ocalając stronę prawną, mogła

chwilowo zaspokoić Rosyę, zadość uczynić żądzy pokoju wojowniczych mocarstw i dozwolić przeciągnąć sprawę, do chwili, w której Prusy, a raczej zjednoczone już Niemcy, wolne od wojny z Francyą, mogłyby w niej stanowczy i rozstrzygający podnieść głos. Nie same jednak Prusy pragnęły konferencyi w sprawie czarnomorskiej, od pierwszej chwili, dążeniem Anglii, tak wielce oburzonej i tak niby srożącej się, było sprowadzić na tę drogę, groźny zatarg. Myśl też konferencyi powstała dopiero w skutek misyi do Wersalu, zręcznego, dawnego ajenta angielskiego w Rzymie Odo Russella. Nie wątpliwie, że pierwszą i główną sprężyną postępowania Anglii, było bałwochwalstwo pokoju; zobojętniała ona była dla spraw europejskich, czując swoją w nich niemoc, wobec wielkich armij, a dodać wypada nie płonną obawę przed Ameryką, tą możebną jej spadkobierczynią, która na nowo podnosić chciała głośną sprawę Albamy; której zaś serdeczne stosunki z Rosyą i Prusami, były znane. Dążność Anglii do konferencyi, a raczej do uprawnienia śmiałego, bezwzględnego kroku Rosyi, była widoczną od początku zajścia, a nawet lord Granville dał jej urzędowy wyraz w odpowiedzi na notę ks. Gorczakowa. Ważniejszym nierównie objawem była dążność Rosyi porozumienia się w tej sprawie z Anglią, którą wyraźnie ks. Gorczaków nacechował w drugiej nocie do lorda Granville. Ta dążność Rosyi porozumienia się z Angliją, przypomniała znane rozmowy cesarza Mikołaja z Hamiltonem Sejmur przed wojną krymską, w których wszechwładny cesarz z takiem wylaniem wyraził się o Anglii, a podczas których rzekł raz w chwili rozczulenia do brytańskiego posła. „Pół godziny osobistej rozmowy z lordem Aberden, wystarczyłoby, abyśmy się porozumieli i zrozumieli“. Z dalszego toku rozmowy, pokazało się, że podczas tego upragnionego sam na sam, cesarz Mikołaj miał myśl ofiarowania Anglii za Stambuł, Egiptu. Ta

cena stała się była teraz dla Anglii tem pożądańszą, że w Egipcie wykopanym został kanał Suezki, droga do Indyi.

O Włochach podpisanych jako Piemont na traktacie paryskim, nie wiele można było powiedzieć, bo aczkolwiek Wschód winien je obchodzić, i aczkolwiek tam jedynie wyrobić sobie mogą przyszłość, to przecież zbyt już były obdłużone, zbyt zakłopotane wewnętrznemi sprawami, a sumienie ich zbyt obciążone sprawą rzymską, aby chciały i mogły zaważyć na szali wypadków, aby śmiały narazić się komukolwiek i odegrać rolę mocarstwa, którego dotąd tylko nazwę nosiły. O Francyi nic oczywiście powiedzieć nie można było..

Położenie Austryi stało się najbardziej wysuniętem i na ciosy wystawionem. Nota hr. Beusta w odpowiedzi na notę ks. Gorczakowa, była w porównaniu z angielską, nierównie ostrzejsza; znać w niej było śmiałość strachu, odwagę przerażenia. Kto takie noty pisze winien uzbrajać się; kto zaś wysyła podobne noty a nie uzbraja się, popełnia nowy błąd. Przykrem było stanowisko Beusta, w obec postanowienia Rosyi uwolnienia się od zobowiązań traktatu paryskiego, nie pozwalających jej mieć flotę na Morzu Czarnem. Nikt bowiem nie zapomniał był, że w czerwonej księdze roku pańskiego 1867 znajdowała się nota, w której pierwszy Beust podniósł myśl, zmiany na korzyść Rosyi owego traktatu, nikt o tem niezapomniał, przedewszystkiem ks. Gorczakow, który uprzejmie o tem w swej nocie przypomniał. Tym sposobem hr. Beust musiał nie tylko odpowiadać w imieniu Austryi, ale także musiał bronić siebie i temu celowi poświęcił osobną depeszę, z której dowiedzieliśmy się jakiego miłego doznał był przyjęcia w Petersburgu wniosek jego, wówczas wymierzony przeciw polityce hr. Bismarcka, i jak grzecznie się z nim obszedł ks. Gorczakow, jak uprzejmie dał do zrozumienia austryackiemu ministrowi, że w nie swoje wdał się rzeczy. Nic dzi-

wnego, że w tych warunkach nawet hr. Beust mógł stracić równowagę, i że śmiałością pióra usiłował zasłonić czczość i lekkomyślność postępowania. Niewątpliwie jednak nota Beusta zapisaną została w Petersburgu, jako najnowsza, świeża uraza.

Czyż w tem położeniu rzeczy nie powinno było być Austryi zadaniem rozdzielić, rozłączyć dwóch potężnych sąsiadów? Już dla tego samego, że to jedno nie przewyższało sił i możności. Czyż w każdym innym obrocie rzeczy można było upatrywać warunki powodzenia i bezpieczeństwa? Stawało się to tem potrzebniejszem, że jedność niemiecka zapowiedziana przez Dalbrück przy otwarciu parlamentu północno-niemieckiego, dopełniała się z każdym dniem, przystępowaniem do związku państw południowych. Druga część dzieła hr. Bismarcka w większej połowie była skończona. Zbliżała się chwila ostatecznego rozwiązania. Ogłoszono austryacką księgę czerwoną. Nigdy wśród wielkich wypadków nie przyszło czytać tak małoduszných dokumentów. Był to smutny obraz. Górowała w nim chęć dogodzenia wszystkim, a widocznem było, że się nikogo nie zadowolniło. Niemoc i bezmyślność wystawione były tam jako rękojmie bezpieczeństwa. Największe miejsce w owych dokumentach a nawet w całej polityce państwa zajmowała osoba kanclerza. Podróże i przejażdżki Beusta podniesione były do wysokości nieznanej dotąd, niemal do znaczenia przymierzy i tryumfów dyplomatycznych, podróże te miały zapewnić byt Austryi, pokój Europy, osłonić niewidzialną tarczą państwo, stawić czoło wrogim zamiarom sąsiadów i stworzyć błogi stan rzeczy; gdy w tem z pogodnego nieba uderzył piorun!... Jakżeż ten piorun przeraził, zdziwił kanclerza, a jakżeż to zdziwienie nieszczęsne, świadczyło o płytkości sądów ludzkich.

W tym zbiorze dyplomatycznych dokumentów austryackich, zwanym księga czerwona, był poufny list

hr. Beusta do posła austryackiego w Londynie, hr. Apponyi, tyczący się stanowiska rządu do Galicyi. List ten wielce był nauczający, nie pozostawiał on najmniejszej wątpliwości, że w Ems była mowa między królem pruskim a cesarzem rosyjskim o Galicyi i zamierzonych dla niej ustępstwach, a co ważniejsza, oto, że ci monarchowie życzyli sobie, aby o tem wiedziano. Anglia radziła ostrożność i przestrzegała przed ustępstwami dla Galicyi, nie chcąc brać odpowiedzialności ani wspólnictwa za możliwe następstwa; hrabia Beust zapatrywał się na sprawę galicyjską w sposób mu zwykły, polegający na dogodzeniu Galicyi ministrem dla spraw galicyjskich, Rosyi i troskliwości lorda Clarendon, odmową rządu krajowego. Niemało jednak musiał zdziwić argument użyty przez Beusta za Galicyą; Galicya zasłużyła na ustępstwa, bo jej posłowie i mowcy popierali zawsze Beusta w Delegacyach. Znowu więc i w sprawie galicyjskiej osoba Beusta przeważne zajmowała miejsce.

Z tego wszystkiego widocznem było, że nie w czerwonej księdze należało szukać wskazówek na przyszłość i odpowiedzi na olbrzymie pytania poruszone, lecz w stanie rzeczy we Francyi i pod Paryżem.

Najsmutniejsza, opłakana rewolucya wybuchła w Paryżu — jej głównym bohaterem był Flourens. W chwili, w której nieszczęsna kapitulacya Metzu okryła nową żałobą Francyę i kiedy Thiers usiłował układami o rozejm wyrwać z toni nieszczęśliwą ojczyznę; demagodzy paryscy, korzystając z nieudanej wycieczki, podburzyli łatwowierny tłum, opanowali gmach miejski i uwięzili członków rządu obrony narodowej. Co głównie uderza w tych wypadkach, oto, niedołęztwo i niemoc z jednej i z drugiej strony, jak gdyby Francya niezdolną już była ani zrobić, ani zwalczyć rewolucyi. Rząd, mający władzę w ręku, dał się uwięzić, zamknąć w gmachu miejskim, jak w szkole studenci, a z drugiej strony zwolennicy kommuny, nie mieli ani dość siły

ani dość stanowczości, aby utworzyć nowy rząd i chwycić za władzę. Była chwila, w której Paryż i Francya były bez rządu. W końcu zdrowy rozum większości, patryotyzm i uczucie zachowawcze gwardyi narodowej, odniosły zwycięstwo nad błędnymi rycerzami powszechnego wywrotu i socyalnej Rzeczypospolitej. Niemniej jednak wrażenie tego wypadku pozostało opłakanem.

Przez ten czas Thiers prowadził z Bismarckiem i główną kwaterą pruską układy o rozejm, wywołane przez mocarstwa neutralne, mianowicie Anglię, i które były niejako dopełnieniem jego posłannictwa u obcych dworów. Te układy spełzły na niczem. Francya chciała rozejmu, Prusy chciały poddania się i pokoju na najtwardszych warunkach. Francya raz jeszcze podniosła do góry czoło i w tak haniebny sposób upaść nie chciała. Dalsza więc walka stała się nieuniknioną. Jakikolwiek miał być skutek tego postanowienia, w obec tylu niecnych kapitulacyj, w obec niezaszczytnego poddania się marszałka Bazaina, było ono pocieszającem i orzeźwiającem. Wiadomem jest, że nawet resztki wielkiego majątku są nie mało znaczące; otóż temi resztkami walczyła Francya, a one świadczyły, jak wielkim był majątek. Opór Paryża coraz był poważniejszym i zaszczytne zajmuje miejsce w historyi. I w innych stronach Francyi walka ożywiła się nieco. Nareszcie armia Loiry przestała być legendą, nareszcie Francuzi pobiciem jenerała Tanna i odebraniem Orleanu, pierwsze odnieśli od początku wojny zwycięztwo. W innych miejscach stoczono także krwawe walki, mniej dla Francyi szczęśliwe, mianowicie pod Amiens, gdzie armia północna pobitą została, lecz świadczące o obudzeniu się ducha i chęci walki.

Mylne i fałszywe telegramy nie tylko o zwycięstwach, ale nawet o walkach Garibaldego i jego towarzyszy, przypomniały światu, że nieszczęcie tej pomocy spadło na Francyę. Głośny partyzant bawił się w kun-

ktatora. Nie równie bardziej zatrważającym symptomatem stanu rzeczy we Francyi była wiadomość, że i Mierosławski znalazł sposobne pole do wprowadzenia w życie ruchomych obozów, któremi niestety tak długo łudził nieszczęśliwą młódź polską wraz z archaniołem kosynierem.

Wysileniom Francyi, poważniejszym od tych, którym przewodniczyć miał Mierosławski, mogli już łatwo stawić czoło Prusacy i chociażby im przyszło ponieść dotkliwe straty, jak to miało miejsce w ostatnich spotkaniach, mianowicie w walkach stoczonych przez ks. Fryderyka Karola, to przecież trudno było przypuścić, aby siłami wojskowemi Francya mogła stawić czoło i zwyciężyć najezdnicze zastępy. Ale z drugiej strony położenie Prusaków nie było wygodne i z każdym dniem stawało się przykszejszem; niewygodnem było położenie tego zwycięzkiego króla, tego wszechwładnego, a szczęśliwego ministra, którzy przykuci byli do murów Paryża i nie mogli pospieszyć na otwarcie najważniejszej, najdonioślejszej sesyi parlamentu w Berlinie. Nie siły francuskie zagrażały zwycięzcom, ale niemoc Francyi. W tej walce siły z niemocą zużyć się mogły największe zasoby. Położenie to streszczało się wciąż głównie w niepodobieństwie dojścia do pokoju i zawarcia go. Zakończenie było naglącem dla Prusaków, głównie dla tego, że obawy i niezadowolnienie z każdym dniem w Niemczech wzrastały i rzucały cień zarówno na laury zdobyte przez króla Wilhelma, jak na sławę hr. Bismarcka.

Podczas, gdy losy świata ważyły się, Hiszpania znalazła nareszcie króla z domu Sabaudzkiego, a wstąpienie na tron Ferdynanda Katolickiego, ks. d' Aosty, na tron, który się stał był pozorem toczącej się wojny, było zawodem dla rzeczypospolitej nie tylko francuskiej, ale powszechnej.

W Austryi po siedmiu miesiącach uczciwego żywota, podało się do dymisyi ministeryum hr. Potockiego, ministeryum pojednania i umiarkowania, zrodzone wystąpieniem delegacyi polskiej z Rady Państwa. Uchwalenie adresów nieprzychylnych ministeryum w dwóch izbach, i kredytu na dwa tylko miesiące, oto wypadki, w skutku których gabinet podać się musiał do dymisyi. Hr. Potocki dwoma tylko drogami dojść mógł do celu i ustalić swój byt, albo w obec wyjątkowych w świecie wypadków, wznosząc się nad konstytucyę i parlamentaryzm, albo wywierając stanowczy wpływ na wybory. Ani jednego ani drugiego środka nie chwycił się, bo nie mógł, a choćby był mógł, nie byłby chciał, nieuniknienie zatem upaść musiał; upadł, nie zostawiwszy po sobie nic, prócz wspomnień, dobrych chęci, nieprzełamawszy zaczarowanego koła, wewnętrznych spraw austryackich. Gabinet hr. Potockiego nie zaważył w losach Austryi, ani Austrya w losach świata.

IV.

Po dniach hańby i nieznanych dotąd upokorzeń, przyszła nareszcie dla zgnębionej Francyi, chwila duchowego odwetu, który dał znowu poznać światu, jak wielkie, jak nieprzebrane są jej zasoby. Cokolwiek się stać miało, cześć Francyi była uratowana, a kto nie mierzy spraw ludzkich jedynie kwadratowemi milami, lecz wie, że siła ducha, moc męskich uczuć, zapewniają także nieraz lub ratują potęgę i byt państw i narodów, ten zrozumie, jakiej doniosłości była dla Francyi obrona i walka, które zaszczytne miejsce zajęły w jej dziejach. Ponieść klęskę, stracić armie a nawet prowincye, może największy naród, najpotężniejsze państwo, takie straty nie zamykają jeszcze drogi do odwetu i do przyszłości; lecz upadek na duchu, wyzucie się z wzniosłych, uszla-

chetniających istotę ludzką uczuć, zaparcie się patryotyzmu pod ogromem klęsk, a w skutku tego pokorne ugięcie karku przed czynem dokonanym, wyrzeczenie się wszelkiego oporu, lub uniemożebnienie go wewnętrznemi rozterkami, oto klęski klęsk, oto upadek, z którego się nie powstaje, oto znamiona wyrodzenia i smutne, oznaki przyszłości narodu. Była chwila, w której podobny Francyi upadek przewidywać można było; obawy te usunięte mi zostały. Francya mogła być ostatecznie zwyciężoną i pokonaną, ale pomimo to, pozostanie wielkim narodem z głosem w sprawach tego świata, bo Francya dowiodła, że nie przestała być Francyą, która nigdy nie zaparła się patryotyzmu, która właśnie wśród klęsk najwięcej okazywała żywotności. Taki był skutek podziwienia godnej walki, którą w grudniu 1870 r. prowadziła Francya z armiami niemieckiemi, Dziwne to zjawisko, powtarzające się nieraz w dziejach Francyi, że właśnie w chwili największych klęsk, w której ludzie rozpaczali o jej losie, a i Bóg zdawał się ją opuszczać, że właśnie w ostatniej, w najostateczniejszej chwili, umiała się z upadku podnosić, a Bóg wyraźnie podawał jej rękę nad przepaścią. Niczem innem była Dziewica Orleańska, jak tylko tem w ostatniej chwili opatrznościowem zbawieniem, zarazem podniesieniem się duchowem narodu; to samo i w innych warunkach widzimy, po wielkiej pod Pawią klęsce i uwięzieniu Franciszka I.; przy końcu wielkiego panowania Ludwika XIV., jego świetność zaczęła blednieć, klęski po klęskach spadały na Francyą, koalicya zwycięzka wkraczała na jej terytoryum, a nawet, jak opowiada Saint-Simon, dwór myślał już o opuszczeniu Wersalu, zagrożonego nieprzyjacielskiemi podjazdami, gdy w tem niespodziewane zwycięztwa marszałka Villars, wstrzymały najazd i przechyliły szalę na stronę Francyi; nareszcie rewolucya 1789 r., wywoławszy koalicyę wśród najopłakańszych okoliczności, pokonała ją. Pod koniec 1870 r.,

równie świetnego jak tamte odwetu Francyi, nie można było spodziewać się; lecz zdobyła się na duchowy nad samą sobą odwet, i ten, chociaż nie miał znaczenia wygranej, ma znaczenie dziejowe.

A teraz rzućmy okiem na te wypadki.

Przedewszystkiem godną jest podziwienia, wytrwała, roztropna obrona Paryża, kierowana przez jenerała Trochu. Paryż poświęceniem i patryotyzmem stanął na wysokości okoliczności i dowiódł, że nie tylko był Babilonem, ale że zasługiwał na wyjątkowe stanowisko, które mu świat przyznawał. Uważano słusznie Paryż za główne ognisko wywrotów, utrzymywano, że ludność jego robotnicza wre najgorszemi namiętnościami, że gotowa każdej chwili rzucić się na bogatszych i dokonać społecznego wywrotu; mniemano, że trzeba silnego rządu, licznej armii, liczniejszej jeszcze policyi, aby trzymać na wodzy lud paryzki, a w tem ogólnem uczuciu przez długi czas czerpały rządy napoleońskie swoją siłę i powód bytu. Naraz łudzić się można było, że ten sąd stał się mylnym, bo ten lud zostawiony sam sobie, okazał się pod grozą obcego najazdu, szlachetnym, karnym, patryotycznym; zachcianki swawoli i wywrotu poskromione zostały przez większość ludności paryskiej, a jenerał Trochu umiał zdobyć sobie w stolicy powagę, która dostateczną była, aby utrzymać porządek i łączyła wszystkich w jednej wielkiej myśli obrony narodowej. Bez szemrania, z prawdziwem poświęceniem, nawet z właściwą im a uroczą wesołością, Paryżanie znosili cierpienia i trudy groźnego oblężenia. Poczucie spełnionego obowiązku dodawało im otuchy i swobody; wykłady publiczne licznych ściągały słuchaczy, a wśród huku dział Ludwik Wołowski miewał w obec tłumnie zebranej publiczności zwykłe swoje odczyty w Konserwatoryum; teatra były uczęszczane, i ich publiczność w dniach wycieczek walczyła za wałami, jak wojsko. Ta

swoboda, te zwykłe zajęcia i rozrywki wśród tak strasznych wypadków, były godne podziwienia i świadczyły o niewyczerpanej sile ducha francuskiego; nawet potrawy ze szczurów i mięsa końskiego umieli Paryżanie przyprawiać dowcipem i wesołością. W obec tych znamiennych rysów widzimy, że Paryż i jego dowódzca niczego nie zaniedbali, aby zapewnić obronę stolicy; forty z zapobiegliwością niezwykłą zostały uzbrojone; gwardya ruchoma, gwardya narodowa, cała niemal ludność, ćwiczyła się wytrwale z dzielną ochotą, tak, iż zaszczytnie walczyć mogła obok wojska z potężnymi zastępami niemieckimi. Roztropny zarząd wspomagany poświęceniem ludności, umiał zaoszczędzić żywności, tak, iż o ogłodzeniu nie było jeszcze mowy. Zręcznemi nareszcie obrotami, armia paryska nużyła i niepokoiła nieprzyjaciela, a w dwóch krwawych i pełnych chwały wycieczkach, niemałe, dotkliwe zadała mu ciosy. Są ludzie, są nazwiska, które obroną Paryża pozyskały sobie szczytne w historyi miejsce; jenerał Trochu odznaczał się wytrwałością, zacnością i roztropnym patryotyzmem, a jego odpowiedź na list hr. Moltke, zwiastujący przegranę armii Loary, godna jest Rzymianina: obok niego, dzielnymi, pełnymi zapału wodzami okazali się jenerałowie Ducrot i Vinoi, którzy kierowali krwawemi wycieczkami w dniach 2-go i 22-go grudnia. Przykład tych dzielnych obrońców sławy narodowej, wywierał zbawczy wpływ, pociągał innych do spełnienia obowiązku; młodzież, starszyzna, mieszczanie, szlachta, potomkowie najznakomitszych rodzin, walczyli i ginęli w szeregach gwardyi narodowej.

Wszystko to było pocieszające, oczyszczające Francyę. Siłą ducha i roztropnie kierowaną obroną, Paryż zajął wielkie stanowisko w wypadkach.

Zapisać należy szlachetny czyn. Rząd francuski wśród trudności położenia i grozy oblężenia wypłacił wdowi grosz, polskiej szkole Batignoles. Znaczenie tego

czynu wymownie ocenił w liście do pełnomocnika francuskiego w Wiedniu ks. Władysław Czartoryski.

Jeżeli jednak tak pod względem duchowym jak i wojskowym, Paryż umiał stanąć na wysokości położenia, to ogromnemu zadaniu zbawienia Francyi i pokonania jej wrogów, sam podołać nie mógł. Ufortyfikowanie Paryża, które okazało się zbawiennem dziełem, przedsięwzięte zostało w tej jedynie myśli, że w razie klęsk i wkroczenia nieprzyjaciela aż pod mury stolicy, dłuższy jej opór dozwoli Francyi powstać, zużytkować jej nieprzebrane zasoby i pospieszyć na pomoc Paryża, tak, iżby nieprzyjaciel oblegający go, wzięty został we dwa ognie. Bez odsieczy wzięcie Paryża było rzeczą czasu. Oczywiście więc Paryż oglądać się musiał i oglądał się na departamenta, a Francya wszelkie powinna była czynić wysilenia, aby się na odsiecz zdobyć; dopiero to podwójne działanie mogło mieć zbawienne odwetu skutki; do takiego działania wielce użytecznem a nawet koniecznem było znoszenie się Paryża z Francyą; i tu znowu byliśmy świadkami niewidzianego dotąd zjawiska, bo miasta szczelnie obsaczonego, które przywróciło swoje związki nie tylko z krajem, ale ze światem całym; służba balonowa, która w tych czasach tak wielkiego nabrała znaczenia, oddała przysługi i ma zapewnione miejsce w dziejach tego tak obfitego w nadzwyczajne wypadki okresu.

Tu wypada się chwilę zastanowić nad ruchem i działaniami wojennemi w departamentach.

Otóż i tam widocznie, zapał, poświęcenie, wzmagały się z każdym dniem i objawiały się w czynach i nowo powstałych armiach. Że Francya wystawiła te armie, dziwić się nie należy, nawet mogła była wystawić i lepsze i lepiej dowodzone; jednak po Sedanie i Metzu, te usiłowania, to obudzenie się ducha patryotycznego miało nie małe znaczenie; czuć było, że

te nowe zastępy acz nie zwycięzkie jeszcze, to Francya powstająca i chcąca zmazać ohydę i hańbę, pierwszych miesięcy tej nieszczęsnej wojny. Jeżeli w Paryżu jenerał Trochu coraz wybitniejsze zajmował stanowisko, to znowu w departamentach, najwięcej patryotycznej ruchliwości okazał Gambetta; znać go było, a to już wiele. Nie mógł się pozbyć skłonności i nawyknień adwokackich, wytaczał procesa jenerałom, spierał się z dowódzcami i tem nieraz odsłaniał słabe strony położenia, wywołując niepotrzebne zgorszenie jak dymisyę i list hr. Keratry; przypominał, że jest przedewszystkiem członkiem stronnictwa, działał jednak niezaprzeczenie w duchu i kierunku obrony narodowej; czuwał nad armią Loary; troszczył się o armię północną, nie szczędził trudów, aby być wszędzie, aby o wszystkiem naocznie się przekonać; nieraz się kłócił i łajał raczej niż rozkazywał, lecz przedewszystkiem nie chciał słyszeć o zakończeniu walki, o poddaniu się; narażał się na wpadnięcie w ręce Prusaków a potem opisywał te zajmujące i gorączkowe zdarzenia. W ówczesnych jednak okolicznościach ministeryum wojny w rękach adwokata, było smutnem zjawiskiem; potrzeba było wojskowego, z wyższemi zdolnościami, zarządcy doświadczonego i strategika, któryby mógł objąć całe olbrzymie położenie i skierować skutecznie wszystkie szlachetne usiłowania oraz wielkie jeszcze zasoby Francyi.

Usiłowania departamentów, stworzyły dwie nowe armie, które wstrzymały powodzenia wojsk niemieckich a trzecia pod dowództwem jenerała Bourbaki, spieszyła na pomoc ochotnikom i nieczynnemu Garibaldiemu.

Działania tych nowo powstałych armii kierowane były jedną myślą, pospieszenia na odsiecz Paryża i wzięcia we dwa ognie nieprzyjaciela. Przedsięwzięcie w danych okolicznościach, zbyt trudne, a jednak musiało być celem. Nie udało się to. Armia

Loary, która odniosła była zwycięstwo nad korpusem jenerała Tana, stoczywszy krwawe, zaszczytne walki, musiała opuścić Orlean i cofnąć się za Loarę. W skutku tego, siedziba delegacyi rządu, zagrożoną została i ta, zmuszoną była przenieść się do Bordeaux. Jednocześnie przedsięwzięte wycieczki z Paryża zadawszy dotkliwe ciosy Niemcom, pozostały pięknym czynem wojennym, który podniósł ducha we Francyi i w Paryżu a zaniepokoił nieco w Niemczech. Armia północna, która także zbliżała się ku Paryżowi, odpartą została przez jenerała Manteuffla, który aż pod Havre podstąpił. Rzeczywistego, namacalnego zwycięstwa nigdzie nie odnieśli Francuzi, lecz te wciąż ponawiane walki, to zajęcie sił nieprzyjacielskich, które z pod Metz spieszyły, miało niezaprzeczoną wartość. Armie francuskie, te nowo stwarzane armie acz pobite nigdzie nie zostały rozbite, żadna nie poddała się, jak stare i doświadczone hufce pod Sedanem i w Metz. Przeciwnie acz pobita armia Loary po oddaniu Orleanu, zaczepiła znów kilka razy wojska ks. Fryderyka Karola i ks. meklemburskiego a jej dowódzca jenerał Chancy trzymał w szachu te najezdnicze zastępy. Na północy także jenerał Faidherbe, stoczył z jenerałem Manteufflem pod Amiens całodzienną krwawą walkę i jeżeli nie zwyciężył, to przecież stanowczej nie poniósł klęski, tak, iżby jenerał Manteuffel mógł zupełnie być z tej strony bezpiecznym. Garibaldi acz nie zdobył sobie nowych laurów, podobnych do tych, któremi tak łatwo uwieńczał się w Sycylii i Neapolu, zajmował jednak jenerała Werdera a po nadejściu armii jenerała Bourbaki, postać rzeczy mogła się tam spiesznie zmienić. Nareszcie armia paryska nowemi wycieczkami trapiła nieprzyjaciela. Wzięcie przez Niemców Mont Avron, który nie jest fortem lecz oszańcowanem miejscem, mogło wzniecać obawy, szczególniej jeżeli niemieckie dowództwo zamierzałoby bombardować ztamtąd zaludnione przedmieścia Paryża.

Wojna, która zdawała się zmierzać ku końcowi, przedłużała się i nikt nie śmiał przewidywać i odgadywać jej końca. Że niemieckie wojska, natrafiły na niespodziewany opór, który już poniekąd złamał ich butę, acz wzmógł ich okrucieństwa i bezwzględność, że opór tak długi Paryża stał się przyczyną rozczarowania dla dowódzców niemieckich, może i dla hr. Bismarcka; że Francya podniosła się, że sprostała zadaniu wielkiego narodu i wielkiego państwa, że nakazywała szacunek wrogom, którzy skorzy już byli pomiatać nią, i że warunki polityczne wojny, zmieniły się widocznie i z każdym dniem zmieniały się na korzyść Francyi to nieulegało wątpliwości. Francya dowiodła, że trzeba jeszcze się z nią rachować, i że tak przy zawarciu pokoju, jak po jego zawarciu, ani pomijać, ani zapomnąć o niej nie będzie można. Francya odzyskała część dobrej sławy zaprzepaszczonej pod Sedanem, i to było najważniejszym skutkiem jej wysileń. Stracić ona mogła prowincye i miliardy, ale odzyskała była stanowisko między narodami.

Aby się przekonać o ważności oporu Francyi i Paryża, rozważmy położenie wojsk niemieckich i przyszłego cesarza niemieckiego.

Nie ulega wątpliwości, że dowódzcy niemieccy nie spdziewali się napotkać po Sedanie, tyle jeszcze trudności, tyle przeszkód, że nie przypuszczali, iż wojna rozpoczęta świetnie w 1870 r. przedłuży się do 1871 r. Naraz ustały olśniewające zwycięstwa, szybkie powodzenia; nie było przez chwilę z kim się bić, ale nie było też z kim zawierać pokoju, nie można było ani odnosić nowych zwycięstw ani zebrać owoców z odniesionych; ale bo też stopniowo zmieniała się treść wojny, nie dla tego jedynie, że się zmieniały jej znamiona, ale dla tego także, że się przeistaczał jej cel. W początkach szło o stawienie czoła, o pokonanie armii francuskiej i wywalczenie korzystnego pokoju, teraz szło o coś trudniejszego, bo o pokonanie o zgniecenie i ubezwładnie-

nie Francyi, trzydziesto milionowego narodu; co innego jest pobić Francyę, co innego ją podbić, a jednak obecnie o to ostatecznie szło i bez podbicia Francyi nie można było myśleć nie tylko o wymarzonym pokoju, ale nawet o bezpiecznym odwrocie; środki znakomicie nagromadzone i obmyślane przez Prusy były jak się okazało wystarczającemi, aby pobić Francyę; lecz mogły być niedostatecznemi, aby ją podbić. Tu już sama istota rzeczy stawiała przeszkody, a jak w pewnych chorobach, wystarczało dopomódz naturze, aby wywołać przesilenie; postawa Francyi poczęła przychodzić w pomoc naturze, uniemożebniać, ubezwładniać postępy wojsk niemieckich. Głównemi czynnikami były przestrzeń i czas, aby je zwyciężyć nie wystarczały krew i żelazo; doraźnych, piorunujących nad niemi zwycięstw za pomocą obrachowań strategicznych nie było łatwo odnosić; tymczasem zaś przestrzeń i czas, zadawały ciosy armiom niemieckim; liczba ich w skutku chorób, znużenia, i niepogody nieco się zmniejszyła; duch ich i zapał słabł w walce z niewidomemi przeciwnikami; odnosiły one niemal w każdem spotkaniu korzyści, lecz zwycięstwa stanowczego od Sedanu nieodniosły. Czyż takie położenie rzeczy, przedłużając się nie mogło mieć zgubnych następstw? Ileż to razy w historyi widzimy potężne armie, zniszczone, wytępione nie przez przeciwników, ale właśnie przez te same czynniki, które działać poczynały przeciw wojskom niemieckim. Odezwa króla do armii, głosy urzędowych dzienników pruskich, telegramy z głównej kwatery, niegdyś tak dokładne i wiarogodne, były teraz kłamliwe, świadczyły, że dowódzcy niemieccy, nie przewidywali końca wojny; kto zaś nie może oznaczyć końca wojny, znajduje się w tem samem położeniu, co ten, który straciwszy nić przewodnią w labiryncie nie wie gdzie jest z niego wyjście. Powołanie nowych rezerw, pomimo wielkiego niezadowolenia w Niemczech, te nowe wysi-

lenia, najwymowniej świadczyły, że dowódzcy czuli grozę położenia. Poczuli oni nareszcie z kim mają do czynienia i przekonali się zapewne, że łatwiej jest wziąć do niewoli nawet trzy kroć sto tysięcy wojska, jak podbić Francyę.

Tak więc armie niemieckie stały nie w obec zwycięzkich lub groźnych i potężnych zastępów francuskich, ale raczej zdawało się, że dotarły do dziejowych niepodobieństw, do zadania, które coraz więcej podobnem się stawało do kwadratury koła, *perpetuum mobile*, lub wewnętrznego urządzenia Austryi.

Jeżeli militarne położenie zwycięzkich wojsk niemieckich narażonem było na niebezpieczeństwa, tem większe, że nie dające się dokładnie określić, to równie niewdzięcznem stawało się zadanie polityczne, władców świeżo zjednoczonych Niemiec. Kiedy cesarz Napoleon rozpoczął wojnę, przedsięwzięcie jego tem grzeszyło, iż cel nie był dokładnie określony; teraz już, to samo powiedzieć można było o Niemcach. Posiadanie strategicznych granic, Alzacyi i Lotaryngii, które miało być ostatecznym celem wojny i owocem tylu świetnych zwycięstw, nastąpiło po Sedanie i Metzu. Obecne trudy, przyszłe nawet zwycięstwa i powodzenia, przysporzyć nie mogły korzyści Niemcom; ani ich wola, ani ich żądza nie sięgały dalej, w dalszej więc walce stracić lecz zyskać nie mogli. Za czemże więc ubiegał się przyszły cesarz Niemiec, za czem hr. Bismarck? Co za igraszka losu! Państwo, które pomiatało traktatami, które niczyjego prawa nie szanowało, mąż stanu, który siłę stawiał przed prawem, teraz gonił ostatecznie i jedynie za prawnem potwierdzeniem, za uprawnieniem dokonanych czynów i używał w tym celu sił potężnego państwa i wielkiego narodu; król Wilhelm i Bismarck poświęcali krocie ludzi i krocie pieniędzy, aby zdobyć traktat, aby wywalczyć podpis; traktat podobny do wszystkich, które oni podeptali; podpis, który nie mógł

więcej obowiązywać, jak te wszystkie, wbrew którym Bismarck budował swoje dzieło, a król Wilhelm miał przywdziać koronę cesarską. Tak jest, skoroby się znalazł rząd we Francyi, któryby podpisał pokój odstępujący Alzacyę i Lotaryngię, wojna zostałaby skończoną; celem więc wojny było prawo. Lecz czyż właśnie obyczaj Bismarcka nie przemienił ten cel w marę, w zwodniczą marę!? A jednak za tą marą gonić musiał dalej, bez wytchnienia i pomimo widocznego znużenia. Władcy Niemiec na tej drodze po której stąpali, idąc w ślad za tą marą cofnąć się nie mogli.

Były zwycięstwa, zwycięzców nie było jeszcze.

Był jednak dziejowej i politycznej doniosłości skutek nieskończonej jeszcze wojny już osiągnięty, który był wielkim jej celem, jedność niemiecka. Polityczna jedność Niemiec, nie zawisła już była od losów wojny; ostateczne zwycięztwo musiało niesłychanym blaskiem ją okryć i uczynić zjednoczone Niemcy panami środkowej Europy; połowiczny pokój nie mógł rozerwać jedności. Ta część dzieła, nie była jedynie oparta na sile materyalnej, na nię składały się czynniki wyższego rzędu; patryotyzm, poznanie wspólności interesów politycznych, myśl jedności, która tak długo wyrabiała się w Niemczech duchowo nim przybrała ciało. Tu i w tym kierunku Niemcy dokonywali wielkiego dzieła, wielkiego przeobrażenia i godni byli podziwienia i uznania; na tym gruncie działanie Bismarcka było zaszczytne i dziejowe. To też na nim stawiał kroki pewne, postępowanie jego nacechowane było rozumem, roztropnością, umiarkowaniem i dwóch było Bismarcków: jeden który zdążał w Niemczech do uprawnionego celu, który z wyższością prawdziwego męża stanu, zrozumiał potrzeby i dążenia swojego czasu i swojego narodu; drugi, który we Francyi powalonej i zwyciężonej, powodował się bezwzględnością i wstępował na niebezpieczną drogę, na której tylu bohaterów i wielkich ludzi zna-

lazło zawody i niedobiegłszy do kresu upadło. Na tę drogę wpycha śmiertelników duma, lub, jak tutaj, konieczność osiągnięcia skutków odpowiednich ofiarom i zwycięstwom.

Bismarck od października przygotowywał ostateczne dokonanie jedności niemieckiej. W głównej kwaterze w Wersalu toczyły się odnośne układy z pełnomocnikami południowych państw niemieckich. Przyszło do zgody na podstawie ustawy Północnego Związku Niemieckiego. Wreszcie za sprawą Bismarcka król bawarski, Ludwik II., w piśmie do Wilhelma I. wniósł wznowienie cesarstwa i nazwy cesarza. Już 11. grudnia deputacya parlamentu Północnego Związku wręczała w Wersalu królowi pruskiemu przystąpienie i prośbę, aby stało się zadość życzeniu króla bawarskiego i otrzymała w odpowiedzi przyzwolenie.

Na gruncie jedności niemieckiej Bismarck był świetny, zręczny, przenikliwy. Spełniał swój zamiar z matematyczną dokładnością; Północny Związek nie przyłączał do siebie niemieckich krajów południowych, one żądały przystąpienia do niego; z wyższością poglądu Bismarck nie targuje się zbytecznie o ustępstwa, nie pała żądzą unifikacyi, zostawia jednym krajom więcej, drugim mniej samodzielności, czując wybornie, że tu idzie w tej chwili przedewszystkiem o jedność, o nadanie ciała, wielkiej myśli narodowej. Resztę czas dokona. A jak misternie uwieńcza on budowę; co za znajomość ludzi, w wyborze marzyciela króla bawarskiego Ludwika za narzędzie do włożenia na głowę króla pruskiego korony cesarskiej. Wilhelm I. bierze z rąk króla Ludwika bawarskiego koronę cesarską, jak przed kilku laty w Królewcu wziął „ze stołu pańskiego“ królewską! Wszystko po mistrzowsku jest ułożone, lękliwe sumienie Wilhelma I. uspokojone, inni panujący skazani na milczące potakiwanie, ludy niemieckie olśnione i rozczulone wielkodusznością panu-

jących, prawo boże i dążenia narodowe pogodzone, a Hohencolerna i Bismarcka Prusy są panami w Niemczech. Jedność niemiecka i cesarstwo niemieckie są rzeczywistością.

Jeżeli co psuło w Niemczech wrażenie dokonywującej się jedności, to przedłużająca się wojna we Francyi. Dokonanie tak doniosłego dzieła byłoby dla każdego narodu uroczystością, a tu kraj okryty żałobą, najdzielniejsi jego synowie, dowódcy, król na obcej ziemi, umysły zaniepokojone, rodziny w smutku pogrążone, lub drżące o życie najdroższych istot, słowem cały naród nie usposobiony do wesela i przywdziania świątecznych szat. Przyszły cesarz niemiecki, nie na niemieckiej ziemi ale na obcej jednoczył Niemcy; w Wersalu w podwojach Ludwika XIV. wysłannicy narodu składali u stóp jego koronę cesarską i zapraszali do dokończenia dzieła narodowego dowódcę zbrojnych hufców.

Wszystko to dziwnem, niezwykłem było, a któż mógł przewidzieć, że Wersal stanie się powtórnie w historyi świata głośnym, z tego właśnie, co się w jego murach spełniało?

Odezwał się tam głos z ziemi polskiej, głos błagalny, zwrócony do monarchy protestanckiego za prawami głowy kościoła katolickiego. Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański ks. Ledóchowski, wręczył w Wersalu królowi pruskiemu w imieniu wiernych swej dyecezyi adres za pogwałconemi prawami Ojca świętego. Ileż w powyższych wyrazach znajduje się sprzeczności! Nagromadzić je mogły tylko tak niesłychane i niepojęte wypadki jak te, o których mówiło się. Zaprzeczać biskupowi prawa przemawiania w rzeczach tyczących się kościoła do monarchy, byłoby nierozumieć jego obowiązków. W obec gwałtu popełnionego w Rzymie, czyż biskupi mogli milczeć, czyż nie było ich powinnością podnieść głos za sprawiedliwością, czyż szacunek dla siebie samych, nie nakazywał im dołożyć wszelkich starań, aby

obudzić sumienie ludów i monarchów i skłonić ich do zabezpieczenia najważniejszych, dóbr społeczeństwa katolickiego, bo niezawisłości i niepodległości jego głowy? Obowiązek ich był tu zbyt jasny i nie tym, którzy głos podnosili, tym którzy milczeli dziwić się należy. Arcybiskup Ledóchowski, chcąc spełnić ten obowiązek, zmuszony był odezwać się do króla pruskiego, do monarchy protestanckiego; odezwał się w chwili, w której król pruski stawał się cesarzem niemieckim, więc monarchą licznego społeczeństwa katolickiego; mogło to posłużyć do przypomnienia mu nowych, ztąd powstałych obowiązków. Krok więc arcybiskupa Ledóchowskiego był uprawniony, bez względu na jego skuteczność. W tej chwili głos kapłana przemawiającego do uwieńczonego zwycięstwami monarchy, mógł był mieć niemałe znaczenie i doniosłość; dość było na to, aby tchnął prawdą i powagą, aby przemówił biskup i sługa boży. Adres wręczony w Wersalu nie odpowiadał ani ważności okoliczności, ani wielkości sprawy w obronie której przemawiał. Mówić do króla pruskiego, do króla, którego pierwszym doradcą był Bismarck: „wzniosłe poczucie prawa, którem Wasza Królewska Mość jesteś ożywionym“, było albo szyderstwem, albo sprzecznem ze sumieniem publicznem. Czyż historya lat ostatnich nie świadczyła, że właśnie polityka króla pruskiego, pomiatając prawem w imieniu którego arcybiskup gnieźnieński przemawiał, uczyniła złudnemi i wrzekomemi te rękojmie, o które upominał się on dla Ojca świętego. Można było odezwać się do interesów, do obowiązków, do potęgi, nigdy do uczucia prawa, króla pruskiego. Czyż nie wiadomem było, że szedł on na wyścigi z królem włoskim? Katolik i Polak odzywając się w sprawie Kościoła do monarchy protestanckiego, mógł był i powinien był dobrać donioślejszych, zgodniejszych z prawdą wyrazów. Wypadki, zwycięstwa pruskie, zabory włoskie, łamanie traktatów, wszystko

to dowodziło, że ani zbawienia, ani bezpieczeństwa nie znajdzie sprawa Ojca św. w sile materyalnej; że, aby mu przywrócić i zapewnić niezbędną rękojmię, potrzeba duchowe do tego poruszyć czynniki, sumienie ludów i monarchów! Tego, co się stało łupem bezwzględności siły, nie mogła ratować siła materyalna, ani korzenie się przed nią i wpieranie w nią, że jest ożywiona uczuciem prawa; raczej godziło się jej przypomnieć, że stanie się bezsilną, jeżeli nie uzna potęgi duchowej. Opatrzność zezwoliła na to, że świat cały uznawał moc ramienia cesarza niemieckiego; ale powagi jego słowa, dotąd nie uznawał, właśnie dla tego, że mu brakło tego namaszczenia, które dać może tylko uczucie prawa i poczucie sprawiedliwości. Któż więc mógł nie wziąć odezwania się w imieniu prawa, do króla pruskiego, za szyderstwo lub za wstrząśnienie i zachwianie pojęć o prawie. Pomiatanie choćby tylko w słowach prawem, szkodzić musiało sprawie, która jedynie na prawie jest oparta.

Podczas, gdy Bismarck stwarzał w Niemczech nowy porządek rzeczy i zmieniał ten, który od traktatu pragskiego istniał; nie zapomniał on o Austryi. W nocie przesłanej z Meaux, odezwał się do kanclerza austryacko-węgierskiego z zamiarem i życzeniem zawiązania z Austryą przyjaznych stosunków.

Wtedy więc już powziął myśl związku, który stać się miał podstawą jego polityki po zwycięstwach i po dokonaniu drugiego swojego dzieła.

Nie łatwo było uwierzyć w rzetelność tego zwrotu. Nie można było zapominać, że nieraz w przededniu najbezwzględniejszych czynów, kiedy Bismarck przygotowywał dla Austryi, najdotkliwsze ciosy, słowa jego były miodowe; stosunki Prus z Austryą najserdeczniejsze.

Prawda, że położenie było teraz zupełnie zmienione. Zjednoczonym Niemcom, dziełu Bismarcka, Austrya nie była już niebezpieczną; wypadki przekonały

o tem. Wielka polityka wskazywała Bismarckowi potrzebę, konieczność nawet sojuszu z monarchią austro-węgierską. Był bowiem inny, groźny sąsiad, którego wielkoświatowe żądze, apostolstwo i polityka, sięgały w środek ziem niemieckich. Obawy przed Rosyą, śmiertelne wtedy dla Austryi, nie obojętne dla zjednoczonych Niemiec, spajały obydwa mocarstwa. Szło o to, czy w myśli Bismarcka ku doniosłym celom, czy też tylko dla bezpieczeństwa; czy dla wytworzenia, gdzieindziej jak w Niemczech, przyszłości dla Austryi, czy dla zapewnienia teraźniejszości Niemiec. — Na to pytanie, nie było odpowiedzi, dopóki trwała wojna niemiecko-francuska. Ale Beust był w tem położeniu, że wbrew swej przeszłości, musiał przyjąć z najlepszą, najżywszą nawet chęcią oświadczenia Bismarcka i odpowiedzią swoją położyć podwaliny, pod przymierze, które nie on jednak miał zawrzeć.

Rosya, jak wiemy, wypowiedziała była traktat paryski, oświadczając, iż ograniczenie jej sił morskich na Morzu Czarnem nie obowiązuje jej więcej. Wywołało to było bezsilne oburzenie. Postanowienie Rosyi było jednak stanowczem, a żadne mocarstwo nie mogło, żadne nie myślało sprzeciwić się jej. Rosya zbroiła się pospiesznie. Bismarck wniósł zwołanie konferencyi mocarstw i państw, podpisanych na traktacie paryskim w Londynie. Rosya pewna swojego, zgodziła się, i konferencya otwartą została w styczniu 1871 r.

Skończony rok 1870, podniósłszy doniosłe zadania, przekazywał przyszłemu i dalekim latom: dokończone dzieło, drugie dzieło Bismarcka, jedność niemiecką i cesarstwo niemieckie; dogmat nieomylności Ojca świętego; gwałt zadany władzy świeckiej papieża; stolicę świata katolickiego Rzym stolicą Włoch; pogrom Francyi; niemoc Austryi; wychylającą się sprawę słowiańską, rosyjsko-europejską.

V.

Trzeba było jeszcze uwidocznić na zewnątrz, co już dokonanem było. Dnia 18. stycznia 1871 r. w wielkiej komnacie luster w wersalskim zamku Ludwika XIV., król pruski, Wilhelm I., otoczony książętami niemieckimi i dygnitarzami wojskowymi, mając Bismarcka przy boku, odczytał odezwę, zwiastującą ogłoszenie cesarstwa niemieckiego i przyjęcie nazwy cesarza. Odtąd król pruski był zarazem cesarzem niemieckim, zgodnie z życzeniem i zdaniem Bismarcka, wbrew woli króla, który chciał przyjąć nazwę cesarza Niemiec. Nowy cesarz tak żywo odczuł narzucone mu ustępstwo, iż po skończonej uroczystości ani powitał Bismarcka, ani odezwał się do niego.

Tak przyszło do skutku drugie dzieło Bismarcka cesarstwo niemieckie, które zarazem było dokończeniem pierwszego jego dzieła: *Północnego Związku Niemieckiego.*

Cztery miesiące bronił Paryż dobrej sławy imienia francuskiego, cztery miesiące trzymał przykute przy swoich murach i fortach zwycięzkie hufce z pod Wört i Sedanu, trzymał przykutego, wczorajszego króla pruskiego, dzisiejszego cesarza niemieckiego i owego męża stanu, w którego rękach były losy Europy; cztery miesiące czasu dał Paryż Francyi i Europie do ocknienia się; cztery miesiące czekał Paryż na odsiecz. Widocznem, jasnem było, że bez odsieczy, opór Paryża nie mógł mieć skutecznych dla Francyi następstw. Pierwszy miesiąc 1871 r. stanowczo przekonał, że zbawczej odsieczy Paryż nie mógł się spodziewać. Pobite nowo utworzone armie francuskie, w krwawych ale zaszczytnych walkach, zrobiły ostatnie wielkie wysilenia, które na całej przestrzeni pozostały bezowocnemi. Armia loarska pod dowództwem jenerała Chancy stoczywszy szereg walk pod Le Mans, musiała ustąpić placu przed

licznemi, wyćwiczonemi zastępami ks. Fryderyka Karola i ks. Meklemburgskiego, nawet poszła w rozsypkę, tak, iż od zajęcia przez Prusaków Le Mans nie mogła już być braną w rachubę. Na północy jenerał Feidherb stoczył nie rozstrzygniętą dwunasto godzinną bitwę, i nie rozbity, zagrażał i zajmował dawną armię jenerała Manteuffla a teraz Goebena. Po kilkunastu dniach wytchnienia, przyszło nareszcie do stanowczej, krwawej bitwy pod Saint-Quentin, w której świeże zastępy francuskie poniosły klęskę, a po której armia Faidherba istniała już tylko w doniesieniach z Bordeaux. Nareszcie pomimo rozsiewanych pomyślnych wiadomości o bohaterskich czynach Garibaldiego i jego rodziny i tu walka była stanowczo dla Francyi przegraną. Celem działania w tej okolicy Garibaldiego była odsiecz Belfortu, którego obrona wytrwała i dzielna pozostanie pamiętną w dziejach tej wojny. Jedyna to twierdza francuska, która doczekała się końca wojny, nie przeszedłszy przez upokorzenie poddania się. Działania zmierzające do odsieczy Belfortu, miały doniosłość strategiczną; szło tu bowiem o dostanie się do linii operacyjnej pruskiej i o odcięcie armii najezdniczych od ich podstawy. Gdyby ten cel został był dopiętym, trudno powiedzieć, jaki obrót byłaby wzięła ostatecznie wojna. Inaczej jednak chciały srogie dla Francyi losy. Ani Garibaldi ani Bourbaki nie zdołali zmusić Niemców do przerwania oblężenia Belfortu, Werdera nawet nie napoczęli i ten wzmocniony w ostatnich dniach świeżemi posiłkami, rozpoczął zaczepne działania, zagrażał odwrotowi tak Garibaldiego jak i Bourbakiego. W końcu Manteuffel i Werder wepchnęli armię Bourbakiego liczącą 83.000 ludzi do Szwajcaryi, gdzie rozbrojoną została.

Znikała już była dla Paryża wszelka nadzieja odsieczy, dla Francyi odwetu. W tych ostatnich walkach i wysileniach czuć się dawało w szeregach francuskich

zmęczenie i zwątpienie; była jeszcze ofiarność, zapału już nie było i temu niepodobna się dziwić; usposobienie złowrogo przypominało czasy ostatniego polskiego powstania, w których tylu nieszczęśliwych szło z gotowością i chęcią zginięcia, nikt z wiarą lub postanowieniem zwycięstwa. Tym szlachetnym, patryotycznym usiłowaniom, brakło przedewszystkiem i głównie dowództwa, brakło jednej wielkiej, potężnej woli, brakło jednem słowem, człowieka. Brak człowieka czuć się dawał wszędzie, nie tylko w naczelnem dowództwie, w ogólnem kierownictwie sprawą, także przy komendach pojedynczych armii, w zarządzie, w rządzie. Takie chwile, takie niebezpieczeństwa, wymagają człowieka; tylko niezwykłej miary może sprostać takiemu położeniu, tak trudnym okolicznościom jak tym, w których Francya znalazła się po Sedanie, i w takich chwilach ukazanie się wielkich wojowników i polityków jest opatrznościowe. Człowieka brakło niestety po raz pierwszy Francyi.

Jednocześnie z utratą nadziei odsieczy, wycieńczały się zasoby bohaterskiego Paryża, ubywało z każdym dniem żywności, przeznaczonej dla dwumilionowej ludności. Nareszcie bombardowanie stolicy rozpoczęło się i okazało się aż nadto skutecznem. Niesłychanej doniosłości działa niemieckie, siały nie przestrach, ale zniszczenie, śmierć, zagładę w samo serce stolicy świata. Widok straszny, przerażający, bolesny. Bombardowanie Paryża dotykało każdego myślącego, wykształconego człowieka niejako w uczuciu i prawach posiadania, tak wielce Paryż był własnością ludzkości. Wyobraźmy sobie położenie Paryża w przededniu ogłodzenia, palonego bombami, niszczonego granatami, z dwóch stron; bez środków przeszkodzenia temu dziełu zniszczenia, z patryotyczną, ale rozgorączkowaną ludnością, nie umiejącą zdać sobie jasno sprawy z położenia, łaknącą zwycięztwa i odwetu a niechcącą zrozumieć, że odwet i zwycięztwo już były tylko marzeniami,

oburzającą się na myśl poddania się a zmierzającą przecież z każdym dniem wielkiemi krokami do tego rozwiązania, z ludnością stojącą między rozpaczą a nieochybnem zniszczeniem i w tej gorączce wywierającą nacisk na rząd i dowódzców, domagającą się od nich niemożliwego ratunku, niepodobnych do osiągnięcia zwycięstw; wystawmy sobie położenie tych dowódzców, niemogących się łudzić, uginających się pod ciężarem odpowiedzialności, a stanie przed nami jeden z najstraszniejszych obrazów, na jakie zdobyły się dzieje ludzkości, dzieje jej nieszczęść i upadków. Ostatnim bezowocnym wysileniem, raczej zadośćuczynieniem żądaniu ludności paryskiej, była krwawa wycieczka 19. stycznia, która podobna do wszystkich innych, ten tylko miała skutek, że przekonała o bezowocności wszelkich zaczepnych z Paryża działań. Po niej ustąpił z naczelnego dowództwa jenerał Trochu, jak ustępuje rozsądek w chwili, w której tylko dla szału i rozpaczy jest miejsce. Jednak ani szałem ani rozpaczą nie rozwiązuje się wielkich spraw świata. Brzmią zawsze pięknie, nie często skutecznie.

Położenie Paryża naraz przybrało najczarniejsze, najopłakańsze znamię, wojną domową, która zawrzała na ulicach wielkiej stolicy. Garstka wichrzycieli, ohydna szajka wyznawców ogólnego wywrotu, nie mogła utrzymać się do końca na wysokości patryotyzmu poważnej ludności paryskiej, nie mogła zachować godności wśród nieszczęścia, ani zdobyć się na zaparcie się, pośród nieszczęść ojczyzny; jak stado złowrogiego ptactwa, spadła ona na place i ulice Paryża, korzystając z bolu jednych, z nieszęść wszystkich, z zamięszania wywołanego bombami pruskiemi, i usiłowała przywieść do skutku, przynajmniej w tej ostatniej chwili, swoje złowrogie dla społeczeństwa, dla Francyi, dla świata zamiary. W działaniach tej szajki, nieraz dopatrzeć się można ręki lub pieniędzy wroga ojczyzny, tutaj w osta-

tniej chwili demagogia paryska przyszła w pomoc Bismarckowi bez wynagrodzenia. Krwawemi scenami na placu gmachu miejskiego, demagogia nie po raz pierwszy ani ostatni napiętnowała się sama.

Tak więc Paryż ujrzał się naraz bez nadziei odsieczy, bombardowany i niszczony, w przededniu głodu; z społeczną, obrzydliwą rewolucyą wewnątrz, strojącą się jak zwykle w pozory patryotyzmu. Chwila była rozpaczliwa. Nie stracić w niej głowy, zaprzeć się siebie dla uratowania stolicy i sprowadzenia rozwiązania, było prawdziwą wielkością duszy. W tej to chwili Juliusz Favre, z zbolałem sercem, złamany, lecz z odwagą obywatelską i z bohaterstwem większem nierównie jak na polu bitwy, przeprawił się przez Sekwanę i stanął u progu mieszkania, twardego, dumnego i zbytecznie szczęśliwego zwycięzcy. W tej chwili skończył się wielki, krwawy dramat, którego niepojęty, przebieg opisuję od zerwania stosunków między Francyą i Północnym Związkiem Niemieckim. Dnia 28. stycznia zawartą została konwencya wersalska, stanowiąca zwołanie Zgromadzenia Narodowego dla orzeczenia o ostatecznym pokoju, oddanie Niemcom fortów Paryża i ustanowienie rozejmu. Takie i w tych warunkach poddanie się Paryża nie uważam jako kapitulacyę, ale raczej jako rozwiązanie; nie było połączonem z hańbą, ale raczej nacechowane pełnem smutku i boleści poświęceniem.

Zapiszę tu śmierć bohaterską dwóch dzielnych wojowników, którzy Polskę zbliska obchodzą, którzy brali czynny i chwalebny udział w nieszczęsnem ostatniem naszem powstaniu. Rochebrune padł 19-go pod Paryżem, jenerał Hauke zginął, walcząc przeciw Werderowi. Dziwne zrządzenie losu, pod koniec tej wojny stanowiącej przełom w dziejach, giną dwaj przedstawiciele myśli sojuszu Francyi i Polski, i czynnej pomocy Francyi w sprawie wskrzeszenia Polski, którzy w na-

dziei tej pomocy, walczyli na naszych niwach, giną w chwili, w której znikają i owa myśl i owa nadzieja, i w której naród nasz inne musiał obrać drogi i innego szukać oparcia.

Jeżeli nie ulega wątpliwości, że uporczywa dzielna obrona Paryża i walka Francyi po Sedanie, ją podniosły, bo zmazały ohydę Sedanu i Metzu, to miały także praktyczne zadanie. Pomimo olśniewających powodzeń położenie wojskowe i polityczne Niemiec stworzone tą obroną i walką nie pozwalało rzucać się im lekkomyślnie w dalsze zapasy po upływie trzechtygodniowego rozejmu, a kazało się im zastanowić nad następstwami nieubłaganej nienawiści, której zarzewia dalszem bezwzględnem postępowaniem rzucą w łono Francyi. O zadawalniającem dla Francyi pokoju, mowy być nie mogło, tylko o mniej upokarzającym. Niemcy chwilowo wstrzymali się z wejściem do Paryża a Bismarck zrzekł się myśli narzucenia Francyi rządu. Wprawdzie dla tego zapewne, iż wiedział, że najdogoniejszą mu będzie rzeczpospolita, jako najsłabsza.

Nadeszła była chwila przewagi Niemiec w Europie; z tym zwrotem uwieńczonym tytułem cesarskim należało się wszystkim, przedewszystkiem samym Niemcom rachować. Taka przewaga, dając wielkie korzyści, pociągała za sobą obowiązki.

Warunki rozejmu tę miały dla Niemiec ważność, że w skutku zamierzonych wyborów do Zgromadzenia Narodowego spotkać się mieli nareszcie z prawnym porządkiem rzeczy, z którymby mogli zawrzeć pokój. Tym sposobem znikała owa zmora niepodobieństwa zakończenia wojny a rozum i szczęście Bismarcka sprawiały, że mara, za którą gonił stawała się uchwytną.

Nieszczęsną stroną położenia Francyi była znowu nieustająca, zacięta gra stronnictw, zażarta, nawet w takiej chwili. — Zaledwie rozejm zawartym został, już ukazały się odezwy rozlicznych stronnictw, a jeszcze

przed upadkiem Paryża rządy Gambetty splamiły się aresztowaniem ks. Joinville, który pod przybranem nazwiskiem przybył walczyć jako ochotnik w szeregach armii loarskiej. Ustalenie się rzeczypospolitej we Francyi nie było dla niej pożądanem; powrót Napoleonów niemożliwym i dla tego połączenie się dwóch gałęzi Burbonów mogło stworzyć dla Francyi rząd odpowiedni jej położeniu i dający rękojmię na przyszłość.

Nota hr. Bismarcka do Favra odmawiająca mu listu żelaznego potrzebnego do udania się na konferencyę londyńską w sprawie Morza Czarnego była oburzająca i bezwzględna. Jednak natchnęła ją przezorność. Bismarck nie chciał, aby Favre zasiadł na konferencyi londyńskiej, z obawy, iż mógłby nakłonić mocarstwa do wdania się, które zmniejszyłoby korzyści zwycięstwa.

Obrót wypadków zależał odtąd od stanowiska, jakie zajmą Niemcy w obec Austryi i Rosyi.

Czy Niemcy sprostają zadaniu pierwszorzędnego w świecie mocarstwa, czy potrafią zapełnić próżnię powstałą wskutek ich niesłychanych zwycięztw i czy staną na wysokości odpowiedniej potędze politycznej, do której doszły i obowiązkom, które były następstwem tej potęgi? Te pytania stawały przed myślącemi ludźmi. Bezstronnie, zimno i przedmiotowo zapatrując się na wypadki, nie można było powiedzieć, iżby poddanie się Paryża było ostatnim wynikiem walki cywilizacyi z barbarzyństwem; był to raczej końcowy akt zapasów dwóch odmiennych cywilizacyi i kierunków duchowych. Upadek Paryża i zakończenie wojny, obchodziły zbliska społeczeństwo polskie. Jesteśmy i nie przestaniemy być, pomimo naszych nieszczęść i upadku, pomimo naszej słabości, czynnikiem pomiędzy światem słowiańskim i giermańskim. Bez złudzeń ale i bez zwątpienia należało nam wejść w nowy okres naszego bytu, trzeba było nam zostać wiernymi temu, co stanowi istotę naszą, pierwiastkowi cywilizacyjnemu, który

w tej części świata niedostatecznie przedstawiamy, słabemi naszemi siłami i wśród trudnych okoliczności; należało rozwijać ten pierwiastek wedle możności na gruncie rodzimym, polskim, aby ratować nasz byt narodowy. Galicya stawała się arcyważną w ogólnem gospodarstwie polskiem. Była to jedyna część Polski, w której swobodnie można było działać i pracować. Takie schronienie dla myśli i czynu narodowego było nieocenionem, pomimo tego nawet, że dotąd nie umiano je należycie zużytkować. Celem więc naszym bezpośrednim w polityce ogólnej, musiało być jego pielęgnowanie i zachowanie. Tak więc po wojnie, równie jak przed wojną, nasz interes narodowy zespalał się z bytem i przyszłością monarchii austryacko-węgierskiej, a nasze główne polityczne działanie odnosiło się do spraw i stanowiska, jakie ta monarchia zajmie w Europie. Będąc czynnikiem w monarchii, mając głos w jej sprawach, musieliśmy i trzeba było nam wpłynąć na jej losy.

Trzy główne żywioły w monarchii: Niemcy, Węgrzy i Polacy, bez zapału, z konieczności, musieli przemawiać za przymierzem Austryi z zjednoczonemi Niemcami. Polacy już ze względu na bezpieczeństwo Galicyi.

Zgromadzenie Narodowe zebrało się w Bordeaux 23. lutego i wybrało naczelnikiem władzy wykonawczej Thiersa. Przedłużono rozejm i Thiers rozpoczął w Wersalu układy o pokój z Bismarckiem. Bismarck był twardym, bezwzględnym. Rozróżnić należy prawa zwycięzcy od upojenia zwycięstwem. U Bismarcka nie było upojenia, była stałość zdania; obstawał przy warunkach od początku postawionych. Układy nie zmieniły ich niemal w niczem na korzyść Francyi. Bismarck wiedział, że była bezsilną. Wstępny pokój na znanych warunkach podpisany został 26. lutego, ostateczny zawartym miał być we Frankfurcie nad Menem. Pokój był dla Francyi bolesny, okropny, zepchnął ją z dziejowego stanowiska.

Był następstwem przegranej, wyzyskania wygranej przez Bismarcka.

Dnia 1. marca Zgromadzenie Narodowe w Bordeaux potwierdziło pokój wersalski; w dniu tym część wojsk niemieckich weszła do Paryża i na krótki czas zajęła Pola Elizejskie.

Przypuścić można było, że nie pozostanie jak liczyć się z nowem położeniem jeograficznem i politycznem, stworzonem podpisaniem pokoju w Wersalu z następstwami jego dla Europy mianowicie dla środkowej Europy. Tymczasem pokój wersalski nie położył końca zuchwałości wypadków, która nieubłaganie przerażała świat i przemieniała wciąż dnie w miesiące, miesiące w lata. Znowu więc od podpisania pokoju przez Bismarcka i Thiersa, upłynął okres, obfity w złowrogie, lecz niemniej doniosłe zdarzenia, które przemieniły położenie; na razie usunęły rachuby polityczne, chwilowo zagroziły zawartemu pokojowi. Niepewność i zamęt, zapanowały, a że siedliskiem zamętu, główną przyczyną niepewności stał się Paryż, tam znowu pomimo pokonania i upadku Francyi, przeniósł się punkt ciężkości i na Paryż zwrócone były oczy mężów stanu, myślicieli, zatrwożonej i przerażonej ludzkości. Niestety, nie znakomite czyny, nie cnoty, nie wspaniały widok wielkości w nieszczęściu, zwracały w tę stronę powszechną uwagę, ale wielkie zgorszenie dziejowe, saturnalia społeczne i pośmiertna rozpusta. Tak więc do końca Paryż, przeznaczony był zdumiewać świat. Lecz zgorszenie nie mogło być wróżbą odrodzenia.

Nie potrzeba kłaść nacisku na następstwa dla Francyi, wypadków paryskich, które w marcu zrodziły komunę i jej szał, a które przenosząc się do innych większych miast, tem więcej zabójczemi stać się mogły. Dla Francyi politycznie streszczały się w dwóch ohydnych wyrazach: wojna domowa. Wojna domowa, po opłakanej, niepamiętnej klęsce zewnętrznej, wojna do-

mowa, pod okiem i w obecności zwycięzkiego wroga, który lada chwila, mógł się w nią wmięszać; to zaiste, obraz przerażający, zdolny wzbudzić zwątpienie o jakiejkolwiek przyszłości, tak niegdyś wielkiego, tak nisko upadłego narodu. A jednak jeszcze głębsze, smutniejsze i okropniejsze zrobią te wypadki wrażenie, skoro się im przypatrzymy bliżej i zbadamy ich treść, ich istotę, skoro ocenimy główne w nich czynniki i głównych działaczy. Wśród rozkwitu cywilizacyi, obecni byliśmy jakiemuś dzikiemu, barbarzyńskiemu starganiu wszystkich węzłów, wszystkich strun życia, zamętowi moralnemu na wielką skalę, szalonemu zdeptaniu społeczeństwa przez społeczeństwo, narodu przez naród; byliśmy obecni przedstawieniu w niezwykłych rozmiarach, ustępów z króla Leara; dzieci pastwiły się nad rodzicem; w zawziętości wykłuwały mu oczy, obchodziły się z nim bez litości i same między sobą się mordowały, z największą pogardą i zapomnieniem o najświętszych uczuciach, z stępionym a bodaj czy niestraconym zmysłem zachowawczym, którego miejsce zajął zmysł niszczenia. Ten zamęt materyalny i duchowy, społeczny i polityczny, odbywał się bez siły, bez wielkich czynów i bez wielkich charakterów; niedołęztwo i rozprężenie zajęły miejsce wściekłości i nienawiści, słowem, podłe namiętności zastępowały wielkie. Dobrze i dokładnie określić ówczesny stan Francyi jest niepodobieństwem, a właśnie ta niezrozumiałość wypadków, to usuwanie się ich z dziedziny rozumu i sądu ludzkiego było przerażającem. Wszystko tam wywrócone, pojęcia i rzeczy, wszystko pochłoniętem było przez zamęt: patryotyzm, godność narodowa, własność, powaga człowieczeństwa, wyobrażenie o władzy, przedewszystkiem sama władza. Nawet źródło władzy jakby wyschło. Był to przedewszystkiem ostateczny i stanowczy zamach na władzę i na pojęcie o niej. Dawne rewolucye rzucały się na szlachtę i księży, na kapitalistów i mieszczan,

ta mordowała przedstawicieli władzy, tak dobrze jenerałów, jak prefektów bez względu na to czy byli republikanami, czy nie, czy dziećmi ludu, czy arystokratami. Idźmy dalej. Rewolucya ta ani była silną własną siłą, ani zapanowała za pomocą zwycięstwa, lecz jedynie zaprzeczeniem władzy, bo rozstrojem ostatecznego ale niezbędnego w ręku każdej władzy środka wykonawczego. Wojska nieposłuszeństwo, bratanie się jego z burzycielami, oto główna przyczyna zwycięstwa komuny. Klęski wojenne rozluźniły wojsko, zmniejszyły jego liczbę; ale rozprzężenie tej siły, ale upadek karności, brak posłuszeństwa, niecna małoduszność w obec Niemców, i w obec wewnętrznych burzycieli, pochodziły z nieposzanowania władzy.

Wypadki zabójcze dla Francyi, nie tylko dla niej miały złowrogie znaczenie. Jakież społeczeństwo, jakież państwo, obojętnie widzieć mogło to zupełne zaprzeczenie władzy, to wytrącenie z jej rąk wszelkich środków strzeżenia bezpieczeństwa społecznego, i to samobójstwo narodowe i polityczne popełnione w imieniu wszechświatowych zasad, i jakiegoś źle określonego bożyszcza pod przybraną nazwą komuny, obryzganego błotem, krwią, i szumowinami społeczeństwa!? Głównem a najważniejszem znamieniem paryskich wypadków, było właśnie ich ogólno-przewrotowe znaczenie. Nie było w nich ani duszy, ani serca francuskiego, w rękach ich twórców niepowiewała chorągiew francuska, lecz czerwona. Powodem i przyczyną ich nie szał patryotyczny, nie oburzenie lub boleść z powodu upokorzającego dla ojczyzny pokoju, ale rozpasanie najchorobliwszych żądz i rozuzdanie motłochu. Komuna nie była skierowaną przeciw wrogom ojczyzny, ale przeciw urojonym wrogom ludzkości, jej celem nie ojczyzna, ale bezrząd, nie wielkość Francyi, ale zwierzęce uszczęśliwienie ludzkości. Przewódcami byli drugorzędni i trzeciorzędni po-

lityczni szalbierze, chórzyści bez nazwisk, a twórcą antyspołeczne stowarzyszenie: *International.*

To potworne stowarzyszenie powoli ogarniać poczęło świat cały werbując do swojej służby we wszystkich krajach warstwy robotnicze. Wpływ jego zbyt okropnie stwierdzał się w Paryżu. Stowarzyszenie miało już związki i zwolenników wszędzie: we Włoszech, w Hiszpanii, w Niemczech, w Belgii, w Anglii, w Wiedniu, w Ameryce. Jako objaw ogólno europejski, *International*, winien był zwrócić na siebie uwagę tak rządów, gdyby nie były zatraciły sztuki rządzenia, jak ludzi myślących. Obrał on sobie do działania grunt, na którym nie łatwo mu stawić czoło, bo społeczny; zmierzał do celu powabnego dla motłochu i urodzić miał anarchistów, morderców panujących i naczelników państw.

Demagogia socyalna prześcignęła demagogię polityczną, uliczna, ludową. Demagogia polityczna stała się w obec socyalnej zacofaną. Godnem bowiem uwagi jest, iż socyalna demagogia, która ogłosiła komunę w Paryżu, rozpoczęła swoje działanie od rozbratu z wszelką myślą polityczną, tak jak *International*, wypierał się wszelkiego udziału w sprawach lub sporach politycznych. Zaprzeczenie więc władzy, rządu, ojczyzny, patryotyzmu, oto wyznanie wiary demagogii socyalnej. Zwycięska w Paryżu rewolucya, nie otaczała się wcale urokiem ultrapatryotyzmu, bo jednem z pierwszych oświadczeń komuny było, że niechce naruszać warunków pokoju wersalskiego. Pierwszy raz spotkaliśmy się z demagogią, odrzucającą chorągiew ultrapatryotyzmu, nie strojącą się, jak to u nas zwykła czynić — w żałobę za ojczyznę, pierwszy raz widzieliśmy ją obnażoną, szczerą i bezwstydną. Była to nie mało znacząca oznaka czasu. Zwycięska w Paryżu rewolucya, ani się utrzymać, ani nic zbudować nie mogła, musiała być pokonaną, lub się rozpaść, bo przedstawiała niepodo-

bieństwa, fałsze i ostatecznie bezrząd we wszystkich ludzkich stosunkach. W czasach jednak uwielbienia powodzenia, to co się stało było w Paryżu, było dla społeczeństw zgubnem, dla władzy, jej powagi i znaczenia szkodliwem. Niemoc i niedołęztwo rządu wersalskiego, były gorszym przykładem jak chwilowe zwycięstwo komuny w Paryżu; niemoc i nieradność ludzi uczciwych i ludzi porządku, jest zgubniejszym objawem, jak wrzekome powodzenie szaleńców i szalbierzy.

To co się odgrywało w Paryżu, dla tego, że poruszało zadania obchodzące ludzkość i wszystkie społeczeństwa, strącało inne sprawy czysto polityczne. W obec jednak poniżających ludzkość wypadków, wszyscy ludzie uczciwi, wszyscy ludzie porządku winni byli zrozumieć, że pierwszym warunkiem ładu społecznego, jest poszanowanie władzy i powinni byli sobie podać ręce, aby wzmocnić jej znaczenie i umożebnić jej stanowisko. Z drugiej strony jednak, panujący i rządy, mianowicie te, które prawdziwą jeszcze przedstawiały siłę, winny były nareszcie przekonać się, że bezwzględnem postępowaniem obala się więcej niż zamierzono.

Część korzyści zwycięstw niemieckich była narażoną, Bismarck ujrzał się w tem położeniu, iż ani dalszej wojny prowadzić nie mógł, ani używać owoców pokoju. Zwycięskie Niemcy czekać musiały na zakończenie krwawego wewnętrznego przesilenia we Francyi.

Rząd francuski z Thiersem na czele wytężał w Wersalu swe siły, aby wyrwać z rąk komuny Paryż i powalić ją.

Jednocześnie Zgromadzenie Narodowe obradowało w Bordeaux. Wybranem zostało wśród srogich okoliczności. Nigdy nie przypadło wybrańcom narodu spełnić boleśniejszego zadania; ciężyła na nich odpowiedzialność pomnożenia bezowocnych ofiar i klęsk ojczyzny, lub podpisania jej upadku i cofnięcia jej dziejów o dwa wieki.

Prawdziwy patryotyzm, rozsądek i uczciwość polityczna nakazywały potwierdzenie upokarzającego pokoju, bo zgubniejszą od niego byłaby dla Francyi dalsza bezskuteczna walka. Wolność wśród której obradowało zgromadzenie francuskie w Bordeaux, brak wszelkiego ze strony zwycięzcy nacisku, pozostawienie wolnego wyboru narodowi, gdy rzeczywiście wyboru już nie miał, stanowiły niezwykłą grozę. Patryotyzm w upokorzeniu i zbawienie w upadku, oto okropna konieczność, ciążąca nad Francyą, jej Rządem i Zgromadzeniem Narodowem, oto najopłakańszy skutek, wielkiej na polach bitew przegranej. Że Francya zrozumiała to położenie rzeczy, najlepszym tego dowodem były już wybory, które stały się zwycięstwem rozsądku nad szałem i stanowczą przegraną warchołów i demagogów. Większość zgromadzenia w Bordeaux umiała zachować godność i wstrzymać się od pięknie brzmiących słów, których nadużycie stało się jedną z przyczyn upadku Francyi. Odebranie głosu i zmuszenie Garibaldiego do złożenia mandatu, było stanowczem zerwaniem z wszechświatowym republikanizmem, i z ogólną rewolucyą. Odtąd nastała pełna smutku, lecz poważna chwila w tym opłakanym okresie dziejów Francyi. Sam kraj wskazał był Thiersa na naczelnika rządu, obierając go przeszło w ośmnastu okręgach, do zgromadzenia narodowego; zresztą wybór był trudny a raczej i tu wyboru niebyło, co znów było oznaką czasu i upadku Francyi. Te wielkie wypadki, nie wytworzyły więc ani jednego człowieka, ani jednego męża stanu, skoro Francya najroztropniej postąpiła, składając władzę w ręce siedmdziesięcioletniego starca, który rządził nią przed trzydziestu laty. Thiers dawał rękojmię na zewnątrz i na wewnątrz, rękojmię umiarkowania, rozsądku i patryotyzmu, a ona jedna mogła nadać rządowi tymczasowemu znaczenie i powagę. Natychmiast też ów rząd uznanym został przez państwa i mocarstwa. Wobec tego i wyra-

żnej woli narodu francuskiego, Gambetta ustąpić musiał. Nie był on geniuszem i nie był tej miary człowiekiem, aby mógł zbawić Francyę, ale miał tę zasługę, że nie zwątpił o niej. Wreszcie, jak wiemy, Zgromadzenie Narodowe zdobyło się na poświęcenie potwierdzenia pokoju wersalskiego. Zgodnie z tem, co rzekł Thiers dopóki nieprzyjaciel znajdował się na ziemi francuskiej, nie należało poruszać pytania co do przyszłego kształtu rządu. Pytanie to stawało się jednak zaraz po zawarciu pokoju najżywotniejszem, najbardziej naglącem; od odpowiedzi zależały losy Francyi; bo bezrząd był największem niebezpieczeństwem, które jej groziło. Zdawało się, że Thiers nie może być kim innym jak Monkiem, a ktokolwiek dobrze życzył Francyi, ten pragnąć musiał powrotu władzy monarchicznej, patryotycznej, uczciwej, opartej na tradycyi. Na razie pierwszem zadaniem było zwalczenie komuny.

Podczas tak smutnych a wyjątkowych zdarzeń, konferencya londyńska kończyła swoje niewdzięczne zadanie. Dnia 13-go marca unieważniła postanowienia paryskiego traktatu, z których się Rosya wyzwalała i nowe spisała, które zwracały Rosyi wszelką swobodę na Morzu Czarnem.

Nareszcie wybiła godzina sprawiedliwości i kary. Wojsko rządu wersalskiego zdobyło Paryż na komunie.

Zanim wyzionęła ducha, komuna złożyła dowody zupełnego zdziczenia; demagogia doszła tu do ostatniego swojego wyrazu, wszystkie zboczenia ludzkie swobodnie szalały w niegdyś tak świetnym, w jednej chwili jak ruina sterczącym Paryżu. Skrajne stronnictwa spełniły swoje wielkie posłannictwo, bo wskazały ludzkości jako ostateczny cel i zbawczy środek zniszczenie, mordy i pożogę. Nigdy jeszcze radykalizm nie odsłonił tak jawnie swojego celu, którym jest zburzenie społeczeństw ludzkich. Ukoronował on swoje dzieło podpaleniem arcydzieła świata Paryża!

Zgliszcza i gruzy Paryża, głębokie, zawierały w sobie rozumowania i nauki. Skorzystać z nich winno każde społeczeństwo, każdy myślący człowiek. Wypadki przemówiły za wszystkimi obrońcami ładu społecznego i rozsądku politycznego.

Zgniecenie buntu i pokonanie zbydlęciałych zastępów komuny, bynajmniej nie zmniejszyły niebezpieczeństw, grożących każdemu społeczeństwu od wywrotu. Demagogia zawsze i wszędzie zwyciężyć może tylko chwilowo, ustalić się jej i ostatecznie zapanować niepodobna, bo niedorzeczność i przeczenie nie odpowiadają ani układowi świata, ani warunkom bytu ludzkości.

Ale oto właśnie idzie, żeby społeczeństwo umiało się zabezpieczyć przed podobnemi przejściami i próbami. Jeżeli czego obawiać się można było, to, żeby pod tym względem nie popadły rządy i ludzie w zwykły błąd; żeby nie szukały zabezpieczenia w ustępstwach, kiedy właśnie ostatnie wypadki wołały: że wyzucie się z wszelkich zasad, że stępienie zmysłu władzy i zaparcie się wszelkich przekonań religijnych, bez których żadne społeczeństwo niema w sobie warunków trwałości, są przyczynami podobnych przewrotów.

Jeżeli dla uczciwych i rozsądnych ludzi wypadki paryskie stały się nowym a rozstrzygającym przeciw demagogii dowodem, to znowu byłoby zgubnem złudzeniem przypuszczać, iż ona kornie uchyli czoło. W przejściach paryskich nauczyła się tylko nowych i dzikszych sposobów zniszczenia.

Po pokonaniu bydlęcej rewolucyi, wśród niezliczonych zniszczeń i niedoli, odetchnęła nareszcie Francya. Ten podwójny chrzest krwi i ognia, pożogi i przewrotu, straszniejszy i okropniejszy z rąk francuskich jak z rąk niemieckich, był zbyt okrutną nauką. Rząd i zdrowa część społeczeństwa, wielkie, trudne i przez lata ciągnące się, ujrzeli przed sobą zadanie. W tych warunkach nie mogło już być mowy o wpływie Fran-

cyi na losy świata, można było tylko życzyć sobie, aby umiała sama na siebie wpływać. Od wpływu na świat, mianowicie na nasz świat, to jest środkową Europę, odsądził Francyę, ostatecznie w Frankfurcie 10. maja 1871 r. zawarty pokój. Pokój ten tak dalece przemieniał dotychczasowe warunki polityczne Europy, że z podpisaniem go, nowy zaczął się okres dziejowy.

Pokój frankfurcki pozbawił Francyę Alzacyi i Lotaryngii, odepchnął ją od Renu, tem samem od przewagi w Europie. Stworzył potężne mocarstwo, cesarstwo niemieckie pod pruskiem panowaniem, które jest drugiem dziełem Bismarcka, które zajęło silne, górujące stanowisko w środkowej Europie i ciąży odtąd na naszej części świata.

Bismarck obrał do przeprowadzenia drugiego swojego dzieła, chwilę niższości przeciwnika, najlepszą do pokonania go; nie ulega wątpliwości, że on ją wybrał, świadczy o tem, znane, słynne zmienienie depeszy króla z Ems nadające jej znaczenie wojenne. Zapobiegł temu i czuwał nad tem, aby nikt z pomocą nie przyszedł Francyi, obliczył, że nikt nie przyjdzie. Pociągnął za sobą przeciw Francyi południowe państwa niemieckie i cały niemiecki naród. Dokonał rzeczy po mistrzowsku, wyzyskał w największej mierze zasoby państwa, zalety swojego narodu, wyższość wojska, geniusz wojny Moltkiego, błędy nieprzyjaciela. Skutek przeszedł oczekiwanie. Zasługą nie małą Bismarcka, zarazem dowodem stałości jego szczęścia, że ominął niebezpieczeństwa, przełamał wszystkie trudności i przeszkody, które powstawały, piętrzyły się nieraz, wśród największych powodzeń, zagrażać się im zdawały; że nie dał im zmniejszyć w niczem korzyści zwycięstwa. Dla tego, celu dopiął i zapewnił sobie wolny wybór dalszego postępowania politycznego.

W dziejach zapisał swoje nazwisko, obok największych mężów stanu.

Po Zwycięstwach.

W rok niespełna po rozpoczęciu wypadków, które przeistoczyły postać Europy, świat patrzał na epilog olbrzymiego, krwawego dramatu. W Berlinie ograniczył się on na wojskowych uroczystościach, odznaczających się skromnością, trzeźwością tryumfatorów i strasznym upałem, w skutku którego kilku nieszczęśliwych książąt niemieckich, zemdlało. Tryumf był pogrzebem ich niezawisłości.

Odbywały się następnie w rozmaitych miastach niemieckich obchody, z powodu powrotu wojsk z Francyi. Zapał i jednomyślność przy tej sposobności przekonały, że jedność niemiecka przestała być złudzeniem, że się stała potężną rzeczywistością. Jednym z bohaterów tych obchodów był królewicz saski, o którym Moltke powiedział, iż jeden z książąt domów panujących, może bez pomocy naczelnika sztabu dowodzić armią. Królewicz z buławą Sobieskiego w ręku wszedł do Drezna.

W Paryżu epilog był smutny a krwawy. Po zwycięstwie rozumu nad szałem, prawa nad rozbojem, ludzkości nad zbydlęceniem, rządu wersalskiego nad komuną paryską, wybiła godzina sprawiedliwości; nieubłaganej kary za tyle zbrodni. Nie o to pytać należy, czy kara była za surową, ale czy jest odpowiednia dla podobnych czynów, czy społeczeństwo ma możność należycie zemścić i napiętnować podobny przeciw niemu

zamach. W krótkim czasie, tyle tam demagogia i jej przewódcy nagromadzili zbrodni i tak wielkich zbrodni, że nie było kary, któraby zrównoważyła szalę przepełnioną przestępstwami; ludzka sprawiedliwość nie wystarcza do ukarania zwierzęcych czynów ludzi.

Po tylu srogich nieszczęściach Francya zwolna wracać poczęła do życia, raczej do prawidłowych warunków codziennego bytu. Wynik pożyczki zaciągniętej w kraju dla spłacenia haraczu wojennego pięciu miliardów, nałożonego traktatem frankfurckim wykazał wielkie zasoby bogatego społeczeństwa. Pierwszym celem musiało być uwolnienie ziemi francuskiej od wojsk obcych, do tego prowadziło spłacenie haraczu, ku temu wytężone były usiłowania. Spłata połowy pierwszej raty uwolniła już była część terytoryum.

Dodatkowe wybory do Zgromadzenia Narodowego obróciły się na korzyść rzeczypospolitej. O zemście i odwecie myśleć mogła Francya wtedy tylko, gdyby psuć się począł silny, zdrowy i groźny twór cesarstwa niemieckiego, a gdyby ona odzyskała pełnię zdrowia.

I.

Czy Bismarck, po zwycięstwach, przez jego geniusz przygotowanych, a przechodzących jego własne oczekiwanie, zadał sobie pytanie, które stawało zawsze w dziejach przed ludźmi, co wielkie zdziałali rzeczy? Ażali pokusić się ma o większe, o dalsze, czy też zadowolnić się dokonanemi. Zwykle odpowiedź dana przez dumę, żądzę sławy i nieograniczonego panowania brzmiała, iż, aby zapewnić zdobycze i nabytki, trzeba o nowe się starać. Czasem tę odpowiedź dawała konieczność. Jeżeli zaś Bismarck zadał sobie to pytanie, o czem trudno wątpić, czy i jak długo namyślał się nad odpowiedzią? Niema na to wskazówek ani dowodów; trzebaby zaj-

rzeć przenikliwem okiem w głąb duszy człowieka, wyrwać jej tajemnicę, aby się przekonać, czy i jak długo się wahał. Wszystko zaś co znanem i wiadomem jest, równie jak pośmiertne pamiętniki Bismarcka świadczą, iż zaraz po zwycięstwach, postanowił zadowolnić się ich obfitemi owocami i że, — rzadki w dziejach przykład — duma i żądza sławy, oraz nieograniczonego panowania, znalazły go głuchym na ich podszepty. A przecież nawet myśli, w której imieniu wystąpił, która mu niezwykłej przysporzyła siły, jedności niemieckiej nie był całkowicie przeprowadził, skoro pozostawały po za państwem przez niego stworzonem, po za niemieckiem cesarstwem, niemieckie kraje Austryi, niemieckie kraje rosyjskie nad Bałtykiem, niemieckie kantony szwajcarskie. Ale polityka nie może się opierać na gramatyce, która zresztą także przypuszcza wyjątki; kiedy myśl posłużyła do dopięcia celu, mąż stanu nie może się krępować wiernością dla niej; nie może dla niej popełniać błędów i woli odprawić ją jak murzyna, który swoją spełnił powinność, niż stać się jej niewolnikiem. Takie było zdanie Bismarcka i tak postąpił po zwycięstwach.

Skoro Bismarck zadawalniał się tem, co już był dokonał, trzeba było głównie i jedynie myśleć o zabezpieczeniu i utrzymaniu dzieła. Wszystkie zasoby potężnego swojego rozumu i czyny swoje, odtąd temu poświęcił, rozporządzalne siły wytężył. Nie zamierzając powiększyć dzieła, postanowił bronić go do upadłego wszelkimi środkami.

Przeważną przyczyną powodzeń i potęgi Prus było, iż uprzedziły wszystkich w nowoczesnem pogotowiu wojennem i w wydoskonaleniu takowego. Dało im to wyższość stwierdzoną tylokrotnie w dziejach od falangi macedońskiej i legionów rzymskich. Tę wyższość Prusy w porę zużytkowały, wyzyskały. Zachowanie jej cesarstwu niemieckiemu stało się głównem zadaniem Bis-

marcka; była to dla niego niezbędna, najpierwsza rękojmia. Wszystkie swoje wewnętrzne działania temu poświęcił. Wyższość tę dotąd zachowało cesarstwo niemieckie. Żadne, z osobna mocarstwo nie dorównało mu pod względem wojskowem. Ale powstać mogło niebezpieczeństwo połączenia się mocarstw przeciw dziełu ks. Bismarcka. Stawała zatem na porządku dziennym sprawa przymierzy. Bismarck musiał zażegnać niemi koalicyę, wiszącą zawsze nad zdobywcami i państwami, które zbyt spiesznie i zbytecznie się wzmogły.

Nie zawahał się. Odrazu w myśl przesłanej już podczas wojny noty z Meaux i w dalszym ciągu polityki, której był, wbrew królowi i wojskowości obrońcą w Nikolsburgu, gdzie postawił na kartę stanowisko i tekę, aby zapobiedz uszczupleniu terytoryalnemu Austryi, zwrócił się do niej z pragnieniem zbliżenia. Już w sierpniu 1871 r. odbył się zjazd cesarza Wilhelma I. z cesarzem Franciszkiem Józefem I. w Ischl i odbyły się narady dwóch kanclerzy niemieckiego i austryackiego w Gastein.

Oczy świata zwrócone były na Ischl i Gastein. Od zapadłych tam postanowień i zajętych stanowisk zależał dalszy obrót rzeczy w Europie. Zjazd i narady były dowodem, że porozumienie niemiecko-austryackie stało się możliwem, że nie było złudzeniem, lecz wypływem ostatnich przeobrażeń i że wchodziło w rachuby męża stanu, w którego rękach spoczywały losy tej części świata.

Mogły jednak powstać wątpliwości co do skutków zjazdu; trzeba było się liczyć z wielu czynnikami, także ze słabościami ludzkiemi, które trudno przezwyciężyć, które niezawsze pokonać zdolne nawet wielkie interesa i z namiętnościami, które częściej aniżeli ogół mniema, spychają myśl państwową; częściej, skoro częstszą jest zła niż dobra polityka.

Były dowody, że Niemcy, że cesarz Wilhelm i ks. Bismarck pierwsze, bardzo stanowcze zrobili kroki w celu zbliżenia się do Austryi. Nie wierzono jednak, aby zjazd dwóch monarchów przyszedł do skutku, tem więcej, że cesarz niemiecki spotkał się był w Ems z cesarzem rosyjskim; gdy powątpiewać już o nim nie można było, powątpiewano o przybyciu ks. Bismarcka. Przecież zjazd nastąpił, a narady dwóch kanclerzy dodawały mu znaczenia.

Bismarck tym zwrotem zadziwił znowu świat. Nie był on jednak ani dziwnym, ani zagadkowym. Po zakończeniu wojny z Francyą, przyłączeniu do cesarstwa niemieckiego Alzacyi i Lotaryngii, zjednoczeniu południowych Niemiec z północnemi, pierwszą i najważniejszą sprawą do rozwiązania dla polityki ks. Bismarcka, była austryacka, z nią bowiem łączyło się w dali zadanie ustalenia jedności politycznej Niemiec, oraz zabezpieczenia dzieła dokonanego. W obec Francyi na razie bezsilnej ale mogącej mieć jedną tylko politykę odwetu; w obec Rosyi już zazdrosnej i łaknącej, żądającej odpowiednich wynagrodzeń, w obec coraz groźniejszej sprawy społecznej i dążeń wywrotowych, roztropność nakazywała wyświecić położenie i określić stanowisko względem najbliższego, a choć niemocą dotkniętego, niegodnego pogardy, sąsiada. Rozum nie pozwalał zostawiać na tyłach i na bokach świeżo utworzonego państwa niemieckiego, Austryę pałającą żądzą, nawet niedołężnej zemsty, Austryę zadającą swoją nieprzyjaźnią kłam — wysoko wywieszonej zasadzie jedności niemieckiej. Zatem tak przenikliwy mąż stanu jak ks. Bismarck musiał najpierwej zająć się sprawą stosunku do Austryi. Aby zadanie rozwiązać dwie stały przed ks. Bismarckiem otworem drogi. Jedna rozbicia sąsiedniego państwa, druga pogodzenia się z niem. Rozbicie bezpośrednie, natychmiastowe wymagało nowych ofiar, trudnych po tylu wysileniach i pociągało za sobą pochło-

nięcie, w chwili, w której stosunek do południowych Niemiec, zwłaszcza do Bawaryi, nie był ustalonym. Lecz co ważniejsza, pierwsza droga prowadziła koniecznie a złowrogo do wspólnictwa w dziele zniszczenia i rozbicia, z Rosyą i to w ten sposób, że pomimo całej swej potęgi, Niemcy musiały się takowego obawiać. Rysem znamiennym polityki Bismarcka było, że z nikim nie chciał się dzielić odniesionemi korzyściami. Wspólnictwo z Rosyą w celu rozbioru Austryi byłoby zadało kłam podstawowej zasadzie polityki ks. Bismarcka; oprócz tego, ściągając cios śmiertelny na jednego sąsiada, potęgowało tym samym zamachem drugiego, nierównie niebezpieczniejszego, bo młodszego i czerstwego. Nareszcie taki obrót rzeczy stawiał w krótkim czasie w obec siebie dwa światy: słowiański i germański, które musiałyby się zetrzeć, a do przewagi w pierwszym Rosyi, pomogłaby była polityka ks. Bismarcka, gdyby była zezwoliła na podział Austryi i gdyby była otworzyła działaniu rosyjskiemu koryto krajów słowiańskich, przez pół przerzynające Niemcy, a którego śluzą była Galicya.

Zrozumiałem zatem jest, że ks. Bismarck nie chwycił się tej polityki, że przeciwnie wszelkiemi siłami uniemożebnił ją i że obrał drugą drogę, prowadzącą do porozumienia się z Austryą. Była to polityka godna jego rozumu, skutek głębokiej znajomości położenia Europy i postanowienia, zadowolnienia się tem, co już dokonał i stworzył był.

Porozumienie austryacko-niemieckie zabezpieczało Austryę. Nie wystarczało jednak, aby go sobie życzono w Wiedniu; trzeba było, żeby tego chciano w Berlinie. Teraz zaś pokazało się, że ażeby przyszło do skutku, wyzwoliło Austryę z obaw przed Rosyą, zapewniło stały pokój Europy, nie dość było, ażeby sobie tego życzono w Berlinie, trzeba było, żeby tę konieczność zrozumiano w Wiedniu. Ztąd zjazd w Ischl i narady kanclerzy

w Gastein nabierały znaczenia. Tam rozstrzygały się przyszłe losy Austryi; albowiem, jeżeli z dwóch obliczeń politycznych wybiera się chętniej dogodniejsze i korzystniejsze, to jednak, gdy okaże się ono niemożliwem, powraca się do drugiego. Bismarck nie znalazłszy wzajemności u kierowników polityki austryackiej, mógł się zwrócić wyłącznie do Rosyi.

Austrya w położeniu w jakiem się znajdowała, nie mogła się obejść bez porozumienia z sąsiadami lub jednym z nich; a chociażby nawet nie upadła bezpośrednio pod ich ciosami wiemy co warte życie wśród ciągłej trwogi. Ale wyboru wtedy nie miała. Jedynie, zbliżając się do Niemiec, zażegnać mogła przymierze niemiecko-rosyjskie. Ze źródła gasteinskiego nie mogła wytrysnąć wojna przeciw Rosyi, ale bezpieczeństwo Austryi i zapewnienie posiadania Galicyi. W przyszłości zaś przymierze Niemiec z Austryą, któremu Anglia przyklasnąć musiała, stawało się silnem dziełem politycznem, które innym związkom stawić mogło czoło i stać się tamą w obec Rosyi. Trzeba było, aby należycie to zrozumiano w Wiedniu i stosownie do tego zachowano się ze strony austryackiej w Ischl i Gastein; aby wyleczono się ze złudzeń i fałszywych pragnień, zaniechano kierunku przeciwnego wytworzonym stosunkom i geografii, porzucono zachcianki odwetu i bezsilnej zemsty, ukrytą myśl odzyskania przewagi w Niemczech, aby przezwyciężono dumę, uświadomiono sobie, że są błędy, które tylko ofiarą ze siebie dadzą się naprawić, że zaś są zabójcze upory; aby wreszcie zrozumiano, że przeszłość się nie wraca, że jeżeli dawne drogi zamknięte, nowe stworzyć można i że na nich szukać należy przyszłości.

W chwili przyjazdu cesarza Wilhelma do Ischl arcyksiężna Zofia, matka cesarza Franciszka Józefa usunęła się wraz z częścią arystokracyi austryackiej w góry. Było to zachowanie się pełne godności, a ta

ma w polityce swoją wartość. Ale z arcyksiężną usuwały się te uczucia, które stały na przeszkodzie zbliżeniu, a cesarz Franciszek Józef przedstawiał interesa, które do niego nakłaniały Austryę. — Treścią zbliżenia, które o wiele później zamienić się miało w przymierze, musiało być przedewszystkiem, poręczenie wzajemne posiadłości. Trzy najważniejsze w monarchii Habsburgów czynniki: Niemcy, Węgry i Polacy, z konieczności i dla własnego bezpieczeństwa, musiały być za takiem zbliżeniem i przemawiać za niem.

Zrozumiał tę prawdę najbardziej giętki z wszystkich mężów stanu starożytności i nowszych czasów, kanclerz Beust, a jak dawniej szukał dla siebie powodu bytu i urzędu w nienawiści do Prus i współzawodnictwie z Bismarckiem, tak teraz próbował go zapewnić sobie, zbliżeniem do Niemiec pruskich i przyjaźnią z kanclerzem cesarstwa niemieckiego.

Obfite były to czasy w sprzeczności i nieprawidłowości; pojęcia były skrzywione; zmysł uczciwości stępiony. Podczas, gdy w Ischlu przychodziło cesarzowi Franciszkowi Józefowi wiele zapomnieć, cesarz Wilhelm nie pamiętał krzywd, które był wyrządził, bezprawi, których się dopuścił. Przejeżdżając z cesarzem austryackim w Gmunden koło zamku, w którym król Hanowerski z godnością, spędzał długie chwile wygnania i kalectwa; wyraził chęć wspólnego odwiedzenia go, której dostojny towarzysz podróży nie uznał za stosowne zadość uczynić.

We wrześniu, nie dawno wrogie sobie mocarstwa powtórzyły usiłowania zbliżenia się do siebie i porozumienia na zjeździe i naradach w Salcburgu. Bez zapału, z pewną niechęcią cesarz Franciszek Józef udał się tam, aby w zamian za odwiedziny w Ischl, powitać wracającego z Gasteinu cesarza Wilhelma I. Przybyli niemiecki i austryacki kanclerze Bismarck i Beust. Wreszcie na życzenie hr. Andrassego wbrew zdaniu

cesarza Franciszka Józefa prezesowie gabinetów dwóch części monarchii, hr. Hohenwart i hr. Andrassy. Ten ostatni, już wtedy pragnął zawiązać ścisłe z Bismarckiem stosunki, które postawiły go na czele spraw zewnętrznych monarchii i stały się jego podporą oraz igłą magnesową. Zjazd salcburgski otoczono zewnętrznemi oznakami znaczenia, co zwróciło na niego uwagę świata.

Był on odpowiedzią Austryi na życzenie Niemiec zbliżenia się do niej, wyrażone w Ischl i Gastein. Odpowiedź ta nie była ani łatwą, ani przyjemną. Cesarz Franciszek Józef odniósł tu najtrudniejsze, bo nad samym sobą zwycięstwo. Jest bohaterstwo wewnętrzne, które rzadko należycie jest ocenionem; takiem bohaterstwem było ze strony cesarza austyackiego, podanie ręki cesarzowi niemieckiemu. Ale ofiara miłości własnej i dumy nawet szlachetnej, gdy tego wymaga interes, wynagradzaną bywa w polityce, byle umieć ją należycie zużytkować.

Zbliżenie się Austro-Węgier i Niemiec w Salcburgu acz jeszcze nie spisane, było przecież już znaczne. Miało znamię bierne i pokojowe. Wyswobodzało Austro-Węgry z położenia, w którem z dwóch stron były zagrożone, dawało im opiekę, a zmuszało Rosyę do bezczynności; świadczyło, że Austro-Węgry potrzebne są dla cesarstwa niemieckiego, że ich istnienie i bezpieczeństwo nie mogą mu być obojętnemi. Układ — pisały półurzędowe organa niemieckie — da się w ten sposób określić: postanowiono zaniechać wszelkich działań zaczepnych na wszystkie strony, ale też stawić silny opór wszelkim zachciankom, zkądkolwiekby wyszły; szło wreszcie o stanowcze okazanie, iż Niemcy bronić będą nietykalności Austryi; że Austryja zaś, nie wiążąc się z cesarstwem niemieckiem, ma na celu utrzymanie pokoju, i że jej ministrowie i rządy austry-

acki oraz węgierski, trzymać się będą tej polityki, za którą oświadczyły się już były wspólne Delegacye.

Zjazd Salcburgski miał dla tego doniosłość, iż stwierdził, że nietykalność monarchii austryacko-węgierskiej, była pierwszorzędnym interesem nowo powstałego cesarstwa niemieckiego. Że zaś ta nietykalność głównie, niemal wyłącznie, od strony Rosyi zagrożoną być mogła, więc znowu trzy czynniki w monarchii: Niemcy, Węgrzy i Polacy musieli przyklasnąć zjazdowi, jego skutkom i przyszłości, którą otwierał.

Zachodziło przecież jeszcze ważne pytanie: gdzie pewność, gdzie rękojmia szczerości rządu niemieckiego, gdzie pewność, gdzie rękojmia, że to nie nowa zdrada i przewrotność najzręczniejszego lecz najniesumienniejszego męża stanu czasów współczesnych? Na nie nikt stanowczej, po przebytych doświadczeniach, nie mógł dać odpowiedzi. Jedynie interes Niemiec był tu rękojmią. Otóż inne zapatrywanie się na ten interes, w danych okolicznościach, byłoby pierwszym błędem Bismarcka, a że takowy popełni, nie można było przypuszczać; zwłaszcza, iż byłby on w sprzeczności z jego dotychczasową polityką od Nikolsburga, gdzie zapobiegł nawet uszczupleniu Austryi. Wprawdzie dla nikogo Bismarck obliczalnym nie był, a dawnem swojem zdaniem nie krępował się nigdy i był mężem stanu wielkich niespodzianek. W danem jednak położeniu rzeczy, czy byłby szczerze i otwarcie działał przeciw i na szkodę Austro-Węgier, czy też obłudnie i podstępnie, skutek byłby ten sam. Gdyby bowiem postanowił był wspólnie z Rosyą działać na zgubę Austryi, gdyby już był istniał traktat podziału; nic przeszkodzić nie mogło dziełu zniszczenia a uśpienie czujności za pomocą pozornego zbliżenia się, byłoby szczegółem.

W przypuszczeniu zaś, że utrzymanie bytu i całości Austro-Węgier odpowiadało interesom Niemiec

i zamiarom Bismarcka, zbliżenie się austryackiej monarchii do cesarstwa niemieckiego było wskazanem, jako konieczność polityczna. Słowem, wyboru nie było i albo szczerem było zbliżenie się Niemiec, albo żadne inne możliwem nie było; gdzie zaś wyboru nie było, nie mogło być zawodu, pomyłki, ani błędu, chyba wtedy jedynie, gdyby nie chciano tego położenia zrozumieć i przyjąć jego następstwa.

Bismarck twierdził, że nigdy nie kłamie.

On kłamstwem nie oszukiwał, ale prawdomownością w błąd wprowadzał. Prawdomowność posłużyła mu lepiej w długim zawodzie niż innym kłamstwo; z początku brano ją za takowe, w końcu za rękojmię. A tak potrafił on przemienić prawdomowność w narzędzie wyzyskiwania.

Mowa tronowa cesarza niemieckiego, zawierająca znaczący ustęp o Austryi i stosunku do niej, wzmocniła wiarę w szczerość zamiarów ks. Bismarcka.

Wewnątrz rozgrywały się w Austryi losy gabinetu hr. Hohenwarta. Była to próba w skutku której albo wynalezionym miał zostać kamień filozoficzny wewnętrznych stosunków austryackich, albo też, zniknąć miało jedno złudzenie więcej. Wywołało to chwilowo przykre przejście. Nie było ono jednak istotnie groźnem. Stwierdzić bowiem należy, że z licznych wewnętrznych chorób Austryi, żadna nie jest dość silną, aby jej zadać cios śmiertelny, przeciwnie te choroby, wzajemnie się równoważą i znieczulają, tem samem zapewniają życie Austryi; żaden zatem cios wewnętrzny, nie może być dość stanowczym, aby zabić Austryę. Jedynie zadany z zewnątrz, zdolnym byłby obalić ją. Austro-Węgry zaś porozumieniem z Niemcami zasłonięte były narazie przed takim ciosem; tem samem, wewnętrzne próby miały niezaprzeczenie swoją doniosłość, lecz stawały się nierównie mniej niebezpiecznemi i przesady jednych, upór drugich, swawolna polityka

mniej więcej wszystkich, były szkodliwemi, lecz nie zabójczemi. Skoro się miało czas przed sobą, można było jeszcze bawić się w gry dziecinne i próbować wszystkiego w nadziei, że ostatecznie, wszyscy zmuszeni będą liczyć się z rzeczywistością i wyrobić sobie trzeźwy pogląd o istotnem położeniu. Pewność i zabezpieczenie z zewnątrz stawały się rękojmiami wewnątrz. Jakież bowiem mogło być niebezpieczeństwo mniejszych lub większych ustępstw dla Słowian, mianowicie dla Czechów, skoro Austro-Węgry, zasłonięte były przed panmoskiewskiemi zamiarami Rosyi; z drugiej strony, jaką doniosłość mieć mógł przesadny opór Niemców, choćby odśrodkowy, skoro nie znajdowali ani otuchy, ani poparcia, ani opieki w Berlinie. Bez zewnętrznej przymieszki wszystkie wewnętrzne sprawy austryackie mogą być niepocieszne, ale nie są niebezpieczne, mogą być trudne, ale nie są groźne. Jedynie choroba wewnętrzna połączona ze zewnętrzną stać się może śmiertelną.

II.

Dopóki hrabia Beust był u władzy, nie ustępowały wątpliwości co do szczerości zbliżenia się Austro-Węgier do Niemiec i wiary w nią ks. Bismarcka. Nie przypuszczano, aby hr. Beust mógł wcielić i przedstawiać politykę przymierza z cesarstwem niemieckiem, aby wreszcie był zdolnym przeprowadzić z ciągłością jakąkolwiek politykę i przymierze.

Przypatrując się sławnemu linoskokowi, publiczność zachwycona zręcznością i odwagą, nie może się jednak wstrzymać od obawy, iż wcześniej czy później noga mu się pośliźnie i że pomimo wyśmienitej znajomości równowagi, spadnie i zabije się. Do czasu dzban wodę nosi. Ogół doznawał podobnego uczucia, przypa-

trując się łamanym sztukom Beusta. Ślicznie! Zręcznie! Ale niebezpiecznie! Ale lada chwila kark skręcić może! — Oto głosy, które słyszeć się dawały na widok niesłychanych, nieznanych dotąd skoków i wysileń austro-węgierskiego kanclerza. I nie były to głosy fałszywych proroków; w najśmielszym skoku Beust zachwiał się, stracił równowagę i przeskoczywszy przepaść, na drugim jej brzegu upadł. Rozbił się nie tylko kanclerz, ale także wielki człowiek; rozwiało się złudzenie o wielkim człowieku. Tak bowiem nie kończą wielcy ludzie.

Hr. Beust, którego powołanie do Wiednia zalecił był król Jan Saski cesarzowi Franciszkowi Józefowi, chcąc się go pozbyć, spowodował w znacznej mierze przy końcu października 1871 r. upadek hr. Hohenwarta; sam jednak pomimo Gasteinu i Salcburga ustąpić musiał w listopadzie miejsca, hrabiemu Juliuszowi Andrassemu, prezesowi gabinetu węgierskiego i odrazu nagiął się do stanowiska zwykłego śmiertelnika, prosząc o ambasadę londyńską, którą otrzymał. Beust powołał był z Paryża i mianował radcą dworu w ministerstwie spraw zewnętrznych Juliana Klaczko, wsławionego świetnemi z dziedziny polityki i dyplomacyi rozprawami, a który zespolił swoje nazwisko z dziejowym okresem, o którym piszę, słynną swoją książką *Dwaj kanclerze*, w której skreślił misternie działania Bismarcka i Gorczakowa. Klaczko przybywszy, zapytał się Beusta jaką mu przeznacza pracę, na co ten wytworną dał odpowiedź: „Czuję potrzebę rozmawiania z panem“. Istotnie Klaczko znany z przywiązania do Francyi, nienawiści do Niemiec, Klaczko, który wykazał był podstępne postępowanie Bismarcka, za co ten go prześladował, powołany został przez Beusta w tej samej myśli w jakiej on przybył był do Wiednia, odwetu nad Prusami i współzawodnictwa z Bismarckiem. Kiedy wojna niemiecko-francuska wykazała niemoc

Austryi, niepodobieństwo dla niej odwetu, Klaczko idąc za głosem najgłębszych i szlachetnych uczuć, wygłosił w sejmie galicyjskim, wspaniałą za Francyą mowę, o której wyżej wspomniałem. Zrozumiał on, że po niej nie mógł pozostać w ministerstwie spraw zewnętrznych i zażądał uwolnienia. — Prosząc o nie, rzekł do Beusta „Pozwól Excelencyo, abym z przychylności pochodzącą dał ci radę. I tobie nic innego nie pozostaje do zrobienia. — To, po co tu przybyłeś, po co mnie zawezwałeś, nie powiodło się; nic już znamienitego zdziałać nie możesz; ustąp, to najsposobniejsza po temu chwila". Ale Beust był zupełnie innego zdania i twierdził, że teraz dopiero jest potrzebny, myślał, że niezbędny! Gdyby był poszedł za tą radą, byłby uratował godność osobistą, a stracił tylko kilka miesięcy kanclerstwa. Upadając teraz, jeszcze nie dawał za wygraną i przybierał postawę nie tylko człowieka przeszłości, ale także przyszłości. W pożegnalnym okólniku stwierdzał bowiem, że zbawił Austryę, tak, że nie pozostaje hr. Andrassemu jak przechować, nietkniętą jego spuściznę do chwili, w której zastąpi go.

Objęcie teki spraw zewnętrznych przez hr. Andrassego wlewało szczerość w zbliżenie i porozumienie się Austro-Węgier z cesarstwem niemieckiem. Hr. Andrassy uosabiał i streszczał w sobie interesa i kierunek, w polityce zewnętrznej, trzech w monarchii czynników: Węgrów, Niemców i Polaków. Uważać on musiał Rosyę jako głównego wroga Austro-Węgier i oprzeć się na ścisłem, nie obłudnem, wolnem od ukrytych myśli przymierzu z zjednoczonemi Niemcami.

Hr. Andrassy zajmując najwyższe w monarchii stanowisko, miał za sobą przeszłość, która była drogoskazem. Przymierzem z Niemcami chciał stawić tamę potędze Rosyi, groźnej dla Węgier. Hr. Andrassy przychodził do władzy z myślą dalej sięgającą w tej mierze, niż obrona nietykalności monarchii austro-węgierskiej. Zwierzał

się z niej przed Polakami, przed Ludwikiem Wodzickim i Julianem Klaczko. Omawiał ją z ambasadorem tureckim Chalil-bejem, jak świadczą tegoż depesze do w. wezyra Ali-baszy.

Pokrzyżowane zostały jego zamiary i przyszło mu, powtarzając słowa Napoleona III.: „Jakżeż trudnem jest wszystko na tym świecie“, poddać się przeciwnym losom i inną pójść drogą, na którą wypadki i silniejszy od niego człowiek wepchnęli go.

W czerwcu roku następnego pojawiła się wieść o podróży cesarza Franciszka Józefa do Berlina. Wprowadziła ona w zdumienie, lecz właśnie niezwykłość rzeczy tłomaczono sobie jej ważnością i doniosłością. Przypuszczano, że wielkie tylko interesa nakłonić mogły cesarza austyackiego, do przykrego kroku.

Zjazd dwóch cesarzy — tak go bowiem od razu nazwano — zdawał się być stanowczem zwycięstwem polityki hr. Andrassego i zapowiedzią ścisłego, w jego myśli, w myśli przeciwnej Rosyi, związku, między Austro-Węgrami i cesarstwem niemieckiem. O ile wiem, hr. Andrassy podzielał to mniemanie. — Tymczasem między czerwcem a sierpniem, wtedy kiedy najmniej się tego spodziewano, zjazd dwóch, zamienił się w zjazd trzech cesarzy i dowiedziano się, że cesarz Aleksander II. przybędzie do Berlina w tym samym czasie co cesarz Franciszek Józef. Rozczarowanie dla wielu było nie małe, podobno nie najmniejsze dla hr. Andrassego. Klaczko powiedział: że mu zamieniono dziecko. Odbył się zatem w sierpniu w Berlinie zjazd nie dwóch, ale trzech cesarzy; w przyjaznym i ochronnym dla Austryi zamiarze, ale oczywiście nie w nieprzyjaznej dla Rosyi myśli.

Teraz niewątpliwem już było, że ks. Bismarck nie zamierzał Austryi nowej otwierać przyszłości, lecz tylko utrzymać ją w jej obecnym składzie i zasłonić ją. Było to następstwem własnego postanowienia, zadowol-

mienia się tem, co już był dokonał i zatrzymania się. Gdyby ks. Bismarck był zamierzał dalsze podboje i przeobrażenia, byłby użył do nich związku z Austryą i byłby szukał dla niej wynagrodzeń, to jest nowej przyszłości, czy to w krajach polskich, należących do Rosyi, czy na Wschodzie. Skoro chciał tylko zachować to co nabył, wystarczało zasłonięcie Austryi i postanowił ks. Bismarck zabezpieczyć się nie związkiem wyłącznym z Austro-Węgrami, ale ciągłem porozumieniem zarówno z niemi jak z Rosyą. — Zamiar ten powziął już był wtedy, kiedy odezwał się z Meaux przyjaźnie do gabinetu wiedeńskiego, albowiem jednocześnie takie same z Meaux przesłał oświadczenie do Petersburga, przygotowując trójcesarski związek, do którego wierzył, że wcześniej czy później przystąpią Włochy.

Zamiana zjazdu w Berlinie dwóch na zjazd trzech cesarzy była wyrazem tej polityki; jej rozpoczęciem, raczej próbą.

Odtąd hr. Andrassy zmuszonym został odstąpić od myśli dalej wobec Rosyi sięgającej, niż nietykalność monarchii austro-węgierskiej; od zabezpieczenia się przed Rosyą, nabytkami ziem polskich.

Dnia jednego zapytał ks. Bismarcka: „Czy miałby w razie danym coś przeciw rozszerzeniu granic Austryi tak, aby nabyła Warszawę“, a gdy ten odpowiedział: „Bardzo wiele“ — Andrassy rzekł: „Jeżeli tak, to nie mówmy więcej o tem“ i zaniechał na zawsze tego zamiaru, a przyjął myśl ks. Bismarcka, polegającą na zasłonięciu się od szkód, porozumieniem trójcesarskiem.

Takie było znaczenie i takie były skutki zjazdu w sierpniu 1872 r. trzech cesarzy w Berlinie. Innych bezpośrednich nie było. — Dalsze okazały, że przymierze trzech cesarstw w dawnem znaczeniu było niemożliwe. Sprzeczności interesów między niemi były już znaczne; tłumione niechęci wciąż się odnawiały. Te trzy pierwiastki nie mogły złączyć się ze sobą i stwo-

rzyć polityczną całość. — Nawet ks. Bismarck nie zdołał tego zdziałać.

Nie chciał on ani dzielić się Austryą z Rosyą, ani poświęcać pierwszej; ale nie myślał jej użyczać pomocy w celu zdobycia dla niej przyszłości kosztem Rosyi. Przekonany był od dawna, że przyszłość Austryi zależną była od sprawy polskiej. Nikt tego lepiej od niego nie rozumiał i nie powiedział. Jeszcze w 1854 r. w piśmie do Otto Manteuffla wyliczał pięć powodów, dla których odbudowanie Polski, zgodnem było z interesem Austryi:

1° Prusy byłyby osłabione i na wodzy trzymane.

2° Niebezpieczeństwo panslawizmu znika z chwilą, w której są dwa znaczne państwa słowiańskie różnej religii i narodowości.

3° Europa wzbogaconąby była znacznem państwem czysto katolickiem.

4° Polska za pomocą Austryi odbudowana, będzie na razie jej pewnym sprzymierzeńcem.

5° Odbudowanie Polski daje jedyną może trwałą Austryi rękojmię, przeciw skutecznemu odwetowi ze strony Rosyi, skoro sprawa włoska wywoła spór między Austryą i Francyą, albo też skoro pierwsza znajdzie się w jakichbądź kłopotach. W najgorszym razie, gabinet wiedeński pomoże sobie wnioskiem nowego podziału Polski, bez zrzeczenia się wtedy księstw Naddunajskich. Nie idę tak daleko, aby twierdzić, że Austrya dobrowolnie dokona odbudowania Polski; ale jeżeli zachodnie mocarstwa istotny wywrą nacisk, to bronić się będzie tępemi szponami w przypuszczeniu, że księstwa Naddunajskie będą wynagrodzeniem.

Jeżeli Austrya nie zrozumiała wtedy pięciu powodów, które skłonić ją powinny były do podjęcia sprawy polskiej, to tem mniej teraz chciał Bismarck pomódz jej do wyrobienia sobie na jej gruncie przyszłości. Nie chciał nawet zawarcia z Austro-Węgrami przymierza,

bo się obawiał, aby nie wywołało związku Rosyi z Francyą, bo wreszcie wiedział, że każde połączenie się przeciw Rosyi, napotka na rozpaczliwy opór cesarza Wilhelma I. Dotąd udało mu się było utrzymać podstawową zasadę swej polityki — nie dzielenia się korzyściami. Nie przypuścił do nich Rosyi, pomimo oddanych przez nią usług; szczęśliwy, iż mógł opłacić się zwolnieniem jej z ograniczeń nałożonych traktatem paryskim na Morzu Czarnem, uchwalonem przez konferencyę londyńską w marcu 1871 r. Nigdy nie jest dobrze dzielić się, kiedy można samemu zabrać; przypuszczenie do zysków drugiego, może być czasem nakazanem koniecznością, nie zezwala się na nie niepotrzebnie i dobrowolnie, gdyż zwykle okazuje się szkodliwem lub zgubnem w następstwach; doskonale to rozumiał Bismarck przez cały swój zawód. Nie chciał zwiększenia Rosyi kosztem Austryi — ale o nową przyszłość Austryi nie dbał. Aby wszystkie te względy pogodzić, powziął myśl trójcesarskiego porozumienia, spróbował w życie ją wprowadzić zjazdem berlińskim i trzymał się jej wytrwale o tyle, aby cesarstwo niemieckie zachowało zawsze dobre stosunki i związek z dwoma innemi cesarstwami, choćby z każdem z osobna.

III.

W kwietniu 1873. cesarz Wilhelm podążył do Petersburga dla odwiedzenia cesarza Aleksandra II. Towarzyszyli mu Bismarck i Moltke. Pobyt trwał dni dwanaście. W roku tym odbyła się w Wiedniu *Powszechna Wystawa*. Dała powód do nowych odwiedzin monarchów. Cesarze rosyjski i niemiecki przybyli kolejno do Wiednia. Prawdziwe, szczere przymierze między trzema cesarstwami, takie jakiem było święte przymierze, coraz wyraźniej było niepodobieństwem. Spotkania

monarchów nie usuwały współzawodnictw, ani niechęci podniecanych zarówno zewnętrzną jak wewnętrzną polityką każdego z trzech mocarstw.

We wrześniu tego roku ogólną na siebie zwróciła uwagę podróż do Wiednia i Berlina króla włoskiego, Wiktora Emanuela.

Przyjazd Wiktora Emanuela do Wiednia przykre musiał wywołać wspomnienia i uczucia. Dla monarchy, dla panującego domu, do którego należała cała rzesza książąt wydziedziczonych przez władcę włoskiego, dla cesarzowej, której siostra była jedną z ofiar włoskich podbojów i grabieży, obecność w Burgu Wiktora Emanuela, była nie miłą, bodaj czy nie bolesną. Wymagania polityki są nieraz srogie, ale ulegać im muszą monarchowie dla dobra i bezpieczeństwa państwa. W tym wypadku trudno było się dopatrzeć konieczności politycznej. Gdyby myśl, którą z początku chciał przedstawiać hr. Andrassy, była w toku wykonania, gdyby przymierze niemiecko-austryackie przeciw Rosyi nie stało się było złudzeniem; można było zrozumieć chęć i potrzebę wciągnięcia do niego Włoch, dla zabezpieczenia sobie tyłów i dla wspólności na Wschodzie. Lecz polityka ta stopniała była w rękach hr. Andrassego od zjazdu berlińskiego; przyznał się był do zamienionego dziecka, wychowywał i pielęgnował to nie swoje dziecko. Ztąd przymierze włoskie stawało się bezużytecznem na zewnątrz, nie miało powodu bytu, które mu przyznać można było przed 1870 r.; wewnątrz narażało na upokorzenie, zważywszy dwie prowincye oderwane; tylu spokrewnionych książąt pokrzywdzonych i wygnanych; sprzymierzenie się bez wyboru domu sabaudzkiego ze wszystkimi wrogami Austryi; kłamstwa, zdrady, niezliczone podstępy. Wreszcie Włochy zdeptały były wszelkie prawa głowy kościoła katolickiego, zabrały jej stolicę, Rzym, wieczne miasto. Katolickiej dynastyi Habsburgów i katolickiej Austryi obojętnem to być nie

mogło i nie powinno było być. Okazało się to, kiedy w r. 1875 cesarz Franciszek Józef uznał za właściwe oddać królowi Wiktorowi Emanuelowi odwiedziny nie w Rzymie, lecz raczej w Wenecyi.

Łatwem do odgadnięcia i zrozumienia, że rzecz przygotowaną została w Warżynie, gdzie przebywał teraz zwykle Bismarck i zkąd rządził. Widocznie ztamtąd narzuconą została Austryi i jej monarsze ta ofiara, a zarazem przygotowaną była droga do bliższego porozumienia, do owego przewidywanego przez kanclerza niemieckiego, przystąpienia Włoch do trójcesarskiego związku. Potrzebnem to było Bismarckowi, w obec Francyi, gdzie zdawała się przygotowywać monarchiczna restauracya po pogodzeniu się dwóch odłamów rodu Burbonów; chciał odjąć Francyi wszelkie złudzenia co do przymierzy.

Jednocześnie Bismarck już prowadził wewnątrz wojnę z kościołem katolickim i pod tym także względem był mu na rękę pobyt króla włoskiego w Wiedniu, jego z cesarzem austryackim pojednanie. Podróż z Wiednia do Berlina Wiktora Emanuela, w prawdziwem postawiła świetle odwiedziny jego w stolicy Austryi. Były one pociągnięciem ks. Bismarcka na szachownicy europejskiej, do którego rękę przyłożył hr. Andrassy.

Nastały czasy niedowierzania, wzajemnego śledzenia i pilnowania się mocarstw. Polityka ks. Bismarcka nie pragnąca ani chcąca już wojen, doprowadziła przecież do uzbrajającego się pokoju. A jednak zdawać się mogło, że wielka polityka zamarła lub zasnęła długim, nieprzerwanym snem. Już nikt, nawet Polacy, nie oczekiwali zawikłań i starć na wiosnę. Nie łatwo też było komukolwiek pokusić się o przeobrażenie karty europejskiej, odkąd dozwolono jednemu mocarstwu wzrosnąć w środku Europy do niezwykłych rozmiarów i do nadzwyczajnej potęgi wojskowej, przewyższającej o wiele siły

każdego z osobna mocarstwa. Zwykle taki nadzwyczajny wzrost jednego państwa wywoływał połączenie się innych przeciw niemu i ono kładło dopiero tamę jego nieznośnej przewadze. Lecz teraz rozprężenie było tak ogólne, upadek na duchu i osłabienie tak powszechne, że Europa nie zdolna była zespolić się w koalicyę, aczkolwiek nie zbywało jej na chęci i aczkolwiek przeczuwała jej potrzebę. Ztąd dziwne, mdłe, bezbarwne położenie; w którem Niemcy nie odważały się już na krok naprzód, a Europa nie śmiała i nie chciała nigdzie ich zaczepić. Niemcy, jako militarne i podbójcze mocarstwo, winny były iść dalej, winny były przynajmniej dokończyć dzieła jedności narodowej; lecz wstrzymywało je poczucie, że koalicya, acz nie istniejąca, jest w powietrzu, i że każda nowa zaborcza zachcianka mogłaby ją stworzyć. Europa znowu, raczej składające ją mocarstwa i państwa, czuły ciężar cisnący je, lecz nie czuły w sobie dość siły i dość woli, aby go zrzucić ze siebie; osłabione trudnościami wewnętrznemi, z niedokończonem przekształceniem wojskowem, z kłopotami pieniężnemi, przyjmowały ospale *status quo*, pocieszając się myślą, która mogła być złudzeniem, że ani jednego kroku naprzód nie pozwoliłyby zrobić Niemcom. Tymczasem, gdzie nie szło o zabory, o rzeczywisty wzrost, tam dla miłego spokoju, wszyscy niemal, we wszystkiem ustępowali ks. Bismarckowi jak się to pokazało przy uznaniu rządów marszałka Serano w Hiszpanii. Jedna Rosya, godnem i pełnem znaczenia zachowaniem się w tej sprawie, wyróżniła się, nie uznając tych rządów wbrew życzeniu Bismarcka, co posłużyć mogło za przestrogę.

Zastój i bladość polityki ogólnej były następstwem tych stosunków. Nie było ani jednej sprawy, ani jednego wypadku, któryby żywiej zajmował umysły, lub rozognił wyobraźnię. Przewaga Niemiec przygniatała

Europę i Bismarck tem się zadawalniał nie bez obaw i czujności.

Zdawać się mogło, że podróż cesarza Franciszka Józefa z hr. Andrassym w lutym 1874 r. do Petersburga zmieni nieco ten stan rzeczy, że zaznaczy się jako przeciwdziałanie w obec wszechpotęgi Niemiec, ciążącej jak zmora nad wszystkiem i nad wszystkimi. Wielu widziało w niej, pierwszą próbę, może nie dojrzałą zachciankę, wyswobodzenia się z pod wyłącznego, złowrogiego wszechwpływu niemieckiego, upatrywało chęć, jeżeli nie oporu, to wysunięcia się z pod nacisku Berlina. Podróż mogła dać początek nie zbrojnej, ale duchowej koalicyi przeciw wszechwładztwu Niemiec. — Niemcy bowiem zdobyły sobie były wszędzie poszanowanie, nigdzie miłości! Na razie podróż nie wykazała skutków.

IV.

Przez ołowiane niebo przeleciała błyskawica.

Raptem na wiosnę 1875 r. pojawiły się wieści wojenne. Ks. Bismarck i jego organa srożyć się poczęły na Francyę. Moltke odezwać się miał, iż należy ją uprzedzić. Ambasador niemiecki w Londynie hr. Münster mówił o prawdopodobieństwie starcia. Powstało mniemanie, że Bismarck chce uderzyć na Francyę zanim dokończy uzbrojeń i upuścić jej krwi tak, aby ją ubezwładnić na zawsze lub na długi czas. Wywołało to nie małe wrażenie; z tchem zapartym oczekiwał świat wypadków. Jeden hr. Andrassy, czy był wtajemniczony przez Bismarcka, czy ocenił dobrze położenie, od początku nie wierzył w wojnę i Austrya ani jednego reńskiego nie wydała, ani jednego żołnierza nie powołała pod broń.

W tem 10. maja cesarz Aleksander II. i kanclerz Gorczakow przybyli do Berlina. Natychmiast rozeszła

się wiadomość, że wojna została zażegnaną za wpływem i pod naciskiem Rosyi, za sprawą ks. Gorczakowa. Wysłał on do ambasad i poselstw okólny telegram, który zaczynał się od słów: „Teraz pokój jest zapewniony“.

Ks. Bismarck zawsze i nieodmiennie zapewniał, że nie miał zamiaru uderzenia na Francyę, że pokój na wiosnę 1875 r. wcale nie był zagrożony, że zachcianki wojenne były mu kłamliwie przypisywane przez ambasadora francuskiego w Berlinie Gontaut-Biron i że cała rzecz była wymysłem ks. Gorczakowa, który zapragnął ukazać się jako anioł pokoju i zbawca Francyi, aby zadość uczynić swej niezmiernej starca próżności i trawiącej go zazdrości. To samo twierdzi on w pośmiertnych *Myślach i Wspomnieniach*: „W owej chwili, równie jak później, zamiar uderzenia na Francyę tak dalece mi był obcym, że raczej byłbym ustąpił z kanclerstwa, niż bylbym podał rękę do wojny rozpoczętej pod jakimbądź pozorem, w jedynym celu, przeszkodzenia Francyi odetchnąć i odzyskać siły“.

Obawy były tak powszechne, zdawały się być tak uzasadnione, że królowa angielska Wiktorya napisała list do cesarza Wilhelma, w celu zażegnania wrzekomych zamiarów wojennych Bismarcka.

Rzecz pozostała niewyjaśnioną. Zamiar Bismarcka był nieuchwytnym; twierdzenie ks. Gorczakowa prawdziwe czy nie, jawnem.

Francya zbroiła się pospiesznie, z godnym uznania patryotyzmem znosiła największe ofiary dla wskrzeszenia i uporządkowania sił wojskowych; aby je zakryć, izby zezwalały na umieszczanie także w innych niż ministerstwa wojny rubrykach, wydatków na wojsko. Bismarck wiedział o tem i mogło to zaostrzyć jego obawy i czujność. Inne okoliczności przyczyniały się do jego rozdrażnienia. Rosya jakby na przekór Niemcom, nie uznała była w Hiszpanii rządów marszałka Serrano,

powstałych w skutku wygnania, niedawno powołanego na tron ks. d'Aosta; wreszcie te rządy pomimo opieki Niemiec upadły były. Papież wydał był list do biskupów niemieckich zachęcający do walki i wytrwania w sporze z państwem, a Bismarck w tej sprawie nie znalazł u rządu włoskiego dobrej woli na jaką liczył. Były więc powody niezadowolnienia i troski. Ks. Bismarck dał im wyraz groźbami wojennemi w swoich berlińskich organach i wysunięciem myśli zażądania od Francyi rozbrojenia. Chciał on zapewne przerazić ją i odjąć jej pewność, że nigdy, w żadnym razie, cokolwiekby przedsięwzięła, uprzedzoną i zaczepioną nie zostanie. Żeby zaś miał istotny zamiar uderzenia na Francyę: nie łatwo przypuścić. Byłoby to sprzecznem z postanowieniem zadowolnienia się dokonanemi dziełami i zatrzymania się; byłoby to dla zażegnania dalekiego niebezpieczeństwa, narażeniem się na bezpośrednie, przez wywołanie koalicyi: wreszcie korzyści nawet zwycięstwa byłyby wątpliwe, jeżeli nie wprost ujemne. Inne mocarstwa nie mogły zezwolić na nowy pogrom Francyi, ani na jej rozbrojenie, bo wiedziały, że byłoby to rozbrojeniem jutro Europy. Ks. Bismarck, uderzając na Francyę dla uniemożebnienia koalicyi, narażał się na niebezpieczeństwo wywołania jej.

Wytworzenie zaś, nie zawieszonego nad Francyą gromu, dla zaszczytu i chwały zażegnania go i zasłonięcia przed nim, odpowiadało usposobieniu, próżności, zazdrości i chełpliwości ks. Gorczakowa. Czuć poczynał, że i on się co do Bismarcka przerachował; widział, że ten, który się zwał ongi jego uczniem, nie tylko przerósł mistrza, ale wyzwalał się z pod jego rad i opieki. „Proszę — pisał był Bismarck do Gorczakowa — nie uważać mnie odtąd za potulnego wychowańca dyplomatycznego, jakim mnie znałeś w Petersburgu, ale liczyć się z tem, iż jestem twoim kolegą, odpowiedzialnym za politykę mojego cesarza i wielkiego mocarstwa".

Korzyści, które Rosya odniosła była dotąd, w zamian za przychylną dla Prus neutralność podczas ich niesłychanego wzrostu, były za małe w stosunku do strat, szczególniej do niebezpieczeństw, które ztąd w przyszłości grozić jej mogły. Dla tego, pomimo serdecznych jeszcze na pozór stosunków, pomimo przyjaźni dwóch cesarzów, ks. Gorczakow mógł zapragnąć i urządzić sztuczny odwet i sztuczne zadośćuczynienie miłości własnej.

Po której stronie była prawda, czy po stronie Bismarcka, czy po stronie Gorczakowa, zawsze skutki i następstwa tego zajścia nie były obojętnemi. Stało się ono pierwszą porażką Bismarcka, odczuł ją i nieprzebaczył jej nigdy Gorczakowowi. Chociażby istotnie nie miał był zamiaru uderzenia na Francyę, ściągnął tę porażkę na siebie zapomnieniem, że są położenia, w których można uderzyć lecz nie grozić. Skorzystał z tego ks. Gorczakow. W gniewie i rozżaleniu Bismarck zrzucił winę za wieści o wojennych zamiarach, na katolików i Polaków. Rosya, będąc jedynem mocarstwem, które stanąć mogło na czele koalicyi przeciw Niemcom, nie mógł Bismarck wywrzeć ani na niej, ani na Gorczakowie zemsty, musiał połknąć dławiący go gniew, musiał przyjąć w milczeniu stworzone przeciw niemu położenie, bo, pomimo swojego oburzenia, niezmiernej armii i całej potęgi cesarstwa niemieckiego, nie mógł nie liczyć się z północnym sąsiadem. Musiał zatem przyjąć stworzone cesarzowi Aleksandrowi stanowisko króla królów, rozjemcy, opiekuna pokoju, co gorsza Francyi. Zajście to miało ten ważny skutek, iż stało się przepowiednią i początkiem sojuszu rosyjsko-francuskiego. Rozczarowało ono Bismarcka co do skuteczności i stałości trójcesarskiego związku i obudziło w nim po raz pierwszy myśl szukania innych dla swojego dzieła i polityki rękojmi. Na razie jednak zbywało mu na nich i zadowolnić się musiał temi, które mu dawało porozumienie trzech cesarzy, choć naraziło go było na dotkliwy za-

wód; ono do czasu przynajmniej utrzymywało w bierności i bezsilności żywioły koalicyi przeciw Niemcom. Z drugiej jednak strony potrójny związek stawał się teraz łagodnem wędzidłem dla Bismarcka i potęgi wojskowej Niemiec; wartą dwóch mocarstw, niepozwalającą trzeciemu zrobić kroku naprzód. Tylko z tego podwójnego punktu widzenia, zrozumiałem było potrójne przymierze, bo inaczej, pytam, przeciw komu i w jakim celu istnieć mogło? Było to przymierze uniemożebniające z jednej strony koalicyę przeciw Niemcom; stawiające z drugiej zaporę ich zachciankom i bezwzględności.

Działania wewnętrzne Bismarcka.

Usiłowaniem Bismarcka po zwycięstwach, było: zabezpieczyć swoje dzieło i zdobyte korzyści, zewnątrz i wewnątrz. Zewnątrz przed koalicyą, wewnątrz przed stronnictwami wywrotu, przed socyalistami, oraz przed tak zwanym partykularyzmem, to jest przed oporem stawianym na szkodę jedności narodowej, pruskiemu panowaniu i pruskiej przewadze w cesarstwie niemieckiem.

W polityce zewnętrznej poskromił w sobie żądzę dalszych nabytków, jedynie chęć pozyskania w ten lub ów sposób Holandyi dla cesarstwa niemieckiego nawiedzała go czasem. Nigdy nie zapragnął niemieckich krajów Austryi; nigdzie, ani w jego działaniach, ani mowach, ani pismach, ani w pośmiertnych *Myślach i Wspomnieniach*, nie ma śladu, aby żywił w tej mierze jakiekolwiek zamiary; przeciwnie, wszystko świadczy, że postanowił utrzymać nietykalność Austryi, w obecnym jej składzie. O walce z Rosyą, o tak zwanem przełamaniu potęgi rosyjskiej i odepchnięciu Rosyi od Europy, nigdy nie myślał; postawił sobie za zadanie uniknąć starcia z nią i zawsze usiłował zachować z nią związek. Myślał jedynie i starał się o to, aby na wszelki wypadek być gotowym, własną siłą i przymierzami zasłonić zwycięsko swoje dzieło, cesarstwo niemieckie; przedewszystkiem, nie dopuszczając do ude-

rzenia na nie, następnie, zapewniając mu w razie danym skuteczną obronę. Tę przedewszystkiem widział w zachowaniu wyższości wojskowej cesarstwa wobec każdego mocarstwa. Dla tego jego wewnętrzne działania zmierzały przeważnie do uzyskania środków potrzebnych dla zwiększania, dla coraz większego rozwoju i wydoskonalenia sił wojskowych. Gdy szło o pogotowie wojskowe, o zaprowadzenie nowych urządzeń i wynalazków, gdy szło o septenat wojskowy, kładł na szali powagę swojego słowa, męską wymowę, osobiste wzięcie, wreszcie niejednokrotnie obawy wojny, które sam wytwarzał.

I.

Urządzenie wewnątrz drugiej części dzieła Bismarcka, czyli drugiego jego dzieła, cesarstwa niemieckiego, ma znamię pośpiechu. W głównych zarysach nakreślonem zostało na obcej ziemi, podczas wojny; wielkim swoim rozumem zrozumiał Bismarck, że w owej chwili, wobec oblężonego Paryża, szczegóły trzeba było poświęcić dla doprowadzenia do skutku jedności niemieckiej z przewagą pruską. Wbrew zdaniu znacznego zastępu, na czele którego stał następca tronu, nie nalegał Bismarck na scentralizowanie zbyteczne czynników wchodzących w skład cesarstwa; pozostawił w pewnym zakresie znaczną niezależność i autonomię przystępującym do związku państwom; pozostawił zwłaszcza to, co księżętom panującym schlebiać mogło. Wiedział, że Prusy nabytkami przed i po wojnie 1866 tak dalece się zwiększyły i wzmogły, a dowództwem armii związkowej tak wielką i istotną nabywały siłę, iż były w stanie stawić czoło wszelkim złowrogim, choćby odśrodkowym dążeniom; wiedział, że prawdziwa moc odtąd spoczywała w ręku króla pruskiego, który był

cesarzem niemieckim; wystarczało mu to, tak pod względem pruskim jak niemieckim. Ztąd jednak powstały, raczej pozostały w nowym tworze nieforemności; przy zewnętrznem przedstawicielstwie cesarstwa, przedstawiciele dyplomatyczni niektórych państw związkowych; pewne niejasności i nieokreślone dokładnie zakresy, jak stanowisko kanclerza i władz związkowych w stosunku do pruskich. Dla silnej woli Bismarcka, a nawet bezwzględności nie wytworzył ten stan rzeczy zbytnich trudności w Niemczech; napotykał je raczej w Berlinie, na dworze i w około dworu, walczył z niemi i łamał je namiętnie, na przemian z gniewem to z rozżaleniem, odsłaniając w tych zapasach słabe swe strony. Czasem niespokojna podejrzliwość i drażliwość jego, wytwarzały spiski i działania przeciw niemu, które nie istniały. Stworzywszy na zewnątrz cesarstwo, nie okazał twórczości w wewnętrznem jego urządzeniu i na tem polu nie pozostawił po sobie nic pomnikowego. Łączył się i walczył na przemian z wszystkiemi niemal stronnictwami, świetnie, ale nie płodnie.

Wobec socyalizmu i wywrotowych dążności nie kierował się ani przekonaniami, ani zasadami, ale poczuciem władzy, które on ostatni miał. Przyznawał, że w socyalizmie, nawet w komunie paryskiej była szczypta prawdy; popierał i przeprowadzał ustawy czyniące zadość niektórym socyalistycznym zasadom, za pomocą socyalizmu państwowego; ale nie rozbrajał państwa wobec dążeń wywrotowych, wprowadzał i obstawał za wyjątkowemi ustawami i zarządzeniami przeciw socyalistom, bo wiedział, że wyjątkowe złe, wyjątkowych wymaga środków i że państwo, zarówno jak społeczeństwo, ma obowiązek bronić się przed jawnym zamiarem wywrócenia go. Słowa nowoczesnej zagadki społecznej nie odgadł jednak i on, ani nie wynalazł lekarstwa na chorobę; jeden dowód więcej, że to nie nowa, ale dawna za-

gadka, że to niewyleczalna choroba, że to złe, którego usunąć zupełnie nikt i nigdy nie zdołał, z którem zawsze walczyć trzeba.

Tak w Północnym Związku Niemieckim jak w Cesarstwie, wybory do parlamentu związkowego ustanowione zostały na podstawie powszechnego tajnego głosowania. Bismarcka nie przerażał ten środek, jak go nie przerażał żaden wywrotowy, służący do jego celów bezpośrednich; znał doskonale wartość istotną powszechnego głosowania i nazywa je najdzielniejszym fortelem i receptą ówczesnego liberalizmu. Ale jak w całym zawodzie tak i tu kierował się względami polityki zewnętrznej i zaborczej, a te nakazały mu użyć powszechnego głosowania jako dzielnego sposobu zjednoczenia Niemiec i skazania na milczenie i niemoc wszelkiego oporu. Znowu więc przywłaszczył sobie broń ze zbrojowni napoleońskiej i użył jej na szkodę przeciwników, na tem większy własny pożytek i dla własnego uroku, bez troski o zasady zachowawcze, a może i następstwa. „Nigdy nie wątpiłem“ — pisze w *Myślach i Wspomnieniach* — „że gdy naród niemiecki zrozumie, że obecne prawo wyborcze jest rzeczą szkodliwą, będzie dość silnym i roztropnym, aby się go pozbyć“. Zatem użył środka szkodliwości którego był świadomy; bo wyżej stawiał pożytek natychmiastowy, niż dalekie groźby. Bismarck lubił igrać niebezpiecznemi środkami; schlebiała mu moc wywoływania i zażegnywania złych duchów. Był zdania, że dla państwowego i narodowego wielkiego celu, należy użyć, w potrzebie, wywrotowych sposobów. Ale Bismarck posiadał jeszcze sztukę rządzenia.

II.

Dwaj najwięksi dziewiętnastego stulecia ludzie: Napoleon I. i Bismarck nie uniknęli błędu wkroczenia wrogo a niebacznie w dziedzinę duchową, to jest reli-

gijną. Zdawaćby się mogło, że jest ona otchłanią, która przyciąga, a nad którą dostaje się, po osiągnięciu największej materyalnej potęgi, zawrotu głowy. Napoleonowi I. nie starczyło czasu do cofnięcia się, szczęśliwszym był Bismarck.

Bogato obdarzony, w sile wieku, pełen żywotności mąż stanu, jakim był Bismarck, skoro nie był wewnątrz twórczym, musiał być niszczącym. Dwa niszczące działania zapełniły, po zewnętrznych zwycięstwach, długi zawód wewnętrzny Bismarcka; w sprawie religijnej i w sprawie polskiej. Niezwykłem, poniekąd nieprawidłowem było zatrzymanie się tego człowieka i tak potężnego państwa, zaniechanie dalszych na zewnątrz działań i zdobyczy; był tu nadmiar sił nie zużytkowanych i była próżnia, która musiała być zapełnioną. Skoro zewnątrz nie zdobywało się a wewnątrz nie stwarzało się, przyszło niszczyć i próżnię zapełniła wojna religijna oraz prześladowanie polskości. Te dwa działania splatały się z sobą w skutek ścisłego związku polskości z katolicyzmem.

Już w 1871 r. w Gastein ks. Bismarck zwierzył się Beustowi, że zamierza rozpocząć wojnę religijną. Spełnienienie zapowiedzi nastąpiło niebawem: w czerwcu 1872 r. rozpoczęło się w tym kierunku działanie Bismarcka; wniesioną i uchwaloną została w parlamencie wyjątkowa ustawa przeciw Jezuitom. Poprzedziła ją potwarz rzucona na twórcę stronnictwa katolickiego w W. Ks. Poznańskiem, ks. Jana Koźmiana, jakoby wrzekomy zamach na kanclerza, młodego człowieka Westerwela, natchnionym został przez niego i w kole jego przyjaciół. Westerwel przybył był po odwiedzeniu ks. Koźmiana w Poznaniu do Berlina, policya pruska dopatrzyła się w nim zamiaru zamachu na Bismarcka, nie dowiodła go nigdy i domniemanego mordercę wielkiego kanclerza, jedynie wydaliła z pań-

stwa; ale organa rządowe ogłosiły światu, że istniał zamach uknuty przez stronnictwo katolicko-polskie.

Taki był wstęp do wojny religijnej, nazwanej *Kulturkampfem*, niesłusznie, albowiem nie do podniesienia, do obniżenia poziomu społeczeństwa prowadziła. Ks. Bismarck wyznał w *Myślach i Wspomnieniach* przyczyny wojny religijnej: „Rozpoczynając *Kulturkampf*, byłem głównie spowodowany polską stroną sprawy. Od rozbratu z polityką Flotwellów i Grolmannów, od wzmocnienia wpływu Radziwiłłów na królu i ustanowieniu *oddziału katolickiego* w ministeryum wyznań, tabele statystyczne nie pozwalały już wątpić o spiesznych postępach narodowości polskiej z uszczerbkiem germanizmu w W. Ks. Poznańskiem, w Prusach wschodnich i na górnym Szląsku; żywioł dotąd zupełnie pruski *Wasserpolaków* polonizował się. Wybrano tam do sejmu księdza Szaffranka, który z mownicy wygłosił nam po polsku przysłowie: Niemiec Polakowi nigdy nie będzie bratem. Taki stan rzeczy powstać mógł na Szląsku jedynie dzięki urzędowemu poparciu danemu przez *oddział katolicki*. W Wielkim Księstwie Poznańskiem i we Wschodnich Prusach wedle świadectwa urzędowych sprawozdań całe wsie i tysiące Niemców, którzy urzędowo poczytani byli jako tacy za poprzedniego pokolenia, otrzymywali w skutek poparcia użyczonego przez *oddział katolicki* naukę po polsku i zapisani byli jako *Polacy*“.

„Istotnie w naszych prowincyach Pruskich i w Poznańskiem, nawet na Szląsku, nie podobna przyznać żywiołowi polskiemu to, czego żąda, nie niwecząc jednocześnie jedności państwa pruskiego“.

Takie powody, oparte zresztą na niedokładnych twierdzeniach, popchnęły Bismarcka do wojny religijnej i zburzenia przykładnego dawnego stanu rzeczy, oraz zadawalniających jak na państwo protestanckie stosunków kościoła katolickiego i położenia katolików. Dołączały się do nich inne. Chęć zmierzenia się, po wielkich zwy-

cięstwach, z władzą wykonywaną w dziedzinie wznoszącej się po nad wszystkie inne, a przecież działającej i wpływowej we wszystkich innych; wreszcie potrzeba bezwiedna może, iścia z prądem czasu, który pod godłem wolnomyślności, następnie bezwyznaniowości był coraz bardziej antykatolickim. Bismarck liczył na wywołane w niektórych kołach katolickich niezadowolnienie, ogłoszeniem nieomylności Papieża.

Przed samem zajęciem Rzymu przez wojska włoskie, Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański Ledóchowski, zanim uczynił znany u Wilhelma I. w Wersalu krok za prawami Papieża, wysłał był do Rzymu ks. Jana Koźmiana, aby ten z Ojcem Świętym Piusem IX. omówił zamierzone działanie. Ks. Koźmian zawiązał wtedy między Papieżem, a posłem pruskim hr. Harrym Arnimem rokowania; dostrzegł jednak wśród potoku teologicznych rozumowań posła, nieprzyjaźń do Stolicy świętej i źle ukrytą skłonność do przygotowującego się nowego porządku rzeczy w Rzymie i we Włoszech; wreszcie ciągłe i serdeczne hr. Arnima stosunki z najezdcami wiecznego miasta. Wywiózł więc przekonanie, że od zwycięzców Francyi poparcia oczekiwać nie mógł Papież i przeczuł już wtedy wojnę religijną w cesarstwie niemieckiem.

Pod obydwoma względami nie pomylił się. Świadczą o tem słowa Bismarcka w *Myślach i Wspomnieniach:* „W Wersalu między 5. a 9. listopada miałem z arcybiskupem Poznańskim i Gnieźnieńskim hrabią Ledóchowskim rozmowy, odnoszące się przeważnie do sprawy władzy świeckiej Papieża. Stosownie do przysłowia, ręka rękę myje, wyraziłem życzenie, aby dla stwierdzenia wzajemności dobrych stosunków między Papieżem a nami, wywartym został przez Stolicę świętą nacisk na francuskie duchowieństwo, na rzecz zawarcia pokoju. Obawiałem się, aby wmięszanie się mocarstw neutralnych nie zmniejszyło owoców naszych zwycięstw. Le-

dóchowski, a w skromniejszej mierze Bonnechose kardynał-arcybiskup Ruanu, przedsięwzięli u różnych członków wyższego duchowieństwa usiłowania, w celu skłonienia ich do działania w zmiankowanym kierunku. Ale zawiadomili mnie, że napotkali na chłód lub odmowę. Wywnioskowałem ztąd, że zbywało władzy papieskiej na mocy lub dobrej woli, aby nam dopomódz do zawarcia pokoju, coby zrównoważyło niezadowolenie protestantów niemieckich i stronnictwa narodowego włoskiego, spowodowane jawnem wystąpieniem za sprawą papieską; nie mówiąc już o szkodliwym wpływie na przyszłe stosunki między Niemcami a Włochami".

Każda wojna religijna, rozpoczynała się w nowszych czasach zwykle od prześladowania Jezuitów. Tak się stało i tutaj. Schlebiało to skrajnym wyobrażeniom, tak zwanemu radykalizmowi, zwłaszcza, że jednocześnie odrysowywał się kierunek rządowy, nieprzyjazny nie tylko kościołowi katolickiemu, ale w ogóle wszelkiej hierarchii kościelnej. Ks. Bismarck, który już nieraz potrafił był posługiwać się radykalizmem swoich celach, począł tracić poczucie, iż co innego jest używać narzędzia, a co innego stać się narzędziem. Antyreligijne działanie przy oklaskach radykałów, szkodliwie oddziałać mogło na zdrowie publiczne, które było jedną z przyczyn potęgi i siły państwa, wyższości nad innemi. Wyjątkową ustawą o Jezuitach, Bismarck wstępował na manowce rewolucyi francuskiej, kiedy ona zaprowadzała rozporządzenia o podejrzanych. Jednocześnie wybuchy gniewu kanclerza przeciw Polakom i coraz to nowe prześladowania dawały popęd życiu polskiemu w W. Księstwie Poznańskiem. Budzić się zaczęło mieszczaństwo, wzmagał się stan średni. Zwiększała się liczba pism publicznych; powstawał organ katolicki *Kuryer Poznański*. Cały kraj i jego przedstawiciele stanęli w obronie prawa i słuszności z powodu ustawy przeciw Jezuitom, rozwinęli wiele czynności i zdolności.

Mylnem byłoby mniemanie, że tylko silni i potężni, że tylko państwa uprawiać mogą sztukę polityczną. Mogą się nią posługiwać i w niej odnaczyć się i nią błyszczeć także słabi w obronie istnienia i praw, byle umieli; mogą zdobyć sobie w niej nieśmiertelną sławę i zaważyć za jej pomocą w dziejach, byle podołały zadaniu, także narody pozbawione państwowego bytu. Polityka bowiem jest sztuką rządzenia się wewnątrz i zewnątrz we wszelkich położeniach. Tylko nikczemne narody wyzuwające się z praw i obowiązków, zatracając swoją osobistość, pozbywają się cudnej w sprawach ludzkich, sztuki politycznej. Oczywiście, że sztuka polityczna narodów i społeczeństw pozbawionych bytu państwowego do niższego należy rodzaju niż tych, które są państwami. Pierwsza pozbawiona potężnych narzędzi, nie może zmierzać bezpośrednio do tych samych celów co druga.

Polityka państwowa ma się do bezpaństwowej, jak lew do psa, kota lub lisa. Niemniej jest ona sztuką jak tamta i wymaga wielkich zdolności, cnót i natchnień.

Widzieliśmy w dziejach narody i społeczeństwa, skazane na nią, prowadzące ją umiejętnie z powodzeniem lub bezskutecznie. Uprawiała ją Gallija za panowania Rzymu, oraz Grecy i Żydzi; Niderlandy przez chwilę wobec panowania hiszpańskiego; kolonie Ameryki północnej wobec Anglii; Włosi wobec Habsburgów; Węgrzy w Austryi; ludy słowiańskie półwyspu bałkańskiego, Rumuni i Grecy wobec Turcyi; uprawiają ją dziś Irlandczycy wobec Anglii; Armeńczycy wobec Muzułmanów; Czesi wobec Niemców w Austryi; Polacy w trzech państwach, które się niemi podzieliły; Żydzi wszędzie gdzie się znajdują. Uprawia ją w najwyższym stopniu z siłą, potęgą i wyjątkowem namaszczeniem, pozbawione obecnie świeckiej władzy, Papiestwo.

W bezpaństwowej polityce zwykle religia zespala się z tej polityki sprawą. Polityka bezpaństwowa jest najczęściej w przeciwieństwie do polityki państwowej, jednak czasem, może chwilowo lub trwale we własnym interesie, zastosować się do niej i z nią współdziałać. Postawienie zasady narodowości przez Napoleona III., dodało nowej mocy i wytknęło niemal wszędzie kierunek bezpaństwowej polityce. Polacy pod panowaniem pruskiem dowiedli dotąd, że umieją ją uprawiać, chociaż ich polityka nie była wolną od błędów.

Ks. Bismarck rozgrzewał się w walce i zapalał jakby z umysłu pochodnię wojny religijnej, jeżeli nie krwawej to przecież zawziętej. Berlin duchowo wyglądał w 1873 r. jak obóz, podczas wojen religijnych szesnastego i siedmnastego wieku.

Jeżeli głównym powodem wojny dla ks. Bismarcka była polskość, to w niej niepospolity wzięli też udział Polacy w W. Księstwie Poznańskiem i wywiązali się z niej dzielnie, patryotycznie. Na ich czele stanął teraz Arcybiskup Ledóchowski, który pierwszy z biskupów sprzeciwił się rządowi stanowczo, w sprawie nauki religii. Pobudka wojenna zabrzmiała najpierw na polskiej ziemi. Gdy wybiła zatem godzina, Arcybiskup Ledóchowski zrozumiał i uznał spójnię w W. Księstwie Poznańskiem, między katolicyzmem a narodowością polską. Polak i kapłan znalazł się na swojem stanowisku, a gdzie sumienie nakazywało, bez względu na następstwa, arcybiskup wystąpił godnie, z namaszczeniem dostojnika Kościoła polskiego, z umiarkowaniem wytrawnego męża stanu. Stał przy nim i niósł mu pomoc ks. Jan Koźmian, obdarzony niezwykłą u Polaków stanowczością zdania i niepolską wytrwałością. Już przed tem zapobiegł był u Piusa IX, u którego miał wzięcie dla głębokiej wiedzy i zapału religijnego, zniesieniu dyecezyi gnieźnieńsko-poznańskiej i podziałowi jej między wrocławską i mającą powstać berlińską,

przyczem Papież rzekł do niego, zgadzając się z nim: „Tylko nie idź w tej sprawie do Antonellego“ ówczesnego sekretarza stanu.

Bezwzględne postępowanie rządu pruskiego jednoczyło wszystkich w W. Księstwie Poznańskiem na gruncie katolicko-polskim w jego obronie. Rozpoczynała się walka, której dowódcą był arcybiskup Ledóchowski, duszą ks. Jan Koźmian. Stanisław Chłapowski określił walkę w pięknej mowie, słowy: „Trzymajmy się wiernie narodowego sztandaru, przez naszych ojców zawsze górą a przodem, równie w pomyślności jak wśród klęsk dzierżonego, trzymajmy się niezłomnie Kościoła i jego nauki, Ojca świętego, który nas tak ukochał i jedyny za nami przemawia, naszego Arcypasterza i duchowieństwa, a pod staropolskiem hasłem: *Wiara i Ojczyzna!* potrafimy dopełnić najtrudniejszych obowiązków i doczekać się ze zmiłowania Bożego — pomyślniejszych“.

Najwyższym i najostrzejszym wyrazem walki religijnej były tak zwane a znane *ustawy majowe*, wniesione przez ministra wyznań Falka w 1873 r.; dopełnione coraz to sroższemi w 1874 i 1875 r. Ks. Bismarck był zwolennikiem wojny religijnej ale nie ustaw majowych. „Nie mogłem“ — czytam w *Myślach i Wspomnieniach* — „jako prezes rady ministrów, spełniać jednocześnie służby ministra wyznań, nawet, gdybym się był cieszył dobrem zdrowiem. Praktyka jedynie przekonała mnie, że rozporządzenia prawne nowego ustawodawstwa źle były powzięte pod względem psychologicznym. Jawną mi się stała pomyłka, gdy ujrzałem pruskich żandarmów, poczciwych ludzi, ale niezgrabnych, ścigających pobrzękując ostrogami i pałaszami zwinnych i lekkonogich księży, uciekających przez skryte drzwi i alkierze“. Ks. Bismarck był tylko za zniesieniem *oddziału katolickiego*, skreśleniem tak zwanych pruskich *praw zasadniczych* zapewniających wolność religijną; za

oddaniem nadzoru szkolnego bezwzględnie państwu i za obowiązującem małżeństwem cywilnem.

Przecież ani rozłączył się z Falkiem, ani położył końca wojnie religijnej. Zawrzała ona na dobre w 1873 r. po uchwaleniu *ustaw majowych* z wszystkiemi jej następstwami, gromami Papieża, oporem niemal ogólnem episkopatu i duchowieństwa, tegoż prześladowaniem, karami, więzieniem i wygnaniem.

W listopadzie tego roku wojna między arcybiskupem Ledóchowskim i rządem była otwartą i nieubłaganą. Przesilenie było bliskiem. Rząd gotów był przed niczem się nie cofnąć; arcybiskup do końca uledz nie mógł i nie chciał i postanowił dozwolić sile działać. Siła duchowa mierzyła się z materyalną, stały oko w oko. Twarde nastawały dla W. Księstwa Poznańskiego czasy. Przyszło tam ścieśniać przerzedzone szeregi i wytrwać. Przewaga państwa stworzonego przez Bismarcka i jego osobista, uwydatniły się wpływem na społeczeństwa i inne państwa, walki religijnej w Niemczech. Poczęto ją naśladować, lub jej schlebiać. Gdyby ks. Bismarck jako przedstawiciel jedności niemieckiej, dokonanej przez północnych Niemców, stanął był do walki z katolicyzmem w imieniu protestantyzmu, byłaby to wojna religijna, jaką nieraz w dziejach napotykamy; niemniej groźna i niebezpieczna dla katolików, ale byłaby nierównie mniej w możliwych następstwach i ostatecznych wynikach doniosłą, jak ta, która zawrzała była. Walka bowiem podjęta przez państwo w imieniu nie tej lub owej religii, tego lub owego wyznania, tego lub owego punktu widzenia religijnego, lecz bezwyznaniowo, była niemal bezprzykładną w dziejach i nie dotyczyła tylko pojedynczych spraw, przekonań i wiary, lecz sięgała wyżyn najważniejszego pytania: czy społeczeństwo ludzkie obejść się może bez religii? Następstwem tej walki musiała być odpowiedź na to pytanie i w tem tkwiła ważność chwili. Walka podjęta przez najpotęż-

niejsze chwilowo państwo, groziła nie już temu lub owemu mocarstwu albo narodowości; ona była wymierzona przeciw podstawom społeczności ludzkiej. Żaden zamach nie rozporządzał, jak ten, równie potężnemi środkami materyalnemi. Nie mały to zaszczyt; nie mały dowód siły obozu katolickiego, iż przypadło mu, broniąc własnej wiary, zasłaniać zarazem wolność i byt ludzkości przed materyalną wszechwładzą i jej bezwzględnością.

Przeznaczeniem sprawy polskiej było zespalać się z wielkiemi zadaniami, przez co stała się była przez jedno stulecie europejską. Było to następstwem jej pochodzenia, nieszczęsnego dla niej, niekorzystnego dla Europy rozbioru, który kładąc koniec Polsce, dał początek sprawie polskiej. W czasach, o których mówię, najróżowsze zapatrywanie nie mogło już dostrzedz ani związku między nią a położeniem politycznem, ani promyka nadziei dla niej; zdawać się mogło, że nie istnieje i wtedy właśnie jak Feniks powstała z popiołów i dziwnym zbiegiem rzeczy, złączyła się znowu z największemi zadaniami teraźniejszości, z zagadkami przyszłości, z najżywotniejszemi pytaniami duchowemi i politycznemi. Nigdzie politycznie nie istniała sprawa polska; lecz raptem stanęła na porządku dziennym jako katolicka, a jako taka, ukazała się na wielkiej widowni świata, zahaczyła się i połączyła z wszystkiemi doniosłemi walkami i zagadkami obecnemi i przyszłemi. Polacy naraz nabrali znaczenia jako katolicy, a jako tacy, znaleźli w czasach prześladowania miliony sprzymierzeńców. Jako katolicka, sprawa polska, żyła, istniała, bo walczyła jednocześnie w W. Księstwie Poznańskiem, w parlamencie niemieckim, w sejmie pruskim, w Chełmskim i w Radzie Państwa austryackiej. I kiedy przyszła chwila, w której Polski przedstawiać nie mógł oręż, w której nie było miejsca dla tworów politycznych, obejmujących jej sprawę, w której statysta i publicy-

sta na milczenie byli skazani, wtedy, stwierdzili jej istnienie, żywotność i przyszłość: chłop ginący pod knutem za wiarę ojców i biskup uwięziony za tę samą wiarę. Chłop chełmski i arcybiskup Ledóchowski stali się jedynemi, ale jakżeż wzniosłemi przedstawicielami sprawy polskiej jako europejskiej i stali się łącznikami między nią a duchowym i politycznym ruchem świata.

Wspaniałym, pełnym godności i siły był opór stawiony przez arcybiskupa Ledóchowskiego zamachom rządu pruskiego na wiarę i prawa kościoła katolickiego. W tej zaciętej walce wydanej przez państwo, podstawie państwa, bo religii, danem było polskiemu kapłanowi pierwsze odnieść ciosy i zabłysnąć tradycyjną stałością i przywiązaniem do wiary ojców.

Pod wpływem ustaw majowych i ministra Falka, rząd nie cofnął się przed najwstrętniejszem postępowaniem dla przełamania oporu biskupów, duchowieństwa i wiernych. Uderzył naprzód w Polaków i arcybiskupa Ledóchowskiego; uwięził go w Ostrowie. Wielu księży polskich prześladowanych i uwięzionych zostało. Uwięzionym został ks. Koźmian, prawa ręka arcybiskupa i tajny delegat papieski na czas prześladowania Kościoła, zamkniętym został jego zakład naukowy młodzieży w Poznaniu, a na niemieckich teatrzykach poznańskich i berlińskich przedstawiano go nie szczędząc mu szyderstw i obelg. Piękna to, zaszczytna karta polskich dziejów, a zapisał ją czynami swemi wzniosłe arcybiskup Ledóchowski. On stałością, spokojem i niewzruszoną odwagą, pociągnął rząd niemiecki na tę znaną z dziejów drogę, po której władza świecka wlecze biskupa do więzienia. Ks. Bismarck obdarzony był zbyt bystrym rozumem, aby nawet wśród zaciętej walki stracić z oczów następstwa prześladowania wszelkiej wiary, szczególniej religii katolickiej, aby nie zmierzyć niebezpieczeństwa, które powstają z zamknięciem kraty więziennej kapłana i biskupa. Ztąd wybór pierwszej ofiary. W osobie ks.

Ledóchowskiego Polak miał przeciwważyć biskupa; rozumowano: jeżeli niebezpiecznie jest uwięzić biskupa, to przecież najbezpieczniej zacząć od polskiego, bo Polak. Zrobiono doświadczenie *in anima vili*. Pierwszy krok był najtrudniejszym. Po Polaku łatwiej było wziąć się do Niemców.

Zawsze się tak działo od rozbioru, że jedna z dzielnic polskich powołaną była do zajęcia wybitniejszego stanowiska, przedstawiając albo zbiorową myśl polską, albo ważną dla społeczeństwa polskiego sprawę. Zdawać się mogło, że jeżeli już nigdy, to przecież nie tak prędko do takiego posłannictwa powołanem będzie W. Ks. Poznańskie; lecz i tu zawiodły rachuby ludzkie, a dzięki polityce wewnętrznej ks. Bismarcka ważność tej dzielnicy wzrosła w jednej chwili nadspodziewanie i przypadło jej w udziale doniosłe zadanie, bronienia i poświęcenia się zarazem dla żywotnych interesów polskich i dla sprawy wolności sumienia, godności ludzkiej, dla prawdziwej cywilizacyi, bo dla porządku społecznego i nieoddzielnego od niego porządku duchowego. W W. Księstwie Poznańskiem toczyła się już nie teorytyczna, ale praktyczna walka o sprawę, która stała się była na razie wielce ważną i celem zapasów. Nie tylko tam szło o to, co przez wieki stanowiło treść ducha polskiego, ale także o doniosłe zadania ludzkości, obejmujące potrzeby tegoczesnych społeczeństw. Ta najmniejsza, najbardziej zgnębiona dzielnica polska, pierwsza powołaną została stawić czoło czynem, burzy niszczącej podstawy społeczne. Ogół spełnił tam do końca swój obowiązek z godnością, spokojem, wytrwałością i wytrawnością, których przykład dał arcybiskup Ledóchowski, a za nim duchowieństwo. Na gruncie obranym przez ks. Bismarcka nastąpiło połączenie ludu, szlachty, mieszczaństwa i duchowieństwa.

Ks. Bismarck, prześladując Kościół katolicki wydał był wojnę temu, co nie poczynało się w sile mate-

ryalnej. Podczas rozpraw izb w Berlinie w 1875 r. pod bokiem wszechpotężnego pana położenia, dał się słyszeć śmiały głos słabych i zgnębionych, głos przeciw dokonanym bezprawiom i pogwałceniu najdroższych ludziom praw przyrodzonych: religii i narodowości. Był to głos polski posłów z W. Księstwa Poznańskiego. Był on wytrawny i pełen miary. Ludzie polityczni tej dzielnicy umieli przedstawiać i bronić wobec wrogów sprawę swoją sumiennie, wytrwale, bez znużenia ani słabości. Byli oni dowodem, iż najlepszemi są Polacy tam, gdzie im jest najgorzej. Tam, gdzie się najsroższej obchodzą z Polakami, stają się oni najszczytniejszemi. Mowy posłów polskich wywołały burzę. Największy zawsze powstaje hałas, gdzie nie ma odpowiedzi, bo się w nim prawdę zagłusza. Po hałasie nastąpiły potwarze, których Bismarck nigdy nie szczędził Polakom. Do krzywdy dołączał obelgę, która jest słabością siły.

Walka przeciw katolikom wrzała teraz w całych Niemczech. Nową jej ofiarą w W. Księstwie Poznańskiem stał się był biskup *in partibus* Janiszewski, sufragan poznański, mąż wielkich zalet, obdarzony niezwykłym zmysłem politycznym. Zamieniał więzienie na wygnanie.

Jednak dostrzedz już można było znużenie nie w obozie prześladownych, ale prześladujących. Wielki wódz Bismarck jednocześnie zaniemógł, a że wojna, którą prowadził wielu miała przeciwników na dworze berlińskim, że cesarzowa Augusta ubolewała nad nią, a i cesarzowi Wilhelmowi nieraz nie dogadzała, gdy dotykała protestanckiego duchowieństwa i gdy szło o małżeństwa cywilne, coraz uporczywiej pojawiać się zaczęły wieści o ustąpieniu kanclerza.

Ukazała się wtedy wspaniała encyklika Ojca świętego do biskupów niemieckich, pochwalająca ich opór i zalecająca wytrwanie. Pius IX. spełnił jednocześnie niemal pełen namaszczenia czyn. Jak wódz wyszczegól-

nia na polu bitwy podwładnego znakiem honorowym za waleczność, tak Papież odznaczył arcybiskupa Ledóchowskiego w więzieniu, więc na wyłomie, purpurą. Nie mógł Pius IX. zrobić lepszego między Polakami wyboru, bo nikt z taką siłą, zarazem doniosłością dla świata katolickiego nie przedstawiał i nie bronił w owych srogich czasach, sprawy kościoła katolickiego w Polsce, jak arcybiskup gnieźnieńsko-poznański. Dając mu kapelusz kardynalski Ojciec święty, chciał zarazem w jego osobie uznać wierność, wytrwałość i przywiązanie społeczeństwa polskiego do wiary ojców, społeczeństwa, które, że jest polskiem, jest katolickiem. Była to nagroda za to, co w owych czasach kościół i naród polski wycierpieli dla wiary, zarazem zachęta i umocnienie ich na przyszłość, która miała być ciężką i niełatwą do przetrwania. Polacy, będąc rozćwiertowani i rozdzieleni, czyn Papieża wskazał i przypomniał, że jedność narodową zapewnia jedność wiary. Pius IX. w wielkiej miłości dla Polaków, którą zawsze był ożywiony, chciał także, aby mieli przedstawiciela na przyszłem *conclave*.

Coraz wyraźniej odrysowywała się walka na polu religijnem, wszystko odnosiło się do niej, wszystko z nią miało bliższą lub dalszą styczność i zdawać się mogło, że przygotowuje się, jak dawniej, krwawa walka. Bismarck pomimo swej przenikliwości i zdrowego rozsądku uroił sobie, że sprawa religijna i wpływ Papieża popchnąć mogą Francyę do wojny, podczas gdy Gambetta zawołał był: „klerykalizm oto wróg“. Zadziwiające, zdumiewające zjawisko w czasach przesiąkniętych niewiarą i obojętnością religijną! Wojny religijne wybuchały zwykle pod wpływem zagorzałości. Otóż rzeczy dochodziły do tych ostateczności, które obudzić ją mogły. Bezwyznaniowy liberalizm, upojony niesłychanemi powodzeniami i poparciem potężnych i silnych, stawał się zagorzałym i z zaciętością prowadził walkę przeciw religii; z drugiej strony prześladowania reli-

gijne nacechowane zawziętością i wykonywane z naciskiem, nieraz okrutnie, przebudziły najobojętniejszych dotąd i pchały do oporu, do walki, do zagorzałości. Wielkie powodzenie i wielkie klęski wywołują ją zarówno; upojenie szczęściem lub sroga chłosta, popychają do niezwykłych, nieraz nadludzkich czynów. Sprawa religijna zdawała się do tego dochodzić kresu w Europie. Z jednej strony upojenie i szał, z drugiej rozpacz, to zapalne żywioły, z których wybuchnąć mógł pożar. Bismarck albo zrozumiał niebezpieczeństwo i następstwa walki bez wiary z wszelką wiarą, albo też liczyć się musiał z cesarzem i znacznemi czynnikami, dość, że spróbował zwrotu. Polegał on na zamienieniu dotychczasowych zapasów, w wojnę protestantyzmu i śmiesznej herezyi zwanej starokatolicyzmem z katolicyzmem. Podczas rozpraw w izbie wyższej w 1875 r. nad zmianą konstytucyi w rzeczach religijnych, uchwycił za nić, która mogła go połączyć z obozem protestanckim wojującym i walczącym dotąd, zarówno jak katolicki. Niedość jednak było chcieć. Czasy przerastały w tej mierze Bismarcka. Wyobrażenia wieku, górujące pojęcia, katechizm wolnomyślny, sprzeciwiały się wojnie jednej religii przeciw drugiej. Bismarck nie miał wyboru. Nie danem mu było dodatnio w rozpoczętej walce działać, choćby w imieniu protestantyzmu; musiał do końca prowadzić dzieło zniszczenia i podkopywania podstaw społecznych i jak tylu innych, dawszy popęd rzeczy, zostać przez nią porwanym, lub zatrzymać się.

I tu znowu podziwiać trzeba Bismarcka rozum i siłę woli; zapisać różnicę między nim a wielu innemi, którzy tych samych co on dosięgli wyżyn. I tu Bismarck zatrzymać się umiał; bez fałszywego wstydu, powiedziawszy, że nie pójdzie do Canossy, wszedł na drogę prowadzącą do niej, odbył jej połowę, aż spotkał się z przejednanym przeciwnikiem. Już w 1878 r. Bismarck zmuszonym był w działaniach swoich wewnę-

trznych zbliżyć się, następnie oprzeć na konserwatystach, z którymi zerwał był dla połączenia się z narodowo-liberalnymi, oraz na stronnictwie katolickiem *Centrum*. W skutku tego z wolna rozpoczął odwrót w wojnie religijnej. Minister Falk, twórca *ustaw majowych* ustąpił. Na stolicy Piotrowej zasiadł nowy Papież Leon XIII. Bismarck zaraz rozpoczął z nim układy; były one mozolne i trudne, przeciągały się. W 1880 r. nastąpiło pierwsze złagodzenie *ustaw majowych*. Bismarck prowadził rokowania o ostateczny pokój z nuncyuszem wiedeńskim Jacobinim. Od 1880 r. *ustawy majowe* zostały stopniowo zmienione i rząd cofnął wiele rozporządzeń wydanych podczas walki. Pokój z Kościołem przywrócony, poseł niemiecki przy Ojcu świętym mianowany został. Wreszcie Bismarck uwieńczył dzieło zgody w 1885 r. oddając pod sąd Papieża spór Niemiec z Hiszpanią o wyspy Karoliny. Była to w swoim rodzaju wspaniała znowu niespodzianka, którą świat zadziwił. Niektóre zmiany popierane przez Bismarcka jak zniesienie *oddziału katolickiego*, skreślenie *pruskich praw zasadniczych*, małżeństwo cywilne i nadzór państwowy nad szkołami i metrykami, utrzymane zostały. Co się tyczy ducha i treści bezwyznaniowych i prześladowczych *ustaw majowych*, rząd poniósł dotkliwą przegraną i ustąpić musiał wobec niezłomności biskupów, duchowieństwa i katolików.

Wojną religijną Bismarck rzeczowo i na uroku więcej stracił niż zyskał, a co ważniejsze, niż zyskać mógł. Dla zażegnania w znacznej części urojonych niebezpieczeństw, rozpoczął walkę, która posłużyła w Niemczech do spotęgowania siły liczebnej i znaczenia stronnictwa katolickiego *Centrum*, które pod wodzą Hanowerczyka Windhorsta, genialnego przewódcy parlamentarnego, stało się potęgą w państwie, tak, iż odtąd z nią i jej naczelnikiem Bismarck i wszystkie rządy liczyć

się musiały. Bismarck znalazł w Windhorście po raz pierwszy przeciwnika, który zdolny był stawić mu czoło.

W W. Księstwie Poznańskiem Polacy stracili arcybiskupa Ledóchowskiego, który wypuszczony w 1876 r. z więzienia, wydalony i pozbawiony został swej arcybiskupiej stolicy. Wojna religijna jednak, która początkowo i głównie wymierzoną była przeciw polskości, posłużyła tam do pogłębienia uczucia narodowego we wszystkich warstwach, od szlachty do ludu wiejskiego; dostarczyła zasobów do dalszej walki i wzmocniła jej środki oraz warunki, zespalając silniej jeszcze niż dotąd katolicyzm z polskością, co wytworzyło najlepszego chłopa polskiego, wielkopolskiego chłopa.

Zamiast osłabić, wojna religijna wzmocniła i ożywiła polskość na Szląsku.

Bismarck popełniwszy błąd wojny, w której więcej mógł stracić niż zyskać, ustąpić musiał, a ustąpienie było mądrem naprawieniem błędu.

III.

Potęga i sława Bismarcka pochodziły z jego zewnętrznych działań. Istota jego geniuszu nadawała się do polityki zewnętrznej. Ztąd ona i wzgląd na nią przeważały w jego wewnętrznych działaniach. W parlamencie widział on raczej uosobienie i wzmocnienie jedności niemieckiej pod przewodnictwem Prus, niż czynnik swobody politycznej, któryby ugruntował wewnętrzne życie państwowe, oparte na instytucyach. Nie dozwolił mu wyrosnąć ani nad władzę królewską, ani nad kanclerską. Zostawił mu jedynie przeczące przywileje. Mocy obalania i zmieniania rządu nigdy mu nie przyznał. Zachował go i używał jako środek; ztąd liczył się z jego stronnictwami bez względu na zasady i tylko przez wzgląd na każdorazowe sprawy i potrzeby. Rządy jego

po utworzeniu cesarstwa były konstytucyjne, ale nie parlamentarne.

W 1872 r. w następstwie wojny religijnej i ustawy o nadzorze szkolnym, usuwającej od niego duchowieństwo i oddającej go bezwarunkowo rządowi, także dla tego, że Bismarck podejrzywał konserwatystów, iż chcą zająć jego miejsce, zerwał głośno i jawnie z niemi i sprzymierzył się ściśle z narodowo liberalnemi. Z tego sojuszu mało wynikło ustępstw dla narodowo-liberalnych i ich zasad; ale Bismarck zużytkował go dla tego, co poczytywał za potrzebne w polityce zewnętrznej, dla wojska, dla ustalenia i zwiększenia siły zbrojnej. Otrzymał w 1874 r. od większości w parlamencie powiększenie jej do 401,000 na stopie pokojowej na lat siedem, czyli tak zwany *septenat*. Otrzymał dalej dodatki do kodeksu karnego, wymierzone przeciw wrogom rządu tak zwane *paragrafy kanczukowe*.

Między tymi, których Bismarck posądzał o chęć zastąpienia go, znajdował się w pierwszym rzędzie hr. Harry Arnim. Był on najpierw posłem przy Ojcu świętym, następnie ambasadorem w Paryżu. Głucha walka toczyła się między Bismarckiem i Arnimem, który mógł liczyć na poparcie cesarzowej Augusty.

Jak zawsze Bismarck nie zawahał się. Stanowczością, której towarzyszyła bezwzględność zwyciężył.

Tak w dyplomacyi jak w administracyi musi dla dobra państwa panować jednolitość i karność. W dobrze uporządkowanem państwie ani urzędnicy, ani dyplomaci nie mogą prowadzić polityki na własną rękę; tak przy wyborach jak w rokowaniach lub stosunkach zewnętrznych, jedni i drudzy powinni trzymać się rządu i przedstawiać go lub ustąpić. Hr. Arnim był to umysł chorobliwy, niespokojny; był to człowiek o fałszywych zachciankach, skoro chciał zastąpić Bismarcka. Mało karny, nie działał ani przemawiał w Paryżu ściśle w zamiarach i stosownie do poleceń Bismarcka. Nachylał się

do stronnictwa monarchicznego wtedy, kiedy Bismarck upatrywał bezpieczeństwo w rzeczypospolitej. Prócz tego usunął dokumenta, które winny były pozostać własnością państwa. Aczkolwiek więc Bismarck mógł mieć powody osobiste złamania go, miał słuszne uderzenia w niego i usunięcia go. Uczynił to wedle swojego zwyczaju piorunująco. Odwołał Arnima z ambasady paryskiej, aresztowanie jego spowodował i proces, który zakończył się w 1875 r. skazaniem Arnima za usunięcie dokumentów państwowych. Drugi proces i skazanie w 1876 r. nastąpiły z powodu bezimiennego paszkwilu na kanclerza. Bismarck w zawiści szedł dalej niż rzecz wymagała i nie tylko złamał, ale ścigał i bezcześcił Arnima. A przecież procesy wykazały, że Arnim nie mógł być jego następcą; więcej nie dorósł do niego niż był winnym.

Zawiódł się Bismarck na narodowo-liberalnych w sprawach budżetowych, podatkowych i ekonomicznych, a może uczuł, że trzeba nawrócić.

Dwa zamachy na cesarza Wilhelma w maju i czerwcu 1878 r., w skutek których monarcha rannym został, dały początek nowemu zwrotowi. Bismarck rozwiązał parlament wybrany w 1877 r., a w wyborach stronnictwa wolnomyślne straciły większość i związek z kanclerzem. Złączył się on z koalicyą utworzoną z konserwatystów i z *Centrum*. Większość ta uchwaliła mu reformę taryfy i kolei żelaznych, podatki od tytoniu, nafty i kawy, przedewszystkiem ustawę wyjątkową „przeciw wywrotowym usiłowaniom socyalnej demokracyi“. Jednocześnie nastąpił zwrot w sprawie religijnej prowadzący do pokoju.

Do najbardziej nauczających zjawisk ówczesnych czasów należy zerwanie długotrwałych dobrych, a nawet często rozrzewniająco czułych stosunków ks. Bismarcka ze stronnictwem wolnomyślnem i zbliżenie się jego nie tylko do konserwatystów, którym się przed laty

tak nielitościwie przeniewierzył, ale nawet do *Centrum*, które wytworzyła potrzeba obrony wszystkiego, na co ks. Bismarck namiętnie targnął się w sojuszu z liberalizmem. Zwrot ten najlepiej znamionuje ks. Bismarcka, a jego pozorna zmienność była tylko nowym dowodem żelaznej woli polegającej na tem, aby w polityce nie kierować się ani zasadami, ani stałością zdania. Świadczy on zarazem, że ks. Bismarck nigdy nie był człowiekiem stronnictwa, lecz sam dla siebie celem, następnie uosobieniem państwa, skoro w jego wcieliło się osobie.

W początkach swego zawodu ks. Bismarck junkier z pochodzenia, ale i z usposobienia, przesadza w kierunku zachowawczym, aby się dać poznać, ale już wtedy z pewnem odcieniem sceptycyzmu, który pozwalał przeczuwać, że przekonania jego polityczne mogą być dla niego środkiem, ale nigdy nie przeszkodzą mu w działaniu. Doszedłszy do władzy, natychmiast poświęca bez wahania się, a nawet bezwzględnie wszystko, co w jego przeszłości stanowić może przeszkody dla teraźniejszości i zagradzać drogę do przyszłości. Zrywa z junkrami, szydzi nielitościwie z konserwatyzmu i konserwatystów, łączy się z liberalizmem, otacza się wolnomyślnemi, nie obawia się wchodzić w stosunki ze socyalistami i całą tę rzeszę wyzyskuje w sposób mistrzowski na rzecz potęgi państwa, i wszechwładzy państwowej, której staje się uosobieniem. Teraz wreszcie odrzuca zużyte narzędzie, dołącza do niewdzięczności pogardę niesłychaną, a chcąc zniszczyć i znicestwić liberalizm, depce go nogami, i wskrzesza w swem sercu dawną do zachowawczego stronnictwa miłość; usiłuje wlać w nie życie i zapalić w jego piersiach święty ogień, który sam ugasił był. Trudno sobie wyobrazić, jak naraz nielitościwym, okrutnym nawet, okazał się kanclerz dla tych narodowo-liberalnych, których tak misternie umiał pie-

ścić przez długi czas, schlebiając ich próżności. Za Izbą, ale w Izbie szczególniej poniewierał nimi. Zasłużona kara za powolność i płaszczenie się liberałów wobec kanclerza spadła na nich. Sam kanclerz z lubością przyjął na siebie wymierzenie i wykonanie kary. Z drugiej zaś strony osłabiwszy zachowawcze podstawy społeczeństwa i wyśmiawszy je, wołał na konserwatystów: „Nie dajcie się! Wy stanowicie siłę, bo was jest kilka milionów rolników, a bramy piekieł nie przemogą was!“.

Mógł ks. Bismarck zmieniać sojuszników w parlamentarnych zapasach, ale niepodobna, aby nie oceniał wartości i znaczenia szlachty pruskiej.

Szlachta pruska była rdzeniem państwa. Wierna tronowi i państwu, nigdy dla nich niebezpieczna, zawsze była na ich usługach, z ich bytem własny zespoliła. Twarda, czerstwa, karna, przejęta uczuciem obowiązku; obyczajów zdrowych, zamożna, bez zbytku, stanowiła wielce cenną siłę. W wojsku i na urzędzie wzorowa, przodowała, nie wynosząc się zbytecznie i dopomagała znacznie do rozwoju potęgi pruskiej. Była ona jak rzymski i wenecki patrycyat, jak angielska arystokracya, kastą państwową, stanowiącą zawiązek, podporę i moc ojczyzny. Szczęśliwe kraje, które taką posiadają kastę, bo ich byt i potęga spoczywają na silnej podstawie i mniej zależnemi są od zmiennych losów. Polska upadła, bo nie miała takiej szlachty jak pruska, a miała swawolną i antypaństwową. Rząd, któryby nie dbał o istnienie i pomyślność takiej kasty państwowej popełniłby wielki błąd. Z jej łona wyszedł Bismarck.

Jaki był rzeczywisty powód ówczesnego gwałtownego, szorstkiego zwrotu kanclerza trudno odgadnąć; jak zawsze tak i w tym wypadku trudno było dociec jego myśli ostatnich i ostatecznych zamiarów. To tylko pewna, że myślą jego musiał być cel całego życia — państwo uosobione w nim. Zdaje się jednak, iż socyalizm

i rozmiary jakie przybierał, były pierwszym powodem nawrócenia, które było najświetniejszym dowodem zupełnej niewiary ks. Bismarcka. Następstwem tego zwrotu było, jak powiedziałem, zaniechanie wojny religijnej i powolne wycofanie się z niej, a tak w skutek najwyższego sceptycyzmu kanclerz powrócił do zasad wiary chrześciańskiej.

Ks. Bismarck jak Feniks z popiołów liberalizmu odrodził się w jaskrawem, acz sztucznem świetle zachowawczem, okazał się dzielnym, niczem nie znużonym tak duchowo jak fizycznie szermierzem politycznym, i kiedy mniemano, iż się już wyczerpał, zadziwił świat giętkością i bogactwem środków, które miał na zawołanie, a kiedy głoszono, że podupadł zupełnie na zdrowiu, on niezmordowany, popijając tradycyonalny koniak, wygłosił w Izbie szereg długich mów podczas rozpraw nad cłami i nie tylko stawił czoło przeciwnikom, ale znalazł dostateczną siłę, aby ich zdruzgotać i sponiewierać.

Ks. Bismarck był wtedy silniejszym niż kiedykolwiek; urok jego osoby był potęgą odświeżoną, która jednając mu sprzymierzeńców, unicestwiała jego przeciwników; kiedy przemawiał w Izbie, jedni i drudzy chciwie chwytali każde jego słowo, czując, że w rękach tego człowieka niezmiennie spoczywają losy stronnictw, zarówno jak państwa, bo będąc zawsze gotowym zastosować wszelkie środki, umie niezrównanie do swoich użyć ich celów. Ks. Bismarck zwyciężywszy, zażądał urlopu i usunął się w zacisze wiejskie, ale oczy całych Niemiec zwrócone były w stronę Warżinu i ztamtąd wszyscy oczekiwali dalszego rozwoju wypadków i dalszych niespodzianek. Ks. Bismarck uosobił w sobie — państwo!

Znowu sprawy wojskowe i pomnożenie siły zbrojnej o 41,000 sprowadziły zmianę w stosunku kanclerza do stronnictw. *Centrum* zerwało z nim, a Bismarck

utworzył z odcieni zachowawczych i z narodowo-liberalnych tak zwane stronnictwo *kartelu*, które uchwaliło w 1888 r. żądaną ustawę wojskową i przedłużenie ustawy przeciw-wywrotowej.

Jak Moltke odgadł znaczenie kolei żelaznej i telegrafu w nowoczesnej wojnie, tak Bismarck zrozumiał doniosłość dziennikarstwa w nowoczesnej polityce. Posługiwał się niem biegle, nadużywał bezwzględnie. Znał jego wartość istotną. Ale skoro świat chciał być oszukiwanym i tym także środkiem w błąd go wprowadzał. Miał dziennikarstwo na swe rozkazy, bo miał tak zwany *gadzinowy fundusz*, powstały z bezprawnego zabrania królowi hanowerskiemu jego majątku.

IV.

„Austrya nie doznała w sprawie polskiej tych trudności, które dla nas pochodzą ztąd, że w W. Księstwie Poznańskiem i Prusach wschodnich, krzyżują się dążenia Polaków i Niemców, w skutek zaś położenia geograficznego Prus wschodnich, trudności nasze nierozerwalnie są zespolone z przywróceniem niepodległości Polski. Nasze położenie geograficzne i pomięszanie dwóch narodowości we wschodnich prowincyach, włącznie ze Szląskiem, zmuszają nas oddalać o ile się da powstanie sprawy polskiej“.

W tych słowach Bismarcka znajduje się wytłomaczenie jego działań w rzeczach polskich, jego wytrwałego, nieubłaganego prześladowania Polaków, Współczucie Niemców dla Polaków w 1831 i 1848 r. raziło zmysł polityczny Bismarcka, chciał na zawsze naród niemiecki z tej politycznej ułomności wyleczyć, z łatwością przeistoczył ją w polakożerstwo, na którem grał wciąż, czasem dla odświeżenia lub wzmocnienia własnego wzięcia. Postępowanie jego przeciw Polakom

było przez cały czas jego rządów nienawistne, zaprawione na przemian szyderstwem i pogardą.

Ostatnim jego wyrazem były ustawy banicyjna i kolonizacyjna oraz rzucona szlachcie polskiej obelga, iż trwoni mienie w Monte-Carlo.

Widzieliśmy, że za czasów Północnego Związku Niemieckiego, Bismarck nic nie zmienił w postępowaniu rządu względem żywiołu polskiego, że trzymał się niewolniczo dawnego sposobu pozornie prawnego, powolnego, wytrwałego, zmierzającego pewnym krokiem do celu. Raptem po utworzeniu cesarstwa, poczęło mu być pilno, zapragnął spiesznie skończyć rzecz, przyspieszył kroku; chwycił się środków gwałtownych i jawnych bezprawi. Chcąc skrócić drogę, przedłużył ją.

Powodem, dla którego państwo odbiera podbitemu lub zabranemu krajowi jego narodowy byt jest obawa, aby z niego nie skorzystał dla odzyskania niepodległości, lub żeby obcy sąsiedzi nie zużytkowali go przeciw niemu. Państwo, które przez wielką potęgę doszło do bezpieczeństwa, jak Rzym, lub słabe jak Austrya, zostawia podbitemu lub zabranemu krajowi jego byt narodowy. Prusacy wszakże czują potrzebę nie tylko posiadania ale i grabieży.

Działania wewnętrzne Bismarcka w sprawach polskich, wyrządziły znaczne materyalne szkody polskości; podniosły ją duchowo, wytworzyły stan średni patryotyczny, który trudniej zdusić niż wywłaścić szlachtę, umocniły w polskości chłopa, przedłużyły możność walki z germanizmem i uczyniły z Polaków pod panowaniem pruskiem łącznik między światem słowiańskim i światem polskim.

Bismarck wobec Rosyi.

Bismarck nauczony przykładem Karola XII. i Napoleona I., znający Rosyę z czasów swojego poselstwa w Petersburgu, umiał ocenić jej siłę odporną i nigdy nie zamyślał się z nią zmierzyć. Usiłował także oddalać wszystko, co popchnąćby mogło Rosyę do walki z Niemcami, a tem samem w następstwie zmusić je do spotkania się z odporną jej siłą. Bismarck zadawalniał się tem, iż dziełem swojem nie tylko oddalił, ale zniweczył wielki przed tem w Niemczech wpływ Rosyi, że położył koniec jej mięszaniu się w sprawy niemieckie, oraz zależności od niej Prus. Tego skutku swej polityki strzegł pilnie i zazdrośnie; nie szedł dalej; nie pragnął więcej. Aby jednak ten skutek zapewnić i zażegnać starcie z Rosyą, nie chciał jej zwiększenia terytoryalnego w Europie, mianowicie kosztem Austryi. Skoro nie napoczynał Austryi nie pozwalał, aby Rosya ją napoczęła.

I.

Już podczas wypadków 1863 r. cesarz Aleksander II. rozgniewany i znużony stanem rzeczy w Galicyi, pomocą jaką rząd austryacki zdawał się użyczać powstaniu i jego współudziałem w wmięszaniu się mocarstw zachodnich w sprawę polską, zawezwał Prusy,

aby wspólnie z Rosyą rozpoczęły przeciw Austryi wojnę i wyraził zamiar wkroczenia do Galicyi. Bismarck na to się nie zgodził.

W jesieni 1876 r. ks. Bismarck otrzymał w Warżynie cyfrowany telegram od wojskowego pełnomocnika Werdera z Liwadyi, którym na żądanie cesarza Aleksandra II. pytał, czy w razie wojny Rosyi z Austryą, Niemcy pozostaną neutralne.

Stan rzeczy w Rosyi i w Galicyi uprawniał przypuszczenie, iż szło o zabór tej prowincyi. Umysły były w tem państwie do wysokiego stopnia rozgrzane; przez Katkowa słynnego dziennikarza i jego szkołę przeciw polonizmowi i katolicyzmowi; przez Aksakowa i jego zwolenników dla zasady panslawistycznej. Działanie rosyjskie i pieniądze były widoczne we wschodniej Galicyi; zastęp unickich księży ruskich, schronił się był do Rosyi i przeszedł na prawosławie; wreszcie używanie praw narodowych przez Polaków w Galicyi i ich ścisłe stosunki z Koroną, były, wobec prześladowania Polaków w Rosyi nieznośne dla Rosyan i solą w oku panslawistycznej szkoły. Wzburzenie w Rosyi było w tych kierunkach znaczne, obok tego nihilizm działaniem swem, spiskami i zamachami stwierdzał się groźnie i nakłaniał rząd do szukania w przedsięwzięciach zewnętrznych lekarstwa na choroby wewnętrzne. Wzburzenie Wschodu i krwawe tam wypadki otwierały im pole.

Ks. Bismarck urażony zapytaniem, zgniewany sposobem w jaki postawionem zostało, odpowiedział ostatecznie: iż pierwszym obowiązkiem Niemiec jest utrzymanie przyjaźni między wielkiemi monarchiami, które wobec rewolucyi więcej miałyby do stracenia niż do zyskania, walcząc ze sobą; gdyby ku wielkiej naszej boleści, dodawał, nie udało się przeszkodzić wojnie Rosyi z Austryą, moglibyśmy zapewne pozwolić, aby nasi przyjaciele przegrywali lub wygrywali bitwy, ale nie, aby jeden lub drugi, tak ciężko został zranionym i zgnę-

bionym, iżby stanowisko jego jako wielkiego mocarstwa niezależnego, mającego głos w Radzie europejskiej, mogło być narażonem. „To oświadczenie — dodaje ks. Bismarck w *Myślach i Wspomnieniach* — sprawiło, że burza rosyjska oddaliła się od wschodniej Galicyi, a zwróciła się w stronę Bałkanów i że Rosya, zerwawszy rokowania z nami, zaczęła znowu porozumiewać się z Austryą“.

Istotnie oświadczenie ks. Bismarcka, wykluczając z jednej strony zwiększenie się Austryi polskiemi krajami rosyjskiemi, z drugiej zabór Galicyi przez Rosyę, czyniło starcie dwóch tych mocarstw bezprzedmiotowem i dało początek wojnie rosyjsko-tureckiej.

Rosya bowiem ani przeboleć, ani znieść nie mogła, iż powodzenia pruskie zaćmiły ją; ks. Gorczakow, iż Bismarck go przerósł; rząd rosyjski i cesarz, iż ani nagrody, ani wywdzięczenia za oddane Prusom usługi nie otrzymują. Tymczasem na Wschodzie ruch chrześciański i słowiański, zresztą przygotowany i podniecany przez rosyjskie wpływy i działania, biorąc początek w Bośni, coraz wyraźniej się odrysowywał i znajdował silny odgłos we wzburzonej Rosyi. Cesarz Aleksander II, rad nie rad i jak twierdzono, wbrew woli swej musiał wziąć rzecz w rękę i wejść na drogę prowadzącą do wojny. Skoro odpowiedź Bismarcka usunęła wojnę Rosyi z Austryą, pozostawała wojna z Turcyą, a do tej ze względów strategicznych potrzebną była pewność neutralności Austryi, to jest jej zezwolenie, czyli porozumienie się z nią. I pokolenie nasze świadek tylu wielkich wojen i wielkich zdarzeń miało jeszcze, jak dotąd, po raz ostatni, ujrzeć doniosłą wojnę i doniosłe wypadki.

Trzeba było wiernego, niezmiennego szczęścia ks. Bismarcka, aby właśnie wtedy stanęła na porządku dziennym sprawa wschodnia i wybuchła wojna rosyjsko-turecka. Tak dalece było widocznem, iż działo się to

z Niemiec korzyścią, iż przypuszczano, że Bismarck przygotował i wywołał te wypadki.

Jest to przywilejem czy też niekorzyścią ludzi, którzy zaważyli na szali dziejów, że przypisują im wszystko cokolwiek ważniejszego stanie się na świecie, że uważają ich za przyczynę wszystkiego. To pewna, że ks. Bismarck umiał obrót rzeczy zużytkować z podziwienia godną zręcznością. Prawda, że przeważne stanowisko państwa, na którego czele stał, ułatwiało mu zadanie, lecz nie można powiedzieć, aby ono wolnem było od trudności. Silne odrazu Bismarck zajął stanowisko, a nie byłoby ono takiem, gdyby polityka niemiecka była stanowczo antyrosyjską lub rosyjską w stopniu czułości cesarza Wilhelma dla cesarza Aleksandra; gdyby była położyła koniec wszelkim na Wschodzie zawikłaniom przez swoje *veto*, lub zapewniła Rosyi bezwzględne w nich zwycięstwo, obiecując w razie danym pomoc. Sprawa wschodnia postawiła Niemcy w najkorzystniejszem położeniu, bo wyzwoliła je z obaw koalicyjnych, bo niedopuściła na razie przymierza rosyjsko-francuskiego, bo uczyniła Austryę więcej niż kiedykolwiek czułą na skinienia z Berlina, bo ostatecznie pchnęła Rosyę w kierunku, w którym, jeżeli nie czekały ją zawody, to niezawodnie konieczność rachowania się z Austryą i Niemcami, bo wreszcie przygotowywała w przyszłości, pomimo chwilowego porozumienia, współzawodnictwo Rosyi i Austryi, ku tem większemu bezpieczeństwu cesarstwa niemieckiego.

Ks. Bismarck mógł używać Rosyi dla swoich celów; celem jego nie mogła być Rosya i jej potęga, tem mniej panslawizmu. Jeżeli cesarz Wilhelm chciał pomagać Rosyi, to ks. Bismarck widocznie chciał tylko jej nie przeszkadzać i tu na tej różnicy, bystry polityk znowu świetne odniósł zwycięstwo, które dozwoliło mu zająć górujące stanowisko i rozwinąć wszystkie zalety męża stanu, któremi od trzynastu lat świat zdumiewał. Co-

kolwiek zajść miało, korzyść i przewaga Niemiec zapewnione były i dla tego ks. Bismarck milczał, a świat przypuszczał, że jego postawa była postawą tego, który stworzył położenie.

Do tego, nadarzała się sposobność tą postawą wywdzięczyć się pozornie Rosyi za oddane, często przypominane i wymawiane usługi.

II.

Dzieje wojny wschodniej 1877 i 1878 r. nie wchodzą w zakres tej rozprawy i nie mają z nią bezpośredniego związku.

Podróż cesarza Franciszka Józefa do Dalmacyi obudziła nadzieje chrześciańskich ludności Hercogowiny i Bośni. Powstanie, które zaraz po tem w tych krajach wybuchło w lipcu 1875 r. i wychodźtwo z nich chrześcian na austryackie terytoryum, dały początek sprawie wschodniej. Mocarstwa wmięszały się w wewnętrzne stosunki Turcyi i zbiorową notą z 30 grudnia 1875 r. napisaną przez hr. Andrassego zażądały od sułtana reform.

Austro-Węgry poruszały i rozpoczynały trudne i niebezpieczne zadanie wschodnie. Odrazu zaczęło się ono tak wikłać wojną wydaną Turcyi przez Serbię i Czarnogórę 2. lipca 1876 r. oraz powstaniem Bułgaryi, iż przeciwieństwa między Rosyą i Austryą uwydatniać się poczęły coraz wyraźniej, nawet groźno. Aby je usunąć i zażegnać zawikłania, może w duchu rozmów podczas pobytu cesarza Franciszka Józefa w Petersburgu, cesarz austryacki i cesarz Aleksander II. zjechali się w Reichstadt 8. lipca 1876 r. Naradzano się tam nad możliwym w przyszłości podziałem Wschodu między Rosyą i Austryą. Car użył wyrażenia, wskazując kraje półwyspu bałkańskiego — to do mnie, to do cie-

bie należeć będzie. Ostatecznie ułożono się w ten sposób, iż w razie wojny Rosyi z Turcyą, Austrya za neutralność zajmie w chwili, w której uzna to za stosowne Bośnię i Hercogowinę. Na razie jednak postanowiono trzymać się nieinterwencyi. Zjazd w Reichstadt zażegnał wojnę między mocarstwami, przygotował ją między Rosyą a Turcyą.

Tymczasem sprzeczności między Rosyą i Austryą wypływające z istoty rzeczy i stosunków były tak znaczne, że wobec coraz większego i groźniejszego rozwoju wypadków na Wschodzie, wobec coraz wyraźniejszej konieczności dla Rosyi wmięszania się w nie, cesarz Aleksander II. nie czuł się dostatecznie zabezpieczonym, umową w Reichstadt i nie dowierzał neutralności Austryi. Czy wtedy wzięto w radzie cesarza rosyjskiego pod uwagę pytanie, ażali nie lepiej najpierw rozprawić się z Austryą wedle znanego zdania, że droga do Konstantynopola prowadzi przez Wiedeń, czy też, jak twierdził Bismarck, chciał ks. Gorczakow wystawić na próbę wdzięczność pruską i pokazać ją w prawdziwem świetle swojemu monarsze, dość, że jak wyżej powiedziano, pomimo umowy w Reichstadt, cesarz Aleksander w jesieni 1876 r. zapytał Bismarcka, czy cesarstwo niemieckie w razie wojny Rosyi z Austryą pozostanie neutralnem. Którekolwiek z powyższych przypuszczeń przyjęlibyśmy za dobre, Rosya chciała wiedzieć czy i w jakiej mierze liczyć może na Niemcy, co było zrozumiałem nawet koniecznem. Odpowiedź ks. Bismarcka oświeciła ją o tyle, iż wojna z Austryą żadnych nie mogła jej przynieść korzyści, że zatem mogła tylko bezpośrednio uderzyć na Turcyę, i że do tego niezbędnem było zapewnić sobie neutralność Austryi jeszcze lepiej niż się to stało w Reichstadt. „Wtedy — pisze Bismarck — porozumiewanie między Rosyą i Austryą rozpoczęło się — jeżeli dobrze pamiętam — najpierw w Peszcie. Układy zawiązane zostały w kierunku umowy

w Reichstadt, gdzie 8. lipca 1876 r. nastąpiło było spotkanie między cesarzami Aleksandrem i Franciszkiem Józefem; wyrażono życzenie nie przypuszczenia nas do tajemnicy porozumienia. Konwencya zawarta 15. stycznia 1877 r. między Rosyą i Austryą, a nie kongres berliński jest dla Austryi podstawą zajęcia Bośni i Hercogowiny i ta konwencya zapewniła Rosyi neutralność Austryi podczas wojny z Turcyą".

Odtąd wypadki szły spiesznie. Armia rosyjska wkroczyła do Rumunii 24. kwietnia 1877 r. i rozpoczęła się wojna.

Umożebniła ją Austrya. Hr. Andrassy, który przyszedł był do władzy z myślą walki z Rosyą w przymierzu z Niemcami i Turcyą w celu zwiększenia monarchii austryacko-węgierskiej polskiemi krajami, zgodził się teraz na wprost przeciwną politykę i kierował nią. Wbrew tradcyi ostatniego wielkiego ministra austryackiego Metternicha, poświęcał Turcyę, pewnego przeciw Rosyi sprzymierzeńca; łączył się dla jej osłabienia i zguby z Rosyą i zamiast zmierzać do zwiększenia monarchii polskiemi krajami i katolicką ludnością pragnącą dostać się pod berło Habsburgów, zapewniał jej panowanie nad dwoma prowincyami tureckiemi, z mięszaną pod względem religijnym ludnością, przeważnie jednak prawosławną, słowiańską i serbską; dwóch prowincyi, z których jedna ciężyć musiała do Czarnogóry, druga do Serbii. Jednocześnie wyzwalał u granic Węgier i Austryi liczne ludy słowiańskie i prawosławne.

Ta polityka nie mogła być ani hr. Andrassego, ani Węgra polityką. Była dla niego polityką konieczności. Hr. Andrassy w chwili przyjścia do władzy łudził się co do istotnej siły Austro-Węgier, nie zrozumiał, że już popadły były w niemoc. Sądził także, że nakłoni do swoich zamiarów ks. Bismarcka i cesarstwo niemieckie. Kiedy mu brakło dwóch danych, na których opierał się, ugiąć się musiał. Przekonał się wtedy, że

jeżeli dawniej Austrya przeważnie związkami małżeńskiemi zwiększała się, teraz już tylko wojną prowadzoną przez inne mocarstwo, pokusić się mogła o nabytki. Austrya postanowiła też skorzystać z wojny Rosyi z Turcyą dla pozyskania Bośni i Hercogowiny, aby powetować stratę włoskich krajów i stanowiska w Niemczech. Nabytek nie równoważył ubytków, ani ujemnych stron znicestwienia Turcyi; był przecież częściowem wynagrodzeniem, pożądanem nawet koniecznem dla państwa, które jest i chce zostać mocarstwem. Lecz i tego nabytku losy były zmienne, pozostały niepewne.

III.

Wojna Rosyi z Turcyą wybuchła częściowo w następstwie, świeżo wprowadzonego w stosunki polityczne czynnika — narodowości. I tutaj wywieszona przez Napoleona III., przeistoczona przez Bismarcka, zasada narodowości, była nie tylko pozorem, ale powodem wojny. Nie należy bowiem zapominać, że postawienie przez Napoleona III. zasady narodowości miało ważne skutki, które przeżyły go, oraz przegraną tej zasady, jak on ją rozumiał. Pomimo, iż obróciła się ona przeciw niemu, iż stała się w rękach jego wrogów potężną przeciw niemu bronią, zajęła i zachowała zasada narodowości, w zewnętrznej i wewnętrznej polityce państw stanowisko, którego przed tem nigdy nie miała i nie przestała od postawienia jej przez Napoleona III. być przeważnym czynnikiem politycznym wewnętrznym i zewnętrznym. W skutek sprzeczności wytworzonych tą zasadą, w chwili, w której Rosya już nie poskramiała spiski i bunty polskie, ale próbowała zgładzić naród polski i wytępić żywioł polski, szła ona zbrojna i z zapałem wyswobadzać ludy słowiańskie z pod jarzma tureckiego.

W lipcu 1877 r. cesarz Aleksander II. wydał odezwę do Bułgarów. Jako pierwsze polityczne wystąpienie władcy Rosyi po rozpoczęciu wojny, zwróciła na siebie baczną uwagę rządów i ludów, których żywotne interesa były bezpośrednio dotknięte poruszeniem sprawy wschodniej, a dalszym jej rozwojem zagrożonemi być mogły. Nie dziw, że zajęte w tej odezwie przez Rosyę stanowisko, niepokoiło umysły, oddziaływało nawet na gabinety.

Odezwa bowiem jako przemówienie po rozpoczętym czynie, różniła się znacznie treścią i duchem od oświadczeń przed wojną. Miała na względzie Rosyę, Turcyę i Bułgaryę, zdawała się zapominać o Europie i poczynionych jej obietnicach. Nie ograniczała się na zamiarze polepszenia losu chrześcian na półwyspie bałkańskim, szła nierównie dalej: bo nakazywała szeregować się im nie tylko pod chorągwią, ale i pod przewagą rosyjską, odzywając się do tradycyonalnych uczuć i historycznych wspomnień. Ostatecznie zapowiadała zaprowadzenie zarządu rosyjskiego w Bułgaryi, nie ograniczając jego trwania, ani określając znaczenia. Działaniu Rosyi i jej orężowi przypisywała wyłącznie ubezpieczenie losu Serbów i Rumunów powołaniem ich do nowego politycznego bytu, oraz kazała się spodziewać tego samego ubezpieczenia innym ludom pod panowaniem tureckiem; tem samem stwierdzała nad niemi przewagę rosyjską wobec milczącej Europy.

Pierwsza ta po rozpoczęciu wojny odezwa, dozwalała przewidzieć, jak dalece pod wpływem wypadków wojennych zmienić się mogą zapowiedzi rządu rosyjskiego, przeistoczyć obietnice i w dymie armat i karabinów, zniknąć słowne rękojmie. Dla tego odezwa nie małe, a niepokojące sprawiła wrażenie, aczkolwiek Europa powinna była być na nią przygotowaną, równie jak na dalsze w jej duchu postępowanie Rosyi, skoro

nie mogła czy nie chciała przeszkodzić podjęciu przez nią odwiecznej sprawy wschodniej.

Niektóre ustępy tej odezwy, baczną na siebie zwrócić musiały uwagę polskich poddanych cesarza rosyjskiego. Niepodobna bowiem było, aby w ówczesnem położeniu narodu polskiego pod panowaniem rosyjskiem, wyrazy odezwy do Bułgarów nie skierowały myśli polskiego ogółu na to położenie.

„Poruczyłem zabezpieczyć uśpione prawa waszej narodowości, będące niezmiennem warunkiem spokojnego i prawidłowego rozwoju całego waszego obywatelskiego bytu".

Czyż był Polak pod panowaniem rosyjskiem, któremuby te słowa nie uprzytomniły własnego losu, któryby ich nie zastósował do siebie, do swojego narodu, do jego doli, do jego praw narodowych zdeptanych, a których uznanie i zabezpieczenie wedle słów odezwy były „nieodmiennym warunkiem spokojnego, prawidłowego rozwoju całego obywatelskiego bytu". Nie, to niepodobna i te słowa cesarza rosyjskiego do Bułgarów wyryć się musiały w pamięci jego polskich poddanych.

„Celem Rosyi jest budować, a nie burzyć".

Wobec tylu zniszczeń nagromadzonych na polskiej ziemi dziwny, żeby nie powiedzieć dziki, odźwięk miały te wyrazy odezwy i obudziły uprawnione życzenie, aby nareszcie ustał tam okres burzenia, a nastąpiła chwila odbudowania tego wszystkiego co zapewnia ład w społeczeństwach i ich byt!

„Nie zemsta powodować będzie czynami naszemi, lecz miarą będzie tylko uczucie słuszności i silna wola wprowadzenia porządku i prawa, w miejsce bezładu i samowoli".

Tego wyczekiwały nadaremnie ziemie polskie pod panowaniem rosyjskiem, tego miały prawo żądać zarówno w imieniu słuszności, jak interesu państwa; usu-

nięcia bezładu i samowoli, wyjątkowego stanu rzeczy, systematu opartego na zemście!

„Życie, wolność, cześć i własność każdego chrześcianina, używać będą równej opieki do jakiegokolwiek zresztą należą wyznania“.

Piękna to była zapowiedź wolności religijnej i wyznań w Bułgaryi, o którą Polska upominała się, a której dotąd pozbawioną była nielitościwie, okrutnie, nieubłaganie we wszystkich kierunkach począwszy od prześladowania Unitów, aż do ukazu z 10. grudnia 1865 r., który ograniczał prawo własności katolików!

„Mieszkańcy urodzeni w kraju, zostaną niebawem do czynnego udziału w administracyi powołani pod zwierzchnym kierunkiem“.

Była to zapowiedź samorządu narodowego, którego gwałtownie, a nierozważnie pozbawionem zostało Królestwo Polskie, którego domagać się miało nierównie więcej prawa i miało nierównie lepsze do niego warunki od Bułgaryi.

Tak więc słowa odezwy cesarza do Bułgarów, jaskrawe rzucały światło na stosunek Polski do Rosyi, a był to objaw związku, który od chwili poruszenia przez Rosyę sprawy wschodniej w imieniu polepszenia losu ludów chrześciańskich i ich bytu narodowego, łączył nieubłaganie, lecz krzyczącą sprzecznością, kroki rządu rosyjskiego na Wschodzie z jego postępowaniem w Polsce.

Rosya idąc naprzód, zostawiała za sobą w polskich ziemiach, nie tylko dowody, ale czyny przeciw sobie. To też bystrzejsze i celniejsze w Rosyi umysły nie mogły się wstrzymać od poruszenia pytań, dotyczących sprawy polskiej.

Poruszyła ją pośrednio i mimowoli odezwa cesarza Aleksandra do Bułgarów; bo poruszyła cztery jej najważniejsze potrzeby: prawa narodowe, zapewnienie ładu społecznego, wolność religijną, samorząd.

Jeżeli dla zapewnienia Bułgarom tych dobrodziejstw i cennych nabytków Rosya musiała poruszać wielkie armie, wydawać miliony, przelewać krew ludzką i narażać się Europie, to, aby je przyznać Polakom i przywrócić im stan rzeczy oparty na słuszności i prawie przyrodzonem, ostatecznie korzystny dla państwa rosyjskiego, nie potrzebowała ona, ani tak wielkich czynić wysileń, ani takich ponosić ofiar; aby tego celu dopiąć, niepotrzebowała nikogo zwyciężać, prócz siebie samej, swoich nawyknień, nałogów i złych namiętności i dość jej było pokonać zgubny systemat, mylną naukę i błędne zapatrywanie się na sprawę; do tego nie potrzebowała wchodzić w żelazne wojny koło nakreślone ogniem i mieczem, dość jej było wyjść z błędnego koła. Potrzeba było wreszcie położyć koniec polityce zemsty, której w odezwie do Bułgarów cesarz tak uroczyście wypierał się.

Na podstawie głównych ustępów odezwy do Bułgarów, Rosya znaleźć mogła odpowiedź na pytanie: czego chcą Polacy? I mogła ona w końcu zastosować tu słowa odezwy:

„Nie nabyliście tych praw siłą zbrojnego oporu, lecz kosztem wiekowych cierpień, kosztem krwi męczeńskiej, jaką wy i przodkowie wasi skrapialiście ziemię waszej ojczyzny“.

Dla lepszego stwierdzenia sprzeczności, po wojnie oswobodzenia Słowian nastać miała sroższa jeszcze dla Polaków dola, przez całe panowanie Aleksandra III.

W polityce są sprzeczności, bo jest ona rzeczą ludzką, a w ludziach pełno ich jest.

Polityka składa się z materyalnych i duchowych czynników. Powodzenie w niej zależy od umiejętnego ich użycia, a wzgląd na takowe rozstrzyga, którym dać pierwszeństwo. Czasem trzeba jednocześnie użyć jednych i drugich w celu panowania, bez obawy narażenia się na sprzeczność. Przezorna jednak polityka sta-

rać się powinna jej unikać, licząc się, jak to nawet Bismarck uważał za potrzebne, z nieważkiemi siłami.

IV.

Rosya w wojnie 1877 r. przekonała znowu świat, że jej siła odporna jest nierównie większą, niż zaczepna. Nastąpiło nawet rozczarowanie w skutku długiego oporu Plewny. Wreszcie wojska rosyjskie, przy pomocy rumuńskich przełamały trudności i pierwsze wywołały podziw przejściem wśród zimy przez Bałkany. Stanęły pod murami Konstantynopola. I tu znowu powtórzyło się zjawisko, które już parę razy pojawiło się. Pomimo dążeń Rosyi do zapanowania w Stambule, Rosyanie mogąc go zająć, nie uczynili tego, nie pokusili się o zastąpienie krzyżem półksiężyca na świętej Zofii i u bram zatrzymali się. Dnia 31. stycznia 1878 r. zawartem zostało zawieszenie broni, a 3. marca podpisany został traktat i pokój w San-Stefano.

Ku wielkiemu zdziwieniu, jeszcze większemu oburzeniu Wiednia, traktat ten, pomimo umowy w Reichstadt i konwencyi z 15. stycznia 1877 r., nie zawierał nic o Austryi pod względem Bośni i Hercogowiny. Artykuł XIV. mówił tylko, że w tych krajach zaprowadzone być mają urządzenia określone na pierwszem posiedzeniu konferencyi konstantynopolitańskiej. Austrya dotrzymała była słowa, Rosya nie dotrzymywała go. Zdumienie i żal były tem większe w Wiedniu, iż konwencya z 15. stycznia 1877 r. stanowiła, że Rosya nie zawrze pokoju bez zawiadomienia Austro-Węgier.

Cesarz Franciszek Józef dotknięty do żywego wahał się co ma począć. Odwiedził w *Gospodzie Arcyksiąże Karol* chorego Alfreda Potockiego, przestawił mu stan rzeczy i zażądał zdania. Kończąc rozmowę rzekł:

„Ministrowie są od tego, aby kłamać, ale nie monarchowie“. W Petersburgu znowu tłómaczono się tem, że Austrya obowiązaną była z rozpoczęciem wojny przez Rosyę wkroczyć do Bośni, i że ona niedotrzymała umowy, na co w Wiedniu odpowiadano, że Rosya wbrew umowie rozpoczęła wojnę bez zawiadomienia Austryi, a że Austrya miała zastrzeżony wybór chwili zajęcia Bośni. Zwycięska armia rosyjska była wojną i chorobami znacznie osłabiona; wszystkie siły rozporządalne Rosyi znajdowały się za Dunajem, zatem w położeniu strategicznem niebezpiecznem, jeżeli nie rozpaczliwem, w razie zbrojnego przeciw nim wystąpienia Austro-Węgier. Powód do niego danym był pokojem San-Stefano. Austro-Węgry jednak mogły znieść armię rosyjską, ale nie czuły się na siłach podjąć walkę, w której w dalszych następstwach spotkałyby się z odporną siłą Rosyi. Skoro nie rozpoczęły wojny w przymierzu z Turcyą, tem mniej prowadzić ją skore były kiedy Turcya już powaloną była. Wreszcie niemieckie cesarstwo zapewniło było wprawdzie Rosyi tylko życzliwą neutralność, lecz znane określenie jego stosunku do Rosyi i Austryi w razie wojny między temi dwoma mocarstwami, wykluczając dla obydwóch korzyści z niej, powstrzymywać musiało zapędy wojenne Austro-Węgier. Można było pożądać Bośni i Hercegowiny w skutku wojny Rosyi z Turcyą; nie warto było o nie prowadzić wojny z Rosyą.

Hr. Andrassy 9. marca wniósł w *Delegacyach Wspólnych* żądanie kredytu sześćdziesięciu milionów reńskich, jednocześnie poruszył myśl kongresu europejskiego dla zmiany traktatu San-Stefano. Inne mocarstwa podniosły także przeciw temu traktatowi zastrzeżenia.

Aczkolwiek konwencya z 15. stycznia 1877 r. zawartą została w tajemnicy przed rządem niemieckim, ks. Bismarck znał prawdopodobnie jej treść. Chociażby porozumienie między Austryą a Rosyą budziło w nim

wątpliwości i obawy na przyszłość, wojna wschodnia i pokój San-Stefano, takie przedstawiały dla Niemiec korzyści, takie dawały im bezpieczeństwo i taką zapewniały przewagę, że ks. Bismarck mógł być zadowolnionym.

Wielkie stanowisko.

Działania i dzieła Bismarcka, zwycięstwa pruskie i niemieckie zapewniły wielkie w świecie stanowisko cesarstwu niemieckiemu. Byłoby to przeciwne doświadczeniom historyi i treści polityki, gdyby trzy pomyślne zwycięskie wojny: duńska, austryacka i francuska, wzmagając potęgę państwa, nie były wytworzyły mu górującego stanowiska, jak znowu, gdyby dwie nieszczęśliwe wojny, we Włoszech i z Prusami, osłabiając potęgę Austryi, nie były obniżyły jej w świecie znaczenia.

Wielkiego więc wzięcia używało cesarstwo niemieckie i nie było mocarstwa ani państwa, któreby się z niem nie liczyło. Ale może jeszcze większem było stanowisko osobiste jego twórcy, ks. Bismarcka. Niema w dziejach przykładu, aby mąż stanu, nie będący ani monarchą ani wodzem, tak znaczne w świecie zajmował miejsce i takiem cieszył się znaczeniem. Zwłaszcza po zwycięstwach, gdy nastały czasy pokojowe, potęgę i myśl państwową uosobiał Bismarck i świat przyzwyczaił się, licząc się z cesarstwem niemieckiem, liczyć się tylko z Bismarckiem. Cała sztuka polityczna polegała, przez długie, lata na odgadnięciu myśli i zamiarów Bismarcka.

Przy prawdziwej potędze i wyjątkowem znaczeniu, wtedy, gdy świat z podziwem, zazdrością i trwogą patrzał się na nie, kiedy mu się zdawało, że ani silniejszym ani szczęśliwym być niepodobna, Bismarcka na-

wiedzały dwie troski i dwie obawy. Jedna o bezpieczeństwo własnego dzieła, druga o własne stanowisko. Niespokojnym i badawczym wzrokiem mierzył stosunek sił europejskich i wciąż przypuszczał powstanie ich związku przeciw cesarstwu niemieckiemu. Widział wroga we Francyi pragnącego odwetu i czuwał nad temi, którzyby z nią połączyć się mogli.

Podejrzliwie, z niesłychaną drażliwością, śledził działania przeciwnych mu osób na dworze i w świecie politycznym; czuł urazę do wielu, posądzał cesarzową Augustę, żonę następcy tronu, Anglików, pastorów i księży, katolików i Polaków, gałęź Radziwiłłów, której naczelnikiem był ks. Bogusław, ks. Gorczakowa; wreszcie wietrzył nieprzyjazne zamiary i spiski przeciw sobie, tam nawet, gdzie ich nie było; najmniej bał się austryackich dyplomatów.

Te dwie troski, te dwie obawy roztrajały jego potężny, lwi ustrój, którego wielka gra światowa nie zdołała była wstrząsnąć. Począł zapadać na zdrowiu, cierpiał na dotkliwą w twarzy newralgię. Obawy i żółć, uraza objawiały się nieraz w małostkach nie godnych wielkiego męża stanu. Podniecała je małżonka, która znaczny nie na jego politykę, ale życie codzienne, wywierała wpływ. Księżna Bismarck, z domu Puttkamer przy poważnych zaletach, nie miała ani powabów, ani wdzięku, ale miała tę cnotę czy wadę, że nie dbając o siebie, niezmiernie żywo brała do serca wszystko, co się tyczyło męża. Bismarck mało, jeżeli nie wcale, miał do czynienia z kobietami, inaczej jak w rozmowie, w której celował i czarował, tem większy ta jedna na nim robiła wrażenie i tem więcej na niego oddziaływała. Temu przypisać w części należy spotęgowaną drażliwość, podejrzliwość i niejedną zawziętość, niejedną małostkę wielkiego kanclerza.

Przed podwójną troską, dla lepszego obmyślenia podwójnego zabezpieczenia, jak Tyberyusz na Capri,

tak Bismarck szukał schronienia, odpoczynku i spokoju we włościach swoich Warżynie i Friederichsruhe. Usuwał się tam przed badawczym wzrokiem ludzkim, przed zabiegami wrogów prawdziwych i domniemanych, przed słabością cesarza, przed natarczywością i pytaniami przedstawicieli obcych mocarstw i przed własną podejrzliwością. W samotności czuł się potężniejszym od innych. I wtedy istotnie punkt ciężkości spraw świata, zdawał się przenosić do jego wiejskich siedzib. Biegły one na drutach do niego i tam się skupiały. I świat wciąż przypuszczał, że nowe żywi zamiary, nowe przygotowuje ciosy, podczas gdy jedynemi sprężynami jego działania były już tylko dwie obawy. Monarchowie i mężowie stanu, dyplomaci i dziennikarze, uczeni i patryoci spieszyli go odwiedzać, oddawać mu hołd i badać go, szczęśliwi, gdy ich do siebie przypuszczał. I wszyscy malemi się przy nim wydawali i nie próbowali mu dorość. Rzecz dziwna, nie inne uczucie tylko obawa przyciągała do niego. On olśniewał, upajał już niezwykle pięknym dźwiękiem głosu i zawsze świetnemi myślami. Czasem z ustroni rzucał gromy, z których najsilniejszym była groźba usunięcia się.

Gdy przybywał do stolicy, aby brać udział w rozprawach parlamentu, oczekiwano z zapartym oddechem jego słów; każda jego mowa stawała się wypadkiem światowym, każda miała daleki do krańców ziemi rozciągający się odgłos i istotnie jego jedynie przemówienia miały znaczenie, jego jedynie słuchano z natężoną uwagą, z nadzieją lub trwogą. I tak długie lata rządził wielkiem państwem i sędziwym cesarzem i zdawał się rządzić światem, a górował nad wszystkiemi.

Sława jego była tak głośna, iż w azyatyckich posiadłościach Rosyi, w Samarkandzie byli żydzi, którzy nie wiedzieli nic o Rotschildach, lecz nie było takich, którym obcemby było nazwisko Bismarcka.

I.

Zewnętrznym objawem oraz uznaniem stanowiska cesarstwa niemieckiego i jego twórcy, był wybór Berlina na miejsce kongresu i przewodnictwo na nim ks. Bismarcka.

Wobec oburzenia wywołanego pokojem San-Stefano, wobec okrętów angielskich na morzu Marmora, wobec niechętnych ale wskazanych okolicznościami przygotowań wojennych Austryi, przychylnej neutralności Niemiec, niemocy Francyi, wycieńczenia wojną, z armią osłabioną za Dunajem, nie mogła Rosya narażać się na wojnę i na utratę choćby czasową, korzyści zdobytych polityką i orężem. Skłoniła się zatem do poruszonej przez Andrassego myśli, kongresu. Gabinet petersburgski zażądał od ks. Bismarcka zwołania do Berlina kongresu; życzenie to zawiózł do Friedrichsruhe hr. Piotr Szuwałow. Kongres zebrał się; na wniosek hr. Andrassego oddano przewodnictwo ks. Bismarckowi; otwarcie nastąpiło w piątek 13. czerwca 1878 r. Rosya liczyła na Bismarcka, iż pomoże jej do zachowania głównych zysków pokoju San-Stefano; Europa, że usiłować będzie zmienić je z korzyścią dla niej.

Górował Bismarck na kongresie i wielkim rozumem i urokiem i potęgą Niemiec i stanowiskiem jakie zajął „uczciwego pośrednika“, a na którem on jeden mógł w sprawach wschodnich stanąć, Niemcy, nie będąc bezpośrednio w styczności z niemi. Jeden lord Beaconsfild, mógł mu dotrzymać placu.

Kongres, który już był upokorzeniem dla Rosyi z konieczności przyjętem, zmienił na niekorzyść polityki rosyjskiej pokój w San-Stefano. Nie wiedzieć dla czego hr. Andrassy do ostatniej chwili ociągał się z wniesieniem sprawy Bośni i Hercegowiny; może czekał, żeby ją inne mocarstwo postawiło, do czego zdawać

się mu mogło, że Rosya była obowiązaną. Rosya zaś nie chciała brać na siebie wobec świata słowiańskiego oddania na pastwę Niemcom i Węgrom krajów słowiańskich. Dla tego zapomniała w San-Stefano o zobowiązaniach wziętych w Reichstadt. Zaprzeczać jednak praw Austryi nie zamierzała. Hr. Andrassy, nie mogąc się doczekać postawienia rzeczy na kongresie, udał się do ks. Bismarcka. Ten zawołał: „znowu spóźniliście się“. Jednak obiecał zrobić co się da. Sprawa wniesioną została na jednem z ostatnich posiedzeń kongresu, który przyznał Austro-Węgrom prawo zajęcia Bośni i Hercogowiny.

Polityka zatem w głównych zarysach przeciwna interesom i bezpieczeństwu Austryi, polityka jednak z namysłem i z umysłu obrana, której przedmiotem była Bośnia i Hercogowina, doprowadziła do zajęcia, lecz nie posiadania tych krajów. Miało to swoje niedogodności i nie było nabytkiem w pełnej mierze. Mogło i może dać powód do nieprzyjemnych zawikłań. Ale stosunki austryackie są tak wyjątkowe i dziwaczne, iż to kalectwo, ten sposób dzierżenia połowiczny, lepiej im odpowiada niż inny. Gdyby Austro-Węgry posiadały w całej pełni prawnie Bośnię i Hercogowinę, powstałoby kłopotliwe pytanie, do której z dwóch części monarchii mają być one przyłączone. Stan rzeczy ustanowiony na kongresie berlińskim usuwał tę trudność w daleką przyszłość, zasłaniał te kraje przed klęskami parlamentaryzmu i pozwalał w nich na rządy osobiste, mądrze sprawiane przez Benjamina Kalaya. Utrata zaś lub zachowanie ich, nie zależy od tytułu posiadania, lecz od okoliczności i siły Austro-Węgier.

Kongres berliński zamkiętym został 13. lipca 1878 r. i podpisanym został traktat berliński, najnowsza podstawa prawa międzynarodowego. Zapiszmy, iż na półwyspie bałkańskim uświęcił on zasadę narodowości postawioną przez Napolona III.

II.

Rosya boleśnie dotkniętą została wynikiem kongresu berlińskiego. Dla tak wielkiego mocarstwa już samo poddanie zmianom, traktatu zawartego z pokonanym przeciwnikiem, było uszczupleniem stanowiska i uroku. Dotkliwem było także prowadzić krwawą i kosztowną wojnę na to, aby inne mocarstwa nabyły kraje i wyspy.

Wreszcie Rosyi nasuwało się przykre porównanie między wynikiem wojny niemiecko-francuskiej i rosyjsko-tureckiej. Tam Niemcy w całej pełni odniosły korzyści zwycięstwa, nikogo do nich nie przypuściły, wzbogaciły się cennemi nabytkami, nikomu nie dozwoliły wmięszać się i stanąć między zwycięzcą a zwyciężonym. Rosya przeciwnie, prócz odzyskania okrawka Besarabii, żadnym w Europie nie cieszyła się nabytkiem; inne mocarstwa skorzystały z jej zwycięstw, aby takowe zabezpieczyć sobie i wreszcie poddać się musiała orzeczeniu Europy zebranej na kongresie. Niemcy po wojnie francuskiej znalazły się w pełni siły i potęgi; Rosya po wojnie tureckiej była osłabiona, wycieńczona i skazana w Europie na odpoczynek. I wtedy Rosya zrozumiała, że podział zysków z wielkich zapasów światowych, był nierównym i cały na korzyść Niemiec, nie bez jej własnej winy.

Na kongresie wywiązała się była cicha wojna między dwoma rosyjskiemi pełnomocnikami. Kanclerz ks. Gorczakow zasiadł na nim wbrew zamiarowi cesarza Aleksandra II., który wiedział o powstałych między nim a Bismarckiem drażliwościach i obawiał się próżności starego sługi. Ociągał się jednak z niemiłem oświadczeniem mu, iż na kongres nie pojedzie, wolał użyć do tego trzeciej osoby i wysłał zaufanego dygnitarza do ks. Gorczakowa, aby ten oględnie powiedział mu, iż

cesarzowi zbyt zależy na zdrowiu kanclerza, i dla tego nie chce go narażać na trudy podróży i kongresu. Na to Gorczakow, który leżał w łóżku i jak zwykle czytał francuską powieść, podniósł się i rzekł: „Poznaję w tem dobroć i łaskawość Naj. Pana. Ale nigdy, przenigdy nie zezwolę na to i spełnię mój obowiązek. Zechciej usunąć się, gdyż muszę wstać i natychmiast pospieszyć do cesarza".

Dygnitarz zdumiony, oszołomiony potokiem słów kanclerza nie nastawał dłużej i odszedł. Kanclerz udał się do cesarza i w ten sam sposób, wymownie i nie dając monarsze przyjść do słowa, oświadczył mu, że nie może korzystać z łaskawości jego i że uda się na kongres. Cesarz nie miał odwagi powiedzieć mu prawdy i ks. Gorczakow pojechał do Berlina.

Prawdziwym jednak pełnomocnikiem rosyjskim był ambasador w Londynie hr. Piotr Szuwałow. Ten usiłował strzedz i bronić sprawy Rosyi; Gorczakow swojego wzięcia w społeczeństwie rosyjskiem i chciał otoczyć się blaskiem patryotyzmu. Nie mogło to wyjść na dobre i Rosya musiała w wielu sprawach ustąpić, oraz zezwolić na korzyści i nabytki innych mocarstw. Ks. Gorczakow zrzucił winę na Bismarcka i oskarżył go o niewdzięczność, a za nim społeczeństwo rosyjskie. Wdzięczność w polityce obowiązuje o tyle, o ile niewdzięczność jest szkodliwą.

Wynik kongresu wywołał wzajemne między Rosyą i Niemcami rozdrażnienie, a nawet naprężenie stosunków. Ks. Bismarck twierdził, że był niewinnym, że obiecawszy jedynie przychylną neutralność dotrzymał słowa. Nie czuł się on obowiązanym i nie chciał być sługą Rosyi, ale nie zamierzał jej szkodzić. Walczył z Gorczakowem nie z Rosyą.

Stosunki między Rosyą i cesarstwem niemieckiem pogorszyły się tem także, że przed kongresem hr. Szuwałow wyraził był Bismarckowi życzenie zawarcia mię-

dzy dwoma mocarstwami, zaczepno-odpornego przymierza i że kanclerz niemiecki odmówił.

„Przedstawiłem — pisze ks. Bismarck w *Myślach i Wspomnieniach* — hr. Szuwałow moje obawy, aby polityka niemiecka, ograniczając widoki swoje do przymierza rosyjskiego i wyzbywając się takowego z wszystkiemi innemi mocarstwami dla zadośćuczynienia życzeniu Rosyi, nie znalazła się względem niej w niższości. Zauważyłem w samej rzeczy, że położenie geograficzne Rosyi i jej ustrój samowładny, dozwalają jej łatwiej niż nam wypowiedzieć przymierze, że ztąd utrzymanie starego, tradycyonalnego związku między Prusami i Rosyą, spoczywało jedynie na jednej osobie, to jest, że zależnem było, od usposobienia panującego cesarza“. „Rosya nowoczesna — dodał Bismarck — przyjęła za swoje, aż do dalszej zmiany, nie tylko sposób postępowania, ale także roszczenia Gorczakowa“.

Bismarck czuł, że wyłączne przymierze Niemiec z Rosyą musiało doprowadzić wcześniej, czy później, do zgubnych dla Austryi następstw, a Austryi poświęcać, ani korzyściami z jej upadku dzielić się z Rosyą nie chciał; jak świadczy wszystko co powyżej zapisanem zostało, oraz jego dalsze działanie.

„Nie zgodziłem się — pisze on — na wybór między Austryą a Rosyą i zaleciłem przymierze trzech cesarzy; przynajmniej utrzymanie między niemi pokoju“.

Wszystkie te zajścia wpłynęły na nowe ukształtowanie się stosunków europejskich.

Trójprzymierze.

„Trapi cię książe zmora koalicyi“ — rzekł hr. Szuwałow do Bismarcka. „Oczywiście“ — odpowiedział on. W skutku tej wiecznej troski, nie dał się oszukać pozorami bezpieczeństwa, które dać mogły przymierza. Rozróżniał orlim wzrokiem skuteczne od wątłych i ułudnych. Acz cenił wielce siłę i położenie wyjątkowe Rosyi, acz nie chciał z nią starcia, nie przyjął, jak wiemy wyłącznego z nią przymierza, chociaż przyznawał słuszność hr. Szuwałowowi, gdy ten mu przedstawiał, że najlepszym środkiem na złe, jest stałe, niezachwiane przymierze z Rosyą, dla tego, że to mocarstwo nie zaliczając się tem samem do koalicyi przeciw Niemcom, nie było związku, który mógłby zagrozić istnieniu dwóch mocarstw. W stałość i niezachwianie związku z Rosyą Bismarck nie wierzył i znane są nam powody, które skłoniły go do odrzucenia wyłącznego z Rosyą przymierza.

Lecz oczywiście nie uwolniło go to od zmory koalicyi, przeciwnie jeszcze częściej nawiedzała go.

Już w 1875 r., kiedy, jak twierdził, ks. Gorczakow nie zatrzymał niepodniesionego zresztą na Francyę ramienia niemieckiego lecz tylko chełpił się tem, aby przypodobać się Paryżowi, powziął Bismarck wątpliwości o szczerości uczuć i czystości zamiarów Rosyi i przeczuwać począł jej zbliżenie się oraz połączenie z Francyą. Kongres berliński i niezadowolnienie Rosyi,

jej rozdrażnienie, żal do Bismarcka i do Niemiec, utwierdziły go w obawach i przypuszczeniach. Przypomniał sobie, że umowa w Reichstadt między Austryą i Rosyą, zawartą została w tajemnicy przed nim i bez jego zezwolenia; mówił sobie, że dawna koalicya Kaunitza: Francyi, Austryi i Rosyi mogłaby powstać. Wreszcie odświeżyło się w nim przekonanie powzięte już w 1875 r., iż nad Newą zadawano sobie pytanie: czy nie zbłądzono, wstrzymując się od wmięszania się w wojnę niemiecko-francuską i dozwalając na tak znaczny wzrost Niemiec? W końcu stosunek osobisty do Gorczakowa i tegoż zachowanie się, znacznie wpłynęły na zapatrywania i postępowanie Bismarcka. Jedną z przyczyn jego urazy do Klaczki było, iż za wcześnie wykazał, że Gorczakow dał się przez niego wyzyskać.

Tymczasem współzawodnictwo na Wschodzie między Rosyą i Austryą poczęło się coraz wyraźniej odrysowywać i w rok po kongresie berlińskim w 1879 r. powstała naraz zażarta wojna między dziennikami rosyjskiemi a niemieckiemi i austryacko-węgierskiemi. Rosya poczęła posuwać wojsko ku granicy niemieckiej i austryackiej. Cesarz Aleksander II. napisał do cesarza Wilhelma list, który Bismarck nazywa groźnym, a w którym znajdowały się słowa: „Kanclerz waszej Cesarskiej Mości zapomniał o obietnicach 1870 r.“

Jak się to nieraz zdarza kropla przelała wodę z naczynia. We wrześniu 1879 r. ks. Gorczakow w rozmowie z Ludwikiem Peyramont współpracownikiem orleanistoskiego dziennika *Soleil*, oświadczył się Francyi z gorącą miłością.

Dziesiątego sierpnia cesarz Franciszek Józef odwiedził był w Gastein cesarza Wilhelma I. i 12. tego miesiąca pojawiła się zagadkowa, niezrozumiała wiadomość o bliskiem ustąpieniu Andrassego. Dnia 24. ten zawezwany przez Bismarcka udał się do niego do Gastein. Naradzali się do 29. W połowie września ukazała się wia-

domość, że Bismarck przybędzie z Gastein do Wiednia dla układania się o przymierze.

I.

Traktat berliński wybawił Rosyę z kłopotu, ale był dla niej wobec traktatu z San-Stefano przykrym; jednem z tych upokorzeń, o których nie zapomina się. Istotą też swoją nie tylko nie czynił zadość nadziejom i dążeniom Rosyi, ale nie odpowiadał ofiarom przez nią poniesionym, ani zwycięstwom jej wojsk. Nareszcie stał się najdotkliwszym przez to, iż jak powiedziałem, w skutek wojny, której koszta ogromne poniosła jedynie Rosya, Austrya nabyła, stosunkowo małemi ofiarami, dwie prowincye, Anglia zaś piękną wyspę i prawo opieki nad Azyą mniejszą, a nieco później Francya Tunis. Smutny to był dla Rosyi koniec wojny podniesionej niebacznie w skutek panslawistycznej gorączki, a nieudolnie wyzyskanej, dla braku dyplomatów dawnej miary, których zdawała się już nie posiadać. Wolno jeszcze było przypuszczać, a Rosya mogła się łudzić, że traktat berliński pozostanie w blisko obchodzących ją sprawach, martwą literą, że wykonanym nie zostanie. I rzeczywiście przez pewien czas zanosiło się na to i nie wiele brakowało, aby niewykonanie traktatu berlińskiego nie pociągnęło za sobą drugiego rozbioru Turcyi. Tymczasem rzeczy niespodziewanie zupełnie inny wzięły obrót. Traktat berliński utrzymanym został w c łej swej mocy; zmuszono Rosyę do wykonania go aż do ostatniej litery i to sumienniej i dokładniej może, niż to uczynili inni kontrahenci, jakby dla odpokutowania traktatu z San-Stefano. Umartwienie Rosyi stało się zupełnem; bezsilność jej dyplomacyi widoczną, a wykonanie traktatu berlińskiego było dotkliwszem niż jego podpisanie. Zdanie to podzielał mąż stanu ważne i do-

niosłe w sprawach europejskich zajmujący miejsce i twierdził, że wykonanie traktatu berlińskiego przez Rosyę, taką będzie dla cesarza i rządu klęską i upokorzeniem, iż wywoła wewnętrzne wstrząśnienia i zmusi do ustępstw i zmiany systemu. Mylił się pod ostatnim względem, bo jak większa część ludzi ważne w sprawach europejskich zajmujących stanowiska, nie znał dostatecznie Rosyi. Nie mylił się jednak, że wykonanie traktatu berlińskiego ciężyć będzie jak ołów nad Rosyą tak dalece, iż nie zdoła ukryć żalu, boleści i doznanego zawodu.

Traktat berliński stał się na razie dla Rosyi tem, czem przez długie lata był traktat paryski; nieznośną zaporą, upakarzającemi więzami, obrazą miłości własnej narodowej. Jak ks. Gorczakow położył sobie był za zadanie życia rozdarcie traktatu paryskiego, tak przez czas jakiś najpewniejszą drogą do wzięcia w Rosyi było hasło: precz z traktatem berlińskim! Ztąd groziło niebezpieczeństwo nowych zawikłań. Dotkliwym dla Rosyi zawodem było także, po poprzedniem zajęciu przez Austrę Bośni i Hercogowiny, dopiero co dokonane wkroczenie bezkrwawe wojsk austryacko-węgierskich do części sandżaku Nowego Bazaru. Znikła była dla niej nadzieja nawet tej pociechy, jaką się czerpie w niepowodzeniu innych! Kiedy Rosya nie miała tytułu do dalszego mięszania się w sprawy wschodnie i kiedy wykonanie traktatu berlińskiego odcięło ją prawnie od nich, Austrya na mocy tego traktatu, miała otwartą furtkę, a zajęcie części sandżaku nie zamykało jeszcze jej uprawnionego europejskiego działania. Austrya ograniczyła się teraz na tem zajęciu, ale nie zrzekła się przyznanych jej praw. Artykuł 25. traktatu berlińskiego opiewa:

„Prowincye Bośnia i Hercogowina mają być zajęte i zarządzane przez Austryę. Ponieważ rząd austro-węgierski nie życzy sobie zarządzać sandżakiem No-

wego Bazaru, ciągnącym się między Serbią a Czarnogórą w południowo wschodnim kierunku aż do Mitrowicy, rząd otomański rządzić tam będzie. Austro-Węgry celem zapewnienia trwałości nowemu stanowi rzeczy, oraz wolności i bezpieczeństwa drogom, zastrzegają sobie prawo utrzymywania załóg i obsadzenia dróg wojskowych i handlowych w całym starym wilajecie Bośni.

Rządy Austro-Węgier i Turcyi zastrzegają sobie porozumienie co do szczegółów pod tym względem".

Dołączono też do konwencyi austryacko-tureckiej zawartej 21. kwietnia 1879 r. „Dodatek", który brzmi:

„Samo przez się rozumie się, że wśród obecnych okoliczności rząd austro-węgierski, zastrzegając sobie wszystkie swoje prawa wypływające z artyk. 25. traktatu berlińskiego, ma tylko zamiar postawić swoje załogi w trzech, nad Limem, między granicami Serbii i Czarnogóry, znajdujących się miejscowościach. Miejscowości te są: Priboj, Prepolie i Bielopole. Liczba wojsk przeznaczonych obecnie do tej służby załogowej nie przejdzie 4 do 5000 ludzi.

Gdyby skutkiem okoliczności okazała się potrzeba obsadzenia innych miejcowości, postąpią sobie strony w duchu postanowień art. 7. prócz, gdyby rząd austryacki miał zamiar postawić wojska w miejscowościach Bałkanu pod Rogosną, w którym to razie nastąpić ma bezpośrednie porozumienie z Wys. Portą".

Działanie zatem prawne Austryi nieskończone, mogło się w przyszłości rozciągnąć aż po za Mitrowicę, a Rosya zmuszona byłaby przypatrywać się temu bezczynnie i po kropli wychylić kielich goryczy. Gdyby przynajmniej wojska austryackie natrafiły były na opór, gdyby były choćby małą poniosły porażkę. Tymczasem ks. Wirtembergski i Husni-basza winszowali sobie porozumienia Austryi z Turcyą na miejscu. W konwencyi 21. kwietnia tyle ujemnych mającej stron, była jedna dodatnia, umożebnienie pokojowego zajęcia san-

dżaku Nowego Bazaru. W Rosyi twierdzono, że cały ten obrót rzeczy, nie mógł nastąpić wbrew woli i zamiarowi gabinetu berlińskiego i bez poparcia użyczonego wiedeńskiemu. „Wbrew woli Niemiec, a nawet bez ich stanowczej woli, mówiono, nie mogło przyjść do przemazania traktatu San-Stefano, zawarcia traktatu berlińskiego, zwłaszcza do wykonania go sumiennego, nieznośnie sumiennego dla Rosyi! Traktat berliński jest dziełem ks. Bismarcka, wykonanie go jest jego czynem. Kanclerz okazał się nad wszelkie oczekiwanie i nad wszelki wyraz przywiązanym do swojego dziecka“. To rosyjskie rozumowanie dostateczne było, aby wytłomaczyć dziennikarską wojnę wypowiedzianą i niepomyślnie prowadzoną przez pisma rosyjskie, a która była objawem gniewu zawiedzionego panslawizmu nierównie więcej niż myśli rządowej. Wykonanie traktatu berlińskiego i polityka cłowa kanclerza niemieckiego tłomaczyły tę wojnę, podjętą nierozważnie. Jedną z jej sprężyn była zazdrość ks. Gorczakowa, jego próżność, pewność siebie i pomimo tylu doświadczeń przekonanie, że on był mistrzem ks. Bismarck uczniem. Wojna ta nie powiodła się; dla uratowania pozorów i doprowadzenia do skutku zjazdu w Aleksandrowie, trzeba było wyprzeć się jej i wyprzeć się znaczenia, które z początku nadano podróży następcy tronu rosyjskiego do Szwecyi.

Dnia 3. września nastąpił był zjazd w Aleksandrowie cesarza Wilhelma z cesarzem Aleksandrem; pierwszy udał się był na to spotkanie, aby zażądać od drugiego wytłomaczenia i zapewnić się o jego zamiarach i przyjaźni. Zjazd ten wstrzymał Bismarcka od przybycia do Wiednia dla układów z ustępującym Andrassym. Jednocześnie król saski przyjaciel, w ważnych chwilach doradca cesarza Franciszka Józefa, polował z nim. Spotkania dwóch zaprzyjaźnionych monarchów, miały nieraz miejsce w ważnych dla Austryi chwilach;

dość przypomnieć bytność bohaterskiego i dzielnego umysłu króla, w dniach upadku hr. Hohenwarta i przyjścia do władzy hr. Andrassego. Przypuszczać można było, że i tym razem wśród wspaniałych widoków i skalistych stanowisk na dzikie kozy, przyjść mogły dobre i zbawienne natchnienia dwom, dostojnym przyjaciołom.

W niezwykłych warunkach przybył nareszcie 21. września do Wiednia wielki kanclerz niemiecki. Niepospolitość przywiązana do jego czynów splatała się tu z nieprawdopodobieństwem, które jak powiedziano, cechuje Austryę. Ks. Bismarck pospieszył do Wiednia w chwili, w której od steru państwa odchodził minister, co, jak sam to nieraz głosił, posiadał zupełnie jego zaufanie, a którego głównym powodem bytu była jego przyjaźń. Ustąpienie takiego męża stanu wszędzie, z każdym innym niż Bismarck, byłoby przyczyną oziębienia stosunków i oddalenia; w państwie nieprawdopodobieństw i dla tak niezwykłego człowieka jak kanclerz niemiecki, stało się powodem jego przybycia do stolicy Austryi i jawnego zbliżenia się.

Niemogło ulegać wątpliwości, że to przybycie było potrzebnem, nawet koniecznem dla widoków ks. Bismarcka. Ukazał się więc Wiedeńczykom. Przyjętym został w Wiedniu w sposób nadzwyczaj wyjątkowy do czego zaliczyć należy przedewszystkiem odwiedzenie go przez cesarza. Trudno o wspanialszy i bardziej znaczący początek. Powitanie kanclerza na Balplatzu przez barona Haymerle, zapowiedzianego następcy hr. Andrassego, także nie było bez znaczenia, bo było zobowiązaniem, ciągłości polityki hr. Andrassego. Pierwszą czynnością przyszłego ministra na Balplatzu było odebranie namaszczenia z rąk ks. Bismarcka. Towarzyszyły temu okrzyki ludności wiedeńskiej na cześć gościa. Wszystko zatem wróżyło powodzenie bytności ks. Bismarcka. W tych warunkach skutkiem jej musiało być

porozumienie i daleko sięgające zespolenie się Austryi z Niemcami. Przypuszczano, że jego wyrazem stać by się mogło małżeństwo najmłodszej córki cesarza Austryi z najstarszym synem niemieckiego następcy tronu.

Szczere, zupełne, obustronne porozumienie się Niemiec z Austryą zasłaniało ją przed wszelkiem ze strony Rosyi niebezpieczeństwem, a Niemcy przed niebezpieczeństwem przymierza Austryi z Rosyą; dawało Niemcom sprzymierzeńca wrazie wojny o dwóch czołach z Francyą i Rosyą.

Ks. Bismarck 24. września wieczór opuścił Wiedeń. Opóźnił wyjazd o kilka godzin z powodu przybycia Kolomana Tiszy. Węgrzy spieszyli do Bismarcka jak żydzi do rabina.

Nie wiedziano długo jaki był skutek pobytu Bismarcka w Wiedniu i prowadzonych z hr. Andrassym rokowań. Mówiono, że kanclerz niemiecki i hr. Andrassy stwierdzili tożsamość interesów, że porozumienie osiągnięte zapewniało pokój europejski. Dodawano, iż ułożono się także co do ważnych spraw gospodarczych i taryfowych, ale takiem twierdzeniem zakrywano zwykle polityczne skutki narad. Tu jednak porozumienie w tej mierze, mogło być ważnem przy zawarciu traktatu handlowego, gdyż istniało tylko *provisorium*.

Dzienniki półurzędowe nadawały porozumieniu znaczenie wyłącznie odporne. Zbliżenie się Niemiec do Austryi uzasadniono nie obawą przed zamiarami cesarza Aleksandra II. i urzędowej Rosyi, ale niepewnością jej wewnętrznych stosunków; dążeniami samorodnych czynników, panslawizmu i nihilizmu. Bytność Bismarcka w Wiedniu nabierała znaczenia antypanslawistycznego. Ścisły związek między Austryą i Niemcami stawiał istotnie zaporę panslawizmowi.

Jednocześnie zaszły były ważne w Austryi wewnętrzne wypadki. Prezesem gabinetu był od 12. sierpnia 1879 r. hr. Taffe, jedyny minister, który w now-

szych czasach zapewnił w Austryi rządowi trwałość czternastoletnią i uczynił pełnym parlament państwowy. Umiał on był zaraz pomyślny nadać obrót sprawie publicznej i posłowie czescy, którzy trzymali się zdala od Rady Państwa, postanowili wstąpić do niej.

Co za obfitość doniosłych wypadków! Kto jednak potrafi pogodzić niesłychaną w nich sprzeczność? Ks. Bismarck przybywa do Wiednia w chwili, w której od steru odstępuje jego najlepszy przyjaciel i poufnik; stosunki ścieśniają się między Austryą i Niemcami wtedy kiedy wpływ węgierski słabnieje, a wejście do Rady Państwa Czechów i gabinet ugodowy, zapowiadają ukrócenie przewagi Niemców, oraz wyzwolenie Słowian. Twórca jedności niemieckiej zbliża się do Austryi, gdy władza wypada z rąk Węgra i Niemców, a Czesi oświadczają, że rząd hr. Taaffe wzbudza w nich zaufanie, albowiem z przyzwoleniem cesarza, ma na celu równe poszanowanie praw wszystkich ludów i ich między sobą porozumienie.

Jakto wszystko sobie wytłomaczyć?

Niepodobna inaczej, jak tylko, że te wypadki nie miały ze sobą związku, że zewnętrzna polityka nie oddziaływała na wewnętrzną lub raczej wznosiła się nad nią.

Hr. Juliusz Andrassy ustąpił ze stanowiska ministra spraw zewnętrznych 9. października 1879 r. Powołanym został na jego miejsce baron Haymerle.

Ustąpienie Andrassego pozostało długo dla ogółu zagadkowem nawet tajemniczem. Spowodował je wzgląd na nadwątlone zdrowie i stosunki majątkowe.

Andrassy był bystrym, był rzutkim; mowcą pełnym niespodzianek; był to człowiek pełnej krwi. Wznosił się nad rutynę. Biurowej pracy nie rozumiał; rozstroił stary ustrój austryackiego ministerstwa spraw zewnętrznych. Nie umiał pisać, umiał myśleć. Patryota węgierski, wielkie oddał swojemu narodowi usługi, wprowadzając w życie zasady Deaka i zapewniając,

ustalając wpływ Węgrów w monarchii. Rozumiał łączność Węgier z Austryą; przekonany był o potrzebie i ważności związku ścisłego dwóch części monarchij dla bezpieczeństwa i pomyślności każdej i całości; wiernie i skutecznie służył państwu z dwóch tych części złożonemu raczej na nowo powstałemu, oraz monarsze.

Andrassy przyszedł do władzy z zamiarem walki z panslawizmem i z Rosyą, z chęcią użycia ku temu rzeczy polskich i Polaków, przy pomocy Bismarcka i cesarstwa niemieckiego. Przedstawiał to, co nazwać można polityką węgiersko-polską. Położenie odrysowało się przed nim zupełnie inaczej jak je sobie wyobrażał. W swoich polskich zamiarach nigdzie i znikąd nie znalazł zachęty, tem mniej poparcia. Natrafił na stanowczy opór. Cesarz Franciszek Józef od dawna w inną zwrócone miał oczy stronę i pragnął nabycia Bośni. Wolał też ją uzyskać bez wojny, niż podejmować wątpliwą w skutkach, dla zwiększenia monarchii polskiemi krajami.

Za ministerstwa Beusta, kiedy ważne rozgrywały się sprawy i doniosłe powstawały zadania, występowała jeszcze czasem myśl utworzenia, w razie danym, jakiejś Polski. Wtedy cesarz Franciszek Józef, który przywiązał się był do swojego dzieła pojednania Galicyi z monarchią i zespolenia tego kraju z państwem, mawiał: „Miałbym się rozstać z mojemi Polakami!?“ A tak nienawiść i miłość zgodne były.

Andrassy musiał przeniewierzyć się sam sobie. Zamiast walki przyjął porozumienie z Rosyą. Zamiast wzbogacenia żywiołem katolickim i polskim monarchii, przyłożył rękę do zwiększenia w niej południowo-słowiańskiego i prawosławnego, zajęciem Bośni i Hercegowiny. Odtąd odwrócił się od Polaków, unikał ich, zwłaszcza tych, którym zwierzył się był ze swoich pierwotnych zamiarów.

Andrassy nie zadawalniał się zajmowaniem stanowiska; należał do rodziny tych, co pragną coś zdziałać. Ustąpił może i dla tego, że się przekonał, iż to było niemożliwem, że więcej nic zrobić nie mógł jak zawrzeć wiadomy sojusz z Niemcami.

W samej rzeczy, Austrya której polityką przyszło mu kierować, nie była już ani Austryą z czasów rzymskiego cesarstwa niemieckiego, ani Austryą Maryi Teresy, ani Austryą Metternicha stworzoną kongresem wiedeńskim, ale Austryą wypchniętą z Niemiec i Włoch w 1866 r. rozdzieloną na dwa państwa, jedno przedlitawskie, drugie zalitawskie, Austryą zatem istniejącą dopiero od 1866 r., zupełnie inną od trzech poprzednich i jeżeli nie młodą to nową. Ta Austrya pozostała jakby wielka w środku Europy monarchiczna Szwajcarya.

Pierwszy lord Salisbury nadmienił w październiku o umowie między Niemcami i Austryą.

Na uczcie w Essen pruski minister wyznań Puttkamer, wspominając o rokowaniach wiedeńskich rzekł: „J. C. Mość jest w stanie poświęcić dla dobra swojego ludu, najgłębsze swoje uczucia osobiste, a uczynił to cesarz świadomy obowiązku zawarcia, dla pokoju Europy, przymierza, które zapewne długie przetrwa lata“.

Wreszcie 18. grudnia cesarz Franciszek Józef, przemawiając do Delegacyi wspólnych, położył nacisk na ścisłe porozumienie z cesarstwem niemieckiem i w niem wskazał wzmocnienienie rękojmi pokoju.

Niepodobna już było wątpić o dwucesarskim związku. Traktat, czy konwencya podpisaną została między Austro-Węgrami i Niemcami w skutek bytności ks. Bismarcka w Wiedniu; ale nie wiedziano, kiedy, w jaki sposób i dopiero w kilka lat później poznać miał świat treść i warunki układu. Wiedziano tylko, że odbył się pogrzeb trójcesarskiego przymierza, jednocześnie chrzest sojuszu austryacko-niemieckiego. Wnoszono wreszcie, że skoro ten sojusz stał się rękojmią

pokoju, takowa potrzebną była, i że zachowanie się oraz dążenia trzeciego w trójcesarskim związku, Rosyi, wymagały jej, że ją znaleziono i na silnej oparto podstawie, przymierza austryacko-niemieckiego.

Bieg układów był następujący. W Gastein 27. i 28. sierpnia ks. Bismarck naradzał się z hr. Andrassym: „Przeciw przymierzu francusko-rosyjskiemu — rzekł ostatni — trzeba zadać kartę przymierza austryacko-niemieckiego“. Bismarck odrzekł, iż było to doskonałem określeniem celu narad. Porozumiano się bez trudności na wypadek zaczepki ze strony Rosyi wymierzonej przeciw jednemu lub drugiemu mocarstwu. Andrassy okazał niechęć wobec wniosku Bismarcka, aby zastosować przymierze do zaczepki ze strony innych mocarstw.

Z trudnością otrzymał kanclerz niemiecki od cesarza Wilhelma, pozwolenie zawiązania urzędowych układów i dla ich prowadzenia przybył do Wiednia. Łatwo porozumiał się z cesarzem Franciszkiem Józefem i z Andrassym co do warunków przymierza. Listownie usiłował przekonać cesarza Wilhelma, bawiącego w Baden-Baden, o jego konieczności i żądał upoważnienia spisania traktatu. Nadaremnie. „Zawarcie traktatu — pisze Bismarck — którego cel obronny ale wojskowy, wyrażał niedowierzanie względem przyjaciela i siostrzeńca cesarza, z którym dopiero co zamienił był ponownie w Aleksandrowie jak najszczerzej i ze łzami w oczach, zapewnienia tradycyonalnej przyjaźni, zawarcie, mówię, tego traktatu, zbytecznie raziło rycerskie uczucia cesarza, któremi ożywionym był w stosunkach z równym mu przyjacielem“.

Bismarck użył wtedy środka dymisyi. Wobec niej cesarz ustąpił bez przekonania i obiecał potwierdzić traktat.

Już w Nikolsburgu uznał był Bismarck potrzebę utrzymania Austryi. Z Meaux wyraził życzenie zawiązania z nią dobrych stosunków. W Gastein i Salcburgu

przygotował do nich grunt. Pozyskał najzupełniej dla swej myśli Andrassego, ale zjazdem berlińskim w 1872 r. doprowadził do skutku nie dwóch, lecz trzech cesarstw związek.

Nareszcie dopiero 7. października 1879 r. hr. Andrassy i ambasador niemiecki ks. Reuss, podpisali traktat przymierza odpornego między monarchią austro-węgierską i cesarstwem niemieckiem. Ogłoszonym on został w lutym 1888 r.

W październiku 1882 r. król włoski Humbert przybył wraz z królową Małgorzatą i pierwszym ministrem Mancinim do Wiednia. W styczniu 1883 r. zawartym został traktat między Włochami z jednej, Austryą i Niemcami z drugiej strony. Włochy rozgoryczone zajęciem przez Francyę Tunisu, do czego Bismarck zachęcił ją, tem skłonniejszemi były do związku z Niemcami i Austryą.

Tak powstało trójprzymierze, które nazwać można trzeciem dziełem Bismarcka. Dwa jego dzieła: to przymierze i cesarstwo niemieckie powstałe z pierwszego z *Północnego Związku Niemieckiego*, przeżyły go.

II.

Bismarck oczekiwał koalicyi, jak Wilhelm I. uderzenia Francyi na Prusy w 1866 r. Obaj się przeliczyli bo przecenili współczesnych.

Na koalicye jedynym środkiem były przymierza i obawa jej była rodzicielką trójprzymierza. Z rozczarowaniem co do trójcesarskiego porozumienia uczuł Bismarck potrzebę tego sojuszu. Chciał przynajmniej jednemu z dwóch mocarstw, pobitych przez Prusy, zagrodzić drogę, prowadzącą do koalicyi przeciw nim. Nie mogło być mowy o Francyi. Nie liczył na Anglię, bo jej konstytucya nie daje rękojmi trwałości przymie-

rzy. Włochy nie mogły przeciwważyć koalicyi: Rosyi, Austryi i Francyi. Pozostawał wybór między Rosyą i Austryą.

Bismarck nie łudził się w ogóle co do rękojmi i trwałości przymierzy. Trzymał się zapewne zdania Machiavella, że „Trwałe związki są te tylko, które godzą interesa obydwóch stron“. Dobrze więc rozważył, które z dwóch austryackiego czy rosyjskiego przymierza, lepsze pod tym względem przedstawiało widoki. I doszedł do przekonania, że wybrać musi Austryę i to tak dalece, iż pisze: „Powody, które w naszem położeniu politycznem nakazywały nam przymierze z Austryą wydawały mi się tak naglące, iż byłbym się o to przymierze starał wszelkiemi sposobami, nawet wbrew opinii publicznej“. Lecz ta właśnie była za niem. Głównym niewątpliwie powodem było, że interes i bezpieczeństwo cesarstwa niemieckiego, z wyjątkiem nieubłaganej konieczności nie pozwalały poświęcać Austryi, a wtedy, aby ją zabezpieczyć, z nią trzeba było się sprzymierzyć.

Bismarck pomimo wielkiej trzeźwości umysłu miewał przywidzenia. Wierzył we wpływ polityczny spowiedników cesarskiej rodziny austryackiej i przypuszczał, nawet po 1863 r., że jakaś niepodległa Polska raptem powstaćby mogła.

Rozważając dodatnie i ujemne strony przymierza z Austryą pisze w *Myślach i Wspomnieniach*: „Do tego przyłączał się czynnik polskiej polityki austryackiej. Nie możemy żądać, aby Austrya wyrzekła się broni, której jej użycza przeciw Rosyi opieka, jaką otacza Polaków w Galicyi. Gdyby istniało przymierze trzech cesarzy, Austrya mogłaby wysunąć naprzód swoje z Rusinami stosunki; skoro to przymierze rozwiązane zostało, lepiej było mieć na usługi szlachtę polską w razie wojny z Rosyą. Zresztą Galicya mniej jest zespoloną z monarchią austryacką, niż W. Księstwo Poznańskie i Prusy

zachodnie z pruską. Prowincya ta austryacka, otwarta od wschodu, wydaje się jakby sztucznie przylepiona za Karpatami do cesarstwa; Austrya wybornie mogłaby się bez niej obejść, gdyby w zamian za pięć, czy sześć milionów Polaków i Rusinów, wynagrodzono ją w dolinie Dunaju.

„Podczas wojny krymskiej i w 1863 r. ludzie mniej lub więcej do tego powołani, zastanawiali się nad rozmaitemi sposobami rozwiązania zadania i ofiarowano zamianę ludności rumuńskich i południowo-słowiańskich, za Galicyę i odbudowanie Polski z Arcyksięciem na czele. Otóż dawne prowincye pruskie nie oddziela od W. Księstwa Poznańskiego i Prus zachodnich żadna naturalna granica i niepodobnaby zrzec się tych krajów. Sprawa przyszłości Polski, byłaby nadzwyczaj drażliwą, gdyby miała być pierwszym warunkiem przymierza austryacko-niemieckiego zawartego w widokach wojny“.

W przypuszczeniu odbudowania Polski, usuniętego traktatem z 7. października 1879 r., nie przywiązywał Bismarck ważności do posiadania Galicyi przez Austryą. Zupełnie inaczej się to przedstawia; gdyby Austrya utraciła ten kraj na rzecz Rosyi i dla tego traktat z 7. października 1879 r., zapewniając nietykalność jej posiadłości, zapewniał jej posiadanie Galicyi.

Wyżej wskazałem chwilowe okoliczności i wypadki, które obok powodów przeważnych i zasadniczych, nakłoniły Bismarcka do zawarcia niemiecko-austryackiego przymierza.

Do pierwszych zaliczyć należy wewnętrzny ówczesny stan Rosyi i ztąd wynikająca niepewność stosunków z nią. Państwo, w którem panujący z otoczeniem znajdował się w ciągłej obawie o życie, kraj, w którym pociągi dworskie przewracały się do góry kołami, a pałacom cesarskim groziło wylecenie w powietrze, rząd który tracił widocznie głowę i nie wiedział jak poskro-

mić wewnątrz ruch przerażający, zewnątrz uspokoić umysły co do stanu Rosyi, nie dawał rękojmi i Bismarck uznał stanowczo, że przezorność nakazywała obmyśleć odporne środki wobec Rosyi, dla zabezpieczenia niezależności cesarstwa niemieckiego. Dalej nie szła ani myśl jego ani jego zamiar.

Traktat wobec, nie przeciw Rosyi, zawartym został. Odporny i pokojowy zabezpieczał Austryi pomoc całej siły niemieckiej, Niemcom austryackiej, w razie gdyby jedno z dwóch mocarstw zaczepionem zostało przez Rosyę i stanowił, że pokój tylko wspólnie i zgodnie może być zawartym. Zapewniał Niemcom w wojnie z Francyą współdziałanie wojskowe Austryi tylko wtedy, gdyby te zaczepione zostały jednocześnie przez Rosyę. To jest na wypadek wojny o dwóch czołach. Traktat zawarty był dla obrony stanu posiadania tak Niemiec jak Austryi, zatem dla zabezpieczenia nowych nabytków Niemiec, Austryi dawał bezpieczeństwo włącznie z Galicyą; zapewniał teraźniejszość; nie tylko nie stwarzał, poniekąd zagradzał jej przyszłość. Był to kamień położony na grobie, pierwotnej polityki i zamiarów Andrassego, na którym on własną ręką wyrył napis. Traktat, dając Austryi cenne od strony Rosyi bezpieczeństwo, co znowu jednało mu trzy ważne w monarchii czynniki: Niemców, Węgrów i Polaków, skazywał ją na bezczynność i bierność. Zapewniał jej posiadłości z wątpliwością co do Bośni i Hercogowiny, nie pozwalał jej myśleć o nowych nabytkach, nie obejmował, nie zasłaniał jej działań i wpływu na Wschodzie i na półwyspie Bałkańskim. Żadnego pod tym względem nie mogło być złudzenia, Bismarck odjął je stanowczo oświadczeniem, że dla Niemiec „sprawy bałkańskie nie warte są kości jednego pomorskiego grenadiera“, tem mniej — dodawał w myśli — narażenia dobrych z Rosyą stosunków.

W *Myślach i Wspomnieniach* pisze: „Utrzymanie monarchii austryacko-węgierskiej, jako wielkiego mo-

carstwa silnego i niezależnego jest dla Niemiec rzeczą równowagi europejskiej, dla której, w potrzebie, można sumiennie narazić pokój naszego państwa; niech jednak w Wiedniu wstrzymają się wyprowadzać z przymierza inne prawa jak te, dla których zawartem zostało".

Bismarck z obliczenia sił wojskowych europejskich wyrachował potrzebę przystąpienia Włoch do przymierza niemiecko-austryackiego, co też one, jak wiadomo, uczyniły przez próżność i urazę, zamiast pozostać na korzystniejszem i mniej kosztownem stanowisku neutralnem.

Przystąpienie Włoch do przymierza zasłaniało tyły Austryi i pozwalało jej, w razie dwuczołowej wojny, której Bismarck zawsze się obawiał, wszystkiemi swojemi siłami powstrzymywać Rosyę, podczas gdy Niemcy wraz z Włochami rozprawialiby się z Francyą. Na razie zaś, zrównoważając siły wojskowe Europy, unieruchomiało je stosownie do życzenia Bismarcka.

Trójprzymierze wywołało najpierw porozumienie, potem związek, nareszcie przymierze Rosyi z Francyą. Bismarck zawarł je, bo wiedział, że dwuprzymierze nie mogło być już zażegnanem. Związek Francyi z Rosyą odpowiadał stosunkom politycznym Europy. Zawarciu go, stały na przeszkodzie w pewnej mierze przez długi czas, nie tyle polityczne względy, jak szlachetne uczucia wielkiego narodu francuskiego, wywołane sprawą polską. Teraz, kiedy ta sprawa znikła z widowni świata, niesłychany wzrost Niemiec, nakazywał połączenie Francyi z Rosyą.

Bismarck traktatem 7. października 1879 r. przygotował podział Europy na dwa obozy pokojowe, bo nieruchome i na nieruchomość — rozkładem sił — skazane; na trójprzymierzerze i dwuprzymierze. To jego trzecie dzieło zabezpieczało na razie drugie — cesarstwo niemieckie.

Zbrojny Pokój.

Trójprzymierze miało na celu utrzymanie *status quo* i pozbawiało Austryę widoków na przyszłość, ale tak samo wykluczało dalsze Niemiec nabytki; z tą różnicą, że Niemcy były nasycone, Austrya wyposzczoną. Odpowiadało to jednak temu, czego Austrya jeszcze zdolną była i czego już zdolną nie była. W tem znaczeniu, trójprzymierze znaczne Austryi przynosiło korzyści; bezpieczeństwo na obolałych granicach: niemieckiej i włoskiej, oraz wobec rosyjskiej. Nie dając jej jednak pomocy i poparcia Niemiec na Wschodzie, nie pozwalało tam stawić skutecznie czoła Rosyi i pozstawiało jej stanowisko w Bośni i Hercogowinie nie utwierdzonem. Trójprzymierze zapobiegało, poniekąd uniemożebniało w ogóle, wszelkie zaczepne w Europie wystąpienie.

I.

Rzecz dziwna i godna uwagi pomimo tego wyraźnego znamienia, pomimo osnowy i zamiaru pokojowego traktatu; trójprzymierze ukształtowało, przedłużyło, ustaliło pokój — zbrojny.

Wtedy to, już uzbrojone mocarstwa i państwa, poczęły iść na wyścigi w zwiększaniu sił wojskowych i wydoskonalaniu narzędzi wojny, był to bieg bez wytchnienia. Coraz to nowe wynalazki obfitego w nie stule-

ciu, narzucały rządom, Penelopy pracę, zwiększały i tak już niezmierne wydatki wojskowe. Przykład dawały Niemcy; ich sprzymierzeńcy iść musieli za nimi, chociaż im kroku dotrzymać nie mogli; był to cichy, nieokreślony warunek trwałości i przedłużania potrójnego przymierza. Inne mocarstwa i państwa, z wyjątkiem Anglii, nie chciały pozostać w tyle, jedna Rosya, polegając na swem silnem odpornem położeniu, rozumnie nie zaniedbywała uzbrojenia, lecz ograniczała wysilenia.

Ks. Bismarck wywołał zbrojny pokój, który go przeżył tak samo jak dwa dzieła, o których wyżej była mowa.

Świat się uzbroił i zbroił się nie do wojny, ale do pokoju, tak dalece niepewnym zdawał się stan rzeczy wytworzony polityką Bismarcka. Ludy niemieckie zwłaszcza, pytały zdziwione, dla czego po tylu zwycięstwach ponosić mają coraz to nowe wydatki na cele wojenne, bez zamiaru nowych zdobyczy. Stwarzało to wewnętrzne trudności, z któremi łamał się, i które przezwyciężał ks. Bismarck. Przerażający pod względem skarbowym i gospodarczym zbrojny pokój, oparty na ogólnej służbie wojskowej, urzeczywistnia częściowo państwowy socyalizm, albowiem państwo przez czas jakiś żywi i odziewa znaczną część ludności. Jednocześnie ogólna służba, odrywa czasowo od zastępów robotniczych pewien procent młodzieży i poddaje ją wojskowej karności. Przy tem wydatki na wojsko w znacznej części obracają się na korzyść krajowego zbytu i ludności. Ztąd ten porządek rzeczy mniej dotkliwie czuć się daje, choć w budżetach przeraża.

Ztąd zwrot staje się coraz mniej bliskim i prawdopodobnym. A przecież jest to porządek rzeczy nieprawidłowy, do pewnego stopnia szalony; już dla tego, że wywołuje w stosunkach międzynarodowych licytacyę w uzbrojeniach bezgraniczną. W ogóle powrót do dawnych kształtów jest trudny i rzadko zdarza się w hi-

storyi. Dla tego zbawienne zerwanie z ogólną służbą wojskową i rozumne ograniczenie się na wojsku mniej licznem, wyborowem, opartem na powołaniu a nie odrywającem przymusowo i gwałtownie wszystkich od innych zawodów, nie zdają się być możliwemi. Pozostaje przekształcenie się stopniowe wojsk opartych na ogólnej służbie w milicyę. Z dzisiejszym stanem stosunków społecznych, z dzisiejszemi wyobrażeniami i żądzami, z osłabieniem uroku i powagi władzy, milicya narazićby mogła społeczeństwa na niebezpieczeństwa i umożebniłaby wielkie wywroty dotąd zażegnane tylko karnością wojskową, które wieleby zniszczyły nic nie stworzyły, tak, iż dopiero na zgliszczach przez nie nagromadzonych, powstałby nowy, raczej dawny, w innym kształcie, porządek rzeczy. Zadaniem nauki i rozumu stanu, jest, oszczędzić ludzkości tych przejść. Wreszcie milicya, jeszcze, by bardziej zdemokratyzowała dzisiejszy stan rzeczy, którego złem głównem już jest, iż w nim ilość góruje nad jakością.

Ale i z obecną służbą wojskową, wszędzie stopniowo skracaną, żołnierz coraz jest bliższym robotnika. A przecież cały dzisiejszy porządek rzeczy zabezpieczony jest przed wywrotem, dopóki żądze społeczne, nie wezmą góry nad karnością wojskową. Jedną z wyższości Rosyi jest, że tam względnie najpóźniejby to nastąpiło.

II.

Okres dziejów od zawarcia przymierza niemiecko-austryackiego do obecnej chwili nazywać się będzie — pokojem zbrojnym.

W nim od 1879. r. do 1890 r. Bismarck mógł był w całej pełni używać owoców swoich działań, powodzeń

i szczęścia, gdyby go i wtedy nie nękały zawsze te same dwie obawy: niebezpieczeństwa zewnętrznego dla jego dzieła, wewnętrznego dla jego w państwie stanowiska; gdyby nie były zatruwały najświetniejszego stulecia żywota. Okres ten, Bismarck niczem już doniosłem nie zapełnił. Całą jego czynność pochłaniały dwie powyższe obawy. Bronił dzieła przed wewnętrznemi i zewnętrznemi niebezpieczeństwami; własnego stanowiska przed wewnętrznemi.

Wielkiego wodza Moltkiego słowa: „Wszyscy się nas boją nikt nas nie kocha“, wryły się w umyśle Bismarcka. Trójprzymierze, trzecie jego dzieło, nie wydało mu się dostateczną rękojmią bezpieczeństwa dla drugiego, dla cesarstwa niemieckiego.

Zawierając przymierze Niemiec z Austryą wobec Rosyi, Bismarck nie zamierzał nigdy zerwać z tą ostatnią. Przeciwnie w dobrych, ścisłych z nią stosunkach widział rękojmię rzetelności i trwałości przymierza z Austryą. „Pomimo — pisze on — naszego odpornego przymierza z Austryą byłem przekonany, wtedy jak i przedtem, że niezbędnem było, utrzymywać z Rosyą dobre stosunki sąsiedzkie, albowiem niema dla Niemiec zupełnie pewnego zabezpieczenia się od rozbicia wybranego przymierza, ale zawsze będziemy mogli zaszachować anty-niemieckie w Austryi dążenia, dopóki polityka niemiecka nie zerwie mostu prowadzącego do Petersburga; dopóki nie wykopie między Rosyą a nami przepaści, nad którą nie byłoby już można rzucić mostu“. „Próby połączenia austryacko-rosyjskiego, mogą być w pewnej mierze zażegnane, jeżeli stale wiernemi pozostaniemy Austryi, nie zapominając o zachowaniu wolnej drogi między Berlinem a Petersburgiem. Naszem zadaniem jest utrzymać pokój między dwoma cesarzami a naszemi sąsiadami“. „Trzeba, ażeby nam się powiodło utrzymać związek między trzema cesarstwami i okiełzać żądze naszych dwóch wschodnich sąsiadów, przy-

najmniej zadowolnić ich wzajemnem porozumieniem. Jeden i drugi niezbędnemi nam są pod względem równowagi europejskiej, nie możemy się obejść bez jednego lub drugiego, bez niebezpieczeństwa dla nas samych".

Przekonania o konieczności zachowania, pomimo wszystkiego, przyjaznego z Rosyą związku, nigdy Bismarck nie zmienił. Już po upadku, podczas ślubu starszego syna Herberta w Wiedniu, hrabina Andrassy rzekła w potocznej rozmowie do ks. Bismarcka, że podziwiając zawsze jego czyny, zrozumieć nigdy nie mogła zawziętości, z jaką ścigał ks. Aleksandra Battenberga Bułgarskiego. Na te słowa twarz Bismarcka zmieniła się i odrzekł gwałtownie: „Jakżeż mogłem dla tego awanturnika narażać nasze z Rosyą stosunki".

Już w chwili podpisania traktatu z 7. października 1879 r. cesarz Wilhelm „idąc — jak mówi Bismarck — za popędem swoich rycerskich uczuć, uznał za stosowne przestrzedz poufnie cesarza rosyjskiego, że jeżeli zaczepi jedno lub drugie mocarstwo, spotka się z obydwoma; pragnął odjąć cesarzowi wszelkie złudzenie, gdyby przypadkiem mniemał, że będzie mógł uderzyć na odosobnioną Austryę. Ta ostrożność wydała mi się zbyteczną; czyż gabinet petersburgski nie wiedział od dawna z odpowiedzi mojej na telegram z Liwadyi, że nie pozwolimy na rozpadnięcie się Austryi, i że nasz traktat z tem mocarstwem, zamiast stworzyć nowy stan rzeczy, uprawniał tylko dawny".

W tym kierunku działał wciąż Bismarck wśród zbrojnego pokoju, a trójprzymierze nie przeszkadzało zjazdom i naradom trzech cesarzy, między innemi w Skierniewicach w sierpniu 1884 r., gdzie, jak to cesarz Wilhelm ruchem ręki dał do zrozumienia Alfredowi Potockiemu, zbliżył on do siebie cesarzów: Franciszka Józefa i Aleksandra III.

Wreszcie Bismarck pod wpływem znanej obawy i przekonania o potrzebie związku z Rosyą, korzystając z jej sporu z Anglią w Afganistanie, zawarł z nią tajną konwencyę w 1884 r., o której świat się dowiedział dopiero 1896 r. ze zwierzeń jego organu, i która nazwaną została przeciw zabezpieczeniem.

Dzieło bez treści męża stanu, który się skazał na bezczynność, cechujące zbrojny pokój, świadczące, że wśród niego nigdy Bismarck bezpiecznym się nie czuł. Wypadki jednak sprzyjały mu, a działania jego przyczyniały się w pewnej mierze do ich pomyślnego ukształtowania się. Afganistan poróżnił Rosyę i Anglię. Zajęcie Egiptu przez Anglię w 1882 r. za ministerstwa Gladstona, stało się zarzewiem długotrwałej nienawiści między Francyą i Anglią; zajęcie Tunisu w 1881 r. przez Francyę między Włochami a nią.

W tym okresie czasu odnawiano trójprzymierze; niemiecko-austryackie nie potrzebowało być przedłużanem. Ale jednocześnie stopniowo dokonywało się coraz większe, coraz ściślejsze zbliżenie Rosyi do Francyi, prowadzące do przymierza. Francya dotąd odosobniona, cieszyła się niem, Rosya je wyzyskiwała.

Powstała dla użytku Bismarcka nowa nauka, że przymierze nie przeszkadza mocarstwom niem związanym, poszukiwać i zawiązywać dobrych stosunków z temi, które niem objęte nie są. Obniżało to znaczenie przymierzy, tępiło ich ostrze, mogło je przemienić w czcze formuły. Przymierze zawarte na wypadek, który dopiero zajść może, a który nigdy może nie zajdzie, niema mocy i wartości zawartego, w określonym, bezpośrednim celu. Do pierwszego rodzaju należą: trójprzymierze i dwuprzymierze rosyjsko-francuskie. To mniejsze ich znaczenie i wartość nadały im jednak trwałość i ustaliły pokój zbrojny, który wytworzył wielką obawę wojny, jedyną, silną rękojmię pokoju. Jednocześnie zabezpieczało to cesarstwo niemieckie, dzieło Bismarcka.

Trójprzymierze i dwuprzymierze stały się podstawą europejskich stosunków. Unieruchomiły, znicestwiły wielką politykę aż do chwili, w której Europa uczuje się znużoną spoczynkiem.

Bismarck nie zużytkowując do wojny zajść na granicy francuskiej, które się w tych czasach zdarzyły, dowiódł, że pragnie tylko pokoju i świat mógł nabrać przekonania, że pokój był jego dziełem.

Świat jednak nie przestał posądzać go, przypisywać mu daleko sięgających zamiarów i knowań w wiejskiem ustroniu, spisków przeciw Europie i oczekiwać po nim jeszcze wielkich rzeczy

..... wszystkim się zdawało
Że wojski wciąż gra jeszcze a to echo grało.

echo działań doniosłych, dzieł niepospolitych, które drugą połowę stulecia zapełniły, lecz których twórca już dalszych zdolnym nie był. Im Bismarck bardziej od wielkich oddalał się rzeczy, tem większe do małych przywiązywał znaczenie. Stawał się zgryźliwym, podejrzliwym, nieznośnym w urzędowych stosunkach; podniecany przez żonę i ten bowiem uległ wpływowi kobiety. Nie zdumiewając już świata potężnemi czynami, zadziwiał go małostkami.

Bił jednak świat pokłony przed nim. Odwiedzali go corocznie ministrowie państw sprzymierzonych Crispi i następca bar. Haymerle, prawy, spokojnego i wytrawnego sądu, kierownik spraw zagranicznych Austro-Węgier, hr. Kalnoky. Bismarck nic już nie zmieniał w przyjętym systemacie, trzymał się trójprzymierza i tajnego z Rosyą związku; przebaczał nawet Austryi jej obchodzenie się z Polakami mówiąc do hr. Kalnokyego, że jest uzasadnione, że je rozumie i dodawał: „Zresztą wasi Polacy to jacyś inni jak moi“. Na Francyę miał zawsze zwrócony baczny, a niespokojny wzrok. Upa-

trywał zabezpieczenie w rzeczypospolitej i obawiał się, przeszkadzał ile w jego mocy było, wszelkiemu utworzeniu monarchicznych rządów.

Bismarck Prusak z krwi, kości i ducha, Bismarck, który tyle dla Prus zdziałał, który na początku zawodu powiedział do posła na sejm pruski Kajetana Morawskiego: „Gdybym mógł stworzyłbym język pruski“, skoro się ujrzał na czele potęgi niemieckiej, z następstwami liczył się i począł się czuć już nie tylko Prusakiem, także Niemcem i przyznawać się do tego. Przeobrażenie odbyło się zwolna, stopniowo i tem łatwiej, że w Niemczech przez niego stworzonych, Prusak tak przeważne zajmował miejsce. Najwięcej jednak Bismarck stał się niemieckim wtedy, kiedy go dotknęła niełaska króla pruskiego.

III.

Wśród sielanki pokoju najerzonego bagnetami i armatami, raptem na początku 1888 r. ponowiło się to, co już zaszło było w 1875 i 1879 r. mówiono o wojnie. Wojska rosyjskie posunęły się przeważnie ku granicy pruskiej; w Galicyi nagromadzono znaczne siły wojskowe i budować poczęto pospiesznie tymczasowe koszary. Znowu posądzono Bismarcka o daleko sięgające zamiary. Pomimo nieprawdopodobieństwa tego przypuszczenia i nieprawdopodobieństwa wojny, uwierzono w nią przeważnie. Gotował się do niej zwłaszcza arcyksiąże Rudolf z zapałem choć bez wiary; wielkich zalet, wielkiego uroku i przyszłości, zbyt wcześnie w parę lat po tem zgasłemu Arturowi Potockiemu, z którym łączyła go przyjaźń, wskazał na mapie miejsce na Węgrzech, gdzie mieli nie zwyciężyć, ale razem zginąć.

Nikt nie wiedział zkąd danym był pochop do tej wojennej ochoty. Nie wiedział hr. Kalnoky. Początek ztąd zapewne poszedł, że Bismarck, chcąc przeprowadzić wojskowe ustawy septenatu rozwiązał był w styczniu 1887 r. parlament i zarządził wybory rzucając groźbę wojny o dwóch czołach. Fortel jak zwykle udał się. Stronnictwo Bismarcka, zwane *kartel*, wyszło zwycięzkie i parlament uchwalił w 1888 r. przedłożenia rządowe. Ale raz puszczona w ruch kula nie zatrzymała się, postrach wojenny nie ustał, wzmógł się, gdy nastąpiło rozłożenie wojsk rosyjskich na granicy. Prawdopodobnie Bismarckowi dogadzało z początku, że Austrya czyni postępy w gotowości wojennej, co mu pożądanem było na wypadek dwuczołowej wojny, lub raczej dla oddalenia i zażegnania jej. Dla tego milczał; dopiero, gdy uskuteczniony został rozkład wojsk w Galicyi, wyparł się wszelkiego udziału w obawach wojennych, był niemi zdziwiony i oświadczył, że nic nie wie o niebezpieczeństwie, że w takowe nie wierzy. Rosya dokonała ustawienia swojej wielkiej na granicy armii, bez żadnego bezpośredniego zamiaru. Sztab niemiecki upatrywał w tem niebezpieczeństwo, przestrzegł austryacki, doradził nagromadzenie wojska w Galicyi. Dostatecznem to było, aby nadać położeniu pozory wojenne.

Bismarck położył koniec nieporozumieniu i obawom, zezwalając na ogłoszenie w lutym 1888 r. osnowy traktatu z 7. października 1879 r. między Niemcami a Austryą, dla okazania, iż nie zawiera zaczepnych przeciw Rosyi postanowień. Niebawem wypogodziło się, świat powrócił do dobrodziejstw pokoju zbrojnego, a hr. Kalnoky rzucił światło na położenie Austryi słowy, które są epilogiem tego, co w tej mierze wyżej powiedzianem było: „Gdybyśmy w wojnie z Rosyą pobici zostali, zdarzyłoby się to, czegośmy już nieraz doznali, następstwa nie byłyby zabójcze. Ale co poczęlibyśmy, gdybyśmy zwycięzko z niej wyszli?“

Trójprzymierze zażegnało starcie między Rosyą a Austryą. Upłynęło od zawarcia go dużo czasu, ludzie i stosunki zmieniły się. Minęły dwa w Rosyi panowania: Aleksandra II, który padł ofiarą nihilistycznego zamachu i Aleksandra III, który zgniótł nihilizm. Umysły uspokoiły się w Rosyi, gorączka panslawistyczna opadła, żądze zaborcze powstrzymane zostały i na razie odwróciły się od Galicyi. Rosya się przekonała, że nie potrzebuje się obawiać Austryi; rozkwit polonizmu i samorządcze zdolności Polaków w Galicyi, nie wytworzyły zbyt wielkiego dla państwa carów niebezpieczeństwa; publiczność rosyjska poczęła swoją do Austryi nienawiść, zwracać przeciw Niemcom zjednoczonym przez Bismarcka. Rosya oddała się przeważnie zadaniu azyatyckiemu, nie spuszczając z oka europejskiego. Rzeczy się tak ukształtowały, że nowym powodem bytu Austryi stało się jej między Niemcami i Rosyą stanowisko, między światem germańskim a słowiańskim, odpowiednio do jej wewnętrznego składu. Jej byt począł odpowiadać potrzebom cesarstwa niemieckiego i rosyjskiego, gdyż w nim jest dla obydwóch zabezpieczenie przed przewagą jednego nad drugim, a jego zaprzepaszczenie, spowodowałoby starcie dwóch światów: germańskiego i słowiańskiego z wszystkiemi jego niewiadomemi. Dwie groźby wiszące nad Austryą, przemieniły się zwolna w dwie rękojmie. W myśl tego ukształtowania się stosunków, Austrya musiała pozostać w przymierzu z Niemcami i szukać porozumienia z Rosyą, które po wstąpieniu na tron cesarza Mikołaja II. przyszło do skutku. Tę rozumną politykę urzeczywistnił następca hr. Kalnokyego, hr. Gołuchowski za bytności w Petersburgu cesarza Franciszka Józefa w 1897 r. Korzystając z nauki, wedle której trójprzymierze nie zabrania związanym niem mocarstwom, zawierać przyjaznych stosunków z temi, które niem nie są objęte; Austrya pozostała w niem i zarazem doszła do porozumienia z Rosyą,

co odpowiada jej składowi, posłannictwu i powodowi bytu.

Zamiast związku w trójcesarskiem sojuszu, Austrya sprzymierzona z Niemcami pozostaje w ścisłych stosunkach z Rosyą, podczas gdy Niemcy takie same z ostatnią pielęgnują. A tak w innym kształcie urzeczywistnioną została pierwotna myśl Bismarcka trójcesarskiej zgody. Z tą różnicą, że Rosya sprzymierzyła się z Francyą i że Austrya porozumiała się wprost z Rosyą. To stanowisko Austryi o tyle tylko, w tych warunkach byłoby niekorzystnem, o ile nie na własnych siłach, lecz na zbiegu okoliczności, opierałaby swoje bezpieczeństwo.

Ten stan rzeczy może jednak być trwałym, albowiem z powodu odpornej siły i odpornych właściwości Rosyi, Niemcy nie zechcą jej zaczepiać, a z powodu słabości Rosyi w zaczepnem działaniu, ociągać się ona będzie z walką przeciw Niemcom.

Zmiany Monarchów.

Dnia 9. marca 1888 r. cesarz Wilhelm I. umierał w dziewięćdziesiątym pierwszym roku życia, zalecając na łożu śmiertelnem wnukowi ks. Wilhelmowi pruskiemu, utrzymanie dobrych z Rosyą stosunków.

Panowanie cesarza i króla Wilhelma I. nierównie większe zajmie w dziejach świata miejsce, niż jego osoba.

Za panowania tego niezwykłe zdziałane zostały rzeczy, przedewszystkiem pruskie, w drugim rzędzie niemieckie. Dla ludzkości, dla jej rozwoju, dla zdrowego prawdziwego postępu świata, zatem dla wznioślejszych myśli i dążeń, dla uczucia i poczucia prawa, nic zgoła to pełne doniosłych zdarzeń panowanie nie przyniosło; przeciwnie, wywołało opłakany zwrot w biegu wypadków, słowem w historyi; zaprzepaściło o prawie wyobrażenie, dotknąć próbowało podstaw religijnych i doprowadziło do położenia zarówno czczego, jak zagadkowego.

Jeżeli jednak okres panowania cesarza Wilhelma przygniatać będzie w dziejach jego osobę i zamaże może jego postać, to przecież niepozbawionym on był jako panujący zalet i stron dodatnich, z początku mniej, z biegiem wypadków coraz bardziej cenionych. Zaczerpnął je wszystkie i pochodziły wszystkie z tradycyi wyłącznie pruskiej i z krwi rodu, do którego należał.

Patryotyzm, oparty na politycznej żądzy nabytków terytoryalnych kosztem innych, był zawsze podstawą i znamieniem tej tradycyi i tego rodu. Temu patryotyzmowi wiernym pozostał od początku do końca cesarz

Wilhelm, w ten sposób, iż budzić mógł złudzenie, że nawet z poświęceniem siebie samego i swoich przekonań osobistych. Z tego punktu widzenia i na podstawie takiego patryotyzmu, cesarz Wilhelm był nie tylko wzorowym naczelnikiem państwa, ale niezwykle obowiązkowym, wytrwałym, twardym dla siebie i innych, roztropnym i jak świadczą dzieje — mądrze praktycznym.

Miał on wielką, pierwszorzędną, nigdy dość nieocenioną zaletę, iż umiał gromadzić około siebie ludzi pierwszorzędnych, znakomitych, wyższych bardzo zdolnościami od niego, bez obawy, bez podejrzeń, zwłaszcza bez obrazy miłości własnej, choć nieraz z poświęceniem jej, dla dobra publicznego i państwa pruskiego; a pomimo tego z zachowaniem przecież pozorów górującego nad nimi i nad wszystkiem stanowiska monarszego. Była to prawdziwa sztuka rządzenia — zaczerpnięta w tradycyi, lecz której w pomoc przychodziło usposobienie cesarza.

Jako człowieka też, nigdy lepiej nie określono go, jak kiedy powiedziano, „Że ani tak ograniczonym, ani tak poczciwym nie jest, jak w ogóle mniemają“. Cesarz Wilhelm należał istotnie do wielkiej rodziny fałszywych poczciwców, a dopomagało mu to znakomicie w całym politycznym zawodzie, równie jak mylne mniemanie, które zwłaszcza z początku miał świat o nim.

Położył cesarz Wilhelm wielką, pierwszorzędną zasługę, którą może czas niesłusznie zatrze, około dokonanego dzieła i niesłychanej pomyślności państwa pruskiego, przeprowadzając ze stałością zdania, z wytrwałością, nawet z uporem, a zdrowym i pewnym o rzeczy sądem, przekształcenie armii pruskiej, która stała się głównem narzędziem wszystkich powodzeń, zwycięstw, dokonanych dzieł i wielkości. Ze stanowiska jednak ogólno-światowego — to przekształcenie było początkiem bezmiernych uzbrojeń, pod ciężarem których ugina się Europa i które wytworzyły zarówno

trudne zadania, jak uciążliwe położenie, streszczające się w słowach — zbrojny pokój.

Tak zatem wszystko, co za tego panowania i przez tego panującego, dodatniego zdziałanem zostało dla państwa pruskiego, zwróciło się złowrogo przeciw społeczności europejskiej, a jeżeli jaka wielkość, to ta, najbardziej dała się we znaki ludzkości. A nie pomylę się twierdząc, iż ztąd to pochodzi, że działania i czyny tego panowania natchnione były nie ludzkiemi uczuciami i dążeniami, ale wyłącznie pruskiemi; że ich podstawą nie były wielkie zasady, ale korzyści; że nie kierowały niemi wyższe, dalej sięgające myśli, lecz chwilowe żądze. W tym też duchu, nie bez zdumienia, żeby nie powiedzieć zgorszenia, widział świat monarchę, który głosił się wyznawcą przekonań i zasad sprzecznych z dokonanemi przez niego czynami, co już nie oslabienie poczucia prawnego, ale pomięszanie wszelkich pojęć prawnych, wywołać musiało. Cesarz Wilhelm nigdy nie zawahał się poświęcić głoszonych przez niego zasad i przekonań, dla wcielonej w nim myśli pruskiej, która była pruskim interesem. Mogli mu współcześni ziomkowie poczytać za zasługę to, o czem zapewne historya inny wyda sąd — jak innem w ogóle musi być o tym monarsze zdanie pruskie i niemieckie, a innem ogólnoludzkie.

Pozostanie on też niewątpliwie postacią znamienitą, której nawet obcy, przeciwnicy, choćby i pokrzywdzeni, uznania pod pewnemi względami nie odmówią, ale świecić ani jako meteor, ani jako ogrzewające słońce w dziejach nie będzie; przy pierwszorzędnych zaletach pruskich, braknie mu przymiotów przemawiających do uczuć i sumienia świata. I dla tego pomimo, iż potęga jego istotniejszą i większą była niż Ludwika XIV., nigdy nawet tym blaskiem w historyi świecić nie będzie, który dziś jeszcze opromienia wielkiego króla francuskiego.

Za panowania cesarza Wilhelma, srogie, niesłychane i niczem nie tylko nieuprawnione, ale nawet nieupozorowane krzywdy, wyrządzone zostały społeczeństwu polskiemu, obrażające już nie samo uczucie narodowe, ale także ludzkie — odpowiadało to duchowi i treści panowania, a nie Polacy sami byli tego ducha i treści ofiarami. Dla nieszczęśliwych jednak jest pewnym rodzajem pociechy, nawet godności i wielkości umieć się wstrzymać od bezużytecznej skargi, a jak prawdziwa boleść, tak i głęboki żal — milczy.

Filozof i moralista mógłby znaleźć związek między pierwiastkami i duchem panowania Wilhelma I., a ponuremi okolicznościami, wśród których zgasło. Ograniczę się do zapisania, iż dziwnem zrządzeniem, śmierć sędziwego twórcy państwa niemieckiego nastąpiła w takich warunkach, iż jej doniosłość polityczna, iż doniosłość tego epilogu długiego zawodu, wyłącznie polityce poświęconego, była mniejszą, niż się tego w ogóle spodziewano, czy obawiano i że — co jest może najbardziej znaczącem i znamionującem to panowanie i wytworzone przez nie stosunki — nie można było na razie zdać sobie sprawy ze znaczenia jego zakończenia. Po latach rachub, po latach poświęconych tylko rachubom — stanęła naraz przed wszystkimi — niewiadoma i piętrzyły się znaki zapytania.

I.

Może nigdy równie znakomicie jako mąż stanu nie przemówił ks. Bismarck, jak kiedy 11. marca 1888 r. zawiadomił parlament niemiecki o zgonie cesarza Wilhelma I. i wstąpieniu na tron cesarza Fryderyka III. Powaga, myśl polityczna i patryotyzm głęboki, połączyły się harmonijnie, w tej mowie kanclerza, o wspaniałym rysunku architektonicznym, przypominającym

pałac Pittich. A przytem, przemówił tu nie tylko mąż stanu pruski czy niemiecki, także człowiek. Politycznie dwa ważne były w mowie kanclerza ustępy, raczej dwie doniosłe zabrzmiały w niej nuty; nacisk położony na ustalenie jedności niemieckiej, odczucie potrzeby tego nacisku; oraz podniesienie potrzeby zabezpieczenia stanowiska niemieckiego państwa, wobec każdego niebezpieczeństwa, któreby mu zagrażać mogło.

Jedność niemiecką ustalić miała potrzeba zabezpieczenia jej zewnątrz. Przyszłość całości i części państwa, była w tej chwili tragicznie zagadkową, choć teraźniejszość opierała się na wielkiej sile materyalnej. Przedewszystkiem stało pytanie — jakie w nowym porządku rzeczy, choć przejściowym, będzie stanowisko istotnego twórcy jedności niemieckiej, potężnego męża stanu, na którym ciężyła zasługa, ale i odpowiedzialność za wszystko, co dokonanem i zdziałanem zostało, słowem — ks. kanclerza Bismarcka?

Pierwszą pod tym względem wskazówką był telegram nowego, skazanego już na śmierć monarchy, przesłany z San-Remo do kanclerza, dla niego chłodny, tak samo jak wstrzemięźliwemi były i obojętnemi słowa, któremi ks. Bismarck w parlamencie obwieścił wstąpienie na tron Fryderyka III. Niepodobna było nawet w takiej chwili, nie być uderzonym brakiem w owym telegramie wszelkiego wyrazu odszczególniającego twórcę dzieła i jedności niemieckiej, potężnego i niezwykłego w dziejach męża stanu, wielkiego patryoty oraz postawieniem go na równi, co do oddanych i mających być oddanymi usług, z Puttkamerami, Böttticherami, Goslerami i wszystkimi innymi ministrami urzędnikami. Po przedmowie wprawdzie nie należy sądzić o dziele, w każdym razie przedmowa do nowego panowania, musiała zwrócić na siebie uwagę, co się tyczy stosunku nowego cesarza do dawnego kanclerza.

Wobec publiczności i parlamentu, zaraz na wstępie żelazny i nieugięty kanclerz ustąpił. Otrzymał on był od umierającego cesarza upoważnienie zamknięcia parlamentu i chciał z niego zrobić użytek 9. lub 10. marca. Natrafił jednak na opór wolnomyślnych, którzy zamierzali natychmiast rzecz podnieść, dowodząc, że tylko nowy cesarz Fryderyk III. ma prawo zamknąć parlament. Bismarck się cofnął i nazwał ostatnie przez zmarłego cesarza podpisane upoważnienie — historycznym jedynie dokumentem. W odmiennych zatem od dawnych warunkach, znalazł się zaraz w pierwszej chwili ks. Bismarck. Stanowisko jego niezachwiane, lecz na wstępie wzmocnionem nie zostało. Ztąd przypuścić wolno było, że podczas choćby krótkiego nowego panowania, pozostawionym zostanie jak dotąd ks. Bismarckowi kierunek spraw zewnętrznych, już dla tego, że w nich był niezbędnym on i jego urok i ta powaga, której używał i to bałwochwalstwo, którem świat dla niego był przejęty; że w wewnętrznym jednak zarządzie nie będzie używał tej nieograniczonej swobody działania, która była samowolą, przemieniająca się czasem w swawolę. Nie tajne były związki, łączące nową parę cesarską z wolnomyślnymi, a jeżeli ograniczenie władzy kanclerza wewnątrz nastąpić miało, to stałoby się to prawdopodobnie pod znakiem owych związków. W każdym razie znane współzawodnictwo i głęboka osobista niechęć wstępującej na tron cesarzowej do ks. Bismarcka, zgotować mu mogły przykre przejścia, nawet trudności. Zresztą siłą rzeczy uczuć się on miał niebawem odosobnionym, bo wielu z tych, co wraz z nim w wojsku, czy w urzędniczym zawodzie służyło zmarłemu cesarzowi, bez względu na zbyt podeszły wiek, teraz stopniowo ustępować musiało. Po cesarzu, który był istnem fizyologicznem zjawiskiem, wyjątkowej siły żywotnej i cielesnej wytrwałości, wstępował na tron młodego cesarstwa niemieckiego, cesarz

umierający. „Co za zwrot w dziejach, za zrządzeniem Opatrzności“.

Pierwsze rozporządzenie nowego cesarza, dotyczące żałoby, nacechowane podniosłością i szerszym poglądem, którem pozostawiał woli i uczuciu każdego Niemca, jak uczcić ma pamięć zmarłego monarchy, było zarazem obejściem trudności co do przepisania żałoby całym Niemcom i panującym niemieckim, do czego nowy cesarz, nie poczuł się uprawnionym.

Pod względem zewnętrznym, najwyraźniejszem, możnaby nawet powiedzieć, jaskrawem znamieniem nowego panowania, stały się zamiany uczuć niezwykłej serdeczności i ścisłości, między królewską parą włoską i cesarską niemiecką. Być może, że przyczyniły się do tego wyjątkowe okoliczności, ale włoska pieczątka wyciśniętą została zaraz w pierwszej chwili na zewnętrznych stosunkach nowego panowania. Zachodziła tu pewna duchowa wspólność między parą cesarską niemiecką, a istniejącym porządkiem rzeczy we Włoszech. Pomimo prawdopodobnego, raczej niewątpliwego dalszego istnienia ścisłości stosunków politycznych i traktowych między Niemcami i Austro-Węgrami, wspólność duchowa między dwoma zaprzyjaźnionemi dworami, w ten sam sposób nie mogła się objawić.

Ze stanowiska austryacko-węgierskiego i odnośnie do położenia zewnętrznego, najważniejszym objawem był telegram ks. Bismarcka do hr. Kalnokyego, stwierdzający z wielką siłą, z niezwykłem ciepłem, żelaznemi znakami, trwałość, nienaruszalność i istotę przymierza, oraz związku Niemiec z Austro-Węgrami. Ten telegram był czynem i odnowieniem za rozpoczętego panowania przymierza niemiecko-austryackiego. W każdym słowie czytało się, iż ks. kanclerz uczuł potrzebę położenia niezwykłego w tej chwili nacisku, na dalsze trwanie przymierza.

Nie było w zamian o niem wzmianki ani w manifeście do narodu, ani w reskrypcie do ks. Bismarcka, cesarza Fryderyka III. Monarcha, pod względem zewnętrznym, ograniczył się do nacechowania stanowczo swej pokojowej polityki.

W dwóch tych dokumentach, naszkicowanem zostało wszystko, co z góry przewidzieć się dało o nowem panowaniu; niemieckość, pokój, odcień wolnomyślno-konstytucyjny i religijno-wolnomyślny. Znajdujemy tam wszystko to, co wiadomem było przedtem o nowej parze cesarskiej. Dwa ustępy w reskrypcie do kanclerza miały szczególne znaczenie; jeden, w którym położony był wyraźny nacisk na konstytucyonalizm; drugi, w którym z upodobaniem i pewnem rozmiłowaniem była mowa o tolerancyi religijnej. Nieobojętnem było, że dokument zawierający to wyznanie wiary nowego cesarza, niezupełnie zgodne z dotychczasowem postępowaniem w państwie, stworzonem przez cesarza Wilhelma i ks. Bismarcka, wystosowanym był właśnie do kanclerza. Można było bowiem w tym dokumencie obok wyrazów uznania i wdzięczności dla ks. Bismarcka, wyczytać także pewne na przyszłość nauki, jeżeli nie przestrogi. W zamian podniesionem tam było najmniej udane dotąd dzieło kanclerza, o które zapewne najmniej dbał, jego kolonialna polityka.

Z wszystkiego jednak już wznosić można było, że choćby przyszło ks. Bismarckowi twardsze jeszcze i przykszejsze przeżyć chwile, z patryotyzmu i przywiązania do swego dzieła, z uwagi na prawdopodobne krótkie trwanie panowania, zniesie, co mu w tych czasach przejściowych znieśćby przyszło, byle pozostać na straży ojczyzny i wzniesionego własnemi rękami gmachu. W Berlinie wszystko zeszło na drugi odrys wobec położenia wewnętrznego; ono górowało, ono pierwsze zajmowało miejsce w zajęciu i troskach, tak, iż znikły na

czas jakiś, polityka i sprawy zewnętrzne, zwłaszcza sprawa bułgarska, która zbyt mało obchodziła Niemcy.

Zmiana tronu w Prusiech, a jeszcze bardziej w Niemczech, w tak niezwykłych i przykrych odbywała się warunkach, wśród tak wielkiej niepewności co do jutra i w sposób tak zagmatwany, iż dziwić się nie można, że powstały wątpliwości, obawy, a może i nadzieje co się tyczy ustalenia i trwałości dzieła, oraz jedności niemieckiej, przeprowadzonej pod przewodnictwem Prus przez ks. Bismarcka i cesarza Wilhelma I.

Budowa pozostała niewzruszoną, ale wypadki wstrząsły nią tak, iż na chwilę ludzie zachwiali się. Ztąd główną troską i zadaniem było: usunąć wszelką wątpliwość, nie dopuścić, aby ludzie stracili równowagę, aby cokolwiek popsuło się w budowie. Obawy i pieczołowitość odnosiły się przedewszystkiem do podstawy potęgi i dzieła, do armii niemieckiej; straciła ona swojego twórcę i wodza, w jej łonie powstały zaraz pewne wątpliwości i złe przeczucia; ona i osoby należące do dawnego porządku rzeczy, przykro były dotknięte brakiem manifestu nowego monarchy do wojska. Powtarzam, utrzymać w ładzie, w dawnym duchu, w ryzie i jedności państwo i armię — oto, co kołom rządzącym i starym patryotyzmem pruskim ożywionym, wydawało się najważniejszem zadaniem i pierwszorzędnym obowiązkiem, najeżonemi jednak trudnościami i przeszkodami, z których niemałemi mogły być niespodziewane. Nie mówiąc o procesie politycznym i duchowym, jaki wskutek zmiany monarchy odbyć się mógł w łonie Niemiec i między książętami Rzeszy — w samym Berlinie, odrysowały się trzy dwory. Dwór dawny cesarza Wilhelma I., dwór panującej pary cesarskiej i dwór trzeci księstwa Wilhelmów, który nazwać można było — dworem dnia jutrzejszego. Do każdego z nich należały osoby znaczące, wpływowe, zajmujące wysokie stanowiska społeczne lub posiadające nie małą osobistą wartość. Na-

dawały one zatem ważność kołu, do którego należały, tem samem zwiększały doniosłość różnic, które w skutek tego podziału widniały, lub już powstały. Ztąd walka uczuć, żądz i nadziei, zawodów i próżności, która odbywała się około wspomnień świeżej przeszłości, wątłej teraźniejszości, bliskiej przyszłości. Niejeden w tym świecie, który naraz znalazł się w tak wyjątkowych warunkach, doznawał mąk pod wpływem obawy o swoje ja.

Dla spraw publicznych, dla bezpieczeństwa dzieła na zewnątrz, dla jedności niemieckiej, przewagi Prus, podporą stałą, niewzruszoną, człowiekiem opatrznościowym, silnym i choć już raczej stalowym niż żelaznym — pozostał ks. Bismarck. Wśród danych okoliczności wzmogła się tylko i tak dalece urosła jego niezbędność, iż przerastała wszystkich i wszystko. On był stróżem i zarządcą domu, raczej gmachu. Znalazł się w położeniu, w którem przyszło mu liczyć się z umierającym cesarzem, z cieniem przedstawiającym zasadę, oraz z niewiadomą, jaką jest zawsze młody książę, a która była blizką przyszłością. Ks. Bismarck jednak zmierzył orlim wzrokiem to położenie, obliczył, jak to zwykł był czynić, czas i wchodzące w grę czynniki i uczuł się dość silnym, aby pozostać niezbędnym, koniecznym sługą — panem.

Wiadome były i dawne różnice, zachodzące między nową parą cesarską a kanclerzem, i świeże zajścia z czasu pobytu jej w San-Remo, spowodowane sprawą abdykacyi lub rejencyi. Nie było zatem między tymi dwoma czynnikami ani prawdziwej zgody, ani duchowej łączności. Przeciwieństwa uwydatniły się wyraźnie w pierwszych krokach i pismach nowego cesarza, ale wszystko przezwyciężyła konieczność i nad wszystkiem zapanowała niezbędność dla państwa ks. Bismarcka. On sam na razie ułatwiał rzecz, obliczając czas trwania nowego panowania, tem samem jego isto-

tną doniosłość. W pierwszych chwilach powstały były wątpliwości i może żywił je sam kanclerz; reskrypt nowego cesarza do ks. Bismarcka acz pojęty w duchu niezgodnym z polityką jego, rozwiał je, podobno także w duszy i przekonaniu kanclerza. Odtąd ks. Bismarck wiedział, że jest ustalonym na swem stanowisku, a orędzie do parlamentu, zwłaszcza zaś manifest do Alzacyi i Lotaryngii świadczyły, iż trzyma cugle w ręku, że znowu on rozstrzyga. Pierwsze odezwania się Fryderyka III., manifest do narodu i reskrypt do kanclerza, pochodziły wprost z pióra cesarza, znać było w nich człowieka, co więcej przemyśliwał niż działał, któremu zbywało na państwowem doświadczeniu; nie miały też te dokumenta piętna męża stanu i słusznie powiedziano, iż raczej były to odezwy wyborcze, niż cesarskie manifesty. Orędzie do parlamentu, kładące główny nacisk na uchwalone ustawy wzmacniające siłę zbrojną państwa, przedewszystkiem manifest do Alzacyi i Lotaryngii bardzo stanowczy, bezwzględny i twardy — miały wyraźną cechę bismarckowską i w wielu przynajmniej ustępach odnaleźć można było żelazny rylec kanclerza. Nie potrzebował on dla siebie wyłącznej podstawy, gdyby takowej szukał, popełniłby błąd, opierał się bowiem na ogólnym interesie państwowym; nie ulega jednak wątpliwości, że istniał między nim a wyznawcami dawnego ducha pruskiego, dawnej pruskiej tradycyi i zachowawczości, związek, który zużytkować należycie zawsze potrafił. Przedstawiciele tego ducha, tej tradycyi, tej zachowawczości, nie wolni byli od podejrzeń i wątpliwości wobec nowego panowania; już drobna na pozór okoliczność, wolnomyślne rozporządzenie co do żałoby, niemałe między nimi wywołało niezadowolenie; większe jeszcze pominięcie armii w odezwach cesarza. Dla dopełnienia szkicu dodajmy, że stosunek między cesarzową Wiktoryą i następcą tronu ks. Wilhelmem był najgorszym, ze strony matki bez troski

i uwzględnienia własnego w niedalekiej przyszłości stanowiska. Stosunek cesarza Fryderyka III. do syna był dobry.

Polityka zewnętrzna kanclerza i państwa niemieckiego — w spoczynku — pozostawała tą samą, jaką była przed zmianą tronu, zwłaszcza, co się tyczy stosunku do Austryi; ten był obecnie równie, jeżeli nie więcej ścisłym, serdecznym, ciepłym nawet, na podstawie najistotniejszego i głośno przyznawanego interesu, także niezbędności — jednak w granicach znanych i tylokrotnie tu omawianych.

Książe Bismarck w rozmowie z następcą tronu austryackim Arcyksięciem Rudolfem przybyłym na pogrzeb cesarza Wilhelma I. oświadczył, że najzupełniej wierzy w utrzymanie pokoju, Kanclerz mówił dalej, że resztę lat przeznaczonych mu do życia, poświęcić chce ustaleniu wewnątrz dzieła i stosunków w Niemczech; zaczepiony jednak bronić się będzie do upadłego. Do tego przygotował wszystko i gotów jest.

Kanclerz w końcu rzekł: W Wiedniu niepotrzebnie kłopoczą się rozłożeniem wojsk rosyjskich. Przekonany jest, że nie było przeciw Austryi wymierzone; on zna Rosyę i wie, że rozłożenie dokonane, dokonywane i które jeszcze dokonanem będzie, spowodowane jest względami klimatycznemi i wyżywienia.

Nadeszły też do Wiednia oświadczenia z Petersburga nadzwyczaj pokojowe i pojednawcze; wyrażały zdziwienie, iż dzienniki wiedeńskie i peszteńskie wyzyskały wystąpienia niektórych dzienników rosyjskich bez wartości i znaczenia. Myśl zbliżenia się do Niemiec nie miała na celu zaczepnych przeciw Austryi zamiarów. W Wiedniu powinniby zrozumieć, dla czego w Petersburgu nie pragną szkody Austryi. Znając zbyt dobrze związki, łączące Niemcy z Austryą, Rosya chce przedewszystkiem zachować wolność działania. Jako dowód

pokojowej swej polityki, Rosya i nadal zachowa w sprawie bułgarskiej umiarkowaną postawę. Rosya zaprzecza wszelkim wiadomościom o wysłaniu nowem wojsk i nowem ich rozłożeniu na granicy austryackiej. Polityka rosyjska wcale nie zagraża interesom austryackim.

Wobec tych oświadczeń, ktoś znający Rosyę powiedział: jest dany od góry do dołu rozkaz, aby przemawiać w duchu pokojowym; pomimo tego Rosya zbroi się gorączkowo i zbroić się będzie, a boi się i wszyscy tam od góry do dołu wojny się boją, bo dostrzegli, że nie są wojskowo na wysokości zadania.

Tymczasem ks. Bismarck kładł nacisk przez swoje dzienniki na to, aby w Wiedniu i Peszcie nie oddawano się złudzeniom, iż w skutek zmiany tronu Niemcy stawią opór rosyjskiej polityce w Bułgaryi; jednocześnie dodawał, że w Petersburgu nie powinni liczyć na większą niż przedtem uprzejmość Niemiec; że on nauczony doświadczeniem i niewdzięcznością Rosyi, zostawi jej wprawdzie wolność działania w Bułgaryi i nie odmówi uznania jej zgodnych z traktatami życzeń, dalej jednak nie pójdzie. Rosya - mówił on - ma w ręku dwa środki wyprowadzenia Niemiec z cierpliwości: uderzenie na Austryę i zachęcanie we Francyi myśli odwetu. Jeżeli odstępuje ona we własnym, dobrze zrozumianym interesie od zamiaru wypowiedzenia wojny sprzymierzeńcowi Niemiec, to tem silniej rozdmuchuje ogień we Francyi. W tych warunkach, stosunki nasze z gabinetem peterburgskim i nadal będą poprawnemi oraz pojednawczemi, ale, aby na razie stały się ścisłemi, trudno przypuścić.

Dyplomacya rosyjska zaś w sposób przesadny wpierać poczęła w innych, może i w siebie, polepszenie stosunków między Rosyą a Niemcami. Niezawodnie z obu stron skorzystano ze zmiany tronu, aby usunąć pewne naprężenie, które nastało było w ostatnim roku,

pomimo bismarckowskiego przeciwubezpieczenia, do którego, zdaje się, gabinet petersburgski wielkiego nigdy nie przywiązywał znaczenia. Usiłowano więc okazać sobie obopólnie wiele uprzejmości; i tak, w Berlinie chciano w pierwszej chwili powierzyć ks. Antoniemu Radziwiłłowi zawiadomienie w Petersburgu o zmianie tronu; przypomniano sobie jednak, iż milszym tam będzie jenerał Werder. Istotnie nic się nie było zmieniło i znowu wyłącznie ze względu na potrzebę i użyteczność, utrzymaną została w całej pełni polityka, oparta na trójprzymierzu i najściślejszych z Austryą stosunkach, przy możliwie najlepszych z Rosyą.

Dyplomacya rosyjska, głosząc z jednej strony o znacznem polepszeniu się stosunków między gabinetami petersburgskim i berlińskim, z drugiej, zwracać poczęła przeciw Austryi zarzut, który czyniono Rosyi, iż swoją postawą i wstrzymywaniem się od pojednawczego kroku w sprawie bułgarskiej, sieje niepokój i budzi obawy zawikłań zagrażających pokojowi europejskiemu.

W Berlinie stanęło na porządku dziennym ważne pytanie co do stanowiska ks. Bismarcka. Rozchodziło się bowiem w pierwszym rzędzie o wskrzeszenie zasady wspólności ministeryalnej przy omawianiu i rozstrzyganiu spraw państwowych. Za ostatniego panowania, szczególnie przy końcu, ważne zwłaszcza sprawy, rozstrzygał sam kanclerz, zaledwie od czasu do czasu zasięgnąwszy zdania kolegów w gabinecie i to w poufnych, nie urzędowych pogadankach. Narady ministeryalne w rzeczach doniosłych, przestały były się odbywać, zasada wspólności całkowicie zaniechaną została. Za nowego panowania i w skutek życzenia Fryderyka III. miała być do życia powołaną. Zapowiadano w tym duchu reskrypt cesarski. Czy z księciem Bismarckiem na czele zasada ta mogła się stać rzeczywistością? Ale już poruszenie tej sprawy świadczyło, iż pomimo niezbędności ks. Bis-

marcka na której się opierał, przecież między nim a nowem panowaniem istniały ważne różnice, i że nie będzie on mógł używać tej swawoli słowa i ruchów, do której przywykł był za ostatniego panowania, tak dalece, iż stała się ona u niego nałogiem. Jak już powiedziałem, będąc przedtem żelaznym, musiał teraz okazać, iż potrafi być także stalowym.

Zastępstwo udzielone ks. Wilhelmowi z powodu choroby cesarza Fryderyka III., chociażby nie miało zastosowania, było mądrym krokiem politycznym, mającym świadczyć wobec Niemiec i świata, że wedle tradycyi, przyczyna stanu góruje w Prusiech nad wszystkiemi i wszystkiem; w tym wypadku nad wszelkiemi różnicami, współzawodnictwami, niesnaskami lub zatargami rodzinnemi — i że ona nakazywała w tej chwili stwierdzić jej ciągłość, zarówno jak nieprzerwalność myśli politycznej i zasady dynastycznej. Tym sposobem rozporządzenie cesarza Fryderyka III., dotyczące zastępstwa, przybierało znamię historyczno-państwowe, bo było objawem i uświęceniem zasady, którą się Prusy rządziły, i która zapewniła ich wzrost i potęgę — zasady polegającej na tem, aby zawsze i wszędzie z największą bezwzględnością to robić, co użytecznem i potrzebnem jest, nie zważając, czy to jest miłem lub nie i pomijając wszelkie poboczne względy.

W tem wybuchło w Berlinie kanclerskie przesilenie. Powodem najbardziej jaskrawym wobec publiczności, było stanowcze sprzeciwianie się Bismarcka zamierzonemu małżeństwu ks. Aleksandra Battenberga Bułgarskiego z córką cesarza Fryderyka III., którego wielce życzyła sobie cesarzowa. Kanclerz nie chciał narażać sobie cesarza rosyjskiego, którego niełaskę i prześladowanie ściągnął był na siebie ks. Aleksander.

Nie ta jednak była prawdziwa przyczyna przesilenia. Było ono objawem i następstwem ścierania się dwóch czynników, nawet dwóch potęg.

Pierwiastku przesilenia i konfliktu szukać należało w przewodniej myśli pierwszego manifestu do narodu i reskryptu do kanclerza cesarza Fryderyka III. Pojawienie się tych dokumentów odrysowało już było dwa sprzeczne w sprawie publicznej i państwie kierunki. Odtąd też szło o to, czy rządy państwa sprawowane być mają istotnie przez monarchę i uprawnione do tego konstytucyjne czynniki, czy też tylko pozornie — rzeczywiście zaś i wyłącznie, bezwzględnie i samowładnie, przez jednego wyjątkowego człowieka, twórcę dzieła i niezaprzeczenie niezwyklej miary męża stanu — który przecież był przypadkowem i przemijającem zjawiskiem, podczas gdy zasada monarchiczna i prawny porządek rzeczy są stałemi i trwałemi podstawami. Szło więc tu znowu o to, o co wśród długiego i świetnego zawodu ks. Bismarcka zawsze rozchodziło się — czy siła wyższości politycznej i umysłowej górować ma bezwzględnie nad prawem i wszelkiemi innemi czynnikami. Ks. Bismarck wprawdzie mógł twierdzić, że broni monarchii przeciw Monarsze; zbyt przecież widocznem było, że monarchią, była tu osobista jego władza i z przejść tych zaczerpnąć przyszło naukę — czy można być pół Cromwellem. Trwała zasada rządów monarchicznych i prawnych, narażoną była na szwank przez bałwochwalstwo człowieka, w którym wcielony był chwilowy interes państwa.

Zaznaczenie w manifeście cesarza Fryderyka zamiaru rządzenia konstytucyjno-parlamentarnie na sposób angielski wtedy, kiedy przez cały czas przeszłego, właściwie własnego panowania, ks. Bismarck inne nadawał znaczenie konstytucyi w Prusiech i Niemczech, szydził, ośmieszał i do niemocy doprowadzał parlamentaryzm; zaznaczenie to, miało większą doniosłość, jako przeciwstawienie dwóch powyżej wskazanych zasad i potęg, niż jako objaw wolnomyślnych dążeń, ale też ono odrazu zapowiadało powstanie sporu cichego, czy

głośnego, w każdym razie mającego zasadnicze znaczenie.

Początki i przebieg przesilenia, choć były przerywane zwycięstwami na razie kanclerza, zdawały się zapowiadać przegraną człowieka, którego bałwochwalstwo stało się było obyczajem ogółu.

Fryderyk III., kiedy jeszcze był następcą tronu powiedział: „Ks. Bismarck dostarcza cesarzowi wszystkiego, czego potrzeba i czego zapragnąć możemy, ale nie trzyma się w lesie porządku i dzikie tam prowadzi gospodarstwo“. W tej chwili ks. kanclerz niszczyć już poczynał las, a dalsze wypadki zależały od tego, czy starczy woli, siły, zwłaszcza czasu Fryderykowi III., aby temu przeszkodzić, tamę położyć i przywrócić gospodarstwo prawidłowe z dawnym zarządcą lub bez niego.

Tu wchodziły w grę takie czynniki, takie tajemnicze poniekąd siły i tyle dziwnych okoliczności, że je wszystkie obliczyć niepodobna było. Jedno jednak było z przeszłości wiadomem, iż szczęście nieodmiennie i wiernie zewnątrz i wewnątrz sprzyjało ks. Bismarckowi i było najpotężniejszym sprzymierzeńcem tego, co nazwać trzeba geniuszem Bismarcka, i że ono stawało się nieszczęściem wielu. Chyba, że w końcu sprawdziłby się i tu miały słowa Karola V.: „Fortuna jest, jak kobieta: nie lubi siwizny“.

To pewna, że nawet podróż cesarzowej Wiktoryi do Poznania dla niesienia pomocy nawiedzionym powodzią, stanęła na razie w sprzeczności z przeszłem panowaniem, z obyczajem i wszechpotęgą ks. Bismarcka; bo aczkolwiek podjętą była w myśli i celach dobroczynności; przecież, że nie przeszkodziła jej okoliczność, iż odbyć się miała na polskiej ziemi, stanowiło już różnicę w porównaniu ze świeżą i wytrwałą nienawiścią, zawziętością i pogardą, których tylokrotnie ks. kanclerz stał się niegodnie, głośnym wyznawcą. Lu-

dność też polska, która długiem doświadczeniem wyrobione ma poczucie odcieni, bardzo rozumnie i uczciwie postąpiła sobie, przyjmując przystojnie, poważnie i godnie monarchinię.

Ks. Bismarck igrać teraz począł z władzą monarszą, do której tak często i wymownie odwoływał się, kiedy była wyłącznie na jego usługach. Autokratyczne usposobienie i bezwzględność kanclerza podnosiły bunt przeciw wszelkiemu ograniczeniu jego osobistej wszechwładzy, a zatem i przeciw władzy monarszej, skoro ta tamtą zmniejszyć miała. Istotnie, jeżeli nie na zawsze to na teraz skończyły się były piękne dni Warżynu, podczas których, z uszczerbkiem znaczenia korony i stolicy, ks. Bismarck przeniósł tam punkt ciężkości sprawy publicznej i ztamtąd rządził nią. Że tego na razie przeboleć nie mógł, nic dziwnego; że ukryć nie umiał, świadczy, iż łatwiej panować nad innymi, niż nad samym sobą. W każdym razie z konfliktu tego, władza królewska wyjść mogła osłabiona, urok kanclerza zmniejszony. W podjętej walce po stronie ks. Bismarcka były wielkie przez niego dokonane rzeczy i nadzwyczajny rozum; przeciw niemu przemawiały słuszność sprawy, zasada monarchiczna i prawna. Trudno już było o kompromis, któryby, wszystko godząc, wszystko uratował. Jednak pod naciskiem konieczności znaleźć się musiało takie wyjście, któreby uratowało pozory. Najwymowniejszem zakończeniem tego sporu, rzekł ktoś, byłoby, gdyby ks. Bismarck zamknął swój zawód jako buntownik. Tymczasem miał go zakończyć jako minister. Ani się zerwał do ostatecznego buntu, ani okazał należnych, monarszej parze względów, ani zdobył się na usunięcie się od spraw publicznych, które stały się dla niego nałogiem.

W Berlinie nastała była jedna z tych chwil, w których w skutek niepewności jutra, każdy krył się ze zdaniem, każdy własnego bał się cienia, i w której tro-

ska o własny los górowała nad myślą o sprawie publicznej. To bowiem, co dziś poczytanem mogło być za zasługę, mogłoby jutro uważanem być jako karygodne.

W podjętej naraz jawnej walce, jedna strona, to jest korona, ujrzała się pozbawioną środków obrony, gdyż przeważna część organów publicystycznych znajdowały się w rękach strony przeciwnej, to jest kanclerza. A jednak głos sumienia i obrażone uczucie słuszności odezwały się w sposób bardzo dla ks. Bismarcka dotkliwy i nigdy jeszcze nie usłyszał on tyle gorzkich prawd, z których najwymowniejsza z powodu oporu stawianego przez Bismarcka małżeństwu córki cesarza z ks. Aleksandrem Battenbergiem brzmiała: jeżeli księżniczka niemiecka, aby wyjść za mąż, potrzebuje zezwolenia cara, pocóż ks. Bismarck niedawno temu zawołał w parlamencie „Niemcy prócz Boga nikogo się nie boją“!?

Nie do pozazdroszczenia było położenie ambasadorów i posłów niemieckich zagranicą. Nie wiedzieli, czy przedstawiają cesarza, czy kanclerza; wiedzieli tylko, że przedstawiają konflikt.

Utwierdziło się przekonanie, że niezbędność ks. Bismarcka zwalczy wszystko, i że on utrzyma plac boju. Książe Wilhelm kazał przestrzedz ks. Battenberga, że w razie, gdyby zaślubił siostrę, będzie zawziętym jego wrogiem, potem wypędzi go. Kanclerz dwa razy zniósł spokojnie obecność cesarzowej podczas narady z cesarzem, za trzecim, gdy weszła, zamilkł i oświadczył, że słowa nie powie, dopóki ona nie odejdzie. Cesarzowa po pierwszej naradzie z kanclerzem w sprawie małżeństwa wyszła w najwyższym stopniu rozgniewana. Podnosiły się ciągłe skargi na uczucia angielskie cesarzowej i księżniczki Wiktoryi, na używanie języka angielskiego i wyrażenie „u nas w Anglii“. Cesarzowa zabezpieczyła swoją majątkową przyszłość, w wartościach złożonych w Anglii.

Przesilenie zostało chwilowo zażegnanem; małżeństwo Battenberga zostało chwilowo zaniechanem, kanclerz chwilowo zwyciężył.

W Berlinie jednak nastał rozstrój. Znaczne po sobie ślady zostawiła kanclerska wojna dziennikarska, stowarzyszeń, zebrań ludowych, zwłaszcza adresów, oraz tajnej policyi i dyplomacyi. Ks. Bismarck nie cofnął się bowiem przed wywołaniem rodzaju *plebiscytu* na swoją korzyść w sporze z koroną. Być może, iż raczej miał przyszłe niż obecne panowanie na względzie. Następstwa tej walki prowadzonej ze zwykłą bezwzględnością, pozostały bolesne tak dalece, iż nazwać je można było ranami, zadanemi państwu, które niełatwo zabliźnić się mogły.

W stanie zdrowia cesarza Fryderyka III. gwałtowne pogorszenia były oznakami z góry przewidywanego postępu niewyleczalnej choroby raka. Jedno z ostatnich przesileń było naprzód przez lekarzy przepowiedziane; dzień przyszłego już był im mniej więcej wiadomym, lecz trzymanym w tajemnicy. Nie twierdzono jednak, aby wraz z niem nastąpić miała koniecznie śmierć, ale każde było jednym krokiem naprzód wiodącym do niej; nie mówiąc już o tem, że zgon nastąpić mógł między dwoma przesileniami. Po ostatniem chory uczuł się niezmiernie osłabionym, stan ten niemocy przedłużał się.

Osoby, obeznane ze stosunkami berlińskiemi były zdania, że aczkolwiek następca tronu ks. Wilhelm żywić może zachcianki wojenne, to przecież właśnie dla tego, że mu je głos publiczny przypisywał, usiłować będzie, przynajmniej przez pierwsze lata panowania, okazać się pokojowym i umiarkowanym; niektórzy dodawali, że nie tylko na zewnątrz, także i wewnątrz.

Tymczasem stosunki w Berlinie były przykremi i mało budującemi; głuche współzawodnictwa walczyły ze sobą w sposób nieraz gorszący.

Nieporozumienia i zatargi w łonie rodziny królewskiej były ciągłym przedmiotem rozmów i plotek domowych oraz publicznych. Stronnictwo tak nazwane wojskowe, staropruskie, dolewało oliwy do ognia i w sposób czasem nieprzyzwoity okazywało niechęć do obecnego panowania, nawet zniecierpliwienie, iż przedłuża się. W tem postępowaniu upatrywano wpływ mniej lub więcej bezpośredni kanclerza, który bardziej, niż kiedykolwiek stał jako odrębna, wyjątkowa, chcąca się ponad wszystko i wszystkich wznosić potęga, nie określona prawnie, lecz stwierdzająca się, a przyjmująca tajemniczą i groźną postawę wyczekującą. Ogół społeczeństwa, pozostając jeszcze pod wpływem przeszłości i dzieł dokonanych przez kanclerza, skłonnym był do wielkiej względem niego wyrozumiałości; ale razić poczynało i drażnić, iż już syn wielkiego człowieka, hr. Herbert Bismarck, przyboczny kanclerza kierownik spraw zewnętrznych, także przybierał sposób ojcowski, zwłaszcza w obchodzeniu się z ludźmi. Słowem objawy, zdradzające istnienie jakoby dwóch w państwie dynastyi, jednej prawnej, drugiej opartej na przeszłości człowieka, mięszać poczynały pojęcia, siały niepokój, czasem wywoływały oburzenie, najczęściej niesmak.

Tam, gdzie dotąd umiano wyzyskiwać bezwzględnie ogólną niepewność a okazywano nieograniczoną pewność siebie, w Berlinie, przeciągała się chwila niepewności — obfitująca w coraz to nowe zdarzenia.

Stworzyła ją zmiana tronu; przedłużała walka między systematem ostatniego panowania, a wyobrażeniami i dążeniami nowego monarchy; między pojęciami zmarłego, a umierającego cesarza. A tak czynniki i warunki tej walki wzmacniały potęgę niepewności.

Cesarz Fryderyk III. ze stałością powracał przy każdej sposobności, do myśli i dążeń wyrażonych w manifeście i reskrypcie, które przy objęciu tronu wydał

i chciał je zastosować; lecz właśnie wtedy, kiedy je zaprowadzać zamierzał, spotykał się z oporem mniej lub więcej dumnym, mniej lub więcej silnym ks. Bismarcka — bo ostatecznie i pomimo wszystkiego — owa walka dwóch systematów uosabiała się w dwóch ludziach i rozgrywała się między schorzałym cesarzem i sędziwym kanclerzem, między panowaniem bez przyszłości Fryderyka III., a przeszłością ks. Bismarcka. Ta z jednej strony przyszłość beznadziejna, ta z drugiej potężna i świetna przeszłość, oto główne czynniki dramatu.

Dowodem tego były ostatnie przejścia.

Cesarz Fryderyk III. w sprawie zatwierdzenia ustawy o przedłużeniu okresu parlamentarnego, zajął stanowisko zgodne z manifestem i reskryptem przy objęciu tronu wydanemi; zgodne z poszanowaniem ducha i treści konstytucyonalizmu, które w nich zapowiedział. Któż następnie nie uczuł i nie zrozumiał, że polecenie strzeżenia swobody wyborów dane publicznie przez cesarza, dotykające osobiście ministra Puttkamera, było przecież przedewszystkiem postawieniem w życiu publicznem Prus, zasady przeciwnej całym rządom ks. Bismarcka, i że tu znowu stanęły naprzeciw siebie dwa systematy, ostatecznie dwóch ludzi.

Ks. Bismarck, który z Warżynu rządzić jeszcze mógł Europą, lecz już na razie nie Prusami, przybyć musiał do Berlina.

Narady między kanclerzem, a cesarzem we Friedrichskron były spowodowane walką między dwoma systematami. Ks. Bismarck nie próbował tym razem siły swej niezbędności i nie obrał zwykłego środka — dymisyi; nie powodował się też wcale ani rycerskiemi uczuciami koleżeństwa, ani też względami pokrewieństwa, co się tyczy Puttkamera. W niewyczerpanych zasobach swej politycznej wiedzy, wolał wybrać inny sposób walki, nie otwartej i dumnej, ale podstępnej, przecież zuchwałej. Oto przeistoczył zamiar i myśl ce-

sarską. Pod grozą okazania się samowładnym wtedy, kiedy pragnął być konstytucyjnym, ujrzał się monarcha w konieczności ogłoszenia zatwierdzonej ustawy o przedłużeniu okresu parlamentarnego bez zamierzonego reskryptu o swobodzie wyborów, ale za to z dymisyą Puttkamera. Organ zaś Bismarcka ogłosił szyderczy paszkwil wymierzony przeciw pierwszemu manifestowi i przeciw krótkiemu panowaniu schorzałego monarchy.

„Fikcya parlamentarna, wedle której o zamiarach i osobie monarchy nie może być mowy, nie zgadza się z konstytucyą. Należy zrzec się raz tej fikcyi, która majestat monarszy unosi poza chmury. Jest to zjawiskiem pocieszającem, że prerogatywa korony na polu ustawodawczem, znowu wystąpiła obecnie w całej swej uprawnionej sile. Minister musi przed Izbą usprawiedliwić się ze swojego przekonania, dla korony wystarcza jej wola. Ministeryum, nie mogące przekonać monarchy w jakiejś sprawie, nie potrzebuje zaraz ustępować, tak samo, jak pojedynczy minister, przegłosowany w radzie.

„Ministrowie pruscy powinni zastanowić się nad tem, czyli pożytek, płynący z przedłużenia okresów prawodawczych, oceniają tak wysoko, że gotowi byliby przyjąć na siebie odpowiedzialność przed krajem za ustąpienie zbiorowe w tak ciężkiej chwili, gdyby cesarz na żądane przedłużenie nie zgodził się. Uprawnionymi do usunięcia się ministrowie są zawsze, położenie wszelako ogólne Europy nakazuje każdemu sumiennemu doradcy korony, gruntownie zastanowić się nad tem, jaki wpływ zmiana gabinetu wywarłaby na siłę zaufania, jakiem Prusy cieszą się obecnie w obrębie państwa niemieckiego i zagranicą. W każdym razie, wypadki ostatnie dowiodły już teraz, że Prusy potrzebują monarchy żywo, osobiście i dzielnie kierującego rządami, który, nawet bez współudziału ministrów, posiada prawo do

oddziaływania nie tylko na administracyę, lecz i na ustawodawstwo".

Ks. Bismarck wybiegami ratował przedewszystkiem swoją osobę i swoje stanowisko, poświęcając, jak zawsze wszystkich. Cesarz zachował przecież kanclerza. Bismarck nie pomylił się był w swojej rachubie. Z jednej i z drugiej strony widocznem było jednak naciągnięcie struny i widoczną obawa przeciągnięcia jej. Była to zatem chwila zupełnej niepewności w tem państwie, w którem przywyknięto działać tylko na pewne; bo nikt nie mógł powiedzieć, jak długo potrwa taki stan rzeczy ani też, czy struna nie pęknie nim się skończy.

Ks. Bismarck od początku zaznaczył był sobie jako zadanie na czas obecnego panowania: pozostawienie cesarzowi popisów, zachowanie dla siebie, nietkniętej władzy niezbędnego męża stanu.

II.

Po studniowem panowaniu 15. czerwca 1888 r. zstąpił do grobu Fryderyk, król pruski, z domu Hohenzollernów drugi z kolei cesarz niemiecki. Położyło to na razie koniec sporowi i walce podniesionej przez ks. Bismarcka. Lubo choroba pozbawiła Fryderyka III. mowy i nadziei życia — krótkie jego panowanie będące pasowaniem się ze śmiercią, wysunęło na widownię odrębną postać historyczną. Od pierwszego manifestu po objęciu władzy cesarskiej, do ustąpienia ministra Puttkamera niemal w dzień przed śmiercią — wszystkie czyny tego monarchy świadczą o mocy ducha, sile charakteru, poddaniu się i godności, o poczuciu obowiązków monarszych oraz ciągłości pojęć i zapatrywań.

Cesarz Fryderyk ukazał się na widowni dziejowej jako przypomnienie tego, co dawniej uznawano za rękojmię swobód i równowagi — a może jako ostrzeżenie przed tem, co zagraża ustrojowi państw.

Choć krótkie było jego panowanie, zajmie on miejsce zaszczytne w zastępie monarchów współczesnych, bo okazał chęć ulg i sprawiedliwości w zakresie swej władzy. Choć brakło czasu i sił do zwrotu i przełomu — ustęp ten tragiczny dziejów wstrzymał, może oddalił starcie i wybuch nagromadzonych materyałów palnych — w przeciwieństwach zaś z dyktaturą kanclerską i jej przewagą nad parlamentem, podniósł powagę korony, która zeszła do znaczenia symbolu za poprzedniego panowania.

Współczucie ogółu otaczało łoże monarsze. Za granicą upatrywano w cesarzu Fryderyku zwrot do zasad wolnomyślnych, do dążeń ludzkich, do pojęć konstytucyjnych. Panowanie to obiecywało w razie dłuższego trwania uśmierzenie bezwzględności, która w wewnętrznej i zewnętrznej polityce coraz bardziej się potęgowała w Berlinie i na świat się szerzyła.

Ale rozwój państw o pierwiastku zaborczym i żądzach despotycznych odbywa się zwykle prężeniem naprzód aż do ostatniego szczebla wszechwładztwa i potęgi — tak było w starożytności, tak w nowożytnej historyi. Nie dziw, że w staro-pruskich kołach, że w oczach wielu własnych poddanych, współczucie dla chorego cesarza ustępowało przed oznakami nietajonej niecierpliwości. Cesarz Fryderyk poczuciem wolnomyślno-ludzkiem i ogólno-europejskiem zdawał się być zboczeniem od tradycyi swego domu, nieprawidłowością pruskiego ducha — przeszkodą w celach i środkach polityki państwa. Snać we współczesnem gospodarstwie politycznem niemieckiem nie było miejsca i pola dla tych, co koją namiętności, uśmierzają bezwzględne działanie siły.

Na przeciwnej drodze, przodowało nowe cesarstwo i człowiek, przed którym, jak przed Fatum usuwały się dotąd wszelkie zawady i przeszkody.

Wstępujący na tron wnuk cesarza Wilhelma I., wyznawca nauki ks. Bismarcka, czy tę samą, co dziad okazywać będzie powolność woli kanclerza, czy też, jak twierdzono pełen żądzy czynów, przyspieszy bieg wypadków? Oto pytanie, które ogół sobie zadawał. W każdym razie zgon cesarza Fryderyka zdawał się niweczyć widoki zmiany w kierunku i zasadach polityki wewnętrznej.

Raczej do poematu, do dramatu, do powieści, niż do oceny politycznej, nadaje się cesarz Fryderyk III. Monarcha to, którego panowanie w oczach współczesnych przesunęło się jak sen, jak twór wyobraźni, jak nocne marzenie, sprzeczne z rzeczywistością i nieodpowiadające ani czasom, ani stosunkom, wśród których powstało. Ten syn potężnego zaborcy, ukazał się na tronie, jak na scenie pojawia się duch ojca Hamleta. Chociaż nieuchwytna i przemijająca, nie pozbawiona ta postać piętna. Ten trzechmiesięczny cesarz był nieco chorobliwym marzycielem, miał przecież w sobie coś ogólno-ludzkiego, co jednało mu współczucie spotęgowane tem, co najbardziej jest ludzkiem — cierpieniem.

Całe jego życie — zwłaszcza krótkie panowanie, rozpłynęło się w oczekiwaniu, w dążeniach, chęciach; gdy wstąpił na tron był już umierającym, gdy po raz pierwszy swoją wolę w czyn zamienił usunięciem Puttkamera — skonał. Widocznie na tronie państwa, na którym zasiadł, nie było miejsca dla niego; nie należał do okresu, któremu to państwo nadało żelazne swe piętno, ścierając z niego ogólno-światowe znamiona, wykluczając ludzkie uczucia, zastępując je samolubstwem narodowem i państwowem.

Postać tego monarchy, wyglądać będzie wobec dzieła stworzonego krwią i żelazem, jako nadprzyrodzone zjawisko, urągające, czy grożące mu przez chwilę, które gdzieś w mgle się rozpłynęło.

Fryderyk III. istotnie nie był tyle powołany do ustalenia lub rozszerzenia dzieła powstałego owemi środkami i z owych pierwiastków — jak raczej do przeistoczenia go. Z rządów jego wnosić można, iż przeznaczeniom jego było, nie bezwzględnością siły zapewnić państwu niemieckiemu należne w świecie miejsce, lecz pogodzeniem się świata z jego potęgą i wzrostem, a to przez nadanie mu tych cech duchowych, z których wyzuła Niemcy ćwierćwiekowa polityka twórców ich obecnej jedności. Jego to może posłannictwem było nadać tej potędze promieniejącą i przyciągającą moc, której jest pozbawioną i ogrzać ciepłem tę zimną bryłę. Nie samym postrachem i przemocą chciał Fryderyk III. panować wewnątrz i zewnątrz. Jego rządy byłyby zapewne zaznaczyły się nietylko w dziejach Prus i wyłącznie dla siły materyalnej Prus, także w dziejach świata i dla pożytku świata, stając się częściowem zadośćuczynieniem za wszystkie klęski, szkody i krzywdy, które działania Bismarka wyrządziły ludzkości i poczuciu prawnemu; mniemał on, że byłyby tem samem zapewniły Niemcom trwalszą, szczęśliwszą, bezpieczniejszą, w każdym razie chlubniejszą przyszłość, niż ta, która je czeka jako dalsze następstwo nienawiści, zemsty i postrachu!? Acz z zaszczytną przeszłością wojskową, Fryderyk III. ani wojowniczym, ani wyłącznie, nawet przeważnie, wojskowym nie był. Panowanie jego byłoby jeżeli nie położyło końca przewadze militaryzmu w państwie, to byłoby się przecież stało łagodnem pod tym względem przejściem, a bodaj czy od tego nie zależało usunięcie zbrojnego w Europie pokoju i zażegnanie szkód, które pociągnąć muszą za sobą uzbrojenia bez końca.

Wszystkie te nadzieje, przewidywania i przypuszczenia znikły jak marzenie jednej chwili, sprzeczne z rzeczywistością, z istotą i przeznaczeniem państwa które się widzi na jawie, i właśnie dla tego może, że

nadzieje znikły spiesznie. Czy się z nich cośkolwiek zostało? Wątpię. Została się tylko pamięć monarchy, który z siłą ducha, objawiającą się w umierającem ciele, objął władzę i z stałością, niepozbawioną wyższości, chciał zaznaczyć własną myślą w dziejach, krótkie swoje rządy; pozostanie pamięć tych rządów bez przyszłości, oraz odwagi człowieka wobec cierpień i śmierci.

Ks. Bismarck przebył przez trzy miesiące tego panowania, czyściec na ziemi, za pychę, dumę i samowolę. Że go nie odbył jako pokutnik, lecz raczej jak spętany duch bezwzględności, to wiadome i wiadomem jest także, że acz uzbroił się w stałość, aby przetrwać u władzy obliczoną, krótką, dla niego przykrą chwilę, to przecież nie umiał powstrzymać swojego zuchwałego usposobienia i wciąż buntował się, co zasadom monarchicznym i dynastycznym, nawet podczas tej narzuconej kanclerzowi pokuty, zadawało rany.

Ks. Bismarck tryumfował; zgodnie z pochodzeniem i istotą własnego dzieła, on otrzymał z rąk przeznaczenia plac walki, on był na teraz panem położenia. Wszystkie wskazówki i to, co wiadomem było o nowym cesarzu, świadczyło, że był on nawet przesadnym wyznawcą nauki bismarckowskiej, że chciał być wcieleniem bezwzględnem myśli pruskiej; nie krył się z tem i jaskrawo kilkakrotnie to wyraził. Jeżeli zmarły cesarz nie mógł i nie chciał obejść się bez ks. Bismarcka, tem mniej, sądzono, mógłby obejść się bez niego niedoświadczony, dwudziestodziewięcioletni Wilhelm II. Zwykłym trybem rzeczy ludzkich, w tym wypadku ponoś bardziej niż w innych, następca będzie chciał zająć wprost przeciwne niż poprzednik stanowisko; wrócić więc będzie musiał, bo to najprostsze, jedynie dziś możliwe, do systematu bismarckowskiego bez zmian. Czyniło to kanclerza na razie potężniejszym, niż kiedykolwiek.

Ztąd łatwe wnioski na wewnątrz i zewnątrz. Wewnątrz mniej lub więcej spieszne wyparcie się

ostatniego, studniowego panowania i wszelkich jego dążeń — czego już dowodem była junacka czy też junkierska odezwa, wydana natychmiast i przed innemi do wojska przez Wilhelma II., podczas, gdy jej zaniechał był Fryderyk III., choć ten w bojach posiwiał, a tamten nigdy w ogniu nie był — odezwa, zaznaczająca dobitnie nieprzerwalność państwa wojskowego. Nowy cesarz zdawał się chcieć na początku wskrzesić czasy, w których panujący nietylko przeważnie zajmowali się wojskowością, ale także bawili się żołnierzem. Tej zabawie oddawał się był już nieznużenie dzisiejszy cesarz, przez czas panowania ojca.

Na zewnątrz zbrojny pokój, stworzony przez ks. Bismarcka. Przy utrzymaniu takowego i dalszem wyzyskiwaniu przymierzy, zużytkowane być mogły pierwsze chwile nowego panowania, dla podjęcia raz jeszcze próby zupełnego zbliżenia się do Rosyi, tak bardzo odpowiadającego tradycyi pruskiej i bismarckowskiej, zaleconego na łożu śmiertelnem przez Wilhelma I., a mającego na celu odosobnienie zupełne Francyi. Takie zbliżenie się do Rosyi mogło nastąpić za pomocą chwilowego pogodzenia Austryi z nią na Wschodzie, doprowadzonego do skutku przez Berlin, który jeden zdolny był je urzeczywistnić.

W każdym razie nie tylko ks. Bismarck, ale i nowy monarcha pragnęli przedewszystkiem odsunąć od siebie odpowiedzialność za zakłócenie pokoju europejskiego, odpowiedzialność wojny, której naród niemiecki więcej może niż inne ludy, nie chciał i nie pragnął. Chociażby cesarz Wilhelm II. mniemał, że jest tym silnym duchem, który ma moc rozcięcia mieczem węzła zagadki końca stulecia, to przecież cofnąłby się był przed potępieniem, jakie ściągnąłby na siebie, wywołując na wstępie i z umysłu — wojnę. Na teraz zatem nie zachodziła w położeniu ogólnem ważniejsza zmiana.

W Niemczech jednak, w Berlinie, pomimo tego, miejsce niepewności zajęła — niewiadoma, bo niewiadomą jest zawsze nowy, zwłaszcza młody monarcha. Jeżeli nie na dziś to na jutro liczyć się musiał świat z tą niewiadomą — a może i wszechpotężny obecnie kanclerz, który: *Filio dare imperium, tolerare imperitantem nequibat.*

To zaś co dotąd wiadomem było o tym synie, o nowym cesarzu, nie pozwalało wcale odgadnąć owej niewiadomej — a żadnej nie dawało, nie na dziś, ale na jutro — rękojmi. Wyobrażenie, jakie ogół ma o następcach tronu, jest często mylnem, ale są rysy charakteru, które nie zawodzą i są braki w człowieku, pomiatane lub obrażone uczucia, które nie zawodzą sądu wydanego na tej podstawie. Niewiadomem były także zdolności monarchy, a wiadomem tylko było, iż nowy cesarz był nadzieją stronnictwa wojskowego, idącego w zapatrywaniach swoich pruskich dalej, niż sam kanclerz.

Ztąd przewidywać można było, że rozpoczynające się panowanie będzie twardem, ciężkiem dla świata do zniesienia, że i dla Polaków, w ich wielkiej niedoli i w tej małej jeszcze mierze złego, które wyrządzić można było polskiemu społeczeństwu, ani ludzkiem, ani dobrotliwem, ani pomyślnem nie będzie. Z zapędów zaś za daleko idących, po których następowało konieczne cofanie się następcy tronu, dziś cesarza, wnosić można już było o braku równowagi.

I to właśnie stanowiło główny żywioł niewiadomej, która mogła także ks. Bismarckowi zgotować niespodzianki, stawiając jedną samowolę naprzeciw drugiej. Przeczucie, czy obawy żywić nawet miał już dawniej pod tym względem kanclerz; zaiste ta niewiadoma nie dotyczyła tylko jego, ale i Niemiec całych, ich książąt, stosunków i warunków bytu; zbliska także obcho-

dziła — świat. Siłą, którą rozporządzała, stawała się niepokojącą, nawet dla twórcy zasady siły przed prawem.

III.

W rzeczy głównej, w tej, która obchodziła świat cały — mowa tronowa Wilhelma II., otwierająca parlament niemiecki w czerwcu 1888 r., zaznaczyła dobitniej i z większą nawet stanowczością, niż się tego spodziewać można było — systemat polityki zewnętrznej, którego trzymać się będzie nowy monarcha. Streszczał się on w kilku słowach. Przedewszystkiem pokój i stanowisko odporne, oparte na potrójnem przymierzu, niewykluczające utrzymania dobrych z Rosyą stosunków za pomocą osobistej przyjaźni z cesarzem rosyjskim — a w skutek tego — odosobnienie Francyi, jako cel oraz rękojmia pokoju. Ustęp, dotyczący stosunku do Austryi był wyraźny, stanowczy, tak silnie dobitny, iż nic nie pozostawiał do życzenia i wszelkie usunąć musiał wątpliwości, chociaż mogli znaleźć się złośliwi, którzy większą upatrywaliby rękojmię utrzymania sojuszu niemiecko-austryackiego, w innych powodach, niż w niemieckiej wierności, na którą cesarz powołał się. Uderzającem było i znaczącem, że stosunek do Austryi omówiony był osobno i w sposób nierównie bardziej uroczysty, niż związek z Włochami, a zwłaszcza, że, gdy mowa była o Rosyi, cesarz wspominał nie o narodzie lub państwie rosyjskiem, ale tylko o tem, że przymierze z Austryą i Włochami dozwala „troskliwego pielęgnowania osobistej przyjaźni, dla cesarza rosyjskiego“ i „istniejących pokojowych stosunków z państwem rosyjskiem“.

Nic zatem znowu nie było na razie zmienionego w położeniu ogólnem Europy. Podstawą jego pozostawało potrójne przymierze, lecz otwartą była furtka —

mniej jednak szeroka, niż przypuszczano przez chwilę — do ścisłego porozumienia Niemiec z Rosyą. Czy powiedzie się przyprowadzenie do skutku takowego i czy nastąpi odosobnienie Francyi — tego śledzono; od tego bowiem zależała zmiana lub dalszy ciąg zbrojnego pokoju i niepewności ogólnej, trapiącej świat, której mowa cesarza Wilhelma II. nie usuwała. Jednak wywarła ona wrażenie pokojowe, bo stwierdziła, że i nadal, aby pokój zakłóconym został, trzebaby, żeby Niemcy lub ich sprzymierzeńcy zaczepionemi zostali.

Co się tyczy spraw wewnętrznych, uderzającem, lecz nie zadziwiającem, było stanowcze i dobitne odwołanie się do rządów Wilhelma I., a wspomnienie mimochodem tylko o Fryderyku III. Nie pozostawiało to wątpliwości, iż panowanie Wilhelma II. będzie dalszym ciągiem rządów Wilhelma I., że Fryderyk III. pozostanie przykrem dla jednych, chlubnem dla drugich wspomnieniem — bez następstw.

Cesarz Wilhelm II. odwołał się uroczyście na orędzie cesarza Wilhelma I. z 17. listopada 1881 r. To orędzie nie zawierało nic politycznie i narodowo znaczącego, ale za to było wyraźnem nakreśleniem państwowego socyalizmu.

Najważniejszy ustęp tego orędzia brzmiał: „Już w lutym tego roku kazaliśmy wypowiedzieć przekonanie Nasze, że wyleczenia społecznych chorób nie należy szukać wyłącznie na drodze tłumienia socyalno-demokratycznych wykroczeń, lecz równocześnie za pomocą skutecznego popierania dobra robotników. Poczytujemy sobie za Nasz obowiązek cesarski, zadanie to ponownie, serdecznie zalecić parlamentowi i z tem większem zadowoleniem spoglądalibyśmy na wszystkie powodzenia, jakiemi Bóg widocznie rządom Naszym błogosławił, gdyby się nam powiodło wziąć kiedyś ze sobą przekonanie, że pozostawiliśmy ojczyźnie nowe i trwałe rękojmie jej pokoju wewnętrznego, a potrzebującym wspar-

cia większą pewność i większą obfitość pomocy, jakiej mają prawo żądać". Dalej orędzie Wilhelma I. mówiło o pośrednich podatkach na rzecz Rzeszy i zwolnieniu gmin od ciężarów na szkoły i ubogich, wreszcie zapowiadało monopol tytoniowy, oraz większy podatek od napojów. „Usiłowania te — mówiło orędzie — są wolne nie tylko od fiskalnych, ale także od wstecznych ukrytych chęci". W końcu orędzie wyrażało przekonanie o zupełnie pokojowem położeniu, oparte na zjeździe w Gastein z cesarzem austryackim, a z cesarzem rosyjskim w Gdańsku.

Mowa tronowa cesarza Wilhelma II. nie tylko powoływała się na owo orędzie, ale wiernie je powtarzała i przejętą była na wskróś duchem, który je natchnął. Jedności niemieckiej i stosunkom oraz myśli narodowej krótkie tylko poświęcił cesarz Wilhelm II. wyrazy; nie rozszerzył się nad tym przedmiotem, nie dla tego zapewne, aby go miał za drażliwy, w danych okolicznościach poczytać. Słowa zastąpił sumpt, z jakim pierwsze za tego panowania otwarcie parlamentu odbyło się.

Po ciężkich próbach, w dniu otwarcia parlamentu, stanęli około króla pruskiego wszyscy książęta Rzeszy niemieckiej, dla stwierdzenia, iż w celu utrzymania jedności w cesarstwie i w tem cesarstwie jedności narodowej, nakazali milczenie wspomnieniom i żalom, choć może nie obawom o własną przyszłość. Za powrotem do swych państw spotkało ich za to postępowanie uznanie ze strony poddanych, a jakby dla podniesienia świetności obrazu, powagi i doniosłości narodowej cesarstwa niemieckiego i cesarza niemieckiego, brakło u jego boku w dniu uroczystym, jedynie panującego — ks. Reuss — którego przeznaczeniem było przedstawiać na razie miarę siły i ważność dążeń odśrodkowych. Brakło wprawdzie także z książąt niemieckich i tych, którzy na wygnaniu żyli, lecz ci, jako

pokrzywdzeni, nie liczyli się w tym dniu, bo z ich krzywd właśnie powstała potęga, której tryumf z przepychem święcono. Błyszczeli może ci książęta swoją nieobecnością, nie mogli przecież w owych czasach stanowić cienia obrazu. Jedność niemiecka wyszła cała z ostatnich przejść i okazały się przesadnemi przewidywania, które w dniu pogrzebu Wilhelma I. poczytywały ją za zagrożoną lub zachwianą. Mógł też ks. Bismarck nie z pokorą, ale z dumą, ucałować dwukrotnie przy otwarciu parlamentu i przy zagajeniu sejmu pruskiego, rękę Wilhelma II., bo ten młody cesarz niemiecki był w tej chwili uosobieniem ustalenia się dzieła kanclerza.

Ze stanowiska pruskiego, oba orędzia Wilhelma II. były wyrazem utrwalenia się stosunków i istotnej siły, roztropnym i umiarkowanym. Okazało się wśród ostatnich zajść i przy dwóch zmianach monarchów, że stosunek króla pruskiego, jako cesarza niemieckiego, do Rzeszy i jej książąt, nie jest dokładnie określony, że jest poniekąd luźny i że oprzeć się musi przeważnie na zwyczaju i obyczaju. Lekką też ręką dotknięto się tego stosunku tak przy wstąpieniu na tron Fryderyka III., jak przy objęciu rządów przez Wilhelma II., oraz w dwóch jego orędziach; roztropnie uniknięto wszelkiego w tej mierze nacisku i tak znowu przebyło się szczęśliwie tę próbę, bez obrazy dla nikogo, a nie tylko bez ujmy dla majestatu cesarskiego, ale ze spotęgowanym jego blaskiem. Otaczający tron młodego monarchy książęta Rzeszy, usłyszeli zamiast nowych na wewnątrz zapowiedzi, dawne, zawarte w orędziu Wilhelma I. z 17. listopada 1881 r. Powtórzenie ich nie zaznaczało zwycięstwa lub przewagi żadnego stronnictwa, ani nikogo w państwie, krom ks. Bismarcka. Państwowy socyalizm, którego wyrazem było owo orędzie, to cesarz i lud, a na razie ks. Bismarck, cesarz i lud. Szczęście tak dalece sprzyjało, że po szeregu błędów

w sprawach religijnych, mógł cesarz Wilhelm II. w orędziu do sejmu pruskiego stwierdzić „ukształtowanie się odpowiednie, stosunków państwa do Kościoła katolickiego i jego duchowej głowy!“

Młody cesarz w obu orędziach pominął stronnictwa, nie oparł się wyłącznie na żadnem, ani też z żadnem wyraźnie nie zerwał, a nawet przybrał pozory — monarchy konstytucyjnego — wedle ducha i modły pruskiej; słowem zachował tradycyjny eklektyzm religijny i polityczny, świadczący, iż, jak za Wilhelma I., tak za Wilhelma II., zasady i przekonania niczemu nie przeszkodzą i monarchy krępować nie będą.

Dwie nareszcie zmiany monarchów wykazały, jak dalece wielu ceniło sobie przymierze z Niemcami, i że nikt nie zapominał o ich potędze i sile. Podczas, gdy jedni ubiegali się bowiem o sojusz z Niemcami, drudzy usiłowali uniknąć starcia z nimi.

Mylnym byłby zatem sąd o położeniu ówczesnem Europy, gdyby się nie stwierdziło i nie przyznało, że cesarstwo niemieckie, stworzone przez Prusy, przebyło zwycięzko ciężkie czasy i trudną próbę, że ona ostatecznie obróciła się na korzyść powstałego dzieła, i że ono i ludzie sprostać umieli wyjątkowym, niełatwym okolicznościom. Cesarstwo ustaliło się i doszło do niezwykłej w dziejach potęgi. Wśród utrapień, szczęście wiernie sprzyjało, lecz była w tem zasługa społeczeństwa i jego przywódców.

Dwie zmiany w krótkim czasie monarchów, zgon pierwszego cesarza nowego cesarstwa, panowanie umierającego cesarza zagadkowe, sprzeczności i przesilenie odnoszące się do wielkiego męża stanu, wytworzone przez wady jego przymiotów i małostki jego wielkości, wstąpienie na tron niedoświadczonego monarchy — wszystkie te doniosłe, niebezpieczne wypadki zniosło i przebyło zwycięsko cesarstwo niemieckie, krocząc pewnym krokiem po krawędzi politycznej i społecznej

przepaści, w którą wtrącić je mógł zawrót głowy lub złe stąpnięcie.

Wśród powodzeń tem cenniejszych, że powstały z niebezpiecznych i trudnych okoliczności; u szczytu potęgi, którą daje szczęście, na którą składają się przymioty i zdolności, brakło ogólno-ludzkiej nuty w tryumfie cesarstwa niemieckiego, brakło duchowej między niem a światem spójni, nie brakło stwierdzenia smutnej rzeczywistości określonej słowy: dalsze trwanie zbrojnego pokoju. A obok tych wyższego rzędu niedostatków, objawiły się nałogowe małostki i dało się słyszeć odwieczne zgrzytnięcie nienawiści względem słabych i nieszczęśliwych. Uderzono na Polaków nie szczędząc im oszczerstw, a jednocześnie nie zawachano się pomiatać pamięcią Fryderyka III. Nie tylko niegodnem to było tak wielkiej potęgi, ale odsłaniało jej słabe strony, bo obniżenie w niej moralnego zmysłu oraz sumienia i to jedno pozwalało żywić pewne wątpliwości czy też nadzieje na przyszłość i wobec historyi.

IV.

Ciągłe ćwiczenia wojskowe i podróż cesarza Wilhelma II. w lipcu 1888 r. do Petersburga odpowiadały istocie ducha pruskiego, którego uosobieniem chciał się okazać Wilhelm II. Skłonność Prus do Rosyi jest nie tylko tradycyą historyczną, ale także potrzebą — nie serca, gdyż o tem w Prusiech mowy niema. Jest to pociąg bratnich duchów, pomimo współzawodnictwa plemiennego.

Chcąc stwierdzić swoją istotę staro-pruską — musiał Wilhem II. zwrócić się przedewszystkiem do Rosyi. I oto wytłomaczenie przedsięwziętej podróży, którą połączono z najrozmaitszemi rachubami i najdalej idącemi przypuszczeniami.

Jeśli jednak powiedziano, że Wilhelm II. udaje się do Peterhofu jako cesarz niemiecki, to słuszniej było powiedzieć, że udawał się tam jako król pruski.

Odbyło się spotkanie dwóch monarchów — Aleksandra III., który przez kilka lat panowania ani w zarządzie wewnętrznym ani zewnętrznym, ani też wojskowym nie okazał wyższego rozumu, w ogóle żadnej wyższości, który okazał tylko stałość w uporze, którego wychowanie i usposobienie czyniły raczej sposobnym do uczciwego życia rodzinnego, niż do spraw publicznych i doniosłego w świecie stanowiska; oraz Wilhelma II., który nie miał ani sposobności, ani dostatecznego czasu przekonać innych o mierze swoich zdolności, który prócz licznych przeglądów wojsk oraz wygłoszonych, jako książe, niezbyt szczęśliwych przemówień, światu znanym nie był, podczas, gdy groziło mu jedno z największych w życiu monarchów niebezpieczeństw — pochlebstwo, które wpierało w niego nadzwyczajne uzdolnienie, oraz powołanie do dzieł wielkich.

Trudno było przypuścić, aby ci dwaj ukoronowani śmiertelnicy, znaleźli słowo zagadki czasów, aby pokusili się rozwiązać zadanie końca stulecia; słowem, aby dokonali tego, czego zdziałać nie zdołały najpotężniejsze umysły i najdoświadczeńsi ludzie.

Nie ułatwiła zadania politycznego zjazdu, pycha i miłość własna narodowa, któremi obaj monarchowie przejęci byli, a które stanowiły jedynie każdego z nich osobistość. Do zetknięcia posłużyć chyba mogły: wspólnie grożące skryte niebezpieczeństwo ze strony anarchistów oraz wspólne zamiłowanie marynarki. Cesarz Wilhelm odbywał podróż w mundurze admirała. Wielkich zatem zmian w położeniu ogólnem, rozwiązania zwłaszcza trudności, oczekiwać po zjeździe nie można było. Nie było powodu do przypuszczenia, iż wpłynie znaczniej i wniknie głębiej w stosunki europejskie, niż spotkania władców Niemiec i Rosyi w Gdań-

sku i Berlinie. Nieobecność ks. Bismarcka łatwo tłomaczyła się wiekiem i znużeniem. Nie ulegało jednak wątpliwości, że dla niego, korzyścią podróży mogło być odosobnienie Francyi. Przewodniczyła jej raczej skłonność pruska pielęgnowania dobrych z Rosyą stosunków, niż wytknięty z góry zamiar. Nie zmieniła ona też stosunku Niemiec do potrójnego sojuszu, chociaż nie świadczyła o wyłącznej czułości nowego cesarza dla sprzymierzeńców! W tym pośpiechu udania się najpierw do Rosyi było nieco bezwzględności i szorstkości względem sojuszników; świeże acz nie nowe objaśnienie istotnego znaczenia potrójnego przymierza.

Aby zjazd utorować miał drogę do wznowienia trójcesarskiego związku, stawało się to coraz bardziej wątpliwem, a organa rosyjskie wyraźnie i głośno dawały poznać, iż Rosya chce zachować wolność działania. Zresztą trójcesarski związek, wobec dalszego istnienia potrójnego przymierza, ograniczyćby się musiał do równie wątłych i sztucznych stosunków jak te, których wyrazem stały się były zjazdy w Skierniewicach i Kromieryżu.

Inne, a ważne mogło powstać pytanie: czy zjazd nie będzie na przyszłość posiewem, z któregoby wyrosnąć mogło nowe ukształtowanie się karty europejskiej. Tu jednak wkraczało się w dziedzinę polityki przypuszczalnej, której strzedz się należało bardziej, niż kiedykolwiek w czasach jałowych w pomysły.

Krom zadośćuczynienia potrzebie i skłonności pruskiej oraz młodocianej ruchliwości, zjazd wielkich zmian w położeniu nie mógł sprowadzić. To też jak przed, tak po nim, świat obawiając się wojny powtarzał:

Nunc patemur longae pacis mala.

Skończyła się podróż młodego władcy Niemiec, skończyły się przejażdżki na morzu i lądzie Wilhelma II., brata jego księcia Henryka pruskiego, z któremi znaj-

dował się syn kanclerza i sekretarz stanu spraw zewnętrznych hr. Herbert Bismarck. Z powrotem z Petersburga odwiedzono dwory skandynawskie. Było coś chorobliwego w tym niesłychanym i niewidzianym pośpiechu, z jakim podróż i przejażdżki monarchy potężnych, zjednoczonych Niemiec, przedsięwziętemi zostały zaraz po śmierci dziada, natychmiast po zgonie ojca.

Opowiadano, iż gdy w Petersburgu pytano się Rosyan o skutek zjazdu, otrzymywano odpowiedz: *niczewo* „żaden“.

Istotnie zmiany w położeniu ogólnem dopatrzeć się nie można było, przewidywać jej nie było powodu; stało się ono może tylko jeszcze bardziej niż przedtem niesmacznem, nawet niepewnem, bo odczuto i zrozumiano, że ubył w niem czynnik, dający po zwycięstwach rękojmię stateczności, doświadczony, poważny i niezaprzeczoną powagą otoczony cesarz Wilhelm I. Pokój europejski wzmocnionym być mógł zjazdem petersburgskim dla tych tylko, którzy wierzyli w możność wojny i przypuszczali wogóle, że mogło przyjść do starcia między Niemcami a Rosyą. Ci zaś, którzy pozostali zimnymi wobec sztucznych obaw, a skłonnymi nie byli przyjmować za dobrą, zapowiedź przeciw-historycznych przewrotów w dziedzinie polityki międzynarodowej, ci nie potrzebowali upatrywać nowych w zjeździe rękojmi pokoju. Najtrafniej określono go mówiąc: *il y a détente il n'y a pas entente.* Co znaczyło: ustąpiło chwilowe sztuczne naprężenie, nie nastąpiło trudne, może już niemożliwe, bodaj czy i niepotrzebne rzeczowe porozumienie.

Porozumienie takie bowiem zmieniłoby ostatnią podstawę polityki ks. Bismarcka, która Niemcom przynosiła korzyści, która pozwalała im swobodnie uprawiać współzawodnictwo rosyjsko-austryackie, a nie dałoby im ostatecznie żadnej na przyszłość rękojmi. Być może, że w Petersburgu także zrozumiano to z góry,

a przyjmując dobrodziejstwa pośpiechu młodego monarchy z uśmiechem, nie przeceniano jego istotnej wartości, jak nie przeceniono popisów w rosyjskim języku cesarza niemieckiego, skoro na nie odpowiadano w klasycznej, dyplomatycznej mowie francuskiej, której przedawnienia, ani odosobnienia nie uznano nad brzegami Newy.

W tych warunkach błyszczał tam istotnie wśród fajerwerków i oświetleń elektrycznych wyraz *niczewo*. Były wskazówki, że panowały w publiczności, chłód i obojętność, których nie zakryły przed bystrzejszym wzrokiem okrzyki światów, wojskowego i dworskiego, jedynie przypuszczonych nieco bliżej do uczestników zjazdu.

Że jednak przeważna część Rosyan, zwłaszcza rozsądnych, z chęcią ujrzała przeszłoroczne zapowiedzi wojny, do której Rosya ani gotową nie była, ani chęci nie miała, przedzierzgnięte w uroczystości peterhofskie — to nie ulega wątpliwości. Że nikt zresztą, silny czy słaby, dobrowolnie narazić się nie chciał na zerwanie z bardzo potężnym i uzbrojonym od stóp do głowy sąsiadem, to także zupełnie jest zrozumiałem. Ztąd przyjęcia w Stokholmie i Kopenhadze, przez dwory, przystojne. Żądać więcej w Kopenhadze byłoby za wiele. Tam też objawiło się uczucie najzupełniej ludzkie, kiedy wobec okrzyków uniesienia zamieszkałych w tem mieście Niemców, lud odpowiedział gwizdaniem. Słabym i małym przypadło zadanie ratowania wobec siły, resztek godności ludzkiej.

Podróże kształcą młodzież, powiedziano z tego powodu. Dwaj młodzi podróżnicy cesarz Wilhelm i jego brat, po skończonych wycieczkach udali się do mistrza, do Friedrichsruhe. „Największy to zaszczyt, jaki kiedykolwiek spadł na dom mój“ — rzekł ks. Talleyrand, kiedy Ludwik Filip przyszedł odwiedzić umierającego słynnego dyplomatę. Zaszczyt to był niezaprzeczony dla

zupełnie zdrowego ks. Bismarcka, że go jego pan i władca odwiedził, więcej jednak był to niż zaszczyt, bo dowód trwającej wszechpotęgi kanclerza. Europa spożywać zatem miała dalej od lat kilkunastu przyprawioną przez ks. Bismarcka strawę, w czem znajdował on swój rachunek, wcale nie troszcząc się o żołądki i kieszenie biesiadników. Była to prawdziwa niemiecka kuchnia, a do tego nie tania.

Ci, którzy przypuszczali, że nastąpiło zupełne między Niemcami i Rosyą porozumienie, pytali natychmiast, czyim kosztem? Twierdzenie i pytanie nie odpowiadały rzeczywistości.

Ze względu na potrójne przymierze, zjazd musiał niewtajemniczonym wydawać się dziwnym, niemal dziwacznym i ci mogli żywić pewne obawy, aby nie oddziałał na sojusz ujemnie. Ci zaś, którzy nie potrzebowali ogłoszenia przymierza, aby zrozumieć jego znaczenie, ci, którzy czytając traktat napisany głównie z powodu Rosyi, czuli, że jest przeważnie przeciw Francyi wymierzony, nie doznali niespodzianki, ani też troski o dalsze losy potrójnego związku.

Prusy, pomimo Sadowy i Sedanu, pomimo trzechmilionowego niemieckiego wojska, pozostają przecież zawsze w pewnej od Rosyi zależności, innej i w inny sposób, niż dawniej, ale niemniej istotnej i dla tego jak to powiedziano po bytności cesarza Aleksandra III. w Berlinie, dobre stosunki z nią cenią sobie Prusy wielce pomimo innych przymierzy. I rzecz to łatwa do zrozumienia, której ani Sadowa ani Sedan nie zmieniły. Przyjaźń z Rosyą daje Prusom rękojmię najcenniejszą w polityce i wojnie — zabezpiecza im tyły.

A jak Rosya w skutek położenia geograficznego posiada to, nad wszystko inne cenne, zabezpieczenie pleców, i tem góruje nad Europą; zwłaszcza na stanowisku odpornem, tak Niemcy dopiero dobrymi z Rosyą

stosunkami uzyskują tę korzyść nad korzyściami, ten talizman wojskowo-polityczny.

Nie ubiegło kilka miesięcy, jak w rozżaleniu niewątpliwie miłosnem, zawołał był ks. Bismarck w swej wielkiej mowie: „Nie będziemy gonić za Rosyą, znużeni jesteśmy gonić za Rosyą“ — aż tu nieco spiesznie pogoniono za nią aż do Peterhofu. Podczas, gdy świat polityczny wysilał się, aby odgadnąć zamiary panów i rządców Europy, tem mozolniej, im mniej ich było; zmowy robotników przypomniały mu zadanie o wiele na razie rzeczywistsze, niż wrzekome nowe twory polityczne.

Zmowy robotników paryskich, w ogóle francuskich, nie były objawem miejscowym, ale ogólnym, nie świadczyły o wyjątkowo złym stanie rzeczy we Francyi, lecz o nieprawidłowych stosunkach świata.

V.

Łatwe do zrozumienia i wytłomaczenia podeszłym wiekiem ustąpienie w sierpniu 1888 r. hr. Moltke z naczelnictwa głównego sztabu niemieckiego, znalazło przecież publiczność nieprzygotowaną. Przyzwyczajono się do tej postaci, jak do posągu na placu publicznym, który nie schodzi z piedestału. Moltke zdziałał wielkie rzeczy z wielką prostotą. Zdala trzymając się od polityki, której najpotężniejszem był narzędziem, nie podziela wobec historyi odpowiedzialności za nią, a sława wielkich czynów spada na niego. Wojownik w największym kształcie, stworzył on wojnę opartą na ogólnej służbie i zapanował nad nowoczesnym sposobem prowadzenia jej. Do doskonałości doprowadził rachubę krwawych zapasów i skończył zawód pełen doniosłych zwycięstw, bez przegranej, nawet bez porażki. Nazwano go też nieomylnym. Potężny czynami, był

wstrzemięźliwy w słowach. Zwyciężał, lecz nie urągał. Ile razy odezwał się piórem, czy słowem, czynił to z wyższością niepospolitego człowieka, który w skromności szuka nie nowego zadośćuczynienia próżności, ale zabezpieczenia przeciw zwrotom w rzeczach ludzkich. Po za swoim zawodem nie szukał ani odznaczenia, ani władzy. W nim zamknął cały swój żywot. Jest on uosobieniem zawodowości, a powiedziano: że srogim był dla Francyi scyentyficznie. Wojownik i zwycięzca bez zapału i polotu, głęboki w pomysłach, ścisły w obrachunku, zdepoetyzował wojnę, unicestwił odwagę osobistą oraz poryw, zastąpił je umiejętnem poruszaniem zastępami i w końcu stworzył sztukę hekatomb ludzkich, a milionowe wojska są jego dziełem.

Wznosi się nad współczesnymi jako bożek czasów żelaza i krwi, jako Fatum wojen bezlitośnych i bezlitośnego zbrojnego pokoju. Pierwszy on, dotąd też i ostatni wódz nowego sposobu prowadzenia wojny. Znajduje się w zbiorach watykańskich jedyne wierne popiersie Juliusza Cezara w stroju wielkiego kapłana. Uderzającemi są podobieństwo rysów tego popiersia z rysami Moltkego i tożsamość kształtów głowy dwóch wielkich strategików, których wieki przedzielają. To, co w tych głowach przyroda umieściła przeobraziło dwukrotnie postać świata.

Mówiono, że już od pewnego czasu, hr. Moltke z czerstwością rozumu i ścisłością obrachunku, któremi się odznaczał, czuł potrzebę odpoczynku, i że nadeszła chwila usunięcia się. Dla tego jedynie pozostał był na naczelnem stanowisku sztabu, że będąc o trzy lata młodszym od Wilhelma I., na ustąpienie jego nigdy zmarły cesarz zezwolić nie chciał, widząc w tem, jakoby przykrą dla siebie przestrogę.

W każdym razie ustąpienie jego zaznaczało nowy okres i tem było znaczącem, że rozpoczynał się z niem

porządek rzeczy z innymi ludźmi, już nie tej miary co poprzednicy. Byli to Epigony.

Tamci, Moltke pierwszy, spoczywali na własnych, niezwiędłych laurach; nowym, zadowolnić się przyszło zdobytemi przez tamtych. Ustąpienie hr. Moltke pozostawało w związku ze zmianami w wojskowości, które spieszno było młodemu cesarzowi zaprowadzić, których próby odbywały się co rano na placach mustry. Pierwszym przedstawicielem nowych ludzi, nowego porządku rzeczy i podobno nowej taktyki był następca Moltkego, hr. Waldersee. Jak jego pan i cesarz nie był na wojnie, tak on nie dowodził nigdy naczelnie. Niewiadoma zatem coraz wyraźniej stawała się znamieniem panowania. Czytałem następujące określenie dwóch ludzi, z których jeden przeszłość, drugi przyszłość przedstawiał:

„Hr. Waldersee, w sile wieku, bardzo rozumny, bardzo żądny wywyższenia, bardzo pracowity, wielki intrygant, łatwo i pięknie się wysławia, ożeniony z kobietą romantyczną, której całe życie było powieścią, pietysta gotowy do walki, zapamiętały wstecznik, lubiący politykę, zastąpić ma, lecz z trudnością zastąpi, spokojnego starca, milczącego, który nienawidzi politykę i nie ma żony“.

Jednym z ważnych czynników pruskich powodzeń, była zgodność trzech najznakomitszych w państwie ludzi: Roona, Moltkego i Bismarcka. Pierwszy stworzył i przygotował narzędzie wielkości Prus — armię; drugi je zastosował; trzeci zużytkował. Cel dopiętym został w znacznej mierze dla tego, że oni zdążali do niego bez współzawodnictwa, bez zazdrości, wspierając się, nie szkodząc sobie. Rzadki w dziejach przykład.

VI.

Cesarz Wilhelm II. wygłosił przy odsłonięciu pomnika ks. Fryderyka Karola mowę namiętną, ognistą, zdradzającą szeroką naturę germańską. Młody mowca jednem cięciem odparł niewidzialny najazd na Szlezwik oraz drugi na Alzacyę i Lotaryngię. Przerażający był obraz, który nakreślił, nie szczędząc farb; przejmującą była rzucona myśl czterdziestu dwóch milionów ludzi, których trupy pokryłyby pola środkowej Europy. Przyszło zadać sobie pytanie: zkąd grozić może tych rozmiarów klęska i zkąd jej przeczucie? Ostatecznie odnosiło się to samo wrażenie co na przedstawieniu, w którem wszyscy giną, w końcu sufler się zabija. Zapowiadało to więcej szumu niż treści.

Prusy i Berlin odznaczały się wstrzemięźliwością w dostarczaniu szczegółów o sobie, o swoich monarchach i mężach stanu. Panowała w tej mierze cisza. Gdy odczuwano najdotkliwiej skutki czynów pruskich, mało słyszano o myślach i zamiarach pruskich. Mowy od tronu, przemówienia i dokumenta urzędowe, cechowała suchość. Była w tem czerstwość i siła w tem pomiataniu chwałbą. Naraz, za nowego panowania znikać począł ten spartański obyczaj. Berlin stał się hałaśliwym; powódź nowinek zalewała dzienniki, telegraf nastarczyć nie mógł zadaniu. Świerzbienie próżności skłaniało do mówienia nadmiernie o sobie i zajmowania sobą świata. Monarcha okazywał się niezmużonym w zawodzie oratorskim. Wreszcie zapragnął, aby zmarły dziadek przemówił. Ogłosił *Zapiski Wilhelma I.* W nich pierwszy cesarz nowego niemieckiego cesarstwa, tłómaczy wszystko zrządzeniem Opatrzności, a tak zasłania się potężniejszym od siebie.

Zgnębienie sąsiada i współzwiązkowego, zabory dokonane na słabych czy silnych, detronizowania i wy-

właszczenia, prześladowania religijne, wynaradawianie i banicye spokojnych ludności, wszystkie te działania i dzieła polityki bezwzględnej i bezlitośnej, przedstawiają się w *Zapiskach Wilhelma I.*, nie jako usprawiedliwione interesem państwa i koniecznością polityczną, ale jako wprost czynności Opatrzności, za które ludzie żadnej nie ponoszą odpowiedzialności, a tylko używają ich korzyści. Rzecz o odpowiedzialności rozgrywa się gdzieś w górze; tu na dole niema się z nią kłopotu i tylko dzięki się składa Opatrzności za jej dobrodziejstwa. Trudno dalej posunąć bezosobistość wobec historyi i samolubstwo w polityce. Fałszywy poczciwiec zdradził się tu w rozmowie z samym sobą. W tych *Zapiskach* uderzającem jest podobieństwo Wilhelma I. z rejentem Milczkiem Fredry:

Co los spuści przyjąć trzeba.
Niech się dzieje wola Nieba.

Ha! to Cześnik wisieć będzie
Niech się dzieje wola Nieba.

Patrz ja płaczę!

Cześnik wyzwał mnie na rękę;
Acz nie moja to zabawa
Rzekłem jednak: wola Nieba
Z nią się zawsze zgadzać trzeba.

Cesarz Wilhelm II. począł coraz żywsze okazywać zamiłowanie marynarki; miało ono znamie namiętności, tak, iż wielu mniemało, że zamiast nowej przysporzyć siły słabą może dla Niemiec wytworzyć stronę.

Jednocześnie nie krył się ze wstrętem do Anglii i wszystkiego co angielskie, bez względu na związki krwi. Kiedy był jeszcze księciem głośno mówił, że najbardziej nienawidzi Anglików. „Anglia — rzekł wtedy — żyje tylko z Kolonii, te na nitce wiszą, przetnę ją i Anglia skona otruta liberalizmem“. Twierdzono też teraz, kiedy wstąpił na tron, iż niechęć do Anglii była jedną z prężyn jego postępowania, zwłaszcza licznych przemówień.

Usposobienie to młodego władcy Niemiec, przypisywano braku przywiązania synowskiego dla matki oraz w skutek tego rodzinnym zatargom. Królowa Wiktorya boleśnie była tem dotkniętą, pisała w chwili głębokiego żalu: „że gdy się jest złym synem, nie można być dobrym monarchą“.

VII.

W czasach samolubstwa politycznego, a obojętności w rzeczach wiary, nieraz wywołać może zdziwienie, jak dalece przeważnym czynnikiem staje się religia, jak wpływa na czynności i działania ludzkie, jak nagle przypomina się światu jako siła w jego doczesnych sprawach, z którą najpotężniejsi i najobojętniejsi na wszystko co duchowe, liczyć się muszą.

Podczas, gdy coraz bardziej widocznem było, iż huczne i liczne podróże władcy Niemiec są bez treści i bez doniosłych skutków; jedna sprawa papieska istotnie zaważyła w nich na szali i narzuciła obrachunek ze sobą, nie mając na swoje usługi, wobec trzechmilionowego najpiękniejszego w świecie wojska, ani jednej armaty, ani jednego nowoczesnego karabinu. Ona jedna stanęła na poprzek nieznużonemu monarszemu podróżnikowi i ona jedna dała mu do myślenia, zastanowić się kazała w niepohamowanym biegu. W układach,

które poprzedziły podróż Wilhelma II. do Rzymu, w ostrożnościach i drobnych choćby szczegółach, między innemi, iż cesarz nie w powozach dworskich króla włoskiego, lecz ambasady niemieckiej uda się do Watykanu, było uznanie sprawy papieskiej i jej znaczenia, był pewien jej tryumf, oraz pierwiastku duchowego nad uosobioną siłą materyalną.

Ks. Bismarck spróbowawszy walki z Kościołem, nie tyle może ocenił, jak uczuł jego siłę i własnej z nią powtórnie zmierzyć nie chciał. W sprawie podróży cesarza do Rzymu pragnął przedewszystkiem być w porządku z Watykanem. Nie był to zapewne z jego strony hołd oddany potędze duchowej, ale wyrachowanie, ile ona ująć może sile materyalnej, której on był przedstawicielem.

Był przytem w grze i ten nałóg obliczania zresztą genialnego, który go skłaniał do trzymania na wodzy Włoch za pomocą papiestwa, papiestwa za pomocą Włoch. Ale przedewszystkiem był rachunek ścisły, który wykazywał, że wśród tylu jawnych i utajonych wrogów, cesarstwo niemieckie nie może przysparzać sobie nowych, w własnem łonie, obrażając katolików niemieckich, których żywotność i dzielność wykazał był zjazd w Fryburgu, tym razem mile widziany przez kanclerza i dwór berliński. Wytrwałość i znakomite zachowanie się katolików niemieckich, były przyczyną i początkiem zwrotu; tylko w skutek postępowania ludności katolickiej sprowadzona zmiana była żywotną i dla Kościoła użyteczną, bo ono było prawdziwą dla niego rękojmią.

Cesarz Wilhelm przygotowując swoją do Rzymu podróż, liczył się więc ze sprawą papieską i Papieżem, który przecież nie mógł mu dostarczyć w razie wojny nie tylko pięćkroćstotysięcy, ale nawet jednego żołnierza. I nie było to ze strony młodego monarchy jakimś hołdem oddanym zasadom, które w niego wpierano

przedwcześnie, lecz uchyleniem czoła przed koniecznością. Te zasady bowiem należały do legend, a istotną podstawą działania Wilhelma II. okazał się jak najbardziej samolubny, tradycyjny, Hohenzollernów eklektyzm zestrzelony w jednej wierze — państwowej.

Muzo! męża wyśpiewaj, co święty gród Troi
Zburzywszy, długo błądził i w tułaczce swojej
Siła różnych miast widział; poznał tylu ludów
Zwyczaje; a co przygód doświadczył i trudów!

Aczkolwiek nie on, ale inni przed nim zburzyli święty gród Troi, inwokacyę tę Homera zastosować można było do cesarza Wilhelma, który w końcu września 1888 r. rozpoczynał przez Detmold nową podróż. Wprawdzie nie przedsięwziął jej mądry i doświadczony już Odys, lecz raczej młody Telemak, po krótkiej naradzie z Mentorem, który pozostał w Friedrichsruhe, podczas, gdy władca jego i pan a wychowaniec, dalej nadużywał nie homerycznych pociągów pospiesznych i osobnych. Przez trzy tygodnie świat czytał i zajmował się podróżą Wilhelma II., a chociaż była bez treści i skutków, szukał w niej słowa zagadki; tem więcej, że otaczały ją roje przypuszczeń i wniosków. Po pierwszeństwie, danem Peterhofowi, koniecznem było odwiedzenie sprzymierzeńców.

W Berlinie i Friedrichsruhe, gdzie nie hołdowano uczuciowości, oceniono, iż ludy Austryi stanęły przy sposobności przyjazdu cesarza Wilhelma II. do Wiednia w październiku 1888 r. na gruncie interesów odnośnie do przymierza austryacko-niemieckiego. Ludy monarchii złożyły tu dowód zmysłu politycznego. Powodowały się jedynie poczuciem państwowem i obowiązkiem względem całości, względem monarchii i monarchy.

Wrażenie ogólne pobytu cesarza niemieckiego w Austryi było oczywiście zupełnie innem niż to, które ogół odniósł z jego pobytu w Peterhofie.

Za Alpy! Oto wyrazy, w których streszczały się przez wieków kilka dzieje Europy chrześciańskiej. Za Alpy spieszno, aby rozgrywać na włoskiej ziemi wielkie współzawodnictwa i rozwiązywać światowe zadania. Tam toczyły się krwawe Gibelinów i Gwelfów zapasy. Za Alpy dążyli kolejno cesarze na czele w stal zakutych rycerzy, z tak wielkim trudem, iż nam niepodobna dziś pojąć, w jaki sposób odbywały się owe przez góry wyprawy. Dążyli tam cesarze, raczej po władzę moralną niż materyalną, pierwsza bowiem była jeszcze w wielkiem poszanowaniu i użyczała niemałej potęgi, a potrzebowali jej wówczas monarchowie Niemiec.

„Wiedzieli Wenecyanie — pisze w sprawozdaniach dyplomatycznych Machiavell — że cesarstwo mogłoby być groźnem dla sąsiadów, jedynie przez połączenie miast i książąt z ich naczelnikiem, ale zarazem, że to połączenie jest niemal niepodobnem“.

Na drugiej stronnicy dodaje jednak: „Przecież w Niemczech nie wątpią, iż może powstać inny porządek rzeczy. Cesarz, mówią tam, w końcu rzuci się w objęcia miast i książąt, którzy ze swej strony odczują nareszcie potrzebę połączenia się ze swoim naczelnikiem i pójścia tym sposobem za głosem honoru i interesu. Wtedy kraje cesarstwa i miasta używać będą dobrodziejstw pokoju, zkądkolwiek on byłby zagrożonym, a wojsko stać będzie na stopie poważnej i mieć będzie zdolnych dowódców“.

To, co Machiavell przewidywał stało się, dzisiejsze cesarstwo niemieckie cieszy się potęgą, powstałą z połączenia miast i książąt z naczelnikiem i opartą jest ona na wojsku. Cesarz niemiecki dążył w 1888 r. za Alpy już nie dla nabycia siły moralnej, lecz aby zbierać hołdy dla swej materyalnej siły, której widok upajał Włochów i czcią przejmował dla północnego narodu, „którego obyczaje i sposób życia — pisze Machiavell —

różnią się wielce od obyczajów i sposobu życia we Włoszech".

Po łatwe więc powodzenia spieszył cesarz.

A przecież i teraz można było zastosować do niego słowa z przytoczonego powyżej sprawozdania: „Nie jest także obojętną rzeczą wiedzieć, czy cesarz ma i jakie co do Włoch zamiary, czy chce udać się do Rzymu, czy zwierza się Papieżowi, czy z niego jest zadowolony, wreszcie czegoby się Florentczycy spodziewać lub obawiać mieli z jego do Włoch przybycia". I teraz w grze były dwie wielkie sprawy, które dawniej wiodły za Alpy cesarzy niemieckich: ich współzawodnictwo z Francyą i walka dawna i wiekowa Gibelinów i Gwelfów. Tylko, że ta ostatnia rozgrywała się inaczej.

I rzecz godna uwagi: właśnie ta część podróży cesarza niemieckiego, która potrącała o odwieczną walkę Gibelinów i Gwelfów, największe budziła zajęcie i to w chwili bałwochwalstwa potęgi materyalnej.

Gdyby kamienie, marmury, sklepienia, kolumny, posągi przemawiać mogły, nie tylko zajmującą, ale wzniosłą byłaby niezawodnie rozmowa z niemi w starym Rzymie, podczas bytności Wilhelma II. Co odczuły te szczątki dawnej, zupełnej wielkości, te świadki potęgi wszechstronnej co nie tylko swem panowaniem, ale i daleko sięgającą myślą oraz cywilizacyą, wpływem i urokiem obejmowała świat, a gdy runęła, jeszcze tak wiele po sobie dla przyszłych pozostawiła pokoleń! Co odczuły one wśród uroczystości urządzonych przez piemoncką dynastyę królującą w Rzymie, dla króla pruskiego, na którego skroniach spoczywała cesarska korona?

Jakich doznały one, po tylu wzniosłych, to znów pełnych upokorzeń przejściach, wrażeń? Jakie czyniły porównania między czasami własnej świetności i pier-

wszymi odgłosami barbarzyńskich okrzyków, a odegraniem na *Forum* hymnu pruskiego?

Co w nich za uczucia, podniosłe czy smutne, pocieszające czy przykre, budziły z jednej strony: udawanie wielkości i nadymanie się do niej; z drugiej istotna potęga, co przecież własnym ograniczona widnokrągiem, sama dla siebie będąc celem i światem, gdyby dziś runęła, nie pozostawiłaby dla przyszłości ani jednego przekazu, mogącego się równać z tem, co teraz jeszcze mówią sterczące kolumny świątyni Kastora i Poluksa?

Czy goryczą, czy też pociechą napawały te szczątki, owe widowiska, czy urażone i dotknięte były w swem starożytnem poczuciu prawdziwej wielkości, czy też uczuły ulgę w przeświadczeniu o marnościach świata? Jakiem echem odbił się o wzgórze Palatynu szczęk pruskiego pałasza na *via sacra?*

Pozostanie tajemnicą.

Ale to pewna, nie było harmonii między ową ogólną światową, przeszłą wielkością, a wyłączną żądzą nabywania i posiadania, nie ożywioną, sięgającemi dalej ani myślą ani zamiarem.

Forum, Coloseum, świątynia Cezara, łuki Konstantyna i Tytusa zwiedzane przez monarchów, uosabiających ciasne pojęcie potęgi bez istotnej wielkości — to obraz, który drażnił wzrok, zamiast go zadawalniać, w którym dobór krzykliwych kolorów kłuł oczy, a w którym brak było perspektywy. Było coś rażącego w tem zestawieniu.

Ale niekorzyści porównania raczej odczuły marmury i kolumny, niż uczestnicy, niż ludzie dzisiejsi.

Jakąkolwiek wyznaje się wiarę, jakiekolwiek ma się religijne przekonania czy zapatrywania, uznać się musi, iż wszechświatowość starego Rzymu, odziedziczyło po nim papiestwo, duchowo rozszerzyło jej dziedzinę, że piastować takową umiało nieraz świetnie, zawsze wiernie i wytrwale.

Wobec tej prawdziwej, niezaprzeczonej wielkości stanął ten, co nosabial potęgę nowoczesną. Przy spotkaniu brakło z jego strony wyższości, majestatu w obejściu, podniosłości w zamiarze i celach. I znowu sprzeczności w obrazie były rażące. W tych nawet względach, których cesarz niemiecki odmówić nie mógł papiestwu, czuć było suche wyłącznie liczenie się z kilkunastu milionami poddanych katolickich. W całem zachowaniu się widniała zbyt wyraźnie chęć zużytkowania miejscowego położenia rzeczy w samolubnych celach, a tego wyrazem, szorstkim, nieprzyzwoitym stało się zawczesne przybycie do Watykanu ks. Henryka Pruskiego i zgwałcenie drzwi papieskich dla przerwania rozmowy Ojca świętego z Wilhelmem II., która, twierdzono, mogła stać się dla władcy Niemiec kłopotliwą.

Ten niesłychany postępek dowiódł jakiemi być mieli Epigoni ks. Bismarcka. Wielki kanclerz byłby się zdobył na coś lepszego.

Spiesznie następnie zwiedzono zbiory Watykanu, kilkanaście minut zaledwie zatrzymano się u św. Piotra.

Wrażenie zetknięcia się przedstawiciela potęgi końca stulecia z wiekowemi wielkościami stolicy świata, martwemi i żywemi, podniosłem nie było.

Po podróży do Wiednia i Rzymu wycieczka na polowanie, po polowaniu jazda do Hamburga, dalej do Lipska i zapowiedź podróży: do Londynu, Madrytu, Lizbony, Aten, Stambułu, nawet Stanów Zjednoczonych Ameryki — oto jak się rozpoczynało panowanie Wilhelma Podróżnika, który, podczas gdy inni monarchowie lub naczelnicy państw, objeżdżali własne tylko kraje, jeździł po Europie, jakby w złudzeniu, że cała jest dziedziną władcy Niemiec.

Polityka niemiecka pozostawała jednak przedewszystkiem kanclerską, a cesarz Wilhelm stwierdził ponowną wycieczką do Friedrichsruhe, że był jeszcze

bismarckowskim monarchą. Za panowania Wilhelma I. ks. kanclerz przeniósł był punkt ciężkości do Warżynu i Friedrichsruhe, ale przyjeżdżał do cesarza. Za krótkiego panowania Fryderyka III., kanclerz zamieszkać musiał w Berlinie. W pierwszym roku panowania Wilhelma II. cesarz jeździł do ks. Bismarcka.

VIII.

Podróże hr. Kalnokyego do ks. Bismarcka nie miały już jedynie politycznego znamienia, były podobne do pielgrzymek, powtarzających się corocznie. Można było żywić wątpliwości co się tyczy czynnego działania, sprężystości i skuteczności w rozwiązaniu zadań europejskich, przymierza niemiecko-austryackiego, oraz jego dopełnienia, potrójnego przymierza; ale trzeba było przyznać, że ono istotne przynosiło Austryi wewnątrz i zewnątrz korzyści, że było wyrazem jej bezpieczeństwa, wytworzonym koniecznością i biegiem wypadków. Są położenia, w których zawód nie dowodziłby jeszcze błędu. W monarchii austro-węgierskiej, w której każda sprawa wewnętrzna jątrzy i zaostrza się zewnętrzną; polityka jest tańcem wśród mieczów, godnem pędzla artysty. Tam trzeba z wdziękiem i uśmiechem na ustach, omijać ostrza. I tam niezawodnie byłoby lekkomyślnym zbytkiem zwiększać trudności wspomnieniami żalu lub przeszłej wielkości, chęcią odwetu czy zemsty.

Podczas, gdy kanclerz obchodził corocznie święto swej polityki przyjmując odwiedziny austro-węgierskiego ministra spraw zagranicznych, poruszonem zostało pytanie co do jego niezbędności i wszechpotęgi, poczęto wspominać o zamiarze dobrowolnego usunięcia się.

Oderwanie się od swego dzieła, zerwanie ze swoją sztuką doprowadzoną do tak wysokiego stopnia wydoskonalenia, oraz z największą rozkoszą dla wyższych

usposobień z rządzeniem ludźmi i ludzkiemi sprawami, równaćby się musiało dla takiego jak ks. Bismarck człowieka zagrzebaniu się żywcem.

We wolną a nie przymuszoną chęć kanclerza ustąpienia bez przeciwieństw między nim a młodym monarchą, wierzyć zatem nie można było. Nikomu prócz synowi nie dozwolił być uczniem swej szkoły, nie chcąc widzieć przed sobą następcy. Hr. Herbert Bismarck kiedyś powiedział: „U nas obowiązuje prawo salickie, kobiety nie mogą się mięszać do polityki“. Ale prawo salickie nie wykluczało merów pałacowych i pod niem rosły obok monarszej dynastyi, dynastye wszechwładnych doradców. Dobrowolne usunięcie się ks. Bismarcka było sprzecznem z istotą rzeczy, ludzi i położenia, a było połączonem z niezaprzeczoną dla Niemiec ujmą. Raczej należało przypuścić, że kanclerz zechce do końca dzierżyć władzę dla zapewnienia jej własnej dynastyi.

Ale stosunek kanclerza do cesarza stawał się także niewiadomą, która wywoływała wieści o ustąpieniu.

IX.

Głównym przedmiotem, stojącym na porządku dziennym w Berlinie był ogłoszony pamiętnik cesarza Fryderyka III. bez upoważnienia panującego monarchy. Ani prawidłowem, ani zgodnem z interesem państwa było ogłoszenie bez wiedzy i zezwolenia najwyższych czynników, pism i myśli politycznych zmarłego cesarza. Ogłoszenie *Pamiętnika Fryderyka III.* nie tylko nie było dla rządzących przyjemnem, ale było szkodliwem, i mogło być wskazówką, że już nie w Danii, ale w Berlinie coś psuć się zaczynało. Ks. Bismarck zawrzał i wybuchnął wielkim gniewem. Od początku do końca w sprawie tej, słuszność polityczna, interes państwa i męża stanu rozum, zwłaszcza pruski interes, były

po stronie kanclerza, który nadużył jak nieraz tak i tutaj swej wyższości, lecz widział jasno i bronił uporczywie powodu stanu. Nieinaczej też przedstawia się on w *Pamiętniku* i z tego względu trudno pojąć, dla czego ogłoszenie tak srodze rozgniewało go, skoro w tem, co on jedynie cenił, wychodzi w *Pamiętniku* zwycięski i świetny. Ale są tam zdradzone tajemnice jego gry i tajniki mózgu, które nie na rękę mu było, aby odsłoniętemi zostały. *Pamiętnik* świadczy, że ks. Bismarck z niepospolitem mistrzostwem kierował wszystkiemi, i gdy pchał wszystkich, nadawał sobie pozory, iż pchać się daje. W tem, co on jedynie cenił, w powodzeniu, porównanie między nim, a autorem *Pamiętnika* wielce wychodzi na jego korzyść. Lepszym okazuje się on politykiem od Fryderyka III., ale ten był lepszym i szlachetniejszym człowiekiem. *Pamiętnik* podaje w zmniejszeniu wielkie rzeczy i wypadki. Przypomina nieco zapiski panny na wydaniu, która w narzeczonym ukochała wszystkie swoje ideały i przysięga sobie, że im całe życie będzie wierną. Tak brzmi tam zdanie o wierności dla konstytucyjnych rządów, której, że rzeczywistość kłamu nie zadała, może tylko wczesnej śmierci przypisać należy. W ogóle odnosi się wrażenie, że inaczej byłoby się rozwinęło panowanie Fryderyka III., gdyby był pozostał przy zdrowiu i życiu, niż je zapowiadał *Pamiętnik*. Wtedy w państwie przeważnie wojskowem, pierwszy niezbędny na armię kredyt, mógł był zniweczyć wywieszoną w *Pamiętniku* bezwzględną wierność dla konstytucyonalizmu — tak, jak w życiu nieraz konieczność lub zbieg okoliczności niweczy w najlepszej wierze powzięte postanowienia — panieńskie. Cała niemiecka polityka Fryderyka III. w *Pamiętniku* trąci raczej sposobem stowarzyszeń śpiewaków, gimnastyków i strzelców niemieckich, niż opartą jest na myśli stanu i podstawach państwowych. Statystą zaiste nie okazuje się Fryderyk III., ale ludzka drga tam struna,

Prusak przeistacza się w Niemca i rozszerza ciasny widnokrąg, ograniczony samolubstwem i wyłącznością.

Odpowiedź, jaką kanclerz dał *Pamiętnikowi* w bezpośredniem sprawozdaniu dla cesarza, miała znamię bezwzględności i była wobec niewątpliwego nadużycia, popełnionego ogłoszeniem, nadużyciem nowem. Zuchwały i nieprzyzwoity zwrot o zdradzaniu tajemnic na rzecz dworu angielskiego; aczkolwiek zgodny z prawdą tak dalece, że cesarz Wilhelm I. zawsze się tego zdradzania obawiał; był pomiataniem względami dynastycznymi, monarszymi i rodzinnymi, nowym dowodem niepohamowanej namiętności gnębienia słabych, bezsilnych i nieszczęśliwych; był wprost wymierzony przeciw wdowie po Fryderyku III.

Każde państwo dążące do przyszłości, a przeznaczone zająć stanowisko w świecie i w dziejach, mieć musi i ma też swoją podstawową główną przyczynę bytu, co jest jego ożywczą i poruszającą siłą. Od najdawniejszych czasów dopatrzeć się można pod tym względem, przy niezliczonych odcieniach, dwóch w historyi głównych pierwiastków; potęgi bezpośredniej terytoryalnej, zatem materyalnej i potęgi opartej na wpływie. Każdy z nich ma w sobie czynniki i warunki siły; jedynie połączenie i zastosowanie obu, stwarza istotną i dziejową wielkość. Zrozumiał to i dopiął tego Rzym stary i dla tego pozostał wzorem i arcydziełem politycznej budowy.

Podstawową przyczyną bytu Prus, od początku do końca, była wyłącznie potęga terytoryalna i materyalna z wykluczeniem i pomiataniem drugiego pierwiastka wielkości, a ta jednostronność stanowi kalectwo dziejowe; wszystkie ujemne strony państwa i polityki pruskiej, są następstwami tego jednostronnego założenia pierwotnego.

I nic innego nie rozgrywało się w pośmiertnej, przecież namiętnej, to znowu gorszącej wojnie, wywo-

łanej pojawieniem się pism Fryderyka III. a wydanej przez Bismarcka, jak tylko walka pierwiastku materyalnego i terytoryalnego pruskiego, z pierwiastkiem wpływu moralnego i politycznego, do życia powołanego przez wypadki przerastające pierwszy, który nie mógł już im ani sprostać, ani wystarczyć.

Cesarz Wilhelm I. głównie, oraz ks. Bismarck hołdowali pierwszemu pierwiastkowi, bo byli w nim wychowani. Fryderyk III., bez zdania sobie dokładnie sprawy, stawał się wyobrazicielem drugiego; szerszych potrzeb i dalej idącego kierunku.

Nie wynika ztąd, aby, zwłaszcza ks. Bismarck, nie rozumiał pożyteczności niemieckiej jedności, ani znaczenia cesarstwa tak dobrze a niezawodnie bardziej politycznie niż Fryderyk, a wiemy, jak umiał używać jednej i drugiego do swoich celów; ale dla niego właśnie były to raczej środki, niż cele.

Dla ks. Bismarcka bowiem, który był wcieleniem ducha i polityki pruskiej, jedność niemiecka i cesarstwo przedstawiały się przedewszystkiem, jako pruska potęga i terytoryalne powiększenie Prus; to były rzeczy główne, inne dodatkowemi. Podczas, gdy Fryderyk III. marzył o ukoronowaniu dzieła, ks. Bismarck dbał o jego podwaliny, a temi dla niego musiały być: pruska potęga i terytoryalne Prus zwiększenie się. Ogłoszenie zaś jedności niemieckiej i cesarstwa, ozdobami. I tu właśnie odrysowują się najwyraźniej dwa pierwiastki, o których wyżej mówię, a których harmonijne połączenie nie całkiem odpowiadało skłonnościom kanclerza, tak samo jak i istocie państwa pruskiego. W ogóle nie trzeba popadać w pomyłkę, iż ks. Bismarck był mężem stanu zupełnie samorodnym; że wszystko ze siebie czerpał, że wszystko co od niego pochodzi jest jego. Nikt do tego stopnia, co on, nie przejął się staro-pruskim kurfürstów i Fryderyka Wielkiego duchem, sposobami i polityką: a wtedy, gdy się współczesnym wy-

dawał być najbardziej samodzielnym, najwięcej podobnym był do Fryderyka Wielkiego, najwięcej do niego się zbliżał i przepisywał go bezwiednie.

W zmienionych warunkach i okolicznościach, naśladował tamtego postępowanie, nawet zachowanie się i wyrażenia. Współcześni w skutek powodzeń kanclerza nie czuli tego i zapominali, iż czytali kiedyś w *Historyi mojego czasu* pióra Fryderyka W., sposoby bismarckowskiej polityki. Świat niepoprawny, traci w tej mierze pamięć i poczucie, a prawnuki w te same dają się chwytać sidła co pradziady.

Fryderyk napisał: „Słodyczą zdobywa się Królestwo niebieskie, ale siłą ziemskie“.

Fryderyk W. lekceważył sobie także godność cesarską, dbał przedewszystkiem o Szlązk. A pod tym względem i on i ks. Bismarck jednego byli zdania, że korona cesarska jest bez istotnego znaczenia i siły, jeżeli ten, który ją piastuje, nie opiera się na rzeczywistej własnej potędze, oraz terytoryalnych posiadłościach.

Korona cesarska bez powyższych warunków — byłaby symbolem tylko — który mógł się uśmiechać marzycielskiej duszy Fryderyka III., lecz nie umysłowi ks. Bismarcka. Za Karola V. korona ta nie tylko niezwykły miała blask, ale przedstawiała wielką potęgę, bo spoczywała na głowie monarchy, w którego posiadłościach słońce nie zachodziło i odtąd zawsze tak było, że nabierała mocy tylko od potęgi tego, który ją przywdziewał.

„Od dawna — pisze Fryderyk II. — godność cesarska sama przez się nie miała już żadnej mocy i nakazywała poszanowanie, tylko pożyczając tę, którą miał książę piastujący ją“.

Ks. Bismarck myślał zatem także przedewszystkiem o ugruntowaniu potęgi księcia, który miał być cesarzem i dla tego postępował w tej mierze stopniowo, nawet

oględnie, podczas, gdy Fryderyk III. widział całą potęgę w godności cesarskiej.

A teraz po utworzeniu i ukoronowaniu dzieła, ks. Bismarck znowu nie samorodnie, ale wiernie trzymał się zasady Fryderyka W. zawartej w słowach:

„Oto wielki i szczęśliwy wypadek, który oddaje w ręce mojego rodu najpiękniejsze kraje Niemiec przy końcu najzaszczytniejszej wojny. Trzeba umieć się w czas zatrzymać; gwałcić szczęście to jedno co je utracić, a chcieć wciąż więcej, to najpewniejszy sposób nie być nigdy szczęśliwym".

Są dwa rodzaje wzroków: jeden, który widzi lepiej przedmioty zdala; drugi, który dokładniej je rozpatruje zbliska. Badając zawód ks. Bismarcka dojdzie się do przekonania, że obdarzony był raczej drugim niż pierwszym, ale drugim niezwykłym, niepospolitym. Tym to wzrokiem patrzał ks. Bismarck podczas stworzenia dzieła i patrzył nim teraz, gdy je uważał za ukończone, patrzył znakomicie; ale nie widział dokładnie w dali.

Trzeźwość i siła woli ks. Bismarcka, nie zdolne były opanować namiętności; jego celujący w rachubie umysł, nie chronił go przed gwałtownością. Całe swe życie ks. Bismarck unosił się i powodował się gniewem. Owocem gniewu, uniesienia i gwałtowności było bezpośrednie sprawozdanie o *Pamiętniku*, w którem nagromadzone były same sprzeczności, począwszy od krzyczącej, iż niby broniąc pamięci Fryderyka III. zarzucał mu kanclerz zdradę tajemnic państwowych, oraz prawne kacerstwo.

Ks. Bismarck opierając się wyłącznie i uznając jedynie potęgę terytoryalną, stworzył wielkie państwo bezwpływowe i bez uroku, który przecież także jest siłą. Wzbudzanie bowiem przestrachu nie jest wywieraniem wpływu.

X.

Zachodzące słońce, zimne słońce, które nigdy nie ogrzewało, oświetlało jeszcze świat, nad którym przez tyle lat błyszczało szczęściem i rozumem. Miało się ku schyłkowi i obawiano się, że gdy zgaśnie, nastaną ciemności, może potop. Ks. Bismarck, twórca potężnego dzieła, zarazem sprawca wszystkich klęsk pokolenia i położenia, jedynie, mówiono, jest dość silnym, aby to dzieło utrzymać, aby zażegnać kataklizmy, które sam zgotował, które wybuchnąć muszą, gdy ludzkość ruszy się, aby wydobyć się z narzuconego jej stanu rzeczy.

Zdala od zgiełku, czy kanclerz rozważał tę przyszłość, czy też tylko wysilał swój umysł, aby podołać zadaniu zażegnywania z dnia na dzień rozwiązania? W każdym razie jeżeli myślą sięgał dalej, to już nie czynami. Przekonany przecież musiał być, że on jeden zdolny wstrzymać poniekąd bieg dziejów i utrzymać obecny stan rzeczy i dla tego wątpić można, aby we Friedrichsruhe przygotowywał się do dobrowolnego ustąpienia z widowni i złożenia na wątlejsze barki, oddania słabszym umysłom straży, nad olbrzymiem zadaniem unieruchomienia świata w warunkach, w jakich się znajdował.

Friedrichsruhe było schronieniem przed ludźmi, w którem tem snadniej czuwał Bismarck nad wypadkami; w pierwszym rzędzie nad tem, aby dwanaście milionów karabinów, o których na ostatniej corocznej uczcie u lorda majora wspomniał był lord Salisbury, same nie wystrzeliły. Potężne to zadanie w ciszy i cieniu starych drzew Friedrichsruhe codziennie rozwiązywał ks. Bismarck! Nie umiałby on bezczynnie patrzeć się na zawikłanie lub rozwikłanie położenia groźnego; nie należał do tych, co ręce umywają. Czy jednak smutne nie nawiedzały go przewidywania

na widok takich rzeczy, jak pożyczka rosyjska zaciągnięta w Paryżu, czy wtedy nie odzywały się wobec wielkich wspomnień przeczucia złowrogie?

To schronienie, w którem niezawodnie człowiek co je sobie obrał, duchowego nie zażywał spoczynku, a fizycznemu oddawał się wciąż ruchowi, leży w pobliżu Hamburga, zkąd łatwo się do niego dostać. Pospiesznym pociągiem jedzie się minut dwadzieścia do Bergerdorf, schludnego małego miasteczka, w którem — jak niemal tu wszędzie — widzisz stare domy ozdobne rzeźbami z drzewa. Z Bergerdorf dojeżdża się w godzinę powozem — poprzerzynaną dolinami okolicą, polami zasadzonemi ziemniakami i klombami z drzew, w sam środek lasu. Las ten nazywa się *Sachsenwald* i cały był własnością kanclerza. Kolej z Hamburga do Berlina przerzyna go; w środku znajduje się mała wioska Friedrichsruhe, która zaledwie ma dwieście do trzystu mieszkańców. Zaraz opodal od dworca stała wiejska gospoda; stoliki zastawione w altanie, kręgielnia i restauracya otwarta dla przechodniów. Dom, w którym znajdowała się ta gospoda, był własnością pana na Friedrichsruhe. Ten, który go dzierżawił, oberżysta Petersen, z łatwością opłacał czynsz, dzięki podróżnym, którzy kazali sobie podawać wyborną szynkę wędzoną w nadziei ujrzenia właściciela. W roku 1888 nie mało ich zasiadło przy stołach zastawionych przez Petersena w dniu, w którym przybył hr. Kalnoky.

W takich okolicznościach Petersen przestrzegał kilka minut naprzód o przyjeździe na dworzec kanclerza i wołał: „jeżeli chcecie zobaczyć Bismarcka to spieszcie się“. Zwykle nadjeżdżał on w dwukonnym powozie, za którym biegły dwa ogromne czarne psy duńskie, które zastąpiły słynnego brytana państwowego. Kanclerz wysiadał rześko, jak na siedmdziesiąttrzechletniego starca; ściskał za rękę naczelnika stacyi, kłaniał się przechodniom, a czekając na pociąg opierał się o słup

żelazny, podtrzymujący dach dworca. Kanclerz zmienił się był od paru lat. Przedewszystkiem znać było skutki kuracyi Schwenigera; Bismarck był chudym i kościstym; przed kuracyą tonął w niezwykłym i niekształtnym tłuszczu, z którego błyszczały o srogiem spojrzeniu oczy, a na którym odrysowywały się nabrzmiałe wargi. Schweniger uwolnił go od tego tłuszczu, zakazując mu napojów przy jedzeniu, co jednak, zwłaszcza z początku, nie obeszło się bez gwałtownych wybuchów. Teraz ks. Bismarck wybornie wyglądał; chód jego był sztywny i automatyczny, ale świadczył o istotnej sile. Cera była niemal różową, prawdopodobnie pod wpływem czystego i orzeźwiającego powietrza, którem się w tamtych stronach oddycha, a które wciąż odświeżają powiewy nadchodzące z pobliskich mórz: Północnego i Bałtyckiego. Rzecz godna uwagi, rysy twarzy u kanclerza znacznie wyłagodniały, chociaż, sądząc po ostatniem bezpośredniem sprawozdaniu z Friedrichsruhe pisanem o *Pamiętniku* Fryderyka III., wrzały w nim jak dawniej gwałtowne namiętności. W rysach tych nie można już było odnaleźć tego twardego, nawet srogiego wyrazu, którym dawniej się odznaczał. W Friedrichsruhe ubrany był Bismarck po cywilnemu; na głowie miękki kapelusz nieco poplamiony, opończa siwa, długi kij sękaty w ręku; wyglądał na dworcu jak szlachcic okoliczny, który zatrzymał się, aby przypatrzeć się przejeżdżającemu pociągowi; słowem, zupełnie to inny człowiek, jak ten, którego widziało się w Berlinie w mundurze i w hełmie; wtedy stawał się znowu owym groźnem zjawiskiem, z którem nie miłoby było spotkać się w lesie. Tę różnicę zauważyli nawet spokojni mieszkańcy Friedrichsruhe. Niedawno temu ujrzeli go byli w pełnym wojskowym rynsztunku, kiedy spieszył przyjąć na dworcu młodego cesarza i z trudnością rozpoznali w tym wyniosłym i dumnym jenerale tego, którego spotykali przedtem codziennie na drodze

wiejskiej i który odznaczał się uprzejmością i łagodnem obejściem.

Książę niepozornie tylko odzyskał był zdrowie. Mieszkańcy Friedrichsruhe, którzy widywali go codziennie zapewniali, że zdrowie to było od pewnego czasu wyśmienitem.

We Friedrichsruhe nawet chłopi przekonani byli, iż pokój zapewnionym był dopóki Bismarck żyć będzie.

Ks. Bismarck, przechadzając się pod cieniem starych drzew z ministrem sprzymierzonego mocarstwa, zawołał: *Tant que je serai là, je tiendrai d'une main ferme le ballon captif de la paix.*

Podczas, gdy kanclerz odjeżdżał z dworca ze znakomitym gościem i podczas, gdy rozpoczynała się między nimi rozmowa, od której zależał spokój nawet włościan z Friedrichsruhe, Petersen nalewał do ich kieliszków moselskie wino i liczył dwie marki za butelkę.

Zagroda kanclerza była w najwyższym stopniu tuzinkowa i pospolita. Bismarck nie czuł potrzeby estetycznych wrażeń, chociaż swoim wielkim umysłem oceniać je umiał. Lubił muzykę. W Schekspearze rozmiłowany, często przytaczał go nawet w politycznych mowach. Znajomość ludzkich słabości czarowała go. Schekspear był w dziedzinie estetycznej głównem Bismarcka upodobaniem. Pokrewieństwo z wyboru, człowieka wielkich czynów z wielkim myślicielem.

Co do usposobienia duchowego Bismarcka znamiennem jest co opowiadała pani Marya Muchanow, z domu Nesselrod *primo voto* Kalergi, słynna z wdzięku i licznych w świecie politycznym stosunków. Gdy razu jednego śniadała w Berlinie u księstwa Bismarcków, zawiadomiono przy czarnej kawie kanclerza, iż przybyła deputacya pułku gwardyi. Wyszedł powitać ją. Wróciwszy rzekł: „Czy wiecie czego żądali odemnie? Oto pozwolenia postępowania za trumną na moim pogrzebie". „Ależ to niestrawne po śniadaniu żądanie" — za-

wołała pani Muchanow. Na co kanclerz odparł. „Wcale nie — zmarło ciało niech żyje dusza!“

Czerwony mur ceglany oddzielał zagrodę kanclerską od drogi i toru kolejowego. Przy głównym wjeździe była drewniana brama źle pomalowana jakby wchód do stajni. Ów mur sześć łokci wysoki odgraniczał mieszkanie kanclerza z trzech stron, z czwartej płynęła rzeczka sześć stóp szeroka, brudna, w której kąpały się kaczki. Ten bardzo brzydki mur był przecież wymownym, wyrażał jasno następującą myśl właściciela: „Przechodniu, możesz się przechadzać, ile ci się podoba, na około, ale zgoła nic nie dostrzeżesz z tego, co się u mnie dzieje“. A jakby dla dopełnienia tej myśli szalona wegetacya świerków, lip, jarzębiny, dębów i buków wznosiła się ponad murem i zaledwie pozwalała dojrzeć kończyn dachu. Dom sam był równie pospolity jak owo z cegły opasanie. Postawił go oberżysta z Hamburga, przeznaczając na letnie dla siebie mieszkanie. Urządzenie wewnętrzne było zwykłe, nawet brzydkie. Nikt nie dałby tysiąc marek najmu za ten dom, a przecież pod zieloną zasłoną drzew było to ciche, spokojne schronienie, łagodzące rozstrojenie pana Niemiec. Cichość przerywały lekcye na klawikordzie małych Rantzau, wnuków kanclerza; wcale nie harmonijne ich ćwiczenia, nie przeszkadzały rozmyślaniom wielkiego męża stanu; brzmiały mu w uszach jak światowe rozstroje.

Sposób życia księcia był prosty i higieniczny. Odrywał się od niezmiernej, codziennej pracy na cztery lub pięć godzin, te rozdzielał między piesze i konne przechadzki. Prawie zawsze wychodził z domu sam, to jest w towarzystwie owych dwóch psów, które podejrzliwie spoglądały na każdego przechodnia; psy te stanowiły przyboczną gwardyę i służbę bezpieczeństwa kanclerza. Omijał trakt; we wszystkich kierunkach znajdowały się drogi, których wyłącznie używał i nad któremi zawieszony był napis: *Privat Weg*. Skoro kanclerz wchodził

na jedną z nich — natychmiast spuszczano rogatkę, a każdy wiedział, że nie wolno już nikomu było puścić się nią. Drogi te, które kanclerz zachował dla siebie, były wspaniałe; biegły pod cieniem dwuwiekowych dębów lub buków, a pokryte były cienkim piaskiem ułatwiającym powolny w zamyśleniu pochód. Starożytny ten las jest zamieszkałym; często spotkać się w nim można z rudlem czterdziestu do pięćdziesięciu jeleni. Książę już nie polował, ale ten człowiek, który tysiące ludzi wysłał na śmierć, nie pozwalał ubić jednej sztuki zwierzyny w swojej kniei. Czasem, gdy był mownym, pytał się drwala o robotę i rodzinę. Robotnicy, którzy płatni byli przez kanclerza, nadzwyczaj wychwalali jego uprzejmość, obejście i rozmowę. Rachunków nie załatwiał z nimi osobiście. W lesie był tartak, na którym drzewo księcia przerabiano na deski; opodal ładny domek wśród zieleni, który książę wynajmywał na letnie mieszkanie. We Friedrichsruhe wszystko, z wyjątkiem jednego domu, było własnością kanclerza, który wybornie umiał wyzyskać las, wodę, ziemię, słowem wszelkie nieruchomości. Doskonale zarządzał on tym pięknym majątkiem, darowanym mu przez cesarza Wilhelma I. w dniu, w którym sędziwy monarcha odczuł żywiej niż zwykle wdzięczność dla swojego doradcy. Książę zwykł był mówić, iż oba końce schodzą się we Friedrichsruhe.

Ten las, te pyszne drzewa tworzyły wspaniały klasztor, nadający się wybornie rozmyślaniom pustelnika, który coraz bardziej odczuwał potrzebę odosobnienia się. Ubóstwiał on swoje drzewa. Od najdawniejszych czasów miał pociąg do drzew, a pamiętam, iż jeszcze przed Sadową i Sedanem, rzekł w Baden-Baden do Józefa Kościelskiego, z którym łączyła go dawna zażyłość: „Drzewa to rozkosz, o ileż więcej warte od ludzi!“ Mówiono, iż w tym roku z dumą i łzą w oku pokazywał olbrzymie okazy lasu Friedrichsruhe Crispiemu; dłu-

gie godziny przechadzał się z nim pod ich cieniem, jak twierdzono na to, aby ochłodzić zbyt daleko idące zapały sprzymierzeńca.

Nauczającem byłoby wiedzieć, co po wyjeździe każdego z owych znakomitych gości myślał o nim i o sprawach świata w samotności, pod cieniem ukochanych drzew, ten, co o ludziach wogóle dobrego mniemania, ani chciał, ani mieć mógł.

Najważniejszem zaś wtedy było odgadnąć, co wśród spokojnego życia wiejskiego myślał kanclerz o swym cesarzu i panie, o jego gorączkowem życiu i bezustannych podróżach, o tej ciągłej potrzebie nowych wrażeń; i jakie było zdanie milczącego w Friedrichsruhe Bismarcka o wielomownym Wilhelmie II.?

Niewątpliwie ten młody, a nieobliczalny monarcha znaczne zajmował miejsce w rozmyślaniach i przewidywaniach pustelnika z Friedrichsruhe.

XI.

Mowa tronowa, którą cesarz Wilhelm otworzył w listopadzie 1888 r. parlament niemiecki, wolna od wybryków, do których przyzwyczaił w krótkim przeciągu czasu publiczność młody władca Niemiec, odznaczała się dawnym, wstrzemięźliwym pruskim sposobem i miała na sobie stempel z Friedrichsruhe. Była ponownym dowodem, że tak w wewnętrznych, jak zewnętrznych sprawach cesarz jeździł, ks. Bismarck jeszcze rządził. I znowu przekonała, że kanclerz chciał stanowczo utrzymania pokoju, lecz, że nic innego wynaleźć już nie umiał, jak zbrojny pokój. Ztąd też niepokój umysłów, bo wniosek: że albo musi przyjść do rozbrojenia, w co nikt nie wierzył, albo do starcia, czego się każdy obawiał.

Ks. Bismarck wyznawał zasadę, streszczoną przez Fryderyka Wielkiego, w słowach: „Rozsądek przepisuje nam regułę, której każdy mąż stanu trzymać się winien niezmiennie; oto, iż należy uchwycić sposobność i wtedy tylko coś przedsięwziąć, kiedy ona jest korzystną; ale nie gwałcić położenia, oddając wszystko na los szczęścia. Są chwile, które wymagają wprowadzenia w grę całej działalności, aby z niej skorzystać; ale są także takie, w których roztropność nakazuje bezczynność. Polityka wymaga cierpliwości, a arcydziełem człowieka wyższego jest robić wszystko w sam czas i w porę". Ks. Bismarck od pokoju frankfurckiego ograniczył się na cierpliwości, a nie uznał już żadnej chwili za korzystną do przedsięwzięcia czegoś na zewnątrz.

Rzecz godna zapisania, że gdy posunięcie ku granicom jednej dywizyi w 1887 i na początku 1888 r. wywołało pamiętną burzę, nierównie rzeczywistsze i ważniejsze w następstwach uszykowanie wojsk rosyjskich i zmiany w ich rozkładzie przy końcu 1888 r. nie dały już powodu do obaw, ani postrachów i że się nad niemi przeszło do porządku dziennego, zwłaszcza w Berlinie. Słowa Fryderyka Wielkiego zapisane w *Historyi mojego czasu*, były i tutaj rozstrzygającemi dla polityki ks. Bismarcka:

„Rosyanie tak dalece są groźnymi, iż nikt nic zyskać nie może uderzając na nich; posiadają bowiem przestrzenie niesłychane i pustynie, przez które przejść trzeba, aby ich dosięgnąć; a nawet ograniczając się do wojny odpornej z nimi, ma się wszystko do stracenia".

Cesarz Wilhelm II. położył w mowie swej szczególny na to nacisk, iż przymierze z Austro-Węgrami i Włochami ma jedynie na celu utrwalenie pokoju i to nacisk tak dalece silny, iż można było niemal przypuścić, że stałby się ono mogło bezcelowem w chwili, w którejby pokój zakłóconym został.

I znowu tu przytoczę zdanie Fryderyka Wielkiego, który aż w czterech wypadkach usprawiedliwia zerwanie przymierza: 1) wtedy, kiedy sprzymierzeniec nie dotrzymuje swoich zobowiązań; 2) kiedy sprzymierzeniec zamierza cię oszukać, i nie pozostaje ci, jak go uprzedzić; 3) kiedy wyższy interes cię znagla i zmusza do zerwania przymierza; 4) nareszcie, kiedy nie masz dostatecznych środków do dalszego prowadzenia wojny.

„Cała rzecz — kończy król filozof — zależy tu od pytania: czy lepiej żeby naród zginął, czy też żeby monarcha złamał traktat przymierza? Jakiegożby trzeba głupca, aby się zawahał w odpowiedzi na to pytanie?!“

XII.

Cesarz Wilhelm I. mówił, iż wie, dla czego znosi ks. Bismarcka, nie wie, dla czego ma znosić jego syna Herberta.

Dynastya bismarckowska coraz bardziej dawała się we znaki, tem nieznośniej, że do zachowania się ojca przyłączało się niczem, żadną zasługą nie pokryte, naśladownictwo syna.

Jednocześnie w końcu 1888 i z początkiem 1889 r., kanclerz i hrabia Herbert Bismarck, wywołali namiętnie i ze zwykłą bezwzględnością dwie drażliwe sprawy.

Kanclerz ścigał sądownie nienawidzącego go profesora Geffkena, za ogłoszenie *Pamiętnika* cesarza Fryderyka III. którego był powiernikiem. Syn wywołał niemiłe zajście z sir R. Morier, ambasadorem angielskim w Petersburgu, który dawniej, będąc przy ambasadzie w Berlinie, cieszył się względami ówczesnego następcy tronu i jego żony, ks. Fryderyka, i księżnej Wiktoryi. Hr. Herbert Bismarck znajdując się w Anglii, oskarżył w rozmowie sir R. Moriera, iż bę-

dąc posłem w Darmstadzie w 1870 r. udzielał Bazainowi wiadomości o ruchach wojsk niemieckich.

Profesor Geffken został pod zarzutem bezprawnego, państwu szkodliwego, ogłoszenia pośmiertnych pism Fryderyka III uwięziony i po trzech miesiącach przed sąd stawiony. Sąd uwolnił go. Ks. Bismarck nie dał za wygraną. *Pamiętnik* był mu cierniem w oku dla tego, że z niego wnosić można było, iż głównym twórcą cesarstwa niemieckiego nie był on, lecz ówczesny następca tronu późniejszy cesarz Fryderyk III, co zresztą nie byłoby zgodnem z prawdą. Złożył więc cesarzowi sprawozdanie o całej sprawie i zażądał upoważnienia ogłoszenia go wraz z aktem oskarżenia Geffkena. Cesarz zezwolił. Sprawozdanie i akt oskarżenia ukazały się w *Dzienniku Urzędowym*. W pierwszym kanclerz oddał na pastwę ogółu dynastyczne, monarchiczne i rodzinne uczucia, oraz względy z lekkiem sercem; wyjawił tajemnice państwowe przeszłości; odsłonił słabe strony, rany i ranki wewnętrzne i zewnętrzne własnego dzieła. Zdawać się mogło, iż uczynił to z obawy, że

On dira que je cède à la difficulté
Que je me trouve à bout de ma subtilité:
Et que deviendra lors cette publique estime
Qui te vante partout pour un fourbe sublime
Et que tu t'es aquise en tant d'occasions
A ne t'être jamais vu court d'inventions?

Kanclerz jednak pomylił się tym razem. Niebywałe postępowanie zamiast oczekiwanego wrażenia, wywołało już oburzenie i ostre potępienie w parlamencie ze strony przewódców różnych stronnictw. Ofiarą gniewu Bismarcka padł minister sprawiedliwości Friedberg, którego względami zaszczycał Fryderyk III., i który ustąpić musiał z urzędu. Geffken schronił się do Szwajcaryi.

Z drugiej strony zarzut uczyniony przez hr. Herberta Bismarcka sir R. Morierowi, dostał się był do dzienników; organa bismarckowskie dołączyły do niego oskarżenie, iż angielski dyplomata mięszał się w sprawy wewnętrzne Prus i Niemiec. Sir R. Morier nie został dłużnym odpowiedzi i w otwartym liście do hr. Herberta Bismarcka, nie oszczędzając go bynajmniej, napisał najprzykrzejsze rzeczy, jakie mógł usłyszeć syn i domniemany następca kanclerza.

Dzienniki angielskie nazwały koszarowem wystąpienie w obydwóch wypadkach ojca i syna.

Obydwie sprawy pozostawiły po sobie wielki niesmak; zakończyły się nie pomyśli kanclerza, zgotowały dynastyi bismarckowskiej podwójną porażkę. W każdych innych warunkach byłyby naraziły na szwank stanowiska tych, którzy je wywołali. Lecz tu jedyną na wszystko odpowiedzią była jeszcze — niezbędność a dowolność zastępowała nieomylność.

Reskrypt cesarza Wilhelma II. do kanclerza zasłonił podwójny odwrót, ale jego wydanie świadczyło o potrzebie pokrycia popełnionych błędów. Zaćmiły one zachodzące i wschodzące bismarckowskie słońca.

Parlament niemiecki rozpoczął był na nowo swoje prace 9. stycznia 1889 r.

Ku ogólnemu rozczarowaniu ks. Bismarck okazał się w rozprawach 15. stycznia bladym i miękkim, jakby nie był już żelaznym kanclerzem, lecz znużonym ministrem. Tym razem nie potrafił nawet należycie być nieprzyjemnym dla przeciwników, podczas, gdy oni nie mile, ostre wypowiedzieli prawdy. Strzały wolnomyślnych były tem celniejsze, że zupełnie chybionemi były te, które dał kilkakrotnie kanclerz, zarzucając przeciwnikom, iż narażają przyjazne z Anglią porozumienie, podczas, gdy jawnem było, że zachowanie się organów, oraz syna kanclerza w sprawie Moriera w żaden sposób dobrze wpłynąć nie mogło i nie wpłynęło na sto-

sunki angielsko-niemieckie i na publiczność W. Brytanii. Żółć bismarckowska przemieniła się w żółtaczkę, a jestto objaw osłabienia.

XIII.

Politycznem znamieniem końca dziewietnastego stulecia pozostanie — starość ks. Bismarcka; ona na nim wycisnęła swe piętno.

Dopóki ks. Bismarck żył, nikt nie tylko nie był zdolnym powziąć nowej myśli lub męskiego początkowania w stosunkach międzynarodowych, ale nikt nawet nie śmiałby — on zaś nie chciał, prawdopodobnie już nie mógł. Obracał się zatem żelazny kanclerz w jednem i tem samem, jego roboty, żelaznem kole, zwanem: zbrojnym pokojem.

Nikt nic nie widział, nawet w przyszłości, po za tem kolem; nikt nie odgadywał dróg wyjścia z niego, a bodaj czy kto jeszcze nad tem przemyśliwał. Pod ciężką zbroją myśl świata ociężała, straciła polot, straciła bystrość. Polityka europejska zespoloną była z życiem człowieka, który unieruchomił się. On zaś nie dawno wyznał był w parlamencie niemieckim, że w stosunkach zewnętrznych europejskich nie jest do zastąpienia, czem przyznał, że nie zdołał zapewnić ciągłości swej myśli i systematowi, nawet za pomocą bismarckowskiej dynastyi. I tu zatem kończyło się stulecie pod hasłem niemocy, najsilniejszych. I jakby dla spotęgowania tajemniczości — przyszłości, rok panowania władcy Niemiec nie rozjaśnił był, nie usunął zagadkowości co do jego osoby. Dziś zarówno, jak wczoraj, świat nie wiedział czego ma po nim oczekiwać lub się obawiać; nie umiał wydać sądu o nim; widział tylko, iż dalej wciąż podróżuje i wciąż tuzinkowemi niespodziankami

czyni zadość swej jałowej ruchliwości i bezpłodnej rzutkości.

Dla Niemiec nieprzyjaciel — to Francya. Było to rzeczą wiadomą, był to dogmat postawiony przez historyą i najświeższe wypadki. O to nie szło już więc, ale o to głównie i na tem przedewszystkiem zależało w Berlinie, aby przeczuć i przewidzieć, kto nieprzyjaciela stanie się sprzymierzeńcem, kto pomocnym będzie skutecznie w razie odwetu i aby takiemu poparciu zapobiedz. Oto troska ciągła, która nie tylko nie zmniejszała się, lecz z każdym dniem się zwiększała i nieraz rozstrajała silne jak postronki nerwy.

Pod tym względem oczywiście zawsze oczy Berlina głównie zwrócone były na Petersburg, a nie na sam Petersburg, lecz na Rosyę, na jej wrogie dla wszystkiego co niemieckie usposobienie, słowem na tę publiczność rosyjską, coraz mniej skłonną do dobrych dla sąsiada uczuć, w której z obawą odgadywało się także najgłębsze, choć tajone przekonania i skłonności władcy.

W Berlinie poczęto rozumieć i przewidywać, że współzawodnictwu plemiennemu, coraz bardziej potęgującemu się, nie sprostają w końcu misterne, lecz sztuczne rachuby polityczne; że nie zażegnają go wybiegi dyplomatyczne, zużywające się. Pomimo własnych pokojowych postanowień, pomimo znanego usposobienia pokojowego cara, Berlin wcale nie był uspokojonym od strony Rosyi i odczuwał dreszcze, jeżeli nie obawy, to niepewności. Na tę chorobę wielki lekarz nie wynalazł był lekarstwa — i ani swoich, ani siebie z niej nie wyleczył. A temu stanowi rzeczy towarzyszyło i nie polepszało go, coraz wyraźniejsze zbrojenie się Rosyi, jawnie ogłaszane w *Inwalidzie*, oraz przesuwanie i posuwanie, raczej ustawianie wojsk rosyjskich, tym razem rzeczywistsze, niż w chwili fałszywych obaw dwóch poprzednich lat.

Wobec tego i nużącej, a niedającej się dotąd niczem usunąć niepewności, wobec sfinksowej w tej mierze postawy pokojowego cara — odczuwano w Berlinie niedostateczność wielkiego europejskiego tworu ks. Bismarcka, czy to dla utrzymania dalszego pokoju, czy na wypadek ogólnego starcia. I doszło do tego, że pomyślano tam o zwróceniu się w stronę, do niedawna pomiataną — Anglii.

Naraz głównym przedmiotem uwagi stały się nieco tajemnicze między Berlinem a Londynem układy. Chociaż usiłowano zakryć toczące się rokowania to sprawami kolonialnemi, to zamierzonem małżeństwem hr. Herberta Bismarcka, odnosiły się one do rzeczy ważniejszych i dotyczyły ogólnego położenia kuli ziemskiej. Dostrzedz można było, że raptem usposobienie w Berlinie względem Anglii i wszystkiego co angielskie zmieniło się, jakby pod wpływem czaru jakiego. Zapomniano o sir R. Morier; cesarz Wilhelm obiadował u ambasadora angielskiego i po angielsku nadzwyczaj czule dopytywał się o zdrowie „angielskiej babci“. Zbyt długo odkładane odwiedziny „babci angielskiej“ przez wnuka, zapowiedziane zostały; ustały domowe plotki i drażliwości między dworami matki i syna, między niemczyzną a angielszczyzną. Hr. H. Bismarck udał się do Londynu, lord Salisbury miał odwiedzić kanclerza. Co to wszystko znaczyło i o co się tu rozchodziło? Mówiono, że jak zawsze i wszędzie, o dawną rzecz — o odosobnienie nieprzyjaciela — Francyi! Powód bezpośredni był ważniejszy, była nim obawa przed porozumieniem się Anglii z Rosyą i zwichnięciem przymierzowej budowy ks. Bismarcka.

Niemcy nie tylko obliczały warunki wojny z Francyą, ale także te, któreby do niej doprowadzić, lub ją uniemożebnić mogły. Polityka kolonialna Niemiec, której, upodobanie cesarza Wilhelma dla marynarki, nadawać poczęło piekące nieco, niebezpieczne znaczenie,

stwarzała dla tego mocarstwa jeżeli nie Achillesa piętę, to przecież słabą stronę.

Nie tylko temu zapobiedz, ale zwrócić ostrze niebezpieczeństwa przeciwko nieprzyjacielowi, godnem było tradycyi kanclerza i miało być zamiarem głównym układów z Anglią. Próbowano zapewnić sobie opiekę i obronę kolonij niemieckich przez mającą być tak znacznie zwiększoną flotę angielską, zarazem ułożyć się, na wypadek walki zwycięskiej, co do podziału łupów, na które złożyłyby się zdobyte kolonie francuskie, włączając w nie Algier. Gabinet lorda Salisburego zażądać miał w zamian za te rękojmie i widoki, zapewnień co do dwóch spraw, dla niego najdotkliwszych, co do Heratu i Konstantynopola. Co do pierwszej nie chciano wejść ze strony niemieckiej w układy, twierdząc, iż obawy są urojone i przedwczesne, że jeszcze setki mil, trudnych do przebycia, rozdzielają w Azyi Anglię od Rosyi.

Co do drugiej miano zapewnić, iż Anglia może być spokojną, że tu niespodzianka wykluczona, że polityka niemiecka wytworzonemi przymierzami zasłania Konstantynopol, i że Niemcy, Turcya, Austrya i Włochy czuwają i w poprzek drogi prowadzącej do Bosforu staną.

Przeszłość lorda Salisburego świadczyła, iż chętnie skłonilby się do układów, któreby połączyły Anglię z potrójnem przymierzem, zwłaszcza z Niemcami; lecz minister angielski przy składzie stronnictw i usposobieniu publicznem, nie mógłby podpisać traktatu, któryby wiązał Anglię i do jakiegokolwiek zobowiązał działania. Trudno zatem było przypuścić, aby owe rokowania przybrały przymierzowy kształt, ale nie były obojętnemi jako wskazówka położenia, a mogły się skończyć większem i wyraźniejszem nieco zbliżeniem się Anglii do potrójnego sojuszu, zwłaszcza do Nie-

miec, chociażby bez spisanych i podpisanych zobowiązań.

Stan rzeczy we Francyi, niezawodnie dotąd bardzo dla Berlina pocieszający, winien był raczej natchnąć politykę niemiecką otuchą, niż obawami. Francya w swoich stosunkach wewnętrznych dotkniętą była niemocą ogólną końca stulecia, która nie pozwalała jej zapanować nad własnemi losami, która kazała powątpiewać o wszystkiem i o wszystkich. Istniejący porządek rzeczy zużyty, skonać przecież nie mógł, a nowy, przyszły, mający cechę niewiadomej, wyłonić się nie był zdolnym. Pożądana to zaiste dla największego wroga — sąsiada chwila, w której on albo powinienby swobodnie oddychać i w poczuciu własnej siły i potęgi błogo używać ich dobrodziejstw, albo zgnieść ostatecznie — nieprzyjaciela.

Tymczasem rzecz się miała przeciwnie i nie było dnia, w którymby w Berlinie wolnymi byli od troski, w którymby tam nie przemyśliwano nad środkami mającemi jedynie na celu zażegnanie niebezpieczeństwa grożącego od strony Francyi, a wszystkie niemieckie zabiegi nie miały znamion mądrej tylko przezorności, ale także istotnej obawy. Nigdy może w dziejach zwyciężony nie zatruwał do tego stopnia tryumfów i przewagi zwycięzcy i nie było zapewne jeszcze tak kosztownego dla świata całego zwycięstwa, jak to, które Niemcy nad Francyą odniosły.

Dziwnie usposobienie to ogólne Europy i psychologiczne Niemiec nie licowało ze stanem Francyi i z wrażeniem, jakie sprawiały jej wewnętrzne stosunki. Zkąd pochodził niepokój Niemiec, zkąd nietajone obawy, które z mocy ich przeważnego położenia narzucały Europie niesłychane ciężary i udzielały się jej? Przedewszystkiem z poczucia, iż Niemcy traktatem frankfurckim wytworzyły stan rzeczy, prowadzący do koalicyi i odwetu, że skoro napoczęły Francyę, a nie mogły znicestwić

jej zupełnie, dały początek nieustającej niepewności. Dla czego jednak troska i obawy Niemiec — pomimo, iż Francya nie zdołała się politycznie dźwignąć i ładu u siebie zaprowadzić, z każdym dniem się zwiększały i właśnie teraz były główną sprężyną ich polityki?

Dwie tego były przyczyny.

Wojsko francuskie znacznie postąpiło w swoim ustroju, martwe narzędzia wojskowe doprowadzone zostały do znacznego stopnia wydoskonalenia, jednocześnie duch armii podniósł się był pomimo upadku ducha publicznego.

Wszystko to znane i wiadome było w Berlinie, a wraz z niepewnością co do neutralności Rosyi, zastępującą pewność jaką miano w 1870 r., nasunęło poważne, nawet posępne myśli. Niczem zaś niepowstrzymane uczucia Francyi dla Rosyi, znajdujące oddźwięk nad Newą i u stóp Kremlinu, pobudzały do czujności koła berlińskie.

Drugą przyczyną baczności niemieckiej była budząca się we Francyi potrzeba ładu wewnętrznego, dźwignięcia się z anarchii tem niebezpieczniejszej, że łagodnej, oraz objawiająca się w powietrzu tęsknota za prawdziwym stałym rządem; aczkolwiek nikt, zwłaszcza samo społeczeństwo dotąd nie umiało jej zadowolnić i zadość uczynić. Potrzeby i tęsknoty bezsilnej wyrazem był boulanżyzm. Niestety niczem on innem nie był. Miał tę jedyną wyższość, iż był czemś innem niż teraźniejszość, i że kiedy to, co było, zbyt dobrze było znanem, on był niewiadomą. I to właśnie sprawiało, że wielu ciekawych łączyło się z nim, wielu przezornych szukało skrytych związków z jenerałem Boulanger. Ale nieszczęściem Francyi było, że ani człowieka wyższego, ani ludzi wyższych nie miała. Ten, który chciał kierujących losami jej, zrzucić i zastąpić, był tak samo małym jak oni.

Objawem gniewu Boga jest, gdy kraj popadnie w ręce małych ludzi.

Że ze starem, jak ks. Bismarck, stuleciem, raczej z ks. Bismarckiem starym jak stulecie, świat nie puszczał się w wielką wojnę, nazwaną nieuniknioną — nie było w tem nic dziwnego. Starość ma swe prawa, a nawet żelazo ulega im. Wojna wraz z niewiadomą, którą w sobie zawierała, to zawiele dla dwóch starców, jakimi byli: dziewietnasty wiek i ks. Bismarck. Że nikt do jej rozpoczęcia pozorów nie szukał, był tego świeży dowód w owem, na wiosnę 1889 r. pod formą rejencyi, spokojnem i przez nikogo niezaprzeczonem przejściu Luksemburga na drugą linię domu Orańskiego, nasauską; tego Luksemburga, który dawniej, co tylko nie wywołał starcia i który zdawał się być jakby stworzonem umyślnie jabłkiem niezgody wśród stosunków europejskich. A tak w końcu stulecia, pod zasłoną zbrojnego pokoju, książę, który utracił był swoje posiadłości, wstąpił ponownie na tron innego, małego wprawdzie kraiku, położonego jednak na rozstajnych drogach europejskich współzawodnictw i na starość przyszło mu zająć stanowisko panującego na mocy prawa w czasach, w których prawo było najgorszym poplecznikiem.

Gdyby ktokolwiek śmiał był żywić zamiary wojenne, to dziedzictwo luksemburgskie i ten mały na pół niemiecki, na pół francuski kraik, doskonały mogłyby dać pozór do wywołania starcia. Ale nikt podobnych zamiarów nie żywił, bo wszyscy ożywieni byli trwogą przed „nieuniknioną“ wojną. A tak stopniowo i coraz wyraźniej wojna ta usuwała się z pod woli ludzkiej, wymykała się z rąk ludzkich i wybuchnie kiedyś zapewne, nie w skutek obliczeń, ale siłą rzeczy, może mocą przypadku lub trwogi i popłochu, jako wynik pomylonych rachub.

Po pokoju Akwizgrańskim Voltaire pisał: „Po tym pokoju Europa chrześciańska pozostała podzieloną, jakby na dwa wielkie stronnictwa, które wzajemnie się oszczędzały i utrzymywały każde ze swej strony równowagę. Wszystkie mocarstwa pozostały uzbrojone i można było żywić nadzieję trwałego pokoju, już z powodu trwogi, którą obydwie te części Europy odczuwały jedna wobec drugiej".

Coś podobnego nastało w końcu dziewietnastego stulecia i jak wtedy, tak teraz trwoga jednych przed drugimi stała się kruchą rękojmią i podstawą pokoju opartego na słabości ducha.

Wojna przyszłości wytworzyłaby stan polityczny, którego nikt nie może odgadnąć i dla tego nikt jej rozpoczynać nie chce.

Świat zdaje się po tej wojnie oczekiwać czegoś więcej, niż zmian politycznych i terytoryalnych, bo rozwiązania zagadki, która cięży nad nim i wprowadzenia ludzkości na nowe tory dwudziestego stulecia. I tu czeka wszystkich zawód i rozczarowanie. Nie wojna rozwiązuje zagadki dziejowe, lecz myśl ludzka, posługująca się czasem wojną; gdzie zaś tej braknie, wojna bezmyślna zniszczy tylko, a nic nie rozwiąże. Co się tyczy jednego z najważniejszych zagadnień: zbrojnego pokoju, to za mojej pamięci było pięć wielkich wojen i podczas, gdy zapowiadano po każdej z nich rozbrojenie, po każdej zwiększały się uzbrojenia i ciężary wojskowe, aż doszły do stopnia już niemal nieprzystępnego dla rozumu ludzkiego, bo szalonego.

Nie, wojna sama przez się, wojna dla wojny, nie wprowadzi na drogę właściwą, ze świadomością celów, zadań i obowiązków dwudzieste stulecie.

W dziedzinie politycznej rozwiązanie zagadki europejskiej jest zespolonem w znacznej mierze z bytem i przyszłością Austryi, a to dla tego, że stała się ona czemś innem, niż to, co tak ponure odniosło zwycięstwo

i tak srogą zdobyło sobie pod koniec stulecia, przewagę, że jest czemś innem niż bezprawie. I dla tego istnienie i byt Austryi zdają się być zapewnione jedynie wyższemi siłami, niezależnie poniekąd od dobrej i złej woli ludzkiej.

W tej pięknej monarchii, w której szczęście mogłoby być udziałem wszystkich, w której wolność dla wszystkich jest wielką — pociąga ona za sobą rozluźnienie, którego zgubnym następstwom zapobiedz może tylko duch publiczny, jeżeli zrozumie, że głównym czynnikiem pomyślności, bytu i przyszłości, jest w tych warunkach, poczucie władzy z jednej strony poszanowanie jej z drugiej.

Im dłużej trwało położenie, polegające na zbrojnym pokoju i potrójnem przymierzu, tem bardziej naprężały się struny, przedewszystkiem finansowe, następnie polityczne w końcu ludzkie.

Że główny i kierujący kapelmistrz tej orkiestry instrumentów o wytężonych strunach, że ks. Bismarck widział jedynie w tym stanie rzeczy bezpieczeństwo dla swojego dzieła, że sam ani chciał, ani zamierzał dać batutą znaku do zagrania hymnu wojennego lub złożenia instrumentów, to już nie ulegało wątpliwości. Oparty o własną siłę, przewyższającą jeszcze moc każdego z osobna, oraz o przymierza, nie zamierzał zużytkować swej wyższości dla pokonania przeciwników, lecz chciał korzystać z niej, aby ich utrzymać na wodzy.

Pytać można było, czy główną rękojmię tego porządku rzeczy nie stanowi górujący i nie mający sobie równego, jego twórca; czy zatem wobec siedmdziesięciuczterech lat kanclerza przypuszczenie zniknięcia jego z widowni nie osłabia tworu?

Wreszcie jak wszystko; tak i przymierza zużywają się z czasem, zwłaszcza w bezczynności. Potrójne nie przeszło było przez próbę ogniową; utrzymywała je głównie obawa starć i wojny, obawa ogólnikowa, źle

określona. Cementem tego przymierza było zabezpieczenie Niemcom posiadania Alzacyi i Lotaryngii, oraz bytu Austryi. Pod temi względami nie potrzeba było powątpiewać o szczerości ks. Bismarcka.

Ale w potrójnem przymierzu dla Włoch nie ma tego samego co dla Niemiec interesu, polegającego na istnieniu Austryi. I tu, że tak powiem, rzecz się psuje i tu dostrzedz można słabej strony sojuszu. W potrójnem przymierzu Włochy z dnia na dzień stać się mogły czynnikiem niepewnym, a w chwili stanowczej mogłyby zgotować zawód tem większy, że zachcianki nabycia włoskich okolic austryackich objawiały się; a że nigdy nie wygasną zupełnie, nie może ulegać wątpliwości.

Na wiosnę 1889 r. wybuchło bezrobocie w Westfalii, jedno z największych, jakie się dotąd ukazało, obejmujące dziewięćdziesiąt tysięcy robotników, strzeżonych przez siedm tysięcy żołnierzy, z których znaczna część za kilka miesięcy miała być także robotnikami. Postawiło ono w żywy, doraźny i namacalny sposób, ważne pytanie socyalne, wskazało grożące niebezpieczeństwo.

W szorstki nieco, przesadny i żołdacki sposób przemówił cesarz Wilhelm do deputacyi wysłanej przez robotników, jednak rzekł do niej to jedno, co władza szanująca się i mająca poczucie swojego powołania, powiedzieć mogła. Z jednej strony zapowiedział cesarz zbadanie stanu rzeczy i użycie środków dla zaradzenia niedostatkom, oraz zadośćuczynienia słusznym życzeniom i potrzebom robotników — z drugiej, stanowczość wielką na wypadek czynów grożących porządkowi publicznemu, to jest wykonanie praw i obowiązków władzy, dopóki się da.

Nie można inaczej wobec podobnych objawów z wysokości tronu przemawiać. Mowa cesarza świadczyła jednak, iż dopiero szukało się po omacku środ-

ków zaradczych, a na razie upatrywało się bezpieczeństwo państwa i społeczeństwa w bagnetach i armatach wtedy, kiedy się miało do czynienia ze sprawą, której zastrzelić niepodobna. Mowa cesarza Wilhelma do robotników stwierdziła, że wszystko zawisłe od wojska; ztąd wniosek prosty, iż uliczne zwycięstwo socyalizmu odroczonem było aż do chwili, w której wojsko złożone przeważnie z warstw robotniczych, stanie po jego stronie, aż do chwili więc, w której nad urządzeniami i karnością wojskową wezmą górę zachcianki warstw robotniczych.

XIV.

Nie tajnem było, jaki cesarz Wilhelm II. miał wstręt do wszystkiego, co angielskie. Naraz popadł w przeciwną ostateczność.

Zwrot ten dziwny, zaznaczyła podróż na wyspę Whit. Królową Wiktoryę, która wielce zagniewaną była na wnuka, zdobył cesarz poniekąd szturmem; przy powitaniu rzucił się w jej ramiona, uściskał serdecznie i ofiarował jej własność pułku. Sędziwa monarchini tak została oszołomioną, tak rozczuloną darem, iż odrazu najlepsze zapanowały wzajemne stosunki i cesarz Wilhelm otrzymał stopień admirała angielskiego.

Odtąd Wilhelm II. głośno wyrażał swoje uwielbienie dla Anglii i przyjmował zwyczaje i obyczaje angielskie, najczęściej wywieszał na swoim okręcie flagę W. Brytanii na znak, iż dumnym jest, że został admirałem w marynarce królowej angielskiej i cesarzowej indyjskiej. Przyjść mogło do tego, że cesarzowa Fryderykowa ujrzałaby się zmuszoną zwrócić syna uwagę na to, iż cesarz niemiecki — powinien zachować obyczaj niemiecki.

Znane jest powiedzenie, że Anglii grozi uduszenie się we własnym tłuszczu. Skłonność Anglii do tuszy i ospałości zawsze drażniła Bismarcka; pamiętnem pozostało jego zdanie, iż zwątpił o niej, odkąd ustąpiła Grecyi *Wyspy Jońskie*, albowiem nie ma przyszłości mocarstwo — które oddaje.

Obydwie przepowiednie nie ziściły się i raz jeszcze Anglia zadziwić miała czynami, żywotnością i potęgą w różnych częściach świata. Przebudzenie się W. Brytanii dostrzegł i uznał ks. Bismarck już w październiku 1889 r. po podróży cesarza na wyspę Whit.

W przemówieniu do hamburgskich kupców drzewa, pędzlem Pottera namalował byka i wołu, porównując do nich dwie polityki, wobec których znalazła się Anglia przy końcu stulecia. Pochwalając ruch w narodzie angielskim i działanie rządu w celu wzmocnienia marynarki, oraz znaczne pieniądze na nią przez parlament uchwalone, obwieścił kanclerz, że Anglia pod przewodnictwem lorda Salisbury zapragnęła wskrzesić w sobie żądze byka choćby sztucznie, czy płodnie, przyszłość miała okazać. Przebudzenie się przedsiębiorczego ducha politycznego Anglii nazwał mowca nową rękojmią. Twórca zbrojnego pokoju rzekł, że ocknienie się jej jest świeżym żywiołem pokojowem. Myślą ukrytą ks. Bismarcka było, że skoro Anglia przestała być na sprawy świata obojętną, siłą rzeczy stanąć musi po stronie trójprzymierza, więc po stronie pokoju europejskiego, którego nikt odtąd zakłócić się już nie ośmieli.

Podnoszenie siły i potęgi trójprzymierza, wzmocnienie go ochotą byka brytańskiego, uznanie ks. Ferdynanda Koburgskiego w Bułgaryi, zapowiedź podróży cesarza Wilhelma II. do Stambułu, nadzwyczajne przygotowania czynione u Złotego Rogu dla jego przyjęcia, dziwnemi były przygrywkami do oczekiwanego przybycia cesarza Aleksandra III. w październiku 1889 r. do Berlina.

Dosłuchaćby się w nich można było starej bismarckowskiej pieśni Syreny odciągającej Rosyę od wszelkich z Francyą stosunków. W pieśni tej różne były melodye słodkie i miłe, przykre i groźne; gdy pierwsze nie skutkowały, wydobywało się drugie - a gdy te nie pomagały — nie pozostawało jak nowych żądać od parlamentu na cele wojskowe pieniędzy.

Przegląd floty angielskiej odbyty 7. października 1889 r. przez cesarza Wilhelma II. w Kiel, dziwnym był wstępem do przyjazdu cesarza Aleksandra III. do Berlina!

Salwy artyleryi połączonej floty angielskiej i niemieckiej zdawały się witać przybycie władcy Rosyi.

Wedle myśli ks. Bismarcka, wyrażonej do stowarzyszenia hamburgskiego kupców drzewa, skierowanem to było w celu wzmocnienia i utrwalenia pokoju przez okazanie sił i potęg, które stoją w jego obronie. Ale ukrytym a niewypowiedzianym kanclerza zamiarem było przekonanie cara, iż niczego już nie brakuje do odosobnienia Francyi, że wszystko w grę wprowadzonem zostało, aby wykazać niebezpieczeństwa dla Rosyi sojuszu z nią i jej odwetem.

Rękojmię pokoju upatrywać należało także w usposobieniu władcy Rosyi. Zamiłowanie takowego skłoniło go nareszcie do zbyt spóźnionej rewizyty.

Cesarz Aleksander III. był uosobieniem siły i przymiotów odpornych Rosyi. Jego fizyczna i moralna istota czyniła go przedstawicielem historycznej mocy i zdolności Rosyi do odporu. Jego wychowanie, zakrój umysłowy, upór i ociężałość duchowa, otyłość cielesna, potrzeba licznych pokarmów, tem samem długiego trawienia — usposabiały go do odporu, pozbawiały zaczepnej ochoty — co czyniło z niego największego czasów naszych biernego despotę.

Sed vel – mówi Suetoniusz o Viteliuszu – *praecipue luxuriae saevitiaeque deditus, epulas triferiam semper, interdum quadriferiam dispertibat.*

Car był niewątpliwie żywiołem pokojowym już dla tego, że nikt nie chciał wywołać w nim przymiotów, które rozwinąćby mógł, będąc zaczepionym, a które są przymiotami Rosyi.

Cesarz Aleksander III. samowładca w ciasnem, nieco pojęciu tego wyrazu, samowładca siłą swej ociężałości, chciał być panem u siebie, chciał robić co mu się podobało, zwłaszcza nie robić tego, co mu się nie podobało i nie tylko nie przypuszczał, ale wzdrygał się na samą myśl, aby ktokolwiek, szczególniej Bismarck, mógł wpływać na jego postanowienia i postępowanie!

Po zatem, obojętny na wszystko, nawet na świat i światki słowiańskie, o których pewnym był, że wcześniej czy później w Rosyi utoną, zadawalniał się w swej dumie „Jedynym prawdziwym przyjacielem ks. Czarnogórskim“ i znajdywał na pół dziecinną, na pół samowładczą przyjemność i zadośćuczynienie w toaście na cześć jego, w tych słowach wzniesionym. Jeden tylko czynił wyjątek od chwili, jak mniemał, że na tem polu odniósł osobiste powodzenia, dla polityki azyatyckiej i dla tego widok połączonych flot angielskiej i niemieckiej podziałać mógł na niego.

Przyjazd cesarza Aleksandra do Berlina był więc niezawodnem potwierdzeniem pokoju; ale zbrojnego bez końca i wyjścia. Aby zaś posłużyć miał do wydobycia świata z tego położenia usunięciem groźby i niepokoju, jakie wywoływały i wywoływać zawsze będą stosunki rosyjsko-francuskie, o tem wady i przymioty cara powątpiewać kazały.

Przyjęcie cesarza Aleksandra III. w Berlinie było przeważnie wojskowem, przedstawiono mu najwspanialsze okazy armii pruskiej, tak dalece, iż z bramy pałacu

ambasady rosyjskiej, obaj monarchowie godzinę i pół przypatrywali się przechodzącym niezliczonym oddziałom. Ze strony ludności, zresztą trzymanej w oddaleniu przez chmarę ajentów policyjnych, powitanie było chłodnem. Innem, serdeczniejszem było przed paru miesiącami przyjęcie w Berlinie cesarza Franciszka Józefa.

Były we wniesionych toastach w białej sali szczegóły, do których zbytniej ważności przywiązywać nie należało, które przecież były znamienne.

Cesarz Wilhelm odwołał się do przeszło stuletniej przyjaźni rodzinnej, cesarz Aleksander nie wspomniał o niej. Zastąpił ją był bowiem inną czarnogórską i ta mu wystarczała.

Cesarz Wilhelm przemówił po niemiecku i posunął uprzejmość aż do dodania kilku słów po rosyjsku.

Cesarz Aleksander III. wypowiedział i zakończył swój toast — po francusku.

Jednocześnie między ks. Bismarckiem a carem przyszło do wyjaśnienia. Za pomocą, jak się pokazało, sfałszowanych dokumentów, oczerniono kanclerza niemieckiego przed władcą Rosyi i przedstawiono jak wroga, knującego przeciw niej złowrogie zamiary. Dokumenta wręczyła była carowi w Kopenhadze księżna Waldemarowa Duńska, z domu księżniczka Orleańska. Car uwierzył był i dla tego ociągał się z przybyciem do Berlina. Ks. Bismarck w długiej rozmowie pełnej wzruszenia, przekonał go o fałszerstwie i odzyskał łaski rosyjskiego władcy, który zakończył rozmowę słowy: „Wierzę w trwałość dobrych między Rosyą i Niemcami stosunków, dopóki ty książę pozostaniesz przy władzy“.

XV.

Pobyt w listopadzie 1889 r. Wilhelma II. w Konstantynopolu, dwukrotna jego bytność na dworze wło-

skim, podróż hr. Kalnokyego do Friedrichsruhe, przyjazd hr. Herberta Bismarcka do Pesztu i Wiednia, spotkanie się cesarza Franciszka Józefa z cesarzem Wilhelmem w Insbrucku, nareszcie mowa lorda Salisburego, która wskazywała, że aczkolwiek Anglia nie wzięła zobowiązań na żaden wypadek, przecież w głównych rzeczach łączy się z zamiarami i celami potrójnego przymierza; były to baterye tego przymierza i czuwanie nad tem, aby proch zbrojnego pokoju był suchym.

Do wojny przyjść zawsze i w każdem położeniu europejskiem może, cóż dopiero w tak naprężonem i kosztownem. Ale zamiarem i celem ks. Bismarcka nie była wojna. Celem było utrzymanie stanu rzeczy w Niemczech i posiadłości niemieckich, bez wojny, bez odwoływania się do zmiennego szczęścia bitew i walk krwawych. Wszystkie też pociągnięcia na szachownicy europejskiej zmierzać musiały do tego jedynie, aby zachcianki Rosyi połączenia się z Francyą doprowadziły do jej odosobnienia i postawiły ją wobec dylematu: przyjęcia następstw takiego odosobnienia w połączeniu z Francyą, lub dokonania zwrotu w kierunku dawnego trójcesarskiego porozumienia.

Kanclerz niemiecki w przededniu przyjazdu Aleksandra III. do Berlina dla tego w pełnym rynsztunku i paradzie ustawił wszystkie baterye potrójnego przymierza, bo niezawodnie raczej pragnął jasno i dobitnie wykazać dylemat, który one wobec Rosyi stawiały, niż takowego doniosłość osłabić.

Wobec tego ciężkie powstało było dla władcy Rosyi zadanie, wielka zaciężyła nad nim odpowiedzialność. Cesarz Aleksander III. był z jednej strony do głębi duszy pokojowym, z drugiej, na wskróś moskiewskim i zwolennikiem, poniekąd twórcą polityki ścisłych z Francyą stosunków, której przyszłoby się wyrzec, gdyby okazała się konieczność dla Rosyi zwrotu do trójcesarskiego porozumienia. Nie małego trzeba było spokoju,

aby zapanować nad sobą i pozostawić sobie czas wyboru do rozstrzygnięcia, co począć wobec dylematu. Skutek bytności cara w Berlinie był, iż na razie nie powziął postanowienia, że je na później odłożył.

Dwaj cesarze północni: niemiecki i rosyjski, żegnając się, obiecywali sobie spotkać się w roku przyszłym i cesarz Wilhelm udać się miał w 1890 r. na wielkie wojskowe ćwiczenia rosyjskie. Na tem oparła się mowa tronowa, zagajająca parlament niemiecki, kiedy — rzecz niesłychana w dziejach — tylko na rok jeden zapewniła światu dobrodziejstwa pokoju.

W Berlinie panowało przekonanie, że kanclerz, pomimo sporadycznych wieści o jego ustąpieniu dobrowolnem a więc udanem, do końca życia górować będzie nad położeniem, i że jego niespożyta potęga stwierdzi się utrzymaniem pokoju; nie mniej dostrzedz można było, że młody monarcha poddając się konieczności i rozumowi, odczuwał przecież od czasu do czasu dreszcze samodzielności, pewną także niecierpliwość okazania, coby sam przez się potrafił. Tkwiła w nim myśl i poczucie, że mógłby być sam dla siebie kanclerzem. Ale stosunki między cesarzem a kanclerzem były w 1889 r. jak najlepsze, czemu Wilhelm II dał głośny wyraz w pełnych uniesień, średnią szkołą niemiecką tchnących telegramach z nad Bosforu do Friedrichsruhe przesłanych. Przecież ks. Bismarck nie w tym stopniu czuł się pewnym wszechwładzy, zwłaszcza w szczegółach, jak za Wilhelma I., a chociaż nie wątpił o sile swojego stanowiska, zdawał się wciąż obawiać jakiejś niespodzianki, począł rozumieć, że w mniej niż dawniej wygodnem znajduje się położeniu.

Młodość ma swe prawa, wyjątkowa rzutkość i niesłychana ruchliwość czyniły ją jeszcze bardziej nieobliczalną.

Rzecz godna uwagi, i świadcząca, że nawet na najwyższych stanowiskach ulega się wpływowi czasu —

cesarz Wilhelm II. czułym był na dzienniki, na to, co o nim pisano, zwłaszcza na to, aby o nim dużo pisano.

Istotnie młodym cesarzem zajmowano się wielce w Berlinie, pomimo, iż najmniej w domu, najczęściej w wagonie lub kajucie przebywał. Wzięcie jego rosło u publiczności, a wśród książąt rzeszy był lubianym o wiele więcej niż jego ojciec, który był w stosunkach ze związkowymi monarchami twardym nawet przykrym. Zamiłowanie przepychu, jeżeli jeszcze nie rozrzutność, przecież wydatki młodego cesarza zwiększały się wraz z coraz liczniejszemi podróżami i zaczynały zwracać na siebie uwagę w tem państwie, przyzwyczajonem tak dalece do oszczędności i skromności, że chociaż zapewne ten przepych i te wydatki gdzieindziej nie olśniewałyby, tam już poczynały przemawiać do wyobraźni ogółu. Wagon — ulubione mieszkanie cesarza lśnił od złota i srebra, ozdobiony promieniejącymi aniołami, był to wagon z „Tysiąca i jednej nocy“.

Podróż na Wschód rozwinęła i wzmogła w młodym cesarzu zachcianki z „Tysiąca i jednej nocy“. Otoczenie cesarskie pozostawało pod wrażeniem wspaniałości Wschodu, szczodrości i gościnności sułtana.

Że pod każdym względem wzięcie się cesarza Wilhelma II. było niezwykłem, zawsze rzutkiem, nieco gorączkowem, świadczyły o tem nie tylko podróże i mowy — ale całe obejście i łatwość z jaką dokonywał wszelkiego rodzaju zwrotów. Każda więc niespodzianka możliwą była.

Jednej nie przypuszczano.

Upadek.

Podczas bytności w Berlinie na pogrzebie cesarza Wilhelma I. arcyksiążę Rudolf odwiedził ks. Bismarcka. W długiem, na pół ojcowskiem, na pół kanclerskiem przemówieniu, Bismarck wystąpił wobec następcy tronu austryacko-węgierskiego, z wykładem o przymierzu austryacko-niemieckiem i zakończył zaklęciem w imię dobra Austryi, pełnem namaszczenia, aby mu wierną pozostała. Jednocześnie przedstawił mu w głównych rysach położenie w Berlinie i w Niemczech i nadmienił, że przeczuwa, iż jego stosunek z wnukiem acz zapewniony, nie będzie tak łatwym, jak był z dziadem.

Arcyksiążę odpowiedział, że podziela zdanie kanclerskie o przymierzu austryacko-niemieckiem i dodał: „Cesarz, który je zawarł, umarł, jego następca jest umierający, stosunek twój Mości książę z jego następcą nie przedstawia ci się tak łatwym, jak z dziadem. Z kimże, w razie danym, przyszłoby nam mówić“.

Na to kanclerz, kładąc rękę na piersi, rzekł: „Ze mną, tylko ze mną“.

Rzecz dziwna, ks. Bismarck, który za panowania Wilhelma I., pomimo stosowania się monarchy do jego zdania i woli, pomimo, iż na jednem z podań kanclerza o uwolnienie, cesarz napisał był n i g d y, nie czuł się zabezpieczonym wobec różnych, zwłaszcza dworskich zabiegów; do końca, nie przypuszczał aby Wilhelm II. mógł, może nawet śmiał, obejść się bez niego, aczkol-

wiek rozumiał, że jego stosunek z wnukiem nie będzie tak łatwym, jak był z dziadem. Prawdopodobnie postanowił był pozostać na stanowisku pomimo tego i bądź co bądź; oddalenie zaś wykluczał.

I.

Pod koniec zimy 1890 r. położenie w Niemczech było zagmatwane, trudne. Parlament zebrał się był 8. stycznia. Obradował nad rządowem przedłożeniem dotyczącem odnowienia bez ograniczonego czasu wyjątkowej ustawy przeciw socyalistom. Ustawa upadła 25. stycznia. Bismarck nie chciał jej bez prawa wydalania, a tylko pod tym warunkiem mogła była uzyskać większość. Nowe wybory do parlamentu rozpisane zostały na 20. lutego.

Cesarz Wilhelm II. dwoma reskryptami z 4. lutego do kanclerza i ministra robót publicznych i handlu, napisanemi, jak się domyślano, przez byłego jego nauczyciela Hintzpetra, zapowiedział był zamiar naprawy stosunków robotniczych, chęć rozwiązania sprawy społecznej, zwołanie w tym celu do Berlina międzynarodowej konferencyi oraz rozpatrzenie zadania przez Radę Stanu pod przewodnictwem swojem.

Reskrypta nie były przez kanclerza kontrsygnowane. Ks. Bismarck, który od 1880 r. zarządzał ministerstwem handlu, złożył ten urząd, objął takowy Berlepsch. Rozpoczęły się narady Rady Stanu. Robotnicy przyjeżdżającego monarchę witali okrzykiem: „Niech żyje cesarz robotników“. Rada Stanu zakończyła swe prace 28. lutego. Międzynarodowa konferencya robotnicza zebrała się 15. marca w Berlinie i obradowała do 28. pod przewodnictwem ministra handlu Berlepscha. Bismarck 18. odwiedził podczas śniadania konferencyę i rozmawiał z jej zagranicznymi członkami.

Ks. Bismarck nie był przeciwny naprawie na polu społecznem w kierunku orędzia cesarza Wilhelma I. z 1881 r., na które Wilhelm II. odwołał się był, którego twórcą był kanclerz, a które zdążało do polepszenia stosunków robotniczych. Ale sposób, w jaki teraz cesarz stawiał sprawę, zwłaszcza zapewne pióro, którego użył, obrażały Bismarcka samowolę i wszechpotęgę.

Wobec zaś socyalnej demokracyi uznawał tylko dwa środki: albo uczynienie zadość jej żądaniom, albo walkę. On wybierał walkę, cesarz Wilhelm II. ustępstwa. Spróbował więc dawnego sposobu, groźby usunięcia się. Po stanowczej rozmowie z cesarzem, który uroczyście odwołał się do patryotyzmu i przywiązania do Hohenzollernów kanclerza, pozostał był jako prezes gabinetu pruskiego i jako kanclerz, bez wiary w skuteczność rozpoczętej roboty cesarskiej i bez przekonania o jej konieczności. Przystał na konferencyę międzynarodową chociaż przewidywał jej jałowość i zalecił był poprzednie wysłuchanie Rady Stanu. Na osnowę reskryptów nie zgodził się był, zażądał, aby mu wolno było je poprawić i sporządził je tak, jak się ukazały były, ale zdala się trzymał od całego działania.

Położenie w Niemczech pozostało niepewnem. Mieszczaństwo było zdumione i przerażone śmiałością cesarza. Powołanie robotników na doradczych członków Rady Stanu, mającej opracować naprawę spraw gospodarczych zwiększyło niepokój przemysłowców niemieckich. Wiedziano, że ks. Bismarck chciał ustąpić ze stanowiska ministra prezydenta w gabinecie pruskim, aby zrzucić ze siebie odpowiedzialność za politykę pełną niebezpieczeństw. Niepokój owładnął mieszczaństwo i kierujące warstwy. Patryoci w cesarstwie niemieckiem byli zatrwożeni, przewidując same opłakane skutki dla rozwoju i ustalenia jedności niemieckiej, opierającej się dotąd na warstwach przemysłowych, handlowych, na większej własności i mieszczaństwie, oraz na ich ochro-

nie przez państwo. Słowem, większość oświeconych warstw nie pochwalała polityki rozpoczętej reskryptami cesarskimi w sprawie robotniczej. I rzecz szczególna robotnicy zachowywali zupełną dla siebie wolność działania wobec przedsięwzięcia cesarza. Oświadczyli oni, iż chcą iść dalej drogą, którą doświadczenie okazało być dobrą i skuteczną. A tak z jednej strony jawne niezadowolenie, z drugiej wyczekiwanie i najzupełniejsza swoboda co do przyszłego postępowania. W tych warunkach cesarzowi powieść się nie mogło.

Ks. Bismarck zażądał był uwolnienia z zarządu spraw publicznych, co nie znaczyło, iżby pragnął ustąpić. Dał się też był nakłonić łatwo do pozostania. Zdaniem jego jednak, reskrypta cesarskie sprowadziły przegraną *kartelu* przy wyborach i niespodziewane powodzenie socyalistów.

Ks. rejent Bawarski i w. ks. Badeński potępiali również politykę reskryptową cesarza i niczego zbawiennego nie oczekiwali z jego przedsięwzięcia.

Cesarzowa Augusta Wiktorya przeciwnie, zachęcała męża ze stanowiska chrześciańskiego, aby wytrwał w kierunku, mającym na oku złagodzenie doli robotników. Otaczające ją grono, mianowicie naczelnik głównego sztabu hr. Waldersee i jego małżonka, działali w tym kierunku.

Położenie w Niemczech było naprężone.

Przesilenie bismarckowskie trwało w tem znaczeniu, że z człowiekiem jego lat było ono nieustającem. Cesarz zaś oswajał się chętnie z myślą, iż będzie rządził bez pomocy tego nadzwyczajnego męża stanu, i że powinien do tego się przygotować, nawet zmierzać.

Istotnie Bismarck nie chciał ustąpić, cesarz nie chciał go zatrzymać; pierwszy udawał, że ustępuje, aby pozostać; drugi pragnął się go pozbyć udając, że go zatrzymuje. Pilno było cesarzowi zamknąć okres, w któ-

rym był niczem, aby otworzyć inny, w którymby był wszystkiem.

Od miesiąca wiedziałem ze źródła angielskiego, że cesarz postanowił rozłączyć się z Bismarckiem. Podczas gdy ogół mniemał, że przesilenie kanclerskie zażegnanem było i ustąpienie Bismarcka odłożonem zostało, ukazała się 20. marca 1890 r. wiadomość, iż oddalonym został. Tego ogół nie przypuszczał.

Przyczyną była cesarza chęć rządzenia.

Skoro śmiałe postanowienie było powzięte, każda droga prowadziła do wykonania go.

Po ostatnich odbytych wyborach 20. lutego, rząd stracił większość opartą na bismarckowskim *kartelu*. Bismarck próbował zastąpić ją inną, złożoną z połączenia zachowawczych posłów z katolickiem *Centrum;* w tym celu rozpoczął osobiście, bez wiedzy Wilhelma II., układy z wielkim tego stronnictwa naczelnikiem Windhorstem. Cesarz mu to wziął za złe. Bismarck, jak wiemy, nie sprzeciwił się był, lecz nie wierzył w skuteczność międzynarodowej konferencyi robotniczej, zwołanej przez cesarza i obradującej. Rzeczywiście szło o władzę, szło o to, kto ją nadal pozornie, kto rzeczywiście dzierżyć miał.

Cesarz nie zapomniał zapewne, że podczas studniowego panowania Fryderyka III., Bismarck na przeciw władzy monarszej, postawił był własną niezbędność.

Cicha walka zaostrzała się. Bismarck podniecany więcej niż kiedykolwiek przez żonę, ufając znowu w swoją niezbędność, stawał się coraz przykrzejszym, a syn jego Herbert dla wszystkich nieznośnym; Bismarcka postępowanie zmierzało do pozostawienia tylko cienia władzy monarszej. Odkrywał tym sposobem słabe swoje strony, pozwalał je przeciwnikom otaczającym cesarza wskazać, odsłaniał się i ułatwiał wymierzenie postanowionego ciosu.

Młodość bierze nieraz chęć za możność, życzenie za zdolność i wtedy pragnie szerokiego pola do czynu, bo łaknie sławy i wtedy nie lubi widzieć obok siebie starych mentorów, choć zasłużonych i doświadczonych, a bez złudzeń. Cesarz Wilhelm II. wszędzie spotykał się z oporem starego kanclerza, zarazem z postanowieniem pozostania. Każdy samodzielny krok monarchy był nadzorowany przez istotnego władcę i ganiony; mowy jego były wobec publiczności poprawiane, prostowane, co wprawdzie było koniecznem. Żądzom, zamysłom, zamiarom, wyobrażeniu o własnej sile, stawał na poprzek Bismarck. Na uczcie danej przez sejm prowincyonalny brandeburgski cesarz zawołał: „A tych, którzy mi w pracy opór stawiają — zdruzgoczę“.

Cesarz wreszcie zażądał zniesienia rozporządzenia z 1852 r., zakazującego ministrom pruskim znoszenia się z królem bez pośrednictwa prezydenta ministrów; Bismarck odmówił w przekonaniu, że zwycięży. Cesarz oczekiwał dymisyi kanclerza, ten nie chciał jej dać. Cesarz go oddalił. Jedna z dwóch dawnych obaw, które Bismarck żywił po zwycięstwach, ziściła się wtedy, kiedy najmniej to przypuszczał.

Myśl pozbycia się największego męża stanu drugiej połowy stulecia, nawet w powyższych warunkach, powstać mogła tylko w potężnym lub nieprawidłowym umyśle.

Wilhelm II. zażądał był od ks. Bismarcka podania o uwolnienie, z którem kanclerz ociągał się jeszcze. Dnia 20. marca cesarz uznał przekonywującymi powody, które Bismarck w wymuszonem, dłuższem podaniu o uwolnienie przedłożył był nareszcie. Zawiadomił go o tem naczelnik gabinetu cesarskiego Lukanus. Ogłoszone zostały dwa odręczne pisma monarchy, zakończające przesilenie bismarckowskie. Zwalniały Bismarcka ze wszystkich urzędów. Cesarz mianował go księciem Lauenburga i obiecał podarować własny portret. Księżna

Bismarck powiedziała — że oddalono męża jak lokaja. Wilhelm II. powołał w jego miejsce jenerała Caprivi. Na drugi dzień hr. Herbert Bismarck ustąpił z zajmowanego stanowiska.

Z widowni politycznej ustąpił mąż stanu, który od przeszło ćwierć wieku kierował niemal na własną rękę szczęśliwie losami ojczyzny, który potężnym rozumem, genialną bystrością i zręcznością, niezwykłą zdolnością obliczania, nie cyfr ale spraw ludzkich, górował nad położeniem europejskiem stworzonem przez niego, naginał je do swojej woli, układał je do swoich dzieł z korzyścią niezwykłą państwa. Na każdej karcie politycznych dziejów od 1863 r. zapisanem jest nazwisko Bismarcka; wszędzie występuje i zdumiewa jego olbrzymia postać, na każdym kroku znajduje historyk plony jego działalności, lub też ślady wywołanych przez niego nieszczęść, zniszczeń, przewrotów.

„Krwią i żelazem“ nie rzadko, „siłą przed prawem“ torował drogę swoim zwycięstwom politycznym; z gwałtowną energią, niezachwianą wytrwałością i nieugiętą wolą zdążał wprost do celu, łamał i burzył wszystko, co mu stawiało przeszkody i zapory w przeprowadzeniu i wykończeniu dzieła, które go uczyniło wielkim i utrwaliło jego ojczyzny potęgę. On wskazał narodowi pole wspaniałych tryumfów wojskowych, on wzniósł Prusy do niebywałej wielkości, on zjednoczył Niemcy pod przewództwem Prus, on stworzył cesarstwo niemieckie i wlał w nie siłę, on wreszcie w czasach wszechwładnego militaryzmu i niesłychanych zbrojeń, w chwili ciężkich przesileń, często w przededniu burzy wojennej, potrafił rozpędzać chmury, oczyszczać powietrze, ostatecznie ustalić politykę zbrojnego pokoju i postawić na jej straży potrójne przymierze.

Podeszłych lat, ale nie złamany wiekiem, strudzony, ale nie wycieńczony pracą, opromieniony sławą, lecz nie syt jeszcze władzy, ustąpić musiał ks. Bismarck, aby

na stare, lecz wyjątkowo czerstwe lata patrzeć, nie bez urazy i nie bez obawy, jak młode dłonie rwały się do rządów, jak nowi ludzie brali w ręce ster państwa. Świat nie odetchnął po jego upadku; obudził on bowiem raczej obawę Europy, która przyzwyczaiła się liczyć z głosem Bismarcka, oswoiła się z jego przewodnictwem, pogodziła się w przeważnej mierze z jego polityką i własnem poniżeniem.

Upadek męża, który położenie zewnętrzne stworzył i nad jego utrzymaniem troskliwie czuwał, czyniło je niepewnem, wywoływało niepokój zagranicy; niepokój o to, co było Europy znikczemnieniem.

Nie prędko zaginie tradycya i systemat międzynarodowej polityki Bismarcka.

Natomiast w polityce wewnętrznej Niemiec zapowiadały się zwroty bezpłodne. Tu odezwały się zachcianki młodego cesarza, których nie pochwalał i z któremi się nie zespolił stary kanclerz, a które wiele zapowiadając nic nie przyniosły. Przyzwyczajony do dźwigania wszelkich obowiązków, poczuwający się do odpowiedzialności za wszystkie swe kroki, ale nie znoszący żadnego oporu, nie zrozumiał Bismarck, iż czas jego wszechwładzy przeminął. Nie skłonny do ustępstw, twardy w zdaniu i przekonaniu, przywykły do rządzenia żelazną ręką, nie chciał uledz, nie chciał się poddać, lecz nie chciał ustąpić ze stanowiska.

Historya oceni niespożyte jego zasługi, położone dla narodu i ojczyzny, dla której dobra do ostatka z pełnem poświęceniem i najgorętszym pracował zapałem, uosabiając ją.

Nie można się było oswoić z myślą, że ten, który od lat tylu w żelaznej dłoni ważył losy Europy, ustąpił z widowni politycznej. Ostatnie lata jego rządów, to nauczająca, a niezwykła karta dziejów. Sędziwość starego cesarza oddaje mu wszystko w ręce, robi go panem położenia, nieodpowiedzialnym nikomu, stawia na

szczycie potęgi i wszechwładzy. W stu dniach panowania umierającego Fryderyka zaczyna się to stanowisko chwiać, zaczyna się głucha walka, w której po jednej stronie stoi samowola i odważa się na sprzeczne z własną tradycyą podkopywanie zasady monarchicznej, po drugiej niejasne połączenie filozofii Marka Aureliusza z okruchami wolnomyślności weimarskiej. Zapasy zakończa zgon cesarza Fryderyka; uraza podrażnionego kanclerza ściga cień zmarłego i znęca się nad nim czy to w procesie Geffckena, czy w sprawie Moriera. Tymczasem młody przyszły pan i władca staje po stronie kanclerza, nazywa go „chorążym“ niemieckiego sztandaru i zapowiada, że pod tym sztandarem stanie. Wstępuje na tron i świat cały uznaje, że doświadczenie starego kanclerza bardziej niż kiedykolwiek potrzebne, że więc ks. Bismarck teraz właśnie, przetrwawszy przesilenie studniowe u szczytu swej potęgi stanął. Rachuby mylą. Stosunek między mentorem i uczniem staje się coraz bardziej naprężonym, mnożą się starcia dochodzące do uszu publiczności, nareszcie staje między nimi sprawa socyalna.

Młody cesarz, pełen żądz nieokreślonych, a wiary w siebie, z zapałem, nie roztropnie, bierze ją w ręce, chce z nią zawierać układ. Stary kanclerz, który w ciągu całego swego politycznego życia tylko naginał lub kruszył, ale ustępstw nie znał, nie chce sławy na niepewną wystawiać próbę. Dwie samowole obok siebie stać dłużej nie mogły.

Najpotężniejsza polityczna postać drugiej połowy dziewietnastego wieku zeszła więc z widowni. Jakie były jej narzędzia, działania i dzieła i tych następstwa, powiedziałem.

Patrząc na uginające się pod ciężarem wojsk państwa, przypominały się słowa jednego z najznakomitszych polskich publicystów, który mówił, że Bismarck

zamienił Europę w towarzystwo zabezpieczające Niemcom Alzacyę i Lotaryngię.

Bolesne wspomnienia łączyć się będą na zawsze dla Polaków z nazwiskiem Bismarcka. Był to wróg najzaciętszy ich bytu i narodowości. Nie tylko w polityce, w kościele i w szkole, nie tylko banicyami i kolonizacyą polskość prześladował, ale chyba od rozbioru Polski nie było człowieka, któryby Polaków tak lżył, tak im urągał i ścigał ich nienawiścią, nie oszczędzając i polskiej niewiasty.

Tu kończą się działania i dzieła Bismarcka. Do zgonu jednak wciskał się w historyę niepotrzebnie; skoro tak wielkie zajmował już w niej miejsce.

Po upadku Bismarcka.

Piąty upływał miesiąc jak znikł z widowni życia publicznego człowiek, w którym ogół nawykł był widzieć uosobienie ogólnego położenia. Jeżeli jaki, to zdawać się mogło, że ten wypadek, będzie wyjątkiem w prawidle — iż nikt nie jest niezbędnym. Tymczasem coraz mniej dał się czuć ubytek ks. Bismarcka. Ludzkość traciła jedno złudzenie więcej, przekonawszy się, że stało się ono było już tylko siłą przyzwyczajenia.

Zmiana zaszła w cesarstwie niemieckiem nic nie przeistoczyła, nic nie załatwiła, nic nie rozwiązała i nowy to był dowód, że nic nie mogło już wyleczyć końca stulecia z jego bezsilności i bezpłodności. Wzmogła się jedna z jego potęg — niewiara, bo świat nowego doznał zawodu.

Od odrzucenia przez parlament niemiecki wyjątkowej ustawy przeciw socyalistom, rozwijał się szereg zdarzeń, wypadków, upadków i zmian osób na stanowiskach, które wielkie wywołały zajęcie, lecz ich następstwa nie odpowiedziały mu; te bowiem żadnego uprawnionego lub nieuprawnionego nie zaspokoiły życzenia, żadnej nie usunęły wewnętrznej czy zewnętrznej niepewności, żadnego nie przyniosły rozwiązania.

Upadek ks. Bismarcka pozostał bezprzedmiotowy.

I.

Wybujały militaryzm w pogańskim czy chrześciańskim świecie, prowadził władzę do szukania oparcia w ludzie, w niższych warstwach, z których powstają zastępy wojskowe i do wzięcia w opiekę, raczej w rękę jako narzędzia robotnika, i jego sprawę. Na tę drogę przeczucie więcej niż rozumowanie, pchnęły cezarów rzymskich i cesarza Wilhelma II. *Panem et circenses* oraz reskrypta socyalne władcy Niemiec są pomimo oddzielających je wieków pokrewne sobie; są to rozejmy z nierozwiązalną sprawą. Rzymscy cezarowie sporadycznem rozdawaniem zboża i urządzaniem widowisk, zyskiwać chcieli na czasie, wobec socyalnego potworu; nowoczesny cezar uczuł potrzebę rzucić mu na pastwę ustępstwa teorytyczne i pobożne życzenia polepszenia losu robotników; tamci i ten kosztem publicznym, bo istniejącego porządku społecznego. Przychodzi jednak chwila, w której już nie chleba tylko żąda robotnik i sumptem pana, urządzonych rozrywek; on chce chleba, ale gdy go ma, chce dobrobytu, a potem używania nie z łaski pana, ale jako pan. Wtedy rozmiary zadania, temsamem jego nierozwiązalności rozszerzają i zwiększają się.

Rzeczą, której z uwagi spuszczać nie należy, że stara jak świat sprawa socyalna, która doprowadzona do ostatniego mianownika, jest sprawą wyżywienia, następnie lepszego wyżywienia; nigdy, ani rozwiązaną nie była, ani też żadnej innej i w ogóle nic rozwiązać nie była zdolną — nie ma ona też mocy dostatecznej do zniszczenia istniejącej cywilizacyi i porządku społecznego czy politycznego, ani do wytworzenia nowego. Klęski zadać może, nie przynosi załatwienia zadania, przysposabia grunt pod zmiany, ale ich nie wytwarza ze siebie; do tego inny zwykle jakiś trzeci czynnik powo-

łanym jest, który jest niewiadomą. Ani zatem zbawienia, ani pogromu ostatecznego od sprawy socyalnej oczekiwać nie należy; to olbrzymia choroba chroniczna. Ale kiedy się ona objawia w coraz to potworniejszych kształtach i w coraz groźniejszych rozmiarach, kiedy wywołuje zjawisko cezara i ludu, władzy i robotnika, zwykle jest zapowiedzią początku końca, przynajmniej zwrotu w istniejących cywilizacyach i porządkach rzeczy — którego dokona niewiadoma potęga. Ona zaś nie młoda, z pewnością ani nowej cywilizacyi, ani nawet nowego porządku rzeczy nie wytworzy; jej moc i powołanie ograniczają się do znęcania się lub pastwienia się nad istniejącym.

Kiedy lud cały stoi pod bronią, wojska naczelny wódz, cezar, musi przemawiać do wyobraźni zastępów, a także do ich żądz. Tam gdzie jest cezar, i lud konieczne są wrażenia i widoki korzyści oraz zysków. I jednych i drugich zwykłym szafarzem wojna. Kiedy wojny nie ma, trzeba ich szukać gdzieindziej. Siłą więc rzeczy, młody cesarz niemiecki, nadzieja najczystszych, nawet najzapaleńszych zachowawców, wyznawca przed paru jeszcze laty wszystkich zasad i praktyk bismarckowskich, pchnięty został w kierunku pamiętnych reskryptów, które pokrzyżowały jego i starego kanclerza drogi, chociaż miały ten sam punkt wyjścia; bismarckowskie orędzie Wilhelma I. z 1881 r. One jednym skokiem przerzuciły Wilhelma II. w dwudzieste stulecie. Krok ten był następstwem ogólnej służby wojskowej i zbrojnego pokoju, zatem spadku po bismarckowskim okresie.

Sprawa robotnicza ściśle związaną jest z wojskową i narzucała się monarsze, którego nauczono, iż wszystkiego: potęgi, bezpieczeństwa, sławy i wielkości, jedynie od wojska spodziewać się może, nawet owego pokoju, co jest rękojmią posiadania tego co ma. Musiał on sobie powiedzieć, że to *Paladium*, to wojsko, ci żołnierze,

to dawni i przyszli robotnicy. Twierdzono w ostatnich czasach, że wyobrażenia i zachcianki socyalistyczne dostrzedz się dały we wzorowej i karnej dotąd armii, wymieniano pułki, między któremi zaraza szerzyć się miała. Zresztą zmowy i bezrobocia na wielką skalę, westfalskie i inne, budzić musiały troski, jeżeli nie obawy. Żywotna w razie mobilizacyi sprawa węgla, niezbędnego dla poruszania pociągów kolei żelaznej, w czarnych jak sam węgiel, przedstawiać się poczęła barwach w razie jednoczesnego pogotowia wojennego i bezrobocia w kopalniach.

Zmowa robotników w chwili mobilizacyi obalićby mogła najumiejętniejsze rachuby i unicestwić kosztowne, z trudem zdobyte budżety septenatu. W przewidywaniu tego miał rząd niemiecki poczynić na znaczną skalę zapasy węgla; wysilenia doprowadziły do zabezpieczenia się zaledwie na miesiąc.

Militaryzm zatem prowadził naczelnego wodza armii do wzięcia w ręce sprawy robotniczej, gdyż stawała się ona w znacznej mierze wojskową. Reskrypta cesarskie były proklamacyą do tych, co byli już, lub być mieli jeszcze żołnierzami, były także wyrazem potrzeby przemówienia do wyobraźni ludu. Pierwsze wrażenie było nie małem, skutek żaden.

Reskryptami cesarz Wilhelm wkroczył krokiem wojskowym w dwudzieste stulecie; ks. Bismarck chciał pozostać w dziewietnastym, liczył na to, że siły jego wystarczą do zamknięcia bieżącego wieku. A przecież on sam postawił był przesłanki polityki socyalnej, rozpoczynając państwowy socyalizm, rozwijając go w orędziu Wilhelma I. z 1881 i w mowie Wilhelma II. zagajającej parlament. Przeląkł się jednak następstw własnego założenia, gdy je wyczytał w reskryptach cesarskich — gdy spostrzegł zwłaszcza w nich niecierpliwość działania dla działania i popisu dla popisu. Obawie kanclerza wtórował głos ogółu: „Ten

młody monarcha jest kimś, ale kim?“ Kto jednym skokiem wkracza choćby z końca jednego stulecia w drugie, znaleźć się musi na karkołomnej krawędzi, co odgranicza genialność od zuchwalstwa. *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas* i obawiać się można było, że zaczyna się nowy bieg Faetona niebezpieczniejszy o wiele od wszelkich po lądzie i morzu podróży potężnego władcy.

Wielkie i ciężkie zadania to mają do siebie, iż wywołują natchnienie lub szał. Natchnienie rozwiązuje je, szał przemienia w klęskę. Piękną i mądrą być może zasada wyprzedzania wypadków, ale zarazem jest najniebezpieczniejszą, nic bowiem łatwiejszego, jak je przyspieszyć, zamiast wyprzedzić. Wyprzedzanie polega na zerwaniu dojrzałego owocu, aby zgniły nie spadł na głowę; przyspieszanie jest zerwaniem niedojrzałego owocu; w pierwszym wypadku zapobiega się rozkładowi, w drugim szerzy się chorobę.

Pytanie polegało na tem, czy podniesienie przez władzę sprawy socyalnej i wzięcie w ręce robotniczej, zgotuje połóg szczęśliwy, czy też poronienie.

Wobec tego, życzenia towarzyszyły nie pozbawionemu szlachetności zamiarowi ale taić niepodobna było, że jego powodzenie pociągnąćby musiało za sobą następstwa i zwrot w życiu publicznem. Wszystkie siły i wszystkie usiłowania skierowałyby się na raz w stronę zadań społecznych i gospodarczych, a zepchnęłyby to, co się zwie polityką. Stara dziewietnastego wieku polityka, zbladłaby wobec polityki dwudziestego stulecia i ustąpićby musiała wobec tej drugiej. Świat naraz wyzwolonymby został z użytych prawideł i praktyk szkoły bismarckowskiej i pokazałoby się, że są w dziewietnastem stuleciu ludzie, co do zadań dwudziestego dorośli, a dość mają odwagi i siły, aby uznać, że militaryzm i zbrojny pokój są głównemi przyczynami złego. Tym-

czasem nieco inaczej przedstawiał się bieg wypadków od pięciu miesięcy.

Podczas, gdy reskrypta poruszały w Niemczech sprawę robotniczą i stawiały ją na porządku dziennym korony, przerzucały ją zarazem w dziedzinę międzynarodową zwołaniem konferencyi kosmopolitycznej ze zbyt szczerem wobec zagranicy wyznaniem, iż staje się ona coraz większym dla Niemiec kłopotem. Że nie we wszystkich zamiarze być mogło oszczędzić Niemcom kłopotu w ogóle, zwłaszcza tego, zbyt było widocznem. Ztąd też z góry małymi musiały być widoki powodzenia konferencyi, której program z początku szerszy, ścieśnionym został i zamienił się w końcu w bezbarwny. Program nie odpowiadał zamachowi reskryptu, a konferencya stała się jeneralną próbą w strojach, po której sztuka upadła.

Trudno wiedzieć, o ile pod wpływem reskryptów, ale po ich wydaniu, wyszedł był z wyborów wzmocniony zastęp posłów socyalistycznych w parlamencie niemieckim.

Przy otwarciu parlamentu niemieckiego, dowiedziano się o spotęgowaniu starego zbrojnego pokoju przez nowe żądania funduszów na cele wojskowe i zapowiedź dalszych wojskowych kredytów. Wtedy można było powiedziec, że nic wewnątrz i na zewnątrz nie zmieniło się na lepsze, i że znowu w Europie, w której robotnicy dzisiejsi są jutro żołnierzami, a żołnierze dzisiejsi są jutro robotnikami, porządek społeczny i bezpieczeństwo, trwać będą tak długo, jak długo karność wojskowa górować nie przestanie nad namiętnościami i żądzami. I można było pomyśleć, że większą rękojmię dawała w tej mierze stara dziewietnastego wieku nauka, i że stary, upadły ks. Bismarck miał słuszność, kiedy w jednej ze swoich pokanclerskich rozmów, wyznał, iż nie tylko byłby przeciwnym zniesieniu ustawy o socyalistach, ale byłby za jej zaostrzeniem.

W każdym razie można było w niej widzieć większe bezpieczeństwo, niż w pobłażliwości ogólnej, która zezwoliła na tryumfalny pochód socyalizmu pierwszego maja. Stwierdził się on w tym dniu jako potęga tem, że umiał się miarkować, a radość i zadowolenie ze spokojnego przebiegu tego święta robotników, były objawem zaślepienia i dobroduszności obecnego porządku rzeczy. Spokojny przebieg był dowodem karności i rozumnego przewództwa; każde przekroczenie i wykroczenie byłoby jeszcze natrafiło na skarcenie, tem samem byłoby zwolniło pochód i postęp sprawy.

Być zadowolonym z mądrego zachowania się przeciwników jest oszukaniem siebie samego i sprawy, której się służy.

II.

Wiemy, że już podczas pogrzebu Wilhelma I. ks. Bismarck przewidywał w rozmowie z arcyksięciem Rudolfem, że z wnukiem nie przyjdzie mu tak łatwo rządzić, jak z dziadem. Mniej go niepokoiło przejściowe panowanie umierającego Fryderyka III., niż uległy wówczas jego radom i naukom ks. Wilhelm pruski. Młody książę zdawał się więcej jeszcze niż ogół być pod urokiem kanclerza i więcej niż ktokolwiek być przesiąkniętym jego zasadami, hołdować jego sposobom. Opowiadano w tej mierze różne jego zwierzenia. Na łowach w Nieświeżu ks. Wilhelm, biegnąc pieszo za sankami, uchwycił za kołnierz siedzącego w nich myśliwego; gdy zaś ten, odwróciwszy się, zawołał żartobliwie „Że nie należy chwytać ludzi za kark“, książę odparł: „Przestrzegłem wczoraj, że jestem z bismarckowskiej szkoły“.

Szkoła skutkowała i dla tego może uczeń rozstał się z mistrzem.

Ks. Bismarck i tym razem dobrze osądził był przyszłość, tylko nie przewidział, że on padnie ofiarą. Łudził się do ostatniej chwili, że burza cesarska jest przemijającą; a że po niej, nastanie stała pogoda kanclerska. Zachodu słońca bismarckowskiego nie przypuszczał. Mówił tylko: „Cesarz mnie lubi, ale nie górują nad nim“, a słowa te były ostatniem wysileniem zręcznej szczerości.

Przesilenie wtedy było już w zarodzie i rozpoczął się jego bolesny przebieg. Poród upadku takiego, jak ks. Bismarck człowieka, łatwym być nie mógł. Ale i pożycie między kanclerzem a cesarzem coraz trudniejszem się stawało, przybierając znamiona związku starego męża ze zbyt młodą żoną, oraz gromadząc wszelkie, w podobnych razach, troski i kłopoty, obawy i nieprzyjemności, aż w końcu przyniósł niemiłe niespodzianki. Ruchliwość młodzieńcza zgotowała starości spoczynek — bez godności.

Złożenie ministerstwa handlu pruskiego przez Bismarcka było już wskazówką różnic między monarchą a kanclerzem. Ks. Bismarck nie byłby w takiej chwili cośkolwiek z władzy uronił, gdyby do tego nie był przymuszony. Przymusowe też zaczęło się dla niego położenie. Można było mniemać, że kanclerz składa wytrwałością nowy dowód patryotyzmu i mądrości; że było poświęceniem pozostać wbrew własnym zapatrywaniom, aby zapewnić im zwycięstwo i rzecz oraz cele końcowe uratować i zabezpieczyć! Niepodobna podawać w wątpliwość patryotyzmu ks. Bismarcka. Przecież przebieg przesilenia i epilog upadku przekonały, że szło mu także o własną osobę.

W chwilach, twardych między cesarzem a kanclerzem przejść, kiedy z tygodnia na tydzień ważyły się losy drugiego, czytałem w liście pewnej pani: „Kanclerz się zostaje, bo spostrzegł, że obejść się bez niego mogą“. Ks. Bismarck zatem zostawał i przyciskał do piersi tekę kanclerską nie dla tego, że był niezbędnym,

dla tego, że przestał nim być. I wtedy, jak sam wyznał, nie miał odwagi ani podpisać reskryptów socyalnych, ani wobec nich ustąpić; zadowolnił się ich poprawą.

Zbyt skromne zadanie dla tego, który traktaty: pragski i frankfurcki podpisał. Ale i to nie uratowało ks. Bismarcka. Już przeważała nie tylko dawna prawda, że nikt nie jest niezbędnym, ale zdanie, że trzeba się obejść bez ks. Bismarcka. Zbyt ciężył na wszystkiem i wszystkich, przedewszystkiem na cesarzu.

I upadł najsilniejszy, jedyny żelazny, naszych miękich czasów człowiek i złożył nie tylko wszechwładzę, ale i władzę nie dla tego, że chciał, ale, że musiał. Ustąpił zatem z goryczą, z żalem, z ową do wszystkich urazą, która, wedle słów Wilhelma I., była jego istotą, z wulkanem złości w piersiach. Był niepospolitym, ale wielu rzeczy i wielu świata klęsk i nieszczęść, oraz skrzywienia wielu pojęć i zasad winnym. Tych win srogą karą stał się upadek. Dla niego sroższej być nie mogło.

Ks. Bismarck był wielkim umysłem, miał niezwykły, wyjątkowy rozum, który działaniami i dziełami zapisał na wieczne czasy w dziejach; że zaś wielkim człowiekiem nie był, było widocznem; że jednak do tego stopnia okaże się nie wielkim w chwili dla każdej wielkości ważnej — tego nie wszyscy mogli przewidzieć i to było dla ogółu zawodem. Zejść naraz ze szczytu spraw publicznych do najpodrzędniejszego rodzaju — dziennikarskich zwierzeń, które z namiętnością uprawiać począł, nie umieć ukryć ani żalu, ani złości, stawiać bezowocny opór, to było za wiele. Nie zatrze to w historyi wielkich rzeczy, które zdziałał, ale go tak zmniejszyło naraz wobec współczesnych, że coś z tego zmniejszenia dostanie się potomnym. A przecież miał tak łatwe zadanie, tak korzystne stanowisko, znieść upadek z godnością w milczeniu i czekać. Wtedy wszystko

dobre jemu byłoby przypisanem; wszystko złe, jego odsunięciu. Kolosu zachowałby był rozmiary, gdyby się był ustawił posągowo; trudno pojąć, dla czego wolał ukazać się w szlafroku. Może dla tego, że nie był nigdy artystą i poczucia piękna w ogóle, zwłaszcza moralnego, pozbawionym był. Tego mu brakło i dla tego ta dziejowa postać nie jest ani promieniejącą, ani uroczą. Zbywa jej na poezyi, którą mąż stanu potrzebuje być otoczonym, aby odpowiednie wielkim wypadkom i czasom zająć w dziejach miejsce.

Pokazuje się, że aby być prawdziwie wielkim człowiekiem, nie dość bardzo wiele dla siebie i ojczyzny zrobić, trzeba jeszcze coś zrobić dla świata. Tego nigdy nie umiał i nie pragnął ks. Bismarck i dla tego nie potrafił pięknie zakończyć i wznieść się ponad ludzi i zmienne losy. Nie potrafił i niesmak wywołał. On, co wszystkimi i wszystkiem poniewierał, sam sobą poniewierał teraz z tęsknoty i żalu za utraconą władzą. W mowach swoich jeśli nie tajemnicy, to wstrzemięźliwości męża stanu przeniewierzał się! Dziwić musiał ten brak umiejętności milczenia, gdy się słyszało tyle słów wypowiedzianych na to, aby nic nowego nie powiedzieć, żadnej myśli nie rzucić, krom zbyt troskliwej a ciągłej o swoje ja.

Fatum ciążące nad końcem stulecia chciało, aby nic się w nim nie ostało — nawet wyobrażenie o bezwzględnej wielkości ks. Bismarcka. Nie danem mu było zachować w pełnej mierze uwielbienia dla tej potęgi. Do zmniejszenia siebie samego przyczynił się ks. Bismarck miotaniem się po upadku, bez względu na szkodę, jaką wyrządzał państwu. W Friedrichsruhe, Kissingen, później w Wiedniu, mowami i przyjmowaniem hołdów; organem swoim *Hamburger Nachrichten,* zdawał się chcieć jedynie stwarzać trudności nie tylko tym, co po nim odziedziczyli władzę, ale samemu cesarzowi bez uwagi na dobro ojczyzny.

III.

Przewidywano w Europie zmiany po śmierci Wilhelma I.; gdy nie nastąpiły, mówiono: dopóki ks. Bismarck rządzi, nic nie zajdzie, ale z jego zgonem rozpocznie się — potop. Nie umarł, upadł, nie tylko, że nie było potopu, ale nawet znaczącej zmiany.

Rozstanie się z mężem stanu górującym nad innymi i jedynym tej miary, zarówno jak podniesienie jaskrawe przez monarchę zadania socyalnego, wydawać się musiały zbyt dorywczymi i śmiałymi postępkami. Było jednak coś prawdy i w chęci obejścia się bez ks. Bismarcka i w zamiarze wzięcia w rękę sprawy socyalnej oraz robotników.

Pozbywać się bez konieczności dla wypróbowania własnych sił takiego jak ks. Bismarck człowieka, zrzekać się pomocy takich zdolności i takiego doświadczenia, zwłaszcza powagi, jakiej kanclerz w świecie używał, nawet poczucia niższości, którem inni wobec niego byli przejęci, oraz przerażenia, które wzbudzał, bałwochwalstwa, które go otaczało — było odwagą, którą należało młodości i krewkości przypisać i obawiać się, aby nie okazała się płochością. Jednak nie podobna było zaprzeczyć, iż mogło być przezornem uprzedzić nieunikniony bieg rzeczy i zawczasu zaradzić niezbędności jednego człowieka, a uprawnionem ze stanowiska dynastycznego: postawić wolę monarchy ponad nią. Można było zwłaszcza sądzić, że sposoby ks. Bismarcka wewnętrzne i zewnętrzne, że jego większości parlamentarne i zbrojny pokój nie dają wyjścia, że tem samem przeżyły się, a że ich twórca innych już dróg wynaleźć niezdolny, że zatem wybiła godzina, w której inni innych dróg szukać muszą i powinni. W skutek wyborów do parlamentu i zwrotu, który sprowadziły, biała karta pozostawała do zapisania. Trudnem nawet dla ks. Bis-

marcka było to zadanie, a mogło się stać, zwłaszcza dla niego, bardzo przykrem, bodaj czy nie upokarzającem, wobec tego, iż *Centrum* zdolne było utworzyć większość, do której należeliby Polacy.

A znowu podnosić od tronu zadanie socyalne i obiecywać ogólnikowo opiekę robotnikom, wydawać się mogło objawem niecierpliwości, może niecierpliwości popisu; wystąpieniem karkołomnem, które nie przynosząc rozwiązania, rozbudzi tylko i zaostrzy żądze, a przerazi jednych, niezadawalniając drugich.

Ale niepodobna było zaprzeczyć, że wobec rozmiarów, jakie sprawa robotnicza przybierała, ciężył na władzy obowiązek zajęcia się nią, i że dotychczasowe bismarckowskie środki już wystarczającymi nie były. Pomimo, iż sprawa, tak zwana socyalna, rozwiązalną nie jest, nie ulega wątpliwości, iż należy do niej stosować miarę sprawiedliwości chrześciańskiej, i że są czasy, w których miara ta bywa sfałszowaną. I to także pewna, że było tak w sprawie socyalnej, jak i robotniczej wiele do zrobienia, bo do naprawienia i sprostowania. Tylko nie reskryptami, nie schlebianiem namiętnościom i pobłażaniem niezdrowym objawom, ale odwagą i powagą wobec jednych i drugich, zwłaszcza rozumną wewnętrzną i zewnętrzną polityką. Nie socyalizmem państwowym, ani cezaryzmu socyalizmem; nie militaryzmem i zbrojnym pokojem. Aby złagodzić złe socyalne, aby uśmierzyć bóle społeczne, a robotnika postawić w zdrowych warunkach, trzeba było wejść na nowe drogi, szukając zaś ich, przyszłoby powrócić na stare chrześciańskie, jako najlepsze i najpewniejsze.

Ujemne strony zdarzeń, zaszłych w Niemczech w ciągu ostatnich miesięcy, były widoczne i namacalne, bijące w oczy; dodatnie zaś zależnemi się stawały od postępowania i działania władzy, od nowego kierunku.

Lecz w tej mierze okazała się nicość.

Po reskryptach, po oddaleniu ks. Bismarcka, nie ukazał się był w Berlinie żaden nowy pomysł, nie wywieszono tam żadnego nowego hasła, nie postawiono żadnej nowej zasady, nie rzucono jednej myśli, nie wskazano wyjścia ani wewnątrz, ani zewnątrz. Wobec sprawy socyalnej i robotniczej z jednej strony, wobec kosztów zbrojnego pokoju z drugiej, usłyszano jedynie zapowiedź narodu całego pod bronią. I okazało się, że wszystko było szumem bez treści. Próba rządów cesarza doprowadziła do tego, że podzielić się musiał nimi, wprawdzie nie z Bismarckiem, ale z Windthorstem.

Co za zwrot! Sędziwy Windthorst, katolik i Welf, panem położenia w parlamencie cesarstwa niemieckiego. Zresztą nicość i pociąg cesarski stał w miejscu, w którem go dawny zatrzymał maszynista; ale maszynisty już nie było.

IV.

Ostatnie w Niemczech wybory sprowadziły przewrot w stosunkach parlamentarnych, były przegrywką do upadku ks. Bismarcka, wskazówką, że się wyczerpały jego środki. Zwycięstwo żywiołów zachowawczych i katolickich z jednej strony, zwiększenie się z drugiej sił socyalistycznych, rozbicie *kartelu* i pogrom narodowo-liberalnych wszystko to zaznaczało walkę społeczną. Było to dążenie do wyzwolenia się ze starej, zużytej polityki, która stawała się coraz bardziej polityką z dnia na dzień.

Wobec przeistoczonego parlamentu, bezkształtnego jeszcze i nieświadomego ani swej siły, ani swych słabych stron, stanęli nowi ludzie, powołani przez cesarza na przedstawicieli władzy, polityki narodowej i najważniejszych zadań. Nowy sekretarz stanu dla spraw zewnętrznych Marschall, który zastąpił hr. Herberta Bismarcka był ilością niewiadomą.

Nowy kanclerz jenerał Caprivi, dał się głównie poznać wojskową otwartością, która na rycerską zakrawała dobroduszność, skoro sam wyznał kilkakrotnie, że dopiero rozpatruje się w położeniu i stanowisku swojem, skoro prosił, aby mu po temu, zostawiono przynajmniej rok czasu. Jeżeli trudno być synem wielkiego człowieka, tem trudniej być następcą wielkiego męża stanu i to żyjącego; to też jenerał Caprivi przyjmując spadek po ks. Bismarcku, złożył dowód wojskowej odwagi. Wprawdzie poprzedni kanclerz ułatwiał mu zadanie okazując zbyt otwarcie, iż pragnie mu je utrudnić. Ci nowi ludzie z niczem nowem nie stanęli wobec parlamentu, a ks. Bismarck miał to zadowolenie, iż Caprivi nawet jego wyrażeń użył. W obejściu, w sposobie mówienia i obchodzeniu się zaszła na korzyść przyzwoitości i godności ludzkiej zmiana, która sprawiła, że zgnębieni lub znużeni bezwzględnością poprzednią, uczuli ulgę. *Suaviter in modo*, zdawało się być hasłem nowego kanclerza; główną zaletą jego, iż był człowiekiem uczciwym, co zapewne nie wystarcza na męża stanu, ale w czasach, w których wyczerpano do dna nieuczciwość polityczną, znaczyć mogło nieco.

Jeżeli ks. Bismarck był wobec parlamentu pedagogiem stojącym z batem nad uczniem, to jenerał Caprivi uśmiechał się w izbie jak wojak, którego wąsami dzieci się bawią. Nowy porządek rzeczy otrzymał z łaski Windthorsta, stare wojskowe kredyty, nawet zwiększenie wydatków na armię. Sprawa dwuletniej służby wojskowej niosła ze sobą zarody nie tylko starcia, ale i doniosłych zmian. Jest ona, jak tyle innych za naszych czasów, socyalną i wojskową zarazem. Dwuletnia służba jeszcze bardziej zbliża żołnierza do robotnika i robotnika do żołnierza, a czy nie wpłynie na osłabienie karności wojskowej, wielkie powstają wątpliwości. To też cesarz Wilhelm II. bronił się przed tą zmianą, ale była ona stawką w grze parlamentarnej między stronni-

ctwami, między parlamentem a rządem i koroną, przedewszystkiem między wyborcami i posłami. Na samym początku tej gry stało się, że po raz pierwszy posłowie polscy głosowali za rządowemi przedłożeniami wojskowemi z dołączeniem ważnego oświadczenia. Miało to wartość, iż zwrot podobny nastąpił i nastąpić mógł w chwili upadku najnamiętniejszego, najniesprawiedliwszego wroga Polaków, który ich prześladował przez cały czas swojego zawodu z małodusznej skłonności silnego, gnębienia i pastwienia się nad słabemi.

Zwrot posłów polskich wobec upadku tego człowieka był nacechowany mądrością i przezornością. Nie można się było łudzić i wiadomem było, że każdemu rządowi w Berlinie najtrudniej zmienić sposób postępowania wobec Polaków, chociażby zmianę rozum nakazywał, dopóki przeważać będą namiętności. Ale zmianę tę umożebnili swojem postępowaniem posłowie polscy. Nic nie stracili, nic nie zaprzepaścili z tego, co im powierzonem zostało, bo to z równą siłą dalej bronionem było; ale złożyli dowód, że ani uporu, ani zaślepienia nie są narzędziami, lecz silnego przywiązania do tego, co każdemu jest najdroższem i najświętszem, a czemu zawsze i wszystkiem służyć trzeba, zwłaszcza poświęceniem.

V.

Po pierwszem zdumieniu Europa przyzwyczajać się poczęła, iż obejść się musi bez ks. Bismarcka, wreszcie przekonała się, że obejść się może. W Berlinie mówiono z początku: „Idzie nie źle bez Bismarcka“, następnie: „Bez Bismarcka idzie lepiej“. Zwykły to bieg rzeczy ludzkich i ludzkich sądów. Po bałwochwalstwie, obniżanie i zapomnienie dnia wczorajszego dla dzisiejszego. Zdanie wiecznych dworaków powodzenia,

odstępców w upadku. A przecież chociażby świat ulegał złudzeniu uznając niezbędność Bismarcka, samo zniknięcie tego złudzenia wytwarzało znaczny brak. To też aczkolwiek nic się nie zmieniło, dostrzedz można było w stosunkach międzynarodowych uczucia niepewności, ostrożnego oglądania się i tych co w zniknięciu wielkiego męża stanu szukali nadziei, i w tych, co się obawiali jego następstw.

Trójprzymierze pozostając biernem i przyjaźń rosyjsko-francuska nie przestając być idealną, były teraz, jak i przedtem, rękojmiami pokoju, bo unieruchomienia. Nasuwały się wątpliwości, czy ustąpienie z widowni twórcy trójprzymierza nie osłabi takowego. Tymczasem nowe rządy w Berlinie wzmocniły związek austryacko-niemiecki zawiadomieniem gabinetu wiedeńskiego o istnieniu bismarckowskiego przeciwubezpieczeniu zawartego z Rosyą, jednocześnie o postanowieniu nie odnowienia go. We Włoszech bałwochwalstwo Bismarcka było tak wielkiem, że jego ustąpienie obojętnem być nie mogło. Włochom przykrzyło się zresztą, że ponosząc koszta trójprzymierza, zysków z niego nie ciągnęły; brak traktatu handlowego z Francyą, dawał się im czuć dotkliwie. Republikanizm i irridenta nie zasypiały. Dostrzedz więc można było z ich strony oziębienia dla związku, którego nie otaczał już urok Bismarcka, a tęsknotę za lepszymi z Francyą stosunkami. Były to jednak zachcianki bezsilne, nie zdolne zachwiać porządku rzeczy, zostawionego przez Bismarcka.

Wśród niezmienionego położenia strzeliła w górę raca układu niemiecko-angielskiego, oddającego Niemcom Helgoland za afrykańskie posiadłości w Sansybarze. Trzeba było pokazać, że się bez pomocy ks. Bismarcka potrafi coś zrobić i zwiększyć wielką ojczyznę choćby jedną skałą. Innego znaczenia zamiana ta i ten nabytek nie miały.

Dopiero w roku następnym odrysować się miało wyraźnie ogólne położenie. Stopniowe, coraz większe zbliżenie się Rosyi do Francyi było widocznem. Uwieńczone ono zostało przyjęciem w lipcu 1891 r. floty francuskiej w Kronstadzie i wysłuchaniem stojąco przez cesarza Aleksandra III. *Marsylianki.*

Car uczynił wtedy wybór wobec dylematu, który za ostatnim w Berlinie pobytem, postawiła mu była polityka Bismarcka. Zawartą została konwencya między Rosyą i Francyą. Ustaliła ona, raczej uświęciła, istniejący już podział Europy na dwa obozy unieruchomione, zapewniła pokój bismarckowski. Tylko, że odtąd zagadka przyszłości przedstawiała się już nie po myśli, lecz wbrew myśli Bismarcka. Mógł on sobie pochlebiać, że gdyby był pozostał przy władzy, nie byłoby przyszło do stanowczego połączenia się Rosyi z Francyą; lecz byłoby to złudzeniem.

Cesarz Aleksander III. zgnieceniem nihilizmu i przymierzem z Francyą, zaznaczył się w dziejach Rosyi.

Jeżeli świat przestał był oczekiwać od ks. Bismarcka, któremu wszechwiedzę i wszechmoc przyznawał, wielkich zmian i czynów odpowiednich jego przeszłości, tem mniej spodziewać się i żądać ich mógł od jego następców, którzy od pięciu miesięcy stali u steru cesarstwa niemieckiego.

Polityka ks. Bismarcka polegała w końcu na tem, aby wyjścia nie szukać. Nie miał już czem zapełnić teraźniejszości a zrzekał się wkraczania w dziedzinę przyszłości. I nasuwała się myśl, że jeżeli dyktatura potrzebną jest do działania, to staje się zbyteczną a uciążliwą, gdy jest bezczynną. Systemat ks. Bismarcka przemienił się był w stały dla wszystkich ciężar. A przecież był to spadek, który z dobrodziejstwem inwentarza przyjęła Europa. Tak bezpośrednio po upadku ks. Bismarcka, jak w rok później, pomimo sojuszu rosyjsko-

francuskiego, porządek rzeczy narzucony przez Bismarcka pozostał nienaruszony. Nie okazała się ani możność, ani wola zmienienia go.

Sposoby nawet pozostały te same. Te same zjazdy monarchów i mężów stanu bez znaczenia i następstw, zapowiedziane były w drugiej połowie 1890 r.

Europa pozostała na wskróś pokojową wedle bismarckowskiej recepty. Tylko, że jeżeli dawniej mówiono — nie ma dymu bez ognia, to teraz może być ogień bez dymu.

Bismarck po zgonie.

Pokolenie nasze większą część życia przepędziło z Bismarckiem i przyszło mu powiedzieć za ministrem Mostowskim: „Chroń nas Boże od geniuszów“.

Ten człowiek tak znaczne czynami swojemi i osobą zajął miejsce, że jest powodem niewyczerpanych rozmyślań i rozumowań politycznych.

Dziadów naszych czasy zapełnił sobą inny wielkich rzeczy sprawca, wspomnieniem swojem czasy naszych ojców.

Ze współżycia z Bismarckiem nie pozostało nam ani dobre wspomnienie, ani dobre uczucie, i nic nie pozostało dla wyobraźni. Inaczej zaznaczył się w pamięci naszych dziadów i ojców Napoleon I., chociaż do niego stosował Mostowski wyżej przytoczone słowa! On, pomimo upadku, podniosłe wywarł wrażenie. Bismarck niezachwianem powodzeniem przygnębiający wywarł wpływ, który następcy nasi odziedziczą. Pierwszy pozostał pełen uroku, drugi nigdy go nie miał. Wiele jest tego przyczyn; pierwszą niezawodnie, że Bismarck nie połączył, jak Napoleon, czynów politycznych z chwałą wojenną. Ale pochodzi to ztąd także, że Napoleon należał do pierwowzoru, w którym wciela się wszechświatowość, myśl powszechności, co przemawia zawsze do uczuć i wyobraźni ludzi, a zostawia niezatarte po sobie wspomnienie, czy było uosobione przez Aleksandra Wielkiego, czy przez stary Rzym, przez papiestwo, czy

Karola Wielkiego, przez państwo, w którem słońce nie zachodziło, czy napoleonizm, przez grecką cywilizacyę, czy chrześciaństwo, przez Odrodzenie, czy przez język, literaturę i ogładę francuską. A to dążenie do powszechności, to wszechświatowe pragnienie, dla tego tak wielki ma urok i tak potężny wywiera wpływ, bo odpowiada ludzkiej żądzy — nieskończoności.

Bismarck miał ograniczone, bo pruskie pragnienia, a dążenia jego nie sięgały po za świat niemiecki. Ztąd działania jego, cechy powszechności nigdy nie miały. Nie tylko przezorność wstrzymywała go od zapędów w tym kierunku, ale także jego istota. Nie miał do tego w sobie potrzebnego żywiołu, nie miał iskry, świętego ognia, nie miał podniosłości ducha. Bismarck nie miał nigdy owego snu Juliusza Cezara, przez wróżbitów w ten sposób wytłomaczonego, iż był przepowiednią panowania nad całą ziemią.

Po Bismarcku nic się nie zostało, coby było wspólną wszystkich własnością, myślą, uczuciem. Więcej już do ogółu przemawia postać Moltkego, dla tego, że w dziedzinie wojny, która jest wspólną, stworzył to, co się stało własnością wszystkich, nowy sposób.

Czegokolwiek dotknął się Napoleon, temu nadał piętno wielkości; Bismarck tylko polityce. Wpływ Napoleona był ogromnym, pozostał niezmiernym po jego upadku. Wpływ Bismarcka był ograniczonym, znikł po jego zgonie, nawet przed jego zgonem. Chociaż pierwszego dzieło zaprzepaszczonem zostało, a drugiego pozostało nietkniętem — pierwszy nie przestaje przemawiać do ludzi, drugi jest dla nich zamkniętą na zawsze książką. Napoleon zadaje kłam nauce powodzenia; Bismarck uczynił ją wstrętną. A tak dwóch wielkich w sprawach ludzkich działaczy stało się w odmienny sposób zaprzeczeniem pierwszego i głównego warunku polityki — powodzenia. Stało się to jednak tylko w dziedzinie duchowej, a duchowość wytwarza

sprzeczności w dziedzinie politycznej; bo polityka używa jej bezwzględnie, jako środka do celów materyalnych. Polityka, która, gdy jest mądrą, cudnem jest narzędziem w sprawach świata; ze wszystkich rzeczy ludzkich jest przecież najbardziej zwierzęcą i na przemian posługuje się lub pomiata tem, co stanowi wyższość, człowieka nad zwierzęciem; jest sztuką zbiorowego samolubstwa, za pomocą której osobiste znajduje swoją korzyść. Jest obrzydliwością. Bismark był wielkim politykiem.

I.

Patrząc się na niego ze stanowiska wyłącznej i ścisłej sztuki politycznej — sam powiedział, że polityka nie jest nauką, lecz sztuką — widzi się jeden z doskonałych okazów, a w tym człowieku, który zmysłu piękna nie miał, podziwiać przychodzi piękno sztuki politycznej. Miał wszystkie po temu kształty, warunki, zalety i tę także, że umiał nieszkodliwemi uczynić dla całości swojego dzieła własne wady.

Bismarck nie tylko, że nie spotkał się z nikim, któryby mu był równym, ale natrafił na wyradzające się już pokolenie mężów stanu. Nie miał do czynienia ani z Pittem, ani z Wellingtonem, ani z Aleksandrem I., ani z Metternichem. Przyszło mu się mierzyć z miernościami, z politykami, jednymi nieożywionymi prawdziwą i potężną żądzą znaczenia, lecz próżnością, z drugimi nie tylko nie twórczymi, ale istnymi niewolnikami przyzwyczajenia, lub z marzycielami, z ludźmi przeżytymi i chylącymi się już do upadku, nie z całymi, w pełnej sile, mężami stanu. Wśród nich być olbrzymem, mogłoby nieco zmniejszyć rozmiary olbrzyma. Ten brak nie już równych, ale nawet godnych współzawodników, ludzie nazwią szczęściem. Ale temu twier-

dzeniu zadaje kłam to, że nikt inny nie umiał tak skorzystać z niższości, głupoty, niedołęstwa, zaślepienia, krótkowidzenia, nieporadności, wreszcie marzycielstwa i złudzeń lub zmiękczenia, słowem ze wszelkich braków i niedostatków współczesnych polityków, jak Bismarck. Albowiem tego określić nie można nic nieznaczącem mianem szczęścia, gdyż to było jego właściwością polityczną, jego zasługą polityczną, jego znakomitością polityczną, iż zrozumiał, że w wielkiej grze stanowić to będzie jego korzyść, i że tę zużytkował. I nie wiedzieć co bardziej podziwiać, czy sposób, w jaki współczesnych wyzyskiwał, czy pogardę, jaką dla nich miał.

Każdej polityki państwowej ostatnim wynikiem jest powiększenie terytoryalne. Wszystko inne jest literaturą, wymową, poezyą, filozofią, moralnością, miłosierdziem, socyologią, wreszcie bezpaństwową polityką, najczęściej bałamuctwem, ale nie państwową, lwią polityką. Przygotowawcza robota gospodarcza, nagromadzenie środków i żywiołów, należą także do polityki państwowej, ale ostatnim jej wyrazem i objawem jest nabytek terytoryalny, którego następstwem względna lub bezwzględna potęga. Wszelkie inne wcielenie i ujawnienie mocy państwowej, jest albo sztucznem, albo złudzeniem, które wcześniej czy później rozwieje się. Dwa tego są rozstrzygające dowody: że wszelka utrata terytoryalna jest zapowiedzią klęsk innych i początkiem upadku państwa, oraz, że państwo, które nie nabywa terytoryów, zwykle je utraca. Jedna z przyczyn upadku Polski była, iż jałowe prowadziła wojny. Nabytek terytoryalny musi przedstawiać rzeczywistą wartość dla nabywcy, inaczej staje się także złudzeniem. Nabytek powinien przewyższać lub przynajmniej być wart nakładu i ryzyka. Podbój wreszcie jest wtedy tylko cennym, gdy jest następstwem istotnej siły podbijającego państwa; inaczej jest przypadkowym i wrzekomym. Ale wartościowy nabytek terytoryalny jest

w swej istocie i ostatnich następstwach — zadaniem polityki państwowej. A to tak dalece, że z chwilą, w którejby przestał niem być, polityka ta przeistoczyłaby się w coś zupełnie innego, jak to, czem jest i przestałaby być tą sztuką, której dotąd dajemy tę nazwę, a którą przekształci chyba ogólne rozbrojenie i wieczny pokój.

Polityka dodatnia polega zatem w swym wyniku na zabieraniu — bierna na strzeżeniu tego, co się ma, przed zabraniem. Bismarck był wielkim politykiem. Zabrał bardzo wiele na rzecz Prus, nic nie pozwolił zabrać Niemcom, z których uczynił dźwignię potęgi Prus. Bismarck w znaczeniu wyłącznie politycznem był politykiem dodatnim; naprzód myślał o zabieraniu, w drugim rzędzie o tem, aby nie dać zabrać — naprzód o zwiększeniu Prus, następnie o tem, aby sąsiedzi i przeciwnicy nie zwiększyli się.

Aby poczynić nabytki terytoryalne, trzeba mieć lub nagromadzić potrzebne środki i żywioły. Tak zatem polityka państwowa, rozpada się na dwa wielkie działy: zachowanie lub nagromadzenie środków i żywiołów, oraz umiejętność użycia ich dla powiększenia terytoryalnego, względnie potęgi. Te dwa działy są sztuką rządzenia, czyli dzierżenia i wykonywania władzy państwowej, wewnątrz i zewnątrz. W obydwóch Bismarck był znakomitym politykiem.

Aby człowiek spełnił zadanie polityki, nie dość po temu środków państwowych, trzeba, aby zdobył sobie osobiste: znaczenie i władzę, czyli możność zastosowania środków państwowych lub narodowych. Człowiek, czujący w sobie zdolność i siłę do spełnienia zadania polityki i posiadający je rzeczywiście, musi zatem dążyć do znaczenia i władzy. Niech pospólstwo zwie to żądzą czy próżnością, samochwalstwem czy chęcią dojścia, samolubstwem czy pychą, jest to spełnieniem

politycznego obowiązku, bo wytworzeniem jednego z niezbędnych warunków do podjęcia zadania polityki.

Bismarck zdołał z niczego wznieść się stopniowo do najwyższego znaczenia i pozyskać pełną władzę, a to w sposób niepospolity, niezwykły – nie tylko zdolnościami umysłu, ale właściwościami charakteru, nie tylko świetnemi i obliczonemi pomysłami, ale odwagą osobistą i obywatelską, hartem duszy. Umiał od pierwszej chwili publicznego zawodu zwrócić na siebie uwagę, wysunąć się na pierwszy odrys, coraz większe na nim zająć miejsce. Nie obawiał się wystawiać wobec ludu na małe i wielkie burze niełaski, oraz osobę i stanowisko na monarszą. Staczał w tej mierze umiejętnie i śmiało zacięte walki, posługując się na przemian przebiegłością i gwałtownością. Rósł bez przerwy; celu dopiął; górował nad ludem, zapanował nad monarchą; stał się — nie posiadając najwyższej władzy — wszystkiem i pierwszym w państwie.

Kilku zaledwie ludzi politycznych pozostało pierwowzorami, a nieliczne ich nazwiska stały się nieśmiertelnemi. Jak w dziedzinie sztuk pięknych jest w każdem dziale zaledwie kilka arcydzieł, tak w galeryi poświęconej sztuce politycznej, jest zaledwie kilka okazów pisarzy i ludzi czynu, mających znamiona doskonałości.

Jednym z takich okazów jest Bismarck.

Zdobywszy sobie spiesznie osobiste warunki, potrzebne do spełnienia zadania polityki, przystąpił odrazu do tego, co jest każdego polityka obowiązkiem pierwszym: oddał całą swoją bogatą istotę, oddał się całkowicie nagromadzeniu środków i wytworzeniu żywiołów państwowych, potrzebnych do spełnienia zadania polityki. W jego wykonaniu okazał się mistrzem w użyciu środków i żywiołów. Rzecz niezwykła ze stanowiska sztuki politycznej, w której tylko geniusz zastąpić może doświadczenie; najmędrszem, najwytworniejszem, najdoskonalszem było Bismarcka początkowe i pierwsze,

jako kierującego męża stanu, działanie — inne zaś jego dzieła już tylko tego pierwszego działania następstwami. Jak najświetniejszemi, najbardziej zdumiewającemi i genialnemi były pierwsze Bonapartego we Włoszech wojny, bo były objawem twórczości, tak Bismarcka-Schönhausen spór z parlamentem, umożebnienie przekształcenia armii i pokierowanie wojną duńską, były politycznymi czynami, w jego zawodzie najtrudniejszymi, najbardziej podziwu godnymi, mistrzowskimi, bo objawami niezwykłej pomysłowości.

W dziale przygotowawczym miał Bismarck pierwszorzędnych współpracowników, zwłaszcza technicznych i pomoc ze strony monarchy, posiadającego zmysł władzy, a nie odczuwającego zazdrości władzy. Co się tyczy użycia przygotowanych środków i żywiołów — nie zastosowania ich technicznego, co jest znowu czemś innem i szczegółem, acz ważnym — Bismarck był sam i był samorodnym, potężnym twórczością, niewyczerpanym w pomysłach, niezrównanym w wykonaniu. Był myślą i czynem, zdolnością myślenia i zdolnością czynu, niezwykłym, niepospolitym.

Nie mówiąc o bystrości politycznej, o przenikliwości wzroku, które zaraz na wstępie jako posłowi pruskiemu w Frankfurcie, pozwoliły mu dostrzedz, ocenić, rozpoznać w czem i gdzie tkwiła główna dla terytoryalnych nabytków Prus przeszkoda, a może już także, na czem polegała łatwość usunięcia jej, wiedział Bismarck, jaką należało obrać drogę, jakie wyznaczyć przystanki, aby spełnić zadanie. Od początku do końca miał jasne zrozumienie środków i celu, i ani chwili nie zawachał się. Przy sile rozumu miał siłę woli.

Przekształcenie armii, którego pragnął król Wilhelm, które obmyślił jenerał Roon, było pierwszym i niezbędnym warunkiem nabytków terytoryalnych Prus, bardziej może im, niż jakiemukolwiek, za naszych czasów, państwu potrzebnych, zarówno ze względu geogra-

ficznego bezpieczeństwa i bezwzajemnej komensacyi, jak ich przyszłości. Wobec butnej małoduszności sejmu, wtedy gdy zdawało się, że wszystko stracone, gdy nikt już zadania podjąć się nie chciał, a monarcha od niego odstąpić i ponoś złożyć koronę zamyślał, Bismarck wziął się do dzieła i przeprowadził je z całą odwagą, stanowczością, siłą, zręcznością i wytrwałością, które znamionują nie tylko wielkiego polityka, ale męża, *vir*.

Zadanie polityczne, o którem mowa, wymagało nie tylko nagromadzenia niezbędnych środków, ale także wytworzenia właściwych żywiołów. Nie wystarczało wojsko; trzeba było powagi, uroku i siły władzy monarszej. Niedawne wypadki nauczyły były, że w braku tych środków i tych żywiołów, na falach ludowych, za pomocą głosu publicznego, celu dopiąć nie można było.

Bismarck w sporze z sejmem o przekształcenie armii nie tylko je przeprowadził, ale walcząc zarazem o władzę monarszą, uratował, nawet spotęgował ją — to jest utwierdził zasadę państwową; a tak jednocześnie dostarczył środków i wytworzył żywioły potrzebne do spełnienia zadania polityki.

Bismarck okazał tu doskonałe zrozumienie warunków już nie tylko potęgi, ale istnienia państw. Robota zaś jego była tem misterniejszą, że nie pokusił się o zdruzgotanie instrumentu, który dysharmonię w państwo wprowadził, lecz dostroił go do jego potrzeb. Nie zniósł konstytucyi, nie usunął sejmu, nie ogłosił rządów wszechwładnych — co przecież uśmiechać mu się mogło — ale stanowczością, stałością i czynami nie dozwolił sejmowi przeszkodzić spełnieniu zadań polityki i w końcu zmusił go do ułożenia się do państwowej równowagi. Zrozumiał, iż sejm był potrzebnym, jeżeli nie niezbędnym, to pożądanym w nowoczesnem gospodarstwie państwowem środkiem; zrozumiał bowiem, że obecne gospodarstwo nie może się obejść bez maszyn, że maszyną pomocniczą jest sejm. Zarazem przekona-

nym był, że nie był on niczem innem, ani niczem więcej, jak maszyną, że był środkiem, nie celem, że nie był pierwiastkiem dobra publicznego, lecz narzędziem, ułatwiającem osiągnięcie dobra publicznego. Ztąd wynikało, że z chwilą, w której maszyna nie spełniała zadania, rozmijała się z celem, że skoro przestała żąć, orać czy siać, nie tylko nie dopomagała, ale utrudniała, a na razie wstrzymywała gospodarcze czynności. Wtedy powstawał obowiązek, potrzeba, konieczność gospodarowania bez maszyny, odłożenia jej na bok do chwili, w której naprawiona da się znowu zużytkować. Żeby zaś wszystko miało stanąć dla tego, że maszyna nie spełniała zadania, byłoby największą niedorzecznością.

Tam, gdzie sejm przestaje być patryotycznym, ustaje powód używania go, tem więcej słuchania i szanowania go. W ogóle gdzie sprawa publiczna przepada w braku rozumu i sumienia, tam każdy do tego zdolny powołanym jest postąpić sobie wedle rozumu i sumienia, a gdzie taki się nie znajduje, tam jest upadek. Bismarck w sporze z sejmem nie tylko był wielkim politykiem, ale także mężem silnym i patryotą pruskim. Prócz tego torował sam sobie drogę do czynów, które spełniać miał.

Nie wiemy, czy sumienie, ale to niezawodne, że rozum wyrobił mu przekonanie, a nie zawiodła go przenikliwość. Szedł wciąż i postępował dalej, jak człowiek silnie przekonany a jasnowidzący, i dla tego był wtedy wspaniałym, i dla tego, jeżeli nie miłość ogółu jednać sobie, to uwagę jego zwracać na siebie począł. Żadnej w tym czasie nie dostrzegamy w nim słabości, żadnej wątpliwości, żadnego wahania. Wielką odpowiedzialność dźwiga bez znużenia, wielką niełaskę ludu bez omdlenia. Jeżeli to tylko żądza wywyższenia, to taka, co ma moc przekonania. On jeden podjął się zadania, on go sam dokonał. Tej zatem co on miary, nie było żadnego.

„Czy chcesz pan — zapytał go był król — także i przeciw większości kraju przyjąć władzę i wykonywać ją?“ — „Niezawodnie“. — „I także bez budżetu?“ — „Tak“. Na co król podarł swoją abdykacyę.

I jak powiedział, zrobił Bismarck. „Przeciw większości kraju“, „bez budżetu“ władał, ale nie bez sejmu. Rządził krajem, a z sejmem się rozprawiał. Wchodził do izby sejmowej, jak poskromiciel do klatki nieułaskawionych, dzikich zwierząt rozjuszonych, nad któremi zapanować próbował wzrokiem. A wzrok ten musiał być nieznośnym, strasznym. Broniono się przed nim nawet współczuciem niemieckiem dla Polaków, które nie było kordyałem dla Polski, ale jadem rzuconym w twarz poskromiciela.

Podziwiać trzeba wpływ politycznego, zarazem męskiego postępowania. Pomimo sporu, pomimo zatem opłakanych wewnętrznych stosunków, niepewnej przyszłości, przed dokonaniem przekształcenia armii, dla tego, że znalazł się wielki polityk i silny człowiek, Prusy nie utraciły swojego na zewnątrz stanowiska; w równej jak przedtem, może w większej mierze, liczyć się z niemi przyszło, i Bismarck stawił w tym czasie i mógł bezkarnie stawić ważne, doniosłe kroki na gruncie związkowym, zuchwałą posługiwać się wobec Austryi mową i śmiało odmówić w 1863 r. udziału króla pruskiego w frankfurckim zjeździe książąt niemieckiego Związku, zwołanym przez cesarza austryackiego.

Spiesznie zastosował Bismarck nagromadzone środki i wytworzone żywioły. Przekształcenie armii, jeszcze nie skończone, ale już rozpoczęte wbrew sejmowi, oraz uratowaną w sporze parlamentarnym władzę, podniesiony urok monarchy, czyli powagę państwa, zwrócił bezpośrednio 1864 r. i natychmiast zużytkował w sprawie księstw duńskich. Byli, zwłaszcza za naszych czasów, politycy, którzy próbowali zażegnywać wewnętrzne przesilenia zewnętrznemi zawikłaniami. Bismarck wśród

przesilenia, mając już na karku wewnętrzny spór i przyjąwszy go w zamiarach i celach zewnętrznych, nie zawahał się podjąć zewnętrznego przedsięwzięcia. Nie chciał on przez to pozbyć się bezpośrednio kłopotu wewnętrznego, gdyż wprost szedł do ostatecznego celu polityki, do nabytku terytoryalnego — dostrzegł jednak, że będzie to najkrótsza droga do zakończenia sporu.

Z zatargiem wewnętrznym więc na barkach, rozpoczął zewnętrzną pokojową walkę w Związku niemieckim i rozpoczął zewnętrzną wojnę z Danią. Wybrał wprawdzie w walce związkowej, dogodnego przeciwnika dla okazania swej wyższości politycznej i dyplomatycznej — w wojnie zaś nieprzyjaciela najwłaściwszego i najbezpieczniejszego dla wypróbowania przygotowujących się środków, bo małe i słabe państewko. Do wojny wciągnął jako sprzymierzeńca, głównego w pokojowej walce związkowej przeciwnika Austryę, a odosobnił najzupełniej owego słabego nieprzyjaciela Danię, posługując się wypadkami polskimi. Zwyciężył, ominął wszystkie niebezpieczeństwa zwycięstwa; korzyści wszystkie, bez wyjątku i bezlitośnie, dla siebie zachował, podczas gdy pokrzywdzeni i oszukani wystawili się na pośmiewisko. I czyż można zaprzeczyć, że w całości i szczegółach, ze stanowiska sztuki politycznej, spór wraz z wojną duńską, było to arcydzieło. Większe potem zdziałał Bismarck rzeczy, doskonalszej nie. Umiejętność odosobnienia przeciwnika, jedną z najważniejszych w polityce, posiadał Bismarck może w najwyższym stopniu i do końca był w niej mistrzem. Zastosował ją w wojnie z Danią jakby *in anima vili*, tak samo jak wojsko pruskie wypróbowało iglicówki na Duńczykach.

Jedyny to okres w zawodzie Bismarcka, z którego świat mógł skorzystać, coś po nim odziedziczyć i czegoś od jego twórczości się nauczyć; ale nauka poszła w las.

II.

I przychodzi się zapytać, czy to znowu niższość niesłychana innych ludzi politycznych, czy bezwzględna wyższość polityczna Bismarcka sprawiła, że zaraz, bezpośrednio, ten sam sposób i ta sama umiejętność odosobnienia nieprzyjaciela nie zawiodły, powiodły się doskonale, jeszcze lepiej, jeszcze w wyższej mierze i większych rozmiarach, jeszcze w donioślejszych następstwach, z nieprzyjacielem niepodrzędnym, ale równym — o wiele przeszłością, tradycyą, dostojnością i wszystkiem, co do szlachetnych i wzniosłych uczuć ludzi przemawiało zawsze, wyższym.

Bismarck stoczył o panowanie w środkowej Europie w 1866 r. wojnę z Austryą w takich warunkach odosobnienia jej, a do tego przyspożywszy jej nieprzyjaciela we Włochach, że tylko jego przezorność i to umiarkowanie, które było u niego brakiem dążeń do powszechności oraz wszechświatowych pragnień, przeszkodziły zupełnemu jej zniecstwieniu. Tu wyższość Bismarcka polegała na tem, że nicość otaczających go ludzi politycznych umiał wyzyskać bez nadużycia jej, skoro to ani potrzebnem mu było, ani odpowiadało jego ostatecznemu i ograniczonemu wprawdzie celowi. Był to człowiek, który zawsze wiedział, czego chciał, a nigdy nie chciał, czego nie wiedział. Co za różnica między nim a tylu innymi, zwłaszcza nami!

Jedną zdumiewającą właściwością polityczną Bismarcka było, iż przy gwałtownych namiętnościach, które były przecież także sprężyną jego czynności, przy wypieszczonej urazie i wydoskonalonej zemście, był on w wielkich swoich działaniach wytrawnym. Chciał wyprzeć ze Związku niemieckiego Austryę, ale nie chciał jej bez koniecznej potrzeby znicestwić; wyparł ją, ale zachował jej byt. Chciał złamać opór sejmu, ale nie

zniweczyć konstytucyi; złamał opór sejmu i zachował ustrój konstytucyjny.

Po zwycięstwie i pokoju zawartym z Austryą, bez z jej strony strat terytoryalnych na korzyść Prus, Bismarck zażądał bezpośrednio od sejmu ryczałtowego rozgrzeszenia za cały czas swoich rządów od 1862 r. sprawianych wbrew, acz nie bez sejmu. W mowie tronowej z 5. sierpnia 1866 r. znajdował się następujący ustęp:

„Jeżeli wszelako rząd mój prowadził gospodarstwo państwowe przez lat kilka bez tej prawodawczej podstawy, stało się to, po sumiennem zbadaniu, w obowiązkowem przekonaniu, że dalsze prowadzenie prawidłowej administracyi, spełnienie prawnych zobowiązań względem wierzycieli i urzędników państwa, utrzymanie armii i urządzeń państwowych były rzeczami, od których byt państwa zawisł był, i że ztąd owo postępowanie rządu było jedną z tych nieodzownych konieczności, przed którą żaden rząd, w interesie kraju, nie może i nie powinien się cofnąć. Żywię nadzieję, że ostatnie wypadki dopomogą do tego, aby niezbędne porozumienie do tyla sprowadzić, iżby rządowi mojemu udzieloną została chętnie indemnizacya, której od reprezentacyi kraju żądać należy za prowadzenie administracyi, bez ustawy o zarządzie państwowym, i ażeby przez to dotychczasowy spór na zawsze zakończonym został, tem pewniej, iż należy się spodziewać, że polityczne stanowisko ojczyzny dozwoli rozszerzenia granic państwa i utworzenia pod kierunkiem Prus zjednoczonej armii związkowej, której ciężary ponoszone będą równomiernie przez członków Związku“.

Jest to doskonałe określenie obowiązku każdej sumiennej, szanującej się, patryotycznej władzy, wobec zaślepionego, niepatryotycznego i znarowionego, tem samem mijającego się z powołaniem swojem przedstawicielstwa ludowego; jest to uwidocznieniem tej prawdy, że konstytucya wszelka dla dobra ojczyzny, nigdy

dla jej zguby wykonywaną być powinna, i że konstytucyjne postępowanie kończyć się musi tam, gdzie rozpoczyna się szkoda i niebezpieczeństwo państwa. Przychodzi chwila i zachodzi wypadek, w którym wszelka kazuistyka, wszelkie tłómaczenie ustaw, wątpliwości, szkrupuły i wachania ustają, a zdrowy rozsądek rozstrzyga. Dodajmy, że ów spór Bismarcka z sejmem rozgrywał się między rządem, raczej między państwem, a większością.

Nie nadeszły były jeszcze czasy, w których jak to się stało w Austryi w 1897 r. sztuka rządzenia tak nisko upadła, a zamięszanie pojęć tak wzrosło, iż w ustroju parlamentarnym mniejszość stała się czynnikiem tamującym bieg spraw państwowych, iż łudził się ogół, że z tem spaczeniem parlamentaryzm istnieć może, iż nie umiano, ani zdołano, chcąc go utrzymać, zaradzić, ani poskromić, ani usunąć tej potworności, iż nie potrafiono zasłonić państwa przed szkodą i niebezpieczeństwem, pochodzącem nie już od większości, ale od mniejszości parlamentarnej. Bismarck przyjął w interesie państwa spór z większością i zwyciężył. Byliśmy w Austryi świadkami rządów, zmuszonych ustąpić przed mniejszością i rządów wobec niej bezsilnych. A w tym stanie rzeczy, wśród tych zboczeń niesłychanych i niepojętych, pozostanie bądź co bądź zaszczytem hr. Badeniego próba, choć nieudana, przełamania złego, chęć, choć bezowocna, sprostowania spaczenia, zamierzenie się, choć bezskuteczne, na potwora zmianą regulaminu izby i natychmiastowem jej zastosowaniem. Bo nie to było największem w Bismarcku, iż zwyciężył, ale, że podjął walkę; podjął ją bowiem w imieniu prawdy państwowej, przeciw fałszowi antypaństwowemu.

Dla odniesienia zwycięstwa, które święcił Bismarck, otrzymując 8. września 1866 r. od sejmu rozgrzeszenie, nie danem jest każdemu użyć takiego dowodu, jak Sa-

dowa, ani też tego na razie może silniejszego, zawartego w słowach: „Nasze zadanie nie jest jeszcze rozwiązane, wymaga ono jedności całego kraju dla czynu i dla wrażenia na zagranicę“. Nie danem jest bowiem każdemu mieć przyszłość.

Bismarck rozpoczął zawód jako skrajno-zachowawczy, zaciągnął się na wstępie do lekkiej jazdy tak zwanego wstecznictwa i wysuwał się na najdalsze placówki, nie tylko, aby walczyć, także, aby odznaczyć się. Jego istota i całe postępowanie, myśli i czyny, świadczą, że jego zachowawczość nie wynikała z zasad, lecz z pierwiastku, znajdującego się w każdym wielkim polityku, mocą którego wtedy nawet, kiedy jest na usługach lub posługuje się wywrotowemi dążeniami, hołduje wewnątrz siebie zachowawczości dla tego, że pierwszym warunkiem nabywania jest zachowanie. Chęć nabywania bez umiejętności posiadania byłaby czemś tak chorobliwem i niemal szalonem, jak marnotrawstwo. Ztąd w ludziach prawdziwie politycznych, zawikłanych w działania wywrotowe nawet najskrajniejsze, następuje zwrot na korzyść powagi i siły władzy, nie najmniejszy u najdalej idących, byle politycznie wyższych.

W Bismarcku ten pierwiastek, był silnie rozwiniętym i stanowił jego zachowawczość.

Że zasady były niczem dla niego, a przekonań nie miał, dowodem tego, iż powaga monarsza nie pozostała dla niego świętą. Podziwiać tu przychodzi słabość, kruchość, nikczemność istoty ludzkiej. Wśród mdłości z utraty własnej władzy, Bismarck z krzywdą państwa, bez pożytku dla siebie, przez lata, z lekkomyślnością młodzieńca, mściwością starca, poświęcał i narażał z Friedrichsruhe powagę monarszą w Prusiech i w cesarstwie niemieckiem, zatem zasadę władzy w państwie. Ten człowiek wielkiego rozumu politycznego, ten człowiek silny, ani zrozumieć tego nie zdołał, ani zapanować potrafił nad tą słabością. A tak jedyny w nim pier-

wiastek zachowawczy, poczucie władzy, przeistoczył się w wywrotowy; gdy zaś zwykle najwięksi anarchiści, byle politycznie wyżsi, kończą zwrotem na rzecz władzy, jej powagi i siły, największy naszych czasów samowładca i największy polityk skończył na tem, że szkodził jej. Wielki upadek ludzkiej istoty, ale też nie mała igraszka losu!

Że Bismarck podczas swojego dziejowego działania zadawał kłam zasadom zachowawczym, choć rozpoczął od przemawiania w ich imieniu, że ten konserwatysta zrywał z konserwatystami, to objaw nie nowy, ani jedyny w dziejach i to należy do innego rzędu myśli i czynów.

W ogóle trudno, niemal niepodobna człowiekowi politycznemu, w wielkim kształcie, pogodzić swoje zamiary i działania z zachowawczością, już dla tego, że celem takiego polityka musi być nabywanie, podczas gdy zachowawczość tak zaślepia się i zacietrzewia w zachowaniu, iż przestaje zwykle czuć i widzieć, że nieraz, najczęściej warunkiem zachowania jest nabywanie, czego niezrozumieć nie może wielki polityk. Ztąd zaraz powstają sprzeczności: nieruchomość zachowawczości, a rzutkość wielkiego polityka, uczciwość pierwszej, a bezwzględność drugiego, i tak, gdy pierwsza krępuje drugiego, drugi niepokoi, zamąca, w końcu burzy zachowawczość. Bismarck był równie wielkim politykiem, jak wielkim burzycielem zachowawczości. Zachowawczość dla tego tylko nie przeszkodziła spełnieniu dzieła Bismarcka, że on nie dał się nią krępować.

Stronnictwo zastąpić może w państwie brak wielkiego polityka — wielki polityk nie może się dać zastąpić przez stronnictwo i dla tego poświęca je. Dla zwykłego zaś polityka stronnictwo jest użyteczną, nawet niezbędną podporą, której wyzbywać się niepowinien, bo ono dopomaga mu do spełnienia tego, co speł-

nić ma, a nie przeszkadza mu w dokonaniu tego, czego dokonać nie ma.

Stronnictwo każde, choćby najbardziej patryotyczne, nie jest uosobieniem państwa, wielki polityk musi przedstawiać sprawę całości. Taki polityk, dążący do zdobyczy i nabytków, działa w imieniu nie części, ale całego społeczeństwa, czyli państwa. Trudnem, acz nie byłoby to niepodobnem naczelnikowi stronnictwa, który musi mieć wciąż na oku sprawę części i występuje w jej imieniu. Nie zawsze sprawa całości zrozumianą jest przez część, ale rzadziej jeszcze część postępuje sobie zgodnie ze sprawą całości. Stronnictwo może wprowadzić porządek rzeczy lub przeprowadzić użyteczną naprawę dla całości, ale zużytkować pierwszy lub drugą dla niej, już mu trudniej i nie zawsze temu zadaniu sprosta.

Szczęściem dla całości, gdy pojawia się wielki polityk, który zastępuje w tej mierze stronnictwo; ale to rzadko się zdarza. A tylko te stronnictwa były doniosłemi, potężnemi i zapisały się w dziejach złotemi literami, które wyjątkowo dokonały całego dla całości dzieła, to jest, które wprowadziły odpowiedni porządek rzeczy, przeprowadziły potrzebną naprawę, a zużytkowały pierwszy i drugą nie dla swojego, lecz państwa dobra; ale nie często się to stało. I tylko wtedy, gdy całość sprostała w całej pełni zadaniu, to jest obowiązkowi względem siebie, ustalało się państwo, lub zbawioną była ojczyzna.

W szczegółach i w wykonaniu wielki polityk przedstawia znaczniejszą ilość siły, stanowczości, jednolitości i działalności, niż stronnictwo; tych przymiotów bowiem zdolniejszą jest jednostka, niż ciało zbiorowe; najmniej zaś może odznacza się niemi każde stronnictwo zachowawcze, mające nieraz wrodzony wstręt do działania, skłonność do rozdwojenia i wybujałą w sobie bezczynność — przy stanowczości w zasadach, chwiejność zda-

nia i niezdolność do czynów. Zachowawczość daje wielkiemu politykowi podstawę przez to, że zachowuje, ale rzadko mu jest pomocne, gdy idzie o nabycie, to jest o zużytkowanie tego, co się posiada. Zachowawcze stronnictwo to wielka skarbnica cnót, uczciwości, zasług, rozumu, zasobów, słowem samych klejnotów i złota w sztabach, z której nie danem jest wielkiemu politykowi czerpać — kraść tylko z niej może. Na takiej kradzieży nieraz schwytanym został Bismarck, na szczęście dla Prus, bezkarnie.

W galeryi, o której mówiłem, okazów polityków, mających znamiona arcydzieł, mało takich, którzyby pozostali ludźmi stronnictwa, którzyby swoim stronnictwom byli wiernymi, którzyby nie przechodzili z jednego do drugiego i którzyby nie oszukali wszystkich, tem lepiej, im więcej któremu zawdzięczali. Wielu nie należało do żadnego stronnictwa, a najczęściej ci, co do stronnictw należeli, zgotowywali im, jako stronnictwom, srogie zawody i rozczarowania. Nie było w stosunkach do stronnictw większych Don Juanów, jak wielcy politycy, bo ulegali prawu zdobyczy. I niezawodnie wyjątkowej trzebaby cnoty, wyjątkowego zaparcia się siebie i może wyjątkowej dobroduszności, aby wielki polityk wyżył przykładnie, wiernie w związku małżeńskim, ze stronnictwem zachowawczem. A prawdopodobnie takie pożycie pozostałoby bezpłodnem.

W Anglii ludzie polityczni mogli pozostać zwykle ludźmi stronnictwa, dla tego, że tam samolubstwo wobec całego świata przewyższa stronnicze. Przecież i w Anglii niejeden torys zadał cięgi zachowawczości. Gdyby Bismarck nie był ich zadał pruskiej zachowawczości, gdyby nie był zrywał z zachowawczem stronnictwem, co mu nie przeszkadzało zużytkować przymiotów szlachty pruskiej, nie byłby zabrał księstw Danii, nie byłby wyparł Austryi ze Związku niemieckiego, nie byłby przyłączył do Prus Hanoweru i innych kra-

jów, nie byłby zapewnił przewagi Prus w Niemczech, nie byłby zwyciężył Francyi, nie byłby zdobył Alzacyi i Lotaryngii, nie byłby stworzył nowego Związku niemieckiego z powszechnem głosowaniem, nie byłby włożył na głowę króla pruskiego korony cesarskiej, nie byłby zawarł trójprzymierza.

III.

Kiedy Bismarck wystąpił jako kierujący mąż stanu, w Anglii lord Palmerston kończył swój zawód; Gladstone wielkiemi odznaczał się zdolnościami, lecz od początku był niepoczytalnym w polityce zewnętrznej, a Disraeli rozpoczynał zawód męża stanu w dobrym, ale nie w wielkim kształcie. Na stałym lądzie po śmierci Cavoura, który jakby na zawołanie ustąpił z tego świata, Bismarck, jak powiedziałem, nie miał się z kim mierzyć i nie miał nie tylko sobie równego, ale siebie godnego polityka. Jeden Napoleon III. zachował był pozory człowieka politycznego, bądź co bądź niezwykłego. Sposób niepospolity, w jaki zdobył był władzę, zapanowanie nad wzburzonem i do wywrotów nawykłem społeczeństwem francuskiem, pierwsze jego działania i czyny w stosunkach międzynarodowych, śmiałe myśli i doniosłe hasła rzucone w świat — otaczały go wyjątkowym blaskiem, użyczały mu świetności od dawna niewidzianej i wywierały, zapewniały mu, na razie, znany wpływ i niezaprzeczone znaczenie, które pozostały pierwszem wspomnieniem naszego pokolenia, podczas gdy drugiem stały się działania i dzieła Bismarcka.

Jednym z darów, którym bogato obdarzony był Bismarck, była zdolność rozpoznania, zgłębienia, przeniknięcia ludzi, z którymi miał do czynienia, zarówno jak wszelkich żywiołów, czynników, słowem wewnętrznych stosunków ościennych państw. Posiadał w tej

mierze moc röntgenowskich promieni. Zastosował ją do Francyi i Napoleona III.

Przeszywa go nią, przenika go i widzi, że albo prawdziwym politycznym człowiekiem nigdy nie był, albo, że przestał nim być; widzi, że w tem stworzeniu ludzkiem choroba już wzięła górę, że niema w niem zdrowej, nienadpsutej części, że to, co mogło było w niem być żywotnego, zatem dla przeciwnika niebezpiecznego, znikło, wygasło i ustąpiło przed tem, co przeciwnikowi otwiera wolne pole i doskonałą sposobność przeprowadzenia swoich zamiarów. Jednocześnie zdaje sobie dokładną sprawę ze stanu Francyi i jej wojskowej siły; porównuje pierwszy z istniejącym we własnem państwie, drugą z tą, którą rozporządza. Rachunek wypada przekonywająco na jego korzyść. Odtąd Napoleon III. staje się w rękach Bismarcka igraszką. Karmi go złudzeniami, a przygotowuje mu śmiertelne ciosy. Przywłaszcza sobie i do swojego celu zastosowuje myśli Cavoura i Napoleona III.

Jest to trzecie wielkie działanie Bismarcka. Tu także szło, w treści głównej, o utratę i nabytek terytoryalny. Zadanie przedstawiało się jako dylemmat: że albo Francya posunie swoje granice do Renu, albo Prusy zapobieżą utracie swoich za Renem posiadłości, rozszerzając niemieckie na lewym jego brzegu, dla swojego strategicznego bezpieczeństwa. Występowała tu wyraźnie z jednej i drugiej strony potrzeba zabierania, dla zachowania. Był to bieg rzeczy historyczny, którego zakończenie, zamiary i dążenia Napoleona III. przyspieszały, z czego Bismarck skorzystał, mając w ręku nagromadzone środki do pomyślnego przeprowadzenia go. Posiadał bowiem najkorzystniejszy warunek, wojskową wyższość, oraz możność uprzedzenia znanych zresztą i zdradzonych przez niego samego, zamiarów przeciwnika. Mistrz w zużytkowaniu wewnętrznych kłopotów i słabości, oraz w posługiwaniu się, bezsumien-

nie, stronniczemi walkami i sporami obcych państw, zrozumiał i przeczuł, jak dalece pomocnemi mu być mogły ówczesne we Francyi stosunki. Obliczył zatem swoją przewagę tak dalece, że był niemal pewny powodzenia. Prócz tego zastosował tu swoją — zdawać się mogło zużytą — sztukę odosobnienia przeciwnika, znowu jak najskuteczniej, dzięki ogólnemu zaślepieniu. W tych warunkach, z temi danemi, byłby popełnił błąd, którego popełnić zdolnym nie był, gdyby nie był sfałszował emskiej depeszy.

Skutki wojny niemiecko-francuskiej mogą być przedmiotem badań filozofów, historyozofów, literatów, poetów, moralistów, myślicieli, całej rzeszy, która nie należy do szkoły wyłącznie politycznej; mogą dać powód do rozumowań, obrachunków i rozmyślań, do wszelkiego rodzaju ćwiczeń duchowych, mniej lub więcej świetnych i głębokich lub bałamutnych, które ostatecznie żadnego lub nie ścisły mieć będą związek z polityką. Skutki bowiem owe nie były wyłącznie terytoryalne i potęgowe, ale duchowe i cywilizacyjne. Spowodowały jeżeli nie wygaśnięcie, to oziębienie, przyćmienie wszechświatowego wpływu ducha francuskiego. Rzecz dziwna, choć zjawisko nie jedyne w dziejach, gdyż pojawiło się już przy rozbiciu państwa rzymskiego przez barbarzyńców, ubytek wszechświatowego wpływu, wywieranego przed tem przez zwyciężonego, nie został zastąpiony przez wzrost potęgi zwycięzcy, pomimo w tym wypadku wysokiej jego uczoności i znakomitego umysłowego wykształcenia. A to, co tu zaszło w dziedzinie duchowej, okazało, że dzieło Bismarcka nie tylko nie było wszechświatowym tworem, ale że odwrotnie, osłabiło wszechświatowy prąd. Było to dzieło samolubstwa, a ztąd w dziedzinie duchowej i uczuć zajęło miejsce najdokładniej określone przez Moltkego pamiętnemi słowy: „Boją się nas, ale nikt nas nie kocha“. W świecie duchowym wytworzyło się nie nowe ciepło, ale chłód,

a odczuł go najlepiej Adam Potocki, mówiąc: „Zimno w Europie bez Francyi“.

Podpisaniem między Francyą a nowo utworzonem cesarstwem niemieckiem pokoju w Frankfurcie 10. maja 1871 r. zakończonem zostało trzecie wielkie i ostatnie politycznie dodatnie działanie Bismarcka. Uznał to sam w słowach, wypowiedzianych w parlamencie 25. maja 1871 r.:

„Skoro dokonanem zostało zadanie, które postawiłem sobie przy objęciu pruskiego ministerstwa spraw zewnętrznych, a raczej powiedzieć chcę, które miałem przed oczyma: utworzenie w jakimkolwiekbądź kształcie niemieckiego państwa; a to w krótszym czasie, niż wedle rachub ludzkich oczekiwać można było i w pełniejszej mierze, niż wtedy spodziewałem się dożyć, poczytuję moje polityczne obowiązki względem mojej ojczyzny poniekąd za spełnione“.

W trzech tych wielkich dodatnich działaniach zamyka się znaczenie historyczno-polityczne Bismarcka.

Pomimo, iż w wyżej przytoczonych słowach mówi przy założeniu nowego cesarstwa niemieckiego, że zadaniem jego było utworzenie państwa niemieckiego, bezpośrednim i głównym jego celem było zwiększenie terytoryalne i zapewnienie potęgi Prus. Terytoryalnie zwiększył on Prusy znacznie i dał im niezbędną spójnię. Niemiec niczem nie zwiększył, z wyjątkiem Alzacyi i Lotaryngii, które kształtem i przeznaczeniem, jakie nadano im, służą do zasłonięcia pruskich posiadłości na lewym brzegu Renu, są strategiczną dla Prus rękojmią, a do Niemiec należą. Sam nazwał tę zdobycz: *ein rein geographisches Bedürfniss; es ist das Vorland für uns, wie das Glacis der Festung.* Księstwa duńskie były pruskim podbojem i wyłącznym nabytkiem nad Danią, zarazem nad Związkiem niemieckim. Umniejszył zaś Bismarck Niemcy, wyłączając ze związku Austryę. Przy utworzeniu cesarstwa niemieckiego miał niemal jedynie,

w każdym razie przeważnie, na oku potęgę Prus. Ona była celem — zjednoczenie Niemiec narzędziem. Bismarck hołdował sprawie pruskiej, posługiwał się myślą niemiecką. Niemiecka myśl była falą, a Bismarcka było sztuką, że w niej nie utonął, lecz na niej popłynął do portu.

Odczuł gorącą miłość dla myśli niemieckiej dopiero w czasach bezwładzy i marnych wynurzeń.

Uderzającą jest szybkość, z jaką Bismarck dokonał swojego dzieła. Budowy polityczne, w wielkich kształtach, wtedy były trwałemi, gdy rosły z biegiem czasu, staraniem pokoleń i szeregu pracowników; zaczęte przez jednych, dokonane przez innych, stawały się wyrazem potęgi i przewagi w znanym świecie. Pośpiech zdaje się być sprzecznym z prawami powstawania takich gmachów. Mniemać można, że potrzebnym dla ich trwałości cementem nie są czyny jednego człowieka, ale doświadczenie i tradycya. Aleksander Wielki, zużytkowując zasoby i przygotowania ojca, sam wszystko odrazu spiesznie dokonał, jakby jednem tchnieniem. Dzieło jego nie miało trwałości, runęło; państwo jego rozpadło się. Dzieło Bismarcka dokonanem, skończonem zostało w jednym okresie, przez jedno pokolenie, przez jednego człowieka i jego pomocników — jednem wysileniem, jednem tchnieniem, trzema po sobie spiesznie idącymi zamachami. Aleksander Wielki miał daleko sięgające pragnienie i żądze, budował w wszechświatowym kształcie. Bismarck nie miał pragnień i dążeń Aleksandra, wybudował gmach monumentalny, ale nie w tym co tamten kształcie, nie tych rozmiarów; dzieło jego, acz znaczne w naszym świecie zajęło miejsce, powszechności znamion nie ma, wszechpotęgi zaledwie przez chwilę ogólnego osłupienia sprawiło złudzenie. Stworzone przez Bismarcka państwo nie pragnęło być, nie było, nie jest, nie będzie, czem był Rzym: *la tête du corps formé par tous les peuples du monde* — jak

rzekł Montesquieu. Prusy tylko Niemiec stały się głową. Bismarck, tworząc cesarstwo niemieckie, nie wskrzeszał cesarstwa rzymsko-niemieckiego, zakładał prusko-niemieckie; nie natchnął się pragnieniami powszechności tamtego; unikał nawet w tym względzie pozorów i w tym kierunku zapędów. A tylko w pruskiem znaczeniu twór jego jest następstwem i wynikiem tradycyi, albowiem tradycya cesarstwa niemieckiego pruską nie była; pruską była tradycya zabierania i zwiększania się terytoryalnie.

Skoro stało się to w pełnej mierze, Bismarck poczytał swe dzieło za skończone; żadnej innej, dalej sięgającej nie odczuł potrzeby, nietylko powszechnej, ale nawet niemieckiej i tylko jedną uznawał, zachowania tego, co Prusy nabyły. I dla tego odzywając się w imieniu Niemiec, był umiarkowanym, bezinteresownym, wspaniałomyślnym, szlachetnym, sprawiedliwym, bogobojnym nawet. Przemawiając bowiem w ośmdziesiątą rocznicę swoich urodzin, sam najlepiej określił samolubstwo i wstrzemięźliwość swej polityki, jej pruską chciwość zadowolnioną i jej obojętność pod względem dalszych celów niemieckich lub światowych. „My Niemcy — rzekł — nie mieliśmy po 1871 r. żadnego już powodu prowadzić wojny; to, czego potrzebowaliśmy, mieliśmy. Walczyć poza tem dla miłości podbojów, dla przyłączenia krajów dla naszego zadowolenia zbytecznych; wydało mi się bezbożnością, mógłbym powiedzieć bonapartystowską bezbożnością, cudzoziemską, która obcą jest naszemu germańskiemu poczuciu sprawiedliwości“.

Szybko, pospiesznie powstały dwa państwa: Aleksandra i Bismarcka; ale w odmiennych zamiarach i w innych kształtach. Gmach Aleksandra rozpadł się po jego śmierci. Budynek Bismarcka stoi pod dachem po jego zgonie; winien przecież jeszcze złożyć dowód — trwałości.

IV.

Bismarck posiadał umiejętność ogółu i części. Jak Napoleon w wojnie, tak on w polityce z darem pomysłów i twórczością odrysu łączył zdolność zgłębienia, obliczenia, obmyślenia szczegółów. Umiał zastosować środki do wielkich rzeczy, zarazem zbadać i poznać swoje i przeciwnika, zasoby i zamiary, porównać je, oraz ocenić neutralnych. Dowodem tego trzy wojny, których był politycznym twórcą i duszą.

Wielkim pomysłem Bismarcka, w polityce biernej czy odpornej, było trójprzymierze, tak, iż rzec można, że to trzecie jego doniosłe dzieło. Wiedział, że spotęgowanie armii nowego Związku niemieckiego, przekształceniem i zespoleniem nie wynagradzało całkowicie ubytku w dawnym, wojskowej siły Austryi i przymierzem z nią usiłował ten ubytek zastąpić.

Każde państwo, które wzrastało i nabierało potęgi, zwłaszcza szybko, wywoływało zwykle połączenie się innych przeciw niemu, czyli koalicyę i zawsze jest na to narażonem. Siła, pchająca w tych wypadkach do utworzenia koalicyi, jest poniekąd żywiołową. Bismarck nie tylko potrafił zażegnać powstanie przeciw Prusom zwiększonym, względnie przeciw cesarstwu niemieckiemu, koalicyi; nie tylko uniknął tego niebezpieczeństwa, grożącego temu, który zabrał dużo i wzrósł, ale trójprzymierzem dokonał nierównie więcej, bo utworzył koalicyę na rzecz tego, który zabrał i urósł, dla zabezpieczenia jego nabytków. Być może, że do uniknięcia koalicyi dopomogło ograniczenie się Bismarcka, nie żywienie dalszych zamiarów, wstrzymanie się od dążenia do bezwzględnej przewagi i powszechnego panowania, jakie przedstawiało lub przedstawiać marzyło rzymsko-niemieckie cesarstwo. Bossuet, rozmyślając nad Rzymem, zawołał: *On est encore effrayé quand on considère*

que les nations qui font à présent des royaumes si redoutables..... n'ont été durant plusieurs siècles, que des provinces romaines! Tego przerażenia nie budziło państwo Bismarcka i może dla tego wywołało mniej obaw i zazdrości, może wstrzemięźliwość czy niezdolność rozszerzenia dążeń i zadania, poczytanemi zostały za rękojmię.

Podczas gdy inni zdobywcy upatrywali w zatrzymaniu się w porę niebezpieczeństwo dla tego, że ich żądzom stawiało granice, Bismarck widział w niem bezpieczeństwo dla tego, że był nasyconym.

Bismarck nie w pospolitem znaczeniu słowa bał się tylko Rosyi, a wtedy właśnie gdy głosił, że Niemcy nikogo, jedynie Boga się boją, sam najwięcej liczył się z Rosyą. Pochodziło to ztąd, że doświadczenia historyi, doskonała znajomość Rosyi, zgłębienie niepospolite zadania, nauczyły go były z jednej strony niebezpieczeństwa rozpoczęcia wojny zaczepnej przeciw Rosyi, z drugiej bezużyteczności, poniekąd bezsilności zwycięstwa. Wojna zaś odporna z Rosyą przedstawiła mu się wkrótce po ukończeniu dzieła w postaci najtrudniejszej walki o dwóch czołach, w skutek zbliżenia, następnie połączenia się Rosyi z Francyą. Zatem czyby szło o lepsze zapewnienie i zabezpieczenie państwa, które stworzył, czy o ochronienie i zachowanie takowego, jedna Rosya była niebezpieczeństwem, albowiem bez jej udziału żadne przymierze wytworzyć go nie mogło, z nią każde. Obawa Bismarcka nie była tylko obawą przed Rosyą, ale jedyną i dla tego tak znaczną i znaczącą stała się w jego zawodzie. Wiedział zresztą, że przeszkodzić dokonaniu jego dzieła mogła była tylko Rosya, a ta wsteczna obawa potęgowała obecną.

Bismarck raz tylko ustąpił i pobitym został, przez — Papieża. Nie on pierwszy i niezawodnie nie ostatni. Zauważmy jednak, że tę przegraną poniósł nie na gruncie polityki państwowej, na którym był wielkim wo-

dzem, lecz w dziedzinie polityki duchowej, w której był małym człowiekiem. Nieroztropnością było z jego strony szukać i przyjmować walkę na mało mu znanem i niekorzystnem polu bitwy. Prócz, że zawsze błędem jest wywoływać niepotrzebnie spór religijny, że wstrętnem jest bezprawiem prześladowanie, a ohydnym ucisk sumień, Bismarck tę jeszcze popełnił pomyłkę, że w państwie, składającem się z protestantów i katolików, dopuścił w czasach obojętności do sporu religijnego, nie mogąc posługiwać się protestantami przeciw katolikom. Mógł zaś przewidzieć, że w walce z papiestwem, gorliwość katolicka zaważy więcej, niż oziębłość i bierność protestancka, oraz bezwyznaniowość wolnomyślna. Niepotrzebnie, bezcelowo, wystawił się na porażkę i upokorzenie, podczas gdy ze zwycięstwa nie mógł skorzystać, a zaszczytnem nigdyby nie było. Jedyny to raz, w którym Bismarck nie obliczył, więcej stawiał, niż zyskać mógł, raczej nie mogąc zyskać. Zrozumiał to w końcu i usiłował w części przynajmniej zrzucić odpowiedzialność za wywołanie walki religijnej, to na Polaków, to na ministra Falka: na niego jednak spaść ona musi całkowicie, dźwigał ją też. Umiał przecież uznać błąd, nie zawahał się naprawić go, nie wstydził się ustąpić, choć lekkomyślnie zarzekł się był to uczynić, wycofał się w porządku, jak wytrawny strategik. Zciągnął na siebie porażkę, ale uniknął rozsypki. Okazało się, że gra była nierówna; ujawniła się tu przewaga powszechności papiestwa nad dziełem Bismarcka i jego potęgą, pozbawionych takowej. Tu słabszy czynnik ustąpił przed silniejszym. Bismarck powszechność papiestwa uznał, powierzając Ojcu św. sąd rozjemczy w sprawie Karolin. Niespożyta moc świętej naszej religii katolickiej i Kościoła okazała się w całej pełni i blasku, ona rozstrzygnęła o zwycięstwie i przez nią stwierdzoną została wyższość dziedziny duchowej nad ziemską, wyższość prawdy bezwzględnej — jaką jest katolicyzm, nad względ-

dną prawdą, jaką jest polityka państwowa, choćby największego męża stanu.

W wielkich swoich działaniach, na wielkich drogach swojej polityki, gdy w monumentalnych budował kształtach, nie miał i nie doznał Bismarck niepowodzenia. Brak ztąd ważnego czynnika w ocenieniu polityka zwłaszcza niezwykłego — nieszczęścia. Nie brak go dopiero, gdy przychodzi sąd wydać o człowieku. Tym sposobem, Bismarck, mąż polityczny, usuwa się z pod ogólnego prawa, któremu podlegali — z małemi wyjątkami — jego miary poprzednicy, co albo chwilowych, albo ostatecznych doznali niepowodzeń i nieszczęść. Tu bowiem wszystko, co zdziałanem zostało w monumentalnych kształtach, było pasmem ciągłych, niczem nie wstrzymanych, niczem nie zamąconych powodzeń, bez wyjątku, bez przerwy, bez zboczeń. A przecież politycy, Bismarcka poprzednicy, nie dalej jak Fryderyk Wielki, w niepowodzeniach, w nieszczęściach, rozwinęli godne podziwu zalety, przymioty, zdolności, czasem cnoty, złożyli dowody rozumu, wytrwałości, stałości, okazali się wytrawnymi i mężnymi w walce ze złym losem i w niedoli. Były w nich zatem wielce cenne polityczne czynniki, które składały się na ich wielkość i dopełniały jej, a przez które zasłużyli się państwu i ojczyźnie. Co się tyczy tych czynników i zalet, w niepowodzeniu, brak dowodów dla ocenienia Bismarcka. Ważna luka. Jakimby się był okazał politykiem w niepowodzeniu, nie ma, nie będzie nigdy na to pytanie odpowiedzi. A jeżeli to nie zmniejsza wartości innych jego właściwości i zdolności, któremi w szczęściu dzieł swoich dokonał, to nie zwiększa człowieka politycznego, już dla tego, że pozwala powątpiewać, a w tej mierze, nie powinien on być nawet posądzonym. Złą usługę oddają Bismarckowi, ci, co przypominają i podnoszą — rzecz prawdziwą czy nie — że udając się na wojnę austryacką zaopatrzył się w truciznę, lub, że miał zawsze na-

bitą broń, z zamiarem, w razie klęski, samobójstwa. Dowodziłoby to, że nie czuł się na wysokości niepowodzenia. Ściągnąć na państwo pogrom, a nie chcieć takowego przeżyć, dla zaradzenia mu, jest tchórzostwem politycznem. Czuć powołanie do wielkich rzeczy, a nie czuć się na siłach sprostać im wśród nieszczęścia, to nie być całym politycznym człowiekiem. Albo też przypuścićby przyszło, że Bismarck wiedział, iż nie udanie się jego przedsięwzięcia większą pociągnie za sobą stratę, bo niepowetowaną wszystkiego, niż udanie się takowego przyniesie korzyści, bo tylko powiększenie tego, co było; a wtedy postępowaniu jego zbywałoby, w tym wypadku, na obliczeniu, przezorności i wytrawności. Byłaby to awantura, nie polityka. Wreszcie w zamiarze samobójstwa byłoby więcej pychy, niż siły, więcej małoduszności, niż ducha politycznego, nie mówiąc o uczciwości.

V.

Rzeczy polskie były szczegółem w zawodzie Bismarcka, przecież ciągną się w nim jak nić, mniemaćby można, że nieraz są dla niego nicią Aryadny.

W dziełach Bismarcka sprawy polskie są przypiskami, dodanymi do każdego rozdziału; dla nas są książką. Przypiski są za obszerne, sporne, czasem luźne, nie wszędzie zespolone z całością i są zawsze zawziętą, a nieraz małą wojną, nie licującą z wielkiemi, które dzieła zawierają. Przypiski te odnoszą się częściej do Bismarcka człowieka, niż do Bismarcka polityka; okazuje się w nich osobistym, więcej niż w dziełach, wychodzą w nich na pierwszy odrys, twórcy wady, małostki, to znowu namiętności, nawet występki, słowem ujemne strony, podczas gdy na drugim dopiero do-

strzedz można właściwości męża stanu. Bismarck zwycięża w dziełach, w przypiskach pastwi się nad zwyciężonymi. Tam wielkość, choć sroga — tu srogość bez wielkości. Tam groza, tu pospolitość. Tam niezwykłe trudności przełamane, tu nadużycie wszelkich łatwości. Tam zmierzenie się z potężnymi, tu poniewieranie bezsilnymi.

Bismarck był wtedy tylko znowu politykiem niepospolitym, gdy sprawę polską wiązał ze swojemi dziełami i zużytkowywał ją dla nich. Miał w rzeczach polskich państwa pruskiego własne namiętności, a obce pomysły; pierwsze potęgowały drugie, w mowie i zastosowaniu, w słowach i czynach. Twórczym tu nie był; był nienawistnym.

Od pierwszych chwil jego władzy do ostatnich jego bezwładzy, przez ten długi historyczny przeciąg czasu, my Polacy spotykaliśmy się wciąż z nim, w naszej ogólnej sprawie i w miejscowej, w Prusach. Od powstania 1863 r., do ostatniego odezwania się organu Bismarcka *Hamburger Nachrichten* o polonizmie, ciężył na nas swoim politycznym geniuszem i swoją zawziętością. Bismarck nie mógł zapatrywać się na sprawę polską i Polaków z innego, jak pruskiego stanowiska — to prawda tak dalece istotna, że jest komunałem. Ale dla tego przypomnieć ją trzeba, że on na sprawę polską zapatrywał się i wobec Polaków zachowywał się nie tylko ze stanowiska pruskiego, ale także bismarckowskiego; a tej przymieszki zapewne historya nie uzna za dobrą, nawet za bezwzględnie rozumną.

Bismarck dopuszczał się przesad w rzeczach polskich, strzelał nieraz z armat zbyt wielkiej średnicy, nie używał właściwej. Zdaje mi się, że z umysłu, bo szło mu także o huk. Hucznych salw potrzebował, raz w zewnętrznych stosunkach, zwłaszcza z Rosyą, powtóre w wewnętrznych sprawach, czy to dla odwrócenia od innych przedmiotów uwagi, czy dla pozyskania wzięcia,

może nawet popularności. Salw tych nadużywał, a choć nie przedstawiało to niebezpieczeństwa, było niepotrzebnym wydatkiem. Bismarck wybornie rozumiał i po mistrzowsku zużytkował sprawę polską w stosunkach i wypadkach międzynarodowych i historycznych; ale ważność jej samej, ważność istotną, jako sprawy polskiej, albo przeceniał, albo z umysłu wyśrubowywał, zwłaszcza jako niebezpieczeństwo dla Prus. Mylił się więc, albo błądził. Albowiem tak na wojnie, jak w polityce, upatrywanie i oczekiwanie niebezpieczeństwa, zkąd nie grozi, lub wskazywanie go, zkąd przyjść nie może, przeszkadza rozpoznaniu, zkąd grozi, i nie pozwala mieć się na baczności, zkąd przyjść może. Utrata ziem dawnej Polski, należących do Prus, byłaby dla nich pierwszorzędną klęską. Ale jak mógł Bismarck widzieć dla nich pod tym względem niebezpieczeństwo w nieistniejącej Polsce, wtedy, kiedy ono jedynie i wyłącznie powstaćby mogło od strony Rosyi, i kiedy nigdy Prusy stracićby nie mogły owych ziem w wojnie z urojoną Polską, a stracićby je mogły w wojnie z istniejącą i istotną Rosyą. Nie chcę wcale przez to powiedzieć, aby takie niebezpieczeństwo dla Prus ze strony Rosyi miało powstać, ale możliwem byłoby tylko ze strony tego, co jest, zatem Rosyi, a jedynie niemożliwem ze strony tego, czego nie ma, zatem Polski. Bismarck uległ tu, lub uledz chciał złudzeniu optycznemu, a fałszywym był jego rachunek prawdopodobieństw. Praktycznie, zarówno jak teoretycznie, mylnie stawiał zadanie. Czy z umysłu, czy nie, zawsze błędnie, a jeżeli dla tego, aby dopomódz sobie w prześladowaniu i wynaradawianiu Polaków pruskich, to używał środków większych niż cele, kosztem rozeznania i prawdy politycznej, której gwałt zadawał. Że do kuglarstwa politycznego, że do nadużycia publicznej siły, że do osobistej zawziętości, dodał obelgę, rozminął się z zasadą, którą lekceważyć nie trzeba, iż powalonych poniżać,

zgnębionych obrażać, nie należy. A nie można było o nim powiedzieć, jak Tacyt o Agrikoli: *honestius putabat offendere, quam odisse*, bo on obrażał dla tego, że nienawidził. Tu go namiętność i mściwość uniosły, a wytrawność polityczna odstąpiła.

Bismarck był przeciwnikiem, nieprzyjacielem, wrogiem Polaków zawziętym, wytrwałym; nie tylko z przekonania, także z namiętności. Stosownie do tego przemawiał i postępował i dla tego przekształcił dawny pośredni sposób pruski w bezpośredni prześladowczy. Jak wiele innych rzeczy, zużytkował i wyzyskał sprawę polską w swoich wielkich działaniach, jak przystało na polityka, w innych jak pospolity człowiek, bo z przesadą w słowach i postępkach. Jak wielu innymi, pomiatał Polakami, nimi może najwięcej. Błędy, popełnione w czasie jego zawodu przez Polaków, pozwoliły mu zużytkować, wyzyskać ich sprawę, ich już i tak opłakane i smutne położenie i stały się jednym ze stopni, po których doszedł do potęgi, jednem z narzędzi jego wywyższenia. Wypadkami 1863 r. Polacy dali Bismarckowi sposobność, niemal pierwszą, rozpoczęcia swoich dzieł, zabezpieczenia, wzniesienia i wzmożenia ich. Upadek jego zmarnowali. Fatum polskie sprawiło, że Polska stała się dobrym geniuszem największego jej, za naszych czasów, wroga. Bismarck był niewdzięcznym, miotając na Polaków obelgi, i w tem okazał się politykiem, jak wiadomo bowiem, niewdzięczność jest jedną z właściwości polityka.

Namiętność i nienawiść zdawały się być większemi i silniejszemi, niż przekonanie i rozum polityczny, w postępowaniu Bismarcka z Polakami. A przecież ks. August Sułkowski opowiadał mi, że gdy go odwiedził podczas jego pobytu w Salzburgu w osobistych sprawach, Bismarck wdał się w rozmowę polityczną, a wśród niej książę nie zataił, „że w kraju, że w całej Polsce

ustalone jest przekonanie, iż nikt tak Polaków nie nienawidzi, jak on". Na co kanclerz zerwał się z krzesła i z oburzeniem zawołał: „Jak można coś podobnego przypuścić? Jestem mężem stanu i tylko mężem stanu i nie nienawidzę nikogo".

Czy łudził się Bismarck, czy raczej czuł, że jak na politycznego człowieka, zbyt silnie nienawidził nie samych Polaków, choć ich zapewne najbardziej.

Nienawiść, zawziętość, mściwość Bismarcka względem Polaków, miały swoje właściwe znamiona; nie te które nadaje wyrządzenie krzywdy, ale znamiona zaciekłości, siły, znęcającej się nad słabością. Była to rozpusta potęgi i przemocy. Dla tego był to objaw pokrzepiający i pocieszający dla Polaków, albowiem kto w tym stopniu jest znienawidzony i prześladowany, musi być coś wart, a to pastwienie się siły nad słabością, było oznaką, że w tej słabości siła czuła jakiś pierwiastek także siły, tylko innej, dla niej niezrozumiałej i niedosiągniętej. Tą siłą tej słabości była ta moc, której od stu lat świat jest świadkiem, której nowy świetny dowód złożyli Polacy w walce religijnej za czasów Bismarcka, ta moc, która sprawiła, że pomimo zadawanych ciosów przez obcych i przez siebie samych, Polacy nie przestali być Polakami, a która jest ich teraźniejszością i przyszłością, byle się jej nie wyzbyli, lub jej nie znicestwili w sobie i nie zmarnowali, a na zniszczenie nie narazili, ułatwianiem błędami własnemi zadania wrogom politycznym, dzieła nienawiści prześladowcom. To coś w Polakach, z czego Bismarck nie zdawał sobie sprawy, czego zapewne nie rozumiał, lecz co czuł i czego dotykał się, roznamiętniało go i że pozwolę sobie tego wyrazu, rozbestwiało go, albowiem oporność ducha obudza i zaostrza zwierzęce pociągi.

Ciężką była próba, którą Polacy przebyli podczas bismarckowskich czasów, ciężką polityką i nienawiścią, oraz własnemi błędami, które państwowej polityce i nie-

nawiści, ułatwień, pomocy, dźwigni dostarczały; ztąd straty, jakie ponieśli były doniosłe, nawet mordercze, ale patrząc się w przyszłość, dla tego najbardziej opłakane, że nie dostatecznie zużytkowali dla swojego dobra zadane im ciosy i te, które sami sobie zadali, słowem naukę, oraz, że od blisko pół wieku społeczeństwo polskie więcej wyzbyło się barbarzyństwa, niż nabyło wykształcenia.

Polakożerstwo Bismarcka miało znamię opętania. Czuliśmy go, ciężył on nad nami, przygniatał nas, prześladował, uciskał, ścigał, szydził z nas i wyzyskiwał, od pierwszych na widowni tego świata kroków, do wstąpienia w inny. Każdy Polak, rozpamiętując rok 1863, ujrzy z przerażeniem postać Bismarcka; żaden Polak nie zapomni i zapomnieć nie powinien, że nazajutrz po zgonie Bismarcka, w niedzielę 31. lipca 1898 r. *Hamburger Nachrichten* donosząc, w osobnem wydaniu, o zgonie jego, dodały, jakby to było ostatniem zmarłego tchnieniem, rozprawę: *Polskie niebezpieczeństwo*, w której zwróconą była uwaga na szybkie postępy, dokonane od dziesięciu lat w krajach prusko-polskich przez narodowe dążenia polskie, dzięki zachęcie udzielonej ze strony Kościoła rzymsko-katolickiego.

Ta ciągłość szyderstwa, nienawiści, prześladowania i naigrawania osobistego, ta ciągłość polityczna w zwalczaniu i gnębieniu, powinnyby przeciąć ciągłość polskich błędów, a utwierdzić, umocnić ich wytrwałość.

Jest przecież historyczna tragiczność w tem, że pogrobowa mściwość Bismarcka trupim jadem obryzgnęła zarazem Polaków i własnego monarchę.

Byli dawniej, byli i za naszych czasów politycy, którzy z interesu zwalczali sprawę polską, szkodę wyrządzali Polakom, nieśli nawet do Polski zniszczenie. Spełniali oni swoje polityczne zadanie i zdawać się im mogło, że spełniali obowiązek. Jednym z nich był Bismarck.

Ale za naszych czasów naród polski wystawionym został na ciosy i wytrzymać musiał szturm dwóch prześladowców, za którymi stało coś innego, niż interes państwa, bo duch zemsty i żądza tępienia: krwawego Murawiewa, bezkrwawego Bismarcka.

VI.

W zawodzie Bismarcka są dwa działy: jeden obejmuje rzeczy dokonane w wielkich kształtach, drugi zwykłe rządy, po ukończeniu tamtych. Do pierwszego działu należą: spór ze sejmem, trzy wojny, które podjął, oraz trójprzymierze; do drugiego wszystkie inne jego czynności.

Są konie wyścigowe, które odnoszą zwycięstwa i biją wszystkich przeciwników tylko na wielką metę, w tak nazwanych wielkich biegach; na krótszą okazują się miernymi współzawodnikami i w tak zwanych małych biegach nie odznaczają się. Bismarck był takim wyścigowym koniem. Pierwszy niezaprzeczenie, za swoich czasów, w kierowaniu wielkiemi zadaniami państwa, pierwszy polityk w doniosłych tworach międzynarodowych, niezwyciężony w walkach i wypadkach historycznych; w codziennym biegu spraw publicznych, w pospolitych sporach i w powszednich zdarzeniach, nic zbyt znakomitego, ani użytecznego nie zostawił po sobie, błędy popełnił, porażki poniósł i zmalał, gdy zakończył swoje wielkie dzieła, gdy zaniechał dalszych doniosłych przedsięwzięć, a próbował zwykłemi kierować wypadkami, tak samo, jak wyjątkowemi. W pierwszym dziale swojego zawodu rozwinął wszystkie zalety niepospolitego polityka, w drugim brały górę wady, ułomności, nałogi i złe uczucia człowieka, który nic nie miał w sobie wyższego, prócz, że był potężnym politykiem. Wi-

dzieliśmy już tę niższość Bismarcka w dwóch sprawach, nie należących do cyklu jego wielkich działań, w religijnej i w polskiej w Prusiech. Były jeszcze inne, w których człowiek o niskich zachciankach brał górę nad politykiem o doniosłych widokach. Zrównoważony doskonale w pierwszej części swojego zawodu, nie zawsze był wytrawnym w drugiej. Pochodziło to zapewne ztąd, że jak koń, tak i człowiek, nie do wszystkiego w równej mierze jest zdolnym, że dla jednego przygotowanie wyścigowe, dla drugiego polityczne, inne jest na wielką, inne na małą metę, że sposoby właściwe w wielkiej polityce nie dadzą się zastosować do małej, że to, co jest znakomitem w wyjątkowych wypadkach, może być pospolitem w zwyczajnych, i że polityk od święta, nie zawsze jest właściwym na dzień powszedni.

Skoro Bismarck chciał i postanowił zatrzymać się w swej historycznej działalności i zakończyć ją, właściwie zakończył tem samem swój zawód i sam to czuł, gdy po wojnie francuskiej rzekł, że „poczytuje swoje polityczne obowiązki względem ojczyzny poniekąd za spełnione“, podczas, gdy po wojnie austryackiej powiedział był: „Nasze zadanie nie jest jeszcze rozwiązane“. Tu jest duchowa chwila, w której Bismarck, nie czując pragnienia ani powołania powszechnego posłannictwa, za którem wielu jego w polityce poprzedników ubiegało się, nie zrozumiał, że z zakończeniem dzieła, którego granice sam zaznaczył — *Halten wir vor allen Dingen zunächst fest, was wir haben* — zakończyło się było jego posłannictwo historyczno-polityczne, i że połączenie bohaterskich czynów, losów wielkich przedsięwzięć, z mieszczańską umiejętnością zachowania wygranej i z mieszczańskiem jej używaniem, że zatrzymanie się w porę było coś może bardzo rozsądnego, mądrego nawet, w każdym razie wyjątkowego, ale, że w tem tkwiła sprzeczność, która musiała uwydatnić się w dalszem postępowaniu człowieka i wydobyć na wierzch

jego małostki. I rzecz godna uwagi, wszystkie one należą do drugiego działu jego zawodu, w pierwszym nie było ich. Nieraz bezużytecznym, bodaj czy nie szkodliwym stać się może człowiek polityczny, który wielkie zdziaławszy rzeczy, dalszych zrzeka się, a z władzą rozstać się nie może lub nie umie. Jest to jakby abdykacya z zachowaniem przywilejów i czynności rządzenia. W tej epoce drugiej, Bismarck nie dorósł do Bismarcka z historycznych wypadków. Widzimy też, że stworzył dzieło, że zapewnił na razie jego istnienie, ale go nie wykształcił i nie udoskonalił, nie mówiąc o tem, że niczem nie ozdobił.

Związkowe cesarstwo niemieckie, niedokładnie od początku zbudowane, nie zostało przez niego ani poprawione, ani wzmocnione, ani utwierdzone, ani w sobie lepiej zespolone. Jedno ukształtowanie wojskowe związkowego cesarstwa jest dziełem mistrzowskiem i potężnem, ale nie Bismarcka, chociaż do dokonania go dwukrotnie dopomógł. W innych częściach gmachu są rysy, którym Bismarck zapobiedz nie potrafił.

Zapominać nie trzeba, że Bismarck, którego niezaprzeczenie zaliczać się winno do wielkich i wyjątkowych polityków, należał do tych, którzy nigdy najwyższej nie posiadali władzy, dla których zatem zadanie było podwójnie trudnem. Bismarck, jak wiemy, rozwinął pierwszorzędne zdolności w pozyskaniu całej władzy, nie mając najwyższej. W dopięciu tego okazał tyle misterności, ile siły, czy szło o zawładnięcie monarchą, lub sejmem, czy o opanowanie tak zwanej opinii publicznej, wreszcie narodu. Trudniej mu było, niż kardynałowi Richelieu, posiąść całą władzę, nie piastując najwyższej, bo robota była bardziej zawikłaną, musiał się liczyć z czynnikami, które za tamtego nie istniały, lub nie były brane w rachubę, a miał do czynienia z monarchą mniej biernym, niż Ludwik XIII.

Miał to nieszczęście, że się doczekał monarchy, obdarzonego pożerającą ruchliwością, która go pochłonęła.

Jeszcze na pogrzebie Wilhelma I., a wobec przewidywanego zgonu cesarza Fryderyka, Bismarck z całą świadomością i wiarą w niespożytość swej potęgi zapewniał, jak wiemy, arcyksięcia Rudolfa, „że na wszelki wypadek z nim tylko i z nim jednym przyjdzie mówić“. Pewność ta zawiodła go. Podczas gdy cesarz Wilhelm II. zdumiewał jedynie śmiałością mowy, zdziwił raz jeden śmiałością czynu wobec Bismarcka. Upadek był srogi, tem sroższy, że nie sprowadziła go wielka jakaś sprawa publiczna, genialny, a zapoznany pomysł polityka, lecz najważniejsza ze wszystkich rzeczy ludzkich, wzajemna żądza — rządzenia. Bismarck odsunięty został od władzy, jak zwykły minister, który stał się niepotrzebnym a zawadza. I świat nie zatrząsł się w posadach, ani cesarstwo niemieckie nie rozpadło się, ani Rosya nie wydała mu wojny. A Bismarck żyć jeszcze musiał długie ośm lat i napawać się goryczą i nabrać najboleśniejszego przekonania, iż niezbędnym nie był, iż nawet istotnie potrzebnym być przestał. Albowiem na pytanie: coby się było stało, gdyby przez tych lat ośm pozostał był przy władzy? jedna tylko jest odpowiedź — nic. Postać świata byłaby się w niczem nie zmieniła, ani Niemiec, i nic godnego zapisania w dziejach nie zaszłoby było. A gdyby innem było mniemanie Bismarcka, byłoby czczem przecenianiem znaczenia i wartości dalszego jego pozostania przy władzy. Byłoby złudzeniem. Może jedynem jego złudzeniem, ale nie małem!

Bismarck po upadku był ze wszystkich chwil życia najmniejszym i takim zeszedł do grobu i z po za grobu się przypomniał, co nie przeszkadza, że pozostanie po zgonie wielkim politykiem. Ale ta część jego żywota gdy już władzy nie miał, a przeboleć nie mógł

i przebaczyć, że go jej pozbawiono, była marną. Tak nie powinien kończyć nikt, kto w czemkolwiek był wielkim, najmniej mąż stanu. Polityk tej miary co Bismarck, może zerwać się do czynu Wallensteina, lub powinien w milczeniu znieść swój upadek. O pierwsze się nie pokusił, drugiego nie potrafił i obniżył siebie samego. Zostawił nowy dowód marności rzeczy ludzkich, kończąc swój zawód w *Hamburger Nachrichten*, zdradzaniem tajemnic stanu. I mściwość tak dalece go zaślepiła, że chcąc okazać całą swoją wyższość nad tymi, którzy go odsunęli, odkrył w napadzie złości owe przeciwubezpieczenie, owo przymierze z Rosyą, pomimo trójprzymierza — twór, nie przynoszący zaszczytu nie tylko jego charakterowi, ale także i rozumowi, twór zbyteczny, bez potrzeby przewrotny, bez konieczności nie uczciwy, twór raczej wycieńczonego ciągłą rachubą, niż bystrego umysłu, niepokój skąpca, który drży o swoje skarby i coraz nowe wymyśla sztuczne zamki i kryjówki, dzieło starca, nie wytrawnego męża stanu. Przeciwubezpieczenie mogło jedynie oburzyć członków trójprzymierza, wywołać szyderczy uśmiech Rosyan, obrzydzenie ogólne, w końcu okazać prawdę owej maksymy: *Notre défiance justifie la tromperie d'autrui.* O ileby ono przyczyniło się do usunięcia Bismarcka, o tyle byłoby takowe wobec historyi usprawiedliwionem.

Były materyalnie tragiczniejsze upadki, może nie było duchowo równie tragicznego, żeby zarazem był tak nędznym. Nie mogło też być większej męczarni dla polityka, a niebezpieczniejszej próby dla człowieka.

Cesarzowa Eugenia mówiła za Dantem, po swoich nieszczęściach, że niema dla niej większej katuszy, jak pamięć chwil świetności. Bismarcka, jako polityka, męczarnia była rozpaczliwą. Inni jemu podobni, albo padali wśród rozpoczętego dzieła, albo wraz z tem dziełem. On ustąpić musiał, choć dzieło przez niego skończone istniało i nie danem mu było dalej go używać;

skazanym został na wielkie każdej dumy upokorzenie tem, że się bez niego obejść mogło. Potęgowało to niezawodnie boleść wspomnień wszechwładzy, wtedy, gdy już żadnej nie posiadał, gorycz pamięci czasów, w których był wszystkiem, wtedy, kiedy był niczem. I człowiek tej próby nie wytrzymał.

Bismarck był wielkim politykiem z rzemiosła. Był tylko politykiem, był specyalistą. Inni mogli po upadku karmić czem innem umysł i serce. On był tego niezdolnym. Prócz polityki nic do niego, do jego wewnętrznego usposobienia nieprzemawiało. Ta wyłączność zemściła się w ostatnim okresie jego życia. I byliśmy świadkami, jak największy naszych czasów gracz okazał się nałogowym, a nie mogąc wielkiej gry prowadzić, obejść się bez małej nie mógł i grał w najmniejszą namiętnie, brzydko, nawet nieuczciwie. I stało się to, że ten, który dosięgnął był wyżyn polityki, zeszedł do jej nizin, do owacyj i demonstracyj, do zwierzeń dziennikarskich i był szczodrym rad, choć znał doskonale ich wartość w polityce, ich marność, ich najczęściej przeciwny zamierzonemu skutek. I rzadko danem było w tym stopniu przekonać się, jak dalece wielki polityk małym być może człowiekiem. Upadek, który Bismarck sam sobie zgotował, był bardziej upokarzającym, niż ten, który spowodowała wola monarsza.

Bismarck miał wzrost i postawę wspaniałą, rozmiary niemal olbrzymie. Głowę jedną z największych, jakie istniały, a przecież niepodobną do głów innych znakomitych, lub genialnych ludzi; miała ona swoją wyłączną cechę. Czoło potężne, oczy piękne i duże, wzrok świadczący o niepospolitości. Całość była wyrazem i uosobieniem siły fizycznej i siły rozumu, na usługach silnej woli. Niktby nie był odgadł słabości w tym tworze. Pochodziły one ztąd może, że wszystko u niego złożyło się wyłącznie na muszkuły i głowę.

Mowca nie biegły, twardy, niepoprawny, przecież potężny. Nie przekonywał ani porywał; roznamiętniał, bo był namiętnym; zwyciężał i druzgotał. W postępowaniu nieraz wstrętny, był zawsze czarującym w rozmowie. Pielęgnowane i ze szczególnem upodobaniem przez Niemców przytaczane, złego smaku koncepty Bismarcka, nie zatrą znaczenia i wrażenia jego śmiałych, niezwykłych, doniosłych, głębokich i bystrych, pomnikowych określeń, powiedzeń, dowcipów. Takiego połączenia najwyższych zdolności z pospolitemi uczuciami, świetności i blasku w jednym kierunku, z brakami w innych, wielkich czynów z małostkami, nie często spotyka się w dziejach. Wątpić można, aby ukazał się człowiek, podobny do Bismarcka. Zdaje mi się, że w jego rodzaju nie ukaże się już drugi, nie dla tego, aby to był wzór niedosiągnięty, polityk niedoścignięty, przerastający wszystkich dawnych i przyszłych, ale dla tego, że przypuścić wolno, iż był on ostatnim wyrazem czasów, które nie powrócą, a przynajmniej nie powrócą w tych samych kształtach. Bismarck był twórczym w polityce, ale zarazem wyjałowiającym. Po tym olbrzymie pozostały same karły. Systemat swój doprowadził do ostatnich granic, do ostateczności, do absurdum, a tem absurdum jest — zbrojny pokój.

W skutek wielu przyczyn świat uległ zmianom, jego wyobrażenia i pojęcia stają się stopniowo innemi; jest to już może inny świat, a my należący do dawnego, nie rozpoznajemy go i dla tego wielu rzeczy zrozumieć nie możemy. Ten świat, który powstaje i przeobraża w sobie zwolna dawne wyobrażenia i pojęcia, niebawem już nie zrozumiałby Bismarcka, a Bismarck nie zrozumiałby go. Być może, że polityka, w tem znaczeniu, w jakiem my jej uczyliśmy się i pojmowali ją, znikać pocznie, że przeistoczy się w coś innego, i że sprawy ludzkie nie tylko nie będą potrzebowały Bismarcka, ale że nie zniosłyby go.

Sztuka rządzenia zdaje się być zagubioną. Bywały i dawniej zbrodnicze zamachy; ale żeby mord polityczny, mord przeciwspoleczny, stał się instytucyą, żeby mógł działać systematycznie, peryodycznie, na to trzeba było zatracenia sztuki rządzenia. Nie zdołała ją wskrzesić nawet śmierć zbrodniczo zadana cesarzowej Elżbiecie, najboleśniejszej ofiarze najohydniejszego sprzysiężenia.

Niepłodność pola politycznego jest zjawiskiem uderzającem i które zastanowić musi. Wnosić z jego jałowości można, że nie wyda drugiego Bismarcka. Punkt ciężkości spraw ludzkich przerzuconym być może z polityki gdzieindziej. To pewne, że o polityce już dziś zwątpić można. Nie może być polityki tam, gdzie nie ma mężów stanu. Sztuka ta zdaje się ginąć, albo też, jak nieraz z innemi działo się sztukami, nastała dla niej chwila zaćmienia. W jakim duchu i w jakich kształtach odrodziłby się kiedyś mogła sztuka polityczna, nie podobna prorokować, można jednak przypuścić, że nie w bismarckowskich.

Bismarck nie miał tej chwały, aby po jego zgonie świat odetchnął. Zaledwie, że cesarz Wilhelm II. pozbył się kłopotu. Dla wszystkich Bismarck był już nicością przed zgonem, dla nikogo czemś istotnem, żywotnem lub groźnem. Polityk był bezsilnym, jego środki przeżyte, człowiek zmalał, zeszedł był — jakem już powiedział — do najniższych stopni polityki, do demonstracyi i zwierzeń. Sposoby jego były zużyte, rady były przestarzałemi i więcej było w nich zjadliwości, niż przenikliwości. Człowiekowi zbywało na godności osobistej. I Bismarck znalazł się w tem dziwnem położeniu, że nie należał już do polityki, a jeszcze nie należał do historyi — ani do żyjących, ani do umarłych. Ztąd tylekroć zmienne zachowanie się względem niego, własnego monarchy.

Już za życia należał Bismarck do świata Dantejskiego, a nie było jeszcze w nim dla niego miejsca i tutaj znosić musiał katusze.

Dla nienawidzącego i przez wielu znienawidzonego smutny to koniec, że nikt po jego zgonie nie odetchnął. Ale kończąc o nim pisać doznaje się ulgi. Albowiem mówiąc o nim, przyszło rozumowi staczać walkę z sumieniem.

POMYŁKI DRUKU

Str. 13, wiersz 22 od góry, oraz na stronnicach 61, 71, 81, 147 — *wydrukowano* „Hohenzolernów“ *zamiast* „Hohenzollernów“.
Str. 15, wiersz 12 od góry — „która“ *zamiast* „które“, oraz wiersz 2 od dołu — „wyrachowanem“ *zamiast* „wyrachowanemi“.
Str. 28, wiersz 10 od góry — „stragicznem“ *zamiast* „strategicznem“
Str. 30, — cyfrę „29“ *zamiast* „30“.
Str. 42, wiersz 4 od dołu, oraz na str. 43 — „Leduchowski“ *zamiast* „Ledóchowski“. Wiersz 9 — „utrzymywał“ *zamiast* „utrzymywało“
Str. 53, wiersz 13 od góry — „szlachetna“ *zamiast* „szlachetną“.
Str. 65, wiersz 14 od dołu — „nią“ *zamiast* „nim“.
Str. 71, wiersz 5 od dołu — „tem“ *zamiast* „z tem“.
Str. 86, wiersz 2 od dołu — „zadowoliło“ *zamiast* „zadowolniło“.
Str. 91, wiersz 15 od dołu — „obracał się“ *zamiast* „obracała się“.
Str. 96, wiersz 6 od dołu — „L'Austriche“ *zamiast* „L'Autriche“.
Str. 98, wiersz 10 — „razem“ zamiast „zarazem“.
Str. 134, wiersze 7 i 8 od góry — „nadzieje te rozwiały się“ *zamiast* „nadzieja ta rozwiała się“.
Str. 151, wiersz 14 od góry — „wpatrwać“ *zamiast* „wpatrywać“.
Str. 165, wiersz 10 od dołu — „innem“ *zamiast* „innym“.
Str. 166, wiersz 18 od dołu — „wielkim“ *zamiast* „wielkiem“.
Str. 168, wiersz 8 od góry — „rzeczy pospolitej“ *zamiast* „rzeczypospolitej“.
Str. 172, wiersz 17 od dołu, przecinek dany po Francyi *zamiast* przed.
Str. 175, wiersz 16 od góry — „nazywały“ *zamiast* „nazywali“.
Str. 179, wiersz 6 od góry — „Świetnym“ *zamiast* „świetnym“.
Str. 207, — cyfrę „208“ *zamiast* „207“.
Str. 208, wiersz 8 od góry — „widoczniejszym“ *zamiast* „widoczniejszem“.

Str. 249, wiersz 16 od dołu — „nię“ *zamiast* „nią“.
Str. 256, wiersz 3 od dołu — „Znikała“ *zamiast* „Znikła“.
Str. 275 wiersz 6 od góry — „wojskowem“ *zamiast* „wojskowym“.
Str. 305, wiersz 17 od dołu — „swoich celach“ *zamiast* „w swoich celach“.
Str. 335, wiersz 5 od góry — „należą“ zamiast „należy“.
Str. 340, wiersz 6 od dołu, przecinek niepotrzebny między długie i „lata“.
Str. 366, wiersz 1 od góry — „stuleciu“ *zamiast* „stulecia“.
Str. 383, wiersz 8 od dołu — „przykszejsze“ *zamiast* „przykrzejsze“.
Str. 465, wiersz 15 od góry — „Niewiadomem“ *zamiast* „Niewiadomemi“.
Str. 422, wiersz 8 od góry — „z prężyn“ zamiast „ze sprężyn“.
Str. 466, wiersz 7 od dołu „przyjeżdżającego“ *zamiast* „przejeżdżającego“.
Str. 477, wiersz 16 od góry niepotrzebnie przecinek po „cezar“.

SPIS.

strona

Wstęp 5
Działania i Dzieła Bismarcka 7
Po pokoju pragskim 1866 r. 9
Północny Związek niemiecki, dzieło hr. Bismarcka . . . 22
O wojnie niemiecko-francuskiej 1870 roku i 1871 roku . . . 129
Po zwycięstwach 272
Działania wewnętrzne Bismarcka 298
Bismarck wobec Rosyi 325
Wielkie stanowisko 340
Trójprzymierze 348
Zbrojny Pokój 365
Zmiany Monarchów 376
Upadek 465
Po upadku Bismarcka 475
Bismarck po zgonie 493

Pomyłki druku 536

Biblioteka Wojsk. Akad. Polit.
im. F. Dzierżyńskiego

WAP
Biblioteka
35342/12
Naukowa